

VOLKER  
KUTSCHER

BABYLON  
BERLIN

SERIAL  
INSPIROWANY POWIEŚCIĄ

W  
ab  
two

ŚLISKA  
SPRAWA

KOMISARZ GEREON RATH #1

VOLKER  
KUTSCHER

# ŚLISKA SPRAWA

Przełożyła Anna Kierejewska



Tytuł oryginału: *Der nasse Fisch*

Copyright © 2008, 2007 by Verlag Kiepenheuer & Witsch GmbH & Co. KG, Köln,  
Germany

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIX

Copyright © for the Polish translation by Anna Kierejewska, MMXIX

Wydanie I

Warszawa MMXIX

Redaktor inicjujący: Filip Modrzejewski  
Redaktorka prowadząca: Ida Świerkocka

Przekład: Anna Kierejewska  
Redakcja: Joanna Dąbrowska-Resiak  
Korekta: Tomasz Karpowicz

Projekt okładki: Joanna Strękowska  
Zdjęcie wykorzystane na okładce: © Roy Bishop / Arcangel Images; © Finlandi /  
Shutterstock

Projekt typograficzny i łamanie: Typo – Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel. 22 826 08 82, 22 828 98 08

[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)

[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-7006-6

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)  
[o.o.](http://o.o)

i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

**virtualo**

# Spis treści

Motto

Nieboszczyk w kanale Landwehr. 28 kwietnia – 10 maja 1929

Inspekcja A. 11 – 21 maja 1929

Cała prawda. 21 maja – 21 czerwca 1929

Przypisy

*Ateny nad Sprewą są martwe i wyrasta Chicago nad Sprewą.*

Walther Rathenau

*You can't always get what you want  
But if you try sometimes you might find*

*You get what you need*

Rolling Stones

# Nieboszczyk w kanale Landwehr. 28 kwietnia – 10 maja 1929

## 1

Kiedy oni wrócą? Mężczyzna wyteżał słuch. W ciemności każdy najcichszy odgłos stawał się potwornym hałasem, każdy szept przeobrażał się w krzyk, nawet cisza dudniła mu w uszach. Nieprzerwane huczenie i szum. Niemal wariował z bólu. Musiał wziąć się w garść. Musiał odwrócić uwagę od dźwięku kropel, jakkolwiek głośne by były. Kropel, które spadały na twardą, wilgotną podłogę. Wiedział, że na beton skapuje jego własna krew.

Nie miał pojęcia, dokąd go zawlekli. W jakieś miejsce, w którym nikt go nie słyszał. Jego krzyki nie wytrącały ich z równowagi, uwzględnili je w planie. Podejrzewał, że znajdował się w piwnicy. A może w hali magazynowej? W każdym razie było to pomieszczenie pozbawione okien. Do środka nie przedostawał się choćby jeden promień słońca, jedynie delikatne migotanie. Resztką jasności, która mu pozostała, odkąd – zatopiony w myślach – stał na moście i spoglądał za światłami pociągu. Zatopiony w myślach o planie i o niej. Wtedy padł cios i usunął się w ciemność. Od tamtej pory już go nie opuściła.

Drżał. W pionowej pozycji trzymały go jedynie liny, wrzynające mu się w zgięcia łokci. Jego stopy już go nie niosły, nie było ich, stały się jedynie bólem. Podobnie z dłońmi, które nie potrafiły niczego utrzymać. Całą swoją siłę skierował w ramiona i starał się nie dotykać podłogi. Ciało miał zlane potem.

Obrazy wciąż powracały, nie potrafił ich wyprzeć. Ciężki młot. Jego dłoń, kurczowo uczepiona stalowej belki. Dźwięk roztrzaskiwanych kości, jego kości. Nieznośny ból. Krzyki, które splatają się w jeden potężny wrzask. Utrata przytomności. A potem wybudzenie z głębokiej nieświadomości. Bóle rozszarpujące najodleglejsze krańce ciała. Do jego wnętrza się jednak nie przedostały, udało mu się stawić im opór.

Otumaniali go narkotykami, które łagodziły ból. Chcieli go w ten sposób podporządkować swojej woli. Musiał walczyć z własną słabością. Dobrze znany język niemal uspił jego czujność. Głosy brzmiały jednak ostrzej niż te, które pamiętał. Zdecydowanie ostrzej. Chłodniej. Bardziej złowieszczo.

Głos Swietłany mówił tym samym językiem, ale jakże inaczej brzmiał! Obiecywał mu miłość i wyjawiał tajemnice, był bliskością i obietnicą. Tak, nawet jasne miasto, z którego dawno wyjechał, ten głos na powrót uczynił żywym. Nigdy o nim nie zapomniał, nawet gdy był daleko. To nadal było jego miasto – które zasłużyło na lepszą przyszłość. I nadal jego kraj – który również zasłużył na lepszą przyszłość.

Czy ona nie pragnęła tego samego? Przegonić przestępców, którzy zagarnęli władzę? Wrócił myślami do tej nieprzespanej nocy w jej łóżku, ciepłej letniej nocy, która wydawała się tak odległa, jakby minęła cała wieczność. Swietłana. Kochali się i powierzali sobie swoje tajemnice. Połączyli je w jedną wielką tajemnicę, by choć trochę zbliżyć się do własnych nadziei.

Wszystko tak dobrze się układało, ale ktoś musiał ich zdradzić. Jego gdzieś wywieźli, a co ze Swietłaną? Gdyby tylko wiedział, co się z nią stało. Ich wrogowie czaili się wszędzie.

Przywieźli go w to ponure miejsce. Znał ich pytania, zanim jeszcze zadali je na głos. Odpowiadał, nie zdradzając niczego, a oni się nawet nie spostrzegli. Głupcy zaślepieni chciwością. Pociąg był już w drodze, ale oni nie mogli się o tym dowiedzieć. Pod żadnym pozorem. Od realizacji planu dzielił ich jedynie krok. Spojrzał jej w oczy i także w nich ujrzał chciwość oraz głupotę.

Najgorszy był pierwszy cios, a wszystko, co po nim nastąpiło, sprawiało, że ból się tylko rozprzestrzeniał.

Świadomość, że zginie, dodawała mu sił. Dzięki temu mógł znieść to, że nigdy już nie będzie mógł chodzić, pisać, i nigdy już jej nie dotknie. Była już tylko wspomnieniem. Musiał się z tym pogodzić, lecz także tego wspomnienia nie zdradzi nigdy.

Kurtka. Musiał odzyskać swoją kurtkę, choć w tej chwili było to prawie niemożliwe. Miał przy sobie kapsułkę, tak jak wszyscy Ci, którzy skrywali w sobie tajemnicę, która nie mogła dostać się w ręce wroga. Zareagował za późno, nie zorientował się, że to pułapka – w przeciwnym razie już dawno rozgryzłby kapsułkę. Nadal znajdowała się w podszewce kurtki wiszącej na krześle, którego kontury ledwie dostrzegał pośród ciemności.

Nie skrępowali go. Po tym jak pogruchotali mu dłonie i stopy, jedynie zawiesili go na linach, by łatwiej im było go okładać, gdy tylko ból przywróciłby mu świadomość. Nie pozostawili przy nim żadnego strażnika – tak byli pewni, że nikt nie usłyszy jego krzyków. Wiedział, że to jego ostatnia szansa. Działanie narkotyku ustępowało. Ból znów stanie się nie do zniesienia, być może sprawi, że ponownie straci przytomność, jeśli nie zdoła utrzymać się na linach. Na jak długo? Myśl o nadchodzącym cierpieniu przyniosła mu wspomnienie tego, które przeminęło, a jego czoło zalało się potem.

Nie miał wyboru.



Teraz!

Zacisnął zęby i zamknął oczy. Rozprostował obie ręce, zgięcia łokci straciły oparcie, a wraz z nimi – całe ciało. Brejowata miazga, która była niegdyś jego stopami, pierwsza zetknęła się z podłogą. Wrzasnął, zanim jeszcze runął tułowiem na beton, a wstrząs sprawił, że ból w rękach powrócił. Byle nie stracić przytomności! Krzycz, ale utrzymuj się na powierzchni, nie mdlej! Zwinął się na podłodze, jego oddech przyspieszył, kiedy pulsowanie i klucie nieco osłabło. Udało mu się! Leżał na podłodze, mógł się ruszać – pełznąć przed siebie, wsparty na łokciach i kolanach, zostawiając za sobą ślad krwi.

Szybko przeczołgał się do krzesła i ustami ściągnął swoją kurtkę na podłogę. Zachłannie rzucił się na ubranie, przytrzymał je prawym łokciem. Ból sprawiał, że szarpał materiał zębami z narastającą wściekłością. W końcu udało mu się rozerwać podszewkę.

Nagle zebrało mu się na szloch. Wspomnienie o niej dopadło go tak, jak drapieźny kot dopada swą ofiarę i nią potrząsa. Nigdy już jej nie zobaczy. Wiedział to, odkąd zwabili go w pułapkę, ale nagle boleśnie to do niego dotarło. Tak bardzo ją kochał! Tak bardzo!

Powoli się uspokajał. Językiem szukał kapsułki, wyczuł brud i nitki, jednak w końcu trafił na płaską, chłodną powierzchnię. Ostrożnie wysunął ją siekaczami z podszewki. Udało się! Miał ją w ustach! Kapsułkę, która miała położyć wszystkiemu kres! Uśmiech tryumfu przebiegł po jego twarzy przepełnionej bólem.

Niczego się nie dowiedzą. Będą się nawzajem obwiniać. Okazali się największymi głupcami.

Słyszał, jak zamykają się drzwi na górze. Trzaśnięcie wybrzmiało w ciemności niczym uderzenie pioruna. Kroki na betonie. Wracali. Czy słyszeli krzyk? W zębach trzymał kapsułkę, czekając, by ją roz-

gryźć. Był gotów. Mógł to zakończyć w każdej chwili. Odczekał jeszcze trochę, niech wejdą do środka. Chciał rozkoszować się tryumfem do ostatniej sekundy.

Niech go zobaczą! Niech bezradnie stoją obok i przyglądają się, jak się im wymyka.

Kiedy otworzyły się drzwi i światło wdarło się do ciemnego wnętrza, zamknął oczy. Wtedy przygryzł zęby. Z cichym brzękiem szkło pękło mu w ustach.

## 2

Mężczyzna przypominał nieco Wilhelma II. Miał charakterystyczne wąsy i przenikliwe spojrzenie, jak na portrecie, który za czasów Cesarstwa wisiał w każdym porządnym niemieckim domu. Nadal jeszcze wisiał u co poniektórych, choć cesarz abdykował przeszło dziesięć lat temu i od tego czasu zajmował się uprawą tulipanów w Holandii. Ten sam zarost, ta sama iskra w oku – jednak na tym podobieństwa się kończyły. Ten cesarz nie miał na głowie pikielhauby. Hełm wisiał wraz z szablą i mundurem na filarze łóżka. W oczy widzów rzucały się przede wszystkim jego podkreślone ku górze wąsy i imponujący wzwód. Przed nim klęczała równie naga kobieta, obdarzona bujnymi krągłościami i najwyraźniej okazująca cesarskiemu berłu należny respekt.

Rath przeglądał zdjęcia obojętnie, choć ich celem było rozbudzenie pożądania. Kolejne ujęcia przedstawiały cesarskiego sobowtóra i jego towarzyszkę w akcji. Nie miało znaczenia, jak bardzo splątane ze sobą były ich ciała – charakterystyczne wąsy zawsze łapały się w kadr.

– Obrzydliwość!

Rath obejrzał się za siebie. Przez jego ramię na fotografii spoglądał szupo<sup>1</sup>, funkcjonariusz policji porządkowej.

– Co za obrzydliwość – powtórzył policjant, kręcąc głową – to przecież obraza majestatu. Kiedyś za takie rzeczy skazywano na ciężkie więzienie.

– Nasz cesarz wcale nie wygląda na takiego obrażonego – odparł Rath. Zamknął teczkę ze zdjęciami i przesunął ją po rozchwierutanim biurku, które mu przydzielono. Spod czaka padło złowrogie spojrzenie. Funkcjonariusz w niebieskim uniformie odwrócił się bez słowa i poszedł do swoich kolegów. W pomieszczeniu stało ośmiu mundurowych i rozmawiali półgłosem, większość z nich ogrzewała ręce o kubki z kawą.

Rath spojrzał w ich stronę. Wiedział, że szupo z komisariatu 220 mieli inne zmartwienia niż okazywanie przyjacielskiego wsparcia funkcjonariuszowi policji kryminalnej z Alexanderplatz, gdzie mieściło się prezydium policji. Za trzy dni sytuacja stanie się poważna. Pierwszy maja wypadał we środę i prezydent policji Zörgiebel zakazał tego dnia jakichkolwiek demonstracji w Berlinie, jednak mimo to komuniści i tak chcieli urządzić przemarsz. Policja się denerwowała. Krążyły pogłoski o planowanym puczu. Bolszewicy chcieli bawić się w rewolucję i z dziesięcioletnim poślizgiem utworzyć sowieckie Niemcy. Wśród policjantów na komisariacie 220 panowało jeszcze większe napięcie niż w pozostałych dzielnicach Berlina. Neukölln, część miasta, w której znajdował się ten komisariat, był dzielnicą robotniczą. Bardziej czerwony był co najwyżej tylko Wedding.

Policjanci szeptali między sobą. Od czasu do czasu któryś z nich rzucał komisarzowi ukradkowe spojrzenie. Rath stuknął palcem w paczkę overstolców, wyjął z niej papierosa i go zapalił. Nikt nie musiał mu mówić, że był tu prawie tak mile widziany, jak Armia Zbawienia w nocnym klubie – to było oczywiste. Obyczajówka nie cieszyła się w policyjnych kręgach najlepszą opinią. Jeszcze dwa lata temu głównym zadaniem policji obyczajowej, czyli Inspekcji E, było monitorowanie prostytucji w mieście. Stanowiło to rodzaj usankcjonowanego sutenerstwa, gdyż jedynie prostytutki zarejestro-

wane przez policję mogły legalnie prowadzić swoją działalność, a wielu funkcjonariuszy bezwstydnie wykorzystywało tę zależność. Od czasu, kiedy nowa ustawa o przeciwdziałaniu chorobom wenerycznym przeniosła ten obowiązek z policji obyczajowej na urzędy do spraw zdrowia, Inspekcja E zajmowała się nielegalnymi klubami nocnymi, stręczycielami i pornografią, ale jej reputacja prawie w ogóle się nie poprawiła. Wciąż wydawało się, że do funkcjonariuszy na stałe przyłgnęła jakaś resztką tego brudu, którym zajmowali się służbowo.

Rath wydmuchnął dym papierosowy ponad biurkiem. Woda skapywała z czak wiszących na wieszakach na podłogę pokrytą zielonym linoleum, podobnym do tego, jakim wykładano też biura policji kryminalnej przy Alexanderplatz. Pośród wszechobecnej błyszczącej czerni i połyskujących policyjnych odznak szary kapelusz Ratha zdawał się nie na miejscu, tak jak i jego płaszcz, który wyróżniał się pomiędzy niebieskimi płaszczami policji porządkowej. Jeden cywil wśród mnóstwa mundurowych.

Kawa, którą przynieśli mu we wgniecionym emaliowanym kubku, smakowała parszywie. Odpychająca, czarna lura. A więc nawet tu-tejsi policjanci także nie umieli parzyć kawy. Niby dlaczego w Neukölln miałyby być inaczej niż na Alexanderplatz? Mimo wszystko wziął kolejny łyk. Nie miał nic innego do roboty. Siedział tu tylko po to, żeby czekać, aż zadzwoni telefon.

Raz jeszcze sięgnął po teczkę leżącą na biurku. Zdjęcia z sobotórami Hohenzollernów oraz innych pruskich dygnitarzy w niedwuznacznych pozycjach nie były czymś tanim i łatwo dostępnym. Do tego miał przed sobą nie zwykłe wydruki, lecz odbitki fotograficzne najwyższej jakości, porządnie ułożone w teczce. Ten, kto kupował coś takiego, musiał wydać dobrych kilka marek. Była to za-

tem rzecz dla wyższych kręgów. Fotografie sprzedawał gazeciarz na dworcu Alexanderplatz, parę kroków od prezydium policji i mieszczących się w nim biur Inspekcji E. Patrol zauważył mężczyznę tylko dlatego, że puściły mu nerwy. Dwaj policjanci chcieli tylko zwrócić jego uwagę na jakiś niewinny magazyn ilustrowany, który wypadł mu z kramiku zawieszzonego na szyi, jednak gdy się zbliżyli, handlarz rzucił w ich stronę cały swój towar i wziął nogi za pas. Wraz z czasopismami w stronę młodych szupo poszybowały też wydrukowane na błyszczącym papierze zdjęcia pornograficzne, które przypawiły ich o rumieniec na twarzy. Z podziwu dla kunsztu fotomodeli prawie zapomnieli ruszyć w pogoń za zbiegłym gazeciarem. Gdy w końcu podjęli pościg, mężczyzna zdążył już zniknąć gdzieś w chaosie placów budowy wokół Alexanderplatz. To zaniedbanie stało się powodem, dla którego niewiele później szupo po raz kolejny dostali rumieńców, dostarczywszy swoje znalezisko do biurka Lankego i zdawszy mu sprawozdanie. Radca kryminalny Werner Lanke, kierownik Inspekcji E, potrafił podnieść głos. Wierzył, że uprzejmość mogłaby zaszkodzić jego autorytetowi. Rath przypomniał sobie, jak jego nowy szef powitał go przed czterema tygodniami.

– Wiem, że ma pan znajomości, panie Rath! – wydarł się Lanke. – Lecz jeśli wydaje się panu, że dzięki temu nie będzie pan musiał zajmować się brudną robotą, to grubo się pan myli! Nikogo się tu nie oszczędza! A tym bardziej nie mam zamiaru oszczędzać człowieka, o którego nie prosiłem!

Pierwszy miesiąc jego pracy w Inspekcji E już prawie dobiegał końca. Ten czas traktował jak karę. I być może tak właśnie miało być, choć go nie zdegradowano, lecz jedynie przeniesiono. Co prawda musiał opuścić Kolonię, a także komisję do spraw zabójstw, lecz nadal był komisarzem kryminalnym. Nie miał zamiaru do końca ży-

cia obijać się w obyczajówce. Nie rozumiał, jak Wujek to znosił, ale praca w Inspekcji E wydawała się sprawiać koledze przyjemność.

Nadkomisarz Bruno Wolter – przez wzgląd na swoje serdeczne usposobienie nazywany przez większość kolegów Wujkiem – przewodził grupie dochodzeniowej oraz policyjnej obławie, która miała się odbyć właśnie tego dnia. Na dziedzińcu przed komisariatem, gdzie stała ciężarówka, Wolter omawiał szczegóły planowanej akcji z dwiema funkcjonariuszkami z żeńskiej policji kryminalnej oraz komendantem okręgowej straży ogniowej. Mogło zacząć się w każdej chwili. Czekali już jedynie na telefon od Jänickego. Rath wyobraził sobie tego nowicjusza siedzącego w zatechłym mieszkaniu, które zajęli na okoliczność obserwowania atelier – w jednej ręce lornetka, druga nerwowo drży nad słuchawką telefonu. Również Stephan Jänicke, asystent wydziału kryminalnego, dołączył do obyczajówki dopiero na początku kwietnia. Wolter czasem dogryzał mu, mówiąc, że dopiero co spadł z Eiche – czyli dębu – ponieważ Jänicke został powołany do służby na Alexanderplatz od razu po ukończeniu szkoły policyjnej w poczdamskiej dzielnicy Eiche. Jednak Jänicke, pochodzący z Prus Wschodnich małomówny mężczyzna o blond włosach, nie dawał się zbić z tropu starszym kolegom i traktował swój zawód poważnie.

Zadzwonił telefon stojący na biurku. Rath zgasił papierosa i sięgnął po czarną, błyszczącą słuchawkę.

Ciężarówka zatrzymała się przed wysoką kamienicą czynszową przy Hermannstrasse. Przechodnie podejrzliwie spoglądali na młodych mundurowych, którzy zeskakiwali ze skrzyni. W tej części miasta policja nie była mile widziana. Jänicke czekał na nich w tonącej w półmroku bramie prowadzącej na podwórze. Ręce miał głęboko wsunięte do kieszeni płaszcza, kołnierz postawiony na sztorc, rondo

kapelusza nasunięte na czoło. Rath próbował zdusić uśmiech. Asystent policyjny zadał sobie mnóstwo trudu, by wyglądać jak nieczuły glina z wielkiego miasta, lecz jego rumiane policzki zdradzały chłopaka ze wsi.

– W środku jest teraz pewnie około dwunastu osób – powiedział nowicjusz, starając się dotrzymać kroku Rathowi i Wolterowi. – Widziałem Hindenburga, Bismarcka, Moltkego, Wilhelma I oraz Wilhelma II, a nawet Fryderyka Wielkiego.

– Cóż, mam nadzieję, że także kilka dziewcząt – odparł Wujek. Dwie policjantki uśmiechnęły się kwaśno. Funkcjonariusze w cywilu wraz z dziesięcioma mundurowymi podążali za nadkomisarzem, który wziął kurs na drugie podwórze. Pięciu chłopców grało tam metalową puszką w piłkę nożną. Kiedy zobaczyli oddział policyjny, zamarli w bezruchu, a puszka zakreśliła ostatni, brzęczący piruet. Wolter przyłożył do ust palec wskazujący. Najstarszy z chłopców, może jedenastoletni, pokiwał głową w milczeniu. Na górze zamknięto okno. *Atelier fotograficzne Johann König, 4 piętro* – informowała mosiężna tabliczka przy wejściu na klatkę schodową.

Wujek musiał skorzystać z usług jednego ze swoich licznych informatorów z berlińskiego półświatka, by trafić na trop Königa, gdyż fotograf – z perspektywy policji – miał czystą kartę. Wykonywał niedrogie zdjęcia do paszportów dla mało zasobnych klientów z Neukölln, od czasu do czasu również obowiązkowe zdjęcia rodzinne: noworodki na niedźwiedzim futrze, dzieci rozpoczynające szkołę z okolicznościowymi tytkami, młode pary i wszystko inne, czego zażyczyli sobie klienci. Nigdy wcześniej nie był notowany jako zbereźnik, nie był też karany, ale i tak znaleziono o nim informacje. Nie trzeba bowiem dopuszczać się czynu karalnego, by zwrócić uwagę policji. Rathowi przyszedł bowiem do głowy pomysł, by przewerto-



wać również obszerne akta Inspekcji IA – policji politycznej – i trafił na notatkę sprzed dziesięciu lat. W 1919 roku policja polityczna odnotowała Johanna Königa jako anarchistę i poświęciła mu, wprawdzie skąpo zapisaną, ale za to jego własną kartotekę. Po upadku rewolucji fotograf już nie zwracał na siebie uwagi w kwestiach politycznych, na powrót zajął się swoimi prywatnymi sprawami, zresztą tak jak wielu innych, mu podobnych. Jednak teraz, przez swoją niekrytą awersję do blasku i chwały Prus, popadł w kłopoty z prawem. Nic dziwnego, pomyślał Rath, nosić nazwisko znaczące „król” i być przeciwnikiem monarchii – to po prostu nie może się dobrze skończyć.

Najwyraźniej jednemu z młodych policjantów porządkowych chodziły po głowie podobne myśli.

– Cesarz pieprzy u Königa – rzucił i z nerwowym, szerokim uśmiechem rozejrzał się dookoła.

Nikt się nie zaśmiał. Wolter kazał stanąć kawalarzowi przed wejściem do oficyny, a sam wraz z resztą oddziału po cichutku wszedł na górę mrocznej klatki schodowej, do której prawie w ogóle nie wpadało światło dzienne. Gdzieś w budynku jakieś radio rzępoliło szlagiery. Na drugim piętrze otworzyły się drzwi, siwa starowinka wyściubiła nos na klatkę i szybko się cofnęła, na widok oddziału policji. Funkcjonariusze, dwie kobiety i dwunastu mężczyzn, nie wydawali prawie żadnych dźwięków. Zatrzymali się na samej górze przed ostatnimi drzwiami. *Johann König, fotograf* – informował napis na drzwiach, tym razem jednak nie wygrawerowany w mosiądku, ale wydrukowany na pożółkłym wygiętym kartonie. Wolter nic nie powiedział, spojrzął tylko na komendanta straży ogniowej i podniósł palec wskazujący prawej ręki do ust. Słyszał tylko radio oraz trąbiący gdzieś z oddali klakson samochodowy. Wystarczyłoby sil-

niejsze kopnięcie, by liche drzwi z impetem wleciały do pomieszczenia, lecz Wolter odsunął komendanta na bok. Rath widział, jak Wu-jek wyciąga z kieszeni płaszcz wytrych i majstruje przy zamku. Otwarcie go zajęło mu niespełna pięć sekund. Zanim Wolter otworzył z impetem drzwi, wyciągnął służbową broń. Reszta zrobiła to samo. Tylko Rath nie sięgnął po swojego mauzera. Po incydencie w Kolonii poprzysiął sobie, że już więcej nie dotknie broni, jeśli nie będzie to konieczne. Puścił uzbrojonych kolegów przodem i został przy drzwiach. Stamtąd przyglądał się absurdalnej scenie, która rozegrała się w atelier po tym, jak policjanci przekroczyli próg pomieszczenia.

Na zielonej sofie muskularny Hindenburg dwoił się i troił, by zaspokoić nagą kobietę, z daleka przypominającą Matę Hari. Obok stał zwykły szeregowy w mundurze i pikielhaubie. Trudno ocenić, czy to on jako następny miał się zabawiać z Matą Hari, czy czekał, by wyświadczyć feldmarszałkowi usługę seksualną. Pozostali tam obecni – połowa z nich naga – obserwowali scenę oświetloną wieloma reflektorami i prowadzili ożywioną dyskusję. Za aparatem siedział mężczyzna z kozią bródką i wydawał rozkazy feldmarszałkowi.

– Obróć tyłek Sophie trochę w moją stronę... Jeszcze kawałek... Tak, o to chodziło. Nie ruszać się! Iii... Tak jest!

Fotograf wykonał kolejne ujęcie. Wspaniale, wszystko trafi do teczki z materiałami dowodowymi. Nikt z grona znajdującego się w pomieszczeniu nie zauważył, że do atelier weszło około dwunastu uzbrojonych policjantów. Młodzi funkcjonariusze z policji porządkowej wyciągali szyje, aby zobaczyć, ile się da, przepychając się w głąb pomieszczenia. W całej tej kotłowaninie reflektor upadł na podłogę. Rozległ się brzęk.

Rozmowy ucichły. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę drzwi, a zdziwienie zastygło na ich twarzach. Jedynie Hindenburg i Mata Hari nie dali się wybić z rytmu.

– Nie ruszać się, policja! – krzyknął Wolter. – Wszystkich zabieramy do prezydium! Stawianie oporu jest bezcelowe. Niech nikt nic nie rusza! Zwłaszcza jeśli wygląda to jak broń!

W końcu policjantów zauważyli także Hindenburg i Mata Hari. Nikt nawet nie zaprotestował. Kilka osób podniosło ręce, pozostali odruchowo zakryli swoje genitalia. Cztery kobiety znajdujące się w atelier były rozebrane, częściowo bądź całkowicie. Funkcjonariuszki narzuciły wełniane koce na ich nagie ciała, po czym do akcji wkroczyli mundurowi. Pierwsze kajdanki zatrzasnęły się z kliknięciem. König plótł coś o erotyce i wolności sztuki, zamilkł jednak po reprimendzie Woltera. Następnie przyszła kolej na prominentów. Bismarck – klik. Fryderyk Wielki – klik. Ten drugi naprawdę miał łązy w oczach, gdy zakładano mu kajdanki. Skuto każdego po kolei. Hindenburga i Matę Hari trzeba było ściągnąć z sofy. Chłopcy z policji porządkowej mieli łatwe zadanie i sporo frajdy.

Rath dość się już napatrzył, więc wyszedł na klatkę schodową. Zagrożenie, że ktoś się im wymknie, minęło. Stał przy poręczy i spoglądał w dół. Zdjął kapelusz z głowy, dłońmi gładził szary filc. Gdy skończą tutaj, to w prezydium czekają ich jeszcze przesłuchania. Mnóstwo pracy tylko po to, by przydybać parę płotek, zarabiających na fotografowaniu pieprzających się ludzi i obrażaniu uczuć narodowych. Ich mocodawców, którzy zarabiają naprawdę grube pieniądze, nie dorwą i tak, jedynie znów paru nieszczęśników wyląduje za kratkami. Lanke będzie miał poczucie dobrze wykonanego zadania, o którym złoży raport komendantowi, i wszystko będzie, jak dawniej. Rath na próżno starał się doszukać się w tym jakiegoś sensu.

Nie pochwalał pornografii, ale nie potrafił się nią jakoś szczególnie emocjonować. Świat po prostu taki jest, odkąd zawalił się stary porządek. W 1919 roku rewolucja wywróciła do góry nogami wszystkie wartości moralne, w 1923 inflacja zrobiła to samo z dobrami materialnymi. Czy nie było ważniejszych spraw, którymi powinna zająć się policja? Na przykład utrzymanie spokoju i porządku, zadbanie o to, aby jeden człowiek nie mógł bezkarnie pobić drugiego na śmierć? Ponieważ Rath pracował w wydziale zabójstw, wiedział, po co jest w policji. Ale w obyczajówce? Trochę więcej czy mniej pornografii, kogo to obchodziło? Być może samozwańczych obrońców moralności, którzy również znaleźli swoje miejsce w nowym państwie niemieckim – ale on do nich nie należał.

Z rozmyślań wytrącił go dźwięk spłuczki toaletowej. Na piętrze poniżej, w połowie drogi w dół, otworzyły się jedne z drzwi. Szczupły mężczyzna chciał właśnie naciągnąć szelki na podkoszulek i zdębiał, gdy zobaczył Ratha stojącego na górze. Komisarz znał już tę twarz: spiczaste wąsy, groźne spojrzenie teraz wyrażające raczej zaskoczenie. Zabrakło jej wśród kolekcji Aresztowanych. Fałszywemu Wilhelmowi II Hohenzollernowi wystarczyła niespełna sekunda, by rozeznąć się w sytuacji. Jednym susem przesadził balustradę i zeskończył prawie o pół piętra. Jego kroki oddalały się w rytmie szybkiego staccato. Rath ruszył za nim instynktownie. Był gliną, ścigał przestępców, obecnie zaś takich, których występkiem było podobieństwo do niepanującego już cesarza i to, że pozwalają się fotografować, gdy się z kimś pieprzą. Nie miał czasu, żeby dać znać kolegom. Na klatce schodowej było tak ciemno, że ledwie dostrzegał stopnie, przez co cały czas się potykał. W końcu dotarł na parter. Oślepiło go światło i omal nie wpadłby na funkcjonariusza z policji porządko-

wej, który dopiero co podnosił się z ziemi po wcześniejszym zderzeniu.

– Gdzie on jest? – zapytał Rath, a młody szupo, który jeszcze pięć minut wcześniej dowcipkował o kopulujących cesarzach, skruszony spojrzał w kierunku Hermannstrasse.

– Gonię zbiega. Niech pan złoży meldunek! – krzyknął Rath. Następnie rzucił się biegiem do bramy. Przestało padać, ale czarny asfalt nadal błyszczał od wilgoci. Przed budynkiem stał samochód ciężarowy, który miał zebrać żniwo obławy i zawieźć je na Alexa. Ale gdzie był Wilhelm II? Rath rozejrzał się dookoła. Wzdłuż całej ulicy na chodniku i na jezdni leżały materiały budowlane. Piesi i kierowcy przeciskali się pomiędzy belkami, stalowymi wspornikami i rurami, potrzebnymi do budowy metra. W międzyczasie kierowca więziennej ciężarówki wysiadł z szoferki i dał komisarzowi znak ręką. Rath, sarkając, wspiał się na stertę desek i stamtąd dostrzegł pornocegarza: skulony, przemykał wzdłuż Hermannstrasse w stronę Hermannplatz, jego szelki nadal opadały luźno.

– Stać! Nie ruszać się! Policja! – krzyknął Rath. To podziałało na Wilhelma II jak sygnał do startu. Mężczyzna wyprostował się i wystrzelił do przodu, przebiegł środkiem jezdni i wpadł na chodnik, na którym bezceremonialnie staranował kilkoro pieszych.

– Zatrzymać tego mężczyznę! – zawołał Rath. – To operacja policyjna!

Nikt nie zareagował.

– Oszczędź sobie fatygi – usłyszał zza pleców znajomy głos. – Tutajsi ludzie nie pomagają glinom. – Wolter poklepał go po ramieniu. – Biegnij! – dodał i ruszył przed siebie – Razem dopadniemy padalca!

Rath był zdumiony, jak szybko Wolter zbiegał po nieco stromej ulicy – mimo swojej solidnej budowy i słusznej wagi ciała. Z trudem dotrzymywał mu kroku i dopiero przed Hermannplatz udało mu się dogonić Wujka.

– Widzisz go? – zapytał Rath. Poczuł klucie w boku i musiał wesprzeć się o latarnię. Dopiero teraz zauważył, że w ręce nadal trzymał swój kapelusz. Nałożył go z powrotem. Szybkim skinięciem głowy Wolter wskazał na Hermannplatz. Przed nimi pod samo niebo wznosiła się gigantyczna bryła budowanego właśnie domu towarowego Karstadt. Nowy budynek miał nadać poczciwemu Hermannplatz odrobinę nowojorskiego szyku. Uroczyste otwarcie planowano na najbliższe lato, teraz widać było jedynie wielkie rusztowanie z dźwigami towarowymi i żurawiami. Obie wieże – jedna od północy, a druga od południa – wznosiły się na niemal sześćdziesiąt metrów w górę. Wilhelm II biegł w stronę południowego narożnika placu budowy – przez środek wielkiego skrzyżowania i pośród trąbiących aut. O włos wpadłby pod tramwaj linii 29, który wjeżdżał właśnie w Hermannstrasse, ale w ostatniej chwili uchylił się przed piszczącym pojazdem i zniknął z pola widzenia policjantów. Musieli odczekać, aż tramwaj ich ominie, a gdy przejechał, mężczyzny nie było już widać. Przeszli przez skrzyżowanie i rozejrzeli się po placu.

– Na pewno nie udało mu się zejść do stacji metra – oznajmił Wolter. – Nie miał aż tyle czasu.

– Ale miałby czas na *to* – odparł Rath i wskazał na ogrodzenie okalające budowę. Była to poobklejana afiszami, wysoka na dobre dwa metry, ściana z desek, oddzielająca plac budowy od ludzkiego mrowia na Hermannplatz.

Wujek skinął głową. Podeszli do parkanu, szukając miejsca, w którym uciekinier mógł się przez niego przedostać. Przez sam śro-

dek ogrodzenia ktoś czerwoną farbą namazał: *Korzystajcie ze swoich praw! Demonstrujcie 1 maja!* Przy okazji oszpecił też parę afiszy reklamowych.

O, tu! To ten plakat!

Rath spojrział na Woltera. Pewnie dostrzegli to w tej samej chwili. Podeszli do reklamy napojów Sinalco i przyjrżeli się jej z bliska. Papier był naderwany w dwóch miejscach: nad literą S i pod C. Znajdywało się na nim też brudne przetarcie od buta. Nie wyglądało to na celowy wandalizm, a raczej na ślady po wspinaczce.

Wolter splótł dłonie, Rath wsparł się na nich i podciągnął do góry na śliskim, mokrym drewnie, po czym wyjrzał za płot. I rzeczywiście go zobaczył! Wilhelm II biegł w stronę Urbanstrasse i już prawie dotarł do przeciwległego końca placu budowy. Zdążył pokonać całym spory kawałek, fasada domu towarowego zajmowała całą długość Hermannplatz, pewnie co najmniej trzysta metrów.

– Biegnie do Urbanstrasse! Zatrzymaj go! – krzyknął do Wujka, przeprawił się przez ogrodzenie i podjął dalszy pościg. Gdyby Bruno przeciął zbiegowi drogę, to mieliby go w garści. Wilhelm II go zauważył. Fałszywy cesarz znajdował się teraz na wysokości północnej wieży, przebiegł obok windy towarowej, a potem pobiegł prosto w stronę płotu przy Urbanstrasse. Zaraz wpadłby w pułapkę, ale zatrzymał się, odwrócił i zniknął za stalową konstrukcją windy. Rath zobaczył, jak wspina się po stalowych podporach, żwawo niczym małpa. Długo się nie zastanawiał, i ruszył w pościg. Tak szybko się nie podda.

Porno-cesarz musiał być chyba jakimś włamywaczem lub akrobatą – bądź też jednym i drugim. Komisarz, niemający doświadczenia cyrkowego, nie miał z nim szans. Rath zdecydował wspiąć się po rusztowaniu i wskoczyć na pierwszą lepszą drabinę. Ostrożnie, kon-

dygnacja po kondygnacji, piął się w górę, ciągle uważając, żeby nie stracić z oczu zwinnie wdrapującego się uciekiniera.

Była niedziela, ogromna budowa stała opustoszała. Wśród kłębowiska stali i drewna przemykali tylko oni dwaj. Nagle Rath odkrył, że nie ma już drabin prowadzących wyżej. Rusztowanie sięgało siódmego piętra, do wysokości głównego budynku. Winda towarowa znajdowała się przy wieży północnej, przypominającej niedokończony drapacz chmur, a rusztowanie ją okalające sięgało jeszcze parę pięter wyżej. Wilhelm wspinał się dalej. Czyżby chciał dostać się na wierzchołek wieży? Zdawało się, że tak. Rath jęknął. Tylko nie spoglądaj w dół, zaklinał się, byle nie w dół! Cesarz wdrapywał się po podporach dźwigowych, sześćdziesiąt metrów nad ziemią. Rath starał się o tym nie myśleć i patrzeć wyłącznie przed siebie. Żeby dostać się do wieży północnej, musiał przejść kilka metrów po chybliwej desce. Kolejne rusztowanie, kolejne drabiny i ciąg dalszy wspinaczki. Cesarz zniknął mu z oczu. Nieważne, byle wspinać się dalej do góry, jakoś go dopadnie. W końcu dotarł na szczyt rusztowania okalającego wieżę. Zdyszany, oparł głowę o chłodny, stalowy dźwigar.

Sapiąc, rozglądał się dookoła. Po mężczyźnie ani widu, ani słuchu. Czy ten gnojek nie mógł się po prostu poddać? Widział przecież, że ucieczka nie ma najmniejszego sensu!

Rath skierował spojrzenie w dół i poczuł, jak jego dłonie zacisnęły się wokół dźwigara. Dlaczego ta otchłań przyciągała go tak mocno, skoro wywoływała w nim tak wielką panikę? Po Hermannplatz kręciło się mnóstwo malutkich postaci, auta przypominające zabawki toczyły się tam i z powrotem. Jego kolana zrobiły się miękkie. Spojrzał w dal ponad dachami i wzrokiem sięgnął aż do Kreuzberga. Pośrodku morza domów stała tam ogromna hala Görlitzer Bahnhof,



a w oddali na tle szarego nieba wyrastały kominy elektrowni Klingenberg.

Starał się przemóc i na powrót skierować wzrok na rusztowanie. Gdzie podziwiał się sobowtór cesarza? Może znów schodził w dół? Też dobrze, tam przywita go Bruno. Jeśli jednak facet czai się gdzieś tu na górze, to jego obowiązkiem było dopadnięcie tego szczura. Lęk wysokości czy nie, to zadanie należało do Gereona Ratha. Wytężał słuch, lecz wiatr świstał nieznośnie głośno. Ostrożnie zszedł na niższą kondygnację, w tym miejscu był przynajmniej bardziej osłonięty od podmuchów.

Nagle stanął przed nim Wilhelm II.

Wydał się równie zaskoczony co komisarz. Oczy miał szeroko otwarte, połowa sztucznego wąsa odpadła mu w trakcie dzikiej ucieczki.

– Spieprzaj, glino – fuknął. Głos miał nerwowy, przerażony. Przywodził na myśl wiele skojarzeń, ale z pewnością nie dostojność. W jego oczach było coś szalonego, dodatkowo podkreślał to rozmazany makijaż.

Kokaina, od razu pomyślał Rath, on jest pod wpływem kokainy, pewnie wciągnął sporą porcję, kiedy był w ubikacji. To się może źle skończyć.

– Człowieku – powiedział komisarz, próbując brzmieć jak najspokojniej – zrozum w końcu, że to bez sensu. Mogłeś nam już wcześniej podarować tę wspinaczkę. Teraz przynajmniej oszczędź mi kolejnych nieprzyjemności.

– Nic Ci nie oszczędzę – odparł mężczyzna. Nagle w jego ręce pojawił się metalowy, błyszczący przedmiot. Wspaniale, pomyślał Rath, narkoman ze spluwą.

– Lepiej to schowaj – odrzekł. – Albo oddaj mnie. A obiecuję Ci, że nie widziałem broni w Twoich rękach. Ani tego, że groziłeś nią funkcjonariuszowi.

– Skończyłeś opowiadać te swoje bajeczki, dupku?

– O obrazie funkcjonariusza też mogę zapomnieć.

– A jeśli wsadzę Ci kulę w łepetynę, to też zapomnisz, co nie?

– Chcę z Tobą tylko rozsądnie porozmawiać.

Broń w dłoni mężczyzny delikatnie zadrżała. Rath rozpoznał, że pistolet miał niewielki kaliber, ale stali tak blisko siebie, że w zupełności by wystarczył, żeby go zabić.

– Chcesz mnie tylko zbajerować, Ty pieprzony glino, dopóki Twój kolega nie przyjdzie Ci pomóc!

Narkoman nawet nie wiedział, jak bardzo miał rację. Rath widział bowiem Woltera, powoli wspinającego się na deski za plecami mężczyzny.

– Mój kumpel czeka na mnie na dole – odrzekł. – Jemu nie uciekniesz, nawet jeśli mnie zastrzelisz. On też ma spluwę, ale trochę większą niż ta Twoja zabawka.

– Mam Ci pokazać, co ta zabawka potrafi?

Mężczyzna uniósł pistolet, ale w tym samym momencie Wolter złapał go od tyłu. Obiema dłońmi chwycił go za prawą rękę, tę, w której trzymał pistolet: próbował wyrwać mu broń. Wyciągnął rękę, w końcu do niej sięgnął...

Wtedy padł strzał.

Rath usłyszał świst pocisku tuż przy uchu. Drewno rozpadło się na drzazgi. Odruchowo się schylił.

Fałszywy cesarz gapił się z przerażeniem i przez moment nie stawił oporu. Wolter wykorzystał tę sposobność i z całej siły uderzył ręką mężczyzny, w której ten trzymał broń, o stalowy dźwigar. Ro-

zległ się krzyk bólu, pistolet z hukiem spadł na deski. Wujek odwrócił się do oprycha i wbił mu prawą pięść w żołądek. W ułamku sekundy mężczyzna zgiął się wpół, a krępy policjant poprawił lewym sierpowym, który ostatecznie posłał uciekiniera na ziemię. Wolter jeszcze kopnął nieprzytomnego faceta w bok i sapnął.

– Co za dupek!

Przykuł go kajdankami do rusztowania i podniósł jego pistolet.

– Było blisko, Gereonie – powiedział. – Powinieneś być użyć broni.

– Potrzebowałem obydwu rąk, żeby móc się wspinać.

Rath wiedział, że Wujek ma rację. Iluzją było myślenie, że w obyczajówce da się pracować, nie biorąc do ręki broni palnej. Policja to jednak policja.

– Dziękuję, kolego – odparł w końcu, kiedy zauważył, że Wolter nijak nie odniósł się do jego wyjaśnienia.

– Mówi się: dziękuję, partnerze – oznajmił Wolter i poklepał go po ramieniu.

Następnie wyciągnął scyzoryk, rozłożył go i zaczął majstrować ostrzem w wielkiej poprzecznej belce, znajdującej się za Rathem. Po chwili wydłubał z drewna kulę. Wziął ją do ręki i podszedł do narkomana, który w międzyczasie oprzytomniał i próbował wyswobodzić się z kajdanek. Wolter wymierzył mu tak silny policzek, że z nosa mężczyzny zaczęła sączyć się krew. Cesarz z przerażeniem spojrział na policjanta, który przykucnął tuż przed nim i podetknął mu nabój pod nos.

– Powinieneś być mi wdzięczny, skurczybyku – oświadczył Wolter.

Skurczybyk splunął krwią.

– Wiesz dlaczego?

Mężczyzna zaczął nerwowo mrugać oczami.

– Ustrzegłem Cię przed pójściem na szafot za zabójstwo policjanta.

Uciekinier kolejny raz splunął krwią.

– Ale usiłowanie zabójstwa nadal masz sumieniu. Wiesz, co robimy z takimi ludźmi?

Cesarz w odpowiedzi pokręcił głową.

– Nie wiesz? No to słuchaj uważnie. Przyjedziesz do więzienia w Plötzensee, a my zadbamy o to, żebyś trafił do celi z naprawdę twardymi chłopakami. I powiemy im, że jesteś pieprzonym pedofilem. Wiesz, co z dzieciojebcami robią w Plötzensee? Żaden strażnik nie jest na tyle głupi, żeby się w to mieszać. Znam ludzi, którzy woleliby trafić na szafot. Woleliby oddać celny strzał w policjanta.

Mężczyzna spojrzał na niego, przerażony.

Wolter odwrócił się do Ratha.

– Co zrobimy z tym draniem? – zapytał.

Rath wzruszył ramionami. Wujek zwrócił się znowu do narkomana:

– Czy Ty w ogóle wiesz, że jesteśmy jedynymi przyjaciółmi, którzy Ci zostali na tym smutnym świecie? – Obracał pocisk w palcach.

– Mam tu dowód. Tą kulą celowałeś w mojego partnera. I prawie trafiłeś.

Wolter schował nabój do kieszeni kurtki.

– Może jednak ta kula nigdy nie została wystrzelona.

Wolter odczekał, aż jego słowa dotrą do mężczyzny. Następnie wziął do ręki pistolet, złapał za lufę opuszkami palców i zakołysał nią niczym magik w varieté, który wybiera z widowni ochotnika i hipnotyzuje go za pomocą wahadełka. Półprzytomne oczy wodziły za bronią.

– Piękny model. Niewielki, ale poręczny. – Wolter gwizdnął przez zęby. – No tak, to przecież lignose! Można go przeładowywać jedną ręką, zgadza się? Kaliber 6,75. Są na nim odciski Twoich palców. Każdy sędzia ucieszyłby się z czegoś takiego. – Wsadził pistolet do kieszeni. – Tylko od Ciebie zależy, czy sędzia kiedykolwiek go zobaczy.

W końcu mężczyzna odzyskał głos.

– Czego chcesz, glino? – zapytał zdyszany. Jego źrenice bez ustanku przemykały w tę i z powrotem. W jego spojrzeniu strach mieszał się z nadzieją.

– Chcę Ci uświadomić, że tylko w Twojej gestii leży, jaka będzie Twoja przyszłość. To bardzo proste. Słuchaj uważnie, bo wyjaśnię Ci to tylko jeden raz! Od tej chwili jesteś własnością moją i mojego partnera. – Wolter pokazał na Ratha, który powoli podszedł do niego. – Jeśli zadamy Ci pytanie, to masz nam na nie odpowiedzieć. Zawsze. Nieważne, o jakiej porze dnia czy nocy Cię odwiedzimy. – Zdjął mężczyźnie kajdanki i podciągnął go do góry. – Sprawdźmy od razu, czy zrozumiałeś. Jeśli będziesz się dobrze zachowywał, to oszczędzisz sobie wizyty w prezydium policji.

– Jeszcze nigdy nikogo nie wsypałem. Szukajcie kapusiów gdzie indziej.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz. Ktoś taki jak Ty powinien to wiedzieć. – Wolter miał na twarzy niemal przyjacielski uśmiech. Niemal. – Wierz mi, można się do tego przyzwyczaić. A czasami może Ty też będziesz coś z tego miał. O ile będziemy z Ciebie zadowoleni.

– A jak Wam powiem, że możecie mnie pocałować?

– Po prostu przypomnij sobie to, co mówiłem Ci o Plötzensee! To ułatwi podjęcie decyzji.

W mokrych ulicach wciąż odbijało się białawoszare niebo, nad miastem wisiały ciężkie, deszczowe chmury. Czarny ford A z zamkniętym dachem pędził przez Kottbusser Damm. Wóz, prowadzony przez Woltera, wyprzedzał sunących nieśpiesznie niedzielnych kierowców. Na miejscu pasażera siedział Rath i pogrążał się w myślach, a za oknami przesuwał się miejski krajobraz. Przy Alexanderplatz czekała na nich właściwa praca, czyli przesłuchania, przesłuchania i jeszcze raz przesłuchania. Banda siedziała w celach, godzinę wcześniej Jänicke przywiózł ją więzienną ciężarówką. Trzeba jeszcze trochę przetrzymać Königa i jego ziomków w policyjnym areszcie i poczekać, aż zmiękną, zanim policjanci wezmą się do pracy. Dzięki informacjom, które zdradził porno-cesarz – prawdziwe nazwisko Franz Krajewski – mogli całej bandzie porządnie zaleźć za skórę.

Fałszywy cesarz trajkotał bowiem jak katarynka. Przycisnęli go jeszcze na rusztowaniu, zanim pozwolili mu odejść. Rath miał okazję zobaczyć, w jaki sposób Wolter rekrutował swoich informatorów, i zaskoczyła go brutalność kolegi. Teraz siedzieli obok siebie w milczeniu. Rath doskonale wiedział, że akcja na rusztowaniu miała być zarazem lekcją dla niego, nowego, który przyjechał z prowincji reńskiej. Wolter chyba odgadł myśli Ratha.

– Gdybyś wsadził do ciupy takiego szczura, to już nic z niego byś nie wyciągnął – oświadczył. – Lepiej, żeby kręcił się po Berlinie ze świadomością, że możemy go zapuszkować *w każdej chwili*. Żebyśmy mieli go w garści na tyle mocno, by nie odważył się nawet pierdnąć bez pytania nas o zgodę. Mówię Ci, ten facet oszczędzi nam mnóstwo pracy. Miejmy tylko nadzieję, że kokaina nie spaprze mu doszczętnie rozumu. – Zaśmiał się i sięgnął ręką do kieszeni. – Za każdym razem, kiedy o tym pomyśli, będzie robił w spodnie ze strachu.

Wolter wygrzebał kulę, która miała trafić Ratha.

- Trzymaj – powiedział i podał mu pocisk.
- Co mam z tym zrobić?
- Zatrzymaj! W końcu to Ciebie chciał nią zastrzelić.

Gdy już przejechali pod stacją kolejki nadziemnej przy Kottbusser Tor, Wolter nacisnął pedał gazu. Na Dresdener Strasse panował niewielki ruch.

– Jesteśmy partnerami – oznajmił Wujek. – Mamy teraz nawet wspólnego informatora. To wyłącznie nasza sprawa, coś, co nie dotyczy nikogo innego.

Miał rację. Puścili Krajewskiego wolno, choć było to wbrew wszelkim zapisom regulaminu służbowego i wbrew literze prawa. Rath nie czuł się zbyt komfortowo w związku z tą sytuacją. Koledzy z policji uwierzyli, że mężczyzna im niestety uciekł, nikt nie miał im za złe, że wrócili na Hermannstrasse, nie załatwiwszy sprawy. Pozostali policjanci przypisali winę za ucieczkę cesarza funkcjonariuszowi policji porządkowej, którego Krajewski powalił na ziemię, gdy uciekał z budynku. Wyrzuty sumienia sprawiły, że chłopak zrobił się małomówny oraz przesadnie drobiazgowy. Przeszukując atelier, pracował tak skrupulatnie, jakby mógł w ten sposób naprawić swój błąd. Rath i Wolter nadzorowali jego działania, podczas gdy Jänicke odwoził całą bandę aresztantów na komisariat. Znaleźli całe mnóstwo płyt fotograficznych i odbitek, więcej, niż potrzebował prokurator, i na tyle dużo, żeby trochę wziąć w obroty Königa. Gdy stali na rusztowaniu, Krajewski zdradził im, że fotograf otworzył swojej uzdolnionej gromadce również drogę do kariery filmowej. Nie było to nic dziwnego. W ciągu ostatnich kilku lat pornografia mocno się rozpowszechniła. Na ulicach albo spod lady sprzedawano coraz większą ilość obscenicznych broszur, więc szumowiny z berlińskiego przemysłu filmowego dostrzegły nowe możliwości zarob-

kowania i zaczęły oferować tak zwane filmy uświadamiające. Wyświetlano je wtajemniczonym na zapleczach i w nielegalnych nocnych lokalach. Proceder odbywał się przeważnie w lepszych dzielnicach w zachodniej części miasta, ponieważ wstęp na seans kosztował zdecydowanie więcej niż zwykły bilet do kina. Zamożni panowie często zabierali na seanse kilka towarzyszek, żeby od razu wypróbować w praktyce to, co pokazywano na ekranie. Niemożliwe, by ktoś taki jak König sam udźwignął takie przedsięwzięcie. Potrzebni byli mu poplecznicy z przemysłu filmowego, z kręgów przestępczych oraz z wyższych sfer na zachodzie Berlina. Niestety, choć policjanci mocno naciskali, Krajewski nie podał im żadnego nazwiska. A może naprawdę niczego nie wiedział? Przynajmniej uzyskali kilka informacji, dzięki którym mogli zaskoczyć Königa. Może nawet stanowiły one punkt wyjścia do rozbicia szajki trudniącej się pornografią.

Rath przyglądał się pociskowi, który dał mu Wolter. Nabój był niepozorny, mały i błyszczący, a mimo to mógł kosztować go życie. Spojrzał na Wujka, który trąbił właśnie na rowerzystę jadącego przez Oranienplatz, żeby ustąpił mu pierwszeństwa. Czy naprawdę ten mężczyzna o serdecznym wyrazie twarzy uratował mu życie? W każdym razie na pewno wyciągnął go z niezbyt bezpiecznej sytuacji. Gereon Rath nie miał żadnego prawa krytykować Brunona Woltera. Jego kolega złamał kilka przepisów, ale co z tego? Może w rzeczywistości, w tym zimnym, wielkim mieście, ludzie mieli odmienny, bardziej oschły sposób bycia, niż mieszkańcy Kolonii. Lepiej powinien się do tego przyzwyczaić.

– Jeśli chcesz tu coś osiągnąć, nie możesz być zbyt miękki – poradził Wolter. Rath zdziwił się, że towarzysz tak trafnie zinterpretował jego milczenie.



– Coś osiągnąć? W obyczajówce? – zdziwił się Rath.

– Co to ma w ogóle znaczyć? Nie mamy powodów do narzekania! Nasza praca pozwala nam obserwować nocne życie najciekawszego i zarazem najbardziej osławionego miasta na świecie. To przecież coś! Nie chciałbym się zamienić z nikim. Można się przyzwyczaić do tego, że inni policjanci kręcą nosem na takich jak my.

Rath spojrział na Woltera, znów skupionego na ruchu ulicznym.

– Dlaczego nie pracujesz w Inspekcji A? Z Twoimi kontaktami i umiejętnościami?

– W wydziale zabójstw? Jeśli potrzebują moich umiejętności, mojego doświadczenia i kontaktów, to sami powinni mnie zaprosić. Nie palę się do tego, żeby z nimi pracować.

– Ale mają świetną opinię!

– Oczywiście. Oddział Gennata to ulubieńczy prasy i elit towarzyskich! Kradzieże i morderstwa przynoszą więcej uznania niż brud i plugastwa. – Wolter spojrział na niego, jakby szacował, ile jest wart. – Nie jest tak łatwo się tam dostać, ludzie Gennata są starannie dobierani. Musiałbyś wyskoczyć z jakąś bombą, żeby się tam dostać. Prawdziwą bombą. Pieprzący się cesarz to za mało. – Zaśmiał się. – Na pocieszenie powiem Ci, że nawet nam, zwykłym funkcjonariuszom, wolno od czasu do czasu popracować na Olimpie. Inspekcja A regularnie wypożycza policjantów z innych wydziałów. Będiesz wtedy mógł się wyszaleć i pobawić w wydział zabójstw. Ale wierz mi, śledztwa w sprawie morderstw nie są tak ciekawe, jak Ci się wydaje.

– To zależy.

– Od czego?

– Wcześniej pracowałem jako śledczy w wydziale zabójstw. Nudzić się w każdym razie nie nudziłem.

Nikommu w Berlinie jeszcze o tym nie mówił. Prezydent policji Zörgiebel jako jedyny widział całe akta personalne Gereona Ratha, obiecał także milczenie w tej sprawie swemu dawnemu przyjacielowi, Engelbertowi Rathowi. Nawet radca kryminalny Lanke nie znał wszystkich szczegółów zawodowej przeszłości swojego nowego funkcjonariusza. Wolter obrzucił Ratha jedynie przelotnym spojrzeniem, uniósł brew i znów skupił się na ruchu drogowym.

– I co? Nie brakuje Ci trupów? – zapytał po chwili.

Rath przełknął ślinę. Z jego wspomnień wyłoniły się biała twarz, blade ciało, zaskorupiała krew wokół rany postrzałowej w klatce piersiowej.

W milczeniu wyglądał za okno. Wolter okrążył ogromny plac budowy przy moście Jannowitzbrücke, na którym także w niedzielę tworzył się komunikacyjny chaos, minął Muzeum Brandenburskie i przejechał przez most Waisenbrücke. Również Alexanderplatz przypominał jeden wielki plac budowy. Ciężkie kafary parowe drążyły dziury niemal w całym placu, by przyśpieszyć budowę metra. Ruch poprowadzono po grubych deskach, ogrodzenie okalające budowę wytyczało wąskie uliczki, przez które przeciskali się piesi. Drewniane belki podpierały stalowy wiadukt kolejowy przebiegający nad Königstrasse. Skręcali już prawie do restauracji Aschinger, gdy wpadli w pułapkę. Ich ford utknął za żółtym autobusem Berlińskich Zakładów Komunikacyjnych, który całkowicie zablokował wąski prowizoryczny przejazd. *Berlin pali papierosy Juno* – głosiła reklama umieszczona na pojeździe. Wolter zaklął. Jakiś chłopiec w odświętnym stroju, stojący na zewnętrznych schodkach prowadzących na górny pokład autobusu, wykonał w ich kierunku kilka prześmiewczych gestów.

Widać już było ogromny ceglany gmach prezydium policji. W końcu nazwa budynku – Czerwony Zamek – nie wzięła się znikąd. Wysoka narożna wieża wznosiła się ponad Alexanderplatz niczym średniowieczna baszta. Rathowi zajęło trochę czasu, nim przyzwyczaił się do tego, że policjanci mówiący o *Zamku* mieli na myśli właśnie prezydium policji.

– Wysadź mnie tutaj, kupię nam coś do jedzenia – zaproponował.  
– Pieszko dojdę do Zamku szybciej, niż Ty dojedziesz tam autem.

Nie stał w kolejce za długo i niecałych dziesięć minut później wszedł do prezydium wejściem od Dirksenstrasse, gdzie mieściły się biura policji kryminalnej – po tej samej stronie budynku, gdzie jeździły tramwaje. Bezustanny szum i hurkot wagonów przetaczających się za jego oknem dzień w dzień wystukiwał mu rytm. Rath przywitał stojącego przy wejściu szupo uniesioną prawą ręką, w której trzymał papierową torebkę z Aschingera. Trzy razy smażona kiełbasa z musztardą. W lewej ręce niósł naczynie z sałatką ziemniaczaną. Należeli do stałych klientów tego lokalu, ponieważ u Aschingera jedzenie smakowało lepiej niż w kantine. Postanowili, że najpierw w spokoju zjedzą, a potem przygotowują się do przesłuchań. Upłynie trochę czasu, zanim wyciągną z celi pierwszego delikwenta. Banda musiała najpierw skruszeć. Rathowi burczało w żołądku, gdy wchodził po schodach. Poza dwiema filiżankami kawy – dobrej w domu i kiepskiej na komisariacie 220 – jeszcze niczego nie wziął dziś do ust.

Ze schodów wszedł na pomalowany szarym wapnem korytarz. Przez dłuższą chwilę stał zamyślony przed dwuskrzydłowymi szklanymi drzwiami, na których wielkimi białymi literami napisane było „Wydział ds. Zabójstw”. W jego głowie znów rozbrzmiewały słowa Brunona: oddział Gennata: ulubieńcy społeczeństwa, starannie

wybrani. W długim korytarzu za szklanym wejściem otworzyły się właśnie drzwi do jednego z biur. Śledczy wydziału zabójstw nawet w niedzielę nie próżnowali. W drzwiach stanęła młoda kobieta i zawołała coś do wnętrza pomieszczenia, potem się odwróciła i poszła w głąb korytarza. Rath przez szybę spojrzął na jej smukłą twarz: reżolutive usta i ciemne oczy spoglądające spod czarnych, krótko ściętych włosów, ułożonych w modną fryzurę. Miała na sobie ciemnoczerwony kostium, a pod prawe ramię wcisnęła jakąś teczkę z aktami. Jej kroki energicznie stukwały o kamienną podłogę. Gdy witała się z idącym z naprzeciwka kolegą, na jej twarzy pojawił się uśmiech, który wyczarował dołeczek na jej lewym policzku.

– Tylko się nie zgub – jakiś głos wytrącił go z błogostanu. Żwawo się odwrócił i spojrzął na uśmiechniętą twarz kolegi. – Nadal pracujesz dla nas – powiedział Wolter i zabrząkał kluczykami do samochodu.

Szklane drzwi się otworzyły. Przechodząc, kobieta obdarowała uśmiechem także funkcjonariuszy Inspekcji E.

– Dzień dobry – powiedziała. Jej głos miał wyższy ton, niż Rath się spodziewał.

W geście powitania Wolter stuknął palcem o kapelusz, Rath ponownie uniósł papierowe torby. W tym samym momencie poczuł się głupio i niezręcznie. Kobieta spojrzała na niego z ciekawością, niemal rozbawioną. Opuścił rękę. Na jej twarzy znów zawitał uśmiech, ale jedynie na krótką chwilę. Rath nie wiedział, czy śmieje się z niego, czy do niego. Kobieta poszła dalej. Głęboka czerwień oddalała się coraz bardziej, aż w końcu zniknęła za kolejnymi szklanymi drzwiami. Rath odprowadził ją wzrokiem. Wujek zaśmiał się i poklepał go po ramieniu.

– Chodź, zjedzmy coś, zanim weźmiemy się do pracy. Jesteś całkowiec rozkojarzony. Kiedy ostatni raz byłeś z kobietą?

– Zadaj mi jakieś łatwiejsze pytanie – odparł Rath.

– Nic dziwnego, że nie czujesz się najlepiej w obyczajówce, skoro żyjesz jak mnich – oświadczył Wolter. – Przy najbliższej okazji zapoznam Cię z paroma dziewczętami.

– Nie trzeba. – Po całej sprawie z Doris Rath miał kobiet po dziurki w nosie. Rzuciła go, gdy tylko rozpoczęła się nagonka na niego. A od tego czasu minęło dopiero niespełna pół roku...

– Może jednak! – Wolter nie odpuszczał. – Znam świetne dziewczęta! W naszym zawodzie można zawsze ugrać coś dla siebie. Mówiłem Ci już zresztą: nie zamieniłbym się.

– Cóż, zdaje się, że w tym wydziale zabójstw wcale nie mają tak źle. – Wskazał na szklane drzwi, wciąż trzymając w ręku papierowe torby z Aschingera. – Możesz mi powiedzieć, kto to był?

– Nigdy jej jeszcze nie widziałeś? – Wolter wziął od niego paczki. – To Charlotte Ritter, stenotypistka z wydziału zabójstw. A teraz chodź wreszcie! Jedzenie nam wystygnie.

### 3

Znowu to samo! Wysyłają go na dach! Głos Lankego powiedział: „Rath, niech się pan tym zajmie, zna się pan przecież na takich rzeczach. I niech się pan za długo nie zastanawia”.

Za radcą kryminalnym Lankem w milczeniu stał nadinspektor policji kryminalnej Engelbert Rath, za nimi – armia mundurowych. Spojrzenie znad siwych wąsów było lodowate, badawcze i pełne wyrzutów. Znał to spojrzenie. Ojciec mierzył nim małego Gereona, kiedy ten po raz pierwszy przyniósł ze szkoły złe stopnie. Z kolei czerwona gęba Lankego szczyrzyła się sadystycznie.

– No, dalej, Rath, do dzieła! Ilu niewinnych ludzi ma jeszcze zgiąć, bo pan nie jest w stanie podnieść własnej dupy? Jeśli myśli pan sobie, że nie będzie musiał ubrudzić sobie rąk, to grubo się pan myli!

Rath uniósł wzrok i spojrzał na dach, który nie tylko stawał się coraz bardziej spadzisty, ale wręcz zdawał się rozrastać. Jak ma się dostać tam na górę? Gdy ponownie rozejrzał się dookoła, obok nie było już żadnych policjantów. Zamiast nich stały kobiety z dziećmi.

I wtedy padły strzały. Kobiety upadały na ziemię jedna po drugiej. Nie wystrzelano jeszcze jednego szeregu, a już kolejny występował do przodu, niczym owce idące na rzeź. Kobiety umierały w milczeniu, dzieci krzyczały. Pojawiało się coraz więcej dzieci. Im więcej kobiet umierało, tym więcej dzieci wybuchało płaczem.

– Nie! – Rath pędził na górę, nie zważając na swój lęk wysokości. Nagle wokół budynku wyrosło rusztowanie. Żeby dostać się wyżej,

musiał wspinać się po drabinie. Wtem zobaczył strzelca i leżącą wokół niego całą baterię karabinów, które ten najspokojniej w świecie ładował, jeden po drugim.

Gdy Rath dotarł już na najwyższą platformę, mężczyzna się odwrócił. Rozpoznał tę twarz. Strzelec podciągnął do góry swoją koszulę, eksponując bladą, wychudzoną klatkę piersiową. Z jej środka ziała rana postrzałowa. Strumień krwi dawno już wysechł, dziura po kuli wyglądała zupełnie jak te na zwłokach w instytucie medycyny sądowej. Sterylnie czysta.

– Tu! Spójrz! – strzelec powiedział z wyrzutem, niemal płacząc, i wskazał na dziurę w piersi. – Powiem mojemu ojcu! – Chwycił jedną z naładowanych strzelb.

Rath wyciągnął swoją broń służbową.

– Opuść pistolet! – zawołał, lecz mężczyzna wycelował w niego, powoli i w skupieniu, jakby stał na stanowisku na strzelnicy.

– Opuść broń! Bo będę strzelał!

Mężczyzna nie dał się odwieźć od swego planu.

– Nie możesz mnie zastrzelić, ja już jestem martwy – powiedział i zmrużył oko. – Już zapomniałeś?

W tym momencie Rath całkowicie stracił panowanie nad sobą. Nie mógł postąpić inaczej, musiał strzelić. Monstrualna agresja szukała ujścia i znalazła je w dłoni, w której trzymał broń. Jego palec wskazujący wciąż naciskał spust, lecz mauzer wydawał z siebie jedynie stuknięcia, podczas gdy mężczyzna w absolutnym spokoju wycelował i powoli, jakby w zwolnionym tempie, zwolnił spust...

– Nie!

Ze snu wybudził go jego własny krzyk. Usiadł na łóżku już zupełnie przytomny. Czoło zlane miał zimnym potem, jego serce waliło. Nadal słyhać było stukanie dochodzące z za okna. Budzik stojący na

stoliku nocnym wskazywał w pół do drugiej. Rath wygramolił się spod kołdry, zarzucił szlafrok i wyrzął na zewnątrz. Na Nürnberger Strasse nie było żywej duszy, w koronach drzew szumiał wiatr. Na jego parapecie leżały trzy, może cztery kamyki. A więc jednak ktoś próbował go obudzić. Otworzył okno i wychylił się na zewnątrz.

Usłyszał dźwięk otwierających się ciężkich drzwi wejściowych. Potem rozległ się krótki, przenikliwy krzyk:

– Ojej, czego pani tu tak sterczy? – zapytał kobiecy głos. Po chwili Rath dostrzegł młodą, może dwudziestoparoletnią dziewczynę, wychodzącą na ulicę. Spojrzała przez ramię i pośpiesznie oddaliła się w stronę postoju taksówek. A więc Weinerta znów odwiedzała jakaś kobieta! Rath uśmiechnął się pod nosem. Gdyby tylko Elisabeth Behnke o tym wiedziała! Gospodyni zwracała ogromną uwagę na to, by jej lokatorzy nie podejmowali kobiet o późnych porach, jednak zmyślny Weinert niemal co wieczór jakąś gościł, a Behnke mimo to jeszcze nie odkryła jego kręactw. Na kogo natknęła się najnowsza zdobycz Weinerta tam na dole, przy wejściu? Kto ją tak przestraszył?

Ciężkie drzwi wejściowe się zatrzasnęły. Chwilę później ktoś pociągnął za dzwonek do drzwi, który o tej porze dudnił niczym kościelny dzwon, a po chwili Rath usłyszał walenie do drzwi mieszkania. Ktokolwiek to był, nie powinien robić takiego rabanu! Wyszedł ze swojego pokoju na korytarz. Drzwi prowadzące do pomieszczeń gospodyni były zamknięte. Miał gorącą nadzieję, że Behnke będzie spała snem sprawiedliwego do czasu, aż on załatwi tę sprawę. Weinert też się nie pokazywał. Pewnie dręczyły go wyrzuty sumienia.

Wtem znów coś gruchnęło o drzwi.

– Kardakow! – zawołał obcy, niski głos, nieco wygłuszony przez zamknięte drzwi. – Aleksiej Iwanowicz Kardakow! Otkroj dwier’!



Eta ja, Borys! Borys Siergiejewicz Karpienko!

Ktokolwiek to był, musiał przestać tak hałasować!

Rath z impetem otworzył drzwi i spojrzał w zdumione niebieskozielone oczy człowieka w obdartych ubraniach. Strąki rozwichrzonych ciemnych blond włosów opadały mu na czoło. Miał pociągłą twarz i zarośnięty podbródek. Odór alkoholu owionął nozdrza Ratha.

– Co ma znaczyć ten raban? – zapytał mężczyznę, który wbił w niego szkliste spojrzenie. Nie otrzymał odpowiedzi. – Niech pan lepiej wróci do domu i położy się do łóżka, a nie puka do obcych drzwi w środku nocy.

Mężczyzna odpowiedział coś w swoim języku, którego Rath nie rozumiał. Rosyjski? Polski? Nie potrafił dokładnie tego stwierdzić, ale był przekonany, że obcy człowiek zadał mu właśnie pytanie. O co chodzi? Czy mężczyzna nie umie trafić z powrotem do domu?

– Słucham? – zapytał. – Mówi pan po niemiecku?

Mężczyzna powtórzył pytanie. Rath zrozumiał jedynie to, że chodzi o kogoś o imieniu Aleksiej. To bezcelowe, tak się nie dogadają.

– Przykro mi, nie jestem panu w stanie pomóc – wyjaśnił. – Proszę iść do domu! Dobrej nocy!

Ledwie zamknął drzwi, a hałas rozległ się ponownie.

– Teraz miarka się przebrała! – wściekły Rath ponownie wyjrzał na klatkę schodową. – Jeśli pan natychmiast nie zniknie, to naprawdę pan popamięta!

Mężczyzna odepchnął go na bok i wpadł do środka. W przestronnym korytarzu tylko jedne drzwi były otwarte – te do pokoju Ratha. I właśnie tam wtoczył się pijany. Rath rzucił się za nim. Obcy stał na środku pomieszczenia i rozglądał się dookoła, jakby czegoś szukał. Co za idiota! Może jeszcze sobie myśli, że tu mieszka! Rath chwycił

go za kołnierz. Wydawało mu się, że szybko rozprawi się z pijanym człowiekiem, dlatego zaskoczył go gwałtowny wybuch jego wściekłości. Mężczyzna obrócił się, krzycząc, i pchnął nim o ścianę. Silne ramię nacisnęło na szyję Ratha, nieznajoma twarz się zbliżyła, znajdowała się tak blisko, że oddech przesiąknięty alkoholem stawał się prawie nie do zniesienia.

– Gdzie Aleksiej? Szto s nim? – wycedził mężczyzna i dopełnił pytanie kolejnym potokiem słów. Rath wbił mu kolano w podbrzusze. Mężczyzna zgiął się wpół, ale szybko wrócił do pionu. – Job twaju mać! – krzyknął i rzucił się na Ratha, ale ten zrobił sprytny unik. Intruz z hukiem wpadł na wielką szafę, ozdobioną na neogotycką modłę, i wyłamał deskę z bocznej ściany mebla.

Tego już było za wiele! Rath chwycił mężczyznę za kołnierz, wykręcił mu rękę i wywlekł z powrotem na korytarz. Drzwi do mieszkania nadal były otwarte, na klatce schodowej panowała ciemność. Pijak wrzeszczał coś niezrozumiałego i ze wszystkich sił próbował wyswobodzić się z mocnego uścisku. Na próżno. Rath postawił faceta do pionu, puścił go i wymierzył mu solidnego kopniaka. Mężczyzna, potykając się, wytoczył się w ciemność, słychać było, jak na klatce schodowej zderza się z drzwiami przeciwległego mieszkania. Rath zatrzaskał drzwi, zamknął na zasuwę i oparł się o nie zdyszany. Wreszcie! Wreszcie pozbył się tego idioty! Z klatki schodowej dobiegło jeszcze parę niezrozumiałych krzyków. Potem drzwi do domu zatrzaskały się i zapadła cisza.

– Poszedł już sobie?

Zaskoczony Rath podniósł wzrok. Wdowa Behnke stała w drzwiach, które prowadziły z przedpokoju do jadalni i dalej – do jej prywatnych pomieszczeń. Miała na sobie granatową koszulę nocną, na którą zarzuciła szyclekową narzutkę. Gospodyni miała nie-

spełna czterdzieści lat i najwyraźniej doskwierała jej samotność. Już samo jej spojrzenie wiele mówiło, a rzucane przez nią sugestie były jeszcze mniej dwuznaczne. Miała niebrzydką, dziewczęcą i naiwną buzię oraz blond loki, w których pojedyncze srebrzyste włosy prawie nie rzucały się w oczy. Jednak Rath opierał się jej umizgom. Flirtować z własną gospodynią? I to jeszcze z taką, która zabrania przyjmowania wizyt kobiet? Nie, ta myśl nie zaprzętała go ani przez chwilę, to w ogóle nie wchodziło w grę. Niech sobie uskutecznią te swoje subtelne próby uwodzenia. Gdy wychyliła się zza drzwi w oczekiwaniu na odpowiedź, wyeksponowała fragment wydatnego dekoltu. Nie odpowiedział, tylko skinął głową, wciąż zziębnięty. Elisabeth Behnke zdawała się podobać zadyszka jej lokatora.

– Panie Rath, zrobię nam herbatę z rumem. To najlepsza rzecz na strach. – Pokręciła głową. – A już myślałam, że wreszcie skończy problem z tymi Rosjanami.

Ostatnie słowa wzbudziły jego ciekawość. Poszedł za kobietą do kuchni. Kiedyś mieściła się tu jadalnia, jak bywało niegdyś w domach wyższej klasy średniej, jednak od czasu, gdy Elisabeth Behnke zmuszona została podnająć mieszkanie, z wcześniejszej kuchni zrobiła łazienkę dla mężczyzn, którzy u niej mieszkali, a aneks kuchenny połączyła z jadalnią.

– Chce pani powiedzieć, że w tym domu częściej dochodzi do takich sytuacji, że pijani Rosjanie wdzierają się w środku nocy do obcych mieszkań i się awanturują? – Zapytał, gdy już usiadł przy wielkim, jadalnianym stole.

Spojrzała na niego i wzruszyła ramionami.

– Mogę panu powiedzieć tyle, że pański poprzednik często wyczytniał tu nocne harce. W pańskim pokoju nieraz roiło się od Rosjan. Za każdym razem balowali do późnej nocy, głośno się zachowując. –

Zapaliła palnik kuchenki gazowej i postawiła na nim czajnik. – Czasami wydaje się, że w tym mieście jest więcej Rosjan niż Niemców.

– Czasami odnoszę wrażenie, że w tym mieście w ogóle mieszka zdecydowanie za dużo ludzi – odparł.

– Pojawili się tu na krótko po wojnie – ciągnęła. – Wszyscy, których bolszewicy przepędzili z kraju. Wówczas na ulicach Charlottenburga częściej słyszało się rosyjski niż niemiecki.

– W niektórych barach przy Tautenzien nadal tak jest.

– Być może, ale ja takich lokali nie odwiedzam. I dzięki Bogu. W pańskiej pracy ma pan nieustająco do czynienia z tą sodomą i gomorą, biedaczysko. – Krzątała się przy imbryku, robiąc przy tym taki hałas, jakby brzękiem naczynia chciała potwierdzić swoją dezaprobatę dla wszechobecnego zepsucia. Następnie postawiła na stole dwie filiżanki. – No, cóż – ciągnęła – pan Kardakow zrobił tak sympatyczne wrażenie, że się tu wprowadził przed trzema laty.

– Kto?

– Pański poprzednik. Pan Kardakow był pisarzem. – Czajnik zaczął gwizdać. Kobieta wlała do imbryka gorącą wodę. – Spokojny najemca, pomyślałam sobie. Ależ byłam w błędzie! Nieustannie wyzniał jakieś nocne ekscesy.

– A mnie zakazała pani przyjmować odwiedziny kobiet.

– Za przeproszeniem! Nie mówię tu o wizytach kobiet! Pan Kardakow zawsze przyjmował jedynie mężczyzn. Oni tylko gadali i pili. Można by pomyśleć, że na picciu i gadaniu zarabiali pieniądze.

– A na czym je zarabiali? – zaciekawiał się Rath.

– Ach, niech mnie pan nie pyta! Szczerze mówiąc, to wolę tego nie wiedzieć. Pan Kardakow zawsze terminowo opłacał czynsz, choć nie wiem, czy kiedykolwiek wydał jakąś książkę. W każdym razie nigdy mi żadnej nie pokazał. – Kobieta wydawała się nawet lekko

urazona. Rath pomyślał, że jego poprzednik też najpewniej musiał bronić się przed umizgami gospodyni.

– Rozumiem, że to mój poprzednik jest odpowiedzialny za tę niezapowiedzianą wizytę?

– Nie inaczej! – Elisabeth Behnke naląła herbaty sobie i Rathowi.

– Wydaje mi się, że ten mężczyzna nazywał się Borys. Czy mówi pani coś to imię?

– Zupełnie nic. Przewinęło się tu tylu Rosjan...

– Ten cały Borys zniszczył szafę. Może pan Kardakow byłby tak uprzejmy i zatroszczył się o naprawę? – Albo od razu kupił mi nową, pomyślał Rath. To smętne monstrum stojące w jego pokoju przypominało raczej konfesjonał niż szafę.

– Pan Kardakow? – Wyciągnęła z szafki wnękowej w połowie pełną butelkę z rumem i szcudrze rozlała alkohol do filiżanek. – Jeśli go jeszcze kiedyś zobaczę. W wielkim pośpiechu wyprowadził się w zeszłym miesiącu, od tamtej pory go nie widziałam. I to pomimo że jest mi winny czynsz za jeden miesiąc, a cała piwnica jest zagrcona jego rupieciami. Wielokrotnie pisałam do niego na nowy adres. Sądzi pan, że odpowiedział?

– Jak on ma właściwie na imię?

Spojrzała na niego, a jej oczy rozbłysły nadzieją.

– Myśli pan, że mógłby zrobić coś w tej sprawie? Nazywa się Aleksiej. Aleksiej Iwanowicz Kardakow.

Rath skinął głową. Tak brzmiało imię, które wymienił Borys.

– Może okaże większy respekt, jeśli zgłosi się do niego policja – powiedziała i podała mu filiżankę. – Niech się pan napije, dobrze to panu zrobi. Pewnie najadł się pan trochę strachu. Choć jako policjant jest pan pewnie przyzwyczajony do takich sytuacji.

Nie wiedział dokładnie, co miała na myśli: miał być przyzwyczajonym do strachu czy do alkoholu? Pewnie ma na myśli obie rzeczy, pomyślał i wypił.

Uch, gospodyni nie poskąpiła mu rumu! Przez moment podejrzewał, że kobieta chce go upić, ale później zobaczył, jak sama jednym haustem wychyla zawartość filiżanki.

– Jeszcze jedną?

Wypił do dna i skinął głową. Wydawało mu się, że delikatny alkoholowy rausz może mu dobrze zrobić. Nie tyle z powodu tego dziwnego intruza, ile z powodu snu, który nadal jeszcze go dręczył. Z niewielką ilością rumu we krwi będzie mu się spokojniej spało.

– Tylko tym razem bez herbaty – powiedział i podał jej filiżankę.

Gdy obudził się kolejnego ranka, budzik wskazywał za kwadrans dziewiątą. Rath gwałtownie podniósł się z łóżka i złapał się za głowę, w której solidnie pulsowało po niespodziewanych trudach zeszłego wieczora. Co on takiego pił? I przede wszystkim – ile? Przynajmniej obudził się we własnym łóżku. Nagi. Otworzył zalepione powieki i rozejrzał się dookoła. Na gramofonie jakaś płyta kręciła bezsensowne piruety, a z głośnika dobywało się ciche skrobanie. Rath ręką poszukał telefonu stojącego na szafce nocnej i o mało nie zaplątał się w kabel. Potrafiłby wyrecytować numer wewnętrzny do Woltera nawet w środku nocy. Wujek odebrał, a Rath zaczął mamrotać usprawiedliwienie do mikrofonu słuchawki. Po drugiej stronie usłyszał śmiech.

– Oj, staruszkule, brzmisz, jakbyś nie miał się najlepiej. Ktoś tu trochę przebrał miarę!

– To pierwsza noc od tygodnia, której nie musiałem spędzić przy Hermannstrasse.

Ostatnich sześć nocy Rath przesiedział w zatęchłym mieszkaniu w dzielnicy Neukölln i obserwował, kto przychodzi do atelier Köni- ga i kto z niego wychodzi. Zajęcie, którego nikt poza nim nie chciał się podjąć.

– Zgadza się. Zasłużyłeś sobie na dzień wolnego. – Wolter zaproponował mu, by odebrał nadgodziny, które uzbierały mu się w ciągu tygodnia prowadzenia obserwacji. – Wolę, żebyś wrócił wypoczęty – powiedział. – Zostań dziś w domu.

Rath nie miał nic przeciwko. Odłożył słuchawkę, chciał się położyć z powrotem do łóżka, ale wystraszyło go coś ciepłego, co raptem wyczuł pod kołdrą.

Ręka!

Co się wczoraj wydarzyło? Czyżby przyprowadził ze sobą jakąś kobietę? Wyteżał bolącą głowę, ale mimo najlepszych chęci nie potrafił niczego wydobyć z pamięci. Znów przypomniał sobie sen i obcego Rosjanina, który zniszczył mu szafę. A potem pił z gospodynią herbatę... i rum... i bruderszaft.

O nie!

Rath odsunął kołdrę powoli, licząc się z najgorszym. Właścicielka ręki miała blond loki, delikatnie połyskujące srebrem. To nie był sen.

W jego łóżku leżała Elisabeth Behnke!

Jak do tego doszło? Ostatnie, co pamiętał, to moment, w którym zaproponowała, żeby zwracał się do niej po imieniu. Stało się to po tym, jak opróżnili butelkę rumu i zabierali się za likier Goldwasser. Całowali się, tyle pamiętał, tak jak każe zwyczaj, gdy pije się bruderszaft. Ale jak długo? I w jaki sposób? Co wydarzyło się później? Na żadne z tych pytań nie potrafił odpowiedzieć. Jedyłą podpowiedź stanowiła gospodyni, leżąca obok niego w łóżku i przeciągają-

ca o poranku swoje krągłe ciało. Zamrugła parę razy i po chwili również ona była całkiem przytomna. Naciągnęła kołdrę na piersi.

– Dzień dobry – powiedział Rath, bardzo starając się uniknąć przy tym sarkastycznego tonu.

– Dzień dobry – odpowiedziała cicho, niemal nieśmiało. Cóż, przynajmniej ona też czuje się zakłopotana, pomyślał.

– Mój Boże! – Spojrzała na budzik, który wskazywał dziewiątą. – Już tak późno! Śniadanie powinno być już dawno gotowe! Weinert na pewno będzie się uskarżał.

Wstając, próbowała osłonić się kołdrą, jednak zauważyła, że odsłania przy tym atrybut męskości Ratha. Zastygła więc w pozycji półsiedzącej. Nagle ktoś zapukał do drzwi. Elisabeth Behnke szybko wskoczyła z powrotem do łóżka lokatora i cała schowała się pod kołdrą.

– Na miłość boską! To Weinert! – spod pościeli dobiegał jej przytłumiony szept.

Drzwi powoli się otworzyły, choć Rath nie powiedział ani „proszę”, ani żadnego innego słowa. Faktycznie, był to Berthold Weinert. Mężczyzna wetknął do pokoju swoją ciekawską twarz.

– Dzień dobry, śpiochu – powiedział i mrugnął do Ratha porozumiewawczo. – Możesz pożyczyć mi kilka marek? Behnke jeszcze się nie pokazała, w przeciwnym razie ją bym zagadnął. Pewnie jest chora, nawet nie przygotowała śniadania. Muszę się już zbierać do redakcji, a nie mogę...

– Czestuj się.

Rath wskazał na marynarkę, schludnie zawieszoną na wieszaku typu cichy sługa, w przeciwieństwie do szlafroka, który leżał w połowie drogi od drzwi do łóżka i wraz z piżamą tworzył na podłodze bezładny kłębek. Rath miał głęboką nadzieję, że Weinert nie zauwa-



ży należącej do gospodyni ciemnoniebieskiej koszuli nocnej, leżącej po drugiej stronie łóżka.

– Twoja towarzyszka już sobie poszła? – zapytał dziennikarz, szukając portfela w wewnętrznej kieszeni, i kolejny raz puścił do niego oko. Ta mina konspiratora zaczęła powoli działać Rathowi na nerwy. – Tylko nie daj się przyłapać! Behnke pilnuje nas jak Cerber. Ja swoje znajome zawsze wysyłam wieczorem do domu. Lepiej nie ryzykować. Ale Wam zeszło się do późnej nocy! I jeszcze słuchaliście muzyki! A Behnke za dnia uskarża się na to Twoje murzyńskie rżepolenie. – Rozejrzał się dookoła, jakby bał się, że Elisabeth Behnke może stanąć w drzwiach, i ciągnął dalej szeptem. – Powinieneś przede wszystkim powiedzieć Twojej przyjaciółce, żeby następnym razem zachowywała się trochę ciszej. Ależ ona się chichrała! I nie tylko... – Wyłowił z portfela banknot dziesięciomarkowy. – Nie, że bym miał coś przeciwko, ale uważaj, żeby Behnke nigdy Cię nie przyłapała! – Po raz ostatni puścił oko i wyszedł z pokoju.

Rath odsunął kołdrę i zauważył, że Behnke zrobiła się czerwona.

– Mój Boże, oby tylko ten plotkarz nie zwąchał pisma nosem – powiedziała.

– Nie wyglądał, jakby coś podejrzewał – uspokoił ją Rath. – Czy pani naprawdę tak bardzo chichotała zeszłej nocy?

– Czy my nie wypiliśmy bruderszaftu? – Wydawała się lekko urażona.

– Właśnie z tym wczoraj trochę przesadziliśmy.

– Jesteśmy dorosłymi ludźmi, panie Rath. To znaczy, Gereonie – oświadczyła i znów zabrzmiała jak ta energiczna gospodyni, którą znał. – Równie mocno, co Tobie, mnie również zależałoby na tym, żeby ubiegła noc pozostała naszą tajemnicą. Ale co się stało, to się

nie odstanie. Nie musimy przecież udawać, że w ogóle się nie znamy.

– Racja – odparł. Podobał mu się jej wybuch temperamentu. Czuł, jak go podnieca, i mocniej chwycił kołdrę.

Wstała. Najwyraźniej zdążyła pogodzić się z faktem, że Rath widzi ją nago, nawet nie próbowała zakrywać swojego ciała. Obfite krągłości kobiety spotęgowały jego podniecenie, nawet wtedy, gdy już skryła je pod nocną koszulą. Odwrócił się w drugą stronę.

– Przygotuję śniadanie – oznajmiła i wyszła z pokoju. Dzięki Bogu.

Przez jakiś czas leżał jeszcze w łóżku i rozmyślał. Elisabeth Behnke była starsza od niego prawie dziesięć lat. Jej mąż poległ pod Aisne w 1917 roku. Rath przypomniał sobie kobiety w mieście garnizonowym. Wrócił wspomnieniami do lata 1918 roku, do czasu, gdy ukończył podstawowe szkolenie. Wraz z innymi rekrutami czekali wówczas na powołanie na front i spodziewali się, że być może nadeszły ostatnie dni ich młodego żywota. Mieli być rzućeni na front jako świeże mięso armatnie. Przypomniał sobie oszołomienie, które wtedy odczuwał, i chęć życia, którą wzmacniała obawa przed śmiercią. Spocone, zrezygnowane ciała, które przewracały się w łóżkach. Wszystkie kobiety były starsze o dziesięć lat lub więcej i prawie wszystkie nosiły obrączki. Ich mężowie jeszcze walczyli na froncie albo już polegli.

Rath właśnie skończył osiemnaście lat, gdy Prusy powołały go do armii. Nakaz stawienia się do poboru wydał mu się niczym wyrok śmierci. Myślał o Anno. Nie wiedział przecież, że był to ostatni rok wojny, mógł się jedynie modlić o to, by całe to szaleństwo niebawem się skończyło. Matka płakała, gdy jej młodszy syn, ubrany w mundur, zegnał się z nią na dworcu. Nie chciała stracić kolejnego

dziecka. Ten starszy poległ w pierwszych dniach wojny – Anno, człowiek nieomylny, prawdziwy wzór. Jednak w tej jednej kwestii młodszy brat nie chciał dorównać starszemu – Gereon chciał przeżyć wojnę!

Z tym zamiarem i odrobiną nadziei przyjechał do garnizonu. Nastąpił czas rozpaczliwego oczekiwania. Czuli się jak więźniowie w celi śmierci. I wtedy wojna nagle się skończyła – zanim dostał rozkaz wymarszu, zanim oddał choćby jeden strzał w stronę wroga. Wiadomość o buncie w Kilonii i o tym, że powołano rady żołnierskie, szybko do nich dotarła. Gdy uświadomił sobie, że nikt nie aresztuje go za dezercję, po prostu zdjął mundur i pojechał do domu, z powrotem do Kolonii. Inni koledzy kontynuowali zabawę w wojnę i wędrowali przez kraj jako członkowie freikorpsów<sup>2</sup>, walczyli z komunistami i z rewolucją. Gefrajter Gereon Rath posłuchał jednak swojego ojca i został policjantem. Znowu dano mu broń do ręki oraz przydzielono biurko, przy którym przed wojną siedział Anno Rath.

Przegonił wspomnienia i wyjrzał za okno. Na zewnątrz świeciło słońce, zdawało się, jakby nadszedł pierwszy prawdziwie wiosenny dzień. Rath próbował zebrać trzeźwe myśli w swojej skacowanej głowie. Żwawo podniósł się z łóżka i poszedł do łazienki. Musiał natychmiast wziąć prysznic.

Dopiero rześkie powietrze zdołało przepędzić ostatki kaca. Rath odechnął głęboko i wygrzebał kartkę, którą dała mu Behnke. Luisenufer. Nowe miejsce zamieszkania Aleksieja Iwanowicza Kardakowa mieściło się na Kreuzbergu. Nazwa ulicy przetrwała mimo przemian i upływu czasu. Jeszcze parę lat wcześniej pomiędzy Urbanhafen a Sprewą przepływał kanał Luisenstädtisch, a teraz na ogromnych piaszczystych terenach, które miasto utworzyło na zasypanym base-

nie portowym, bawiły się dzieci. Ich śmiechy i krzyki wypełniały przejrzyste powietrze. Po ciągnącej się w nieskończoność zimie zdało się, że wiosna postanowiła wreszcie nadejść. Rath nienawidził berlińskiej zimy, odkąd w pewien zbyt zimny marcowy dzień wysiadł z pociągu dalekobieżnego na Potsdamer Bahnhof, a plac okalający dworzec przywitał go zawieją śnieżną i komunikacyjnym chaosem. Mróz utrzymywał się aż do kwietnia. Teraz miasto wreszcie nabierało przyjaznych cech. Rath wręcz rozkoszował się krótką przechadzką ze stacji kolejki naziemnej przy Kottbusser Tor.

Jego spojrzenie wędrowało po fasadach domów. Jakaś knajpa, salon fryzjerki, zakład mleczarski. Musiał spojrzeć na kartkę, żeby sprawdzić numer domu.

Śniadanie z Elisabeth Behnke nie wypadło wcale tak źle, jak się tego spodziewał. Rozmawiali wyłącznie o awanturującym się Rosjaninie, nie napomknęli ani słowem o wszystkim, co wydarzyło się później lub mogło jeszcze się wydarzyć. Obiecał jej, że wypyta go na okoliczność niezapłaconego czynszu za ostatni miesiąc, rupieci zalegających w piwnicy i zniszczonej szafy. Poza tym potrzebował powodu, żeby ruszyć się z mieszkania w dzień wolny od pracy.

Dom, którego szukał, znajdował się tuż obok zakładu mleczarskiego. Nad Wassertorplatz pociąg z terkotem przejeżdżał po torach, gdy Rath wchodził do środka. Sprawdził skrzynki pocztowe, również te w oficynach, ale nigdzie nie mógł znaleźć nazwiska Kardakowa ani żadnego innego, które brzmiało choć trochę rosyjsko. Spojrzał na kartkę. Nazwa ulicy się zgadzała. Numer domu – również.

Rath zajrzał do obu sąsiednich kamienic, ale znów to samo – żadnego Rosjanina. Czyżby mężczyzna gdzieś zniknął, żeby nie płacić czynszu? Może po prostu jeszcze nie zmienił tabliczki z nazwiskiem?

Rath wrócił do pierwszego domu. Gdy docierał już do wejścia, otworzyły się drzwi. Spojrzał w równie zaskoczoną, jak nieufną twarz.

– Szuka pan kogoś? – Mężczyzna był niewysoki i miał szczupłą sylwetkę. Jego kapelusz wyglądał na zdecydowanie za duży względem wychudzonej twarzy, tak samo jak potężne wąsisko. Na klapie przyczepioną miał niedużą odznakę w kształcie hełmu.

– Można tak powiedzieć. – Rath wyciągnął kartkę i przeczytał na głos: – Aleksiej Iwanowicz Kardakow.

– Nie znam. On tu niby mieszka?

– W każdym razie ten adres podał.

– W przypadku Rosjanina to o niczym nie musi świadczyć.

– Mieszka pan w tym domu?

– Tego przecież nie muszę panu mówić.

– Chyba jednak pan musi. Policja kryminalna! – Rath pomachał swoją legitymacją służbową. Postanowił, że w wolny dzień wykorzysta autorytet swego stanowiska.

– Już dobrze, już dobrze! – Mężczyzna uniósł ręce w uspokajającym geście. – Co chce pan wiedzieć?

– Czy w ciągu ostatnich tygodni coś zwróciło pańską uwagę? Wprowadził się tu ktoś nowy?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Może pod jakimś innym nazwiskiem?

– Nie, naprawdę nie wiem. Co takiego ten ktoś przeskrobał?

– To tylko rutynowe pytania. – Rath zaczął żałować, że pokazał legitymację. W zasadzie to postąpił wbrew prawu, do tego musiał ja-koś pozbyć się tego natarczywego typu, który najwyraźniej mu nie pomoże, a do tego robił się jeszcze bardziej ciekawski. – Dziękuję za pomoc.

– Żaden problem. Zawsze służę pomocą.

Rath już odszedł, ale mężczyzna za nim zawołał.

– Chwileczkę, panie wachmistrzu!

Rath się zatrzymał.

– Może chodzi panu o ten raban?

– O jaki raban?

– W środku nocy ktoś łomotał w drzwi jak jakiś wariat. Nikomu nie dał usnąć. A potem jakichś dwóch się kłóciło. Ale narobili hałasu, mówię panu! Myślałem już, że się pozabijają.

– I co było później?

– No, to byli Rosjanie. Bez dwóch zdań. Może jeden z nich to ten, którego pan szuka. Ale on tu nie mieszka. Na pewno. Tu mieszkają wyłącznie porządni ludzie.

Rath stuknął palcem o kapelusz.

– Dziękuję bardzo.

Dziwne, pomyślał, gdy wracał wzdłuż Skalitzer Strasse do stacji Kottbusser Tor. Czyli nie tylko jemu ubiegłej nocy sen zakłócił jakiś Rosjanin.

## 4

Nowy miesiąc zaczął się dobrze. Rath siedział przy biurku, w jednej ręce trzymał filiżankę kawy, w drugiej zapalonego papierosa. Przed nim leżały zdjęcia. Wilhelm II był jedyną osobą z odbitek, przy której nadal znajdował się znak zapytania – to mała tajemnica, którą dzielił z Wolterem. Poza nim zidentyfikowali wszystkich, których przedstawiały zdjęcia, również te osoby, które nie wpadły w ich sidła w trakcie obławy. Ponieważ dokręcił śrubę sobowtórowi Fryderyka Wielkiego w pokoju przesłuchań, mógł wczoraj przekazać Wujkowi listę z nazwiskami. Wolter wyglądał na zadowolonego. Był to początek przełomu w ich śledztwie.

Pierwszy raz, odkąd przyjechał do Berlina, Rath znów czuł się choć w jakimś stopniu pogodzony z sobą i ze światem. Jego spojrzenie powędrowało za okno, wzdłuż torów, i zatrzymało się na ciemnych murach budynku sądu. Obok przejechał terkoczący tramwaj.

Wolny dzień dobrze mu zrobił, nawet jeśli spędził go na bezproduktywnych dociekaniach. Przynajmniej mógł zejść z oczu Elisabeth Behnke. Wieczorem opowiedział jej o swoich bezowocnych poszukiwaniach, a kobieta przygotowała mu posiłek i otworzyła butelkę wina. Tym razem nie wypił za dużo i dał jej buziaka w policzek na dobranoc – pocałunek, który niczego nie wykluczał ani nie obiecywał.

Następnego ranka pojawił się na służbie wypoczęty i świeży, po raz pierwszy od wielu tygodni.

Wolter nalegał na rychłe rezultaty, ponieważ gonił ich czas.

– Musimy pośpieszyć się z przesłuchaniami – nakazał surowo. – Inspekcja IA potrzebuje na jutro mnóstwo miejsca w celach, pierwszego maja nasi delikwenci zostaną przeniesieni do Moabitu. Do tego czasu powinniśmy w końcu wyciągnąć z nich coś przydatnego.

I to im się udało.

Wydział IA – policja polityczna – kierował majowymi operacjami. Jego funkcjonariusze widocznie spodziewali się licznych aresztowań, ponieważ komuniści chcieli wszelkimi środkami złamać zakaz demonstracji, ich prasa agitowała już od wielu dni. Prezydent policji Zörgiebel odpowiedział wezwaniem, które przedrukowały niemal wszystkie berlińskie gazety. „Wolą komunistów jest to, by ulice Berlina spływały krwią” – napisał, kolejny raz w tym tygodniu podkreślając, że zakaz demonstracji pozostaje w mocy. „Jestem zdeterminowany, by wszelkimi dostępnymi mi środkami bronić w Berlinie autorytetu państwa”. Oczywiście było, jakie środki miały zostać użyte. W koszarach policji porządkowej panował nastrój jak przed wojną domową. Czerwony Związek Bojowników Frontowych posiadał broń – wiele osób obawiało się, że zrobi z niej użytek.

Dochodzenia Inspekcji E, czyli policji obyczajowej, schodziły w związku z tym na dalszy plan. Skoro cele na Alexanderplatz miały wypełnić się komunistami, to amatorzy pornografii musieli je opuścić. Woltera poproszono nawet, by przed końcem tygodnia wstrzymał się od przeprowadzania dalszych zatrzymań. Nieco popsuło to dobre samopoczucie Ratha. Pomimo przełomu nie mogli popychać spraw do przodu i musieli siedzieć beczynnie. No trudno, już udowodnił swoim kolegom, na ile stać komisarza policji kryminalnej Gereona Ratha, gliniarza z prowincji. Bruno był pod wrażeniem, nowicjusz Jänicke – oczywiście również.



O tym, że zawsze znajdzie się jakiś słaby punkt, luźny kamień w murze milczenia, Rath przekonał się jeszcze w Kolonii. I jeśli się go odkryje, to reszta też zacznie się chwiać. W tym przypadku to Fryderyk Wielki był tym chybotliwym kamieniem: ten starszy mężczyzna o krogulczym nosie zaczął nagle śpiewać po tym, jak Rath zagroził mu, że wezwie jego żonę. Blefował. Rath nie wiedział, czy podejrzany w ogóle był żonaty, nie znał nawet jego nazwiska. Jedyłą osobą, której tożsamość zdołali ustalić w ciągu ostatnich dni, był Johann König. Ten natomiast od czasu protestów w atelier nie powiedział ani słowa, podobnie jak reszta bandy. Pewnie dogadali się podczas jazdy policyjnym furgonem, Jänicke ich nie dopilnował.

Rath próbował wielu sposobów, ale dopiero postraszenie małżonką złamało Fryderyka II Wielkiego. Choć mężczyzna nie miał na palcu obrączki, to Rath ocenił, że staruszek jest szanowanym ojcem rodziny. I trafił w dziesiątkę. Mężczyzna załamał się, wybuchł płaczem i zaczął rzucać nazwiska, jedno za drugim. Stenotypistce pozostało jedynie sporządzanie notatek.

Ktoś zapukał do drzwi. Rath energicznie wysunął górną szufladę i zgarnął do niej zdjęcia z biurka. Nikt nie musiał ich widzieć. Materiały dowodowe, które w obyczajówce należały do codzienności, wciąż wywoływały w nim zakłopotanie. Co prawda w Inspekcji E pracowali koledzy, którzy znajdowali przyjemność w wykładaniu na biurka kolekcji zdjęć za każdym razem, gdy do ich biura wchodziła jakaś funkcjonariuszka wydziału kryminalnego. I nieważne, czy kobiety oblewały się pąsem, czy rzucały jakąś kąśliwą uwagę – mężczyźni za każdym razem wybuchali śmiechem. Kolejna rzecz, której Rath nienawidził w policji obyczajowej.

– Proszę – zawołał.

Drzwi się otworzyły. Fałszywy alarm, to tylko Wolter.

– Dlaczego tak oficjalnie? – zapytał Rath. – Od kiedy pukasz do drzwi?

Wujek wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Liczyłeś, że to jakaś kobieta, czy Twoje biurko jest puste z innego powodu?

– Nie wszyscy muszą oglądać materiały dowodowe.

– Na pewno nie stenotypistki Inspekcji A, zgadza się? – Wolter się zaśmiał. – No już, nie miej takiej skwaszonej miny! Masz dziś wszelkie powody, by śpiewać i się radować.

– A to dlaczego?

– Bo według kalendarza jest dziś środa, pierwszy maja, a Ty nie pracujesz w policji porządkowej! To oni odwalają dzisiaj brudną robotę i walczą z komunistami, a my siedzimy sobie w cieple.

– Już wiem, dlaczego nigdy nie chciałem być jednym z niebieskich.

– Nie ciesz się za wcześnie, może policja kryminalna też będzie musiała wyjść na ulicę.

Od siódmej rano cały aparat znajdował się w stanie najwyższej gotowości, wszyscy funkcjonariusze byli na służbie, zarówno policja porządkowa, jak i kryminalna – łącznie szesnaście tysięcy osób. Ściągnięto nawet uczestników kursów przygotowawczych. Policja konna zablokowała wszystkie parki, by uniemożliwić przeprowadzenie demonstracji na ich terenie, strzeżono zajezdni Berlińskich Zakładów Komunikacyjnych, aby uniknąć strajku, w wyniku którego komuniści chcieli sparaliżować miasto. Natomiast policja porządkowa skoncentrowała swoje siły wokół wszystkich znanych miejsc zgromadzeń w dzielnicach robotniczych.

– W każdym razie czerwoni biorą sprawę na poważnie – oznajmił Wolter. – Na Alexanderplatz już się zaczęło, tak mówił Schultes pod-

czas obiadu w kantynie. Jego biuro przypomina miejsce w loży, oba okna wychodzą na plac. Obejrzymy sobie widowisko?

Nie byli jedynymi funkcjonariuszami, którzy ściągnęli do biura Schultesa. Przy obu oknach nie dało się już znaleźć wolnego miejsca. Nowicjusz też już tam był.

– Na Waszym miejscu nie szedłbym dzisiaj do Aschingera – Jänicke przywitał swoich kolegów i wskazał za okno.

Na Alexanderplatz, pomimo licznych placów budowy, przed domem towarowym Tietz zebrał się ogromny tłum ludzi. Na pewno nie ściągnęły ich specjalne promocje. Stało tam parę tysięcy ludzi, na plac marszowym krokiem zmierzała także kapela grająca na szalამajach, wychodząca właśnie z Alexanderstrasse. Za nią podążały szare mundury Czerwonego Związku Bojowników Frontowych. Ponad masą ludzi wznosiły się pojedyncze transparenty. Rath dostrzegł trzy portrety, które zdobiły również fasadę centrali Komunistycznej Partii Niemiec, znajdującej się przy położonym niedaleko Bülowplatz: Lenina, Liebknechta i Luksemburg. Trzy święte L. Odkąd przyjechał do Berlina, irytowała go zuchwałość komunistów oraz to, że przyozdabiali główną siedzibę swojej partii portretami wrogów państwa i ich hasłami. „Niech żyje światowa rewolucja” – głosił napis na fasadzie, wypisany wielkimi drukowanymi literami. Czysta prowokacja. I na domiar wszystkiego przychodzili z takimi hasłami pod budynek prezydium policji. „Precz z zakazem demonstracji” – brzmiało żądanie na innym transparencie. „Wolne ulice 1 maja!”. Z kolei na wielkim czerwonym płótnie napisano: „Niech żyje Związek Sowiecki, wywalczcie sowieckie Niemcy!”. Po lewej błyszczała namalowana gwiazda, po prawej – sierp i młot. A między nimi niezliczone czerwone flagi, powiewające ponad głowami demonstrujących. Nawet któryś z budowniczych metra

zatknął czerwoną flagę na jednym z kafarów parowych na Alexanderplatz. Do biur Zamku dobiegały krzyki skandującego tłumu: „Precz-z-za-ka-zem-de-mon-stra-cji”.

Szare i brązowe robotnicze czapki otoczone były czarnymi czapkami i niebieskimi mundurami policji porządkowej. Z Königstrasse wyjechał właśnie kolejny samochód ciężarowy, z którego zeskoczył oddział szupo. Znajdujący się na placu funkcjonariusze wraz z przybyłymi posiłkami przegrupowali się i wyciągnęli gumowe pałki. Wkrótce potem niebieska fala energicznie ruszyła do przodu. Najpierw skandujący hasła wypadli z rytmu, a po jakimś czasie całkiem umilkli. Przez tłum przetoczył się pomruk. Gumowe pałki świstały w powietrzu. Demonstranci z pierwszego rzędu uginali się pod razami, niektórzy z nich upadali na ziemię. Kilku z nich szupo wyciągnęli z kłębowiska i załadowali na ciężarówkę, w tym mężczyznę ze szturmówką. Po chwili tłum znów zaczął napierać do przodu. Jednemu z policjantów drzewcem transparentu strącono z głowy czako. Poleciały pierwsze kamienie. Tłum znów zaczął skandować: „Precz-z-za-ka-zem-de-mon-stra-cji!”.

– Czyżbyśmy przejęli też zadania straży ogniowej? – zapytał Rath. Na przystanku tramwajowym pod kinem UFA dwóch szupo majstroowało przy hydrancie i podłączało wąż strażacki.

– Nowa taktyka – odparł Wolter. – Woda zamiast pałek. Patrz, zaraz rozłożą demonstrantów na łopatkach.

Miał rację. Gdy tylko dwóch policjantów podłączyło wąż, wydano rozkaz: woda naprzód! Policjant trzymający prądownicę skierował ją w środek zbiorowiska, które rozproszyło się, zaskoczone. Siła strumienia powaliła niektórych na ziemię i przetoczyła ich po mokrym asfalcie.

– Podlewanie komunistów to satysfakcjonująca robota – uznał Wolter. – To byłoby coś dla mnie.

Parę osób w pokoju zareagowało rozbawieniem.

– I do czegoś takiego nasz prezydent stawia cały aparat w stan gotowości – skwitował Schultes, ich gospodarz, i z niezrozumieniem pokręcił głową. – Ja coś takiego nazywam histerią socjalistów. Dziś po południu Ci wszyscy komuniści znów będą siedzieć z matkami przy piecach i suszyć przemoczone rzeczy. Dość zabawy w rewolucję. Każdy miał trochę frajdy, a w Berlinie znów zapanuje spokój.

– Nie jestem tego taki pewien – odparł Wolter. – Bojownicy z Czerwonego Frontu dostają broń z Moskwy. I na niej też się szkolą. Jeśli zaatakują dzisiaj, to już nie będzie to zabawa w rewolucję, tylko poważna sprawa.

– Do tej pory zawsze udawało nam się wziąć czerwonych w karby, mam rację? – powiedział Schultes. – Chcieli dokonać rewolucji już dziesięć lat temu. I co z tego wyszło? Nie, to są blagierzy, a jak sytuacja staje się poważna, to podkulają ogon.

– Miejmy taką nadzieję – odparł Wolter z zafrasowaną miną. – W każdym razie nie możemy beczynnie przyglądać się temu, co ten motłoch wyprawia na ulicach.

– Być może, kolego – odparł Schultes. – Jednak naziści z NSDAP w tych swoich brunatnych koszulach nie są ani odrobinę lepsi. Potrafią tylko lepiej maszerować.

– I nie strzelają do policjantów.

Schultes zmierzył Wujka stanowczym spojrzeniem.

– Jakkolwiek by było, prawo i porządek powinny być utrzymane – powiedział w końcu. – Tu ma pan rację, panie kolego.

– Tylko że to jest zadanie policji porządkowej, a nie kryminalnej – rzucił Rath. – Tak czy owak, ja się cieszę, że nie mamy do czynienia

z polityką, a jedynie z przestępcami.

– Politycy, przestępcy... Kto panu powiedział, że to nie jest to samo? – zapytał Schultes.

Wszyscy wybuchli śmiechem. Rath wyjrzał za okno zamyślony. Przed dziesięcioma laty, po wojnie, na niemieckich ulicach również panowało napięcie. Od tamtego czasu nie widział takich rzeczy. Koledzy na placu przeszli do zdecydowanego działania, i to nie tylko z użyciem węży strażackich. W każdym razie Rath nie chciałby teraz stać na Alexanderplatz ubrany po cywilnemu.

## 5

Auto wisiało na podnośniku niczym przerośnięta ryba. Brudna brązowa woda ściekała przez szczeliny w drzwiach z powrotem do kanału Landwehr. Reflektory podnośnika sprawiały, że samochód złowrogo jaśniał pośród ciemnej nocy. Z dworca przy moście Möckernbrücke odjeżdżał właśnie ostatni pociąg metra. Nadkomisarz Wilhelm Böhm ospale wygramolił się z dużego czarnego mercedesa, zaparkowanego przy Tempelhofer Ufer, i nałożył melonik. Kilkoro gapiów przestało interesować się akcją ratowniczą i podziwiało samochód, z którego po chwili wysiadła również elegancko ubrana szczupła kobieta, w ręku miała notatnik do stenografowania. Za nią szedł młody mężczyzna.

Czarna furgonetka wydziału zabójstw była znana w Berlinie. Mercedes posiadał w wyposażeniu wszystko, czego podczas śledztwa potrzebowano na miejscu przestępstwa: ponumerowane tabliczki do zabezpieczania śladów, aparat fotograficzny, reflektory, miarkę i całówkę, mapy, rękawiczki, pęsety, przenośne laboratorium policyjne oraz wszystkie możliwe pojemniki do zbierania dowodów rzeczowych. W aucie znajdowało się również mobilne biuro: składany stół z paroma krzesłami, które dało się rozłożyć na miejscu przestępstwa, i walizkowa maszyna do pisania.

Kremowy samochód, który podnośnik ostrożnie odstawiał na mokry asfalt Möckernbrücke, był marki Horch 350. Dach miał otwarty. Za kierownicą siedział przemoczony, blady mężczyzna.

Nadkomisarz Böhm dziarskim krokiem ruszył w stronę szupo kierującego akcją ratunkową.

– Niech mi pan powie – zaczął opieprzać mundurowego, nawet się nie przywitał. – Czy to jakiś lunapark? Czego szukają Ci wszyscy ludzie na miejscu zbrodni? Niech się pan pozbędzie stąd tych gapiów! I dlaczego nie mógł pan poczekać z wydobywaniem auta na przyjazd wydziału zabójstw? Wypytał pan przynajmniej nurków, w którym dokładnie miejscu kanału leżało auto?

Śledczy wydziału zabójstw odszedł od policjanta, nie czekając nawet na odpowiedź, i podszedł w kierunku wozu, który jeszcze parę minut wcześniej leżał na dnie kanału Landwehr. Nie ma sensu wyjaśniać temu głupkowi w mundurze współczesnych metod pracy policji. Dla tego Prusaka nadal ważniejsze było zaprowadzenie porządku niż zabezpieczanie śladów. Böhm przyglądał się mężczyźnie za kółkiem. Bardziej martwym być nie można.

– Gräf – szczekliwy głos Böhma rozległ się wśród nocy – Niech pan zrobi zdjęcie, zanim lekarz wywróci tu wszystko do góry nogami.

Asystent wydziału kryminalnego Reinhold Gräf właśnie wyciągał ciężki aparat fotograficzny ze starannie uporządkowanego bagażnika furgonetki.

Przez ten czas szupo otrząsał się po upomnieniu. Podszedł do nadkomisarza i dziarsko zasalutował.

– Starszy wachmistrz Kemmerling – zameldował się i wskazał na dziurę w ogrodzeniu okalającym brzeg tuż obok mostu. – Tędy przejechał. Pewnie pędził Tempelhofer Ufer i zboczył z jezdni.

Böhm zmierzył ciało wzrokiem z góry na dół i pokręcił głową.

– Niemożliwe, żeby mógł prowadzić auto takimi rękami. Zastanawiam się tylko, czy dobrowolnie usiadł za kierownicę w takim sta-



nie?

Szupo podszedł bliżej samochodu i zauważalnie się wzdrygnął, gdy ujrzał dłonie zmarłego. W bezkształtnej masie mięsa, skóry i kości z trudem dało się rozróżnić pojedyncze palce. Niektóre stawy trzymały się jedynie na strzępkach skóry, inne były do tego stopnia nienaturalnie powykęcane, że już sam ich widok wywoływał ból.

– Kemmerling, ilu ludzi pan tu ma? – zapytał Böhm.

– Pięciu – odparł starszy wachmistrz. – Z powodu komunistycznych zamieszek zabrali mi większość ludzi.

Böhm pokiwał głową ze zrozumieniem. On również miał za mało ludzi. Niepokoje majowe utrzymywały się już drugi dzień. Sprawy wymykały się policji z rąk i szybko eskalowały. Dochodziło do strzelanin, ginęli ludzie. Bastiony komunistów mieszczące się wokół Bülowplatz, w Wedding i Neukölln zostały przez policję porządkową oficjalnie określone jako obszary rozruchów. Panował tam stan oblężenia. Zdawało się, że w Berlinie znów rozpoczęła się wojna domowa.

– Pięciu. Nie za wielu – skwitował. – No, dobrze. Niech czterech przepędzi w końcu tych gapiów i porządnie odgrodzi miejsce przestępstwa, a jeden pomoże mi przy zabezpieczeniu śladów do czasu przyjazdu służby śledczej. O ile ta w ogóle się pojawi.

– Eee... – Kemmerling zdawał się nie do końca rozumieć. – Zabezpieczenie śladów?

– To proste. Niech pan niczego nie dotyka, po niczym nie depta i postępuje zgodnie z instrukcjami wydziału zabójstw – polecił Böhm i się odwrócił. – Ritter? – głośno zawołał w ciemność.

W świetle reflektora podnośnika pojawiła się stenotypistka

– Charly, niech pani odłoży na bok ten notatnik – powiedział śledczy. – Mamy na to czas. Proszę pokazać temu panu, jak zabezpiecza

się ślady.

Asystent kryminalny Gräf w tym czasie rozstawił aparat obok horcha. Gdy rozbłysła lampa błyskowa, na ułamek sekundy miejsce przestępstwa rozświetliło się jasnym światłem. Zdawało się niemal, że zmarły uśmiecha się do obiektywu aparatu.

Kobieta czuła, że szupo wlepił wzrok w jej zieloną sukienkę, choć szła przed nim. Uszyła ją sobie dopiero kilka dni temu i doskonale wiedziała, że podkreśla jej figurę i że odsłania niemałą część naprawdę długich nóg. Miała ją dziś na sobie po raz pierwszy. Na parkiecie w Moka Efti też czuła się w niej bardzo dobrze – lubiła przyciągać męskie spojrzenia. Wcale nie najgorszy pomysł podczas pierwszej randki, niech Jakob sobie nie myśli, że na pewno jest jego. Miała jedynie nadzieję, że nie zwrócił uwagi, iż serce podchodziło jej do gardła, gdy się do niej uśmiechał. Nie, tak właściwie to wszystko dobrze się układało – do momentu, w którym kelner ubrany w liberię podniósł tabliczkę z jej nazwiskiem: „Telefon do panny Ritter”. Jakob dziwnie na nią spojrzał, gdy zostawiła go samego na parkiecie. Podejrzewała, że telefonuje ktoś z wydziału zabójstw: tylko Böhm wiedział, że spędza wieczór w Moka Efti. Wiedziała o tym oczywiście też Greta, ale ona przenigdy nie przeszkodziłaby jej w tym spotkaniu. Gdy Charly wróciła z budki telefonicznej, Jakob stał przy barze. Wiadomość o tym, że musi już niestety iść, przyjął bez słowa. Odprowadził ją do szatni i nawet zszedł z nią do Friedrichstrasse. Na zewnątrz tłum hulaków tłoczył się przed ruchomymi schodami prowadzącymi do nowego centrum berlińskiego życia nocnego. Przy Leipziger Strasse stała furgonetka wydziału zabójstw, w środku siedział Böhm i ponaglał ją, by wsiadła. Kobieta nie wiedziała, czy lakoniczna rozmowa, którą chwilę wcześniej

odbyła z Jakobem, była pożegnaniem, czy kłótnią. Jej towarzysz krótko spoglądał za czarnym autem, potem ruszył z powrotem w stronę ruchomych schodów. Czyżby okazał się kolejnym, który nie akceptował wykonywanego przez nią zawodu?

Trochę zmarzła. Krótki płaszczyk, który narzuciła na sukienkę, nie był najcieplejszy. Na początku maja noce bywały w mieście bardzo chłodne.

– Jest pan dżentelmenem? – zapytała szupo, gdy doszła do furgonetki.

Mężczyzna zdawał się myśleć nieco powoli.

– A dlaczego pani pyta? – zapytał.

– Jest pan czy nie jest?

– Oczywiście...

– To się świetnie składa! W takim razie może mi pan pożyczyć płaszcz.

Spojrzał na nią tak, jakby się przesłyszał.

– Proszę się nie obawiać, nie musi pan kłaść go na kałuży! Chcę go na siebie narzucić. To palto i tak jest własnością pruskiej policji. A może nie chce pan wesprzeć działań wydziału zabójstw?

Kobieta musiała dwukrotnie podwinąć rękawy ciężkiego niebieskiego płaszcza, dopiero wtedy miały względnie odpowiednią długość. Od razu zrobiło jej się cieplej.

– Bardzo dziękuję.

Podawała mundurowemu rękawiczki i wręczyła mu kilka metalowych tabliczek z numerami. Dziarskim krokiem ruszyli naprzód. Osłonięta płaszczem, nie czuła się tak obserwowana, gdy szła przed mężczyzną do brzegu kanału Landwehr.

Najwyraźniej samochód z pełną prędkością przebił się przez żelazne ogrodzenie okalające brzeg. Pręty powyginane były do dołu,

część z nich została wyrwana z mocowań i wylądowała w wodzie. Wyglądało to tak, jakby wielka pięść wbiła się w to miejsce. Na polecenie kobiety szupo postawił przy nim tabliczkę z numerem jeden. Nigdzie nie widziała śladów hamowania, które też winno się oznaczyć. W ogóle trudno było prześledzić drogę, którą pokonał horch. Jedno z drzew rosnących przy brzegu miało ubytek w korze, odsłonięty mokry kawałek drewna pobłyskiwał w świetle reflektora znajdującego się na moście. O to miejsce otarł się samochód, zanim wpadł na ogrodzenie, jednak nie mogło go to zatrzymać, co najwyżej zmieniło kierunek jazdy. Gdyby auto czołowo zderzyło się z drzewem, to nie musieliby wprawdzie wyławiać go z kanału, ale dla mężczyzny za kierownicą to wszystko skończyłoby się niewiele lepiej. Jego twarz z pewnością nie wyglądałaby tak dobrze. Charly obserwowała dystans dzielący drzewo od brzegu. Liczył zaledwie kilka metrów. Wnioskując po wyłomie w ogrodzeniu, auto najpewniej uderzyło w ogrodzenie pod kątem prostym. Tylko z którego kierunku nadjeżdżało, zanim otarło się o drzewo? Rozejrzała się dookoła. Ta sprawa zaczęła ją ciekawić, chyba trafiła na jakiś trop.

Wydała szupo kilka poleceń, co jeszcze ma oznaczyć, po czym przeszła się parę kroków po Möckernstrasse, ulicy prowadzącej od kanału do Yorckstrasse. Zabudowania wznosiły się tylko po lewej stronie, po prawej wzdłuż chodnika ciągnął się wysoki mur z wypalanej cegły. Za nim znajdował się teren dworca towarowego Anhalter Bahnhof. Pod drzewami, na skraju ulicy, stało parę aut. Przeszła obok nich. Światło latarni ledwie tu sięgało, musiała wyteńczyć wzrok, ale w końcu udało jej się znaleźć to, czego szukała. Na zderzaku czarnego jak smoła bmw dostrzegła otarcie lakieru w kremowym kolorze. To było coś więcej niż instynkt, teraz miała pewność. Przywołała szupo.

Kątem oka obserwował, jak starszy wachmistrz Kemmerling grzecznie człapie za Charly z całym naręczem blaszanych tabliczek w rękach. A więc jednak mężczyzna okazał się dżentelmenem, oddał jej nawet swój płaszcz. Cóż, *on* o tym znów nie pomyślał, choć to z jego winy musiała w wieczorowej sukience marznąć w ten ziąb. Nadkomisarz Wilhelm Böhm to po prostu nieokrzesany baran i niczego nie da się z tym zrobić. Bzdura, pomyślał i spojrzął na horcha, który wciąż lśnił w świetle lampy błyskowej. Gdzież tam z mojej winy! Nie, to wyłącznie jego wina, wina tego anonimowego mężczyzny, którego wyłowiono z kanału. To on zepsuł wszystkim ten wieczór.

Böhm usłyszał wołanie Charly, a przemarznięty wachmistrz znów ruszył się z miejsca. Z widocznym trudem przychodziło mu wykonywanie poleceń kobiety. Gdyby Kemmerling wiedział, że Charlotte Ritter nie miała nawet stopnia funkcjonariuszki wydziału kryminalnego, to nie kiwnąłby nawet palcem. Właśnie z tego powodu Böhm mu tego nie zdradził. Kobiety pracujące w policji i tak miały ciężko. Wiedział, że mógł polegać na Charly, a tej nocy, gdy ledwie udało mu się zbierać kilkoro ludzi, było to dla niego szczególnie ważne. Szkoda tylko, że nie miał teraz stenotypistki, bo ta zabezpieczała ślady w terenie. Böhm zupełnie odzwyczaił się do robienia notatek samemu. Nawet notes, który trzymał w swojej tęgiej dłoni, musiał pożyczyć od Gräfa.

Nadkomisarz usadowił się wygodnie na tylnym siedzeniu czarnej furgonetki, która dzięki paru ruchom zamieniła się w małe biuro, i zabrał się za przesłuchanie dwójki świadków – jedynych, których mieli. Byli to mężczyzna i młoda kobieta, którzy siedzieli w aucie zaparkowanym przy Tempelofen Ufer, gdy horch z łoskotem przebił się przez barierki.

Rozmowa okazała się nieszczęśliwie owocna. Parka była bardzo zajęta, żadne z nich niczego nie widziało. Samochód pewnie wyłonił się z ciemności z wyłączonymi światłami, przestraszył ich dopiero głośny huk. Panna Wegener usłyszała tylko warkot silnika i pisk kół, zanim auto z głośnym pluskiem uderzyło o powierzchnię wody. Mężczyzna też niczego nie widział. Oboje wysiedli ze swojego samochodu i pobiegli do brzegu. Niczego nie mogli już zrobić, tylko bezsilnie się przyglądali, jak auto przez chwilę kołysało się na wodzie, potem przechyliło się do przodu i szybko poszło pod wodę. Gdy się zorientowali, że na jakąkolwiek pomoc jest już za późno, zawiadomili policję.

– Czy widzieli państwo albo słyszeli coś jeszcze? – zapytał Böhm.

– Na przykład odgłosy hamowania? A może kierowca wzywał pomoc? Czy w środku siedziały jeszcze inne osoby, gdy auto tonęło?

Panna Wegener odpowiedziała na wszystkie pytania przecząco.

– Mężczyzna był całkowicie nieobecny. W ogóle nie reagował, gdy samochód szedł na dno. Może był pijany?

Albo już nie żył, pomyślał Böhm. Spojrzał na notatnik. Nie zapisał w nim za wiele, a tych paru rzeczy, które zanotował, już teraz nie był w stanie rozczytać.

– Aha – rzucił i wstał. – Wydaje mi się, że to na razie tyle. Mamy państwa personalia. – Wysiedli z furgonetki. Böhm zostawił ich i poszedł dalej. Na Möckernbrücke dostrzegł sylwetkę, która wydała mu się znajoma.

– Postęp ludzkości jest faktem niepodważalnym – powiedział mężczyzna stojący na moście. – Teraz już nawet topielcy jeżdżą samochodami.

Wilhelm Böhm znał doktora Magnusa Schwartza od wielu lat. Cyнизм medyka wynikał z jego pracy. Komisarze kryminalni również

mieli podobne skłonności. Najpewniej dlatego tak dobrze rozumiał się z patomorfologiem, który piastował również stanowisko profesora zwyczajnego na uniwersytecie.

– Dobry wieczór panie doktorze! Wyciągnięto pana z opery?

Schwartz, który wcześniej stał nachylony nad ofiarą siedzącą za kierownicą, odwrócił się. Pod płaszczem miał na sobie strój wieczorowy.

– Ach, pan Böhm! Mogłem się tego spodziewać, że to pan za tym stoi! – Medyk uściśnął mu dłoń. – Nie, nie chodzę do opery. Jest tam dla mnie za głośno. Przyjęcie u dziekana. Bardzo nudne rozmowy, biorąc pod uwagę, że zebrała się tam elita niemieckich intelektualistów.

– To niech się pan cieszy, że pana stamtąd wyciągnęliśmy.

– Proszę tylko niczego nie mówić mojej żonie!

– I? – zapytał Böhm, wskazując na ciało.

– Nie uwierzy pan, drogi panie Böhm, ale ten mężczyzna jest martwy.

– Doprawdy? – Böhm udawał zaskoczonego. – Nie ma to jak opinia eksperta!

Lekarz rozpiął zmarłemu elegancki dwurzędowy garnitur oraz koszulę. Następnie zajrzał do jego ust. – Przyczyna śmierci jest jeszcze nieznana – oznajmił po chwili – ale najprawdopodobniej był już martwy, zanim jeszcze wpadł do wody. Mam się z panem podzielić dalszymi przypuszczeniami, czy uzbroi się pan w cierpliwość do jutrzejszego południa? Wtedy będę wiedział, czy ma wodę w płucach.

Böhm nie odpowiedział.

– Mogłem się tego domyślić – powiedział lekarz. – A więc podam panu tylko szacunki i nie dam na nie gwarancji. Aż do jutra, wtedy dostanie pan urzędowe wyniki: zwłoki mężczyzny, wzrost ponad

metr siedemdziesiąt, waga około sześćdziesięciu pięciu kilo, wiek około trzydziestu pięciu lat, kiepskie uzębienie, przyczyna śmierci jeszcze nie...

– Kiepskie uzębienie?

– To na pewno, to nie jest wyłącznie przypuszczenie.

– A więc najwyraźniej boi się dentysty.

– Nie sądzę. Z tego, co widzę po tym obrazie nędzy i rozpacz w jego ustach, to był u dentysty. Tyle że u marnego. Wygląda na to, że nie stać go było na porządne leczenie zębów.

– Ale jeździ nowym autem i ma na sobie gustowny garnitur. Wygląda bardziej elegancko niż pan, doktorze!

– Może wolał wydawać pieniądze na auta i garderobę niż na dentystę. Zna pan to powiedzenie, że jak Cię widzą, tak Cię piszą – odparł Schwartz. – Zwłaszcza jak zobaczą taki samochód! Niezły wóz, ten horch! Kolega Karthaus też takim jeździ. Nie, żebym zazdrościł. Po co mi takie auto, które wypada z drogi i ląduje w kanale...

– Wydaje mi się, że ma to związek nie tyle z samym pojazdem, ile z umiejętnościami kierowcy. – Böhm pokazał na zmasakrowane dłonie zmarłego. – Czy coś takiego mogło być przyczyną śmierci, doktorze?

– Wszystko może być przyczyną śmierci, drogi panie Böhm. – Schwartz poprawił okulary palcem wskazującym i przeprowadził dokładniejsze oględziny miazgi ze skrawków skóry, mięśni i kości. – Łajdactwo – powiedział w końcu. – Musiało go bardzo boleć, ale najprawdopodobniej to przeżył.

– Dziwne – wymamrotał Böhm pod nosem.

– Drogi panie Böhm, nie zgadnie pan, jakie rzeczy da się przeżyć!

– Nie, mam na myśli jego twarz. – Böhm wyglądał jak wyrwany ze snu. – Czy tak wygląda mężczyzna, który krótko przed śmiercią



cierpiał z powodu strasznego bólu?

Schwartz nie odpowiedział i spojrzał na ofiarę. Komisarz miał rację. Mężczyzna zdawał się łagodnie uśmiechać.

## 6

Kwadrans po szóstej wyruszyli w teren i wyciągnęli ludzi z łóżek. Przeszukano wszystkie miejsca, nie tylko mieszkania, lecz także poddasza i piwnice, w poszukiwaniu broni funkcjonariusze szperali nawet po śmietnikach. W samej tylko problematycznej dzielnicy Neukölln pracowało osiem jednostek dyżurnych oraz funkcjonariusze policji kryminalnej. Rath nie spodziewał się, że tak szybko wróci na Hermanstrasse.

Majowe zamieszki trwały już trzeci dzień. Bez przerwy dochodziło do starć pomiędzy komunistami i szupo, nieustannie padały strzały. Na ulicach dzielnic Wedding i Neukölln trwała wojna. Z materiałów budowlanych znajdujących się przy Hermannstrasse wzniesiono barykady, na niektórych ciągach ulic wszystkie latarnie powyłukiwano kamieniami. Bandy młodzieniaszków wykorzystywały panujący mrok i plądrowały sklepy. Minionej nocy chuligani nawet obrzucili kamieniami komisariat policyjny przy Selchower Strasse – ten sam komisariat, w którym w niedzielę rozpoczęto akcję „König”, stał się celem ataku hołoty. Koledzy opowiadali sobie, że ponoć padały tam nawet strzały. Dopiero akcja jednej z jednostek policji z użyciem wozu pancernego i dwóch ciężarówek pozwoliła zakończyć zamieszki.

Podobne przypadki wzmagały strach przed próbą komunistycznego przewrotu i dodatkowo podgrzewały nastroje w policji. Każdy funkcjonariusz, który wychodził na ulicę, był podenerwo-

wany i trzymał broń w pogotowiu. Tyczyło się to zwłaszcza dzielnic robotniczych.

Ogólne samopoczucie kolegów wydawało się Rathowi graniczyć z histerią. Gdy wraz z Wolterem wezwano go na akcję w Neukölln, starał się zachować trzeźwą głowę. Rankiem trzeciego maja prezydent policji Zörgiebel wysłał policję kryminalną, by ta przeczesała problematyczne obszary. O świcie jednostki policji porządkowej odgrodziły dzielnicę po obu stronach Hermannstrasse – od Bogginstrasse aż do Leykestrasse. Ogromny teren stał się obszarem zamkniętym. Szupilo pilnowali dróg dojazdowych, tablice przestrzegały o ryzyku użycia ostrej amunicji.

Rozpoczęto przeszukania domów. Funkcjonariusze policji porządkowej zagrodzili wejścia na podwórza, następnie oddziały mundurowych – każdorazowo dowodzone przez dwóch policjantów wydziału kryminalnego – przeczesały cały kwartał, łącznie ze wszystkimi oficynami i dziedzińcami. Prawie wszędzie spotykali się z tą samą reakcją: przeklinający mężczyźni, pomstujące kobiety, wrzeszczące dzieci – ale żadnej broni. Wraz z upływem ranka Rath miał coraz mocniejsze przekonanie, że ludzie wiedzą, co się dzieje. Wieść powoli rozchodziła się po zamkniętej strefie.

Na terenie, na którym przeprowadzali akcję, skonfiskowali tylko jeden rewolwer bębnekowy – i to po sześciu godzinach przekopywania się przez co najmniej cztery tuziny mieszkań. Na domiar wszystkiego mężczyzna, któremu odebrali broń, nie był nawet komunistą! Na ścianie w jego kuchni wisiała wprawdzie makatka z tekstem Międzynarodówki – tak jak u innych ludzi wiszą świętobliwe biblijne wersety – lecz ten robotnik był socjalistą. Dokładniej rzecz biorąc, socjaldemokratą, tak jak prezydent policji. Ta akcja coraz bardziej działała Rathowi na nerwy. On sam na widok Brunona, doszedł do

wniosku, że kolega czuł się podobnie. Cała operacja nie ma żadnego sensu! To marnotrawienie mocy przerobowych!

Gdy rano zobaczyli, że na liście znajduje się także Leykerstrasse, szeroki uśmiech pojawił się na ich ustach. Przy tej ulicy mieszkał Franz Krajewski, narkoman, którego przydybali na rusztowaniu domu towarowego Karstadt, ich nowy informator. Porno-cesarz faktycznie otworzył, gdy chwilę po siódmej zapukali do jego drzwi. Cała gromada mundurowych minęła go w progu i weszła do mieszkania. Po mężczyźnie widać było, że serce zsunęło mu się aż do szarych kalesonów. Wybałuszył oczy i patrzył niecierpliwie na Ratha i Woltera. Przez moment trzymali go w niepewności. Następnie Wujek zwrócił się do niego per pan i wyrecytował standardową formułkę, że jest to rutynowe przeszukanie, które przeprowadzają w całej dzielnicy i że szukają broni. Gdy Krajewski to usłyszał, nieco się uspokoił. Pewna nerwowość się jednak utrzymała. Rath wiedział też, dlaczego – z cukiernicy stojącej w kuchni wyłowił bowiem torebeczkę kokainy, zanim jeszcze szupo wpadli na pomysł, by także w tym pomieszczeniu szukać rewolwerów i granatów.

– No, spójrz, jak bardzo powinieneś się cieszyć, że przed kilkoma dniami nas spotkałeś – szepnął do mężczyzny, który tego dnia nie wykazywał większego podobieństwa do Wilhelma II. – W przeciwnym razie znaleźlibyśmy teraz u Ciebie spluwę i musielibyśmy Cię zgarnąć.

– Co to za nonsens? – zapytał Krajewski.

– Mieszkasz w niewłaściwej okolicy. Za wielu tu komunistów. Trzeba uważać, co się ukrywa w kuchni.

Krajewski zbladł. Potem przyszedł czas na pożegnanie. Szupo już dawno przeszli na wyższe piętro, więc Rath został jeszcze chwilę ze

zlanym potem Krajewskim i wręczył mu papierową torebkę. – Smacznego!

Minęła dwunasta. Do tego czasu przeszukali już trzy kolejne kwartały. Dom po domu, mieszkanie po mieszkaniu. Niemniej jednak lista adresów do sprawdzenia była jeszcze długa.

– Mam już dość – powiedział cicho Rath do Woltera, gdy opuścili kolejny budynek. W każdym mieszkaniu musieli patrzeć na wściekłe twarze i znosić zaciekły protest lokatorów – a nie znaleźli ani jednej sztuki broni.

– Gówniana robota – odparł Wujek i zapalił papierosa, podczas gdy szupo zabierali się za śmietniki stojące w podwórzu.

Rath przytaknął.

– I niczego nie znaleźliśmy.

– A dziwisz się? Przecież wszyscy bojownicy wyszli na ulice. Z kolei ludzie Thälmana swoją broń przechowują w jakichś tajemnych kryjówkach. Inspekcja IA powinna być jednak nieco bardziej czujna. Winniśmy likwidować składy broni, a zamiast tego przeszukujemy mieszkania proletariatu. – Wolter nie robił tajemnicy ze swojej niechęci do policji politycznej. Zaciągnął się ostatni raz i wyrzucił niedopaloną połówkę papierosa na dziedziniec. – To przecież nie jest zadanie dla policji kryminalnej. Niebiescy poradziliby sobie z tym sami przez jakiś czas – powiedział i ruszył w stronę śmietników, gdzie młody policjant gmerał wielkim pogrzebaczem w popiele i odpadkach. Wujek wydał mu kilka poleceń i podał listę z adresami. Po tem wrócił do Ratha.

– Pojedziemy na Hermannstrasse, przekazemy rewolwer i złożymy częściowy meldunek – oznajmił Wolter. – Mieści się tam też punkt zaopatrzeniowy ze starą dobrą kuchnią polową. Ależ mi burczy w żołądku!

W dwóch zajętych przez policję prywatnych mieszkaniach na pierwszym piętrze budynku przy Hermannstrasse 207 funkcjonariusze urządzili sobie zaplecze całej tej ogromnej akcji. Rath i Wolter ruszyli w drogę.

– Kto wie, może po drodze złapiemy jakiegoś złodzieja albo kogoś wznoszącego barykady – powiedział Wolter, kiedy wyszli na ulicę. – Wtedy mielibyśmy dziś na koncie przynajmniej jedną pożyteczną rzecz.

Oprócz policjantów na ulicy nie było żywej duszy. Zobaczyli dwie – trzy wybite witryny sklepowe, ale żadnych rabusiów. Dopiero na Hermannstrasse natrafili na kilkoro ludzi, ale nie takich, których trzeba by aresztować. Wszystkie latarnie gazowe obrzucono tu kamieniami i zniszczono, szkło chrzęściło na bruku. Stosy drewna przeznaczone do budowy metra w niektórych miejscach poprzewracano i porzrucano po jezdni, lecz trudno to nazwać barykadami. Były to co najwyżej niewielkie przeszkody na drodze. Po ulicach nie poruszało się ani jedno auto, a po Hermannstrasse nie jeździł tego dnia nawet tramwaj elektryczny. Policja porządkowa szczelnie ogrodziła tereny zamieszek. Nikt nie mógł ani wejść, ani ich opuścić, jeśli policja sobie tego nie życzyła. Po tym jak młodzi chuligani zatrzymali wiele składów i zdemolowali wagony, Berlińskie Zakłady Komunikacyjne i tak nie wysyłały w tym czasie autobusów ani tramwajów do dzielnic zamieszkiwanych przez komunistów.

Rath i Wolter zdążyli przejść po Hermannstrasse zaledwie kilka kroków, gdy padły strzały. Prędko schronili się w bramie jednego z domów. Czyżby to komuniści strzelający z ukrycia? Przecież cały ranek panował spokój. Wujek wyciągnął pistolet, Rath poszedł w jego ślady i odbezpieczył mauzera. Wyciągnął lekcję z zajścia na rusztowaniu domu towarowego Karstadt. Ostrożnie wychylił głowę zza

winkła. To wcale nie komuniści strzelali! Po Hermannstrasse toczył się wóz pancerny, działo maszynowe dudniło w nierównych odstępach i wypluwało ołów oraz słupy ognia.

– Co za idioci!

Rath schował głowę i się wycofał, ciasno przywierając ciałem do ściany. Po prostu wspaniale! Jak na wojnie! Pod ostrzałem własnych ludzi!

– To nasi – powiedział do Woltera. Obaj z powrotem schowali broń. Stanie w bramie do budynku nie było dla mężczyzn w cywilu zbyt bezpieczne, łatwo mogło dojść do pomyłki. Usłyszeli donośny głos dochodzący z ulicy. Megafon.

– Uwaga, uwaga, mówi policja – zawołał głos wojskowym tonem.  
– Opuścić ulicę! Odejść od okien! Będziemy strzelać!

Czyżby, pomyślał Rath, naprawdę mieli strzelać? Dość szybko to zapowiadają. Kolejny raz wyjrzał zza rogu. Wóz pancerny sunął dalej. Garstka ludzi, która znajdowała się jeszcze na ulicy, rozbiegła się na lewo i prawo, a potem znikła w bramach. W ślad za wozem pancernym przyjechały dwie ciężarówki z funkcjonariuszami policji porządkowej. Mężczyźni zeskoczyli z aut i przygotowali karabiny do strzału. Rath czuł ich strach. Z lękiem w oczach szukali w oknach strzelców, trzymając broń w pogotowiu. Przez krótką chwilę panował spokój, działo maszynowe wozu pancernego milczało. Wtem z któregoś z karabinów padł strzał. Szyba z brzękiem rozprysła się na bruk.

– Odejść od okien! – ponownie rozległo się wołanie z megafonu, lecz głos zginął pośród terkotu broni. Pierwszym strzałem przełamano opór.

Skulony mężczyzna biegł po chodniku, ręce uniesione nad głową, jakby mogło go to uchronić od kul i spadających odłamków szkła.

Wpadł do bramy, w której stali policjanci, wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył ciężkie drzwi.

– No, dalej – wysapał, przytrzymując je ręką. – Wchodźcie do środka, zanim gliny Was zastrzelą. – Wpadli do środka, nie wahając się ani przez chwilę. Mężczyzna nie zwracał już na nich uwagi i wszedł po schodach na górę. Rath zatrzasnął drzwi i spojrzał za nim.

– Co za gówno! Kazał ludziom opuścić ulice! I używają wozu pancernego! Dlaczego nikt nam nie powiedział, że przeprowadzają taką akcję?

– Nie mam pojęcia – odparł Wolter. – Pewnie dlatego, że to wszystko zaplanowali socjaliści.

Na ulicy padały kolejne strzały. Kule świstały bardzo blisko. Kiwnięciem głowy Rath wskazał do tyłu. Cofnęli się daleko w głąb budynku, aż do klatki schodowej. Dopiero tu byli bezpieczni przed zabłąkanymi kulami. Ostrożności nigdy za wiele.

Nagle usłyszeli krzyk.

– Nie!

To nie był krzyk bólu ani strachu. Był to krzyk przerażenia.

Policjanci obrzucili się nawzajem krótkim spojrzeniem i pędem wbiegli po schodach na górę. Jedne z drzwi na pierwszym piętrze były otwarte, więc wpadli do środka. W mieszkaniu panowała atmosfera drobnomieszczańskiej prostoduszności i przytulności, wszystko nienagannie stało na swoim miejscu. Rozejrzeli się dookoła, szukając czegokolwiek niepokojącego. Nikogo nie widzieli, nie słyszeli już żadnych głosów. W sąsiednim mieszkaniu skrzypiącym gramofonowym głosem śpiewał Richard Tauber, jakby nic nie robił sobie z tego, co działo się na zewnątrz. Przez otwarte drzwi balkonowe wlewał się uliczny hałas. Raz po raz dochodziło ich jakieś woła-



nie, padały pojedyncze strzały. Brygada porządkowa się oddalała. Cichy wiatr nadymał długą zasłonę i wdmuchiwał ją do wnętrza pokoju.

Na balkonie leżały dwie kobiety. Spokojnie, jakby spały, jednak krew sączyła się z ran na ich głowach i piersiach. Krzyk wydał z siebie najpewniej mężczyzna, który siedział pochylony nad starszą z kobiet. Rozpoznali go – to on chwilę wcześniej otworzył im drzwi. Już nie krzyczał, tylko bezgłośnie płakał. Położył głowę zmarłej na swoich kolanach, gładził zakrwawione włosy. Cicho, ledwie słyszalnie łkał:

– Martha! – wciąż powtarzał to jedno słowo. – Martha!

Rath poczuł, jak w gardle rośnie dławiąca go gęsia łza.

Do sklepu prawie nie dochodziło dzienne światło, witryny zabito od zewnątrz deskami. Mężczyzna za ladą zupełnie nie przypominał typowego rzeźnika. Miał zdecydowanie za chudą sylwetkę, bladą twarz i zapadnięte policzki. Jedynie ślady krwi na białym fartuchu stanowiły dowód na jego fach.

Powitał go krótkim pytaniem:

– Czego pan sobie życzy?

– Policja – odparł Rath i pokazał mu legitymację.

Kluczył po Hermannstrasse już od kwadransa, zdawało się, że nikt tu nie posiada telefonu. Z kolei jedyny publiczny aparat, na który trafił, nie działał. Dopiero w sklepie mięsnym Wilhelma Prokotta znalazł to, czego szukał: na drzwiach wisiała tabliczka z symbolem telefonu. Pod nią znajdował się napis „Rozmowy telefoniczne 20 fenigów za połączenie”. Dwa razy tyle, co w publicznych aparatach, ale przynajmniej udało mu się w końcu znaleźć jakikolwiek telefon.

– A ja się już dziwiłem, że ktoś wychodzi po sprawunki, podczas gdy wszędzie latają pociski – burknął rzeźnik. – Chce pan zająć ten lokal razem ze swoimi ludźmi?

Rath pokręcił przecząco głową.

– Muszę po prostu wykonać telefon.

– Z tyłu. – Ruchem głowy rzeźnik wskazał na drzwi. – Ale trzeba będzie zapłacić.

– Bez obaw, to służbowa rozmowa. Państwo zapłaci.

Rath poszedł za mężczyzną na tył sklepu. Na ścianie w przejściu wisiał telefon. Rath poprosił o połączenie z Hermannstrasse 207. Właściciel sklepu stał w drzwiach, zaintrygowany.

– Nie ma pan niczego do roboty? – Rath ofuknął mężczyznę.

– Nie – odparł Prokot. – Pańscy koledzy odstraszyli mi wszystkich klientów. – Potem zniknął w sklepie.

Na szczęście linia była wolna. Po drugiej stronie słuchawki zgłosił się główny wachmistrz i Rath poprosił do telefonu oficera z dowództwa operacyjnego. W krótkich słowach zaraportował o śmiertelnym wypadku i otrzymał równie zwięzłe polecenie: ustalić personalia, zabezpieczyć ślady, przesłuchać świadków, zlecić badanie lekarskie obu ciał, a następnie je odtransportować. Procedury, które od dawna znał ze swoich poprzednich śledztw w sprawie morderstw. Irytował się, że traktowano go tu jak nowicjusza.

– Może mi pan polecić jakiegoś lekarza? – zapytał, podając rzeźnikowi pieniądze.

– A gdzie boli?

Ratha nieszczególnie bawiło berlińskie poczucie humoru. Zignorował głupią uwagę.

– A więc? – odparł krótko, nie starając się ukryć rozdrażnienia.

– Ma pan szczęście – odparł rzeźnik. – Na górze w tym budynku mieszka lekarz.

Gabinet znajdował się bezpośrednio nad sklepem mięsnym. „Dr Peter Völcker – lekarz ogólny” – informowała tabliczka znajdująca się przy drzwiach praktyki. Poczekalnia była pusta. Asystentka lekarza spojrzała na niego z zaskoczeniem, gdy wyciągnął blaszaną odznakę policyjną.

– Nagły wypadek – rzucił krótko. – Potrzebuję lekarza. – Kobieta zaprowadziła go do gabinetu. Doktor Völcker siedział przy biurku i wypełniał jakieś formularze. Był jeszcze smuklejszy niż rzeźnik i sprawiał surowe, ascetyczne wrażenie. Przysłuchiwał się z zainteresowaniem, gdy Rath pokrótce nakreślał mu sytuację, po czym wziął płaszcz oraz kapelusz i chwycił lekarską torbę stojącą obok biurka. Asystentkę wysłał do domu.

– Zamykamy, dzisiaj i tak już nikt nie przyjdzie – zakomunikował. – Żaden człowiek nie odważy się wyjść na ulicę, skoro policja urządziła sobie tam strzelnicę.

To zdanie powinno było wzbudzić podejrzenia Ratha, ale on puścił je mimo uszu. Prawdy o doktorze Völckerze dowiedział się, gdy dotarli już do mieszkania, w którym Wujek pocieszał lamentującego wdowca, siedząc już nie na balkonie, lecz przy stole w salonie. Wdowiec był już chyba nieco spokojniejszy.

– Kogoś Ty tu przyprowadził? – zapytał Wolter Ratha, gdy tylko ujrzał lekarza.

Völcker zignorował nadkomisarza tak samo jak on jego: przywitał tylko wdowca i złożył mu kondolencje, potem zniknął na balkonie.

Rath spoglądał, nic nie rozumiejąc.

– Znacie się? – zapytał.

Wolter poczekał, aż wdowiec też pójdzie na balkon, i wziął kolegę na bok.

– Śmierdzące jajo nam tu podrzuciłeś – zaczął.

Już po pierwszych zdaniach Rath uświadomił sobie, że Wolter podsumował sprawę bardzo oględnie.

Doktor Peter Völcker nie tylko pracował jako lekarz i referent w Urzędzie do spraw Zdrowia w Neukölln, ale także zasiadał w radzie dzielnicy z ramienia Partii Komunistycznej. W kręgach policyjnych cieszył się złą sławą, miał opinię pieniacza, który z lubością żądał dochodzeń i groził skargami, gdy dochodziło do kolejnych starć pomiędzy policjantami a komunistami. Skargami na funkcjonariuszy policji, rzecz jasna.

– Ale kanał – skomentował Rath tę krótką charakterystykę doktora Völckera.

– Trafne sformułowanie – skwitował Wolter – ale nic z tym już nie zrobimy. Nie przejmuj się. – Poklepał kolegę po ramieniu. – Chodź, nie powinniśmy na długo zostawiać doktora komunisty samego. Kto wie, o co będzie chciał nas tym razem obwinić.

Gdy wyszli na balkon, obie kobiety leżały w takich samych pozycjach, jak wtedy, gdy je znaleźli. Najwyraźniej lekarz już je przebał. Stał przy drewnianym przepierzeniu, które otaczało balkon, i dłubał w drewnianej poręczy. Wdowiec znów pochylił się nad ciałem żony.

– Jeśli już pan skończył, doktorze, to powinien pan wypisać akty zgonu – oznajmił Wolter. – Ciała nie powinny leżeć tu dłużej, niż to konieczne. Stwierdził pan zgon? To niech pan nie traci czasu, tylko wraca do gabinetu. Tam z pewnością czeka na pana jeszcze kilkoro proletariuszy, którym trzeba usunąć nagniotki.

– Spokojnie, drogi panie komisarzu – odparł Völcker niewzruszony. – Właśnie jestem w trakcie stwierdzania przyczyny śmierci. – Odwrócił się i zaprezentował obu policjantom duży spiczasty pocisk. – Proszę!

– Co to ma znaczyć? – zapytał Wolter. Rath dostrzegł, że jego kolega z trudem hamował emocje.

– Powinien to być dla panów znajomy widok. To policyjna kula. Nie są to pierwsze ofiary, które mają na sumieniu pańscy koledzy. – W odczuciu Ratha ton Völckera miał w sobie coś nieznośnie wyniosłego. Ostatnie słowa wyrwały wdowca z letargu, zaczął uważnie przysłuchiwać się ich wymianie zdań.

– Drogi doktorze! – Wolter podniósł głos. Przypominał teraz parowy kocioł, w którym otworzyły się zawory bezpieczeństwa i powoli upuszczają ciśnienie, wydając cichy syk. – Może nie zna pan zwyczajowego podziału zadań, ale do pana nie należy ani zabezpieczanie śladów, ani wyciąganie jakichkolwiek wniosków! A tym bardziej pochopnych! – Wyrwał nabój z ręki lekarza. – Dopiero okaże się, czy jest to policyjny pocisk, będziemy...

– Mordercy!

Wdowiec się podniósł. Jego twarz już nie była blada, lecz czerwona i wykrzywiona grymasem złości.

– Mordercy! – zawołał ponownie i rzucił się na Woltera. Rath odciągnął mężczyznę i wykręcił mu rękę za plecami.

– Niech się pan uspokoi! – wykrzyknął. Mężczyzna początkowo jeszcze się szamotał, ale potem uspokoił się i zaczął szlochać. Rath poklepał go po ramieniu w geście pocieszenia.

– Widzi pan, co pan narobił?! – teraz Wolter naprawdę ryknął. Völcker nieznacznie drgnął.

– Ja? To nie ja zrobiłem z tego mężczyzny wdowca – wycedził lekarz.

– Sugeruje pan, że ja...

– Bruno! – Rath obawiał się, że zaraz będzie musiał obezwładnić również Woltera. Wujek przerwał w pół zdania i odwrócił się do niego. Wyglądał, jakby zaraz chciał skoczyć doktorowi komuniście do gardła, ale po chwili odzyskał nad sobą względną kontrolę.

– Drogi doktorze – ciągnął Wolter – jako człowiek nauki powinien pan podchodzić do takiej sprawy obiektywnie. Nie wiem, czy jest pan właściwym człowiekiem do wykonania tej pracy. – Zwrócił się do Ratha. – Dzwoń do doktora Schwartza ze szpitala Miłosierdzia. Niech przebada oba ciała. On ma większe doświadczenie w tej kwestii.

Rath opuścił scenę kłótni, a niedługo później znów stał w sklepie Wilhelma Prokota. Rzeźnik szeroko się uśmiechał, prowadząc policjanta do aparatu.

– I co? – dopytywał. – Doktor panu pomógł?

Nie ulegało wątpliwości, że Prokot doskonale wiedział, jaką przysługę wyświadcza policji przez wysłanie jej do doktora Völckera. Rath najchętniej uderzyłby pięścią w sam środek tej wyszczerzonej gęby. Powstrzymał się jednak i zadzwonił do szpitala.

Czarny samochód jechał tak szybko, jakby dla dwóch kobiet przewożonych z tyłu w cynkowych trumnach mógł być jeszcze jakikolwiek ratunek. Rath spojrzął na kierowcę. Odkąd opuścili obszar zamknięty, ten cisnął gaz do dechy niczym zbieg uciekający z miejsca przestępstwa.

– Niech pan zwolni – powiedział Rath – dwa ciała to chyba aż nadto.

Kierowca wymamrotał niezrozumiałą odpowiedź i delikatnie zdjął nogę z gazu. Zrobił to raczej niechętnie. Narzekał już wcześniej, gdy tylko usłyszał, że jadą do kostnicy szpitala Miłosierdzia. Doktor Schwartz był zajęty, więc polecił im przywieźć ciała obu martwych kobiet. Wolter został w mieszkaniu, a Rath musiał pojechać w karawanie. Między nim a kierowcą, na lichy wyściełanym siedzeniu, siedział Völcker. Czerwony doktor nalegał, że pojedzie z nimi, a Wolter na to przystał. W ten sposób Wujek pozbył się natrętnego pieniacza, ale niestety Rath nadal miał go na karku.

Drugi kierowca furgonetki klął, kiedy usłyszał, ile osób ma brać udział w transporcie ciał do szpitala.

– To nie jest autobus, tylko karawan! – sarkając, zwolnił miejsce i usiadł z tyłu, pomiędzy kołyszącymi się trumnami. Na każdym zakręcie słyszeli przekleństwa, których mężczyzna nawet nie próbował powstrzymywać. Pierwszy kierowca zdawał się za to wyładowywać swoją wściekłość na pedale gazu. Rath musiał się parę razy mocno przytrzymać, by nie stracić równowagi.

Choć oczy miał otwarte, prawie nie dostrzegał świata przesuwanego się za oknem. Widział ruch uliczny na Kottbusser Damm i piątkową krzątanicę na Oranienstrasse, lecz wydawało mu się, że śni. Gdy tylko opuścili Neukölln, miasto zmieniło swoje oblicze. Wszystko wydawało się na powrót normalne, ale ta normalność zdawała się zarazem nierzeczywista. Trudno uwierzyć w to, że tylko kilka kilometrów dalej obowiązywał stan wyjątkowy, że strzelano, że umierali ludzie. Obraz martwych kobiet wgryzł się w umysł Ratha. Młodsza z nich miała jedynie dwadzieścia sześć lat, starsza – pięćdziesiąt. Ich dokumenty tożsamości ciążyły w wewnętrznej kieszeni jego płaszcza, jakby wydrukowane na ołowianych tabliczkach.

Do czasu aż karawan wjechał na Hermannstrasse, Rath nie zamienił z Völckerem ani słowa. Kątem oka przyglądał się doktorowi, smukłej postaci w wymiętym szarym, nieco przydużym prochowcu. Siwy, kilkudniowy zarost połyskiwał na jego spiczastej brodzie, oczy spoglądały przed siebie na ulicę, jakby po jego prawej i lewej stronie nikt nie siedział.

Ciekawość Ratha wzięła górę i w końcu przerwał milczenie. Musiał zadać pytanie, które wciąż cisnęło mu się na usta.

– Jest pan przecież lekarzem – powiedział tak nagle, że doktor Völcker krótko się wzdrygnął. – Dlaczego został pan w takim razie komunistą?

Pierwszy raz, odkąd opuścili Neukölln, doktor spojrzał na niego.

– Kłóci się to z pańskim obrazem świata, mam rację?

Ratha denerwowały zarozumiałe ton, który przybrał lekarz. A jeszcze bardziej denerwowało go to, że Völcker miał w pewnym sensie rację. Faktycznie, Rath wciąż się dziwił, gdy osoby z wyższym wykształceniem uważały się za komunistów. Nie za dobrze znał się na polityce, ale komuniści byli dla niego wytworem lumpenproletariatu, na który natknąć się można było obecnie w każdym większym mieście. Ten, kto dorastał w tym środowisku, nie miał prawie żadnego wyboru. Mógł zostać przestępcą lub komunistą. Albo jednym i drugim, dla wielu policjantów tak czy owak oznaczało to dokładnie to samo. Czy komuniści nie kradną, czyli nie odbierają przemocą własności innych obywateli? Kodeks karny nazywa coś takiego kradzieżą, a ruch komunistyczny nazywa to rewolucją. Rath potrafiłby jeszcze jakoś zrozumieć nędzarza, który pokłada w tej doktrynie ostatnią nadzieję, ale nie intelektualistów, którzy prawią o rewolucji. Czego oni chcieli? Przecież dobrze im się powodzi, a to właśnie oni wynieśli kradzież do rangi ideologii. Twierdzili, że skoro



odbywa się to na masową skalę, to można określać to mianem rewolucji i naukowo uzasadnić. Ci ideolodzy wywoływali u Ratha szczególną odrazę. Miał ich za pomyleńców, którzy zawsze wiedzieli wszystko lepiej, wierzyli, że mają wyłączność na prawdę. Do tej kategorii ludzi przyporządkował także Völckera. Lekarz wprawdzie nie sprawiał wrażenia pomyleńca, ale tym bardziej wychodził na przemądrzalca.

– Był pan może kiedyś w którejś z tych zapyziałych nor, za które w tym mieście wyciąga się pieniądze od robotników? – zagadnął Völcker, gdy Rath zamilkł. – Wie pan, w jakich warunkach niektórzy ludzie tam mieszkają? Albo raczej – muszą mieszkać?

Rath nic nie odpowiedział. Złościł się, że bez potrzeby wszedł w dyskusję z tym cwany intelektualistą. Oczywiście znał czynszówki stojące w robotniczych dzielnicach miasta: na północy, na wschodzie, na południu. Prawdziwe zagłębienia nędzy. Hańba, to nie ulegało wątpliwości. Ale czego to dowodziło? Stanowiły powód, by wybudować nowe jasne osiedla dla robotników, co już się zresztą działo, ale żaden to argument, by zostawać komunistą! Widział złe strony postępu, doświadczył mrocznej strony cywilizacji, znał to wszystko aż za dobrze, w końcu pracował jako gliniarz. Jednak słyszał też komunistycznych agitatorów, którzy nawoływali do walki z ciemżycielami, mając na myśli walkę z policją. Co miałyby się poprawić w świecie, w którym rządzi takie warcholstwo? Nie miał ochoty dyskutować na ten temat z jednym z wichrzycieli.

– Nikomu nie daje to przyzwolenia, żeby naruszać prawo – odparł tylko. Należał do policji, a ta miała za zadanie pilnować prawa i porządku. A komuniści? Dziś po raz kolejny udowodnili, że żadna z tych rzeczy nie ma dla nich znaczenia.

– Naruszać prawo? – Völcker podniósł nieco głos. Rath obawiał się, że niechęć dostarczył mu przedmiotu do dyskusji. Kierowca karawanu patrzył przed siebie niewzruszony. Rath zauważył, że mężczyzna znów mocniej naciska na gaz. Najwyraźniej chciał jak najszybciej zakończyć już tę przejażdżkę.

– Co to za prawo – ciągnął lekarz – które zabrania człowiekowi wyjść na ulicę, bronić swego zdania i...

– ...i strzelać do policjantów – dodał Rath.

Völcker spojrział na niego, rozgniewany.

– Tych dwóch kobiet, które wieziemy z tyłu, nie zastrzelili komuniści! – krzyknął. – Tylko pańscy szacowni koledzy!

– Gdyby pańscy sprzymierzeńcy nie nawoływali stale do przemocy, to na ulicach panowałby większy spokój! W ciągu ostatnich dni nie doszłoby do żadnych incydentów!

Teraz także Rath podniósł głos. Völcker go rozwścieczył, i nic nie mógł na to poradzić. A to, co złościło Ratha najbardziej, to fakt, że lekarz najpewniej miał rację. Spiczasty pocisk, który wyciągnął z przepierzenia i który Wolter wyrwał mu z ręki, wyglądał identycznie jak te, którymi pruska policja ładowała swoje karabiny.

Rath znał te pociski. Stosowano je także w Kolonii. Przypomniała mu się rozprawa sądowa – i materiały dowodowe na ławie sędziowskiej: pociski z karabinu. Nabój przedziurawił ramię szaleńca strzelającego na oślep i pewnie wystarczyłby, żeby go unieszkodliwić, ale go nie zabił. Śmiertelna okazała się inna kula, ta, która trafiła prosto w serce. Kaliber 7,65. Ekspertyza balistyczna jednoznacznie wykazała, że strzał oddano z broni komisarza kryminalnego Gereona Ratha.

Od rozprawy w Kolonii minęło niespełna pół roku. A teraz ten sam Gereon Rath jechał karawanem przez Berlin i towarzyszył

dwóm martwym kobietom w drodze do kostnicy. W swoim zawodzie nieustannie konfrontowany był ze śmiercią, musiał się z tym pogodzić niezależnie od tego, w którym wydziale pełnił służbę. Wiedział to już wtedy, gdy decydował się na pracę w policji. Od tamtego incydentu w Kolonii miał jednak wrażenie, że każda ofiara, z którą miał do czynienia, obwiniała go i zarzucała go oskarżeniami. Te dwie kobiety również – choć nie odpowiadał za ich śmierć nawet w najmniejszym stopniu. Doktor komunista widział to zapewne inaczej. Rath należał do policji, policja zastrzeliła kobiety, policja była winna – a więc komisarz również.

Gdy przejeżdżali przez Sprewę, Rath wyglądał przez boczną szybę, nie zwracając przy tym żadnej uwagi ludzi na moście Weidendammer Brücke. Między nim a Völckerem panowało milczenie bardziej lodowate niż wcześniej. Rozmowa z lekarzem nie miała najmniejszego sensu, żyli w dwóch różnych światach. Kierowca zatrąbił na przechodnia, który przeszedł przez Friedrichstrasse niedostatecznie żwawym krokiem. Mężczyzna rozejrzał się dookoła z przerażeniem i kiwając głową, spojrzął za nonszalancko pędzącym karawanem. Przy Oranienburger Tor czarne auto zakreśliło w Hannover-scher Strasse. Chwilę później po prawej stronie ulicy wyłonił się żółty budynek z cegły. Kostnica szpitala Miłosierdzia przywitała ich oziębło i zasadniczo, jak na Prusy przystało: z obojętnością, kamiennym wzruszeniem ramion. Ten budynek widział już tyle przywożonych i wywożonych nieboszczyków, wiele przypadków bardziej tragicznych niż te dwie kobiety, które zastrzelono na balkonie.

Kierowca znał to miejsce i dziarsko przejechał przez bramę. Na tyle auta z łoskotem obijały się o siebie cynkowe trumny. Drugi kierowca znów zaczął przeklinać.

Dopiero na marmurowym stole doktora Schwartza zmarli wyglądali na naprawdę zmarłych. Jeszcze rankiem tego samego dnia Wilhelm Böhm myślał, że zdjęcia, które Gräf zrobił ofierze z kanału Landwehr, nadałyby się nawet jako zdjęcia paszportowe. Przy założeniu, że odpowiednio skadrowano by ujęcie i pominięto zmasakrowane dłonie. Nieboszczyk wyglądał niemal pogodnie. Ogólne wrażenie zakłócały jedynie mokre włosy, trochę w nieładzie opadające na czoło.

Tu, na stole, martwy mężczyzna wyglądał inaczej niż poprzedniego dnia na miejscu przestępstwa. Böhm rzucił okiem na ciało. Doktor Schwartz przykrył je białym bawełnianym płótnem, spod którego wystawała jedynie głowa. Po chwili Rath zorientował się, dlaczego lekarz to zrobił. Nieboszczyk był już suchy.

Pomimo świetnych zdjęć wykonanych przez Gräfa nie udało im się zidentyfikować mężczyzny. Ofiara nie miała przy sobie żadnych dokumentów. W kieszeniach jego eleganckiej czarnej dwurzędówki nie znaleziono niczego, absolutnie niczego. Przez wszystkie lata służby Böhm jeszcze się z czymś takim się nie spotkał. Nawet ofiary napaści rabunkowych miały przy sobie chustkę, papierek po cukierku czy cokolwiek innego, co stanowiłoby choćby małą wskazówkę. Jednak marynarka tego nieboszczyka była tak nieskazitelna, jakby miał ją na sobie manekin z witryny sklepowej. Oględziny samochodu też niczego nie wyjaśniły. Horch zarejestrowany był na niejakiego doktora Bernwarda Römera. Okazało się jednak, że męż-

czyzna ten ma się wyśmienicie i półtora tygodnia wcześniej zgłosił kradzież auta na komisariacie 113.

Charly jako jedyna zauważyła, że już przy Möckernstrasse samochód otarł się o inny zaparkowany wóz. Sam Böhm z kolei znalazł na podłodze auta metalowy pręt, który początkowo wziął za uszkodzoną część od samochodu, może kawałek drążka kierowniczego, w każdym razie coś, co mogło spowodować wypadek. Jednak z autem wszystko zdawało się w porządku. Poza wgnieceniami, które powstały w wyniku uderzenia o ogrodzenie brzegu, horch wyglądał jak nowy. Rozwiązanie zagadki okazało się banalne. Pręt był dźwignią, którą ktoś zablokował pedał gazu tak, żeby zmarły mężczyzna też mógł prowadzić samochód. Gräf oraz Charly ustalali, skąd pochodził metalowy pręt.

Tego samego ranka na terenie, który wytyczały Möckernstrasse, Tempelhofer Ufer oraz Grossbeerenstrasse, zaczęli szukać kolejnych świadków wypadku, choć Böhm nadal nie miał za wielu ludzi do pomocy. Większość policjantów przebywała w Neukölln albo Wedding i robiła porządki po zamieszkach. Wypadek w kanale Landwehr nie miał raczej nic wspólnego z majowymi rozruchami. Böhm wciąż mówił o wypadku, choć doskonale wiedział, że o niczym takim nie mogło być mowy. Ten nieszczęsny facet leżący na marmurowym stole został zamordowany, a ktoś chciał się pozbyć ciała, zamiast należycie je pochować. Tyle sam potrafił wywnioskować, bez zasięgnięcia mądrości doktora Schwartz.

Może faktycznie powinien zlecić przygotowanie paru kopii zdjęć mężczyzny i wysłać z nimi w teren swoich ludzi, pomyślał. Wtem usłyszał głęboki głos medyka, który dziarsko wpadł do cichego pomieszczenia.

– O, dzień dobry panie Böhm, przepraszam za spóźnienie, ale wciąż przywożą nam tu nowe ciała. Zdaje się, że w mieście panuje nerwowa atmosfera. – Lekarz uścisnął rękę Böhmowi. – Niech się pan nie obawia – dodał na widok zatroskanej miny nadkomisarza – wśród nich nie ma nikogo z Waszych. Sami czerwoni. W tym też kilka kobiet. Coś musiało się chyba wymknąć spod kontroli.

– Podobne historie zawsze wymykają się spod kontroli – oznajmi Böhm. – Dziesięć lat temu nie było inaczej. Na ogół umierają niewłaściwe osoby. Na ogół przez pomyłkę.

Doktor Schwartz włożył rękawiczki, podszedł do marmurowego stołu i odsłonił tkaninę.

– W każdym razie nasz przyjaciel z ubiegłej nocy nie zmarł przez pomyłkę. Ktoś umyślnie potraktował go w ten sposób. Właściwie całe nadgarstki i stawy skokowe są uszkodzone. Złamane kości, naderwane ścięgna, rany tłuczone, jedna wielka okropność. Wygląda to tak, jakby ktoś przytwierdził jego dłonie i stopy do sztywnej powierzchni i uderzał w nie ciężkim, tępym przedmiotem. Sądzę, że młotkiem.

– Oj nieładnie, nieładnie! – Böhm gwizdnął przez zęby. – A to tutaj? – Całe ciało ofiary pokryte było niebiesko-czarnymi plamami.

– To z kolei stosunkowo niegroźne obrażenia. Krwiaki, które pewnie powstały w wyniku uderzeń pięścią. Ten ślad na klatce piersiowej pochodzi najpewniej od pałki. A to pewnie od kopniaka. Ten mężczyzna został ciężko pobity, i to na pewno przez ludzi, którzy nie robili tego po raz pierwszy.

– Czyli sprawców było więcej?

Schwartz przytaknął.

– Prawdopodobnie tak. Twarz mu oszczędzili, jak widać. Profesjonaliści.

– Zawodowi przestępcy?

– Nie tylko oni zajmują się tym zawodowo. Bokserzy również. Albo policjanci – zakpił doktor Schwartz. Kolejny przykład jego poczucia humoru.

– Co by mi pan zatem poradził? – zapytał Böhm. – Wewnętrzne śledztwo czy poszukiwanie Maxa Schmelinga, tego słynnego boksera?

– Żarty na bok. To byli sadyści, oni nie mają żadnych... – Schwartz przerwał w pół zdania, gdy nagle otworzyły się duże wahadłowe drzwi i wwieziono kolejne dwa przykryte ciała. – Jeszcze więcej majowych ofiar? – zapytał lekarz.

Wózek z ciałami pchało dwóch mężczyzn ubranych w białe kitle. Jeden z nich przytaknął:

– Z Neukölln. Najwyraźniej w Wedding ludzie prowadzą dziś zdrowszy tryb życia. Oni już mieli swój wielki dzień.

– Drodzy panowie, mówicie o zmarłych! – Odezwał się pełen wyrzutów głos jednego z dwóch mężczyzn, którzy weszli do pomieszczenia tuż za dwójką sanitariuszy. Mówiący, szczupły mężczyzna w szarym wymiętym garniturze, sprawiał surowe wrażenie. – Powinni panowie wykazać trochę szacunku.

– Zwłaszcza jeśli są to proletariusze. Mam rację, kolego Völcker? – poznał go Schwartz. – Długo się nie widzieliśmy. Co pana sprowadza w nasze progi?

– Policyjne kule – zwięźle odparł szczupły mężczyzna.

Völcker? Ten osławiony doktor komunista? Böhm przewrócił oczami.

Wtrącił się drugi mężczyzna, wyrośnięty towarzysz Völckera:

– Te dwie kobiety zginęły w trakcie strzelaniny przy Hermannstrasse – oznajmił. – Pewnie trafiły je zabłąkane kule.

Böhm wiedział, że miał przed sobą policjanta, zanim jeszcze wysoki wyciągnął odznakę. Choć jak na funkcjonariusza policji był ubrany nieco za elegancko, to w ten sposób przemawiały wyłącznie gliny. Albo urzędnicy skarbowi.

– Rath, komisarz kryminalny Gereon Rath, Inspekcja E – powiedział. – Rozmawialiśmy wcześniej przez telefon.

Doktor Schwartz skinął mu głową i podrapał się po brodzie.

– Zgadza się – odparł – ale to nie najlepszy moment. Odbywamy tu z nadkomisarzem Böhmem naradę.

Böhmowi wydawało się, że widział już tego wysokiego komisarza w Zamku. To pewnie ten nowy, o którym Lanke opowiadał w kantine. Karierowicz, który włąził w dupę prezydentowi policji.

– Inspekcja E? – huknął ostrym tonem. – Co takiego sprowadza policjantów z obyczajówki do kostnicy? Nieboszczycy nie łapią się w zakres Waszych kompetencji. Czy może sami spreparowaliście zwłoki?

Komisarz z obyczajówki nic nie odpowiedział, jedynie podszedł bliżej.

– Zadałem panu pytanie! – wrzasnął Böhm. – Jest pan głuchy?

Komisarz Rath drgnął i stanął na baczność. Stary dobry pruski dryl najwyraźniej się opłacił.

– Przeszukiwaliśmy mieszkania w Neukölln, tam, gdzie doszło do zamieszek – odpowiedział. – Przypadkowo znalazłem się na miejscu zdarzenia, po tym jak kule trafiły te dwie kobiety.

– A więc jednak się da – rzekł Böhm, zadowolony. On już nauczył manier tego nadętego bufona! – A teraz niech się pan wynosi z tym, co pan tu przywiózł. Słyszał pan przecież, że to nie jest dobry moment. Prawdziwe morderstwo ma pierwszeństwo.



Wysoki komisarz zdawał się w ogóle go nie słuchać. Podeszedł do marmurowego stołu i spojrzał na ciało wytrzeszczonymi oczami, jakby jeszcze nigdy nie widział martwego człowieka, i to choć sam przywłókł dwa ciała.

– Co pan tu jeszcze robi!?! – Böhm ponownie ochrzanił policjanta.

– Czyżbym poprosił pana o identyfikację zwłok?

– Oczywiście, że nie, panie nadkomisarzu! – Rath znów wyprężył się jak struna.

– No to niech stąd czym prędzej znika! Wstrzymuje pan pracę!

– Zgadza się – wtrącił się w końcu doktor Schwartz. Lekarz medycyny sądowej niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. – Proszę opuścić salę obdukcyjną, musimy kontynuować – dodał i wskazał na zegar wiszący w pomieszczeniu. – Mam dziś jeszcze dużo pracy. – Dał znak sanitariuszom. – Proszę zawieźć obie kobiety do piwnicy, zajmę się nimi ju...

– Stać! – przerwał mu Völcker. Obaj mężczyźni, którzy właśnie zabierali się do wyprowadzenia wózków, stanęli w miejscu. Schwartz spojrzał na kolegę gniewnym wzrokiem. – Proszę wybaczyć, kolego Schwartz – Völcker kontynuował już trochę spokojniej – nie chciałem panu przeszkadzać. Ale właściwie nie przyszedłem tu jako chłopiec na posyłki, lecz żeby uczestniczyć w badaniu ciał obu kobiet.

Schwartz uniósł jedną z brew.

– Jak pan widzi, panie kolego, mam już tu na stole jedno ciało – zakomunikował. – Prokuratura nakazała wykonać jego obdukcję. Ta sprawa ma priorytet.

Völcker nie odpuszczał.

– Istnieje poważne podejrzenie, że te kobiety zginęły od wycelowanego w nie strzału funkcjonariusza policji. Jeśli będzie pan od-

wlekał badanie, to może to wyglądać tak, jakby policja i prokuratura chciały coś zatuszować.

– To, jak mogłoby to wyglądać, zostawiam policji i prokuraturze. Ja jestem lekarzem. – Schwartz ledwie hamował złość w swoim głosie. – Jeśli wolno mi panu przypomnieć, to pan również, kolego Völcker. Niech się pan lepiej powstrzyma do wysuwania jakichkolwiek podejrzeń.

– Prokurator i tak zarządzi obdukcję – oznajmił Völcker.

– Wszystko w swoim czasie – odparł Schwartz. – Najpierw policja poprosiła mnie jedynie o oględziny. Sam pan wie, że nie mogę samowolnie otwierać zwłok. – Spojrzał na drugiego lekarza znad oprawek okularów niemal z politowaniem. – Chodzi tylko o oględziny, kolego Völcker. I jeśli się w ogóle z tym dziś uporam, to może ze względu na pana i stare czasy. Zatem jeśli chce pan w nich uczestniczyć, to będzie pan musiał uzbroić się w cierpliwość.

Völcker albo nie wychwycił ironii w słowach Schwartza, albo umyślnie ją zignorował. W każdym razie zadowolił się wyjaśnieniem i usiadł na drewnianej ławce stojącej pod wykafelkowaną ścianą. Sanitariusze zniknęli. Bez ciał.

Böhm musiał się mocno kontrolować, żeby nie wygarnąć doktorowi komuniście. Przecież tylko przeszkadzał im w pracy! Tak samo zresztą, jak policjant z obyczajówki, z którym się tu przywłókł. Gdy tylko doktor Schwartz z powrotem odsłonił materiał, natrętny funkcjonariusz wlepił wzrok w zmiażdżone dłonie ofiary i nie ruszył się od stołu ani na milimetr.

– Paskudnie to wygląda – ocenił. – Prawie tak, jakby poddawano go torturom! – Böhmowi w końcu puściły nerwy. Dość tego! Czy on zawsze musiał wtrącić swoje trzy grosze?

– Drogi przyjacielu, pan pracuje w obyczajówce! – ofuknął prze-mądrzalca. – Czy wydaje się panu, że powinien zająć się tą sprawą tylko dlatego, że ten mężczyzna jest goły? Jeśli nie chce pan, żeby zaraz naprawdę poddano kogoś torturom, to niech pozwoli nam pan pracować! Zrozumiał mnie pan?

– Oczywiście panie nadkomisarzu! – Wysoki mężczyzna wyprostował się i odsunął od stołu. Najwyższa pora.

– Dobrze! – Gniew Böhma niemal całkiem opadł, gdy on sam ponownie zwrócił się do doktora Schwartza. Komisarz z obyczajówki usiadł na ławce obok doktora komunisty. Obaj milczeli.

– A zatem, doktorze – odchrząknął Böhm – kontynuujmy. Na czym skończyliśmy?

– Rany – odparł Schwartz. – Zadane najpewniej przez profesjonalistów. I zdecydowanie przed śmiercią, wskazują na to krwotoki.

– Kiedy zmarł? I w jaki sposób?

– Nie da się dokładnie ustalić momentu śmierci. Wydaje mi się, że ten mężczyzna zmarł najwyżej dwa, trzy dni temu. Na razie nie mogę tego niestety precyzyjnie stwierdzić.

– A więc z pewnością był już martwy, zanim wpadł do kanału Landwehr?

– Akurat to mogę potwierdzić ze stuprocentową pewnością – przytaknął Schwartz. – Na pewno nie utonął. W jego płucach nie znaleźliśmy wody.

– Przypuszczałem, że to nie topielec – mruknął Böhm. – Jeśli mnie pamięć nie myli, to potwierdził mi pan to już zeszłej nocy. Niech mnie pan nie trzyma dłużej w niepewności, doktorze! Straciłem już dziś wystarczająco dużo czasu.

– Przyczyna śmierci jest zadziwiająca. Będzie pan zaskoczony, gdy się pan dowie! Nasz nieszczęśnik nie zmarł też na skutek obrażeń.

– To niech mnie pan w końcu zaskoczy doktorze! Co pan ustalił?

– Obecność heroiny – zwięźle odparł doktor Schwartz.

– Heroiny? – Böhm rzeczywiście zdawał się zaskoczony.

– Niewydolność oddechowa spowodowana przedawkowaniem diacetylmorfiny, w skrócie heroiny.

– Tego leku na kaszel?

Schwartz skinął głową.

– Tabletki na kaszel dla morfinistów. Kiedyś przepisywano ją jako lek przeciwastmatyczny. Do czasu aż się zorientowano, że ma właściwości uzależniające. Jest to szalenie silny opiat, prawie nie do zdobycia na legalnym rynku farmaceutycznym, ale na nielegalnym – już owszem. Jeśli zażyłby pan za dużo tego specyfiku, to przestałby pan oddychać. Ale nawet tego już pan by nie poczuł.

## 8

Rześkie powietrze dobrze mu zrobiło. Rath jeszcze na chwilę zatrzymał się przed wejściem, aby uporządkować myśli. Czuł się tak, jakby obudził się z mrocznego snu. Martwa twarz, która się w niego wpa-trywała. Takie uczucie wywołać mogła jedynie wizyta w kostnicy! Zanim zszedł po schodach, zapalił papierosa i mocno się zaciągnął.

Nie było żadnych wątpliwości!

To on! Bez dwóch zdań.

Na marmurowym stole leżał Rosjanin – ten, który odwiedził go kilka dni wcześniej, pijany facet, który zniszczył jego szafę. A więc sprawy mogły przybrać tak dynamiczny obrót! Tak szybko człowiek może stać się sprawą dla wydziału zabójstw!

Rath jeszcze raz głęboko się zaciągnął, postawił wysoki kołnierz płaszcza i ruszył w kierunku Oranienburger Tor.

Dlaczego nic nie powiedział?

Teraz było już za późno. Zapytaliby go, czemu zataił te informacje. I wszczęto by przynajmniej jedno postępowanie dyscyplinarne.

Rath czuł, jak powracała z trudem tłumiona wściekłość. Co za chamidło! Jeśli wszyscy koledzy z Inspekcji A są takimi buldogami jak nadkomisarz Böhm, który zresztą nosił takie przezwisko, to powinien się zastanowić, czy praca w tym wydziale naprawdę jest warta takiego zachodu. W całym Zamku nie spotkał jeszcze takiego idioty! W porównaniu z nim nawet Lanke wychodził na miłego, wyrozumiałego i dobrotliwego przełożonego!

Oczywiście, że niczego nie powiedział Buldogowi. Ale powodował nim bardziej refleks niż racjonalny namysł.

Jakie informacje mógłby przekazać Böhnowi? O ofierze nie wiedział zupełnie niczego. Borys pojawił się w jego mieszkaniu tylko raz, na parę dni przed śmiercią. Był pijany, wrzeszczał i bił na oślep. I to tyle. Borys. Rath nie był nawet do końca pewny jego imienia. Wiedział tylko, że mężczyzna szukał swego krajana, który mieszkał kiedyś przy Nürnberger Strasse, oraz to, że już nie żyje.

Heroina! Czyżby zażywał narkotyki? I następnie wjechał samochodem do kanału Landwehr? Dziwna sprawa. I skąd wzięły się u niego obrażenia na dłoniach i stopach? Naprawdę dziwna sprawa, pomyślał Rath. I nie powinien się nią interesować.

Przy Oranienburger Tor minął schody prowadzące na stację metra. Zapalił kolejnego papierosa i poszedł dalej do dworca Friedrichstrasse. Tłum ludzi na Weidendammer Brücke przybrał na sile od czasu, kiedy przejeżdżał tędy karawan. Większość z nich miała już fajrant: szli do domu albo do knajpy, myśleli już o kolacji, rodzinie, żonie, piwie z paroma przyjaciółmi. Miasto zdawało się tu przerażająco normalnie. Czy ktoś z tych ludzi wyobrażał sobie, co działo się teraz w Neukölln czy Wedding? Czy na Hermannstrasse wciąż padały strzały? Wydarzenia tego dnia sprawiły, że Rath czuł ścisk w żołądku i dopiero teraz uprzytomnił sobie, że przez cały dzień niczego nie zjadł. Nieopodal znajdowała się filia Aschingera, zaraz za przejściem podziemnym pod torami kolejki przy Friedrichstrasse. Rath postanowił zjeść coś małego, zanim pójdzie do domu. I wypić piwo albo dwa. Dobrze mu to teraz robi. Pstryknął niedopałkiem do Sprewy i precisnął się przez tłum. Przed dworcem przy Friedrichstrasse gazeciarze wykrzykiwali nagłówki wieczornych wydań. „Nowe walki na barykadach!”, „Kolejne ofiary komuni-

stycznych zamieszek!”, „Czy Czerwony Związek Bojowników Frontowych zostanie zdelegalizowany?”

Dziwne!

Elisabeth Behnke podniosła wyłamana kłódkę z wilgotnej podłogi w piwnicy i przyjrzała się jej. Ktoś wyważył drewniane przepierzenie.

– To moja kłódka – wyjaśniła, spostrzegłszy pytające spojrzenie. – Zamknęłam jego komórkę dopiero dwa, może trzy tygodnie temu. Przecież nie powinien potajemnie zabierać stąd swoich rzeczy, zanim nie zapłaci mi ostatniego czynszu.

Podawała mu tanią, powyginaną kłódkę z mosiądzu.

– Kto mógł ją wyłamać? – zapytała i spojrzała na niego, jakby każdy policjant zawsze znał odpowiedzi na tego typu pytania.

Rath wzruszył ramionami, wyminął ją i wszedł do komórki z rzeczami swego poprzednika. Wewnątrz panowała ciemność, a w powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Z wątej czterdziestowatowej żarówki do pomieszczenia wpadało jedynie liche światło. Jego oczy musiały najpierw przyzwyczaić się do mroku

– Kiedy ostatni raz tu schodziłaś? – zapytał.

Elisabeth Behnke zastanawiała się chwilę.

– Chyba w zeszłym tygodniu.

– I wtedy zamek nie był jeszcze wyłamany?

– Nie mam pojęcia. Nie zwróciłam na to uwagi. Moja komórka jest z drugiej strony.

Wskazała na kilka chybotliwych regałów, na których kurzyły się weki. Obok nich stała wielka skrzynia z ziemniakami.

– Czy Kardakow nadal ma klucz do drzwi wejściowych?

– Oczywiście, że nie.

– A więc to najpewniej nie on tu przyszedł i wyciągał rzeczy.

– Nie wygląda na to, jakby ktokolwiek coś stąd zabierał.

Miała rację. Rupiecie piętrzyły się po sufit. Przy tylnej ścianie stała stara szafa, o nią oparto kilka oprawionych obrazów, a o boczną ścianę – zardzewiały rower. Jednak najwięcej było tam pudeł. Znajdywało się ich tam całe mnóstwo.

– Jak długo tu mieszkał? – zapytał Rath.

Wzruszyła ramionami.

– Może trzy lata.

– Trzy lata i tyle śmieci! – Pokręcił głową. – Wydaje mi się, że trzeba to miejsce porządnie przeszukać. Zadanie w sam raz dla policjanta.

Przytaknęła.

– Pójdę na górę i zaparzę nam herbaty – powiedziała i zostawiła go samego. Starał się nie myśleć o tym, co taka zapowiedź mogła oznaczać, i zdjął pierwsze pudło ze stosu.

To był jego pomysł, żeby zajrzeć do piwnicy. Od momentu niespodziewanego spotkania z martwym Borysem w kostnicy jego ciekawość tycząca się Kardakowa urosła do niebotycznych rozmiarów. Obraz okaleczonego ciała wypełniał mu myśli.

Kostnica. Jeszcze przed paroma godzinami dręczyły go wyrzuty sumienia z powodu milczenia. Potem jednak usiadł przy barze w Aschingerze na Friedrichstrasse i uciszył sumienie kilkoma piwami. Raz jeszcze wszystko dokładnie sobie przemyślał. Próbował spojrzeć na sprawy możliwie obiektywnie, wyjść poza swoją perspektywę. Zrozumiał, że był to znak od losu. Miał trochę więcej informacji niż wydział zabójstw, wiedział, że ofiara szukała kogoś w tym mieście. Może to właśnie była jego szansa. Dlaczego nie powinien jej wykorzystać? Przecież o to w życiu chodzi: by dostrzegać



szanse i je wykorzystywać. Przypomniał sobie słowa Brunona. „Zespół Gennata są to starannie dobierani ludzie. Musiałbyś wyskoczyć z jakąś bombą, żeby się tam dostać.” Nie, nie wyświadczy Böhnowi tej przysługi i nie podzieli się ze śledczym swoją skromną wiedzą na temat ofiary. Nie przyzna się do naruszenia regulaminu służbowego. Wprost przeciwnie, przedstawi prezydentowi policji rozwiązanie sprawy. A żeby to zrobić, musi najpierw dowiedzieć się więcej o swoim tajemniczym poprzedniku. Dobrze się składa, że może rozpocząć poszukiwania od własnej piwnicy.

Pół godziny później wszystkie pudła stały otwarte przy drewnianym przepierzeniu. W większości z nich znajdowały się książki. Mnóstwo książek, niemal wszystkie po rosyjsku. Rath nie potrafił przeczytać nawet ich tytułów, nie znał cyrylicy. Zidentyfikował jedynie album o Sankt Petersburgu – albo raczej o Leningradzie, jak teraz mówi się na to miasto. Dziwił się, że pisarz porzucił swoje książki na tak długi czas i przechowywał je w piwnicy. Prywatne rzeczy zajmowały tylko jedno jedyne pudło. W środku znalazł kilka listów, z którymi nie wiedział, co począć, również one były po rosyjsku. W jakimś stopniu udało mu się odszyfrować jedynie daty. Jego uwagę zwróciło to, że nie były ułożone w porządku chronologicznym. W pliku przewiązanym sznurkiem panował dziki nieład. Pośród listów leżały broszury z repertuarem Delphi Palast, teatru mieszczącego się przy Kantstrasse. Artystka Lana Nikoros, którą hucznie w nich zapowiadano, prezentowała na zdjęciu tajemniczy uśmiech. Mona Lisa mogła się przy niej schować. Kardakow był chyba ogromnym miłośnikiem piosenkarki, zbierał repertuary z kilku miesięcy, od października 1928 do marca 1929.

Poza tym Rath znalazł też kilka stron maszynopisu: najwyraźniej Kardakow posiadał maszynę do pisania z cyrylicą, ale zapewne ją ze

sobą zabrał. W piwnicy jej w każdym razie nie było. Pod maszynopisem leżała teczka ze zdjęciami – portretami jakiegoś młodego mężczyzny. Ponad wydatnym nosem znajdowały się ciemne głęboko osadzone oczy. Miał zapadnięte policzki i smutny wyraz twarzy, a usta wygięte w okazały łuk. Ta twarz wyglądała nieco jak kobieca. Rath podejrzewał, że spoglądał na niego Aleksiej Iwanowicz Kardakow we własnej osobie. Mężczyzna wyraźnie chciał wyglądać jak poeta i udało mu się to: faktycznie miał melancholijne spojrzenie rosyjskiego literata.

Rath wziął zdjęcia, zabrał również egzemplarz repertuaru Delphi Palast. Następnie upakował resztę rupieci z powrotem do komórki i poszedł na górę. Za wiele nie znalazł, w zasadzie to nic, co realnie pchnęłoby jego poszukiwania do przodu, ale był to jakiś początek.

Elisabeth Behnke spojrzała z rozczarowaniem, gdy Rath, wypiwszy jedną filiżankę herbaty – bez rumu – wstał i sięgnął po kapelusz oraz płaszcz.

– Już wpół do dziesiątej – oznajmiła. – Dokąd się wybierasz o tej porze?

– Jest piątek – odparł. – Idę potańczyć.

– Z kim? – Jej głos zabrzmiał nieco zazdrośnie.

Pokazał jej zdjęcie Kardakowa.

Noc była późna. Kontury kościoła Pamięci posępnie górowały ponad jasno oświetlonym gąszczem domów. Monstrualny kościół był jedyną budowlą w tej okolicy, która nie tonęła w świetle neonów. Zdawał się ostrzegać poszukiwaczy nocnych przygód samą swoją obecnością, ponuro milczącymi górami kamieni pośród nocnego gwaru. Rath minął kościół, zostawiając go po prawej stronie, i poszedł wzdłuż Kurfürstendammu, przecisnął się przez grupę donośnie śmie-

jących się turystów, po których wyraźnie widać było ilość wypitego przez nich alkoholu. Rath obstawiał, że pochodzą z okolic Stuttgartu, w każdym razie usłyszał silny południowoniemiecki akcent, gdy jeden z mężczyzn złożył niestosowną propozycję kobiecie, która właśnie przechodziła obok i nieśmiało spoglądała w bok.

– Naucz się najpierw mówić po niemiecku, jeśli chcesz, żeby jakaś Cię rozdziewoczyła – odpowiedziała mu kobieta, teraz już niesprawiająca wcale wrażenia nieśmiałej.

Grubianin ze Szwabii zrobił się czerwony i zamilkł, urażony, a jego kompani wybuchli błazeńskim śmiechem. Rath się zdenerwował. Z jakiegoś powodu niemal wszystkim prowincjuszom wydawało się, że w Berlinie muszą koniecznie się wyszumieć. W pewnym sensie cieszył się, że oprócz jego rodziców nikt z Kolonii nie wiedział, że mieszka teraz w tym mieście. Dzięki temu nikt nie mógł go odwiedzić. Po niektórych ze swoich dawnych przyjaciół spodziewałby się podobnego zachowania, jakiego doświadczył od przybyszów ze Szwabii upojonych winem.

Rath spojrzał na zegarek. Północ już minęła, ale poszukiwania stały w miejscu. Czuł w kościach długi dzień. Równie skrupulatnie, co bezskutecznie, obleciał wszystkie lokale, w których zazwyczaj prześiadawali Rosjanie. Gdy zaczynał brać ludzi na spytki w niewielkiej rosyjskiej knajpie przy Nürnberger Strasse, spodziewał się, że jego nocna akcja będzie łatwiejsza. Trafił do zadymionego lokalu z niskimi sufitami i kartą dań wypisaną cyrylicą, w którym sam już kiedyś siedział pod portretem cara i jadł solankę. Gdy zaczynał, mógł iść o zakład, że spotka tu kogoś, kto rozpozna Rosjanina ze zdjęcia. Przegrałby ten zakład, mimo że knajpa znajdowała się niecałe pięć minut drogi od jego mieszkania, czyli od mieszkania, w którym jeszcze parę tygodni wcześniej mieszkał Aleksiej Kardakow. W odpo-

wiedzi na pytania Ratha ludzie jedynie przecząco kręcili głowami. Albo Rosjanie nie chcieli puścić pary z ust, gdy ktoś odważył się wtargnąć do ich świata, albo Kardakow rzeczywiście nigdy nie odwiedzał tego lokalu. Rath obstawiał to pierwsze, gdyż nawet w bardziej otwartych kręgach spotkań intelektualistów słyszał jedynie „niet”, gdy pokazywał zdjęcie Kardakowa. Był pewien, że ktoś taki jak Aleksiej Kardakow bywał w tej okolicy, gdy budziły się w nim melancholijny nastrój oraz tęsknota za alkoholem i rodakami. Dzielnica Charlottenburg nadal uchodziła za centrum Rosjan w Berlinie. Stworzyli tu sobie swój własny świat, wypełniony rosyjskimi księgarniami, zakładami fryzjerskimi i knajpami; świat, w którym nikt nie musiał mówić ani słowa po niemiecku, żeby sobie poradzić. „Charlottengorod” – tak berlińczycy nazywali ten równoległy wszechświat.

Rath przeszedł na drugą stronę Augsburger Strasse i przeliczył swoje pieniądze. W mokrym bruku odbijał się neon z napisem „Bar Kakadu”. Przed wejściem nieustannie przystawały taksówki i wypływały na zewnątrz ludzi. Rath większość berlińskich barów poznał do tej pory ze względów czysto służbowych, a ten był jednym z niewielu miejsc, które parokrotnie odwiedził również prywatnie. Zajrzał tu przypadkiem pewnego wieczoru, gdy nie mógł zasnąć, i wałęsał się pomiędzy domami. Podobał mu się zespół jazzowy występujący na niedużej scenie i przygrywający do tańca. Ten bar znajdował się dokładnie w miejscu, w którym Joachimstaler Strasse i Augsburger Strasse zbiegały się przed skrzyżowaniem z Kurfürstendamm, a więc nie tak daleko od mieszkania Ratha. Chciał się jeszcze czegoś napić, zanim wróci do domu, byle nie herbaty z rumem.

Czerwono-złote pomieszczenie było wypełnione po brzegi. Panujący w środku gwar zagłuszał muzykę, na parkiecie na środku po-

mieszczenia tańczyło kilka par. Rath rozejrzał się dookoła. Wszystkie stołki przy długim barze znajdującym się w tylnej części lokalu były zajęte. Nad barem kakadu i inne rajskie ptaki wyginały się na szklanych taflach podświetlanych od tyłu. W blasku tych świateł zwinni barmani przyjmowali zamówienia, ochoczo się przy tym uśmiechając.

W Kakadu przeważnie przesiadywali ludzie z grubymi portfelami: lokal nie należał do najtańszych. Rath stanął pomiędzy dwoma mężczyznami, którzy wyglądali, jakby zaraz mieli spaść ze stołków, i ruchem ręki przywołał barmana. Mężczyzna pochylił się do niego, żeby przyjąć zamówienie, i spojrzął przy tym tak, jakby go znał. Rath jednak wiedział, że barman go nie kojarzy. Przyglądali mu się tak już podczas jego pierwszej wizyty, należało to do obowiązków obsługi. Każdy miał się tu czuć jak stały bywalec.

– Poproszę americano – powiedział, oparł się o ladę i zaczął przysłuchiwać się zespołowi. Choć muzyka podrywała do tańca, to naraz poczuł ogromne zmęczenie. Nic dziwnego, był na nogach od wczesnego ranka.

Barman wrócił i postawił szklanekę na blacie lśniącej czystością. Rath wrzucił mu w dłoń monetę jednomarkową i wyciągnął zdjęcie. Barman sprawiał wrażenie znudzonego. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Wzruszył ramionami. Zachowanie dyskrecji też należało do obowiązków obsługi.

Rath chciał tego uniknąć w tym lokalu, jednak położył służbową legitymację obok zdjęcia.

– Naprawdę nie widział pan tego mężczyzny?

Barman kolejny raz wzruszył ramionami.

– Tu codziennie tyle się dzieje...

– Jest Rosjaninem – dodał Rath i dyskretnie położył na ladzie kolejną monetę.

Barman jeszcze dyskretniej sprawił, że moneta zniknęła w jego dłoni, i pochylił się jeszcze bardziej.

– Rosjanie spędzają tu czas przeważnie w swoim towarzystwie – wyszeptał. – Niech pan ich zapyta. – Spojrzeniem wskazał kierunek. – Niech pan spróbuje szczęścia tam z tyłu, w rogu. Ale niech pan im nie mówi, że ja pana przysłałem.

Rath rozejrzał się dookoła. Na drugim końcu sali przy dwóch sąsiednich stolikach siedziało dziesięciu mężczyzn, nie było wśród nich ani jednej kobiety. Powoli przeszedł przez pomieszczenie: w jednej ręce trzymał szklanę, drugą schował do kieszeni. Grupa mężczyzn w ogóle nie zwróciła na niego uwagi, najwyraźniej byli pochłonięci jakąś zajmującą konwersacją. Rozmawiali po rosyjsku.

– Kameralne spotkanie wygnańców? – zapytał Rath. W odpowiedzi otrzymał złowrogie spojrzenia. Rozmowa natychmiast ucichła.

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam – powiedział, wskazując na odznakę na kamizelce, i dodał: – Policja kryminalna. Potrzebuję paru informacji o panów rodaku.

Rath wyciągnął zdjęcie z marynarki i pokazał je młokosowi z blond włosami.

– Zna pan tego mężczyznę? – zapytał. – Aleksiej Iwanowicz Kar-dakow.

Mężczyzna spojrzał na niego wielkimi niebieskimi oczami tak, jakby nie rozumiał ani słowa. Mimo to wyglądał, jakby doskonale wiedział o co chodzi.

Od sąsiedniego stolika wstało dwóch mężczyzn. Twarz jednego z nich szpeciła duża blina biegnąca w poprzek całego policzka. Nie

wyglądało to na draśnięcie, lecz na poważniejsze skaleczenie. Mężczyzna rzucił okiem na zdjęcie.

– Żaden z nas nie zna tego człowieka – powiedział ten z blizną.

Rath wiedział, że mężczyzna kłamie, zanim ten jeszcze w ogóle zdążył dokończyć zdanie.

– Och, jest pan taki pewien? – Wskazał na blondyna. – Pański przyjaciel nie zrozumiał mojego pytania. Byłby pan tak miły i przetłumaczył mu?

– Nie ma potrzeby, on pana zrozumiał. – Rosjanin się wyprostował. Pod czarnym materiałem garnituru Rath zobaczył silnie napięte mięśnie. Mężczyzna nie wyglądał, jakby chciał poprzestać na ich prężeniu. – A teraz proszę nas zostawić w spokoju – ciągnął człowiek z blizną. – My, Rosjanie, lubimy spędzać czas wśród swoich i sami załatwiamy swoje interesy. Nie lubimy, gdy Niemcy wtrącają się w nasze sprawy.

– Wtrącam się zawsze, kiedy mam na to ochotę – odparł Rath najbardziej prowokującym tonem, jaki mógł w tym momencie przybrać.

Przez moment obawiał się, że Rosjanin zaraz eksploduje. Jego twarz zrobiła się czerwona, a blizna wręcz fioletowa.

– Ma pan szczęście, że jest policjantem – powiedział człowiek z blizną. – My szanujemy siły porządkowe. Gdyby nie to, miałby pan teraz kłopoty. – Zrobił teatralną pauzę. – Duże kłopoty. Nikomu nie pozwalam rozmawiać ze sobą w ten sposób. Mam dobrą pamięć do twarzy. Niech się pan modli o to, żeby nigdy nie spotkał mnie pan prywatnie.

– Zawsze jestem na służbie.

– Dobry policjant nie pije na służbie – powiedział Rosjanin i wskazał na szklanekę w dłoni Ratha.

– W takim razie może jestem złym policjantem – oświadczył Rath i wziął łyk. Jakkolwiek zażenowany był, zachowując się jak samiec alfa, to nie miał zamiaru skapitulować przed tą umięśnioną małpą.

Jednak teraz Rosjanin stał się bardziej uprzejmy. Rzucił okiem na zdjęcie, wziął je od Ratha i sprawiał wrażenie zainteresowanego.

– Naprawdę z wielką chęcią pomogliśmy panu, ale już mówiłem, żaden z nas nie widział tego mężczyzny.

– Wolałbym sam zapytać o to pańskich przyjaciół – odparł Rath i wyciągnął papierosa z paczki.

– Nie ma takiej potrzeby. Wszyscy powtórzą moje słowa. – Rosjanin usłużnie wyciągnął pudełko zapalek i podał je komisarzowi.

Spojrzenie na grupkę mężczyzn uświadomiło Rathowi, że człowiek z blizną ma rację – wszyscy powiedzą *to samo*.

– Może pan zatrzymać zdjęcie – odparł, odpalając papierosa. – Na wypadek, gdyby coś się jednak panu przypomniało. Nigdy nie wiadomo. – Dopił drinka i odstawił szklanekę na stół pomiędzy kieliszki z wódką. – Często tu zaglądam. Do zobaczenia.

Powiedziawszy to, odwrócił się i odszedł od Rosjanina. Po raz pierwszy tego wieczora był pewien, że trafił na ludzi, którzy znali Aleksieja Iwanowicza Kardakowa. Nawet jeśli oni sami nigdy by się do tego nie przyznali. W tej kwestii mógł polegać na człowieku z blizną: nikt z tej grupy nie puściłby pary z ust w obecności niemieckiej policji. Przynajmniej do czasu, dopóki w pobliżu znajdował się któryś z tych dwóch umięśnionych Rosjan.

Dla Ratha nie miało to jednak znaczenia. Choć ze zmęczenia nie mógł powstrzymać ziewnięcia, gdy wyszedł przed Kakadu, to był w świetnym nastroju, ruszając z powrotem na Nürnberger Strasse. Cieszył się swoim małym sukcesem, w końcu miał jakikolwiek punkt



zaczepienia. Wiedział też, gdzie powinien kontynuować poszukiwania. „Cukiernia Café Berlin” – informował napis na pudełku zapalek.

## 9

Gdy w sobotni rano Rath przyszedł do biura – nieco skacowany, nieco spóźniony i bardzo zmęczony – Wolter siedział już na swoim miejscu i walił w klawisze maszyny do pisania. Dźwignie czcionkowe uderzały o papier, wydając odgłosy niczym strzały z pistoletu.

– Dzień dobry – przywitał go Rath i powiesił płaszcz oraz kapełusz na wieszaku obok drzwi.

Wujek tylko na chwilę spojrzał na niego i uniósł jedną brew.

– Dzień dobry – odpowiedział na przywitanie. – Wczorajszy wieczór Ci się przeciągnął?

– Trochę – przyznał Rath. – Stephan jeszcze nie przyszedł?

– Dziś go nie będzie. Dopiero co dzwonił z policji politycznej. – Maszyna do pisania hałasowała dalej, podczas gdy Wolter nadal mówił. – Wydział IA jeszcze go potrzebuje.

– A *nasze* śledztwa?

– Nie dziś. Kwestie obyczajowe muszą poczekać. Nadal zajmujemy się działalnością polityczną. – Wolter bez przerwy uderzał w klawisze i widać było po nim, że mu to zadanie nie odpowiada. W soboty Lieselotte Schmittchen, jego sekretarka, nie pracowała. Przeważnie to ona wykonywała większość prac biurowych. – To prawie jak śledztwo w sprawie morderstwa. Powinieneś właściwie czerpać z tego przyjemność.

Rath udał, że nie dosłyszał aluzji.

– Mogę zabrać się za przelewanie moich wczorajszych przygód na papier?

– Proszę bardzo. Pruska policja jest w tym zakresie świetnie wyposażona. – Wolter wskazał na biurko Ratha, na którym stała starannie zapakowana maszyna do pisania. – Wiedziałeś, że w inwentarzu mamy więcej maszyn do pisania niż sztuk broni?

– Mówisz o wydziale kryminalnym czy o całej policji?

Wolter wzruszył ramionami.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby nawet nasza armia miała więcej maszyn do pisania niż karabinów.

Rath usiadł przy biurku i zdjął z adlera folię ochronną. Przedwojenny model. Czarna maszyna przypatrywała mu się wrogo.

– Udało Ci się wczoraj ukontentować naszego drogiego doktora komunistę? – zapytał Wujek, nie podnosząc wzroku znad klawiatury.

– Völcker? Bój to będzie ostatni – odpowiedział krótko Rath i zaczął szukać papieru w szufladach biurka.

– Niezłe. – zaśmiał się Wolter. Wreszcie przerwał pisaninę.

– Nie ja to wymyśliłem, tylko doktor Schwartz. Zna czerwonego doktora od czasów studiów.

– I co takiego jeszcze powiedział doktor Schwartz? Völcker dał mu popracować w spokoju?

Rath przytaknął.

– Mniej więcej. Na początku zgrywał oburzonego komunistę, ale podczas oględzin zachowywał się zdumiewająco spokojnie. Nawet to, że Schwartz bez ustanku z niego drwił, zdawało mu się nie przeszkadzać.

– Oczywiście, że nie. Takim ludziom nigdy to nie przeszkadza. Dlatego stali się tym, kim są.

– Być może. Ale z rezultatu Völcker też może być zadowolony. Wyszło na jego. Rzeczywiście wystarczył *jeden* jedyny pocisk, by

obie kobiety zginęły. Nabój przebił klatkę piersiową młodszej kobiety, a potem wbił się w serce. Starszą trafił jedynie w ramię, ale umarła na niewydolność serca. Najpewniej ze strachu.

Wujek zrobił zdeglustowaną minę.

– Najbardziej mnie denerwuje to, że komuniści jeszcze zbijają na czymś takim kapitał. I to wyłącznie dlatego, że socjaliści są zbyt głupi, żeby porządnie zaplanować tego typu akcję. – Energicznie wyciągnął kartkę z maszyny. – Może to w jakimś stopniu pomoże nam wykaraskać się z tarapatów – powiedział i zamachał arkuszem w powietrzu. – Kto powiedział, że nie była to jednak kula wystrzelona przez komunistów? W każdym razie żaden tam policyjny nabój.

– Co z Twoim raportem? – spytał Rath. – Już gotowy?

Wolter przytaknął.

– Ludzie Wündischa chcieliby, żeby wszystko dostarczać im niezwłocznie.

Dyrektor Wündisch kierował policją polityczną. Jego wydział IA badał też przypadki śmiertelne w trakcie majowych zamieszek. Rath przebiegł wzrokiem po kartce. Wspaniały okaz policyjnego sprawozdawstwa: zwięzły, rzeczowy i precyzyjny. Wolter nie zapomniał o dokładnym opisanie udziału doktora Völckera, przede wszystkim tego, że to właśnie on wyciągnął kulę z przepierzenia. Sformułował to w taki sposób, że wręcz nasuwało się podejrzenie, iż to komunista podmienił pocisk, a w każdym razie mógłby go podmienić. W ten sposób nabój stracił swoją wartość jako materiał dowodowy.

– To była policyjna kula – zaprotestował Rath. Nie podobał mu się sposób, w jaki sprawozdanie mijało się z prawdą. Z drugiej strony, co innego im pozostawało? Doktor Völcker też przeinaczyłby prawdę, gdyby tylko miał z tego jakąś korzyść. Przynajmniej takie wraże-

nie sprawiał w kostnicy, dlatego też protest w głosie Ratha zabrzmiał zatem raczej niemrawo.

– To był spiczasty pocisk, taki jak te, których używamy w naszych karabinach. – Zgodził się z nim Wolter. – Sam zaniósłem go do balistyki. I jest to jednocześnie spiczasty pocisk, który dał mi komunista. Czego to dowodzi? Są komuniści, którzy zbierają policyjne kule.

Rath musiał jeszcze przemyśleć stosunek Woltera do prawdy, gdy już po służbie siedział w kawiarni przy Tauentzienstrasse ze stertą gazet na stole. Wiedział oczywiście, że są różne wersje prawdy. Wiedział to każdy funkcjonariusz policji i podczas każdej rozprawy sądowej przekonywał się o tym na nowo. Było mnóstwo zmyślnych adwokatów, którym udawało się podawać w wątpliwość kwestie bezsporne. Tym ważniejsza była praca policji – dostarczenie prokuratorowi niezbitych dowodów, których żaden adwokat nie będzie w stanie podważyć. A Wolter? Zrobił coś dokładnie przeciwnego: swoim sprawozdaniem sprawił, że materiał dowodowy stał się zupełnie bezużyteczny. Oczywiście tylko po to, żeby uchronić policję przed atakami komunistów. Ale czy cel faktycznie uświęca wszystkie środki?

Gdyby Wolter i Völcker, glina i komunista, stanęli przed sądem i przedstawiali różne wersje prawdy – każdy swoją – czyją stronę wzięłby świadek Gereon Rath? Właściwie nie miał potrzeby się nawet nad tym zastanawiać. Nie do pomyslenia było, żeby policjant zeznawał przeciwko policji. Mógłby się wtedy od razu spakować. Pewnie wykręciłby się tym, że w ogóle niczego nie widział. Ale nawet teraz podle się z tym czuł.

Czy to sprytnie sfalszowane sprawozdanie miało być kolejną lekcją? Już wielokrotnie odnosił wrażenie, że Bruno starał się go czegoś

nauczyć, zaznajomić prowincjonalnego glinę Gereona Ratha z berlińskimi zwyczajami. Wiedział, że Bruno go docenia i on również darzył doświadczonego kolegę dużym szacunkiem, ale nie do końca wiedział, co myśleć o tych naukach. Najpierw wybuch agresji na rusztowaniu, a teraz lekcje z naginania prawdy. Ale może trzeba potrafić takie rzeczy, żeby przetrwać w tym mieście? Może wykazał się zbyt dużą naiwnością nawet jak na tak prowincjonalne miasto jak Kolonia? Może właśnie dlatego LeClerk dał mu aż tak popalić tą kampanią prasową?

Rath przypomniał sobie moment, w którym po raz pierwszy spotkał Alexandra LeClerka. Twarz niczym z betonu, twarz mężczyzny, którego wezwano, aby zidentyfikował zwłoki syna. Leżący na marmurowym stole martwy mężczyzna już nie przypominał szaleńca strzelającego do niczego nieprzeczuwających przechodniów. Był to tylko młody, blady mężczyzna z martwymi oczami, który nie dożył trzydziestu lat, ponieważ inny mężczyzna nacisnął na spust. Ponieważ Gereon Rath nacisnął na spust.

Minęli się na korytarzu zakładu medycyny sądowej w milczeniu – policjant i ojciec ofiary. Rath nie wiedział, co powiedzieć. Jak zachować się wobec mężczyzny, któremu zabił syna? Niepewnie wyciągnął na chwilę rękę, żeby złożyć kondolencje, doskonale wiedząc, jak bardzo było to niestosowne. LeClerk nawet na niego nie spojrzał. Betonowa twarz ani drgnęła, nie było w niej żałoby ani gniewu.

Alexander LeClerk – jeden z najbardziej znaczących wydawców prasy w Kolonii.

Niedługo później się zaczęło. Co dzień jakiś nagłówek. Pierwszy: „Grad kul w dzielnicy Agnesviertel. Czy nasza policja zbyt pochopnie sięga po broń?”. Nazwisko Gereona Ratha pojawiło się już w pierwszym artykule, najwyraźniej LeClerk podał swoim dzienni-

karzom najważniejsze szczegóły. W samym tylko pierwszym artykule przytoczono nazwisko Ratha pięciokrotnie, wspomniano też, że chodzi o syna znanego Engelberta Ratha. „Zabójca Gereon Rath”. Ależ go te słowa dotknęły! Każda sylaba była niczym pocisk. Jego ojciec próbował jakoś zareagować, lecz to tylko podsyciło nagłówkową wojnę LeClerka: Ratha seniora również obrzucono błotem. Działo się to mniej więcej w czasie, gdy z linii strzału usunięto Gereona Ratha i udzielono mu urlopu na czas rozprawy. Jednak gdy po uniewinnieniu stawiał się do służby, nagłówki posypały od nowa, z większą siłą niż kiedykolwiek wcześniej.

Widocznie LeClerk chciał jego głowy, bez względu na koszty. Zemsta publicysty za śmierć syna. Wydawał się zdeterminowany, by nie dać odpocząć swoim dziennikarzom, dopóki policyjna kariera komisarza kryminalnego Gereona Ratha nie legnie w gruzach. Gdy jasne się stało, że pracując w policji, Rath nie zazna już ani chwili spokoju, jego ojciec opracował plan. Wraz z Ottonem Bauknechtem, prezydentem kolońskiej policji, zaczął przekonywać syna i ten w końcu zgodził się zrobić tak, jak radził mu ojciec. Engelbert Rath użył swoich znajomości z *drogim Karlem* – od wspólnych kolońskich czasów mówił do prezydenta berlińskiej policji Karla Zörgiebela na Ty – i w ten sposób zorganizował synowi przeniesienie do Berlina. W tym samym czasie rozsiewał w Kolonii fałszywe plotki.

Gdy ukazał się ostatni artykuł, Gereon Rath siedział już w pociągu do Berlina. Przynajmniej tym razem polityka dezinformacji jego ojca odniosła skutek. W Kolonii prawdę znali jedynie Engelbert Rath oraz Otto Bauknecht, z kolei w Berlinie tylko prezydent policji Zörgiebel zaznajomiony był z kolońską przeszłością komisarza kryminalnego Gereona Ratha, Inspekcja E, Alexanderplatz. Przydzielono go akurat do obyczajówki, ponieważ tam mieli wakat. Jednak Engelbert Rath

umiał dostrzec pozytywne aspekty także tej sytuacji. „Tam przynajmniej szybko nie znajdziesz się w sytuacji, w której będziesz musiał strzelać” – powiedział synowi na pożegnanie, gdy podawali mu walizki do przedziału. Rath nie pomachał rodzicom, kiedy pociąg ruszył. W milczeniu przyglądał się, jak peron oraz żegnający się ludzie oddalają się, aż w końcu widok przysłoniła stalowa konstrukcja mostu Hohenzollern. Spojrzał ostatni raz na katedrę, potem rozłożył gazetę i przeczytał nagłówki: „Zabójca odchodzi ze służby”.

Rath przekonał się, że prawda to pojęcie względne. Może powinien pobierać nauki od Weinerta, jego sąsiad działał przecież tej samej branży co LeClerk. Przy całej Kochstrasse w redakcjach gazet naginali prawdę tak długo, aż wpasowywała się do danego wydania: tu coś opuszczali, tam przeformułowali.

Choć kawa wystygła, Rath wziął jeszcze jeden łyk i spojrzał na górę papierów na biurku. Przejrzał już około tuzina gazet i choć niemal wszystkie były gazetami obywatelskimi i poświęcały wydarzeniom ostatnich dni tyle samo uwagi, to każda z nich prezentowała inny obraz majowych niepokojów. Zgodność panowała jedynie co do tego, że były to najgwałtowniejsze zamieszki uliczne od dziesięciu lat. Poza tym podawano nawet rozbieżne informacje dotyczące ilości ofiar śmiertelnych. Niektóre gazety przedrukowywały któryś z oficjalnych komunikatów policji, inne czytało się jak powieści przygodowe czy dzienniki wojenne. Rath zastanawiał się, skąd dziennikarze brali takie informacje. Wyglądało na to, że reporter dziennika „Tagesblatt” przynajmniej był na miejscu, czyli prasa liberalna nie zdawała się jedynie na oficjalne obwieszczenia. „Vossische Zeitung” przedrukowała wprawdzie raport prezydenta policji, ale oznaczyła go jako cytaty i umieściła obok własnych sprawozdań. Ta



gazeta ukuła określenie „krwawy pierwszy maja w Berlinie”, a nazwa „krwawy maj” obiegła już miasto.

Ogromna akcja berlińskiej policji nie zebrała pozytywnych ocen. Zarówno konserwatywna, jak i narodowa prasa uważała ją w gruncie rzeczy za słuszną, lecz partacko przeprowadzoną operację – po socjalistach nie spodziewano się po prostu aż tak stanowczych działań. Krytyka ze strony liberalnych gazet początkowo koncentrowała się na prawicowych i lewicowych radykałach, „którzy zachłysłni się wyobrażeniem, że ostre burdy z czasem mogą przerodzić się we wnoszącą świeżość, radosną wojnę domową” – jak to sformułowała „Vossische Zeitung” – jednak z upływem czasu również liberałowie potępili zachowanie sił policyjnych: określili je jako niewspółmierne brutalne. Wśród zabitych było zbyt wiele osób postronnych, żeby można uznać akcję za stosowną do okoliczności. Nad Zörgiebelem zbierały się czarne chmury. Przyjaciel ojca ponosił pełną odpowiedzialność za bezpardonową akcję policji, ponieważ wprowadzeniem surowego zakazu demonstracji wręcz sprowokował rozruchy. W całej reszcie Niemiec demonstracje majowe przebiegły spokojnie, jeśli pominąć może kilka bijatyk między socjalistami a komunistami.

Rath wcale nie szukał negatywnych opinii na temat Zörgiebela, gdy wysiadł z metra przy Wittenbergplatz i zagrzebał się w gazetach w Café Zuntz. Chciał dowiedzieć się więcej o innej policyjnej interwencji, tej, którą majowe zamieszki w każdej bez wyjątku gazecie zepchnęły na ostatnie strony. W przypadku nieboszczyka z kanału Landwehr dzienniki wykazały się wyjątkową zgodnością. Wszystkie opisywały sprawę jako „tajemniczą śmierć w kanale Landwehr”. Każdy podawał te same szczątkowe informacje, publikował zdjęcie ofiary oraz zadał pytanie: „Kto zna tego człowieka?”. A więc

współpraca Zamku z prasą przynosiła efekty, do poszukiwań przyłączyły się wszystkie ważne gazety. Co innego miały zrobić? Tworzenie własnej prawdy w prasie opierało się przede wszystkim na sztuce pomijania, lecz w tym przypadku pismaki miały tak niewiele danych, że nie mogły pominąć niczego.

Pogrążony w myślach Rath mieszał w prawie pustej filiżance kawy i przez okno przyglądał się kłębowskiemu tłumowi krzątających się w sobotnie popołudnie przed domem towarowym Kaufhaus des Westens. Delikatnie się uśmiechnął, nie zdając sobie z tego sprawy. Böhm szuka całkowicie po omacku. Inspekcja A ma ciało człowieka, ale nie zna nawet jego nazwiska. Dla Ratha nadeszła szansa, żeby dołączyć do gry, zrobić ogromny krok do przodu.

– Podać panu jeszcze jedną kawę?

Do stolika podszedł kelner. W jego minie było coś urażonego. Rath zmierzył go wzrokiem od góry do dołu, jakby powierzchowność obsługi miała duży wpływ na chęć wypicia kolejnej kawy.

– Nie, dziękuję. Chciałbym zapłacić – powiedział w końcu. Dość już się naczytał. Nadszedł czas na działanie.

– Chce pan zapłacić? Oczywiście. – Kelner sprawiał wrażenie niewzruszonego. – A więc jednak istnieje uzasadniona nadzieja, że pozostali goście naszego lokalu będą dziś mogli oddać się lekturze prasy.

Powiedziawszy to, szybko się oddalił, żeby przynieść rachunek. Rath nie czekał do jego powrotu. Położył pieniądze na stoliku. Wyrwał z „Tageblatt” zdjęcie martwego Borysa i wziął je ze sobą. Miał teraz portrety dwóch Rosjan. Być może okażą się pomocne.

Dom czynszowy przy Luisenufer był mu już dobrze znany, tylko tym razem poszukiwania Aleksieja Kardakowa interesowały go znacznie bardziej niż jeszcze pięć dni wcześniej. Na podwórzu ktoś trzepał dywan. Rath wszedł na korytarz. Na klatce schodowej pachniało środkami czystości.

Zaczął od samego dołu, od mieszkania dozorca: na tabliczce przy dzwonku znajdowało się nazwisko Schäffner. Zadzwoił do drzwi. Nikt nie otworzył. Po chwili ponownie nacisnął przycisk i w końcu usłyszał jakieś odgłosy. Odsunięto zasuwę, w zamku przekręcił się klucz. Drzwi nieco się uchyliły i przez szparę wyjrzała wielka głowa kobiety.

– Tak?

– Proszę wybaczyć, że nachodzę panią w sobotę...

Chwilę Rathowi zajęło, nim zinterpretował jej nic nierozumiejące spojrzenie, potem się poprawił:

– Miałem na myśli Sonnabend... – Również językowo jeszcze nie do końca zadomowił się w mieście. „Sonnabend”, tak berlińczycy nazywali sobotę, inaczej niż Rath, który jako rodowity kolończyk posługiwał się nazwą „Samstag”. – Policja kryminalna – ciągnął dalej – czy mógłbym zadać pani kilka pytań?

– Ale pan nie jest stąd! – Przez szparę w drzwiach pobrzmiwała nieufność. – Może się pan wylegitymować?

Przyłożył legitymację do szpary w drzwiach.

– A czego pan chce?

– Może mógłbym najpierw wejść?

Przesunęła się na bok i otworzyła drzwi na oścież.

– No to niech pan wchodzi, zanim cały dom się dowie, że przyszła policja. Ale niech pan mi tu nie nabrudzi!

Grzecznie wytarł buty i wszedł do środka. Reszta ciała kobiety była równie olbrzymia, co głowa. Jakoś udało mu się obok niej przecisnąć.

– Dlaczego chce pan rozmawiać właśnie ze mną? – ciągnęła, nie czekając na odpowiedź. – Niech się pan cieszy, że mojego Hermanna nie ma teraz w domu, on to by panu opowiedział! Nie ma pan ważniejszych rzeczy do roboty? To jest porządny dom, nigdy nie mieliśmy tu policji.

Na wieszaku w przedpokoju wisiała brązowa czapka od munduru.

– Czy pani małżonek jest aktywny politycznie? – Rath przerwał potok słów.

– Trzeba, skoro komuniści robią się coraz bardziej zuchwali, a policja nie daje sobie z nimi rady.

Kobieta zaprowadziła go do salonu urządzonego w staromodnym, drobnomieszczańskim stylu. Choć i tu pachniało środkami czystości, to mieszkanie wydało się Rathowi jakieś zatęchłe. Gospodyni poszła za Rathem, przeciskając swoją korpulentną sylwetkę przez drzwi salonu. Na ścianie wisiał portret Hindenburga, tuż obok niego – wizerunek cesarza. Byłego cesarza. Obaj spoglądali na gościa surowym spojrzeniem. Rath przypomniał sobie ich sobowtórów z atelier Köni-ga.

– Niech pan usiądzie, panie...

– Rath. Komisarz kryminalny Rath.

– A więc w końcu przejrzał pan Liebigów, tych z oficyny?

Zapadł się głęboko w żółtym fotelu.

– Kogo?

– No, jeśli oni nie są komunistami, to niech mi tu kaktus wyrośnie! Liebig też wyszedł na ulicę pierwszego maja, chociaż tego zabronili. Ale Ci pańscy drodzy koledzy go nie złapali. Wrócił dum-

ny jak paw i się chełpił, z czerwoną flagą zwiniętą pod pachą. A jego żona... no, mówię panu!

– Dziękuję bardzo! Przekażę informacje, które od pani dostałem...

– Miał pewność, że nie wyczuła jego sarkazmu. Ze zdumieniem przyglądał się, jak tusza kobiety wgniata siedzisko sofy aż do samej podłogi. – ...ale, droga pani Schöffner, chodzi mi o coś innego.

Kobieta nieustannie wierciła się na kanapie.

– Ja nie mam za dużo czasu. Przerwał mi pan porządki domowe.

– Szukam mężczyzny, który powinien tu mieszkać, ale najwyraźniej tego nie robi.

Spojrzała na niego tępo.

– Czy nazwisko Aleksiej Iwanowicz Kardakow coś pani mówi?

– Rosjanin? Nie! W tym domu nie mieszka żaden Rosjanin.

– Nikt nie wprowadził się tu w ciągu ostatnich dwóch miesięcy?

– Stąd? Nie. Z pierwszej oficyny w podwórzu wyprowadził się Brückner, to znaczy mój Hermann wyrzucił tę czerwoną świnię, bo nie płaciła czynszu. Mieszka tam teraz ktoś nowy. Ale to Niemiec, żaden Rosjanin.

– Kardakow mieszka w Niemczech od długiego czasu. Może w ogóle pani nie zauważyła, że jest Rosjaninem.

– Niech mi pan wierzy, zauważyłabym. Poza tym on ma niemieckie nazwisko.

– To znaczy jakie?

Zastanowiła się.

– Müller czy Möller... Jakieś takie pospolite. Teraz, kiedy pan o to zapytał, uświadomiłam sobie, że sama tego dokładnie nie wiem. Pewnie dlatego, że jeszcze nie widziałam tego mężczyzny. Nazwiska zapamiętuję, tylko jeśli połączę je z twarzą.

– Jeszcze go pani nie widziała? – Rath nie potrafił uwierzyć, że tej kobiecie mogło umknąć cokolwiek, co działo się w tym domu. Pan Müller czy Möller musiał być niewidzialny. Albo być Indianinem tropicielem.

– Nie. – Wzruszyła ramionami, jakby sama dziwiła się tej luce w wiedzy. – Ale mój mąż na pewno go widział, to on ściąga czynsze.

– Jak długo mieszka tu ten mężczyzna?

– Nie za długo, już mówiłam. Może miesiąc. Wiem tyle, że pracuje jako nocny stróż w fabryce Osram. Tak mówił Hermann. W ciągu dnia śpi. Może pan zapytać wszystkich mieszkańców, prawie w ogóle się nie pokazuje.

– Jeszcze jedno pytanie... – Wyciągnął z kieszeni stronę wyrwaną z gazety i przesunął zdjęcie martwego Rosjanina po stole. – Widziała pani może już kiedyś tego mężczyznę?

Z zaciekawieniem spojrzała na fotografię. Pokręciła przecząco głową. Potem jednak go rozpoznała.

– To ten z gazety! To ten nieszczęśnik, którego wyciągnęli z kanału! Czy to ten pański Kardakow?

– Nie, to inna sprawa – odparł szybko Rath i schował wycinek gazety. Pudło. Pokazał jej fotografię wydrukowaną na błyszczącym papierze. – To jest Kardakow.

– Nigdy go nie widziałam.

Przyszło mu do głowy jeszcze jedno pytanie.

– Niech mi pani powie... Czy parę dni temu słyszała pani jakąś nocną kłótnię? Tu przed domem?

– Okna naszej sypialni wychodzą na podwórze. Od frontu tramwaj robi straszny hałas, więc nie słyszymy, co dzieje się na ul... – przerwała. – Chwileczkę! Którejś z ostatnich nocy doszło na podwórzu do jakiejś awantury. Tak się ten ktoś wydzierał, że pospadaliśmy

z łóżka. Hermann chciał już interweniować. Ale gdy wyszedł na zewnątrz, to nikogo już nie było. Pewnie ktoś inny zaprowadził porządek. To z tego powodu szuka pan Kardakowa, ktoś z domu się poskarżył? Mogli przecież przyjść też do nas, Hermann by się tym zajął.

– Pewnie kłóciło się dwóch Rosjan – drażył Rath.

– Jeden z nich był Rosjaninem, zgadza się. Ale ten drugi był Niemcem.

– Niemcem? Jest pani pewna?

– Całkowicie. To przecież on zaprowadził tam spokój. Oczywiście, że to Niemiec!

– A kiedy to było?

Zastanowiła się przez chwilę.

– Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że w poniedziałek albo we wtorek. Jakoś na początku tygodnia.

Spojrzała na zegar wiszący na ścianie.

– No, dobrze. – Wstała. – A teraz muszę pana poprosić, żeby pan już sobie poszedł. Nie skończyłam jeszcze sprzątać domu, a muszę jeszcze wziąć się za gotowanie. – Rath zdziwił się, jak szybko kobieta zebrała się z kanapy. Nawet on miał trudności z podniesieniem się z fotela, w którym prawie się utopił. – Niech się pan rozejrzy po oficynie – zawołała za nim – policja powinna się zająć Liebigami.

Gdy znów wyszedł na zewnątrz, faktycznie skierował kroki do pierwszej oficyny. Jego ciekawość budziła nie tyle rodzina Liebigów, ile niewidzialny, jak się zdawało, mężczyzna. Wyszedł na podwórze, i od razu głęboko zaczerpnął powietrza, ucieszony, że uciekł od ostrych zapachów środków czystości. Trzepak stał pusty, na podwórzu nie było żywej duszy, jakby już rozeszła się informacja, że w bu-

dynku jest policja. Z drugiego podwórza dochodził dźwięk piły tarzowej.

Jedna ze skrzynek na listy przy oficynie wskazywała na to, że rzeczywiście mieszka tu jakiś pan Müller. Czyżby Kardakow przybrał najbardziej banalne ze wszystkich niemieckich nazwisk? A może naprawdę mieszkał tu jedynie nocny stróż zakładów Osram? Rath wszedł po schodach na pierwsze piętro i zadzwonił do drzwi. Z mieszkania nie dochodziły żadne dźwięki. Nasłuchiwał pod drzwiami. Cisza. „Nie pokazuje się całymi dniami” – powiedziała gruba żona dozorca. Rath spojrzął na zegarek. Dochodziło wpół do piątej. Pracownik nocnej zmiany powinien już od dawna być na nogach, lecz nawet po kolejnym dzwonkowym szturmie nikt nie otworzył. Jedyny dźwięk, jaki dochodził z mieszkania, to dźwięk dzwonka. Pan Müller był głuchy albo poza domem.

Skoro już stał na klatce schodowej, to poszedł na wyższe piętro i zadzwonił do Liebigów. Jednak tam też panowała cisza.

Wyszedł z powrotem na ulicę, zapalił papierosa, żeby móc się lepiej zastanowić. Chciał wyrzucić zapałkę przed domem, ale zaniechał tego, bo zobaczył zarys wielkiej głowy w jednym z okien na parterze. Pani Schöffner wykazywała dokładnie taką ciekawskość, jakiej Rath się po niej spodziewał. Tym dziwniejsze, że jeszcze nigdy nie widziała pana Müllera. Rath stuknął w rondo kapelusza w geście pożegnania i ucieszył się, gdy głowa zniknęła.

Z tym adresem było coś nie tak. Postanowił złożyć kolejną wizytę w domu przy Luisenufer w przyszłości. Musiał się dowiedzieć, kim jest ten niewidzialny pan Müller. Albo mówił z rosyjskim akcentem, albo Kardakow najzwyczajniej w świecie pozostawił Elisabeth Behnke fałszywy adres. Którakolwiek z odpowiedzi okaże się słuszna, jedno było pewne – Aleksiej Iwanowicz Kardakow zapadł się pod zie-



mię i nie chciał, by go odnaleziono. Rath nie wierzył już w to, że do tej sytuacji doprowadziły wyłącznie zaległości w uiszczeniu czynszu. Nie po tym, jak wyłowiono zwłoki z kanału Landwehr. Zniknięcie jednego Rosjanina i śmierć kolejnego musiały mieć ze sobą jakiś związek.

Do tego dochodziła kolejna nieścisłość. Rath zastanawiał się, czy spotkał już kiedyś pana Müllera. Może był to ten niski mężczyzna w przydużym kapeluszu, ten sam, który podczas jego pierwszej wizyty zdał mu relację z kłótni dwóch Rosjan? Pani Schäffner z uporem twierdziła, że Rosjanin pokłócił się z Niemcem. Kto mówił prawdę?

W każdym razie coś zdawało się być na rzeczy z tymi nocnymi awanturami. Także tu, przy Luisenufer, Kardakow szukał Borysa. Pytanie brzmiało: czy go znalazł? Z takiego założenia Rath wyszedł jeszcze w trakcie swoich pierwszych odwiedzin w tym domu, gdy usłyszał dwóch Rosjan ryczących na siebie. Jeśli prawdą jest jednak to, że tylko jeden awanturnik mówił po rosyjsku, to nasuwał się zgoła inny wniosek. Wtedy odbyłaby się podobna scena, co przy Nürnberger Strasse – Borys dzwoni do drzwi obcego mężczyzny i wrywa go z łóżka, po raz kolejny przekonany, że to Kardakow. Wybucha awantura i Borys się wynosi. Niedługo później zostaje zamordowany przez Kardakowa, który zniknął i któremu ktoś najwyraźniej mocno zalażł za skórę. Ale jaki sens miałyby wtedy tortury? Jakie informacje Kardakow chciał z niego wycisnąć? I dlaczego mężczyzna zmarł wskutek zatrucia heroiną?

Zanim Rath, zmęczony wszedł po schodach na dworzec przy Kottbusser Tor, zgasił butem niedopałek. Z którejkolwiek strony by się sprawie przyjrzeć, to nadal nie miała żadnego sensu. Znał to uczucie, bo często towarzyszyło mu na początku śledztwa. To się jednak

jeszcze zmieni. Musiał uzbroić się w cierpliwość. I nie wolno mu odpuścić.

Wsiadł do pociągu i przejechał trzy stacje, kierując się na zachód. Wsiadł przy Möckernbrücke. Chciał zobaczyć miejsce śmierci Rosjanina.

## 10

Widział ją już, gdy przechodził ponad kanałem. Przy Tempelhofer Ufer, tuż przy moście, w ogrodzeniu okalającym brzeg zionęła dziura. Zabezpieczono ją deskami pomalowanymi na biało-czerwono. Prawie żaden przechodzień nie zwracał uwagi na prowizoryczne bariery. Gdy już doszedł do Tempelhofer Ufer, Rath wyciągnął ostatniego overstolza z paczki i spojrzął na zegarek. W cieniu drzew, które ciągnęły się wzdłuż przybrzeżnej promenady, stała ławka. Usiadł na niej. Wydawało się, jakby bez celu błądził wzrokiem w oddali, lecz on rejestrował każdy szczegół. Po jego lewej stronie auto przebiło się przez ogrodzenie. Jedno z drzew miało duży ubytek w korze. Wyglądało na to, że wóz dość precyzyjnie wpasował się w lukę pomiędzy dwoma drzewami. I to z nieboszczykiem za kierownicą! Rath próbował sobie wyobrazić, jaki przebieg mogło mieć całe to zajście. Martwy Borys siedział w aucie, dłonie i stopy miał pogruchothane. Kto zatem prowadził? Albo w samochodzie siedział ktoś jeszcze, ktoś, kogo nie znaleźli, albo też ktoś zablokował pedał gazu. Rath z chęcią poznałby więcej szczegółów śledztwa. Jednak poza tym, co usłyszał w kostnicy, i szczątkowymi informacjami z gazet, nie wiedział niczego.

Wstał i trochę poszwendął się po okolicy. Przeszedł przez ulicę i przyglądał się domom przy Tempelhofer Ufer. Wszystkie wyglądały na całkiem porządne czynszówki, okolica nie przypominała zamieszkaną przez przestępców. Na moście, po drugiej stronie Möckernstrasse, znajdował się kiosk, poza nim nie było tu żadnych

sklepów, jedynie domy mieszkalne, biura i dworzec towarowy. Rath powoli mijał wejścia do domów i czytał nazwiska na skrzynkach na listy. Nie było wśród tych nazwisk żadnego Kardakowa, ale w zasadzie nawet na to nie liczył.

Za kioskiem rozciągał się teren dworca towarowego Anhalter Bahnhof. Pewnie budka zaopatrywała w papierosy, gazety i piwo głównie pracowników kolei. Rath poszedł w stronę sklepiku, ponieważ nie miał już czego palić. Poza tym właściciele kiosków byli częstokroć wdzięcznymi rozmówcami dla policjanta: niejedno słyszą i widzą.

– Papierosy Overstolz, pięć opakowań po sześć sztuk – powiedział, przywitawszy krótkim skinieniem postać stojącą w mroku kramiku zbitego z desek. Sprzedawca był dość gruby i wyglądał, jakby był wrośnięty w tę swoją dziuplę. Ratha nie zdziwiłoby, gdyby okazało się, że jego masywna klatka piersiowa przykręcona jest śrubami do jakiegoś mechanizmu obrotowego. Tak przynajmniej to wyglądało, gdy tęgi mężczyzna odwrócił się do tyłu i sięgnął do półki, żeby zdjąć pięć paczek overstolców. Pewnie siedział na obrotowym krześle, ale akurat nie było go widać.

– Jeden pięćdziesiąt – powiedział. – Doliczyć też ogień?

Rath przytaknął i zastanowił się, jak swobodnie może nawiązać rozmowę z kioskarzem.

– Proszę. – Sprzedający podał mu pudełko zapalek. – Ktoś pana wystawił do wiatru? – zapytał niespodziewanie, gdy już przyjął dokładnie odliczoną kwotę.

Rath zerknął na niego pytającym spojrzeniem.

– No, tak to wyglądało, jak czekał pan tam wcześniej i nikt nie przyszedł.

– No cóż – rzucił Rath, zapalając pierwszego papierosa z paczki. – Może to nie najszczęśliwszy pomysł, żeby umawiać się właśnie tutaj. Zły omen. – Wskazał na czerwono-białe deski. – Tędy przejechał, zgadza się?

Gruby kioskarz przytaknął.

– Właściwie to nawet przyjemne, że moja budka też trafiła do gazet. Ale nie wpłynęło to jeszcze na wzrost obrotów.

– Nie kręcą się tu chmary gapiów i dziennikarzy?

– Nie, do tej pory zjawiało się tu tylko kilku gliniarzy, ale oni niczego nie kupują, tylko zadają pytania.

Właściciel kiosku chyba nie zauważył, że ma do czynienia z policjantem, w przeciwnym razie chyba powstrzymał się od tej uwagi. Tym lepiej. Rath nie chciał się tu zjawiać w roli policjanta, ludzie Böhma mogliby zacząć podejrzewać, że ktoś z obyczajówki kręci się po ich rewirze. Wolał tego uniknąć, dlatego odznakę, którą przeważnie nosił na kamizelce, schował do kieszeni płaszcza, gdy jechał kolejką.

– Widział pan coś? – zapytał w nadziei, że nie wzbudzi podejrzeń tym bezpośrednim pytaniem.

Kioskarz ochoczo mówił dalej:

– Nie, to przecież stało się w środku nocy, a ja zamykam o szóstej – oznajmił. – Ale następnego ranka, około piątej, gdy chciałem otworzyć, dwóch szupo nadal kręciło się tu po okolicy. Sprawiali wrażenie, jakby czegoś pilnowali. Kryminalni z Alexanderplatz zjawili się zdecydowanie później. Zameczali mnie pytaniami, choć ja właściwie niczego nie widziałem.

– Ale sporo pan słyszy, zgadza się?

Mężczyzna uniósł ciężkie ramiona.

– Być może. Przewija się tu mnóstwo ludzi.

– W każdym razie jest pan bardzo spostrzegawczy – Rath głęboko się zaciągnął. Chciał sprawdzić, jak sprzedawca reaguje na komplementy. – Na mnie od razu zwrócił pan uwagę.

– Trzeba mieć ludzi na oku. Zawsze znajdzie się taki, co to będzie chciał coś ukraść. Mojemu koledze ze Schlesischer Bahnhof podpalili kiedyś kiosk. On w tym czasie był w środku. Benzyna na gazety, zaparka i do widzenia. Banda smarkaczy, góra piętnasto- albo szesnastoletnich. A gliny nie złapały ani jednego. Nic dziwnego, chłopaków przysłał Norden, kiosk znajdował się na ich terenie, a mężczyzna im się widocznie nie spodobał. Ja nie mam problemów z moim ringvereinem<sup>3</sup>, ale i tak muszę uważać.

Rath przytaknął. Ringverein Norden trafił niedawno na pierwsze strony gazet. Po krwawo zakończonej ogromnej bijatyce przy Berslauer Strasse, podczas której pchnięto nożem pewnego cieślę z Hamburga, prezydent policji zakazał działalności dwóm stowarzyszeniom zrzeszającym sutenerów. Jednym z nich był właśnie Norden. W przypadku takich ekscesów policja podejmowała zdecydowane kroki, zwykle jednak tolerowała ringvereiny, które rzekomo pomagały byłym więźniom w odnajdywaniu się na nowo w społeczeństwie, a w rzeczywistości wiedziały, w jaki sposób wykorzystać niepospolite umiejętności swoich rozlicznych członków i na tym zyskać. Krótko mówiąc, ringvereiny podzieliły miasto na rewiry i regulowały zorganizowaną przestępczość w Berlinie. Dopóki wykazywały się chęcią współpracy i trzymały określonych zasad, to policja nie ingerowała w ich działania, ponieważ samoorganizacja świata przestępczego ułatwiała kontrolę nad nim. Poza tym ekscesy, jak te przy Berslauer Strasse, należały do rzadkości. Morderstwa zaliczano do przestępstw, które naruszały kodeks honorowy ringvereinów. Jednak niektóre z nowych stowarzyszeń, które długoletni członko-

wie innych związków niepochlebnie określali „szczurzymi”, nie do końca trzymały się tej reguły. Nastąpiły po prostu cięższe czasy.

– Działa tu w ogóle jakiś ringverein? – Rath zapytał kioskarza. – Myślałem, że takie rzeczy dzieją się tylko na wschodzie miasta.

– Niech pan nie myśli, że na Kreuzbergu nie dochodzi do przestępstw, drogi panie! – Mężczyzna pochylił się nieco do przodu, tylko odrobinę, ponieważ – jak przypuszczał Rath – w przeciwnym razie pewnie spadłby z krzesła. Tyle jednak wystarczyło, żeby przypominał konspiratora. Kontynuował już szeptem. – Na przykład nie chciałbym wiedzieć, ile kradzionych towarów dzień w dzień przeładowują na Anhalter Bahnhof. Niech pan zapyta któregoś z pracowników, jakie szemrane typy kręcą się po dworcu towarowym!

– Sądzi pan, że może to mieć coś wspólnego z tym morderstwem? – Rath wskazał za uszkodzone barierki.

– Uśmieje się pan! Dokładnie o to samo pytali mnie kryminalni!

Rath chciał jeszcze o coś dopytać, ale wtedy zobaczył ich. Jak na zawołanie na ulicy pojawiły się dwie postacie, dwoje kryminalnych, jak nazwałby ich gruby kioskarz. Wyszli z jednego z domów, przed którymi Rath sam stał przed paroma minutami. Jedną z tych osób był asystent kryminalny z Inspekcji A o nieznanym mu nazwisku, drugą – kobieta. Pracowała w służbie kryminalnej, była stenotypistką.

Charlotte Ritter. Że też akurat ona!

Rath skrył się za stojakami z gazetami i kartkował jedną z nich, nawet do niej nie zaglądając. To na pewno Böhm spuścił tych dwoje ze smyczy, bez dwóch zdań. Lepiej, żeby go nie zauważyli.

– Piszą tu coś o nieboszczyku z kanału? – zapytał grubego mężczyznę, próbując zatuszować strach, i zgasił papierosa butem.

– Niech pan lepiej weźmie „Tageblatt” – zaproponował. – Tam jest więcej informacji.

Rath spojrział na gazetę, którą trzymał w rękach. Był to „Der Angriff” – czyli „Atak” – propagandówka wydawana przez NSDAP, która regularnie szkalowała szefa policji, doktora Bernharda Weißa, ponieważ był Żydem. „Der Angriff” nie potrzebował innego powodu, żeby atakować najlepszego funkcjonariusza kryminalnego berlińskiej policji. Jedynym oficjalnym powodem, dla którego Weiß nie zasiadał na fotelu prezydenta policji, było to, że nie był socjalistą. Choć może istniały też inne przyczyny. Wiele osób miało obiekcje wobec Żydów, ale tylko naziści tak mocno się obnosili z nienawiścią wobec nich.

Sprzedawca podał mu egzemplarz „Berliner Tageblatt”. Rath wziął go do ręki, nie spuszczać oczu z pary, która szła w kierunku Möckernstraße. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, postanowił kupić gazetę, choć przeczytał ją już wcześniej w kawiarni. Nieporadnie wygrzebał z kieszeni portfel, trzymając obie gazety – liberalną i volkistowską – wciśnięte pod pachę. Gdy ponownie podniósł wzrok, dostrzegł asystenta kryminalnego idącego przez Möckernbrücke w kierunku pociągu. Samego. Gdzie podziewała się jego towarzyszka?

– Piętnaście fenigów – poinformował go sprzedawca. Rath szukał drobnych. Czuł się nieswojo. Jak ma zejść jej z drogi, skoro nie wiedział, dokąd poszła?

Po chwili jego wątpliwości się rozwiały. Na początku dostrzegł pod stojakiem jedynie zbliżający się płaszcz i szczupłe kostki, a po chwili stanęła przed nim w pełnej krasie. Oczy miała jeszcze ciemniejsze, niż miał je w pamięci.

Sprawiała wrażenie zaskoczonej bardziej niż on. Nic dziwnego, miał przecież czas, żeby przygotować się na to spotkanie. Mniej wię-



cej cztery sekundy. Jednak to wystarczyło, żeby przynajmniej w jakimś stopniu opanował emocje. A może nawet sytuację.

– Ojej, co za spotkanie – powiedział Rath, odłożył gazety i portfel na ladę i uchylił kapelusza. – Mieszka pani w okolicy? – Najpierw trzeba zepchnąć ją do defensywy i nie dopuścić do tego, żeby w ogóle nie przyszło jej do głowy, by zadawać pytania.

– Przyszłam tu służbowo – odparła uprzejmie.

– Ta pani jest z policji – podpowiedział mu kioskarz.

– Ten pan to wie, on też jest z policji.

Rath spojrzał na sprzedawcę, którego ta nowina wyraźnie wprowadziła w zakłopotanie.

– Mogę poprosić o paczkę Juno? – zapytała, a tęgi tors mężczyzny znów odwrócił się do regału z papierosami. – Ciekawe połączenie – powiedziała do Ratha.

Musiał się jej najwyraźniej przyglądać bardzo tępym spojrzeniem. Uśmiechnęła się, a jej dołeczki w policzkach o mało nie zbiły go z tropu jeszcze bardziej.

– Pańskie lektury – wyjaśniła.

W rzeczy samej, „Der Angriff” i „Berliner Tageblatt” zupełnie do siebie nie pasowały, leżąc tak zgodnie na ladzie.

– Potrzebna mi tylko jedna z nich – powiedział.

– Mam nadzieję, że ta właściwa.

Położył dwa grosze na ladzie i wziął „Tageblatt”. Nie interesował się polityką, ale kobieta może go spokojnie mieć za liberała. Lepsze to niż opinia nazisty. Albo socjalisty, gdyż jako takiego zaszufładowały go pleciugi w Zamku, po tym jak na jaw wyszło, że jest protegowanym Zörgiebela. Tymczasem gruby mężczyzna z kiosku znów się odwrócił do nich.

– Muszę przynieść te papierosy – oznajmił. I faktycznie udało mu się podnieść się z krzesła. Poszedł na tył kiosku, gdzie najwyraźniej magazynował swoje zapasy. Rath dziwił się, że mężczyzna w ogóle był w stanie poruszać się po tej budce zbitej z desek. Cieszył się, że został sam na sam z Charlotte Ritter.

– Czy w Inspekcji A nawet stenotypistki zostają po godzinach? – zapytał.

– Jeśli pracują przy śledztwie w sprawie morderstwa, to owszem.

– Nieboszczyk z kanału?

Przytaknęła.

– Pracuje pani jako funkcjonariuszka wydziału kryminalnego?

– Tylko czasami. Ale zawsze płacą mi jak stenotypistce.

– A co na to ludzie, których pani przesłuchuje?

– Nie mają o tym pojęcia. Zawsze towarzyszy mi ktoś z wydziału kryminalnego, kto pokazuje swoją legitymację. Dziś miałam okazję poszwendać się z asystentem kryminalnym Gräfem.

Rath przytaknął. Gruby kioskarz wrócił i stękając, wdrapał się z powrotem na krzesło.

– A co pana sprowadza w te okolice? Czyżby pan tu mieszkał? W takim wypadku musiałabym przepytąć również pana.

Rath spojrział na sprzedawcę, który próbował właśnie otworzyć karton papierosów Juno i walczył z zamknięciem.

– Byłem umówiony – odpowiedział.

– Ale wystawiono go do wiatru – odezwał się kioskarz i podał kobiecie paczkę papierosów Juno. – Mało kto je tu kupuje – wymamrotał przepaszającym tonem, obrócił się na krześle i zaczął układać na regale pozostałe paczki z kartonu.

Przez jakiś czas panowało krępujące milczenie. Rath go nie przerywał, bardzo mu ono było na rękę w tym momencie. Niech ona so-

bie myśli, że to gruby sprzedawca wprowadził go w zakłopotanie. Wtedy przynajmniej nie zauważy, że właściwie sama jest przyczyną tego skrępowania.

– Dwadzieścia fenigów – kioskarz odezwał się ze swojej mrocznej jaskini.

Otworzyła torebkę i wyciągnęła portmonetkę. Rath wykorzystał okazję i pożegnał się z nią krótkim stuknięciem w kapelusz.

– Do zobaczenia w poniedziałek w Zamku – powiedział.

– Pewnie nie. W poniedziałki mam prawo karne – odparła i spojrzała na niego. Te ciemne oczy. Nie zrozumiał, co miała oznaczać jej odpowiedź.

– Cóż, zatem miłej końcówki tygodnia – rzucił i ruszył w drogę.

– Pańska reszta – zawołał za nim sprzedawca, ale Rath przechodził już przez ulicę i udał, że nie słyszy. Przeciął Möckernbrücke, ale nie poszedł na stację kolejki nadziemnej. Charlotte Ritter na pewno nią pojedzie, a on nie chciał znowu znaleźć się obok niej. Poszedł więc pieszo do Anhalter Bahnhof i stamtąd zafundował sobie taksówkę.

W Café Berlin nie było chyba ani jednej trzeźwej osoby. Kto nie raczył się hojnie rozlewaniem winem musującym, ten w eleganckiej toalecie pudrował sobie nos kokainą. Większość robiła i jedno, i drugie. Lokal zajmował trzy kondygnacje i wyglądał jak abstrakcyjna rzeźba świetlna na wielkim pilastrze. Na dole mieściła się winiarnia połączona z kawiarnią taneczną, w której przygrywała orkiestra. Szczególną atrakcją tego miejsca była podzwrotnikowa dżungla rosnąca na parterze. Wyglądała tak, jakby znajdujący się nieopodal ogród zoologiczny rozrósł się poza swoje granice. Kto chciał odpocząć od gwaru i krzątaniny, ten siadał w pomieszczeniu, w którym

serwowano herbatę, albo w koktajlbarze na pierwszym piętrze. Tańce odbywały się wprawdzie tylko na drugim piętrze, ale muzykę słychać było wszędzie – elegancko płynący swing, nie tak szybki i nerwowy, jak w Kakadu, gdzie muzyka wręcz ogłuszała. Jakiś plakat informował, że za akompaniament muzyczny odpowiada zespół „Excellos Seven”.

Rath stał na pierwszym piętrze przy balustradzie i spoglądał na stoliki ustawione na parterze. Prawą ręką bawił się pudełkiem zapalek, lewą trzymał w kieszeni spodni. Przed wyjściem wziął kąpiel i wystroił się w wieczorowy strój. Bóg raczył wiedzieć, co pomyślała sobie Behnke, gdy tak elegancko ubrany wychodził z domu.

Wodził wzrokiem po twarzach osób znajdujących się na dole, ale myślał o zupełnie innym miejscu i o zupełnie innej twarzy. Choć minęło już dobrych parę godzin, jego myśli wciąż krążyły wokół spotkania przy kiosku. Nie z obawy przed tym, że Böhm dowie się od niej o jego wycieczce na Möckernbrücke. Wydawało mu się to nieprawdopodobne, przecież nawet nie zapytała o jego nazwisko. Nie, o dziwo w pamięci wciąż miał jej oczy. Ciemne, nieprzeniknione. Poczuł się, jakby grał w kiepskim filmie miłosnym, w którym kobiety i mężczyźni rzucali sobie ckliwe spojrzenia. Ona tego nie zrobiła, po prostu mu się przyglądała. A mimo to jej spojrzenie nie dawało mu spokoju. Weź się w garść, strofował się, tylko nie kobieta z Zamku! Nie pracownica Böhma!

Huk korka od szampana przywołał go z powrotem do rzeczywistości. Rath ponownie wziął się za przypatrywanie się stolikom w poszukiwaniu znajomych twarzy. Nie do końca wiedział, kogo albo czego tu właściwie szuka, wiedział jedynie, że umięśnieni Rosjanie bywali w Café Berlin. I że znali Kardakowa. Skrycie liczył, że zobaczy któregoś z grupki mężczyzn, którzy rzucili mu się w oczy

w Kakadu, choćby tego młodzieńca z blond włosami. Przy odrobinie szczęścia – bez towarzystwa mięśniaków. Byłby wtedy bardziej rozmowny i to pomimo bariery językowej, Rath już o to zadba. Rosjanie muszą regularnie przedłużać pozwolenia na pobyt, policjant może takim ludziom porządnie napsuć krwi.

Gdy Rath skończył już przeszukiwać wzrokiem całą salę, obrał kurs na koktajlbar. Pomiedzy wychudzonym młodzianem a wystrojoną blondynką znalazł wolny stółek i usiadł na nim. Zamówił americano, po czym wyciągnął z kieszeni zdjęcie i zaczął mu się przyglądać. Może raz jeszcze powinien spróbować zagaic w bezpośredni sposób, pomyślał, przyglądając się barmanowi mieszającemu campari i martini. Gdy Rath położył zdjęcie na barze, Aleksiej Kardakow spoglądał z fotografii w sufit z powagą i rozmarzeniem. Czekaając na drinka, Rath kątem oka zarejestrował jakiś ruch. Chudy mężczyzna obok niego wstał ze swojego stołka nieco zbyt pośpiesznie.

Rath odruchowo odwrócił głowę w bok. Gdy tylko zobaczył twarz swojego sąsiada, sam szybko zerwał się z miejsca. Rozbiegane spojrzenie, zapadnięte policzki. Mężczyzna potrącił elegancką kobietę, wytrącił z jej ręki kieliszek szampana i szturchnął jej towarzysza. Ten runął na podłogę, pociągając za sobą krzyczącą kobietę.

Rath schował zdjęcie i pobiegł za uciekającym mężczyzną w kierunku schodów. Jednym susem przeskoczył nad parą leżącą na podłodze. Barman patrzył za nim ze zdziwieniem, w ręce trzymając koktajl zamówiony przez komisarza.

Mężczyzna biegł do toalet! Rath znał ten lokal. Dwa tygodnie wcześniej przepędzili stąd paru sutenerów, którzy w nowo otwartej Café Berlin chcieli ocenić perspektywy biznesowe. Czyżby chudy mężczyzna był jednym z nich i go rozpoznał? Ktokolwiek to był, znalazł się w pułapce, z toalet nie zdoła już uciec. Wtedy Rath usły-

szał piski i przekleństwa kilku kobiet i nieprzyzwoity żart wypowiedziany obcym głosem. Najwyraźniej chudy mężczyzna też znał ten lokal. Okno w damskiej toalecie wychodziło na dziedziniec. Rath pobiegł przez biuro, stamtąd jeszcze szybciej dało się wydostać na zewnątrz – a to dlatego, że nie trzeba było przeciskać się przez wąskie okno. Jeszcze tylko przedostanie się przez nieduże przejście i znajdzie się przy tylnym wyjściu. Ostrożnie otworzył drzwi, ale nie zobaczył nikogo. Wrócił na korytarz, zostawił drzwi delikatnie uchylone i czekał. Facet będzie musiał tędy przejść, jeśli chce się wydostać na ulicę. Przez szparę dostrzegł chudego mężczyznę. Otworzył ciężkie żelazne drzwi dokładnie w momencie, w którym uciekinier przechodził obok niego.

Rozległ się głośny huk i łoskot. Wytargał faceta na podwórze i postawił go do pionu. Mężczyzna sprawiał wrażenie nieco oszołomionego. Z jego nosa leciały smarki i krew. Powoli dochodził do siebie. Rath pokazał mu odznakę, a on spojrzał z przerażeniem, niczym sarna przed reflektorami samochodu. Wielkie, nerwowo mrugające oczy. Kokaina.

– Od razu wiedziałem, jesteś gliną! Czego ode mnie chcesz? – Jego dziąsła również krwawiły. Poza twardym „r.” nic w jego wymowie nie wskazywało na to, że był Rosjaninem. Rath chwycił go za kołnierz i wrzasnął. Policjant nie powinien okazywać słabości, a w tym mieście również uprzejmość interpretowano jako słabość, tego się już nauczył.

– Jeśli o mnie chodzi, to możesz ćpać tak długo, aż odpadnie Ci nos! Gównu mnie to obchodzi! Jeśli powiesz mi to, co chcę wiedzieć, to nie będę Ci z tego powodu robił problemów.

– A co chcesz wiedzieć?

Podetknął Rosjaninowi pod nos zdjęcie Kardakowa. Drugą rękę dalej trzymał na kołnierzu.

– Znasz go?

Rosjanin się zawahał. Rath zaczął się irytować.

– Posłuchaj, koleżko! Do tej pory próbowałem być dla Ciebie miły. Wierz mi, potrafię też rozmawiać inaczej. No, dalej, nie udawaj. Znasz tego mężczyznę!

– No i? To, że znam różnych ludzi, nie oznacza, że też wciągam kokę.

Rath wyostrzył słuch. A więc mężczyzna, który wynajmował jego pokój przed nim, handlował kokainą! Kolejny powód, by go odnaleźć! Może powinien też zagadnąć śledczych pracujących w wydziale do spraw narkotyków.

– Nie, ale mówi mi, że wciągasz ten towar! – ofuknął Rosjanina. – Teraz i tak nie ma to dla mnie znaczenia. *Jego* szukam! Podetknął zdjęcie chudemu mężczyźnie pod sam nos. – No to co, nieco mi poopowiadaj, a potem zostawię Cię w spokoju.

– Wy, gliny, nie macie pojęcia, jak trudno zarabia się w tym mieście pieniądze! – Splunął na asfalt mieszaniną krwi i śliny. – Gdyby Aleksiej nie musiał, toby tego nie robił. To i tak Ci pozostali zarabiają naprawdę duże pieniądze. Ale im na to pozwalacie. I ludziom z wyższych sfer, którzy biorą ten towar, również. Ale jeśli ktoś jest Rosjaninem, to ma kłopoty. Wtedy nawet wyrzucacie takiego z kraju, nawet jeśli w Rosji chcą mu się dobrać do skóry bolszewicy.

– Jeśli chcesz, żebyśmy kolejny raz przedłużyli ci *twój* dowód osobisty, to powinieneś wykazać się nieco większą chęcią współpracy. – Rath wyłowił żółty dokument z marynarki Rosjanina i schował go do swojej. – Dostaniesz go z powrotem, jeśli będę zadowolony z Twoich odpowiedzi. A więc gdzie jest Kardakow?

– To Wy go jeszcze nie złapaliście? – Rosjanin się zaśmiał. Jego oczy stały się mniejsze. – Mogłem się tego domyślić! Nie da się tak szybko dorwać Aleksieja. A skąd macie zdjęcie? Czyżby jego przyjaciółka śpiewaczka straciła cierpliwość?

Lana Nikoros. Teatr Delphi Palast.

– Jeśli ktoś ma tu zaraz stracić cierpliwość, to będę to ja – powiedział Rath, podniósł Rosjanina za kołnierz i z impetem pchnął nim o ścianę. Facet był lekki jak piórko. – I wierz mi, nie chciałbyś tego. Na pewno byś tego nie chciał!

Rath słyszał własny głos, jakby mówił zupełnie ktoś inny. Przypominał sobie występ Brunona na rusztowaniu i nieco zląkł się samego siebie. Czyżby już wyciągnął wnioski z lekcji, którą dał mu kolega? W każdym razie metoda bezpośrednia zdawała się przynosić efekty.

– Już dobrze, nie denerwuj się tak! – Rosjanin uniósł ręce w geście poddania. – Ale nikomu nie mów, że ze mną rozmawiałeś. Wy i tak już wiecie, że dorabia na boku.

– A gdzie go znajdzie?

– Nie mam pojęcia. Raz tu, raz tam. Nie widziałem go od przeszło tygodnia. Chodzą plotki, że go przydybaliście.

– Nie wierzę w ani jedno Twoje słowo.

– Zapytaj tych ciot z Eldorado przy Lutherstrasse. Strasznie się denerwują, bo wysycha im źródółko z koksem.

Rath znał ten lokal. To miejsce dla tych, których podniecała niepewność, czy po parkiecie pływają z chłopem, czy z babką. Co najmniej połowa kobiet w Eldorado nie była kobietami. Zajrzeli tam pewnego razu służbowo, ale nie zakłócając jakoś bardzo pracy tancbudy. Rath podejrzewał, że Bruno miał swoich informatorów również tam.



– Kardakow sprzedaje tam coś jeszcze poza koksem? – zapytał chudego Rosjanina. Może był właśnie na tropie zbrodni w gejowskim świątku, morderstwa z zazdrości albo czegoś takiego. Być może nieboszczyk z kanału był kochankiem poprzedniego lokatora pokoju Ratha, choć podczas nocnej wizyty przy Nürnberger Strasse Borys raczej nie sprawiał wrażenia zakochanego.

– Jest pewnie sporo takich, którzy z chęcią spiknęliby się z Aleksiejem. Ale on ich wszystkich odprawia z kwitkiem. Mimo to go lubią. Dlatego też tak za nim tęsknią. Faceci, którzy sprzedają śnieg przy Lutherstrasse, są tylko w połowie tak uroczy.

Rath spojrział na zegarek. Minęła dwunasta. W Eldorado impreza dopiero się zaczyna. Zostawił Rosjanina i ruszył w stronę postojów taksówek przy Herdenbergstrasse.

– Hej, co z moim dowodem?! – zawołał za nim Rosjanin, wtykając koszulę z powrotem w spodnie.

– Dostaniesz go, kiedy znajdę Kardakowa.

– A jeśli jakiś glina będzie chciał go w międzyczasie zobaczyć? Mam go wtedy niby wysłać do ciebie?

– Po prostu staraj się nie zwracać na siebie uwagi!

Cześć, skarbie!

Temperamentna platynowa blondynka stojąca za ladą kazała mówić na siebie Gloria, ale w rzeczywistości nazywała się Gustav. Jej jaskrawoczerwone usta układały się jak do pocałunku.

– Elegancko wyglądasz – powiedziała. – Dziś w pojedynkę? A gdzie Bruno? I ten Wasz chłopaczek blondyn?

Parkiet w Eldorado właśnie się zapełniał, kapela grała skoczną muzykę. Siwy dym z niezliczonych papierosów wisiał w przytulnym pomieszczeniu, w którego wystroju dominowały odcienie złota. Rath

oparł się o bar i wetknął overstolza w kącik ust, by wnieść swój wkład w zadymioną atmosferę.

– Nie jesteśmy przecież małżeństwem – wymamrotał, zapalając papierosa.

– To się może zmienić.

Nie powinien za bardzo się tu panoszyć. Ten rewir należał do Brunona. On był tu nowy, musiał mieć się na baczności. Prowadzenie tu śledztwa na własną rękę naruszało wszelkie przepisy regulaminu służbowego. Tym bardziej że zachowywał informacje dla siebie.

– Glorio, skarbie. – Spróbował zadziałać odrobiną uroku i z uśmiechem oparł się o ladę.

– Tak? – zapytała, nie odrywając się od nalewania piwa. Postawiła szklanke przed mocno podchmielonym mężczyzną, który z saksońskim akcentem powiedział do niej „Dziękuję, moja droga” i spojrzał na nią maślanymi oczami. Pewnie był to jakiś turysta, który widocznie nie miał pojęcia, że rozmawia z mężczyzną. Jej długie paznokcie przypominały szpony jakiegoś drapieżnego zwierzęcia.

Gloria odeszła od niego i wróciła do Ratha. Pochyliła się do niego, a jej naszyjniki przesuwaly się po grzbietach jego dłoni.

– To miłe, że znów tu zajrzałeś. Nie ma za wielu dobrze wyglądających gliniarzy.

Podał jej pudełko zapalek.

– Masz ochotę na przerwę na papierosa?

Chwyciła kartonik swoimi drapieżnymi szponami.

– Zawsze. Jeśli się ze mną czegoś napijesz.

Niedługo później na jednym ze stolików stały przed nimi dwie szklanki i butelka whisky. Siedli z dala od kapeli, żeby dało się porozmawiać. Gloria nie szczędziła trunku, rozlewając go do szklanek.

– No dalej, wyduś to wreszcie – oznajmiła. – Dlaczego glina oferuje mi papierosa i stawia drinka? Na pewno nie z powodu moich pięknych niebieskich oczu.

Zatrzepotała sztucznymi rzęsami.

– Dobrze to ujęłaś, moja droga! – Stuknęli się swoimi szklankami i napili się. – Muszę przyznać, że masz naprawdę piękne oczy.

Pokazał jej zdjęcie.

– Pewnie pojawia się tu częściej.

Przyjrzała się łagodnej twarzy Kardakowa i zaciągnęła się papierosem. Wypuściła dym przez nos i kiwnęła głową.

– Owszem. To Rosjanin, zgadza się? Przystojny facet. Mam nadzieję, że go nie przymknęliście? Byłaby straszna szkoda.

– Bez obaw. Tylko go szukam, ponieważ chciałbym dowiedzieć się czegoś o jednym z jego przyjaciół.

– Nie ma niczego na sumieniu?

– Nie, jeśli pominąć fakt, że handluje kokainą.

– Ach, to o to chodzi. – Jej głos stał się chłodniejszy. Najpierw spojrzała na niego, a potem na zdjęcie. Czuł, że węszyła podstęp.

– Nie, nie zrozum mnie źle. W ogóle mnie to nie interesuje. Wydawało mi się, że pomoże mi to go znaleźć.

– Nie wydaje mi się, żeby sprzedawał tu śnieg. Szef nie toleruje czegoś takiego.

– Ale być może znajduje tu klientów, czy nie?

Wzruszyła ramionami i raz jeszcze naląła im whisky do pełna. Pochyliła się i przybliżyła do niego.

– To, co teraz powiem, mówię tylko Tobie, bo i tak wie to każdy policjant w Berlinie. Potraktuj to jak coś w rodzaju lekcji dla gliniarza z prowincji.

– W porządku, jeśli nie powiesz Wolterowi, że potrzebne są mi lekcje.

Zaśmiała się.

– No to uważaj. Jeśli ktoś w mieście sprzedaje kokainę, to możesz być pewien, że macza w tym palce doktor Mabuse...

– Ten z kina? To mają być żarty? Doktor Mabuse<sup>4</sup>!

– Tylko nie mów tak o nim. Naprawdę nazywa się Johann Marlow. I nie pytaj mnie, skąd ma swój tytuł lekarza. Pewnie go kupił. Tak jak kupuje Was, gliniarzy. Nieważne, w jakie brudne interesy jest uwikłany, jego ręce zawsze są czyste. Więzienie Plötzensee zna jedynie z zewnątrz, bo czasami czeka przed główną bramą, żeby odebrać któregoś ze swoich ludzi.

– Co chcesz mi przez to powiedzieć?

– Ten Twój przyjaciel... – pokazała na zdjęcie. – Nie tylko gliny go szukają. Doktor M. też za nim tęskni i już rozpoczął poszukiwania. Kilka dni temu było tu paru mężczyzn z Beroliny. Mieli bardzo podobne zdjęcie.

– Tej Beroliny? – Rath cicho gwizdnął przez zęby. Berolina była jednym z najstarszych ringvereinów w Berlinie. Kodeks honorowy nadal miał dla niej znaczenie. Morderstwo stanowiło temat tabu. W Berolinie z niezadowoleniem reagowano na wieści o gangach opryszków czy bandach sutenerów takich jak Norden czy Immertreu – dwóch ringvereinach, których działania zakazał prezydent policji po jatce przy Breslauer Strasse.

– Marlow jest zatem przewodniczącym ringvereinu – podsumował Rath.

– Nie wymawiaj tego nazwiska za głośno! – Upomniała go, rozglądając się dookoła. – Nie, doktor M. nie należy do żadnego ringvereinu, jest na to zdecydowanie za sprytny. Beroliną nadal kieruje Czer-

wony Hugo. Tyle tylko, że Czerwony Hugo robi to, co powie mu doktor M. Dzięki temu Berolina ubija lepsze interesy, a doktor M. nie brudzi sobie rąk. – Gloria zaciągnęła się ostatni raz i zgasła papierosa. – No dobrze – powiedziała i wstała – praca wzywa.

– Zaczekaj...

Jeszcze raz się do niego pochyliła. Jej naszyjniki zabrzęczały. Podał jej banknot pięciomarkowy.

– Jeszcze jedno pytanie. – Powiedział niemal szeptem. – Jak znajdę doktora M.

– Nie znajdziesz go. On znajdzie Ciebie. – Wetknęła pieniądze za podwiązkę. – Ale jeśli mogę dać Ci radę, to idź do varieté. Plaza przy Küstriner Platz otworzyła się ponownie dopiero parę tygodni temu. Mają podobno nieeesamowity program... – Dała mu buziaka w policzek. Gdy falującymi biodrami torowała sobie drogę do baru przez tłum, większość mężczyzn w sali spoglądała za nią, podobnie zresztą jak kilka kobiet ubranych w męskie odzienia. Rath odprowadzał ją wzrokiem, aż znów stanęła za barem, a potem jednym haustem dopił zawartość szklanki. Miała naprawdę dobrą figurę. Zwłaszcza jeśli uwzględnić to, że nazywała się Gustav.

## 11

– Zupełnie nie rozumiem co się z nią dzieje! Przez te wszystkie lata, które tu mieszkam, jeszcze się coś takiego nie zdarzyło. A teraz? To już drugi raz w ciągu jednego tygodnia!

Weinert nieporadnie majstrował przy dzbanku do kawy i porcelanowym filtrze. Chwilę potrwało, nim nałożył filtr na dzbanek. Żaden z nich nie miał w tym dużej wprawy. Przeważnie zajmowała się tym ich gospodyni i przeważnie zapach świeżej kawy unosił się w całym mieszkaniu, kiedy rano się budzili. Jednak tego poranka, gdy Rath wetknął swoją zmęczoną, skacowaną głowę przez drzwi, w kuchni spotkał jedynie Weinerta. Usiadł przy kuchennym stole i kręcił korbką młynka do kawy, podczas gdy Weinert stawiał czajnik na kuchence.

– Pewnie jest chora. – Rath bronił gospodyni, choć znał prawdę. Od wielu dni nie widział swojego sąsiada dziennikarza. W trakcie majowych zamieszek prawie nie było go w domu, ale właśnie tego dnia musiał z powrotem usiąść z nim do śniadania.

– Chora? Założę się, że się upiła. Cuchnie tu przecież jak w jakiejś knajpie! My mamy żyć jak mnisi, a szanowna pani Behnke urządza sobie zakrapianą wieczorną posiadówkę!

W powietrzu rzeczywiście wisiał zapach ciężkiego, słodkiego likieru.

– To przecież ludzka rzecz. Nie powinniśmy się tak obruszać – skontrował Rath. Wstał i wsypał zmieloną kawę do filtra. – Pomyśl

sobie, że nasza gospodyni byłaby nieomylna! Toż to niewyobrażalne!

Właściwie to cieszył się, że nie wstała z łóżka. Gdy wrócił wczoraj około trzeciej na Nürnberger Strasse, Elisabeth Behnke czekała na niego. Ledwie otworzył drzwi do mieszkania, a ona już stała w korytarzu, choć tym razem nie miała narzutki na niebieskiej koszuli nocnej. Stała wsparta o futrynę i spoglądała na niego z wyrzutem. Nie zrozumiał ani słowa, słyszał jedynie bełkot. Choć nie żałował sobie whisky w Eldorado, to w porównaniu z nią czuł się niemal trzeźwy. Gdy zbliżył się do niej, rzuciła mu się w ramiona. Pamiętał jeszcze, że zaprowadził ją do łóżka, a ona chciała go zaangażować w coś na kształt zapasów. Jakoś udało mu się wyswobodzić, a niewiele później zasnęła. Przykrył ją i przyglądał się jej jeszcze przez chwilę. Budzik wskazywał wpół do piątej, gdy w końcu położył się we własnym łóżku. Pospał do ósmej. Za mało, żeby być w dobrej formie, ale wystarczająco dużo, żeby zrealizować program dzisiejszego dnia.

Czajnik wydawał z siebie coraz głośniejszy i bardziej piskliwy gwizd.

– Oczywiście, że masz zrozumienie. – Weinert wyszczerzył zęby i zdjął czajnik z kuchenki. – Ty chyba też wczoraj nieco przesadziłeś.

Gdy gotująca się woda sięgnęła filtra z mieloną kawą, w kuchni zaczęły się unosić się przyjemne aromaty. Już sama woń ożywiała siły witalne. Rath wziął wdech, delektując się zapachami.

– To znane od dawien dawna powiedzenie: kto ma zmartwienia, musi mieć też likier – wydeklamował.

– Cóż, w takim razie Behnke musi mieć bardzo dużo zmartwień w życiu – uznał Weinert, rozlewając kawę do dwóch przygotowanych filiżanek.

Rath wołał milczeć. Ostrożnie uniósł obiema rękami gorące naczynie i podmuchał.

Weinert dosiadł się do niego i rozłożył niedzielne wydanie gazety. Również dziś temat zamieszek zdominował pierwszą stronę.

– Socjaliści wpakowali Was w niezłe kłopoty – rzucił mimochodem, nie podnosząc wzroku znad lektury.

– Słucham?

– Mam na myśli tę akcję wymierzoną przeciwko majowym demonstrantom. Nie uważasz, że miała nieco burzliwy finał? Ponad dwadzieścia ofiar i mnóstwo rannych, a niektórzy z nich walczą o życie. – Przeczytał na głos: – „Nawet dziś nie możemy oprzeć się wrażeniu, że działania socjaldemokraty Zörgiebela – przede wszystkim wydany przez niego zakaz demonstracji – umotywowane są przede wszystkim kwestiami związanymi z polityką partii”.

– Ty to napisałeś?

– W niektórych dzielnicach robotniczych przez trzy dni panowała niemal wojna domowa. I to wyłącznie dlatego, że prezydent policji chciał pokazać komunistom, kto rządzi w czerwonym Berlinie. Rozpętał walkę o władzę pomiędzy czerwonymi: tymi pilnującymi porządku w państwie i tymi, którzy chcą ten porządek zaburzyć. Przeprowadzając to, nadużył aparatu policyjnego. I liczył się z tym, że będą ofiary!

Rath obawiał się, że interpretacja dziennikarza wcale nie była tak daleka od prawdy. Wzruszył jednak ramionami.

– Nie znam się na polityce. Ale zaprowadzanie porządku na ulicach należy po prostu do zadań policji.

– Nie opowiadaj mi takich rzeczy! W ciągu ostatnich dni chodziłem po ulicach służbowo. I nie zaprowadzaliście tam żadnego porządku, wprost przeciwnie! Przez Was to wszystko eskalowało! Czer-



woni poszliby do domów po godzinie, jeżelibyście im na to w spokoju pozwolili.

– Były barykady! Oraz grabieże! I strzelaniny!

– Zawsze znajdują się ludzie, którzy wykorzystają takie sytuacje: wybijają witryny, plądrują sklepy i wyczyniają inne szaleństwa. Nie widziałem ani jednego komunisty strzelającego z ukrycia. Jedynie strzelających policjantów...

– ...którzy w każdej chwili musieli liczyć się z tym, że Czerwony Związek weźmie ich na muszkę – dodał Rath. – Czerwony Związek Bojowników Frontowych ma broń.

Tym razem to Weinert wzruszył ramionami.

– Oczywiście, komuniści nie są zupełnie bez winy i robiąc szum wokół siebie, podsycają tylko tę ogólną histerię. Nawet teraz wszczynają awantury. Każdego trupa wykorzystują do szerzenia swojej propagandy, choć wśród zabitych nie ma prawie żadnych komunistów. W środę na cmentarzu Friedrichsfelde mają pochować trzy ofiary zamieszek, przy ich grobach ma przemawiać sam Ernst Thälmann. Z niewinnych ofiar robią męczenników, zachowują się tak, jakby od rewolucji dzielił ich jedynie krok. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to wszystko to jakiś absolutny nonsens. Takim postępowaniem Ci idioci idą jeszcze temu Waszemu Zörgiebelowi na rękę. Skoro komuniści chcą przeprowadzić rewolucję, to ostra akcja policji była słuszna. Jednak ostatnia ofiara nie była komunistą, lecz niczego niepodważającym dziennikarzem, który pracował dla „Daily Express” i znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. W przeciwieństwie do niego wielu reporterów, których policyjne pałki przegoniły z miejsc zamieszek, miało wręcz szczęście. Tak jak pewien kolega z „Vossische Zeitung”, którego postrzelono w nogę.

Rath nic nie odpowiedział. Pomyślał o dwóch martwych kobietach.

– Zobacz sobie, jakie wyrzuty sumienia ma Wasz prezydent policji. – Weinert pokazał mu wiadomości na czwartej stronie. Zdjęcie martwego Borysa opublikowali także dzisiaj. – Po tych wszystkich wymierzonych w nas atakach i zatajaniu szczegółów majowych zamieszek przez prezydenta policji Aż trudno było uwierzyć w to, jak przychylna prasie okazała się w tej sprawie policja. Jak bardzo chcieli, żebyśmy się nią zajęli. Nic dziwnego. Ten martwy człowiek trafił się prezydium w samą porę. – Gazeta zaszeleściła, gdy Weinert uderzył dłonią w zdjęcie portretowe. – Idealnie się składa z tym ciałem! Ta śmierć nie ma nic wspólnego z majowymi zamieszkami, a jej okoliczności są tak cudownie tajemnicze. I zarazem przerażające. Zmiażdżone dłonie i stopy. Berlin będzie się emocjonował tą sprawą jeszcze parę dni. A gdy bohaterowie wydziału zabójstw ujawnią sprawcę, to policja znów będzie błyszczała jak gwiazda na niebie! Srebrzysta i olśniewająca! Prasa będzie ich chwaliła, cały Berlin będzie ich fetował. I wszyscy zapomną o krwawych dniach majowych.

Rath przytaknął, zatopiony całkowicie w swoich myślach. Teoria Weinerta brzmiała jakoś przekonująco. Tylko nie wiadomo, kto w tej historii stałby się tym bohaterem.

– Tylko mi nie mów, że nie opisałyś tej historii – powiedział. – I gdybyś zdobył poufne informacje o zabójstwie i śledztwie, którym interesuje się cały Berlin, to nie napisałyś nic wyłącznie dlatego, że Twoja historia mogłaby posłużyć prezydentowi policji?

Weinert szeroko się uśmiechnął, eksponując przy tym zęby. Przypominał rekina z filiżanką kawy.

– Zawsze cieszę mnie poufne informacje – dodał.

– Dobrze wiedzieć. – Rath odstawił pustą filiżankę na stół i wstał.  
– Aha, tak w ogóle to ostatnio pożyczałem Ci dychę...

– Jutro dostaniesz ją z powrotem. Obiecuję. W ostatnich dniach po prostu nie miałem czasu, żeby pójść do banku.

Weinert wydał się nieco zakłopotany. Niespłacone długi były czasami dobrą rzeczą. Rath wykorzystał tę okazję.

– Może dzisiaj Ty mógłbyś wyświadczyć mi przysługę... – wtrącił mimochodem.

– W każdej chwili. – W głosie Weinerta dało się usłyszeć ulgę. Nie spostrzegł pułapki.

– ...przydałby mi się Twój wóz na parę godzin.

Weinert się roześmiał.

– Jeden do zera – powiedział i puścił oko do Ratha. – Jest Twój do czwartej, potem sam go potrzebuję. – Pomachał kluczykami. – Tylko bądź punktualnie. Jestem umówiony. Bez auta będę czuł się nagi.

Należące do dziennikarza sportowe auto w piaskowym kolorze stało tuż przed wejściem. Używane, ale eleganckie. Amerykański model, dwuosobowy buick. Samochód, którym można zrobić wrażenie na kobietach. Rath nie chciał na nikim robić wrażenia, potrzebował jedynie czterech kółek. Auto przyda mu się do zrealizowania planu na ten dzień. A jeśli Weinert będzie myślał, że Rath zabrał jakąś dziewczynę za miasto, to tym lepiej.

Teatr Delphi Pałac znajdował się tuż przy Theater des Westens i przypominał stojącą pośrodku dżungli świątynię, która przypadkowo znalazła się w Charlottenburgu. W ogrodzie przed budynkiem faktycznie rosły palmy. Na fasadzie, gdzie przeważnie wisały afisze z wybranymi atrakcjami z repertuaru, znajdował się wielki transpa-

rent informujący, że teatr Delphi Palast jest chwilowo zamknięty. Rath zaparkował samochód przy Kantstrasse, tuż przy wejściu i nieśpiesznie wszedł po schodach prowadzących do ogrodu. Był nieco rozczarowany. Właściwie to spodziewał się, że znajdzie wywieszkę z aktualnym repertuarem i sprawdzi, kiedy Lana Nikoros będzie dawała kolejny występ. Jednak miejsce zdawało się wymarłe. Rośliny rosnące wzdłuż ścieżki do głównego portalu sprawiały żałosne wrażenie. W rogu ogrodu butwiało kilka wiklinowych foteli ułożonych niedbale jeden na drugim, smaganych przez deszcz i wiatr. Do wejścia na górę prowadziło aż dwoje schodów.

– Jeśli jest pan jednym z ludzi Schneida, to niech pan lepiej opuści ten teren! – Powietrze przeciął ostry głos. – Nie chce pan przecież, żebym wezwał policję.

Rath rozejrzał się dookoła. Od strony Fasanenstrasse nadbiegał w jego kierunku jakiś mężczyzna.

– Ja jestem z policji.

Mężczyzna zwolnił krok. Był ubrany tak elegancko, jakby wybierał się na tańce.

– Czyżby? – zapytał, gdy podszedł bliżej. – Inspektorat budowlany z Charlottenburga?

– Nie. – Rath pokazał mu swoją odznakę. – Berlińska policja kryminalna.

– Jeśli wezwał pana pan Schneid, to może pan od razu sobie iść. Ten człowiek nie ma tu już niczego do powiedzenia. Mamy pełne prawo odciąć mu wodę i prąd.

– Nie znam żadnego pana Schneida. Ale może byłby pan tak uprzejmy i podał mi *pańskie* nazwisko.

– Przepraszam. – Mężczyzna wyciągnął rękę. – Felten. Jestem sekretarzem pana Sehringa.

– Kogo?

– Zdaje się, że nie zna pan za wielu osób. Pan Sehring jest architektem. Właścicielem i budowniczym Delphi Palast. Czy mogę wiedzieć, co pana do nas sprowadza?

Rath wyciągnął z kieszeni repertuar.

– Jedna z piosenek, Lana Nikoros.

Felten wziął broszurę i rzucił okiem na zdjęcie

– O, tak! Raz tu już występowała. To jedna z artystek Schneida. – Mężczyzna oddał Rathowi książeczkę z repertuarem. – Niebawem będą tu nowi dzierżawcy. I będzie też inny repertuar.

– Repertuar jest mi obojętny. Muszę porozmawiać z tą kobietą. Prowadzę dochodzenie w sprawie zabójstwa.

– Przykro mi, ale w tym panu nie pomogę.

– A gdzie znajdę pana Schneida?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Na pewno nie w jego starym biurze w Delphi. Toczy się przeciwko niemu postępowanie upadłościowe. – Zabrzęczał pękiem kluczy. – Tylko ja mam do dostęp do jego biura.

– Czy mógłby pan mnie tam zaprowadzić?

Rath czuł się trochę nieswojo, podążając za Feltenem przez ogromną salę, która faktycznie przypominała pałac, bo udekorowano ją fantazyjnie i z przepychem. Blichtr przykrywała delikatna warstwa kurzu, ledwie widoczna, ale stanowiąca potwierdzenie, że to miejsce popada w ruinę.

Felten chyba odgadł jego myśli.

– Niebawem życie powróci pod dach tego lokalu – powiedział i wskazał na rusztowanie ustawione wzdłuż ściany. – Prace już się rozpoczęły.

Minęli niepozorne, lekko uchylone drzwi. Felten zamknął je mimowolnym ruchem ręki.

– Dokąd prowadzą? – zapytał Rath.

– To tylko schody do piwnicy. Biuro Schneida mieści się na górze – powiedział Felten i zaraz się poprawił: – Mieściło się.

Skręcili w prawo, a następnie weszli schodami na górę. Zatrzymali się przed ciężkimi, ciemnymi drzwiami. Falten szukał pasującego klucza.

– Może pan tu po prostu wchodzić i stąd wychodzić? – zdziwił się Rath.

– Co to za problem? – Falten wyszczerzył się w uśmiechu i otworzył drzwi. – Syndyk masy upadłościowej to dawny przyjaciel pana Sehringa jeszcze z czasów studiów.

W biurze panowała ciemność.

– Nie ma prądu – wytłumaczył Felten. Zdecydowanym ruchem sięgnął do szafy stojącej pod ścianą, wyciągnął z niej świeczkę i ją zapalił. Żółte światło migotało nad masywnym, ciemnym biurkiem i skórzanym fotelem. Rath szybko znalazł spis artystów. Znajdywało się tam całe mnóstwo muzyków, piosenkarzy, piosenkarek oraz tancerzy, wraz z adresami, pseudonimami artystycznymi, szczególnymi umiejętnościami i wysokością wynegocjowanych gaży. Ale nie było tam żadnej Lany Nikoros. W szufladzie biurka znajdowały się jeszcze wizytówki Josefa Schneida. Rath wziął do ręki jedną z nich. Felten pilnował, by wszystko wróciło na swoje miejsce, zanim zamknie pomieszczenie.

– Powinien pan przyjść, gdy ponownie otworzymy, na pewno się opłaci – powiedział i zaraz dodał: – Mam na myśli oczywiście: jako osoba prywatna.

Rath był zadowolony, że pozbył się mężczyzny, również jako osoba prywatna. Wsiadł z powrotem do samochodu i przyjrzał się wizytówce. Obok adresu służbowego przy Kantstrasse podano też prywatny adres Josefa Schneida.

Po długiej, mroźnej zimie maj wreszcie zdawał się przynosić przyjemniejsze temperatury. Rath jechał przez Budapester Strasse z otwartym dachem, wiatr owiewał mu twarz. W ogrodzie zoologicznym pierwsze drzewa przywdziały już delikatną zieleń. Wiosna odmieniła to szare miasto i jego zimne masy kamieni. Takie auto to wspaniała rzecz, lecz dość droga. Musi zapytać Brunona, jak mógł sobie pozwolić na forda. Z tego, co wiedział, to mógłby jakoś odliczyć sobie od podatku użycie auta w celach służbowych. Niektórzy koledzy zazdrościli Brunonowi luksusu posiadania własnego samochodu, a ten czy ów przebąkiwał, że to Emmi Wolter wniosła pieniądze do tego małżeństwa, ponieważ uposażenie policjanta wydziału kryminalnego było raczej skromne. I to nawet nadkomisarza, a co dopiero zwykłego komisarza kryminalnego. Rath wprawdzie nie miał jeszcze na oku bogatej kobiety, ale sąsiada z samochodem – i owszem.

Tiergartenstrasse była dobrym adresem. Po lewej zazielenione parki, po prawej domy z eleganckimi fasadami. Stary zachodni Berlin. Jego wielkie czasy minęły. Dziś Ci, których było na to stać, budowali swoje wille zdecydowanie dalej od centrum, w dzielnicy Grunewald. Rath baczniej niż stiukom na fasadach przyglądał się numerom domów. Zaparkował buicka nieopodal Kemperplatz, pod drzewem. Musiał cofnąć się kilka metrów, nim dotarł pod właściwy adres.

Fasada domu Schneida ozdobiona była taką ilością sztukaterii, że gipsowe aniołki siedzące na górze elewacji sprawiały wrażenie, iż

muszą się bić o miejsce. Rath miał szczęście, zastał pana domu. Służący zaprowadził go do salonu, który w niczym nie ustępował fasadzie. Nic tu nie wskazywało na widmo bankructwa. Rath nie musiał długo czekać, aż Josef Schneid pojawi się osobiście – imponująca postać, wsparta o lasce, w szlafroku i ze staromodnym zarostem.

– Lana Nikoros? Oczywiście, że ją znam. Odbiłem ją Fritzowi. Szkoda, że musieliśmy chwilowo zamknąć, obawiam się, że do niego wróciła. Ale dokładnie nie jestem w stanie panu tego powiedzieć. Szarpanina z Sehringiem kosztuje mnie tyle energii... Niech mnie pan nie pyta, gdzie są moi artyści. Wszystkich ich wyrzucił za drzwi, pozostały personel również. Postępowanie upadłościowe zainsceniował przecież tylko dlatego, że chciał się mnie pozbyć. Stoję na drodze jego nowemu dzierżawcy.

– Fritzowi?

– Buschmannowi. Kieruje wieloma teatrami rewiowymi w Berlinie i kilkoma kawiarniami, w których się też tańczy. Jeśli pan dokładnie przyjrzy się nocnemu życiu Berlina, wtedy znajdzie pan Lanę. – Schneid majstrował przy srebrnej gałce swojej laski.

– Mógłby pan podać mi jej adres?

– Adres? Nie. Dostałem ją razem z kapelą i przez kapelę się z nią rozliczałem.

– Jaką kapelą?

– Rosjan. Ależ oni grali jazz, mówię panu! Jak Ci murzyni z Cotton Club! Ich szef nazywał się Ilja Treczkow, grał na trąbce. Jeśli pan go znajdzie, to znajdzie pan też Lanę.

– A więc ona jest Rosjanką?

– Tak, a jak pan myślał?

Gdy Rath wyszedł na zewnątrz, spojrzął na zegarek. Zostało mu jeszcze trochę czasu. Skoro miał już auto, to chciał to wykorzystać.



Dopiero jakąś godzinę później odstawił auto na dziedziniec prezydium policji. Pokonał mnóstwo kilometrów, ale była to w zasadzie jedynie przejażdżka po Berlinie. Na początek raz jeszcze wybrał się na Möckernbrücke i nieśpiesznie przejechał przez Tempelhofer Ufer, choć nie wiedział dokładnie, czego tam szukał. Miał chyba skrytą nadzieję, że przypadkiem natrafi tam na Kardakowa. Jednak wśród niedzielnych spacerowiczów, którzy z ciekawością przyglądali się miejscu wypadku, nie rozpoznał żadnej znajomej twarzy, nawet funkcjonariusza z Zamku. Niedługo nie będzie to już miejsce przestępstwa, a jedynie dziura w ogrodzeniu, którego naprawę miasto będzie odwlekać tak długo, jak się da.

Potem udał się do wschodniej części miasta, przez most Schillingbrücke do dzielnicy Stralauer Viertel, a następnie – do centrum Friedrichshain. Nie odważył się wysiąść przy Küstriner Platz. Nie była to okolica, w której można było ot tak zaparkować amerykański sportowy wóz w piaskowym kolorze i spodziewać się, że po powrocie zostanie się go w nienaruszonym stanie. Albo że w ogóle się go zastanie. Okolice wokół dworca Schlesischer Bahnhof należała do najbardziej osławionych w mieście. Szupo odważali się wychodzić na ulicę jedynie w grupie, a kryminalni starali się, by ich w miarę możliwości nie zdekonspirowano. Dzielnicą twardą ręką rządzą przestępcy, policja nie mogła za wiele wskórać. Zachowanie względnego porządku pozostawiono ringvereinom.

Plaza była kiedyś dworcem, jednak pociągi nie zatrzymywały się tu już od przeszło czterdziestu lat. Budynki dawnego dworca Ostbahnhof służyły jako magazyny aż do momentu, gdy Jules Marx przebudował wielką halę dworca przy Küstriner Platz na warieté, które mogło pomieścić niemal trzy tysiące widzów. Otwarcie odbyło się dopiero na początku roku. Rath najpierw przyjrzał się dłuższej

ścianie ogromnego budynku, znajdującego się przy ulicy wciąż noszącej nazwę „Przy Ostbahnhof”. Na varieté przebudowano widocznie tylko frontową stronę budynku, gdyż z tyłu nadal mieściły się hale magazynowe, część z nich mocno zaniedbana. Następnie powoli pojechał wzdłuż świeżo odnowionej fasady dworca. Wielkie świecące litery neonu tworzące nazwę „Plaza” były wygaszone. Kolorowe afisze przy wejściu głównym zapowiadały repertuar związany z Dzikim Zachodem. Rath wyczuł w tym pewną ironię. W Berlinie wschód był dzikszy niż zachód.

Ani śladu po Johannie Marlowie. „Nie znajdziesz go, to on znajdzie ciebie” – Rath przypomniał sobie słowa Glorii. Nie wiedział nawet, jak w ogóle wygląda doktor M.

Właśnie dlatego wrócił do prezydium i wbiegł po schodach na najwyższe piętro, gdzie urzędowały Inspekcja I oraz służba śledcza. Jednak w kartotekach przestępców nie znalazł żadnego Johanna Marlowa. Mężczyzna miał czyste konto, nie był ani razu karany, nie miał ani jednego wpisu do akt, nawet nie przeszedł ani razu na czerwonym świetle. To samo tyczyło się Aleksieja Iwanowicza Kardakowa. Do tej pory udawało mu się skutecznie ukryć przed berlińską policją fakt, że handluje kokainą. Dlatego zbędna była wizyta u kolegów z wydziału antynarkotykowego, a Rath od razu zszedł na parter.

Wszystkie biura paszportowe w zachodnim skrzydle były zamknięte. Była niedziela, dzień, w który nie przyjmowano żadnych petentów, choć z tego, co wiedział, to urząd paszportowy pracował również w niedziele, tyle że w okrojonym składzie. Jednak dopiero gdy obszedł wszystkie pomieszczenia, w końcu mu się poszczęściło. Za rogiem korytarza otworzył drzwi prowadzące do północnego skrzydła i zobaczył za nimi siwego funkcjonariusza, który zarzucał

na siebie płaszcz. Starszy mężczyzna chciał już zamknąć drzwi do biura.

– Fajrant! – powiedział, gdy Rath go zagadnął. – Jest pierwsza.

– Niech pan poczeka! Policja kryminalna też dziś pracuje! Przystępcy nie przejmują się godzinami urzędowania.

– Muszę jeszcze zajrzeć do archiwum.

– Zdaży pan. Potrzebny mi tylko jeden adres.

Siwy mężczyzna westchnął. Klucz przekreślił się w drugą stronę.

– Cóż, mam nadzieję, że policja kryminalna też wyświadczy mi kiedyś przysługę, jeśli będę takowej potrzebował. – Mężczyzna zaprowadził go do porządnie wysprzątanego biura i wyciągnął etui na okulary z kieszeni płaszcza. Za niewysoką drewnianą barierką, która przeważnie trzymała na dystans zwykłych obywateli, w równych rzędach stały biurka, regały i szafki na akta.

– Dla jakiej inspekcji pan pracuje? – zapytał staruszek.

– Dla Inspekcji E.

Starszy mężczyzna pobieżnie zlustrował go zza swoich okularów, które włożył chwilę wcześniej.

– Jaka litera?

Rath omal raz jeszcze nie powiedział „E”, ale uświadomił sobie, co ma na myśli mężczyzna.

– „K.” – odparł krótko.

Urzędnik z łoskotem otworzył żaluzjową szafkę.

– A całe nazwisko?

– Kardakow.

Mężczyzna wysunął szufladę i zaczął szukać.

– Aleksiej Iwanowicz Kardakow – dodał Rath w nadziei, że pomoże to urzędnikowi biura.

Jednak ten raptem zaprzestał poszukiwań.

– Nie brzmi mi na niemieckie nazwisko – powiedział.

– Nie. Kardakow jest Rosjaninem.

Urzędnik przewrócił oczami. Z hukiem zasunął szufladę, zamknął szafkę i zabrzączał pękem kluczy.

– Nie mógł pan od razu powiedzieć? – zapytał, choć nie oczekiwał odpowiedzi. – Niech pan pójdzie ze mną.

Poprowadził Ratha przez trzy kolejne biura, które wyglądały zupełnie jak to pierwsze.

– Pokój 152. Biuro Paszportowe Urzędu do spraw Cudzoziemców – powiedział mężczyzna, gdy dotarli do czwartego pomieszczenia. Pozostałe procedury Rath już znał: żaluzjowa szafka, szuflada, poszukiwania. Nie trwało to wcale tak długo. Urzędnik wyciągnął z szuflady akta.

– No to go mamy... Kardakow, Aleksiej Iwanowicz. Urodzony 25 lipca 1896 roku w Sankt Petersburgu, Rosja, zameldowany w Berlinie od dnia 15 grudnia 1920...

– Potrzebny mi adres!

– Cierpliwości, młody człowieku. – Znów to pełne wyrzutów spojrzenie znad oprawek okularów. – Zameldowany w Berlinie od dnia 15 grudnia 1920 roku... – powtórzył mężczyzna ze spokojem, który doprowadzał Ratha niemal do szału. To dokładnie ten typ pruskiego urzędnika, który nie nadawał się do policji. – ...zamieszkały w Berlinie przy Nürnberger Stra...

– Nie, to jego stary adres.

– Drogi panie komisarzu! Dlaczego mi się pan naprzykrza, skoro i tak już wszystko wie?

– Przepraszam, ale ten mężczyzna wyprowadził się stamtąd miesiąc temu.

Urzędnik przebiegł wzrokiem po kartce.

– Nie mam tu żadnych wzmianek na ten temat. Kardakow mieszka pod tym adresem od przeszło trzech lat. – Raz jeszcze spojrzął na dokument. – W ciągu tygodnia musi przedłużyć swój żółty dowód osobisty, cudzoziemcy mają obowiązek to robić co pół roku. Zapewne poinformuje przy tej okazji o swojej przeprowadzce. Może wtedy przyjdzie pan ponownie. Mógłbym powiedzieć panu więcej 16 maja.

– Dziękuję bardzo, niezmiernie mi pan pomógł – powiedział Rath tak uprzejmie, jak tylko potrafił. Jednak w środku się gotował. Najchętniej zadusiłby staruszka, ale po chwili przyszło mu do głowy coś lepszego. – Proszę zaczekać – poprosił. Urzędnik stał już w drzwiach. – Proszę zaczekać! Jest jeszcze jedna przysługa, którą mógłby mi pan wyświadczyć! Adres pewnej kobiety, Lany Nikoros.

Mężczyzna coś odburknął, ale posłuchał.

– Też nie brzmi zbyt niemiecko – oznajmił.

Wizyta w Zamku nie przyniosła większych rezultatów. Ani w służbie śledczej, ani w urzędzie paszportowym Rath nie otrzymał żadnych informacji, z których mógłby zrobić użytek. W Berlinie nie była zameldowana żadna Lana Nikoros. Przynajmniej dowiedział się, że Kardakow musi niebawem przedłużyć swój dowód. Jeśli Rosjanin nie pojawi się w ciągu tygodnia, to będzie przynajmniej wiadomo, że naprawdę zapadł się pod ziemię. Gdyby zależało mu jedynie na nieopłaceniu ostatniego czynszu, to jako cudzoziemiec nigdy nie zaryzykowałby poruszania się po Niemczech bez ważnych papierów.

Widok wielkich białych liter wyrwał Ratha z zamyślenia: „Wydział ds. Zabójstw”. Wbił wzrok w szklane dwuskrzydłowe drzwi. Jakimś sposobem trafił na pierwsze piętro. Czyżby siła przyzwyczajenia? Już przed tygodniem stał przed tymi drzwiami, wtedy zobaczył ją po raz pierwszy. Dziś na korytarzu nie było żywej duszy.

Szybko się odwrócił i poszedł w stronę skrzydła, w którym mieściła się obyczajówka. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby napatoczył się na Wilhelma Böhma. Również w tym korytarzu było spokojnie, z biur nie dobiegały żadne dźwięki, żadnych głosów, żadnego stukania na maszynie. Piętro wyżej, u policjantów politycznych, wciąż panował spory tumult – w efekcie majowych akcji cele policyjnego więzienia się zapełniły. Jednak w Inspekcji E nikt dziś nie pracował. Ich biuro było oazą spokoju w samym środku rozemocjonowanego miasta. I zarazem właściwym miejscem do rozmyślań.

Drzwi były otwarte. Liczył, że w środku nie zastanie nikogo. Tym większe było jego zaskoczenie, gdy spotkał tam swego kolegę.

– Stephan!

Nowicjusz Jänicke siedział przy biurku Wujka nad stosem papierów, pogrążony w lekturze. Na dźwięk swojego imienia wzdrygnął się ze strachu.

– Cześć Gereonie! – Jänicke wydawał się równie zaskoczony jak on. – Czy ta banda też nie daje Ci spokoju? Chciałem jeszcze raz przejrzeć sobie materiały o Königu. Ten człowiek nie wychodzi mi z głowy. Niby poczciwy fotograf, a tu takie świństwa.

– Akta Königa sporządzone przez IA? Są w moim biurku. To ja je wygrzebałem, nie Bruno.

– Zgadza się! – Jänicke wetknął leżące na biurku papiery z powrotem do szuflady Woltera i szybko ją zamknął. – Długo bym się naszukał!

Szuflada w biurku Ratha była jeszcze prawie pusta. Szybko odnalazł więc teczkę, w której znajdowały się zapiski o politycznych upodobaniach Königa, i rzucił ją Jänickemu.

– Trzymaj.

Mężczyzna miał chwytny palce. Mówiło się, że grał w piłkę ręczną.

– Dziękuję! – Blondyn wziął teczkę i powędrował z powrotem do swojego biurka. – A co sprowadza Cię tu w niedzielę?

Dobre pytanie. Nie miał ochoty udawać, że ogarnął go zapal do sprawy o pornografię, a potem jeszcze wraz z nowicjuszem głowić się nad aktami Königa. Poza tym poszukiwanie Rosjanina o nazwisku Kardakow już w ogóle nie powinno młodemu nic obchodzić.

– Nuda – odpowiedział więc. – Nie mam samochodu, który mógłbym umyć.

Jänicke się zaśmiał, ale raczej z poczucia obowiązku. Rath był wyższy rangą.

– Teraz i ja wiem, dlaczego nie ma tu Brunona. – odchrząknął Stephan. – Cóż, ja też nie chciałem spędzić tu całej niedzieli. Hertha gra dziś przeciwko Südstern. Idziesz?

– Wydawało mi się, że jesteś szczypiornistą.

– Zdarzało mi się też stawać w bramce na boisku do piłki nożnej. W młodości, w klubie Viktoria Allenstein. Grać w piłkę ręczną zacząłem dopiero w szkole policyjnej w Poczdamie. Również jako bramkarz.

– I tak wygra Hertha – oznajmił Rath – oni przecież mają monopol na mistrzostwo Berlina. – Udał, że szuka czegoś w biurku. – Zraz sobie pójdę. Chciałem tylko sprawdzić... O, jest tutaj!

Wyciągnął z szuflady portfel, który wrzucił tam trzy sekundy wcześniej.

– Uff. – Rzucił z udawaną ulgą. – A już myślałem, że zwinął mi go któryś z kieszonkowców na Alexanderplatz. Zdążyłem się już nastawić na niedzielę bez pieniędzy.

Schował portfel i ruszył w stronę drzwi.

– No to widzimy się jutro.

Przez dwa dni nie widzieli Jänickego i akurat teraz znów się pojawił! Rath odnosił wrażenie, że nieoczekiwane spotkanie wprowadziło nowicjusza w jeszcze większe skrępowanie niż jego samego. W końcu buszowanie po cudzych biurkach nie jest zbyt uprzejme. Czy Bruno o tym wiedział? Pewnie nie. Rath postanowił, że niczego mu nie powie, podczas gdy Jänicke będzie z obawą myślał o tym, że Rath *mógłby* to zrobić. Nie zaszkodzi, jeśli Jänicke poczułby się w obowiązku, żeby wyświadczyć mu tę czy inną przysługę.

Na klatce schodowej Rath poczuł ogromny głód. Dopiero wpół do drugiej, miał jeszcze wystarczająco czasu, żeby coś tu zjeść. Ale nie w kantine. Zamiast na atrium poszedł do wyjścia prowadzącego na Dirksenstrasse. Na ceglane sklepienie ciągnące się pod estakadą kolejową padało kilka delikatnych promieni słonecznych. Rath musiał przytrzymać kapelusz, gdy skręcił na plac, bo po Alexanderplatz hulał porywisty wiatr. Pomędzy płotami ogradzającymi place budowy nawet w niedzielę panował spory rwetes. Jakiś gazeciarz wykrzywił nazwy podejrzanych magazynów, po 20 fenigów za egzemplarz. Jednym z nich było „Małżeństwo”, niesamowicie interesujące i pikantne. Rath zastanawiał się, czy handlarz gazetami pornograficznymi, któremu zawdzięczają sukces swoich poszukiwań, jeszcze kiedyś się tu pojawi. Przebił się przez tłum, przecisnął obok wózka z pieczywem stojącym przed Aschingerem i wszedł do środka restauracji.

W środku było ciemno, ale przyjemnie ciepło. Pachniało piwem i dymem papierosów. Rath zdjął z haka niedzielne wydanie gazety i usiadł przy wolnym stoliku. Gdy przyszedł kelner, zamówił marynowaną pieczeń wołową z kluskami i piwo. Otworzył gazetę. Zdjęcie martwego Borysa trafiło również do dzisiejszego wydania i mężczyź-



nie udało się nawet przeskoczyć kilka stron do przodu. Tekst opatrujący fotografię był obszerniejszy, jednak nadal nie zawierał istotnych szczegółów. Śledztwo Böhma nie posuwało się do przodu.

– Aha, a więc pan nie tylko robi reklamę Aschingerowi, ale także tu jada!

Poderwał się ze strachu, wyrwany z zamyślenia. Przed nim stała kobieta w ciemnym płaszczu. Charlotte Ritter. Uśmiechała się. W pośpiechu złożył z powrotem gazetę i wymamrotał jakieś powitanie. Ona nadal stała przed nim.

– Czy miejsce przy tym stoliku jest wolne? – zapytała.

– Oczywiście. – Wstał i podsunął jej krzesło. Poczul jej piękny zapach, gdy stał za nią i przyglądał się jej smukłej szyi.

Usiadła. Rath się zastanawiał, jak ma zacząć rozmowę. Zanim zdążył powiedzieć coś głupiego, kelner przyniósł jedzenie.

– Dla mnie tylko kawa – powiedziała i życzyła Rathowi smacznego.

– Dziękuję. – Najchętniej poprosiłby o zapakowanie pieczeni na wynos. – Jak szybko znów się spotykamy – powiedział zamiast tego i zaczął jeść. – Dziś też była pani w prezydium?

– Co znaczy była? Zaraz tam wracam. Böhm wypuścił mnie tylko na chwilę. Mamy mnóstwo rzeczy na głowie! Kolejny pracowity koniec tygodnia. – Wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „No cóż, takie jest życie”.

– I jak? Są jakieś postępy?

– Postęp to za duże słowo. To dziwna sprawa. Nie mamy prawie żadnych punktów zaczepienia. Obawiam się, że sprawa „Wodnik” będzie nas zajmowała jeszcze przez długi czas.

– „Wodnik”?

– Taki kryptonim nadaliśmy sprawie, choć nie jest to klasyczny topielec. Jak inaczej ją nazwać, skoro ofiara nie ma nawet nazwiska?

– Nie znacie tożsamości ofiary?

– Gdybyśmy znali nazwisko, to bylibyśmy już zdecydowanie dalej. Jednak w tej chwili niestety stoimy w miejscu, choć Zörgiebel chciałby dostać rezultaty na przedwczoraj.

„Wyrzuty sumienia prezydenta policji”. Weinert miał rację. Zörgiebel cisnął gaz do dechy, chciał odnieść szybki sukces. Śledczy wydziału zabójstw byli najbardziej lubianymi policjantami Berlina, popularnymi niczym aktorzy filmowi. Poza tym Inspekcja A miała fantastyczny wskaźnik wykrywalności przestępstw, na którym opierała się także popularność Zörgiebela. Nie było wątpliwości: Napohybel – jak kularowo mówiło się o prezydencie policji również w kręgach funkcjonariuszy – był pod wielką presją. Przewisko nadano mu, gdy Karl Zörgiebel piastował jeszcze urząd prezydenta policji w Kolonii.

– A ja myślałem, że Inspekcja A koncentruje wszystkie swoje moce przerobowe na tym, by wyjaśnić majowe wypadki śmiertelne.

Pokręciła przecząco głową.

– Tym zajmuje się wyłącznie IA, policja polityczna, która już od dawna nie musiała zajmować się tyloma nieboszczykami, najprawdziwsza masówka. Proszę mi wierzyć, zbadanie ciała ofiary zamieszek byłoby dla nas prostsze, w większości przypadków przebieg wydarzeń jest łatwy do ustalenia. Nawet jeśli nie przysporzy nam to sympatii kolegów.

– Co ma pani na myśli? – spojrzał na nią pytająco.

– Ujmę to tak. Najwyraźniej w trakcie zamieszek policja wystrzeliła za wiele kul. A komuniści za mało.

Wyglądało na to, że jest dobrze poinformowana.

– A więc Inspekcja IA ma do pomocy właściwy wydział – podsumował. – W końcu koledzy i tak już przywykli do tego, że nie cieszą się dużą sympatią.

Kelner postawił na stole dzbanek z kawą i nalał napoju do filiżanki.

– Czy kawa w Inspekcji E też jest taka parszywa jak u nas? – zapytała.

Był zaskoczony.

– Wie pani, że pracuję w obyczajówce?

Zaśmiała się. Jej dołeczki w policzkach zwały z nóg. Dobrze, że już siedział.

– Cóż, jeśli ktoś z nieprzymuszonej woli stoi na korytarzu z Wolterem Parabellum, to pewnie też z nim współpracuje. Umiejętność dedukcji jest zasadniczym warunkiem zatrudnienia w wydziale zabójstw. Nawet dla stenotypistki. – Ostrożnie wypła łyk kawy.

– Parabellum? – Po raz pierwszy usłyszał to przezwisko.

– Ten facet był kiedyś instruktorem na strzelnicy. To jeden z najlepszych strzelców, jakich miała berlińska policja.

– Mówi pani poważnie? – Nie spodziewał się tego po Brunonnie. Rath uświadomił sobie, że nigdy nie widział, jak Wolter strzela. W obyczajówce rzadko kiedy ma się okazję sięgnąć po broń.

– Powinien pan częściej jadać w kantynie zamiast w Aschingerze. Można się tam dowiedzieć ciekawych rzeczy o kolegach z pracy. O panu również.

– O mnie? – Zapytał zaskoczony. – Zna pani moje nazwisko?

– Ojej! – Demonstracyjnie zakryła dłonią usta, dając do zrozumienia, że nie mówi poważnie. Nie mógł powstrzymać uśmiechu. – Niech pan nie udaje niewiniątka! – oznajmiła. – Już wczoraj pan

wiedział, że jestem stenotypistką. A więc zebrał pan o mnie więcej informacji, niż chciałby przyznać. Mam wielką nadzieję, że zalicza się do nich moje nazwisko. – Westchnęła teatralnie. – Cóż począć – powiedziała – świat jest mały. A co dopiero Zamek.

– Jeden z najlepszych strzelców, jakich miała berlińska policja. Stary poczciwy Bruno! – Rath pokręcił głową. – Czemu ktoś taki łąduje w obyczajówce?

– Dobrze pytanie. – Zamieszała kawę i uśmiechnęła się do niego. – A jak *pan* trafił do Inspekcji E?

– Długa historia. Obawiam się, że zdecydowanie dłuższa niż filiżanka kawy. Niech pani lepiej podpyta w kantynie.

– Dużo się tam wprawdzie o panu mówi, ale niewiele można się dowiedzieć. – Wskazała na stolik przed sobą. – Poza tym mam tu cały dzbanek kawy.

– Moja historia jest dłuższa niż pogawędka przy kawie.

– A więc jeśli chcę usłyszeć pańską historię, muszę pana zaprosić na kawę i ciasto, panie Rath?

– Co najmniej. – Zastanowił się przez moment, a potem dodał: – A na co ja powinienem *panią* zaprosić, żeby usłyszeć *pani* historię?

– Wydaje mi się, że kolacja wystarczy.

Gdy siedział już w aucie, jego myśli nadal krążyły wokół niej. Bez celu jeździł po mieście i cieszył się widokiem pustych ulic wczesnym niedzielnym popołudniem. Czego szukała w Aschingerze? Przecież kawy mogła się napić w Inspekcji A. Mieli tam też w bród ciasta. Dbał o to sam Ernst Gennat, uzależniony od ciasta szef wydziału zabójstw. Może na polecenie Böhma miała go wziąć na spytki na okoliczność ich spotkania na Möckernbrücke? Jeśli tak, to dlaczego tak flirtowała? Czy to element jej planu?

Powoli nadchodziła pora, żeby wrócić do domu. Odcinek, który pokonał, spodobałby się jego ojcu, gdyby ten rzeczywiście przyjechał kiedyś w odwiedziny. Idealna trasa dla prowincjonalnych przybyszów, takich jak Engelbert Rath. Trasa wiodła z Alexanderplatz na Königstrasse, obok ratusza i Zamku Miejskiego, przez Schlossbrücke na Unter den Linden, obok Zbrojowni i Starego Odwachu przez Charlottenstrasse, potem runda dookoła Gendarmenmarkt, przez Leipziger Strasse i Wilhelmstrasse, obok budynków ministerialnych, z powrotem na Unter den Linden i przejazd przez Bramę Brandenburską. Skoncentrowana dawka Prus dla wzorowego pruskiego urzędnika Engelberta Ratha, dumy kolońskiej policji. Poza tym zdecydowanie wygodniej jechało się buickiem należącym do Weinerta niż jednym z tych autobusów wycieczkowych przedsiębiorstwa Käse, pośród tłumu hałaśliwych turystów. Jednak Rath nie liczył na szybie odwiedziny. Jak dotąd ojciec zadzwonił do niego do Berlina jedynie dwa razy – za każdym razem do prezydium, i w oszczędnych słowach podpytał jedynie, jak syn sobie radzi w Inspekcji E. Takiego staruszka Rath znał, odkąd sięgał pamięcią: zawsze oficjalny, nigdy nie pozwalał sobie na zażyłość. Jedynie matka już wiele razy dzwoniła na jego prywatny numer na Nürnberger Strasse, lecz Rath oszczędziłby się bez jej zatroskanego głosu w słuchawce telefonu. Czasami wołał już powściągliwość ojca.

Musiał zatrzymać się na skrzyżowaniu przy Potsdamer Platz. Był kwadrans po trzeciej. Światła na wieży sygnalizacyjnej zmieniły się na zielone, gdy spostrzegł plakat na słupie ogłoszeniowym. Chciał już wcisnąć gaz, jednak w końcu pozostawił stopę na hamulcu. Stojący za nim taksówkarz zaczął trąbić. Rath poczekał, aż samochód go ominie, skręcił w Potsdamer Strasse i zaczął szukać miejsca postojowego. Tuż za kawiarnią Josty zjechał w prawo na parking, wy-

siadł z auta i cofnął się kilka metrów do zbiegu ulic. Przed równie wysokim co dom ogrodzeniem obklejonym afiszami, oddzielającym plac budowy od chodnika, stał słup ogłoszeniowy. Znajdujące się na nim litery zdawały się zdecydowanie mniejsze i skromniejsze niż ogromne napisy umieszczone na ścianie tuż za nim, ale odczytał je bez trudu. „Występ Ilji Treczkowa” – obwieszczał plakat, zapraszający gości do Europahaus. Rath zanotował sobie godziny i wrócił do auta, zadowolony. To byłby pomysł na miejsce spotkania z Charlotte Ritter, pomyślał. Na dodatek w Europahaus mieściło się też kino. Koniec końców dzień okazał się całkiem owocny. Teraz okaże się jeszcze, co przyniesie wieczór.

Gdy Rath wrócił na Nürnberger Strasse, Weinert już czekał na zewnątrz. Była za pięć czwarta. Podjechał autem. Zatrzymał się tuż przy nogach dziennikarza, zaciągnął ręczny hamulec i wysiadł.

– Punktualnie jak w zegarku – oznajmił Weinert z uznaniem i usiadł na miejscu kierowcy. – I co? Spodobał Ci się samochód?

– Na pewno jest lepszy niż komunikacja miejska.

– Owszem. – Weinert zwolnił hamulec ręczny i wrzucił bieg. – Baw się dobrze na spotkaniu policjantów – krzyknął przez ramię i dodał gazu.

Rath nie wiedział, co Weinert miał na myśli. Gdy otworzył drzwi do mieszkania, usłyszał dobiegające z kuchni głosy. Elisabeth Behnke miała gości. Odwiedził ją jakiś mężczyzna. Jeszcze się to nie zdarzyło, odkąd mieszkał w tym domu.

Poszedł prosto do swojego pokoju i powiesił płaszcz. Spojrzał na mapę z planem miasta, wiszącą na ścianie. Dzień wcześniej, trzymając w ręce pudełko pinezek, powiesił ją obok pogruchotanej szafy. Pierwszą wbił przy kanale Landwehr, tuż obok Möckernbrücke, skąd wyciągnięto ciało Borysa, drugą – przy Nürnberger Strasse 28, gdzie

krótko przed śmiercią Borys szukał Aleksieja Kardakowa. Kolejne szpilki umieścił przy Luisenufer, nieopodal zoo na wysokości Café Berlin oraz przy Eldorado na Lutherstrasse. Trop za Kardakowem prowadził aż do Küstriner Platz, do Plazy. To tam pracował mężczyzna, od którego Kardakow kupował kokainę. Rath zrobił krok w stronę mapy i wyciągnął z niej szpilkę, która wskazywała opuszczony Delphi Palast przy Kantstrasse, i wbił ją przy Anhalter Bahnhof – w Europahaus mieszczący się przy Königgrätzer Strasse, w którym Ilja Treczkow dostał nowy angaż. Oby Lana Nikoros również.

Rath wyciągnął z kieszeni zdjęcia obu Rosjan – dostojną fotografię Kardakowa i wycinek z gazety przedstawiający martwego Borysa – i pinezką przymocował je obok mapy. Potem powiesił jeszcze broszurę z repertuarem i portretem piosenkarki. Co łączyło te trzy osoby? Piosenkarka przyjaźniła się z Kardakowem i pochodziła z Rosji. A może była żoną Borysa? Kochankowie zabili małżonka Lany i uciekli? Nie byłaby to pierwsza tego rodzaju sytuacja. Rath nieświadomie pokręcił głową. Wyciągnął z portfela jeszcze wizytówkę Josefa Schneida i przyczepił do repertuaru.

Zrobił krok do tyłu i przyglądał się mapie, tak jak artysta przygląda się swemu dziełu. Czasami dostrzegał jakiś wzór, jakieś połączenie, przestrzenną bliskość lub inny związek, jednak igły zdawały się rozsiane po całym mieście w zupełnie przypadkowy sposób. Tropy Borysa i Kardakowa krzyżowały się tylko w jednym miejscu – przy Nürnberger Strasse 28. Już od wielu lat Rath miał nawyk zaznaczania na mapie miejsc istotnych dla śledztwa, lecz przez te wszystkie lata jeszcze nie zdarzyło mu się wbić igły w miejsce własnego zamieszkania. Zawsze musi być ten pierwszy raz, pomyślał.

Ktoś zapukał do drzwi. Weinert na pewno jeszcze nie wrócił. Czyżby Behnke chciała go zaprosić, żeby przyszedł do kuchni i dołą-

czył do niej i gościa? Rath otworzył jedne z drzwi szafy. Gotyckie rzeźbienia zasłoniły zdjęcia wiszące na ścianie oraz niewielką część planu miasta.

– Tak? – zapytał. Drzwi do pokoju otworzyły się.

– Niespodzianka – powiedział męski głos.

Ta wizyta rzeczywiście wydała się Rathowi nieoczekiwana.

– To Ty? – zapytał.

W drzwiach stał Bruno Wolter. Wujek się zaśmiał.

– No zamknij już tę buzię – polecił. – Pomyślałem, że skoro składam wizytę Elisabeth, to muszę też sprawdzić, czy mój kolega jest w domu. Chciałem w końcu zobaczyć, jak się urządziłeś. Wolałbym uniknąć wszelkich zażaleń.

Rath mógł właściwie przewidzieć te odwiedziny. To Bruno Wolter załatwił mu pokój u Elisabeth Behnke. Znał wdowę, gdyż walczył na wojnie razem z jej zmarłym mężem. Czy to nie on przekazał młodej Elisabeth wiadomość o śmierci małżonka? Rath całkowicie wyparł te historie, tak jak wszystko, co miało związek z wojną.

– Nie widziałem Twojego samochodu – powiedział Rath. – Odwiedzałeś E... panią Behnke?

Wolter przytaknął i wszedł do pokoju. Miał już na sobie płaszcz, a w dłoni trzymał kapelusz.

– Dziś jest rocznica śmierci jej męża – poinformował. – Co roku przynoszę jej kwiaty. Helmut Behnke był najlepszym kompanem, jakiego można sobie wyobrazić.

Rath przełknął ślinę. A więc dlatego upiła się ostatniej nocy! Bo jej mąż poległ dwanaście lat temu! Upiła się i szukała choć odrobiny ludzkiego ciepła, a wtedy przypadkiem w drzwiach pojawił się on.

Wujek rozejrzał się dookoła i z aprobatą pokiwał głową.



– Całkiem tu przytulnie – powiedział i zawiesił wzrok na planie miasta. – Tylko ten kąt bardzo przypomina prezydium.

– Albo konfesjonał – odparł Rath. Wydawało mu się, że szafa zdecydowanie bardziej przyciąga wzrok niż mapa. Poza tym Bruno nie powinien się nią interesować.

– To ten Rosjanin w nią kopnął? – Wolter wskazał na uszkodzoną ścianę mebla.

No proszę! Elisabeth się wygadała. Rath przytaknął.

– Jakiś pijak.

– I co? Zjawił się potem kolejny raz?

Owszem, jako nieboszczyk, pomyślał Rath. W odpowiedzi pokręcił jednak przecząco głową.

– Od początku mówiłem Elisabeth, żeby nie wpuszczała do mieszkania żadnych Rosjan. Same z nimi kłopoty. I nie ma znaczenia czy to bolszewik, zwolennik caratu, czy jeszcze ktoś inny. – Spojrzał nagle Rathowi głęboko w oczy, jak na przesłuchaniu. – Dlatego poleciłem jej mojego kolegę na nowego najemcę. Mam nadzieję, że nie będzie sprawiał problemów. – Brzmiało to tak, jakby Elisabeth Behnke opowiedziała mu jeszcze więcej. Pytanie tylko co? I ile zdradziła szczegółów?

Rath wolał zmienić temat.

– Napijesz się czegoś? – zapytał i zrobił krok w stronę drzwi. Chciał pozbyć się Brunona ze swojego pokoju, zanim ten obrzuci mapę jeszcze bardziej ciekawskim spojrzeniem. – Może pójdźmy do kuchni, tam...

Wolter uniósł ręce w uniku.

– Nie kłopotcz się mną, już mnie tu ugoszczono po królewsku. Wpadłem na chwilę, chciałem tylko do Ciebie zajrzeć. – Krótko się

zastanowił. – Może napijemy się piwka dziś wieczorem? U mnie we Friedenau. Emmi przygotuje nam coś do zjedzenia.

– To bardzo miłe, dziękuję. Ale dziś wieczorem nie dam rady, przykro mi... – Rath uniósł ramiona przepraszająco. – Będę w varieté.

– Rozumiem – odparł Wolter, a na jego twarzy zarysował się delikatny uśmiech. – Najwyższy czas, żebyś w końcu wyszedł z tego więziennego konfesjonału. Mam nadzieję, że jest ładna!

Na zewnątrz na ulicy zatrąbiło jakieś auto.

– Muszę już iść – oznajmił Wujek i nałożył kapelusz. – Do zobaczenia jutro.

Rath podszedł do okna i ostrożnie wyjrzał za zasłonkę. Przed drzwiami na poboczu stał czarny ford A, auto Brunona. Za kierownicą siedział młody mężczyzna, którego Rath nie znał. Czyżby Bruno miał syna? Rath zdał sobie sprawę, że nie wie za wiele o swoim koleźce. Bruno wsiadł i auto ruszyło, zawróciło i odjechało w kierunku ulicy Tauentzien. Do Friedenau jechało się w przeciwnym kierunku. Widocznie Bruno nie chciał jeszcze wracać do domu.

Gdy wysiadł z pociągu na Schlesischer Bahnhof, odruchowo postawił kołnierz płaszcz. Miał nadzieję, że nikt od razu nie rozpozna w nim gliny. Obnoszenie się tu z policyjną odznaką nie było najlepszym pomysłem. Naładowanego mauzera trzymał tego dnia w kaburze na szelkach pod marynarką. Ciężar broni go uspokajał. Nigdy nie wiadomo, co może zdarzyć się w tej okolicy.

Właśnie to intrygowało wielu poszukiwaczy wieczornych atrakcji – noc w dzielnicy Stralauer Viertel spędzona wśród mniej czy bardziej zuchwałych przestępców oraz pięknych kobiet i rzucanie im ukradkowych spojrzeń z sąsiedniego stolika. Ciekawsze to niż włó-

czenie się po eleganckiej zachodniej części miasta, gdzie przy Ku'dammie ryzykowało się co najwyżej pobicie przez zgraję członków SA, bojówki NSDAP, czyli tych, którzy uznali, że wygląda się niewystarczająco aryjsko. Tu, na wschodzie Berlina, przy odrobinie szczęścia można było zostać świadkiem strzelaniny między prawdziwymi bandziorami.

Gdy Rath dotarł na Küstriner Platz, robiło się już ciemno. Nawet oświetlenie ulic wydawało się na wschodzie miasta mroczniejsze niż w City czy Charlottenburgu, zupełnie jakby latarnie wstydyły się tego, co oświetlają. Więcej światła rzucały neonowe litery zdobiące fasadę Plazy. Reflektory zalewały światłem wszystkie trzy kondygnacje, aż po znajdującą się na dachu balustradę i stary zegar. Plaza jaśniała niczym rozświetlona wysepka pośród tej ponurej okolicy.

Przed wejściem co chwilę zatrzymywały się taksówki i wypluwały dobrze ubranych gości i szukających przygód turystów, którzy przybyli tu z zachodniej części miasta. Okoliczni mieszkańcy, którzy musieli zaoszczędzić, żeby pozwolić sobie na wizytę w varieté, docierali tu pieszo albo na rowerze. Rath wmieszał się w kolorowy tłum i wraz z nim minął kasy oraz garderobę, przeszedł przez foyer i wszedł na wielką widownię.

Imponujące, co Jules Marx zrobił z niegdysiejszej hali dworca. Przed Rathem roztoczył się widok na wielką salę, w której nie było ani jednego narożnika, jedynie delikatne łuki. „Plaza” miała blisko trzy tysiące miejsc siedzących i wyglądało na to, że sala będzie dziś pełna. Zebrało się w niej już na pewno ponad tysiąc osób, a za dziesięć minut miało zacząć się przedstawienie. Orkiestra grała, jednak przez gwar widzów szukających swoich miejsc ledwie dało się ją usłyszeć.

Rath rozejrzał się dookoła. Nie miał pojęcia, jak ma zwrócić uwagę Marlowa pośród trzech tysięcy ludzi. Zajął swoje miejsce i przeglądał program, bawiąc się zdjęciem Kardakowa w nieporadny i rzucający się w oczy sposób.

– Czy on też będzie występował? – zapytała jego sąsiadka, szczupła kobieta w okularach, przypominająca nauczycielkę gry na flecie prostym.

Rath wymamrotał coś o znajomym. Kobieta zrobiła się czerwona i odwróciła od niego. Widział po niej, co sobie pomyślała. Drugi sąsiad nie wykazał najmniejszego zainteresowania jego osobą, pewnie usłyszał krótką rozmowę z nauczycielką gry na flecie. Rath schował zdjęcie, poirytowany. Tymczasem zgasły światła. Pierwszy wystąpił czarodziej przypominający szamana, po nim wyszli akrobaci w kowbojskich kostiumach wywijający lassami oraz mężczyzna rzucający nożami, przyozdobiony indiańską biżuterią. Gdy potem jeszcze jakiś kowboj zaintonował smętną piosenkę o samotności na prerii, Rath miał ochotę obrzucić scenę pomidorami. Pech chciał, że nie miał ich przy sobie.

Dlaczego właściwie tu siedział? Chciał spotkać się z Marlowem! Zamiast tego oglądał przedstawienie w varieté, choć już jako dziecko niechętnie chodził do teatrów rewiowych. Zagryzł zęby i wytrzymał do przerwy. Podczas gdy pozostali widzowie udawali się do foyer, on jeszcze przez jakiś czas siedział na swoim miejscu i rozglądał się dookoła. Ludzie przeciskali się obok niego, komentując to pod nosem. W panującym wokoło ścisku nikt nie rzucił mu się w oczy. Nie wiedział, czego szukał, nie wiedział nawet, jak Marlow wygląda. Czego się spodziewał? Szefa mafii przypominającego Ala Capone? Jakiegoś opasłego mężczyzny w białym garniturze w towarzystwie dwóch osiłków? Ktoś taki na pewno siedziałby na górze w łoży. Jed-

nak również tam nie dostrzegł żadnej osoby, na widok której odezwałby się jego policyjny instynkt. Wreszcie sala niemal opustoszała. Dał za wygraną i również poszedł do foyer.

Nadal nonszalancko trzymał w ręce program przedstawienia oraz zdjęcie i szwendał się, mijając grupy palących, pijących i paplających ludzi, jednak najwidoczniej portret Aleksieja Kardakowa nie robił tu na nikim wrażenia. Dlaczego Gloria wysłała go do Plazy? Co doktor M. miał wspólnego z varieté? Może należało do niego, a Jules Marx był jedynie figurantem? Jeśliby tak było, to doktor M. raczej nie pojawiałby się na przedstawieniach, lecz siedziałby w biurze. Dalsze sterczenie tu wydało mu się kretynizmem. Powinien był wycisnąć z Glorii więcej informacji.

Postanowił przejść się na górę i zajrzeć do biur.

– Chwileczkę, nie wolno tam wchodzić!

Zdążył pokonać trzy, może cztery stopnie, gdy zatrzymał go jeden z portierów ubranych we frak.

Rath starał się możliwie jak najbardziej przypominać przedsiębiorcę. Bądź co bądź miał na sobie swój najlepszy garnitur.

– Przepraszam – powiedział – ale muszę porozmawiać z kimś z kierownictwa...

– Nie jest pan zadowolony z przedstawienia?

– Nie, nie o to chodzi – skłamał. – Muszę pilnie porozmawiać z panem Marlowem. Powiedziano mi, że go tu znajdzie.

– Więc udzielono panu błędnych informacji. Tu nie pracuje żaden pan Marlow.

– Doktor Marlow?

Portier uniósł prawą brew i udało mu się nawet zmarszczyć jedynie połowę wysokiego czoła.

– Przykro mi – odparł. – Jak już powiedziałem: ktoś musiał panu udzielić nieprawdziwych informacji. Proszę zejść ze schodów.

– Czy to nazwisko nic panu nie mówi?

– Nic mi o takiej osobie nie wiadomo.

Rath odpuścił, zrezygnowany. Tłum ludzi wlał się z powrotem do sali. Komisarz zniósł także resztę przedstawienia, nie poświęcając jednak uwagi Wielkiemu Marloniemu, wyczarowującemu na scenie królika z kapelusza, ani doktorowi M. błyszczącemu jak gwiazda w roli miotacza nożami. Po prawdzie, to nawet nie oczekiwał, że wśród artystów zobaczy Marlowa.

Coś jednak musiało łączyć doktora M. z Plazą, pomyślał, gdy rozłoszczony zaprzepaszczonym czasem, człapał do pociągu wraz z mrowiem pozostałych widzów. A może Gloria umiejętnie go oszukała? Czy odważyłaby się to zrobić? Chyba nie. Eldorado było przecież zdane na przychylnie nastawionych gliniarzy z obyczajówki. Może po prostu przyszedł do teatru w niewłaściwy dzień albo Marlow już dawno go odnalazł i nie chciał z nim rozmawiać.

Z Plazy do Schlesicher Bahnhof ciągnęły setki ludzi, więc Rath nawet nie zauważył, że ktoś go śledzi.

## 12

W poniedziałkowy ranek w Zamku panował stan ogólnego przygnębienia. Korytarze prezydium wydawały się jeszcze bardziej szare niż zwykle. Trzydniowa akcja, zakrojona na szeroką skalę, okazała się dla kierownictwa policji wielką klapą. Relacje prasowe okazały się miażdżące: Berthold Weinert nie był jedynym dziennikarzem, który potępiał majowe działania berlińskiej policji. Popularność zyskiwało wyrażenie „krwawy maj”, po raz pierwszy sformułowane przez „Vossische Zeitung”.

Odnotowano dwadzieścia dwie ofiary śmiertelne, wielu rannych walczyło o życie. Policja zużyła ogromne ilości amunicji: z policyjnych pistoletów padło 7885 strzałów, kolejne 3096 z karabinów i broni maszynowej. Także pod tym względem ewidencji berlińską policję charakteryzowała pruska skrupulatność.

Mniej liczenia miała policja ze skonfiskowaną bronią. Tak naprawdę mogli darować sobie rewizje domów w Wedding i Neukölln. Nie warto nawet wspominać, co udało im się zebrać po przeczesaniu setek mieszkań w ramach szeroko zakrojonej akcji: zaledwie około tuzina rewolwerów i dwa – trzy karabiny. Więcej broni posiadała najzwyczajsza strzelnica na byle jarmarku.

Jednak w gabinetach szefostwa skrzętnie konstruowano już opowieść o próbie przewrotu, który zorganizowali komuniści, a któremu policja zapobiegła dzięki swojej zdecydowanej akcji. Od wczesnych godzin porannych w poszukiwaniu list z nazwiskami przetrząsano siedziby komunistów nie tylko przy Bülowplatz, lecz także

w całym mieście. Pruskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, tłumacząc się majowymi zamieszkami, zakazało działalności Czerwonego Związku Bojowników Frontowych.

Na krótko przed rozpoczęciem służby wezwano funkcjonariuszy kryminalnych wszystkich wydziałów. Prezydent policji Zörgiebel osobiście powitał ich w wielkiej sali konferencyjnej, mieszczącej się nad głównym wejściem. Od czasu, gdy pracował w kolońskiej policji, Napohybel prawie w ogóle się nie zmienił. Ten mający skłonność do nadwagi mężczyzna był niegdyś sekretarzem związku zawodowego, a stanowisko kierownika policji otrzymał z nadania socjalistów, po tym jak doszli do władzy i akurat mieli posady do obsadzenia. Uchodził raczej za polityka niż śledczego, i to nawet mimo tych wszystkich lat przepracowanych jako szef policji. Widywano go rzadko. Przeważnie wysyłał na takie spotkania swojego zastępcę, doktora Bernharda Weißa. Był on ekspertem stojącym na czele berlińskiej policji i wybitnym śledczym. Zbyt idealnym, by cieszyć się sympatią wśród kolegów, ale za to powszechnie szanowanym, co dawało mu pewną przewagę nad Zörgiebelem. Weiß miał poważne zastrzeżenia dotyczące utrzymania w mocy zakazu demonstracji pierwszomajowych, lecz prezydent chciał go przeforsować za wszelką cenę. Z wiadomymi skutkami.

Prezydent policji podziękował funkcjonariuszom wydziału kryminalnego za ich zaangażowanie podczas „komunistycznych rozruchów”, a następnie szybko zmienił temat. Zörgiebel był przede wszystkim politykiem, więc wiedział, że policja kryminalna niechętnie da się zaprzęgnąć do spraw politycznych. Według powszechnej opinii, takimi rzeczami powinien zajmować się jedynie wydział IA, toteż większość funkcjonariuszy z zadowoleniem pokiwała głowami, gdy prezydent wyjaśnił, że zwołał ich tu z innego powodu. Chodziło



o sprawę niewyjaśnionego zgonu, która wymaga współpracy wszystkich. Jej jak najszybsze wyjaśnienie miało być ogromnie ważne, aby pokazać berlińczykom, że policja nadal trzyma rękę na pulsie i dba o bezpieczeństwo w mieście. Zörgiebel zaapelował do poczucia solidarności policjantów wydziału kryminalnego, wezwał wszystkie inspekcje Wydziału IV, aby wsparły śledczych i oczywiście zaznaczył, by nie zaniedbywać przy tym swoich codziennych obowiązków.

– Przecież chodzą panowie po mieście – powiedział na koniec. – Niech wykorzystają panowie swoje kontakty!

Następnie na mównicę wszedł nadkomisarz Böhm. Rath najchętniej ostrzelałby go kuleczkami z papieru, jak to kiedyś robiło się w szkole. *Mokrymi* kuleczkami, rzecz jasna. Szukał wzrokiem Charlotte Ritter, ale nie mógł jej nigdzie dostrzec. Na spotkaniu nie pojawiła się żadna kobieta. Ktoś w Inspekcji A musiał przecież pracować, podczas gdy wszyscy panowie zajęci byli zgrywaniem waśniaków. Ernst Gennat, zwany Buddą, też się nie pojawił. Rath jednak wiedział, że szef Wydziału Zabójstw wolał spokojną pracę dochodzeniową niż tego typu gwarne zgromadzenia.

A to w istocie było głośne zgromadzenie.

– Moi panowie – Böhm szczechnął tak głośno, że jego koledzy siedzący w pierwszym rzędzie aż się wzdrygnęli – chciałbym podziękować za tak liczne przybycie. Obecnie nadal prowadzimy śledztwo w wielu kierunkach. Naszym największym problemem jest to, że wciąż nie udało nam się poznać tożsamości ofiary. Najpilniejszym zadaniem jest więc identyfikacja zwłok mężczyzny, którego znaleźliśmy w kanale Landwehr.

Nadkomisarz uniósł do góry zdjęcie – to, które przedrukowano w gazetach.

– Tę fotografię opublikowały pod koniec tygodnia największe berlińskie dzienniki. Otrzymaliśmy kilka meldunków od mieszkańców Berlina, ale niestety nic, z czego moglibyśmy zrobić użytek. Jak dotąd zgłosili się jedynie Ci sami co zwykle przemądrzalcy i denuncjatorzy. Zdaje się, że nikt nie zna tego mężczyzny. Albo nie chce go znać. Dopuszczamy ewentualność, że mężczyzna może nie pochodzić z Berlina. Nie ulega wątpliwości, że stał się ofiarą brutalnego przestępstwa. Ciężkie obrażenia, których doznał, nie mogły być skutkiem wypadku samochodowego. Pozwolą panowie, że przejdę do wyników obdukcji...

Większość tego, co monotonnym głosem odczytał śledczy, Rath usłyszał już w kostnicy. Najwyraźniej sobota i niedziela nie przyniosły nowych ustaleń. Podczas gdy Böhm przedstawiał dotychczasowe skąpe wyniki śledztwa, dwóch asystentów kryminalnych chodziło po sali i rozdawało zdjęcia, te same, które można było znaleźć w gazetach, tyle że nieco ostrzejsze niż kiepskie przedruki. Dopiero teraz Rath dostrzegł mokry kosmyk włosów opadający na czoło Rosjanina. Skóra mężczyzny lśniła w blasku lampy błyskowej. To faktycznie było zdjęcie z miejsca przestępstwa.

Kobiety pracujące dla Königa dokładały im pracy. Choć wcześniej milczały jak zakłete, to teraz usta im się nie zamykały, a to za sprawą części plonu zebranego po tym, jak sobowtór Fryderyka Wielkiego przeszedł załamanie nerwowe. W przeciwieństwie do mężczyzn z sesji fotograficznych u Königa, zawdzięczających rolę swojemu podobieństwu do prominentnych obywateli Prus, wszystkie panie były profesjonalistkami, prostytutkami z Unter den Linden i Friedrichstrasse. Dzięki zabezpieczonym zdjęciom policjantom udało się zidentyfikować cztery kobiety i mocno je przemaglować. Do

przełomu doszło jednak dopiero wtedy, gdy Rathowi udało się wmówić Sylvii Walkowski, zwanej Skrzeczącą Syla, że aresztowanie zawdzięcza wyłącznie gadatliwości Czerwonej Sophie. Czerwona Sophie – a właściwie Sophie Ziethen – była tą, która w dzień policyjnej obławy brylowała w roli Maty Hari.

Potem sprawy potoczyły się lawinowo. Gdy Sophie dowiedziała się, że Sylvia ją wydała, to wyśpiewała wszystko. To z kolei zdenerwowało panie przebywające w sąsiednich celach. W ten sposób w końcu się dowiedzieli się, że większość kobiet z trupy Königa nie zarabiała pieniędzy jedynie na prostytutce i pornografii, ale również pracowała w nielegalnych nocnych lokalach. W większości przypadków chodziło o zwykły taniec nago. Dwie z nich pracowały w Pegasusie, którego wyjątkowość polegała na tym, że panie paradowały tam w mundurach różnych pruskich wojaków – bez spodni – a panowie siedzący na widowni mogli przypinać im ordery do najbardziej krągłych części ciała. Teraz wszystkie te kobiety siedziały w policyjnym areszcie, pochłonięte opowiadaniem o koleżankach wszystkiego, co najgorsze. Sytuacja strażniczek pracujących w skrzydle dla kobiet była nie do pozazdroszczenia. Skrzecząca Sylvia zasługiwała na swój przydomek.

Na policyjnej liście znalazło się osiem nielegalnych lokali, ich adresy były rozsiane po całym mieście. Czekало ich mnóstwo pracy. Musieli dyskretnie zebrać dalsze informacje, zaplanować i przygotowywać obławy. Chcieli przeszukać wszystkie lokale jednego wieczora, zanim informacja o akcji rozejdzie się wśród zainteresowanych.

– Jak za dawnych czasów – ucieszył się Wujek, po tym, jak odbył rozmowę telefoniczną z Lankem i poprosił o przygotowanie około dwudziestu furgonetek na następną sobotę. – Kiedyś regularnie odbywały się tego typu akcje. Zwoziło się wówczas na Alexa całe

ciężarówki ludzi. A w dużej sali konferencyjnej, dokładnie tam, gdzie przed chwilą Napohybel wygłaszał swoje kazanie, oddzielano ziarno od plew. – Wujek zatarł ręce.

– Ciężarówkami do ciężkiego więzienia – Jänicke rzucił drętwy żart.

Koledzy się roześmiali.

– Tak jest – oznajmił Wolter – ale do tego momentu czeka nas jeszcze sporo roboty. Nie mamy czasu, żeby zasięgać informacji o jakimś martwym mężczyźnie. Niech Inspekcja A sama rozwiązuje swoje cholerne sprawy, w końcu za to im płacą! – Wziął zdjęcie, które dostał w sali konferencyjnej, rozdarł na pół i wyrzucił do kosza. Jänicke obojętnie cisnął swoje zdjęcie na biurko. Rath nadal trzymał fotografię schowaną w kieszeni marynarki. Nie miał zamiaru go wyrzucać.

Bruno rzucił mu ukradkowe spojrzenie, niczego jednak nie powiedział i ponownie chwycił za telefon. Rath nie sądził, że Wujek nabrał jakichś podejrzeń podczas niezapowiedzianej wizyty, którą złożył mu poprzedniego dnia. Komisarz nadal był nowy w mieście, nic dziwnego, że na ścianie jego pokoju wisiała mapa. Niemożliwe też, żeby stojący w drzwiach Bruno zauważył szpilki. Wiedział jednak, że Gereon Rath pracował już kiedyś jako śledczy wydziału zabójstw.

Trochę później, gdy Jänicke opuścił biuro, Wolter wziął go na stronę.

– Spodobało Ci się, Gereonie? Chcesz pokazać tym świetnym facetom z wydziału zabójstw, że z Ciebie też świetny facet?

Rath nie miał zamiaru dać się zastraszyć. To, że Böhm polecił rozdać zdjęcia, wreszcie dało mu pretekst, żeby dalej badać sprawę Borysa.

– Komendant policji wydał oficjalne polecenie, żeby wesprzeć Inspekcję A w tym konkretnym przypadku – oznajmił i sam przestraszył się swojego służbowego tonu. – Tak też zrobię, ani więcej, ani mniej.

– Mnie nie musisz niczego udowadniać, Gereonie. Pokazałeś mi, że jesteś dobrym policjantem. A moja opinia znajdzie się w Twoich aktach personalnych. – Wolter zamilkł na chwilę, zanim zaczął kolejne zdanie. – A może chcesz zaimponować pewnej uroczej drobnej stenotypistce? W tym nie będę Ci w stanie pomóc.

Zabolało niczym cios w trzewia. Rath w duchu chwycił oddech. Dlaczego Bruno chciał go zranić? Ponieważ sam poczuł się zraniony? A może czuł, że kolegę, którego w krótkim czasie obdarzył szacunkiem, ciągnęło na drugą stronę szklanych drzwi, do wydziału zabójstw? Pewnie doświadczał tego za często.

– Bruno, spójrz prawdzie w oczy – powiedział, próbując zachować spokój i rzeczowy ton mimo wcześniejszej złośliwej uwagi. – Jeśli mogę pomóc przy sprawie morderstwa, to zrobię to. Nie możesz oczekiwać ode mnie, bym działał wbrew poleceniom prezydenta policji.

– Oczekuję od Ciebie jedynie tego, żebyś całe swoje zaangażowanie do pracy całkowicie poświęcił Inspekcji E. Myślisz, że coś Ci to da, jeśli pomożesz Böhmowi z tym jego durnym nieboszczykiem? Jak myślisz, co on na to powie? Możesz się cieszyć, jeśli w ogóle usłyszysz słowo podziękowania! Weźmie informacje, które mu dostarczysz, i z ich pomocą rozwiąże sprawę. I to jego Napohybel osobiście poklepie go po ramieniu.

Bruno pewnie miał rację, ale przecież Rath nie miał zamiaru pomagać Böhmowi. Nie temu dupkowi. Musiał jedynie uważać, żeby nie za mocno nastąpić Brunonowi na odcisk.

– Polecenie prezydenta policji obowiązuje wszystkich – zakomunikował.

Już teraz zachowywał się jak jego własny ojciec. Kiedy nie chciał czegoś o sobie zdradzić, zasłaniał się regulaminem służbowym.

– Skończ z tym formalizmem, mój chłopcze! – Ton Wujka na powrót stał się bardziej pojednawczy. – Dopóki będziesz całkowicie zaangażował się w naszą pracę, to możesz robić, co chcesz. Tylko nie zapomnij dla kogo pracujesz. Pamiętaj, że jeśli za często będą Ci się myliły litery „E” i „A”, to w razie problemów niekoniecznie będę chciał nadstawiać dla Ciebie karku przed Lankem.

– Czy masz jakikolwiek powód do narzekań? Przetrzęsniemy całe mnóstwo nielegalnych nocnych lokali, to przecież wielka rzecz! A z Lankem sam sobie poradzę.

Wolter się zaśmiał.

– Z Lankem? Chciałbyś! Nikt z nas nie powinien wdawać się z nim w kłótnię bez wsparcia. On jest niebezpieczniejszy od stręczyciela, któremu zarysowało się samochód. – Wujek wyciągnął do niego rękę. – Nic to, nie ma o czym mówić. Zapomnijmy o całej sprawie. Jestem teraz trochę przepracowany. Nie powinniśmy się kłócić.

Rath zawahał się przez moment i podał mu rękę. Zmarszczki na twarzy Woltera, powstałe w wyniku gniewu, zniknęły tak szybko, jak się pojawiły.

– Właściwie to chcę Cię zaprosić – ciągnął Wujek. – Pojutrze przychodzi do mnie w odwiedziny kilkoro przyjaciół. Miło by było, gdybyś też wpadł.

Środowy wieczór! Dzień przed świętem Wniebowstąpienia. Wieczór, który zarezerwował dla Charlotte! Nie mógł przecież wyskoczyć z tym przed Brunonem. Jego zaproszenie było propozycją po-

jednania, a on musiał ją przyjąć i chciał to zrobić. Bruno nazwał go przyjacielem, a Rath potrzebował przyjaciół w tym mieście.

– Środa wieczór? – Postanowił odwołać spotkanie z Charlotte. – Jeśli nie będę musiał potem zostać po godzinach, to umowa stoi. Mam surowego szefa.

– We środę nie będzie nadgodzin. Będą dzisiaj. A to, czego nie uda nam się zrobić do środy, załatwimy w dni wolne! – Bruno wyszczerzył zęby. On po prostu nie umiał się uśmiechać.

Gdy Rath wszedł na niewielki plac przed dworcem Friedenau, zapadał już zmrok, ulice były tu jednak porządnie oświetlone. Odnosiło się zupełnie inne wrażenie niż na Schlesicher Bahnhof. Przypomniała mu się wizyta w Plazie – chyba ponownie spróbuje tam swojego szczęścia. Rozmawiał już z Glorią kolejny raz – zeszłego wieczora, zanim pojechał do domu i ledwie żywy ze zmęczenia opadł na łóżko. Był przekonany, że go nie nabrała. „Jeśli będzie chciał z Tobą porozmawiać, to zrobi to” – powiedziała niemal obrażona, że jej nie uwierzył. „Jeśli nie, to nic na to nie poradzisz.”

Przez ostatnie dwa dni pracowali do późna. Bruno ich nie oszczędzał: kazał im tłuc nadgodziny nie tylko w poniedziałek, ale również wczoraj. Dotrzymał jednak słowa i dziś wypuścił ich do domu o piątej. Udało im się wprawdzie dużo zrobić, ale nie zdołali uniknąć przyjscia do pracy w dzień wolny. Nic jednak nie stało na przeszkodzie, żeby także jutro Rath mógł wyjść z pracy punktualnie. Wtedy udałoby mu się wyskoczyć gdzieś wieczorem z Charlotte. Najpierw do kina, a potem coś zjeść. I może potańczyć.

Przypomniał sobie, jak szukał jej w poniedziałek po całym Zamku. Oczywiście dyskretnie. Przecież nie wmaszerowałyby ot tak sobie do biura Inspekcji A. Wypatrywał jej tak często, jak się dało, wykorzystywał każdą okazję, żeby choć na chwilę wyjść z biura. Sprawdzał w Aschingerze i w kantynie, ciągle wałęsał się po korytarzu przy szklanych drzwiach prowadzących do wydziału zabójstw. Wszystko na nic. Przez cały długi dzień nie zobaczył jej ani razu, nie wspomi-



nając nawet o rozmowie. Uświadomił to sobie w domu, gdy spojrzął na telefon stojący obok łóżka. Funkcjonariusze wydziału kryminalnego, tacy jak on, musieli być uchwytani przez telefon i wszyscy posiadali łącze telefoniczne. Ona była jedynie stenotypistką, ale za to ambitną. Istniała nikła szansa, nawet jeśli nie bardzo w to wierzył. Nadal niewiele osób posiadało aparat telefoniczny, warto było jednak spróbować. Przeglądał książkę telefoniczną i trafił na pewien wpis: Ritter, C., Spenerstrasse 32, NW HANSA 3919. Może będzie miał szczęście. Wybrał numer i usilnie się modlił, żeby nie połączyć się z żadnym Carlem ani Christianem.

– Overbeck przy telefonie – zgłosił się kobiecy głos.

Zły numer? Z odruchu o mało nie odłożyłby słuchawki. W końcu jednak oprzytomniał.

– Dobry wieczór, z tej strony komisarz Rath. Proszę wybaczyć, że dzwonię tak późno, ale czy panna Charlotte Ritter jest...

– Jak to późno? Dopóki prezydium dzwoni przed północą, to jeszcze nie jest późno. Tego zdążyłam się już nauczyć. Proszę chwilę zaczekać.

Kobieta odłożyła słuchawkę obok widełek.

– Charly! – zawołała. – Charly! Telefon do Ciebie. Z prezydium!

Rath usłyszał trzaśnięcie drzwiami, kroki, głośnie stuknięcie, gdy podnoszono słuchawkę.

– Tak, panie Böhm?

To był jej głos. Prawie zapomniał się odezwać.

– Panie Böhm, czy to pan?

– Nie, z tej strony Rath.

Zapadła cisza.

– Ojej!

Przynajmniej tyle. Udało mu się ją zaskoczyć.

– Dobry wieczór, panie komisarzu – ciągnęła. – Mam nadzieję, że nie chce mnie pan zaangażować do jakiejś akcji w Inspekcji E.

– Nie, nie chodzi o nic służbowego.

– O plany na środowy wieczór?

A więc nie zapomniała o ich niedoprecyzowanym planie spotkania.

– Nie – odparł – o plany na czwartkowy wieczór.

Po raz kolejny zapadła cisza.

Tego się obawiał.

– Udało mi się dostać bilety dopiero na czwartek – dodał szybko.

– Bilety?

Wreszcie udało mu się wzbudzić jej ciekawość.

– Do Phoebus Palast.

– Do kina? I bilety dostępne były dopiero na dzień wolny od pracy?

– To kino mieści się w Europahaus. Nie jest łatwo zdobyć bilety. Poza tym plan jest obszerniejszy. Zarezerwowałem stolik w Europa Pavillon.

Nie wiedział, czy uwierzyła w jego kłamstwo i czy w ogóle ma czas w czwartek. Jednak gdy usłyszał odpowiedź, wiedział, że przyjęła jego zaproszenie. Choć to właściwie nie była odpowiedź.

– Jaki film wyświetlają? – zapytała.

Z dworca do domu Wolterów nie było daleko, ot, krótka przechadzka. Fregestrasse była spokojną ulicą, wzdłuż której ciągnęły się drzewa, a z fasad domów emanowało statecznym mieszczaństwem. Okolica przypominała Rathowi kolońską dzielnicę Klettenberg. Na poboczu pod drzewami stało kilka aut, Rath rozpoznał wśród nich forda Brunona, poza nim zaparkowany był też duży horch i nawet jeden maybach. Przeszedł przez niewielki ogród, kierując się w stro-

nę domu, poprawił płaszcz, zadzwonił do drzwi i spojrzał górę. Był to ładny dwupiętrowy domek, może nie willa, ale też nie chatka. Jedyny wolnostojący dom, który widział w okolicy. Czekał chwilę, nim jakaś kobieta otworzyła mu drzwi. Rath znał jej twarz ze zdjęcia stojącego na biurku Brunona.

– Dobry wieczór pani Wolter. – Uścisnął jej dłoń i wręczył bukiet kwiatów.

– Ojej, dziękuję bardzo! Pan Rath, zgadza się? – Przytaknął. – Bruno dużo o panu opowiadał.

Rath wszedł do środka i rozejrzał się dookoła. Mieszkanie było bardzo przestronne. Na górę prowadziły schody. W korytarzu na wieszaku wisiało wiele płaszców, wśród nich dwa wojskowe palta. Z głębi domu dobiegały płatanina głosów i pobrzękiwanie kieliszków. Gramofon rzępolił szlagiery.

– Niech mi pan odda kapelusz i płaszcz – powiedziała Emmi Wolter.

– Dziękuję.

Gdy pomagała zdjąć mu palto, na chwilę odłożyła bukiet.

– Proszę iść za hałasem – poinstruowała. – Cóż, mężczyźni lubią, jak jest głośno. Pański kolega, pan Jänicke, też już przyszedł.

Nowicjusz też? Tego Rath się nie spodziewał. Stosunek Jänickego do Brunona nie należał do najbardziej przyjacielskich. Być może Wujek nie chciał tak po prostu wykluczać trzeciego z ich grupy. Pewnie sam bym tak zrobił, pomyślał Rath.

Emmi Wolter pośpiesznym krokiem ruszyła przodem i otworzyła drzwi.

– Proszę bardzo. Wstawię kwiaty do wody. Czy mogę coś panu zaproponować do picia?

– Poproszę o koniak.

W dużym salonie, do którego wszedł, wisiał gęsty dym papierosowy. W pomieszczeniu znajdował się jakiś tuzin mężczyzn. „Tylko kilkoro przyjaciół”. Nigdzie nie mógł wypatrzyć Stephana. Bruno stał z dwoma oficerami z armii oraz jednym cywilem, i z poważną miną przekonywał do czegoś swoich rozmówców. Gdy ujrzał Ratha, jego twarz się rozpromieniła.

– Gereonie! Wspaniale, że przyszedłeś!

– Cóż, nieczęsto nadarza się okazja uszczuplenia alkoholowych zapasów kolegi.

Bruno się roześmiał.

– Chodź ze mną, muszę przedstawić Cię paru przyjaciołom. Stephan też już jest, ale nie mam pojęcia, gdzie się podziewa. – Zaprowadził go do trzech mężczyzn, którzy towarzyszyli mu już wcześniej.

– Drodzy panowie, chciałbym Wam przedstawić mojego kolegę. Komisarz kryminalny Gereon Rath.

Rath krótko skinął głową. Wolter kontynuował przedstawianie.

– Generał major Alfred Seegers... – siwy mężczyzna z wąskimi ustami i pociągłą twarzą ukłonił się delikatnie – ...porucznik Werner Fröhlich... – czterdziestoparolatek z blond włosami uniósł na powitanie szklanekę z koniakiem. – A to jest Paul Geitner. – Wolter na końcu przedstawił mężczyznę w cywilu. Na klapie Geitnera błyszczała niewielka czerwono-biała metalowa przypinka z czarną swastyką. – To moi przyjaciele z czasów wojny. Takie wydarzenia łączą ludzi, więc spotykamy się regularnie. Helmut Behnke, którego niestety już nie ma, też był jednym z nas.

– Służył pan w wojsku, panie komisarzu? – zapytał Seegers. Jak za cesarskich czasów. Mężczyzna był staroświecki i trochę przypominał Rathowi ojca.

– Tak, ale nie na froncie. Wojna się skończyła, zanim dostałem rozkaz wymarszu.

– Tylu gotowych do walki młodych ludzi. Gdyby nie zdradzili nas Ci listopadowi przestępcy, mogliśmy wygrać!

Rath znał te hasła. W kręgach narodowców należały do dobrego tonu. Tak po prawdzie, to się cieszył, że nie przerobiono go na mięso armatnie. Nie musiał przecież mówić tego na głos.

– Niemcy niebawem znów wyjdą na prostą – oznajmił Wolter. – Ach, dziękuję, Emmi.

Emmi Wolter pojawiła się ze szklanką koniaku, którą podała Rathowi. Nadarzyła się okazja do zmiany tematu. Rath miał umiarkowaną ochotę rozmawiać o przegranej wojnie.

– Zdrowie gospodarza! – powiedział i uniósł szklankę.

– Za najlepszego strzelca wyborowego, którego kiedykolwiek miała niemiecka armia! – dodał generał major o pociągłej twarzy, mając na myśli, rzecz jasna, Brunona. Mężczyźni wzniesli toast.

Seegers wziął Ratha na stronę.

– Niech pan powie, czy tak jak Bruno brał pan udział w akcji przeciwko komunistom?

Rath przytaknął.

– Socjaliści chcą raz podjąć interwencję i wszystko trafia szlag – Seegers potrząsnął głową. – Bruno wszystko mi opowiedział. O dyletanckim poszukiwaniu broni również. – Oficer poklepał go po ramieniu. – Niech pan nie bierze mi tego za złe, młody przyjacielu, te słowa nie są wymierzone w pana. Rozkaz to rozkaz. To pańskie szefostwo zawiodło. Takie rzeczy załatwia się zupełnie inaczej, ale socjaliści przecież nie są w stanie tego zrobić.

– Bądź co bądź zakazali już działalności Czerwonemu Związkowi Bojowników Frontowych.

– Świetny żart, nieprawdaż? Przecież czerwoni śmieją się w kulałak! Socjaliści nie potrafią wykryć choćby jednego magazynu z bronią, ale wydaje im się, że dzięki zakazowi uda im się przejąć kontrolę nad sytuacją. Toż to idiotyczne! Już przed zakazem Ci bojownicy frontowi dysponowali nielegalnymi magazynami z bronią, dlaczego mieliby cofnąć się przed przeprowadzaniem nielegalnych akcji? A rewolucja, o której czerwoni marzą, tak czy siak jest bezprawna.

– Nie sądzę, żeby komuniści byli gotowi na rewolucję. Bardzo by chcieliby, ale w zasadzie są bandą nieokrzesanej hołoty.

Seegers zaśmiał się.

– Podoba mi się pan, młody przyjacielu. Banda hołoty, zaiste! Ale jak długo jeszcze? Armia Czerwona ma zdolnych oficerów, może mi pan wierzyć. Wiem, o czym mówię. Moskwa udziela niemieckim bojownikom frontowym wszelkiego wsparcia. I jeśli złoto, za którym się wszyscy teraz uganiają, trafi w niepowołane ręce, to będzie po ptakach! Czerwonych stać będzie na zakup broni, wobec której pańska policja będzie bezsilna. A te nasze marne sto tysięcy chłopów też niczego nie wskóra.

– Jakie złoto?

Seegers ściszył głos niczym konspirator.

– Czy mówi panu coś nazwisko Sorokin?

Rath wzruszył ramionami.

– Czy to ktoś, kogo trzeba znać?

– To stary rosyjski ród arystokratów, w carskiej armii służyło wiele generacji oficerów z tej rodziny. – Mężczyzna wyciągnął małe, srebrne etui z marynarki munduru i uniósł wieczko. – Poczęstuje się pan?

Rath wziął papierosa. Historie o Rosjanach bardzo go ostatnio ciekawiły. Seegers podał mu ognia, a potem sam wetknął sobie papie-

rosa do ust.

– Tylko ostatnie pokolenie wystawiło cara do wiatru i przeszło na stronę Kiereńskiego. – Seegers łapczywie się zaciągał. Przypominał wampira, który wysysa krew. – Bolszewikom było wszystko jedno. Wytlukli zarówno liberałów, jak i monarchistów. Podobno ucieczka powiodła się jedynie garstce Sorokinów. Musieli też porzucić swój skarb, o którym krążyły legendy. Zanim czerwoni przerobili pałace Sorokinów na koszary i fabryki, przeszukali każdy kąt. Niczego nie znaleźli. Złoto przepadło. – Zrobił znaczącą pauzę i po raz kolejny mocno zaciągnął się papierosem. – Ale podobno znów się odnalazło!

– Stalin się ucieszy.

– Nic podobnego! – Seegers machnął ręką. – Stalin jest wściekły! Poza granice kraju wywieziono złoto o wartości około osiemdziesięciu milionów marek. I wie pan dokąd?

Rath nie miał pojęcia i wzruszył ramionami.

Seegersowi jakoś udało się jeszcze bardziej ściszyć głos.

– Mówi się, że złoto Sorokinów jest w Berlinie!

– Osiemdziesiąt milionów? To niewiarygodna suma!

Seegers przytaknął.

– Dlatego Stalin tak bardzo się boi. I to właśnie teraz, po tym jak przepędził Trockiego. Obawia się, że pieniądze mogą zostać przeznaczone na kontrrewolucję. Można by się czegoś takiego spodziewać po Sorokinach. Stalin przygotowuje się na najgorsze. Jak pan sądzi, ilu czekistów kręci się teraz z tego powodu po Berlinie? W poszukiwaniach pomagają im ludzie Thälmana, w nadziei, że im też coś skapnie.

– Skąd pan to wszystko wie?

– W niemieckiej armii można się co nieco dowiedzieć. – Seegers wyszczerzył zęby, choć chciał się chyba uśmiechnąć, i puścił do nie-

go oko. Dziwnie się skrzywił, jego pociągła twarz nie była w stanie pomieścić tylu grymasów jednocześnie.

– Czyli to komuniści szukają tego złota?

– Szuka go każdy, kto o nim wie. Mówi się, że posłaniec zmienił zdanie i chciał zatrzymać wszystko dla siebie. W każdym razie złoto najwyraźniej nie dotarło tam, gdzie dotrzeć miało.

– Do Sorokinów.

– Albo do ich politycznych przyjaciół. Przebąkuje się, że liberalni Sorokinowie połączyli siły z organizacją Krasnaja Krepost, żeby wspólnie wydrzeć władzę Stalinowi.

– Z kim?

– Krasnaja Krepost, oznacza to mniej więcej tyle co „Czerwona Twierdza”. To komunistyczni odszczepieńcy, jak Trocki. Być może on też maczał w tym palce. Wiadomo przecież, że potrafił zbudować armię.

– Dlaczego mówi mi pan to wszystko?

– Bo tu chodzi o Niemcy, młody przyjacielu. Służył pan w wojsku. Jesteśmy kompanami! To złoto nie może trafić w niepowołane ręce.

– To dlaczego armia nie złożyła doniesienia na policji politycznej?

– Powtórzę: złoto nie może trafić w niepowołane ręce. W tej sprawie nie złożono żadnych doniesień, nie przedsięwzięto żadnych oficjalnych kroków. Wtajemniczamy tych ludzi z policji, których darzymy zaufaniem, lecz policja polityczna jako aparat nigdy nie może się o tej sprawie niczego dowiedzieć. Rozumie pan? Również panu powiedziałem to w tajemnicy. Przyjaciel Brunona jest także moim przyjacielem.

– Pańskie zaufanie bardzo mi schlebia.

– Ojej! – Gdy się śmiał, przypominał hienę. – Tu nie chodzi tylko o zaufanie, chodzi o koleżeństwo. Wie pan przecież, że Rzesza nie



może mieć więcej niż sto tysięcy żołnierzy. Toż to niedorzeczne! Jest jednak wielu mężczyzn, którzy są dobrymi żołnierzami, choć nie noszą barw wojennych. Niemcy potrzebują dobrych żołnierzy, a dobry policjant jest też dobrym żołnierzem. Policja i armia powinny trzymać się razem, jeśli na szali leży los Niemiec.

– Wydaje mi się, że nie jestem dla pana właściwym adresatem. Policjant i żołnierz to dla mnie dwie zupełnie inne rzeczy. Kto jak kto, ale ja to wiem, bo byłem i jednym, i drugim. – Powoli nadchodził czas, by podzielić się z mężczyzną swoim zdaniem. Rath do tej pory powstrzymywał się, ponieważ chciał do końca wysłuchać teorii spiskowej Seegersa. – Zostałem policjantem, bo chcę dbać o praworządność, porządek i bezpieczeństwo na ulicach, a nie żeby bawić się w wojnę. A już na pewno nie w wojnę domową.

Seegers uniósł ręce geście pojednania.

– Nie chciałem pana zdenerwować, młody przyjacielu. Nikt nie chce wojny. Ale Niemcy mają wielu wrogów i jeśli oni chcą wojny, to my powinniśmy być na nią przygotowani. Jestem przekonany, że jeśli ojczyzna wezwie do walki, to pan też to wezwanie usłyszysz. Gdy raz zostanie się żołnierzem, to jest się już nim na zawsze. Pan jest żołnierzem, mój przyjacielu, nie wyprze się pan tego. A my potrzebujemy ludzi takich jak pan!

Rath ucieszył się, gdy w pokoju obok wypatrzył nagle Stephana Jänickego.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział do Seegersa – ale muszę przywitać się z kolegą.

– Oczywiście! – zawołał za nim. – Niech pan się po prostu nad tym zastanowi.

Rath podszedł do nowicjusza, który stał nieco zagubiony ze szklanką w ręce.

– Witaj Gereonie! – Jänickemu ulżyło, gdy zobaczył znajomą twarz.

Rath uniósł szklanę, kierując ją w jego stronę.

– Nasz Bruno zdaje się być bardzo przywiązany do czasów spędzonych w wojsku.

– Owszem, mnóstwo tu żołnierzy. Albo raczej byłych żołnierzy – odparł Jänicke. – Sentyment przychodzi pewnie z wiekiem.

– Ci wszyscy ludzie to jego koledzy z wojska, obawiam się, że nie za bardzo tu pasujemy.

– Ty przecież też byłeś żołnierzem, Gereonie. – Zabrzmiało to niemal tak, jakby Jänicke ubolewał, że nie uczestniczył w wojnie.

– Przeszedłem podstawowe szkolenie i wtedy wszystko się skończyło. Miałem szczęście.

Emmi Wolter krążyła pośród gości z tacą. Rath sięgnął po faszerowane jajko.

– A tak w ogóle, to gdzie Ty się podziewałeś przez cały ten czas? – zapytał. – Zaczęliśmy się o Ciebie martwić. Omal nie zawiadomiliśmy referatu do spraw osób zaginionych. Chyba się nie zgubiłeś?

Jänicke zdawał się zakłopotany.

– Nie jest tak łatwo znaleźć w tym domu toaletę – odparł. – Ta na dole była zajęta, więc poszedłem na górę.

Emmi Wolter się roześmiała, a jajka leżące na tacy zaczęły się trząść.

– Proszę sobie wyobrazić, że zobaczyłam pana Jänickego, jak na górze szukał po omacku włącznika światła! A łazienka znajdowała się tuż za następnymi drzwiami! – Pani domu wydało się to zabawne. Jänicke oblał się rumieńcem.

– Cóż, to mieszkanie jest naprawdę spore.

– Zgadza się, mamy dwie łazienki! – powiedziała Emmi Wolter z nieskrywaną dumą w głosie.

– A więc tym większe prawdopodobieństwo, że znajdzie się jedną z nich – oznajmił Rath.

Gospodyni zachichotała.

– Bruno mówił mi, że z pana żartowniś. Mam nadzieję, że będą się panowie dobrze bawili. – Ściszyła głos. – Przyjaciele mojego męża czasami za bardzo się zapędzają, opowiadając historie z czasów wojny.

– Ach, nic nie szkodzi – uspokoił Rath. – Bardzo dobrze się tu czujemy.

– Jeśli chcą panowie porozmawiać z którymś ze swoich kolegów z pracy, to Bruno zawsze zaprasza Rudiego Scheera. To jedyny policjant, który regularnie tu wpada, i to od lat. Z pozostałymi bywa różnie, ale z Rudim wciąż ma dobry kontakt.

Scheer? W Inspekcji E nie ma nikogo o takim nazwisku. Kobieta najpewniej zauważyła jego pytające spojrzenie.

– Sprawuje nadzór nad zbrojownią – ciągnęła. – Kiedyś pracowali razem. Czy mam panów zapoznać?

Zbrojownia. Wolter Parabellum. Oczywiście. Nadal nie zapytał Brunona, co jego – strzelca wyborowego – zagnało do obyczajówki.

– To bardzo uprzejme z pani strony, ale obawiam się, że nie będę miał wystraczająco dużo czasu. I tak planowałem wpaść tylko na chwilę. Jutro znów mamy służbę i musimy pojawić się na niej wypoczęci. – Jänicke zgodnie przytakiwał. – Mamy surowego szefa!

Kobieta się zaśmiała.

– Szkoda, bardzo szkoda, ale rozumiem. Służba nie družba. Bruno wciąż to powtarza, gdy ma dużo pracy i rzadko pokazuje się w domu. Niech panowie jeszcze kiedyś nas odwiedzą.

– Tak zrobimy – obiecał Rath. Emmi Wolter odeszła od nich z tą-  
cą.

Wolter nie wyglądał na rozczarowanego, gdy parę minut później obaj się z nim żegnali. Delikatne rumieńce na twarzy zdradzały zawartość alkoholu w jego krwi. Na pożegnanie jowialnie poklepał swoich współpracowników po ramionach. Jego żona wyprowadziła ich z zadymionego salonu. Rathowi ulżyło, gdy niedługo później stali już na świeżym powietrzu, i to nie tylko z powodu dymu papierosowego.

– Uff – sapnął, gdy wraz z Jänickem ruszyli w drogę na dworzec Friedenau. – Starzy przyjaciele Brunona! Aż trudno uwierzyć, że jest aż tylu żołnierzy, biorąc pod uwagę fakt, że w armii może służyć jedynie sto tysięcy mężczyzn.

– Nie jest ich aż tak niewielu. Policjanci to też żołnierze.

Rath się zdumiał.

– Słucham?

– Złożono mi dziś propozycję zacieśnienia współpracy między policją a armią. Oczywiście nieoficjalną.

– Generał major Seegers?

Jänicke przytaknął.

– Chyba przeprowadzał dziś misję rekrutacyjną. Mnie też zagadnął.

– Ciekawe, czy Bruno też jest tajnym współpracownikiem wojska.

Rath wzruszył ramionami.

– Trudno mi to sobie wyobrazić. Ma po prostu wielu przyjaciół w armii. Oddają się wspomnieniom o starych dziejach. Być może od czasu do czasu coś sobie opowiedzą, ale współpraca? Nie! Wydaje mi się, że ten cały Seegers najzwyczajniej za dużo wypił. Mnie opowiadał o jakimś rosyjskim skarbie, który zaginął gdzieś w Berlinie

i na którym komuniści chcą położyć łapę. Powiedział, że jest wart osiemdziesiąt milionów. Co za nonsens! Nie dałoby się niepostrzeżenie przewieźć takiej ilości złota z Rosji do Berlina.

Jänicke zmarszczył czoło, ale nic nie powiedział. W milczeniu szli w dół ulicy, aż pojawił się przed nimi ceglany budynek niewielkiego dworca. Podświetlane zegary wskazywały wpół do dwunastej.

Choć spał krótko, to w czwartkowy poranek był w wyśmienitym humorze, gdy przekraczał próg biura. Z piosenką na ustach, której sam nie znał, rzucił kapelusz w kierunku wieszaka. I trafił. Jänicke z uznaniem gwizdnął przez zęby.

– Gdzie się tego nauczyłeś?

– Takich rzeczy nie można się nauczyć, takie rzeczy się umie. – Rath zdjął płaszcz. – Woltera jeszcze nie ma?

Jänicke pokręcił głową.

– Najwyraźniej trochę przeholował na wczorajszym przyjęciu.

Pani Schmittchen, sekretarka Woltera, zaparzyła już kawę. Z pokoju dobiegało ustawiczne stukanie w klawisze maszyny do pisania. Ra-ta-ta-ta – szybkie niczym broń maszynowa. Do przeprowadzenia sobotnich obław policyjnych potrzebowano całej masy służbowych wniosków i sądowych postanowień, więc również ona musiała pracować w dzień świąteczny.

– Ach, zanim zapomnę. Przed chwilą dzwonił jakiś mężczyzna i chciał rozmawiać wyłącznie z Tobą lub Brunonem – oznajmił Jänicke.

– I co?

– Chciałem zanotować jego numer telefonu, ale oznajmił, że to nie moja sprawa. Powiedział, że zadzwoni później.

Jak na zawołanie rozległ się dzwonek telefonu na biurku Ratha.

– To na pewno on! – powiedział Jänicke.

Rath podniósł słuchawkę. Dzwonił Wolter. Mamrotał coś o późniejszym przyjsciu i wydał kilka zdawkowych poleceń. Chwilę po tym, jak Rath odłożył słuchawkę, telefon zadzwonił kolejny raz.

Rath od razu rozpoznał ten głos. Franz Krajewski.

– Na nogach od takiej wczesnej pory? – zapytał porno-cesarza – I to na dodatek w Dzień Ojca<sup>5</sup>?

– Niech pan posłucha, nie mogę długo rozmawiać, ale muszę z panem pomówić. Jeśli wyświadczy mi pan przysługę, to miałbym parę informacji, które mogłyby pana zainteresować.

– Zdaje się, że już Ci wyświadczyłem przysługę, prawda? – Rath próbował mówić tonem tak spokojnym, jakby rozmawiał z przyjaciółką. Jänicke nie musiał wiedzieć, kogo miał na linii.

– Przydałaby mi się jeszcze jedna...

– A dlaczego miałbym to zrobić?

– Niech pan najpierw posłucha, co mam do powiedzenia. – Krajewski mówił ciszej. – Szuka pan przecież tych filmów. Jeśli chciałby się pan wybrać na seans...

Rath wyostrzył słuch.

– Jeszcze nie jadłem śniadania – odparł. – Może zjemy razem coś małego.

– Byle pan nie przyjeżdżał do Neukölln! – Mężczyzna, choć mówił cicho, to wydawał się przerażony.

– Nie planowałem Cię odwiedzać. Spotkamy się na mieście.

– Ale nie na Alexanderplatz, zna mnie tam za wiele osób. – Krajewski nadal szeptał. Z trudem dało się go zrozumieć. – Kawiarnia Grinzing w Haus Vaterland. Tam przychodzą tylko turyści.

Rath znał ten lokal. Jeśli pojedzie metrem, to dotarcie na miejsce zajmie mu kwadrans.

– Zgoda. O wpół do dziewiątej?

– Wpół do dziewiątej. Ale pan płaci!

– Zdecyduję po jedzeniu.

Odłożył słuchawkę i sięgnął po kapelusz oraz płaszcz.

Jänicke podniósł zaskoczone spojrzenie.

– Nie za długo tu zabawieś.

– Zapomniałeś, że dziś święto? Kiedy przyjdzie Wujek, powiedz mu, że wyszedłem coś sobie sprawdzić. – Puścił do niego oko w ten sam konspiracyjny sposób, którego nie mógł ścierpieć u Weinerta. Niech młody myśli, że idzie na spotkanie się z kobietą. – Wrócę za godzinę, może dwie.

Haus Vaterland był ogromną świątynią rozrywek w pobliżu Potsdamer Platz. Mieściło się tam wielkie kino, wiele knajpek i restauracji, począwszy od tureckiej kawiarni po bar z wystrojem stylizowanym na Dziki Zachód – wszystko pod jednym dachem. Berlińczycy stronili od tego miejsca, a mimo to co wieczór panował tu niesłychany rejwach. Rath przypomniał sobie pierwszą noc w tym mieście spędzoną właśnie w tym miejscu, w knajpie, w której nie serwowano nawet piwa Kölsch, a jedynie ulepkowe wino oraz upojone nim kobiety polujące na samotnych mężczyzn. Po tym nieprzyjemnym wieczorze już nigdy nie zawitał do Haus Vaterland.

Rankami nie działa się tu za wiele. Przynajmniej o tej godzinie Rath nie musiał opłacać wstępu, żeby w ogóle móc przestąpić próg kompleksu – wieczorami przeważnie pobierano opłaty. Turyści przecierali oczy ze zdziwienia, gdy po podejściu do kasy kina kazano im płacić raz jeszcze. Grinzing aspirował bardziej do tego, by przypominać raczej tradycyjny wiedeński lokal, w którym podaje się młode wino, niż kawiarnię. Sztuczna roślinność pięła się w nim po ścianach, a pod sufitem wisiały lampiony. Gdy Rath wszedł do lokalu, Franz Krajewski siedział już przy stoliku nakrytym białym obrusem,



przed nim stały filiżanka kawy i kieliszek białego wina. Mężczyzna nerwowo palił papierosa. Rath dosiadł się do niego i odłożył kapelusz na stół. Nie planował spędzić tu dużo czasu.

– Już w trakcie śniadania? – zapytał.

Krajewski miał na twarzy wymuszony uśmiech.

– A pan jak zawsze dowcipny! – Zamilkł na chwilę, zanim mówił dalej. – Może mi pan wyświadczyć przysługę – zakomunikował.

Rath nic nie odpowiedział. Jego milczenie zdenerwowało Krajewskiego, który mówił dalej:

– Słyszałem, że coś jest na rzeczy. Planujecie coś wielkiego, mam rację?

Zadziwiająco, jak dobrze funkcjonowała w tym mieście poczta pantoflowa. Przez jakąś dziurę w Zamku musiała wyciec informacja o planowanej obławie.

– Co Ty sobie myślisz, że kto będzie tu komu coś opowiadał? Nie takie są zasady gry, właściwie powinieneś to wiedzieć. Ty mi coś opowiedz, a może wprawi mnie to w tak dobry humor, że zapłacę za Twoje śniadanie.

– Wiem, jakie są zasady, ja też zaraz coś panu opowiem. Po prostu nie mam ochoty, żeby pańscy koledzy mnie zapuszkowali. Żaden w tym dla pana pożytek, jeśli pójdę siedzieć.

Rath nie odpowiedział. W rękach obracał małokalibrowy nabój, który wyciągnął z kieszeni.

Krajewski uniósł ręce w pokojowym geście.

– Dobrze, już mówię. Ale niech pan i tak przemyśli, co powiedziałem.

Krajewski zamilkł, gdy kelner podszedł do ich stolika i przyjmował zamówienie Ratha. Zaczął mówić dalej dopiero, kiedy znów zostali sami.

– A więc, jeśli chce pan zobaczyć ciekawy seans kinowy, to proszę przyjść w sobotę. O dwunastej. – Pochylił się do przodu i mówił jeszcze ciszej. – Pille to sekretny lokal w piwnicy przy Motzstrasse, tuż przy Nollendorfplatz. I tam jest zaplecze. Niezły tam mają kocioł co wieczór.

Rath schował nabój z powrotem do portfela.

– Brzmi nieźle – oznajmił. – Ale jeśli wciskasz mi jakiś kit, to będziesz miał kłopoty. Jeśli przyjedziemy tam w sobotę i niczego nie znajdziemy, to będzie to znaczyło, że nas wykiwałeś, jesteś tego świadomy?

Krajewski przytaknął. Podeszedł kelner i postawił na stoliku filiżankę kawy i szklankę z wodą. Rath wypił łyk kawy, a potem przesunął w stronę Krajewskiego zdjęcia, które każdego ranka zabierał ze sobą.

– Może mógłbyś zrobić dla mnie coś jeszcze? – zapytał. – Znasz któregoś z nich?

Krajewski wziął do ręki fotografię martwego mężczyzny.

– To ten z gazety, zgadza się?

Rath przytaknął.

– Nie mam pojęcia. Nigdy go nie widziałem.

– A ten? – Rath pokazał na zdjęcie Kardakowa.

– Hmm... – Krajewski zmarszczył czoło. – Wygląda znajomo. Co przeszkrobał?

– Koks – odparł Rath. – Sprzedaje koks.

Krajewski pokręcił głową.

– Nie, w takim razie go jednak nie znam. Musiałem go pomylić z kimś innym. – Oddał zdjęcia Rathowi i dopił zawartość kieliszka. – To kto płaci? Muszę wiedzieć, czy zamówić coś jeszcze.

– Możesz wybrać: mam Ci wyświadczyć przysługę czy zapłacić rachunek?

Krajewski przez chwilę się zastanawiał.

– No to wolę przysługę.

– Dobrze. – Rath podniósł się z miejsca i nałożył kapelusz. – Dobra rada: w sobotę i niedzielę nie ruszaj się domu.

Coś go uderzyło. Nie wiedział, jak to się stało, ale znalazł się na podłodze. Bolały go wszystkie kości. Czuł się tak, jakby przejechał po nim pociąg pośpieszny, tyle że po pierwszym piętrze prezydium policji nie kursują przecież żadne kolejki. Widocznie był to jakiś człowiek.

– Niech pan patrzy pod nogi!

Znał ten głos. To, co napotkał, było gorsze niż pociąg pośpieszny. Rath podniósł wzrok.

Nie pomylił się, to on! Nadkomisarz Böhm.

Śledczy wydziału zabójstw stał stabilnie, jakby wrośnięty w szarą, kamienną podłogę. Rath z kolei leżał jak długi. Mało brakowało, a spadłby ze schodów, po których dopiero co wchodził. Złapał się za obolałe ramię. Owszem, trochę za szybko wbiegał po schodach prezydium, ot, nieco euforycznie. Wskazówka od Krajewskiego dodała mu skrzydeł. Nadeszła w samą porę i idealnie wpasowywała się w ich sobotnie plany. Czuł, że to będzie dla niego dobry dzień. I nagle to. Stał już na podeście, gdy nagle drzwi dzielące klatkę schodową i korytarz otworzyły się z impetem tak, że runął plecami na podłogę.

– Gdzie pan ma oczy? Omal by mnie pan nie staranował!

Rath nic nie powiedział. Kapelusz spadł mu z głowy, a zdjęcia wypadły z kieszeni. Pozbierał wszystkie te rzeczy.

– Może byłby pan łaskawy coś odpowiedzieć, panie kolego? – rzucił Böhm i zmrużył oczy.

Rath podźwignął się i z powrotem nałożył kapelusz.

– Ja? Za pozwoleniem, panie nadkomisarzu, ale to *pan* powinien przeprosić – odparł. Postanowił przejść do kontrataku. Oczywiście z należnym szacunkiem.

Böhm zdawał się w ogóle go nie słuchać.

– Jeśli wie pan coś o zmarłym, którego schował pan przed chwilą do kieszeni, to powinien mi pan to powiedzieć – odparł krótko.

Rath wygładził dłonią marynarkę i milczał.

– Może mógłby pan zacząć od powiedzenia mi, kto jest tą drugą osobą, której zdjęcie nosi pan w kieszeni.

Ten gnojek wypatrzył Kardakowa. Czy wiedział też, że Charlotte spotkała go nieopodal kanału Landwehr? Rath musiał uważać, żeby Böhm nie zaczął czegoś podejrzewać. Nie było to takie proste w przypadku kolegi z policji. Nieufność należała do cech charakteru każdego gliniarza, a Böhm stanowił wręcz uosobienie tej cechy.

– Dotyczy śledztwa Inspekcji E – odpowiedział. – Handlarz kokainą, który prawdopodobnie ma związek ze światkiem pornograficznym. – Rath obmyślił sobie to powiązanie na wypadek, gdyby musiał wytłumaczyć, dlaczego prowadził śledztwo w sprawie, która w ogóle nie mieściła się w zakresie jego obowiązków. A więc wyjaśnienie morderstwa przy kanale Landwehr będzie niejako produktem ubocznym śledztwa dotyczącego pornografii. Zawsze dało się znaleźć jakieś powiązania z kokainą albo przynajmniej takowe spreparować. – My też mamy dużo pracy – ciągnął. – Proszę mi wierzyć, że nie wszyscy rwą się, żeby pomagać wydziałowi zabójstw. – Wyciągnął z kieszeni zdjęcie Borysa. Pozostawaj w ofensywie, po-

wtarzał sobie. – Znam funkcjonariuszy, którzy wyrzucili to zdjęcie. Powinien pan być zadowolony, że ja nadal wspieram Inspekcję A.

Böhm spojrzał jeszcze posepniej.

– No, dobrze – odparł w końcu – ale dopóki tylko nosi pan ze sobą to zdjęcie i nie przekazuje mi żadnych informacji, to moje zadowolenie będzie umiarkowane. Postawię sprawę jasno: jeśli ma mi pan coś do powiedzenia, to powinien mi pan to przekazać. Nie lubię, gdy robi się przede mną tajemnice!

Rath ze spokojem wyciągnął papierosa z paczki. Grunt to sprawiać wrażenie nonszalanckiego. Ten obrzydliwiec na pewno o niczym nie wie. Böhm wykorzystywał każdą okazję, jaka mu się nadarzała, żeby opieprzyć podwładnych.

– Wyraziłem się jasno, panie komisarzu?

– Nad wyraz jasno, panie nadkomisarzu! – Rath zapalił papierosa i mocno się zaciągnął. Wypuścił dym dopiero wtedy, gdy Böhm go minął i schodził po schodach, stawiając ciężkie kroki.

Cieszyła się, że mogła dziś wyjść do domu trochę wcześniej. Atmosfera w wydziale zabójstw nie należała do najlepszych. Śledztwo Böhma stało w miejscu, a on sam powoli popadał w coraz gorszy nastrój. Powodem nie była praca w świąteczny dzień. Z jakim impetem wypadł przed chwilą z biura! Niczym walec parowy. Wiedziała, że jej szef czasami bywa choleryczny, ale właściwie to się z nim dogadywała. On ją akceptował, a ona była mu za to bardzo wdzięczna, jednak ostatnio z trudem dało się go ścierpieć. Zaraz po tym, kiedy wyszedł na zewnątrz, atmosfera od razu się rozluźniła. Gräf, który dotąd, zgarbiony, ślęczał za swoim biurkiem, jakby uchylając się od ciosów, wyprostował się i odetchnął głęboko.

Pomyślała o wieczorze. Postanowiła nie zakładać tej zielonej sukienki. Przynosiła jej nieszczęście. Znowu czwartek. Jej ostatnia randka, która odbyła się dokładnie tydzień temu, okazała się spektakularną klapą. Wczoraj po raz pierwszy od tamtego feralnego wieczoru wyszły z Gretą do Moka Efti. Cały wieczór przegadały o mężczyznach i doszły do wspólnego wniosku: nie ma sensu wiązać się z facetami, którzy nie akceptują tego, że kobieta chodzi do pracy. Nie zdradziła Grecie tego, że już umówiła się na kolejne spotkanie, i niczego jej jeszcze nie opowiadała o nowym funkcjonariuszu z prezydium. Trochę się wstydziła, że po fiasku w Efti spotyka się z kolejnym mężczyzną, i to na dodatek z Zamku. Ale Greta nie musiała przecież wiedzieć wszystkiego.

Dobrze zrobił, że pojawił się na miejscu kwadrans wcześniej i z wystarczającym wyprzedzeniem kupił bilety. Kino Phoebus Palast powoli wypełniało się po brzegi, zupełnie jakby tłumy ludzi chciały potwierdzić jego telefoniczne kłamstwo o rzekomych problemach z dostępnością biletów. Podczas gdy ludzie przepychali się, by wejść do kina, Rath stał przy gablotach i przyglądał się kadrom z filmu. Gustav Fröhlich w roli szupo oraz jakaś kobieta, która trochę przypominała mu Charlotte, tyle że wyglądała na zdecydowanie bardziej wyfiokowaną. Ale w filmach tak już jest, czasami nawet mężczyźni malują się szminką, nawet jeśli grają szupo. Uśmiechnął się, gdy wyobraził sobie gruboskórnych policjantów z Alexanderplatz z ustami pomalowanymi na czerwono.

Film nosił tytuł „Asfalt” i był dramatem traktującym o policjancie. Cóż za zbieg okoliczności! Zupełnie nie wiedział, co jest w repertuarze, gdy trzy dni wcześniej zapraszał Charlotte do kina. Pomysł, by zabrać ją do Phoebus Palast, przyszedł mu do głowy, gdyż kino bez-

pośrednio sąsiadowało z Europa Pavillon, a oba te miejsca znajdowały się na terenie nowo wybudowanego kompleksu Europahaus. Dobrze, że film opowiadał o policjancie, choć zapowiadał się raczej na kiczowatą historię miłosną niż film kryminalny. Niespokojnie spoglądał na zegarek. Za pięć minut rozpoczynał się seans, ale Charlotte jeszcze nie przyszła.

Otoczająca go wrzawa wzmagająca się coraz bardziej. Poza kinem pod dachem Europahaus znajdowało się także wiele restauracji, kawiarni i lokali, w których można było potańczyć. Zupełnie jak w Haus Vaterland, tylko że tu nie skuteczniało się aż takiego naciągactwa, ponieważ tu konkurowali różni gastronomowie, podczas gdy w Vaterland wszystko jest w jednym ręku. Kompleks Europahaus miał jeszcze otrzymać zwieńczenie w postaci wieżowca, ale ten plan zrealizowano na razie jedynie na papierze. Po długich przepychankach inspektorat budowlany dopiero niedawno udzielił zezwolenia na budowę – po tym jak architekt zmniejszył liczbę kondygnacji do dziesięciu.

Na dole, w gotowych już częściach budynku, panował spory tłok. Europahaus cieszył się opinią miejsca w światowym stylu, był więc też bardzo lubiany wśród berlińczyków, którzy przyklaskiwali wszystkiemu, co potwierdzało reputację ich miasta jako nowoczesnej metropolii.

Nagle ją zobaczył. Wysiadała z taksówki po drugiej stronie Königgrätzer Strasse, miała na sobie krótki płaszcz i czerwoną spódnicę. Pomachał do niej, i gdy zobaczył, że uśmiechnęła się na jego widok, to mało brakowało, a z radości objąłby przypadkowego przechodnia.

Nie zapowiadało się, żeby ten wieczór tanio go wyszedł, to wiedziała na pewno. Gdy – wsparta o jego ramię – przekroczyła próg Euro-

pa Pavillon i kelner zaprowadził ich do stolika, czuła potworny głód. Film trwał półtorej godziny i miała nadzieję, że jej żołądek nie zacznie burczeć w trakcie seansu. Na szczęście orkiestra grała dość głośno. On ani razu nie wykorzystał faktu, że było ciemno, i nie objął jej ani nie pocałował. Dobrze, że nie należał do tego typu mężczyzn, w przeciwnym razie zrezygnowałaby z kolacji, obojętne, jak bardzo byłaby głodna. Jednak teraz nic nie stało na drodze do miłego wieczora.

Jej również podobał się Europa Pavillon. Restauracja i parkiet ciągnęły się przez dwa piętra, we wnętrzu dominował kolor żółtopomarańczowy poprzeplatanym srebrnymi ornamentami, wszędzie stały mahoniowe meble. Kelner zaprowadził ich po schodach na galerię. Miała na sobie czerwony kostium, który do tej pory nakładała jedynie do pracy. Nie chciała, żeby Rath pomyślał sobie, że się dla niego stroi. Mimo to została przyłapana przez Gretę na tym, jak robiła staranny makijaż i sprawdzała przed lustrem, czy spódnica aby na pewno należycie podkreśla jej długie nogi. Przyjaciółka niczego nie powiedziała, jednak uniesione brwi dały jasno do zrozumienia, że prędzej czy później Charly będzie się musiała wytłumaczyć.

Kelner wskazał im stolik tuż przy balustradzie. Mieli stamtąd widok na parkiet, na którym wirowało już kilka par. Podobała jej się muzyka, skoczny swing, jedynie wokalista prezentujący od czasu do czasu swój głos brzmiał zbyt ckliwie. Kelner wrócił z dwiema kartami dań i dwoma kieliszkami szampana Heidsieck Monopol.

– Pozwoliłem sobie już coś zamówić – oznajmił jej Rath i uniósł swój kieliszek. A więc to dlatego szeptał coś do kelnera.

Zaśmiała się nerwowo, gdy stuknęli się kieliszkami. Od początku lubiła jego błyszczące szaroniebieskie oczy, spodobały się jej już wtedy, gdy po raz pierwszy spotkali się w Zamku. Piła szampana



i przyglądała się temu mężczyźnie. Miał elegancką powierzchowność, nosił brązowy garnitur, który równie dobrze mógłby założyć do pracy – i najpewniej już kiedyś tak zrobił. Tak jak ona ze swoim czerwonym kostiumem. Mogliby z miejsca wziąć się do pracy i przeprowadzać śledztwo. Jednak zamiast tego przeglądali menu.

Kelner przyszedł z winem i przyjął zamówienie. Zdecydowali się na rybę.

– Okłamałam pana – oznajmiła, gdy kelner się odwrócił. – Moja historia wcale nie jest taka długa, jak twierdziłam. Chodziło mi jedynie o kolację.

– To niech się pani modli, żebym nie zawiadomił wydziału do spraw przestępstw gospodarczych.

– Byle nie to! – Podniosła rękę, udając przerażenie. – Wszystko panu powiem, panie komisarzu. Tyle tylko, że to *wszystko* to dość niewiele. – Wypiła łyk wina. – A zatem... Urodziłam się i wychowałam w Berlinie. Ściślej rzecz biorąc, w dzielnicy Moabit, nieopodal budynku sądu kryminalnego. Takie sąsiedztwo nie pozostaje bez wpływu na człowieka, bo od czterech lat pracuję w policji kryminalnej jako stenotypistka. Ale nie chcę tego robić do końca życia.

– A co by pani wolała?

– Studiuję prawo.

Gwizdnął z uznaniem.

– Chce pani awansować na wyższego urzędnika?

Wzruszyła ramionami.

– Okaze się. Uważam jednak, że w policji kryminalnej jest za mało kobiet.

– A jak łączy pani jedno i drugie? – zapytał. – Mam na myśli pracę i studia.

– W wydziale do spraw zabójstw pracuję tylko od czwartku do niedzieli, tak ustaliliśmy. Dlatego też nie narzekam, jeśli muszę zostać dłużej albo załatwić coś na mieście.

– Do większości morderstw dochodzi w sobotę lub niedzielę.

– Komu pan to mówi?

– Pracuje pani w każdą sobotę i niedzielę?

– Przeważnie tak. Pozostali się cieszą, jeśli uda im się uniknąć dyżurów w te dni.

– A więc nie ma pani za dużo wolnego czasu.

– W tej chwili nie. Czas na rozrywki mam w godzinach wieczornych.

– O ile Inspekcja A nie zadzwoni.

– Zdarza się.

Uniósł kieliszek.

– Wypijmy za to, żeby Böhm przynajmniej dzisiaj zapodział gdzieś numer do pani.

Raz jeszcze stuknęli się kieliszkami. Kelner przyniósł jedzenie, a oni przez chwilę milczeli.

– Nadal mi pan nie opowiedział, w jaki sposób trafił pan do obyczajówki. Zakochał się pan w złodziejce klejnotów, którą miał pan zaprowadzić na posterunek?

To właśnie przytrafiło się szupo z filmu. I na domiar złego zabił jeszcze swojego przyjaciela gangstera, jednak na koniec złodziejka uratowała swojego ukochanego policjanta: wzięła winę na siebie i poszła do więzienia zamiast niego. Historia naciągana, ale całkiem zabawna. Tylko nie miała za wiele wspólnego z policyjną codziennością.

On też tak ją oceniał.

– Miło by było – powiedział. – Rzeczywistość nie jest taka romantyczna. Chciałem przyjechać do Berlina. A na Alexanderplatz nie było innych wakatów.

– Skąd więc pan przyjechał?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Niech mi pani nie mówi, że nie stanowi to tematu rozmów.

– Nadrenia?

– A już miałem nadzieję, że pozbyłem się akcentu. Któregoś razu złapałem się nawet na mówieniu dialektem berlińskim.

– Właściwie to chciałam się dowiedzieć, w jakim wydziale pan wcześniej pracował.

– Zajmowałem się wszystkim, począwszy od uszkodzeń ciała po morderstwa.

Była zaskoczona. Tego się nie spodziewała. Komisarz, który prowadził już śledztwa w sprawach morderstw, dobrowolnie przeniósł się do obyczajówki, i to tylko dlatego, że chciał zamieszkać w Berlinie. Nie każdy byłby do tego zdolny. Jadła dalej w milczeniu, pogrążona w myślach.

– Dlaczego chce pani zostać policjantką? – zapytał niespodziewanie.

– Bo jest za mało kobiet wykonujących ten zawód. I dlatego, że nie przepadam za ludźmi, którym wydaje się, że mogą robić, co chcą, i jeszcze uchodzi im to na sucho. – Nie musiała się długo zastanawiać nad tą odpowiedzią. – Ale w zasadzie jeszcze nie postanowiłam, czy zostanę funkcjonariuszką policji. Najpierw muszę skończyć studia – dodała szybko.

Przytaknęła z powagą.

– Ma pani rację. Nie ma nic gorszego niż konieczność zamknięcia akt niewyjaśnionej sprawy.

– Owszem. Na szczęście mamy Gennata i nie za wiele „mokrych ryb”. – „Mokre ryby”, właśnie tak w Zamku nazywano nierozwiązane sprawy, wydawało jej się, że Rath zna to określenie. – Inspekcja A ma zdumiewająco wysoki wskaźnik wykrywalności – dodała i w tym samym momencie chciała ugryźć się w język.

– A więc Böhm psuje statystyki – powiedział. – Gdy słuchałem go w poniedziałek w sali konferencyjnej, miałem wrażenie, że istnieje spora obawa, że ciało wyłowione z kanału stanie się jedną z tych „mokrych ryb”.

Pokiwała głową.

– Zgadza się, nie wygląda to najlepiej. Po trzech dniach przerwy znów pojawiłam się dziś w pracy, a śledztwo jest na tym samym etapie, na którym było w niedzielę. Rzadko się to zdarza.

– Udało się Wam ustalić, kim był ten zmarły mężczyzna?

Pokręciła przecząco głową.

– Przejrzeliśmy wszystkie przypadki zaginięć od 1927 roku, wielokrotnie przesłuchiwaliliśmy wszystkich mieszkańców, niemal każda gazeta przedrukowała zdjęcie, ale nie zgłosił się do tej pory nikt, poza tymi samymi idiotami, co zwykle. To naprawdę dziwne, że nikt nie znał ofiary.

Przytaknęła.

– Trudno w to uwierzyć. W samym środku czteromilionowego miasta odnalezione zostają zwłoki mężczyzny i żaden z tych czterech milionów mieszkańców nie widział go choćby raz.

– Ktoś go musiał widzieć.

– Ma pani na myśli mordercę?

– Owszem. Ale on się nie zgłosi.

– A więc nie macie żadnego punktu zaczepienia.

– Skoro pracował pan jako śledczy, to wie pan, co oznaczają niezidentyfikowane zwłoki. Sprawcy szuka się przeważnie w otoczeniu ofiary, wśród przyjaciół, wrogów, rodziny, współpracowników. Tylko jak mamy to zrobić, skoro nie wiemy nawet, kto zginął?

– Nie macie żadnych innych poszlak?

– Nie mamy prawie żadnych wskazówek. Mężczyzna miał na sobie drogi garnitur, nikt go nie znał, a jego uzębienie jest w kiepskim stanie. Jechał drogim autem, ale było kradzione. Torturowano go i zmarł w wyniku zatrucia heroiną. Gdy prowadzony przez niego samochód wpadł do kanału, nie żył już od ośmiu do dziesięciu godzin. Ktoś zablokował pedał gazu metalowym prętem. Co ciekawe, był to drążek kierowniczy od opla. To wszystko nie łączy się w spójną całość.

– Lubi pani swojego szefa?

– Böhma? – Wzruszyła obojętnie ramionami. – Co znaczy „lubić”? W każdym razie nie jest taki gburowaty, na jakiego wygląda.

– Wszystkie inspekcje mają pomóc wydziałowi zabójstw w rozwiązaniu tej sprawy. To jego pomysł?

– Oczywiście, że nie. Polecenie wydał sam Zörgiebel. On chce jak najszybciej zobaczyć efekty i tego typu akcja zakrojona na szeroką skalę może okazać się przydatna, mimo że apel w prasie okazał się fiaskiem, a z kasy państwa przeznaczono pięćset marek nagrody za podsuniecie wskazówek.

– Tak właśnie socjaliści obchodzą się z pieniędzmi z naszych podatków.

– A więc nie jest pan socjaldemokratą?

Wzdrygnął się.

– Niech pani nie zaczyna mówić o polityce. Praca w IA to jedyna rzecz, która jest gorsza od obyczajówki. Tam nawet koledzy z biura

się szpiegują.

Kelner zabrał talerze.

– Nie podziękowałam panu jeszcze za zaproszenie – powiedziała i wyciągnęła papierosa z paczki.

Podał jej ogień i spojrzał przy tym krótko w oczy. Poczowała delikatne mrowienie.

– Bardzo dziękuję za towarzystwo – odparł i sam zapalił papierosa. – Nie chcę wprawiać pani w zakłopotanie, ale jest pani najmilszą osobą, którą do tej pory spotkałem w Zamku.

– Cóż, w obecnym momencie łatwo wygrać w tym konkursie. Nie należy pan do najbardziej lubianych kolegów. Chodzą słuchy, że wlaź pan Zörgiebelowi tam, gdzie kończą się plecy, i rzekomo dlatego prezydent pana zaprotegował.

– Zaprotegował? To jakiś żart? Czyżbym dlatego dostał pracę w obyczajówce?

Kobieta uniosła rękę w obronnym geście.

– Powtórzyłam tylko to, co słyszy się w kantynie. Pewnie Lanke wypuścił tę plotkę. Chce ściągnąć swojego kuzyna z powrotem na Alexanderplatz i posadzić przy biurku, przy którym pan teraz siedzi. To pańska wina, że biedak nadal musi dusić się w urzędzie kryminalnym w dzielnicy Köpenick.

– Köpenick? Czyżby popadł w niełaskę?

– Wydaje mi się, że młody Lanke jeszcze nigdy tak właściwie nie dostąpił łaski. Pięć lat temu świeżo po ukończeniu szkoły policyjnej trafił na Alexanderplatz i od razu nawarzył sobie piwa. Sprawa już ucichła i Lanke chciał go ściągnąć z powrotem. Ustalił już nawet wszystko z Napohyblem. I wtedy przyszedł pan.

– Nawet Bruno nic mi o tym nie powiedział.

– Wolter? Oczywiście, że nie. W Zamku dowie się pan wszystkiego, z wyjątkiem rzeczy, które tyczą się pana. Niech mi pan wierzy, Wolter się cieszy, że Lanke junior nie trafił pod jego skrzydła. Pewnie przyjął pana z otwartymi ramionami, prawda?

– Dlaczego pani mi o tym wszystkim opowiada?

Już w trakcie posiłku obserwował orkiestrę, która grała piętro niżej. Wśród jej członków nie było wokalistki. Jediną osobą, która śpiewała tego wieczora, był sam Ilja Treczkow, choć granie na trąbce szło mu lepiej. Lider zespołu najwyraźniej rozstał się z Laną Nikoros. Albo ona z zespołem. Właśnie o to chciał jeszcze dopytać Treczkowa.

Tuż po jedzeniu zaprowadził Charlotte na parkiet. Potrafiła dobrze tańczyć. Każde spojrzenie w jej oczy wywoływało zamęt w jego głowie. Musiał się pilnować, żeby nie zapomnieć, dlaczego ona tu jest. Dlaczego on *również* tu jest. Spędzili w Europa Pavillon ponad dwie godziny i przez ten czas zespół grał bez ustanku. Dopiero teraz zrobił przerwę. Tancerze bili brawo, gdy muzycy się kłaniali. W trakcie przerwy jakiś skrzypek przygrywał ckliwe melodie, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Większym zainteresowaniem cieszyli się muzycy Treczkowa, którzy zwartą gromadą ruszyli do baru.

Odprowadził Charlotte z powrotem do stolika. Butelka szampana stojąca w wiaderku była już prawie pusta. Ruchem ręki przywołał kelnera i zamówił kolejną.

Wziął łyk, przeprosił na chwilę Charlotte i odszedł w kierunku toalet. Tuż przed drzwiami do łazienki odbił w stronę baru. Nie mogła już tego widzieć, mimo dość dobrego miejsca na galerii.

Ilja Treczkow wraz z pozostałymi muzykami siedział przy stoliku, przed nim stała duża, do połowy pusta szklanka piwa. Rath miał

przy sobie odznakę i ją pokazał. Zrobił to jednak dyskretnie, tak by zobaczył ją jedynie Treczkow.

– Chciałbym z panem przez chwilę porozmawiać – powiedział trębaczowi. – Najlepiej w cztery oczy.

Treczkow podniósł się z miejsca. Usiedli w spokojnym rogu przy barze.

– Moje papiery są w porządku – powiedział muzyk i zaczął przeszukiwać kieszenie. Mówił po niemiecku niemalże bez akcentu.

– Nie chodzi o pana. Chodzi o piosenkarkę Lanę Nikoros.

Treczkow usiadł obok Ratha.

– Lana. Znalazł ją pan?

– Co ma pan na myśli?

– A więc jednak nie. To pewnie i tak nie znaczyłoby nic dobrego, gdyby policja ją znalazła. – Na jego twarzy rysowały się na przemian nadzieja i rozczarowanie. – Martwię się o nią. Po tym, jak musieliśmy opuścić Delphi, po prostu już się więcej nie pojawiła. A wiedziała, że dostaliśmy nowy angaż.

– Co ma pan na myśli, mówiąc, że się nie pojawiła?

– Od dwóch tygodni gramy w Europa Pavillon. Wcześniej mieliśmy tu kilka prób. Znała ich terminy, ale nie przyszła. Nigdy wcześniej się jej to nie zdarzało, a współpracujemy od blisko dwóch lat.

– Nie próbował pan się z nią skontaktować?

– Oczywiście, że próbowałem, ale bezskutecznie. Pewnie był pan też już w jej mieszkaniu. Jest tam prawie wszystko, poza nią i paroma rzeczami. Jakby wyjechała.

– Był pan w jej mieszkaniu?

– Tak, na Kreuzbergu. Przy Luisenufer. Mam klucze.

Rath skinął głową. Mógł iść o zakład, że znał numer domu.



– Nie jest tak, jak pan myśli. – Treczkow pośpieszył z wyjaśnieniem. – Pracujemy razem. I jesteśmy też przyjaciółmi.

– Przy Luisenufer – powtórzył Rath. – Ale nie mieszka tam pod nazwiskiem Lany Nikoros...

– Nie, to tylko jej pseudonim artystyczny. Jej prawdziwe nazwisko to Sorokinowa. Hrabina Swietłana Sorokinowa. W Rosji to znane nazwisko...

Złoto Sorokinów! Rath ledwie mógł w to uwierzyć. Lana Nikoros należała do rodu Sorokinów! Była przyjaciółką Aleksieja Karda-kowa!

Muzyk nie spostrzegł jego podekscytowania, mówił dalej.

– ...i oczywiście dlatego mieszka w Berlinie *incognito*, na drzwiach do jej mieszkania znajduje się najbardziej pospolite nazwisko. W przeciwnym razie Sowietci już dawno by ją wytropili. – Mężczyzna brzmiał tak, jakby tego właśnie się obawiał.

– Czego chce od niej Stalin? – zapytał Rath.

– Czego chce? Należy do jednej z najbardziej poważanych rodzin arystokratycznych w kraju. Mam panu przypomnieć, co bolszewicy z zrobili z dynastią Romanowów?

Za długo go nie było. Kobiety takiej jak Charlotte nie powinno się zostawiać samej.

Gdy wrócił, wraz z nią przy stoliku siedział już ktoś inny. Był to śliski, szemrany typ z uśmiechem szerokim jak u dziadka do orzechów – podejrzany chojrak, który zdawał się nie dostrzegać, że Charlotte czuje do niego obrzydzenie. Rath nienawidził takich typów i poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość. A może zazdrość? Odpędził tę myśl.

– Przepraszam, ale ten stolik jest zarezerwowany. Proszę zostawić nas samych.

Mężczyzna tylko się zaśmiał.

– Czyżby rezerwacja obejmowała także tę panią?

Rath zobaczył po oczach tego padalca, że jego wyszczekanie było tylko pozorne. Poznał go, spotkał go bowiem w ubikacji, jak dodawał sobie animuszu, wciągając biały proszek.

Pochylił się nad mężczyzną i chwycił go za krocze tak szybko, że zanim facet zdążył zareagować, siedział już z zaciśniętymi zębami i nie miał odwagi choćby drgnąć. Wszystko odegrało się w cieniu obrusu, więc Charlotte niczego nie widziała.

– Posłuchaj mnie, Ty mały ćpunie – Rath szeptał do łapiącego powietrze mężczyzny, usta przyłożył tuż przy jego uchu i starał się brzmieć jak uosobienie uprzejmości. – Byłeś na tyle głupi, żeby przysiąc się do stolika gliniarzy. Jeśli nie opuścisz tego lokalu w ciągu dziesięciu sekund, to nie tylko będziecie Cię bolało przy sikaniu przez parę następnych tygodni. Zadbam też o to, żebyś wylądował za kratkami. Zrozumiałeś, co powiedziałem?

Rath zaakcentował swoje pytanie, zaciskając dłoń jeszcze mocniej. Zarozumialec począł energicznie przytakiwać. Miał purpurową twarz, nawet pasek skóry na przedziałku zmienił swój kolor.

– A więc – wyszeptał Rath – jeśli nie chcesz spędzić najbliższego roku w pace, to znikniesz stąd, gdy tylko Cię puszcę. Ale nie zapomnij wcześniej grzecznie ukłonić się przed panią.

Mężczyzna znów skinął głową, a Rath zwolnił uścisk. Typek wstał, wykonał przed Charlotte coś na kształt ukłonu i zszedł na dół do westybulu dość zwawym, ale dziwnym krokiem, wyglądającym, jakby narobił w spodnie. Kobieta spojrzała za nim, zdenerwowana.

– Najwyraźniej alkohol uderzył mu do głowy – powiedział Rath, przysiadając się z powrotem do Charlotte. Chyba jej zaimponował.

– Czy robi pan tak z każdym, kto wejdzie panu w paradę? – zapytała.

Budzik nastawiony był na zdecydowanie wcześniejszą godzinę niż zwykle. Nie spał za długo. A raczej: nie spali. Rath leżał całkiem rześki, gdy wskazówka przeskoczyła i już chciała uruchomić brzęczenie dzwonka. Zwinnym ruchem powstrzymał blaszanego potwora stojącego na nocnym stoliku, zanim ten narobił hałasu. Odwrócił się. Czarne włosy na poduszce. Nadal leżała obok niego, to nie był sen. Pogładził ją, a potem pocałował w kark i smukłą szyję. Widział, jak się budzi, choć jeszcze leżała, przez chwilę czekając, aż pocałuje ją raz jeszcze. Potem ona również się odwróciła i uśmiechnęła się do niego.

Kiedy to się właściwie stało? Niedługo po tym, jak wygarnął temu żygolakowi, co o nim myśli. Zespół Treczkowa wrócił na scenę, a on znów zaprowadził Charlotte na parkiet. Charly! Tańczyli i wtedy spojrzała na niego tak, że nie mógł się powstrzymać. Na początku zetknęły się tylko ich nosy, potem ją pocałował, delikatnie, a ona odwzajemniła pocałunek.

Tańczyli jeszcze jakiś czas, ale już nie zdobyli się na odwagę, żeby się pocałować. Nie wśród tych wszystkich ludzi na parkiecie. Potem zaprowadził ją z powrotem do stolika, a ich dłonie pozostały splecione. Napili się jeszcze i przyglądali sobie nawzajem. Nagle oboje spowaźnieli. Uśmiech Charlotte wrócił na twarz jako pierwszy.

– Co teraz? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Może powinniśmy przejść na Ty? – zaproponował.

Zaśmiała się.

– Nazywam się Charlotte. Ale poza moją mamą wszyscy mówią do mnie Charly.

– W Zamku również?

– Tam jestem panną Ritter.

– Nazywam się Gereon.

– Dziwne imię. Pierwszy raz je słyszę.

– To imię świętego z Kolonii. Moi rodzice są bardzo religijni.

– Chcę Cię lepiej poznać, Gereonie – wyszeptała.

Zaczęli to realizować już w taksówce.

A teraz leżała obok. Gładziła go po policzku i uśmiechała się do niego. Kołdra się zsunęła, przez co słońce rzucało promienie na jej szczupłe ciało. Czuł, jak wzmagają się jego pożądanie, ale na to nie mieli już teraz czasu. Musieli się pośpieszyć.

Nie chciał iść w ślady Weinerta, który swoje kobiety zawsze wysyłał do domu w środku nocy. Nie, na pewno nie zrobi tego Charly! Chciał przy niej zasnąć i się przy niej obudzić. Ale teraz nie miał bladego pojęcia, jak ją przesmuglować, by Elisabeth Behnke jej nie zauważyła. Gospodyni pewnie szykowała już śniadanie.

Już poprzedniego dnia wyznał Charly, że właściwie to nie wolno mu zapraszać kobiet.

– Zawsze chciałam zrobić coś nielegalnego – odparła tylko.

Potem po cichu zaprowadził ją do swojego pokoju. Nie przypuszczał, że sprawy tak się potoczą, jednakże wczoraj, przed wyjściem do Europahaus, na wszelki wypadek zdjął ze ściany mapę i pochował zdjęcia.

Z grubsza obmyli się w miednicy, która stała na staromodnej toalecie w jego pokoju, i przed lustrem doprowadzili się do względnej

ładu, zanim ruszyli do pracy. Sprawnie im poszło. Rathowi zdarzało się pojawiać na służbie w bardziej pomiętym ubraniu, a Charlotte i tak wyglądała zniewalająco, nawet jeśli potrzebowała nieco czasu, żeby doprowadzić włosy do porządku i nie mogła znaleźć jednej pończochy. Jednak po jakimś czasie stanęła przed nim, gotowa do wyjścia.

Otworzył drzwi do pokoju i wyjrzał na korytarz. Na horyzoncie nie było nikogo. Poczł zapach kawy. Otworzył drzwi do mieszkania, podczas gdy Charly nadal stała w jego pokoju. Potem przywołał ją do siebie gestem ręki. Pędem rzuciła się przez korytarz i wypadła na klatkę schodową. Zeszła na dół na palcach. Rath zamknął drzwi tak cicho, jak tylko potrafił, i wrócił do pokoju. Uff, najtrudniejsze za nimi, Charly jest na zewnątrz.

Zarzucił na siebie płaszcz, chwycił kapelusz i chciał już wyjść za nią, gdy nagle otworzyły się drzwi do kuchni. Stanęła w nich Elisabeth Behnke w szlafroku. Tym razem zawiązanym pod szyję.

– Dzień dobry! – powstrzymała się od dodania „Gereonie”. W ogóle zachowywała się dość oschle.

– Dzień dobry, Elisabeth!

– Nie jesz śniadania?

– Dziękuję, ale mam dziś dużo pracy. Nie mówiłem Ci tego wczoraj?

– Schodziłeś dziś już na dół? Wydawało mi się, że słyszałam drzwi.

Cóż za czujność. Powinszować!

– Zapomniałem ważnych dokumentów. – Spojrzał na zegarek. – Naprawdę muszę już iść.

Obyło się bez dalszych dyskusji. Nałożył kapelusz i zszedł po schodach. Na dole czekała już na niego Charly. Schowała się w wej-

ściu do budynku. Działała z głową, widać, że pracuje w Zamku.

Równie niepostrzeżenie, jak wymknęli się z mieszkania, przekroczyli próg prezydium niecałą godzinę później. Po szybkim śniadaniu przy Wittenbergplatz wsiedli jeszcze razem do metra, nawet siedzieli obok siebie niczym para zakochanych, jednak odsunęli się od siebie, gdy tylko pociąg zaczął zbliżać się do Alexanderplatz. Z każdą stacją rosło prawdopodobieństwo, że do kolejki wsiądą ich koledzy. Rath dał jeszcze Charly ostatniego buziaka i na Spittelmarkt wstał z miejsca. Wysiedli z wagonu różnymi drzwiami, a potem, zachowując odstęp, szli przez peron niczym dwójka nieznajomych i mijali ściany zbite z desek oraz barierki. Nawet sześć metrów pod ziemią Alexanderplatz przypominał plac budowy. Charly weszła do Zamku pierwsza, on jeszcze przeglądał rozkłady jazdy, zanim też ruszył w stronę Dirckenstrasse.

W biurze jeszcze nikogo nie było, ale punkt pocztowy zdążył złożyć im wizytę. Na swoim biurku Rath znalazł paczkę. Zobaczył zagraniczną naklejkę i od razu wszystkiego się domyślił. Znał tylko jedną osobę, która przysyłała mu listy zza oceanu i która znała jego nowy adres służbowy. Gdy Rath przecinał sznurek i otwierał paczkę, na chwilę zapomniał nawet o Charly. W środku znajdowało się mnóstwo ścinków anglojęzycznych gazet. Przesyłka była porządnie zabezpieczona. Na samym wierzchu leżał list, lecz Ratha zaciekało najpierw coś innego. Nowa płyta! Przyglądał się płaskiej kwadratowej kopercie i wprawnym ruchem wysunął z niej wewnętrzną okładkę. „Flecher Henderson Orchestra”, przeczytał, „Easy Money Blues”. Prosto z Nowego Jorku! Najchętniej od razu by ją przesłuchał.

Tylko jeden człowiek przysyłał mu takie płyty. Człowiek, który w świecie jego ojca przestał istnieć: Severin Rath, który wiosną

1914 roku popłynął statkiem pocztowym do Ameryki i już nie wrócił. Ani wtedy, gdy w sierpniu wybuchła wojna i ojczyzna wzywała do boju, ani wtedy, gdy cztery i pół roku później wojna się zakończyła.

Gereon rozumiał swojego brata, zarówno wtedy, jak i teraz. Obecnie rozumiał go prawdopodobnie jeszcze lepiej. Engelbert Rath natomiast nie wykazał zrozumienia dla swego syna. Hańba związana z tym, że we własnej rodzinie miał zdrajcę ojczyzny, stanowiła dlań źródło głębokiego bólu. Nawet bohaterska śmierć jego najstarszego syna nie mogła go zrównoważyć. Wprost przeciwnie, ojciec zachowywał się tak, jakby winił Severina za śmierć Anno. Engelbert Rath bez mrugnięcia okiem traktował swojego drugiego syna jak martwego. W domu Rathów nie rozmawiano już więcej o Severinie, nie odpowiadano na jego listy, ba, nawet ich nie czytano. Aż w pewnym momencie w ogóle przestały przychodzić.

Nikt, nawet jego siostra Ursula, nie wiedział, że po wojnie Gereon próbował odnaleźć brata. Nie było to takie proste, ponieważ jego dawny adres w Nowym Jorku okazał się nieaktualny, a w czasie amerykańskiej hysterii wojennej wielu mieszkańców zangielszczyło swoje niemieckie nazwiska, żeby uniknąć ryzyka internowania na Ellis Island. Po czasochłonnej wymianie korespondencji z amerykańskimi władzami, które nie zawsze reagowały na to przychylnie, udało mu się w 1921 roku wreszcie odnaleźć niejakiego Sevrona Ratha, mieszkającego w Hoboken w New Jersey. Brat rzeczywiście mu odpisał. Na poste restante, tak jak ustalili. Wówczas dołączył mu pierwszą płytę – początek małej kolekcji.

Rath wyciągnął czarny krążek z okładki i trzymał go ostrożnie, niczym cenną porcelanę. Obwoluta miała granatowy kolor i srebrne



napisy. „Come on Baby!” – brzmiał tytuł na drugiej stronie. Od razu przypomniało mu to o *niej*.

Charly siedziała jedynie parę pokoi dalej. Już sama myśl o tym doprowadzała go do szaleństwa.

Z zamyślenia wyrwał go Stephan Jänicke. Nowicjusz z impetem wpadł przez drzwi, zaskoczony, że zastał kogoś w biurze.

– Czy Ty nie miałeś gdzieś wyjść wczoraj wieczorem? – zapytał zdziwiony.

– Odeśpię na koniec miesiąca – odparł Rath i z powrotem zapakował zawartość przesyłki. To samo powiedział wczoraj Charly, gdy opadli na jego łóżko, ale nie po to, żeby spać.

Już na samą myśl czuł podniecenie. Najwyższy czas przepędzić z głowy myśli o tej kobiecie przynajmniej na parę godzin. Jest tyle rzeczy do zrobienia!

Skończyło się na postanowieniu. Choć bardzo się starał, to przez cały dzień nie mógł przestać myśleć o jej pięknej twarzy. Bruno ciągle przyłapywał go na bujaniu w obłokach, a było to w trakcie planowania obławy! Chyba nawet Jänicke zauważył, że z Rathem jest coś nie tak. Najgorszy był jednak moment, gdy spotkał ją na korytarzu.

Zwrócił się do niej per pani, pozdrowił uprzejmie i z dystansem, tak jak ustalili.

A ona? Ona chwyciła go za krawat, zaciągnęła do jednego z pokoi i go pocałowała. Dzięki Bogu nikogo tam nie było.

– A jeśli ktoś wejdzie? – zapytał Rath i rozejrzał się wokoło.

– Bez obaw. Kolega, który pracuje w tym biurze, jest na urlopie.

Zanim zamknął drzwi, wyjrzał na korytarz. Nikt niczego nie widział.

Rzucili się sobie w ramiona.

- Chcę Cię zobaczyć dziś wieczorem – powiedziała.
- Niestety, nie dam rady. Wiesz przecież, że mam naradę.
- Wiem. Służba nie drużba. Nie musisz tego mówić obywatelce

Prus.

- Otóż to. Czułości też będziemy musieli odłożyć na inny dzień.
- To chcę trochę czułości teraz – odrzekła i znów go pocałowała.

Po jakimś czasie pokuśtykał ze wzwodem z powrotem do swojego biura, ciesząc się, że nikogo nie spotkał na korytarzu. Gdy dotarł na miejsce, mógł już wprawdzie normalnie chodzić, ale nadal był skołowaciały. Praca zupełnie mu nie szła, więc Bruno wysłał go do domu. I całe szczęście. Dzięki temu będzie mógł się lepiej przygotować na wieczór i poukładać krążące w bezładzie myśli.

Nawet gdy siedział w Plazie, bardzo chciał mieć ją przy sobie. Wiedział jednak, że było to niemożliwe. Nikt w Zamku nie wiedział, że tu jest i w jakim celu tu przyszedł, nikt nie mógł się tego dowiedzieć. Siedział więc przy barze w teatralnym foyer, sączył americano i myślał o Charly.

Przedstawienie wydało mu się jeszcze nudniejsze niż to niedzielne, sprzed pięciu dni. Rath opuścił salę, gdy samotny kowboj wszedł na scenę. Jego sąsiadów z widowni bawił występ wyjca, szeptali i śmiali się na przemian. Tym razem nie siedziała przy nim żadna nauczycielka gry na flecie, lecz mężczyzna z monoklem i siwą brodą, któremu towarzyszyła młoda, elegancka kobieta. Ewidentnie mieszkali w zachodniej części miasta. Im też niebawem zrzędną miny, pomyślał, gdy przeciskał się obok nich do wyjścia.

Miał rację. Niecałe pięć minut później oni również przyszli do baru. Mężczyzna z monoklem usiadł na stołku obok Ratha, kobieta – jedno miejsce dalej. Rath zamówił kolejne americano. Po niedzielnym niepowodzeniu obmyślił sobie na ten dzień inną taktykę. Bar

był najlepszym punktem wyjścia. Po większości ludzi upijających się we foyer dało się poznać, że pochodzą z zachodu Berlina. Choć Plaza była niewinną wyspą w samym środku morza zadymionych lokali, to dwójka jego sąsiadów wciąż rozglądała się ukradkiem, jakby w każdej chwili spodziewała się ataku nożownika albo chociaż bijatyki czy policyjnej obławy. To varieté nie miało w sobie ani krzty zepsucia. Cóż za rozczarowanie. Młoda kobieta zdawała się myśleć to samo.

– Wcale nie jest tu aż tak ciekawie, kotku – powiedziała do mężczyzny z monoklem.

Kotek sączył napój z kieliszka i błędząc gdzieś myślami, gładził się po siwej brodzie.

– Masz rację, skarbeńku. Też znam tę dzielnicę z całkowicie innej strony. To miejsce to jakiś zupełnie podrzędny lokal rozrywkowy. Halbach powinien był nas uprzedzić. Nie mają tu nawet szampana, tylko ulepkowe wino musujące. Dopijmy i chodźmy stąd. Znam jeden świetny przybytek, zbledniesz z wrażenia!

– Najpierw muszę natychmiast przypudrować nos – powiedziała skarbeńka i zaśmiała się nerwowo.

– No to dopijajmy szybko.

Rath wyostrzył słuch. „Przypudrować nos” było jednym z haseł, na które czekał. Wsunął z powrotem paczkę overstolców, którą chwilę wcześniej zaczął wyciągać z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Przepraszam pana – zwrócił się do siwobrodego mężczyzny siedzącego obok. – Przez przypadek usłyszałem państwa rozmowę. Zna pan jakiś lokal w okolicy?

Mężczyzna nieufnie zmierzył go wzrokiem.

– Wie pan – ciągnął Rath – nie mają tu w karcie *kakao*. Znam parę miejsc przy ulicy Tauentzien, ale w tej okolicy...

Zdawało się, że mężczyzna wiedział, o czym mówi Rath. Spojrzał nań przyjaźniej.

– Jest pan zatem z Charlottenburga, prawda?

Rath przytaknął.

Mężczyzna poklepał go jowialnie po ramieniu.

– Drogi panie, nie mam nic przeciwko dzikiemu wieczorowi w ukochanym Charlottenburgu, jednak nieopodal znajduje się lokal, o jakim my na zachodzie miasta możemy tylko pomarzyć. U nas policjanci zaraz by go zamknęli, ale tu niebiescy nie odważyliby się przestąpić jego progu. Na nasze szczęście! W Venuskeller jest wszystko, czego potrzeba panu do szczęścia. A jeśli mówię wszystko, to mam też na myśli wszystko.

Nie musieli daleko iść. Kotek zaprowadził ich na Posener Strasse, następnie pewnym krokiem obrał kurs na obskurną czynszówkę. Z fasady budynku odpadały stiuki. Żadnych neonów, szyldów, nic nie wskazywało na to, że toczy się tu nocne życie. Nic – poza paroma mrocznymi sylwetkami. Mężczyźni, których ledwie dało się dostrzec, sterczeli na rogach ulic i w cieniach domów, a jeden z nich stał w bramie, przez którą chcieli przejść. Był ubrany całkiem elegancko, spod zwiewnego płaszcza wyłaniały się garnitur i muszka. Posturą przypominał jednak raczej boksera niż dżentelmena, jego oczy zasłaniał cień rzucany przez rondo kapelusza, ale podbródek miał wydatny. Rath liczył się ze wszystkim, łącznie z niespodziewanym ciosem w brzuch i lufą pistoletu przytkniętą do skroni. Jednak nie był przygotowany na to, co się wydarzyło. Mężczyzna okazał się nadzwyczajnie uprzejmy.

– Znów zaszczyca nas pan swoją obecnością, panie dyrektorze generalny.

Kotek był wyraźnie dumny, że go tu rozpoznano. Urósł o co najmniej dwa centymetry.

– Oj, trzeba, trzeba, mój drogi. Chciałem pokazać moim przyjaciołom, gdzie naprawdę można się zabawić.

Skarbeńka spoglądała, znudzona. Rath już ją zaklasyfikował. Kobieta nie była luksusową prostytutką, lecz rozbisurmanioną pannicą z zamożnej rodziny, szukającą przygód i przygruchaną przez tego starszego mężczyznę. W każdym razie na pewno nie była jego żoną.

– Naturalnie, panie dyrektorze generalny. Udanej zabawy.

Ochroniarz usunął się z drogi i weszli na dziedziniec. W jednym z zejść do piwnicy paliło się czerwone światło. Pod nim znajdowały się żelazne drzwi. Dyrektor zapukał. Dwa dłuższe uderzenia, trzy krótkie, przerwa, trzy krótkie, jedno dłuższe, dwa krótkie.

Drzwi otworzyły się bezgłośnie i nagle ze środka dobyły się przysłyszona płatanina głosów i przytłumione dźwięki dzikiego jazzu. Przyglądał im się jakiś mężczyzna, który w porównaniu do tego gościa z ulicy przypominał małą kapucynkę. Zmierzył ich wzrokiem od stóp do głów, odsunął się i pozwolił im wejść do środka. Szli ciemnym korytarzem, a dźwięki muzyki coraz bardziej się zbliżały. Czerwone lampiony na ścianach rzucały liche światło. Szatniarka wzięła od nich płaszcze, następnie mężczyzna w liberii odsunął na bok ciężką, skórzaną kotarę sięgającą do samej podłogi.

W ułamku chwili dźwięki dobiegające ze środka stały się donośniejsze. Musieli mówić głośniejsze, żeby móc się porozumieć. Duże pomieszczenie, do którego weszli, w ogóle nie przypominało piwnicy, raczej przywodziło na myśl salę tronową skąpaną w czerwonym świetle. Gwoli ścisłości – po brzegi wypełnioną salę tronową. Każdą ścianę zdobiły gipsowe amorki, które celowały strzałami w różne strony. Jeden z kelnerów zaprowadził ich do stolika znajdującego

się tuż przy scenie o kształcie muszli. Stał na niej mężczyzna przebrany za Indianina i zabawiał się z białolicą kobietą. Ramiona miała wprawdzie przywiązane do pala, ale poza tym wydawała się dość przystępna. W kwestii doboru tematów przewodnich Venuskeller chyba mocno wzorował się na Plazie. A może na odwrót?

– Cóż, czyżbym obiecał za wiele? – zapytał ich dyrektor, wtykając kelnerowi banknot stumarkowy na drogę. Występy na scenie здаwały się nieszczerólnie go zaskakiwać. Z kolei Rathowi odebrało mowę, choć odkąd pracował w obyczajówce, naprawdę widział już niejedno. Nawet skarbeńka miała nieco zarumienione policzki, ale może była to jedynie kwestia oświetlenia. Jej oczy wciąż zdradzały znudzenie.

Kelner wrócił z butelką szampana, trzema kieliszkami i niewielką srebrną cukiernicą. Najwyraźniej dyrektor generalny miał tego dnia gest. Po tym, jak wznieśli toast szampanem, mężczyzna podał cukiernicę najpierw skarbeńce, a potem Rathowi.

– Widzi pan, mają tu w karcie kakao – zakomunikował. – I to bardzo dobre! Niech pan się częstuje, drogi przyjacielu.

Rath się zawahał. Jeszcze nigdy nie brał kokainy. Z drugiej strony nie mógł się teraz wycofać. Równie dobrze mógłby od razu wyciągnąć swoją odznakę i wrócić do domu.

– Tylko bez fałszywej skromności – powiedział mężczyzna. – Niech pan bierze! My, mieszkańcy Charlottenburga, powinniśmy trzymać się razem w miejscach takich jak to.

Rath przemógł się i wziął szczyptę proszku z cukiernicy. Skoro powiedział „A”, musiał powiedzieć „B”. Skarbeńka już szykowała sobie na lusterku niewielką porcję kokainy, do której po chwili przyłożyła srebrną rurkę.

Spodziewał się wszystkiego. Tego, że zobaczy gwiazdy, żywe kolory, jasne światła albo coś podobnego, lecz gdy wciągnął biały proszek, poczuł jedynie odrętwienie. Cały nos zeszywniał mu tak bardzo, że nawet by się nie zorientował, gdyby ktoś mu go odciął. A potem poczuł, jak kokaina dociera do jego mózgu. W ułamku sekundy stał się całkowicie przytomny, czuł się tak, jakby ktoś pogłodził muzykę, a on mimo to lepiej niż wcześniej rejestrował pojedyncze głosy w płataninie rozmów. Czuł wręcz tryskającą z niego energię i radość życia.

Przemianę przeszła także młoda kobieta. Nagle potrafiła się uśmiechać, co dodawało jej wdzięku, o posiadanie którego nigdy by jej nie podejrzewał. Dopiero teraz spostrzegł, jak bardzo była młoda. Miała góra dwadzieścia lat. Dyrektor był już co najmniej pod pięćdziesiątkę, jeśli nie sześćdziesiątkę.

– Kotku, ja chcę zatańczyć! – oznajmiła.

Dyrektor generalny machnął ręką.

– Nie ze mną! A co pan powie, młody przyjacielu?

Nim się zorientował, skarbeńka odciągała go już od stolika. Parkiet znajdował się na drugim końcu sali, tuż przed emporą, na której stała kapela. Ekstacycznie tańczący ludzie miotali się wśród trzymających się w ciasnych objęciach par zakochanych. Od razu przyciągnęła go do siebie i ramionami oplotła mu szyję.

– Całkiem pan uroczy, wie pan o tym?

– Nie jest pani pierwszą kobietą, która zwróciła na to uwagę.

Próbował wyswobodzić się z jej objęć, ale było to równie bezskuteczne, co walka z ogromną ośmiornicą.

– Ojej, co pan tu ma! – Za późno. Kabura. Spojrzała na niego tak, jakby podnieciła ją broń. – Ma pan szczęście, że goryle przy wejściu nas nie przeszukali! Jest pan bandziorem? A może gliną?

– W tej okolicy ostrożności nigdy nie...

Zanim zdążył dokończyć zdanie, kobieta wsunęła mu język do ust. Trochę to trwało, nim udało mu się wyswobodzić. Uśmiechnęła się do niego.

– Niech pan strzela, jeśli stanowię dla pana zagrożenie! – Oznajmiła i po chwili trzymała już dłoń na jego kroczu. – Przecież ma pan broń – wysapała mu do ucha – może ją wypróbujemy?

Miał już dość. Najwyraźniej nie był stworzony do życia pełnego szaleństw. Wyrwał się i odszedł, zostawiając ją na parkiecie. Nie wyglądała, jakby jej to przeszkadzało. Słyszał jej śmiech, gdy torował sobie drogę przez tłum. Dobrze, że panowała tu ciemność. Gdy dotarł do stolika, po wzwodzie nie pozostało już śladu. Tymczasem na scenie kowboj złapał Indianina na łąso, a uwolniona kobieta właśnie mu dziękowała. Dyrektor generalny przyglądał się z zaciekawieniem.

– Szybko pan wrócił – powiedział, gdy spostrzegł Ratha. – Musi mi pan wybaczyć. Vivian bywa czasami nieco męcząca, wtedy wolę ją powierzyć komuś innemu. Ale przyzna pan, że wesoła z niej kobieta! Jak się wyszaleje, to ją stąd zabiorę. Dopiero wtedy jest w stanie adekwatnym do mojego wieku. Mój lekarz mówi, że muszę uważać na serce.

Rath usiadł.

– Ma pan już pewne doświadczenie.

– Życie trzeba studiować, drogi przyjacielu! A najlepiej robi się to w takich miejscach! A pan? Jest pan w tej okolicy po raz pierwszy?

– Tak, przynajmniej o tej porze dnia. – Wyciągnął zdjęcie z kieszeni marynarki i położył na stole obok cukiernicy. – Właściwie to szukam tego mężczyzny. Jest Rosjaninem, nazywa się Aleksiej Kardakow. Podobno często tu bywa.



– Rozumiem! – Dyrektor generalny brzmiał na pełnego zrozumienia. – Przystojny facet! – Zaśmiał się. – Jeśli Vivian wiedziałaby, kogo chciała przed chwilą uwieść... – Siwobrody mężczyzna poklepał Ratha po ramieniu, trzęsąc się ze śmiechu. – Bez urazy, młody przyjacielu, bez urazy.

Kolejna osoba, której pokazywał zdjęcie i która myślała, że jest homoseksualistą! Niech będzie i tak. Lepsze to, niż żeby w miejscu takim jak to zorientowali się, że jest gliniarzem. Kelner przyszedł z drugą butelką szampana. Uprzątnął zużyte rurki oraz cukiernicę. Obrzucił fotografię uderzająco ukradkowym spojrzeniem i znów zniknął.

Tymczasem dyrektor generalny opanował emocje.

– Przepraszam – powiedział, wycierając z oczu łzy śmiechu – ale to po prostu zbyt zabawne. Vivian się to jeszcze nigdy nie przydażyło. Flirtowała już z kobietami, ale z homoseksualnym mężczyzną... – Wyciągnął z kamizelki monokl i z uwagą przyjrzał się zdjęciu. – Przykro mi – powiedział w końcu – ale obawiam się, że nie znam pańskiego przyjaciela. Przychodzi tu regularnie?

Rath chciał odpowiedzieć, ale po twarzy siwobrodego poznał, że ktoś za nim stoi. Odwrócił się i zobaczył mężczyznę w eleganckim białym smokingu. Nad połyskującymi oczami w czerwonym świetle pobłyskiwała łysina. Uśmiechnął się, przymrużając oczy.

– Widzę, że dobrze się pan bawi, panie Oppenberg! Cieszy mnie to! – Mężczyzna w białym smokingu ukłonił się. – Nazywam się Sebald, prowadzę ten lokal.

– Miło mi.

– Niestety muszę na chwilę porwać pańskiego towarzysza.

– Mam nadzieję, że go pan nie wyrzuci za drzwi! – Oppenberg zaśmiał się i zapalił papierosa. – Prowadziliśmy właśnie zabawną roz-

mowę, którą chciałybym dokończyć.

– Ależ oczywiście, panie Oppenberg. To nie potrwa długo. – Kierownik zwrócił się do Ratha: – Proszę ze mną. Ktoś chce z panem porozmawiać.

Rathowi nie przyszło nawet do głowy, żeby się sprzeciwić. Schował zdjęcie i poszedł za Sebaldem. Mężczyzna otworzył drzwi znajdujące się tuż przy parkiecie, na którym skarbenka Vivian ściągała teraz na siebie więcej spojrzeń niż trójka aktorów na scenie. Zsunęła sukienkę i tańczyła nago na emporze. Miała pięknie zaokrąglone piersi, niczym świeże jabłka. Oczy mężczyzn błyszcząły. Oczy pań trochę mniej. Kierownik lokalu uśmiechnął się i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: Tak to już jest w Venuskeller, takich atrakcji doświadczy pan tylko u nas.

Zamiast tego powiedział:

– Tędy proszę.

Weszli do nowocześnie urządzonego biura. Rath spodziewał się, że zastanie w nim Marlowa, ale skórzany fotel stojący przy ogromnym biurku był pusty. Przecięli pomieszczenie, na którego końcu znajdowały się kolejne drzwi, a za nimi – schody prowadzące na górę. Na zewnątrz przed drzwiami czekał goryl z kapeluszem i płaszczem Ratha. Wcisnął mu do ręki jego rzeczy i zaczął go przeszukiwać.

– Dokąd idziemy? – zapytał Rath.

Goryl wyciągnął z marynarki komisarza mauzera i portfel, następnie podał obie te rzeczy Sebaldowi, przepaszając wzruszając ramionami.

– Opuszczasz się, Benno! – powiedział chłodno kierownik i wyciągnął z portfela Ratha legitymację pruskiej policji. – Gereon Rath, komisarz policji kryminalnej – odczytał na głos. – Najpierw pozwalasz

wejść do środka komuś ze spluwą, a potem okazuje się jeszcze, że to glina.

Benno próbował wyglądać na skruszonego, oczywiście na tyle, na ile było to możliwe dla kogoś jego postury. W opinii Ratha nie udało mu się to szczególnie dobrze.

– No, cóż! – Humor Sebalda zdawał się szybko poprawić. Na jego twarz powrócił uśmiech. – Nie spodziewałbym się, że producent filmowy niestroniący od nielegalnych rozrywek i aktorka uzależniona od kokainy przyprowadzą do nas akurat gliniarza. A skoro ten glina sam bierze koks, to właściwie nic w tym złego. Jest wtedy gościem jak każdy inny. – Schował do kieszeni portfel oraz mauzera. – Rozumiem, że pańskie odwiedziny mają charakter prywatny?

– Czysto prywatny.

Obaj mężczyźni zaprowadzili go z powrotem na Posener Strasse. Reszta drogi też wydała mu się znajoma. Poszli z powrotem do Ostbahnhof, jednak tym razem nie skierowali kroków do Plazy, której neon nadal zalewał Küstriner Platz jaskrawym światłem, lecz do tylnej części dawnego dworca, w której panowała taka ciemność, jak po niewidocznej stronie Księżyca. Benno zapukał do żelaznych drzwi.

– To my, Liang!

Otworzył szczupły mężczyzna. Jego garnitur był równie elegancko skrojony, jak garnitur Benno, ale na nim wyglądał nieporównywalnie lepiej. Mężczyzna miał czarne, błyszczące włosy zaplecione w długi warkocz. Spojrzenie jego skośnych oczu było nieprzeniknione. Rath zawsze słyszał, że Chiny to kraj uśmiechu, lecz ten Chińczyk w ogóle się nie uśmiechał. Sebald podał mu legitymację służbową Ratha oraz broń. Chińczyk wziął je bez słowa i wpuścił ich do środka. Poprowadził mężczyzn przez dużą ciemną halę magazyno-

wą. Gdy doszli do jej końca, otworzył drzwi prowadzące do pomieszczenia, które w ogóle nie pasowało do tego miejsca. Wyglądało jak wykradzione z jakiegoś angielskiego domku na wsi i przeniesione tutaj. Było niemal tak duże jak sama hala, ale w pełni wyposażone, łączyło w sobie salon, bibliotekę i gabinet. Na przeciwległej ścianie migotał ogień w kominku. Za biurkiem – jeszcze większym niż to Sebalda – siedział elegancki, solidnej budowy mężczyzna w czarnym garniturze. Rozmawiał przez telefon i coś notował. Dopiero gdy zbliżyli się do biurka, uniósł wzrok i ruchem ręki dał do zrozumienia, żeby zajęli miejsca. Chińczyk wziął od nich kapelusze i płaszcze. Rath zapadł się w ciężkim skórzanym fotelu, podobnie jak Sebalda. Tylko Chińczyk nie usiadł – odniósł płaszcze, położył na biurku dokumenty i broń Ratha, a następnie stanął z tyłu ze skrzyżowanymi rękami. Mężczyzna przy biurku odłożył słuchawkę i przez chwilę przeglądał legitymację Ratha.

– Dobry wieczór panie Rath! – przywitał się. – Podobało się panu w Venuskeller? Funkcjonariusze policji nie za często wpadają do nas w odwiedziny.

Komisarz przytaknął:

– Rozumiem, że pan Johann Marlow? – zapytał i wyciągnął z paczki papierosa. – Mogę?

Rath był zdumiony. Doskonale wiedział, że znajduje się w kryjówce przestępców, a oni zdawali sobie sprawę z tego, że był gliną. Mimo to nie czuł ani odrobiny strachu. Kokaina nadal działała. Marlow uniósł brew, a Chińczyk położył ciężką, mosiężną popielniczkę przy fotelu Ratha, po czym z powrotem stanął za biurkiem.

– Orientuje się pan – powiedział Marlow. – Nie ma w mieście za wielu policjantów, którzy by mnie rozpoznali. Z kolei tej garstce, która byłaby w stanie to zrobić, dużo płacę. – Mężczyzna wyjął cy-

garo z metalowego pojemnika i obciął końcówkę. Chińczyk podał mu zapalniczkę. Marlow ćmił cygaro z zadowoleniem. – Jednak nie sądzę, byśmy płacili akurat panu!

Rath zapalił papierosa.

– Nie – odparł lakonicznie.

– Ale może dobijemy jakiegoś interesu.

– Skąd panu przyszło do głowy, że chcę panu pomóc? Jestem funkcjonariuszem policji. A pan handluje kokainą.

– Panie komisarzu, dbam jedynie o to, żeby ludzie dostawali to, czego chcą. A w obecnych czasach chcą właśnie kokainy. Między innymi. – Marlow rozsiadł się jak basza. – Zasada podaży i popytu. Jedynie prawo, którego powinien zawsze trzymać się przedsiębiorca. – Uśmiechnął się uprzejmie. – Z tego, co mówił mi Sebald, moja podaż zaspokoila również pański popyt. Może jestem panu w stanie pomóc także w inny sposób? W interesach nie ma podziału na dawanie i branie.

Rath przeklinał swoją lekkomyślność. Po jakie licho spróbował kokainy, którą poczęstował go Oppenberg? Marlow chciał wyrzucić na nim presję, a narkotyk sprawiał, że był łatwym celem szantażu, i dodawał mu brawury. Na nic mu ani jedno, ani drugie. Musiał wziąć się w garść i diabelnie uważać.

– W zasadzie nie przyszedłem tu, żeby robić interesy – powiedział.

– Porozmawiajmy przez chwilę. A później podejmie pan taką decyzję, jaką będzie chciał. – Głos Marlowa, przed chwilą jeszcze łagodny, stał się odrobinę ostrzejszy, gdy zwrócił się do kierownika lokalu. – Sebald, wydaje mi się, że nie powinien pan zostawiać swojego klubu bez nadzoru. I Bennowi też będzie lepiej przy bramie niż w miękkim fotelu.

Kierownik i goryl podnieśli się. Chińczyk wyprowadził ich na zewnątrz.

– No, dobrze! Myślę, że teraz będzie nam się łatwiej rozmawiało – powiedział Marlow, gdy już zostali sami. Powoli zaciągnął się cygarem, zanim zaczął mówić dalej. – Sebald mi powiedział, że jest pan w posiadaniu interesujących zdjęć. Ciekawi mnie, skąd je pan ma.

– Wspominał pan wcześniej o dawaniu i braniu. Przyszedłem tu właściwie po to, żeby zadać panu parę pytań.

Marlow się zaśmiał. Chińczyk wrócił i w milczeniu podał szklanki – najpierw swojemu szefowi, a potem komisarzowi. Nalał do nich whisky. Ależ dobrze pachniał ten trunek!

– Za branie i dawanie – powiedział Marlow i uniósł szklankę. – Niech mi pan powie, skąd ma to zdjęcie, i zada pierwsze pytanie.

Rath wziął łyk. Napitek nie tylko dobrze pachniał, ale również *smakował*. Czego chciał od niego ten mężczyzna?

– Z pewnej piwnicy – odparł zdawkowo.

– Ach, tak. – Marlow znów zaciągnął się cygarem i śledził wzrokiem kółka dymu. – Chcę grać w otwarte karty, panie komisarzu. Moi ludzie też trafili do tej piwnicy. Jestem w posiadaniu podobnego zdjęcia.

– Pańscy ludzie szukają Kardakowa. Dlaczego? Przywłaszczył sobie kokainę?

– Niech mi pan powie, dlaczego szuka go policja.

– Ja też zagram w otwarte karty. Policja go nie szuka. *Ja* to robię.

– Dlaczego?

Rath poczuł niespodziany przypływ natchnienia.

– Złoto Sorokinów – rzucił.

Marlow wprawdzie nie stracił zimnej krwi, ale Rath czuł, że trafił w dziesiątkę. Trochę za długo trwało, nim gangster wypowiedział

kolejne zdanie. Dał znak palcem i Chińczyk ponownie napełnił szklanekę Ratha.

– Nie wydaje się panu, że za dużo pan na siebie bierze? Czy to nie jest sprawa o parę kalibrów za duża dla samotnego wojownika?

– Kto powiedział, że walczę w pojedynkę?

– Na pewno nie ma pan wsparcia aparatu policji. – zaśmiał się Marlow. – Może marzy się panu wcześniejsza emerytura? Nie byłby pan pierwszym gliną, który przeszedł na drugą stronę. A może macza w tym palce jeszcze paru skorumpowanych policjantów? Na przykład ten, który wyciągnął z kanału posłańca? Może ten mężczyzna wcale nie był martwy? Wycisnęliście z niego coś jeszcze i chcecie dobrać się teraz do wielkich pieniędzy? Ale uwaga! To za wysokie progi nawet dla całej zgrai policjantów.

Posłaniec! Rath wyostrzył słuch i próbował przy tym sprawiać wrażenie możliwie najbardziej znudzonego. Najwidoczniej Marlow mówił o Borysie.

– Czy wie pan, dlaczego Kardakow zniknął?

– Co ma pan na myśli, panie komisarzu? Pewnie dlatego, że chciał grać we własną grę.

– A posłaniec? Dlaczego musiał umrzeć?

– Panie komisarzu! Niech pan nie udaje głupszego niż jest! Co pan wie o złocie?

– Że jest w Berlinie.

Na twarzy Marlowa pojawił się wymuszony uśmiech.

– Niech pan nie popełnia tego błędu i nie uznaje mnie za głupca! Wyłóżmy kawę na ławę! Pan chce złota i ja też go chcę. Obaj coś wiemy. Jeśli połączymy nasze informacje i umiejętności, to może mamy szansę je znaleźć. A zatem, co jeszcze pan wie?

Rath wzruszył ramionami.

– Że podobno warte jest około osiemdziesięciu milionów.

Marlow głośno się roześmiał, ale nie brzmiał na rozbawionego.

– Musi mi pan powiedzieć coś więcej, niż sam już wiem.

– Z chęcią bym to zrobił, ale najwyraźniej wie pan tyle, że nie jestem w stanie.

Marlow zgasił cygaro. Wyglądał, jakby rozgniewał robaka.

– Może powinienem dać panu jeszcze trochę czasu, żeby się pan nad tym zastanowił. Kuen-Yao odprowadzi pana do wyjścia.

– Jak mogę się z panem skontaktować?

– Jeśli będzie chciał pan ze mną porozmawiać, niech pan przyjdzie do Venuskeller. Ale wyłącznie wtedy! Jeśli chce się pan zabawić, to niech pan poszuka innego miejsca. Sebald nie lubi, gdy do jego klubu przychodzą gliniarze biorący koks.

Chińczyk stał już za nim, w rękę trzymał płaszcz i kapelusz. Rath wstał z miejsca.

– Do zobaczenia, panie komisarzu – powiedział Marlow. – Proszę zrozumieć, że ze względów bezpieczeństwa Kuen-Yao odda panu broń dopiero na ulicy.

Rath pokiwał głową.

– Dziękuję za whisky – powiedział.

– Cała przyjemność po mojej stronie! Cieszę się, że mogłem pana poznać, panie komisarzu – odparł Marlow przyjaznym tonem, a mimo to po plecach Ratha przebiegł zimny dreszcz. – Jednak życzyłbym sobie z pańskiej strony więcej współpracy podczas naszego kolejnego spotkania.

Zabrzmiało to jak groźba – i tak chyba miało być.

Czasami jednak żałował, że nie ma auta. Reklamy świetlne na Plazie zostały już wygaszone, a postój taksówek przy Küstriner Platz wy-



glądał na tak opustoszały, jak sejf bankowy po odwiedzinach braci Sass, tych znanych włamywaczy. O tej porze nie kursowały też pociągi. Dobrze, że nie musiał iść jutro rano do biura. Służbę zaczynał dopiero wieczorem – wtedy, gdy mają rozpocząć akcję „Nocny jastrząb”. Postanowił, że nie doda Venuskeller na listę lokali. Nikt nie musiał wiedzieć, gdzie przebywał dzisiejszego wieczoru. Podczas policyjnej obławy tak czy owak nie poradziliby sobie z Marlowem, dopadliby jedynie tego figuranta Sebalda. I – co gorsza – Marlow dowiedziałby się, komu może zawdzięczać tę służbową wycieczkę panów w granatowych mundurach.

Następny postój taksówek znajdował się dopiero przy Schlesischer Bahnhof. Rathowi nie pozostało nic innego – ruszył w drogę, postawił kołnierzą płaszcz i zagrzebał dłonie głęboko w kieszeniach. Przenikliwy wiatr hulał po placu. Chyba zbierało się na burzę.

Starał się ułożyć elementy układanki w całość. Lana Nikoros alias hrabina Swietłana Sorokinowa opowiada kochankowi Aleksiejowi Kardakowowi o rodzinnym złocie. Postanawiają przesmuglować je do Berlina, nie zważając, czy to wykonalne przy tak niewiarygodnej ilości ładunku. Angażują w tym celu posłańca, Rosjanina o imieniu Borys. Dlaczego posłaniec? Czy to on miał dostarczyć złoto do Berlina? A może jedynie przekazać wiadomość? Tak czy siak posłaniec umiera po tym, jak w obcym mieście rozpoczyna poszukiwania Aleksieja Kardakowa. Wydaje się wściekły na niego. Dlaczego? Czyżby ten wystrychnął go na dudka? Grał we własną grę, jak wyraził się Marlow? W każdym razie Kardakow i hrabina znikają, ledwie umiera ich krajan. Może pozbawili Borysa zasłużonego zarobku? Pozbyli się wtajemniczonej osoby? A potem wzięli złoto i dali drapaka?

Nonsens, pomyślał. Żeby przewieźć taką ilość złota ze Związku Radzieckiego do Niemiec potrzeba więcej niż jednego pomocnika. I to zarówno w Rosji, jak i w Niemczech. Skąd Marlow wiedział o złocie? Przypadek? Może Kardakow się wygadał? A może umyślnie wtajemniczył króla podziemia? W końcu jakoś trzeba przecież zamienić całe to złoto na gotówkę, a takie rzeczy załatwia się wyłącznie dzięki znajomościom. Znajomościom, które miał Marlow. A w Rosji? Sorokinowie nadal mieli tam przyjaciół. O czym mówił ten oficer podczas wizyty u Brunona? O komunistycznych sekcjach, którzy zwali się Czerwoną Twierdzą. Czy Kardakow był jednym z nich? Dlaczego nie? Wiadomo o nim, że był gryziptiórkiem...

Jakiś dźwięk wyrwał go z zamyślenia. Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Dźwięk ucichł. Rozejrzał się dookoła. Latarnie rzucały tak nędzne światło, że ściany domów prawie całkowicie osnuwała ciemność. Nigdzie nie było widać żywej duszy. Padał deszcz, w mokrym bruku odbijało się liche światło. Po kilku krokach znów mu się wydało, że coś słyszy. Brzmiało to jak echo jego kroków. Nie musiał się zatrzymywać, by mieć pewność, że ktoś go śledził. Szedł za nim ktoś, kto nie chciał, żeby Rath go zauważył. Ta okolica nie należała do bezpiecznych, a już na pewno nie o tej godzinie. Zbadał ręką lewy bok. Mauzer nadal znajdował się w kaburze, Chińczyk oddał mu go razem z legitymacją i zdjęciami, wedle polecenia Marlowa. Na kolejnym skrzyżowaniu skręcił nagle w prawo, choć dworzec znajdował się już w zasięgu wzroku. Chciał mieć pewność. Echo nadal podążało za nim. Rath przyśpieszył kroku. Nagle zatrzymał się i odwrócił. Nadal nie było nikogo widać. Fasady domów osnuwał jednak tak głęboki mrok, że wystarczyło iść w miarę blisko murów, żeby pozostać niezauważonym. Rath doszedł do kolejnej przecznicy i raptownie odbił w bok. Pobiegł do najbliższej bramy i skrył się w niej.

Jego prześladowca również przyśpieszył kroku, ale zatrzymał się o ułamek sekundy za późno. Rath ponownie usłyszał echo kroków. Wsłuchiwał się w odgłosy nocy. Do jego uszu dobiegały dźwięki kropli deszczu spadających z rynien i parapetów na asfalt, a od czasu do czasu wydawało mu się, że słyszy stukanie podeszew o bruk. Było bardzo ciche, ale słyszalne. Prześladowca jeszcze nie odpuścił. Rath usunął się jeszcze dalej w głąb podwórza, nie spuszczać wzroku z bramy. Musi się schować, musi zaskoczyć swojego prześladowcę.

Rozejrzał się dookoła. Miejsce, do którego się zapędził, nie przypominało zwykłego dziedzińca. W przytłumionym świetle lamp oświetlających podwórze zauważył ogrodzenie budowlane, za nim najpewniej stawiano nowy budynek. Przed płotem stał barakowóz. Rath rzucił jeszcze jedno spojrzenie na bramę, w której nadal nie pojawiła się żadna sylwetka, następnie się odwrócił, zrobił kilka kroków, po czym skrył się w cieniu wozu. Miał stąd dobry widok na bramę. Znow zaczęło padać.

Nie musiał długo czekać, aż go zobaczył. Dostrzegł cień mężczyzny w nakryciu głowy i płaszczu. Nie miał na sobie kaszkietu, lecz najzwyczajniejszy kapelusz z szerokim rondem, najnowszy krzyk mody. Może to jeden z ludzi Marlowa? Czyżby doktor M. posłał za nim Benno albo innego równie przyjaźnie nastawionego typa?

Mężczyzna się zatrzymał. Najwyraźniej się zastanawiał, czy wejść przez bramę. Nagle ruszył, powoli i ostrożnie, tuż przy ścianie domu, ciągle rozglądając się dookoła i szukając czegoś wzrokiem. Rath rozpiął parę guzików płaszcza i marynarki oraz otworzył zapięcie przy kaburze. Czekał, aż mężczyzna wejdzie na podwórze, i odbezpieczył mauzera. Wyszedł z cienia wozu z wyciągniętą bronią.

– Czy to mnie pan szuka?

Nieznajomy mężczyzna się zatrzymał, niespodzianka się udała. Odwrócił głowę, jakby zastanawiał się, czy zdoła jeszcze uciec, ale zamiast tego zaczął podchodzić bliżej. W milczeniu.

– Stać! Nie ruszać się!

Rath wycelował pistolet w nieznajomego.

Mężczyzna był już ledwie parę kroków od niego. Nie był za wysoki. W każdym razie to nie Benno.

– Niech mi pan na spokojnie powie, dlaczego mnie śledzi...

Mężczyzna nie odpowiedział. Zamiast tego zrobił kolejny krok do przodu.

– Stać, powiedziałem!

Rath podniósł głos. Mężczyzna nadal milczał, ale przynajmniej się zatrzymał.

– Możemy też porozmawiać na prezydium, jeśli tu nie czuje się pan zbyt komfortowo – zakomunikował Rath. – Wtedy nie będzie musiał się pan martwić się tym, gdzie spędzi noc.

Spod cienia rzucanego przez rondo kapelusza nadal nie widać było oczu mężczyzny. Jednak wąskie usta drgnęły na dźwięk słowa „prezydium”. To tylko groźba, tak naprawdę Rath nie planował zabierać mężczyzny na Alexanderplatz.

Przez chwilę myślał sobie, że w zasadzie to on zastawił pułapkę na nieznajomego.

Usłyszał za sobą głośnie brzęknięcie, niewielką moką eksplozję.

Odruchowo odwrócił głowę. Nie zobaczył nikogo, jedynie na bruku pojawiła się jakaś biała sycząca kałuża – i błyszczące odłamki czerwono-brązowego szkła.

W tym samym momencie mężczyzna go zaatakował.

Przeczuwał to, zanim jeszcze agresor ruszył, ale było już za późno. Mocny chwyt zacisnął się na jego prawym przedramieniu

i szarpnął w bok, boleśnie wykręcając w dół lufę pistoletu. Rath stracił równowagę i upadł na ziemię. To wszystko działo się tak powoli, jakby czas stał się ślamazarnie płynącą, zamarzającą cieczą. Zdawało mu się, jakby od upadku na mokry bruk dzieliły go minuty.

Gdy się przewracał, strzelił. Odruchowo. Po prostu nacisnął spust. Nie celował. Nie wiedział nawet, co się przed chwilą wydarzyło.

Rozległ się ogłuszający huk.

Wraz ze strzałem rozbrzmiał metaliczny dźwięk, przypominający gong, a następnie świst rykoszetu.

Rath upadał niemal w nieskończoność i czuł rozluźniający się uścisk nieznanego mężczyzny. Jego prześladowca też runął na ziemię i padł na bruk niespełna metr od niego.

Rath szybko się podniósł, przygotowany na kolejny atak. W dłoni wciąż trzymał broń. Znów mógł wziąć na muszkę agresywnego natarcia. Jednak mężczyzna nie wstawał. Z głowy zsunął się mu kapelusz i odsłonił twarz, której Rath nie znał. Napastnik miał dość wąskie usta, krzywy nos, który wskazywał na wiele stoczonych bójek, szeroko otwarte oko. Tylko jedno. Z miejsca, w którym powinno znajdować się drugie, ziała ciemna dziura, błyszcząca od wilgoci. Wąska strużka krwi, która spływała po bladej twarzy, miała w tym przyćmionym świetle niemal czarny kolor.

Rath stał i trzymał się za prawe ucho, które bolało i w którym słyssał szumy. Dopiero teraz zrozumiał, co się wydarzyło. Przynajmniej próbował zrozumieć.

Czyżby to mieszanka alkoholu, kokainy i adrenaliny sprawiła, że cała ta scena wydała mu się nierealna? Niewątpliwie była ona jednak prawdziwa. Przerażająco prawdziwa. Tracił ciało nogą.

Wtedy zobaczył błyszczący kawałek metalu obok swojej stopy i niewiele brakowało, aby się roześmiał. Pokrywa studzienki ścieko-

wej! Najzwyklejsza na świecie pokrywa, przez którą deszczówka spływała z wybrukowanego podwórza, przyniosła napastnikowi zgubę. Jak w bilardzie: kąt odbicia jest równy kątowi padania.

Czuł się, jakby ktoś nagle stłukł kopniakiem szybę i ukazał mu rzeczywistość, która się za nią kryła. Uświadomił sobie, że stał obok ludzkich zwłok, obok człowieka, którego zabiła kula wystrzelona z jego pistoletu.

Kto uwierzy mu w tę historię? Tu leży ciało. A tymczasem pan komisarz kryminalny Gereon Rath, nafaszerowany kokainą i upojony alkoholem, twierdzi, że to wszystko stało się przez pomyłkę? Wiedział, że nie uda mu się nikomu sprzedać tej wersji zdarzeń. Już słyszał w głowie pytania prokuratora: „Proszę mi przypomnieć, dlaczego zażył pan kokainę, panie komisarzu? Ach tak, żeby dotrzeć do pana Marlowa. To doprawdy ciekawe. Czego pan od niego chciał? Czego w ogóle szukał pan o nocnej porze w tej osławionej dzielnicy przestępców?”.

Tym razem nie wyjdzie z tego obronną ręką, nawet przed sądem. Nie mówiąc już o prasie. Gliniarz, który na kokainowym rauszu śmiertelnie rani człowieka – przecież na taki nagłówek czekają w redakcjach dzienników przy Kochstrasse już od abdykacji cesarza.

Rozejrzał się dookoła. W żadnym z okien nie paliło się światło, ale ich walce musiał przyglądać się przynajmniej jeden człowiek. Rath przyjrzał się brązowym odłamkom szkła. Po bieli w kałuży nie pozostało już ani śladu, widział jedynie kilka pęcherzyków, które przemieszczały się po powierzchni cieczy. Poczuł znajomy zapach. Obok mokrych odłamków szkła leżała portmonetka z metalowym zamknięciem i porcelanowymi zatrzaskami. Jakiś mieszkający na górze podglądacz, który cierpi na bezsenność, ze strachu strącił z parapetu butelkę piwa.

Świadek!

A jeśli nawet! Tylko spokojnie! Dźwięki strzałów nie były w tej okolicy niczym nadzwyczajnym. Nikt nie narazi się na pytania znieadowolonych policjantów tylko dlatego, że był świadkiem strzelaniny. Wszystko to wmawiał sobie jak dziecko, które twierdzi, że nie wierzy w duchy, a i tak boi się ciemności. Na myśl, że ktoś może go obserwować z jednego z tych ciemnych okien, Rath odruchowo głębiej nasunął kapelusz na czoło.

Nagle odzyskał umiejętność trzeźwego myślenia, wiedział też dokładnie, co powinien zrobić. Z całkowitym spokojem schował broń z powrotem i przeszukał kieszenie zmarłego mężczyzny. Wzdrygnął się, gdy poczuł ukłucie w palec. Przypinka, którą mężczyzna trzymał w kieszeni płaszcza, była jedyną rzeczą, którą miał przy sobie: nie posiadał broni czy choćby portfela. Jedynie tę niewielką przypinkę w kształcie hełmu. Rath wrzucił ją do studzienki. Następnie zapiął guziki płaszcza nieboszczyka po samą szyję, nałożył mu kapelusz i zaczął ciągnąć za kołnierz.

Deszcz zaczął się wzmagać, gdy przytachał zaskakująco ciężkie zwłoki pod ogrodzenie w poszukiwaniu jakiejś dziury. Zawsze w płocie znajdzie jakąś dziurę, wiedział to, odkąd był dzieckiem. Wtedy bowiem do perfekcji opanowali z kolegami umiejętność wdzierania się na każdy plac budowy w Klettenbergu, żeby się tam bawić. Teraz również dość szybko udało mu się znaleźć poluzowaną sztachetę. Poruszył jeszcze sąsiednią deskę, by powiększyć dziurę na tyle, aby przeciągnąć przez nią ciało. Rozejrzał się po placu budowy. Prace nie były na zaawansowanym etapie, dopiero wylano fundamenty i cienką warstwę betonu. Rath wszedł do wykopu i sprawdził go kantówką. Jeszcze nie związał, pewnie dopiero dziś go wylano. Wciągnął zwłoki do wykopu i przyniósł z wozu łopatę. Musiał wyła-

mać zamek w drzwiach do wozu, ale przetarł go chusteczką. Suchość w gardle doprowadzała go do szaleństwa. Omal nie wziął też butelki piwa ze skrzynki, która stała przy ścianie tuż obok zardzewiałego roweru, ale zapanował nad sobą. Wolał już wystawić język i łapać nim krople deszczu, które głośno dudniły, upadając na chodnik.

Wykopał dziurę w świeżym betonie, włożył do niej męczyznę i zasypał zwłoki, zupełnie jakby był w transie. Resztkę cementu rozprowadził po powierzchni. Następnie odniósł łopatę z powrotem do barakowozu i wytarł trzonek chustką. Wytarł wszystko, czego dotknął, nawet deski wyrwane z ogrodzenia, gdy już przymocowywał je z powrotem na miejsce. Było po wszystkim.

Miał nadzieję, że do kolejnego ranka deszcz usunie krew z podwórza. Przyglądał się, jak woda miesza się z ciemną cieczą i zmywa ją do studzienki.

Rath spojrzał po sobie. Jego płaszcz błyszczał od deszczu, błota i betonu. Próbował zetrzeć brud, ale bez skutku, tylko jeszcze bardziej go rozsmarowywał. W tym stanie nie mógł się pokazać na oczy żadnemu taksówkarzowi. Raz jeszcze poszedł do barakowozu. Zamek i tak już wyłamał. Wyciągnął z niego rower i mu się przyjrzał. Z tylnego koła zeszło trochę powietrza, ale pozostało wystarczająco na jego potrzeby.

Raz jeszcze przesunął wzrokiem po ciemnych oknach wychodzących na podwórze. Nie miał pewności, czy naprawdę nikt mu się nie przyglądał. Miał jednak pewność, że w tych ciemnościach nikt i tak nie rozpoznałby jego twarzy skrytej w cieniu kapelusza. Nawet jeśli mieszkał tu ktoś, kto chętnie rozmawiał z policją.

Wyprowadził rower przed bramę. Na ulicy nadal nie było żywej duszy. Wziął rozbieg i wskoczył na jednośląd. Rower podskakiwał



na bruku. Jeśli jakiś kolega z policji nie zatrzyma go za jazdę bez świateł, to za pół godziny powinien dotrzeć do domu.

## Inspekcja A. 11 – 21 maja 1929

### 16

Deszcz nadal uderzał o dach samochodu. Bębnienie przerodziło się w szum, gdy jego drzwi się otworzyły i masywne ciało opadło na tylne siedzenie obite czarną skórą, bardziej dynamicznie, niż wskazywałaby na to jego waga. Liang musiał podać wsiadającemu gościowi pomocną dłoń. Drzwi zamknęły się solidnym trzaśnięciem i miały pozostać zamknięte tak długo, jak Johann Marlow będzie sobie tego życzył. Przez nieustannie zmieniające się wzory kropli deszczu na przedniej szybie Marlow widział ciemny płaszcz Lianga Kuen-Yao. Chińczyk stał na zewnątrz, całym sobą zniechęcając gościa doktora M. do jakiegokolwiek myśli o ucieczce.

Marlow w milczeniu przyglądał się swemu gościowi. Mężczyzna zarzucił na siebie prochowiec, na którym deszcz pozostawił ciemne ślady. Pod płaszczem miał na sobie jedynie piżamę. Jego zszarzałej twarzy przydałoby się golenie, po oczach widać było zbyt krótki sen. Wewnątrz samochodu unosił się zapach alkoholu, potu i deszczu. Pomimo zmęczenia, oczy mężczyzny przesuwwały się z przestraczem w tę i z powrotem. Próbował zatuszować strach w swoim głosie, przez co brzmiał nieco zbyt śmiało.

– Co to ma znaczyć? Dlaczego pański Chińczyk wyciąga mnie z łóżka w środku nocy? Jutro o szóstej muszę być na Alexanderplatz. Muszę się wyspać!

Tymczasem Marlow skupił swoją uwagę na cygarze grubości kciuka i ze stoickim spokojem obcinał jego końcówkę. Pozwolił wy-

brzmieć szczęknięciu obcinaczki, zanim odpowiedział na pytanie. Gość już zatem wiedział, do czego jeszcze nadawało się to narzędzie.

– Odwiedził mnie dziś jeden z Twoich kolegów i zastanawiam się, dlaczego nic o tym nie wiedziałem – powiedział, nie odwracając uwagi od cygara.

– Słucham? Nie mam pojęcia. To na pewno nic oficjalnego. Obława ma się odbyć dopiero jutro... – spojrzął na zegarek i poprawił się od razu – ...dziś wieczór.

– To żadna obława, tylko pojedynczy glina. Rath, Gereon Rath. Mówi Ci coś to nazwisko?

Mężczyzna zastanowił się, wykrzywiając usta. Odpowiedział jedynie wzruszeniem ramion.

– Na pewno nie pracuje w wydziale antynarkotykowym.

– Nie płacę Ci tylko po to, żebyś trzymał brygadę antynarkotykową z dala ode mnie. Mam nadzieję, że na Alexanderplatz masz dostęp także do innych informacji.

– Kto panu zatem zdradził, że obyczajówka planuje obławę? Przecież nie znam wszystkich policjantów z prezydium. To pewnie ktoś nowy.

– Na Alexanderplatz raczej nie ma za wielu nowych policjantów, którzy przywędrowali z Nadrenii. Nadstaw uważniej uszu!

– Z Nadrenii? – mężczyzna się zdumiał. – Może jednak coś słyssałem o tym facecie. Niech pan powtórzy jego nazwisko.

– Rath. Gereon Rath.

Policjant raz jeszcze wzruszył ramionami.

– Nie jestem pewien, ale może to ktoś z obyczajówki. Na siłę wepchnęli im nowego funkcjonariusza. Chyba z Düsseldorfu albo Kolonii. To jakiś dobry znajomy prezydenta policji.

Marlow pokiwał głową w zamyśleniu.

– Masz nazwisko. Spróbuj coś ustalić. Jutro chcę usłyszeć więcej.

Wystarczył delikatny ruch ręki, by Kuen-Yao otworzył drzwi. Przestało padać. Gość nadal siedział w samochodzie i niepewnie rozglądał się dookoła.

– Idź na zasłużony wypoczynek – powiedział Marlow, niemal przyjaźnie. – Porozmawiamy jutro wieczorem.

Ledwie zdążył wyjść na zewnątrz, Liang już zamknął drzwi. Nie odprowadził go z powrotem do domu, z którego wcześniej go zabrał. Od razu podszedł do drzwi od strony kierowcy, rzucił parasol na podłogę przed miejscem pasażera i usiadł za kierownicą. Na jego płaszczu nie było ani jednej kropli deszczu. Jakby w ogóle nie wychodził na zewnątrz.

– Do Petersa? – zapytał.

Marlow pokręcił głową.

– Odpuśćmy, Kuen-Yao. Wracajmy do domu.

Chińczyk uruchomił silnik, a nowiuteńki, czarny jak smoła, błyszczący standard 8 wjechał na jezdnię.

Ulice powoli zapełniały się rowerzystami, pierwsi robotnicy jechali do fabryk. Liang spokojnie i pewnie prowadził limuzynę przez budzące się miasto. Nocne burzowe chmury zniknęły równie szybko, jak się pojawiły. Jedynie na wschodniej części horyzontu przecinały poranne niebo, tworząc na nim czerwone pasy. Zapowiadał się piękny dzień. We wstecznym lusterku Marlow widział ciemne oczy Chińczyka. Były nieprzeniknione.

Bruno Wolter z łatwością wstawał rano z łóżka, nawet o szóstej. Jednak tego dnia wyglądał przez okno z zamyśleniem, i to nie wyłącznie dlatego, że wiedział, jak długi czeka go dzień. Był piękny poranek. W nocy pewnie padało, na asfalcie błyszcząco jeszcze parę ka-

łuź. Na gałęziach drzew przy Fregestrasse ćwierkały ptaki i robiły wszystko, by jak najdonośniej powitać słoneczny, wiosenny dzień. Jednak on ich nie słuchał. Zaspany, skrobał piankę do golenia z twarzy i rozmyślał. Wczorajsze rozmowy telefoniczne nie dawały mu spokoju nawet we śnie i aż do teraz rozbrzmiewały mu w głowie. Wydawało mu się, że nie ma powodów do zmartwień, w końcu wszystko starannie zaplanowali. Ale przecież nigdy nic nie wiadomo.

Przynajmniej miał pewność co od jednej rzeczy: niebawem pozbędzie się tego nowego komisarza. Wprawdzie przyzwyczał się już do niego, jednak ten nowy był nieco za ambitny jak na kogoś, kto nie miał pojęcia, co dzieje się w tym mieście. A i tak chciał postawić na swoim i przejść do wydziału zabójstw. Powodzenia, kolego! W lustrzanym odbiciu szeroko uśmiechnęła się do niego twarz ogolona do połowy.

– Bruno! – Z dołu dobiegało wołanie Emmi. – Bruno, kawa gotowa!

Po śniadaniu poczuł się już lepiej. Emmi odprowadziła go do drzwi z jego brązową aktówką w ręce i podała mu ją, gdy wyszedł na zewnątrz. Dał swojej żonie krótkiego, mechanicznego buziaka i poszedł do czarnego forda zaparkowanego pod samym domem. Kobieta machała do niego, kiedy ruszał.

Emmi była spełnieniem jego marzeń. Podziwiała go, troszczyła się o niego i nie zadawała pytań. Uważała za słuszne wszystko, co robił, i darzyła go całkowitym zaufaniem. Jeszcze nigdy jej nie zawiódł, a małżeństwem byli od przeszło czternastu lat. Poprosił ją o rękę, gdy wybuchła wojna i wezwano go do broni. Emilie von Bülow miała wówczas powodzenie, ale on prześcignął wszystkich konkurentów. Pierwszy urlop, który dostał na froncie, wykorzystali na to, by

się pobrać. Dobrze było mieć kogoś, do kogo można było pisać, będąc na polu bitwy. I to właśnie robił: pisywał do niej regularnie i szczegółowo. Ona również wysyłała do niego co najmniej jeden list w tygodniu. Gdy wojna rozpętała się na dobre i nie wypuszczano żołnierzy z okopów, u niej, w Berlinie, ich wspólne sprawy posuwały się do przodu. Powoli urządzała ich nowy dom, który kupili im jej rodzice. On tymczasem bronił ojczyzny i otrzymywał w zamian nędzny żołd, za który nigdy nie mogliby sobie na pozwolić na takie mieszkanie. Żołnierze nie walczyli dla pieniędzy, żaden z jego kompanów tak nawet nie myślał: walczyli za przyszłość Niemiec. Teść Brunona bardzo wspierał takie nastawienie.

Im dłużej trwała wojna, tym brudniejsza się stawała. Z czasem wielu żołnierzom zależało już tylko na tym, by wrócić do domu cało i zdrowo. Jemu nie, nadzieja na zwycięstwo towarzyszyła mu do samego końca, przecież ich armia stała w samym środku kraju wroga już od czterech lat. Jednak przyszłość Niemiec diabli wzięli, gdy czerwoni wypędzili cesarza z Berlina i podpisali akt kapitulacji. Stało się tak, choć on sam przez trzy lata wraz ze swoją jednostką nie ustąpił ani na milimetr. Utknęli pośrodku Francji, w samym sercu wrogiego kraju, nie poddali się ani razu i nagle wszystko trafił szlag. Kraj, za który walczyli, zniknął. Wprawdzie nadal nazywał się Rzesza Niemiecka, ale nie był już ich krajem.

Mimo to został w policji, w której służył jeszcze za panowania cesarza. W końcu u socjalistów też ktoś musiał dbać o prawo i porządek. Poza tym nigdy nie porzucił nadziei na to, że doczeka się Niemiec, za które walczył. Nadal chciał służyć swemu krajowi. Wciąż też utrzymywał kontakt z kolegami z wojska, którzy przeżyli wojnę.

Zaparkował swojego forda tuż przed kawiarnią Josty przy Kaiserallee i usiadł w słońcu na tarasie. Chwilę później kelner przyniósł

mu kawę, podczas gdy on przeglądał gazety. Wszystkie pisały o planie Younga, dotyczącym spłat reparacji niemieckich. Co za idiotyczna gadanina, te negocjacje w Genewie! Niecierpliwie szeleścił papierem, wciąż podnosił wzrok znad lektury i spoglądał na wejście na taras kawiarni oraz szeroki chodnik przed lokalem. Jego humor pogarszał się z każdą chwilą. Przecież nie będzie czekał wieczność!

Po trzech kwadransach oczekiwania i drugiej filiżance kawy miał już dość. Przecież zawsze mógł na nim polegać. Że też właśnie dziś nie przyszedł na spotkanie! Wolter miał naprawdę mnóstwo spraw na głowie! Zirytowany, położył na stoliku odliczoną kwotę. Schodził ze skąpanego w słońcu tarasu na Kaiserallee i próbował się uspokoić. Tylko spokojnie, myślał sobie. Wystraszająco długo działał w tym biznesie. Najlepiej będzie, jak przeczeka do wieczora, wtedy dowie się więcej. Do tego czasu i tak miał wystarczająco dużo pracy.

Po drugiej stronie ulicy zza kiosku wyłoniła się sylwetka jakiegoś mężczyzny. Gdy Wolter opadł na fotel swojego samochodu, tamten gestem wezwał taksówkę.

Rath spał od niedawna, gdy zadzwonił telefon i wyrwał go z jego ponurych snów z powrotem do rzeczywistości. Otworzył sklezione powieki i sięgnął po słuchawkę.

– Halo? – wymamrotał.

– Gereon?

Ten głos od razu postawił go na nogi.

To Charly!

Usiadł.

– Dzień... – Spojrzał na budzik. Wpół do jedenastej. – Dzień dobry.

– Dzień dobry, śpiochu! – Miała radosny głos. – Pomyślałam, że skoro nie zobaczymy się dziś w Zamku, to przynajmniej powinniśmy porozmawiać przez telefon.

– Tak – odparł zdawkowo. Jego myśli zaplątały się w bezładnych koszmarach zbyt krótkiej nocy, kilka fragmentów nadal wydawało się aż nadto realnych. Telefon od Charly wyrwał go z głębokiego snu, w który dopiero co zapadł. Kiedy próbował uporządkować myśli, nagle uzmysłowił sobie, że jednooki mężczyzna, którego widział w swoich majakach, istniał naprawdę. Wydarzenia zeszłej nocy dogoniły go, jak swego pana goni porzucony pies – niekochany, ale przywiązany. W jego głowie zaczął szumieć projektor wyświetlający obrazy prześladowające go nawet we śnie: atak nieznanego mężczyzny, strzał, krew wypływająca z pustego oczodołu, ciało, które



zapada się w betonie. Bezgłośnie. Obrazy bez dźwięku. Za to boleśnie wyraźne.

– Brzmisz, jakbym Cię obudziła.

Głos w słuchawce zatrzymał projekcję niemego filmu. Rath czuł, jakby go przyłapano na gorącym uczynku. Jakby projektor wyświetlał film również dla Charly, jakby mogła zajrzeć w najodleglejsze zakątki jego duszy i dostrzec jej ciemną stronę. Nie opowiadał jej jeszcze o tym, co wydarzyło się w Kolonii. Jak więc miał powiedzieć o tym, co stało się zeszłej nocy? Przesunął ręką w powietrzu, jak gdyby odganiał takie myśli niczym natrętną muchę. Kiedyś jej opowie o wszystkich głupstwach, których narobił. Ale nie teraz.

– Faktycznie, jeszcze leżę w łóżku – powiedział. Wielkie nieba, ależ fatalnie się czuł! Czy ona musiała zadzwonić?

– Mam nadzieję, że sam.

– Wiesz przecież, że pozbywam się kobiet z domu skoro świt.

Przynajmniej się zaśmiała. Usłyszał dźwięk przypominający klakson samochodu. Jasne, przecież w życiu nie zadzwoniłaby do niego z biura, mając obok tyłu nadstawiających uszu gliniarzy. Pewnie skorzystała z publicznego aparatu gdzieś na Alexanderplatz. Ściszyła głos.

– Szkoda, że nie musiałeś się dziś rano pozbyć *mnie* – wyszeptała.

Ach, ten jej głos! Tęsknił za Charly bardziej, niż chciał przyznać sam przed sobą. Bardziej, niż potrafił to sobie w tej chwili uzmysłowić. Jednak musiał skupić się na innych rzeczach.

– Może i lepiej – powiedział, brzmiąc przy tym oschlej niż chciał.

– Musiałem sporo odespać.

– Wczoraj rano nie sprawiałeś wrażenia, jakbyś potrzebował dużo snu.

Jej aluzje doprowadzały go do szaleństwa. Dlaczego nie mogła sobie odpuścić?

– No cóż, czasami niezły ze mnie pozorant.

– Dzisiaj najwyraźniej nie. Brzmisz raczej jak ktoś, kto nie chce, żeby mu przeszkadzano.

– Bzdura – zaprotestował, choć wiedział, że kobieta ma rację. – Jestem tylko trochę zmęczony. W ostatnim czasie mam dużo spraw na głowie.

– Wiem – odpowiedziała – wczoraj miałeś naradę, dziś obławę. Ja też mam dużo pracy. Mimo to chciałabym być teraz przy Tobie.

– Ja przy Tobie też – rzucił w odpowiedzi, choć wiedział, że to nieprawda. Choć pragnął jej bliskości, to teraz nie potrafił z nią być. Oczywiście, z chęcią wziąłby ją w objęcia, poczuł jej zapach, dotyk jej ciała. Byle tylko w innym uniwersum, w świecie, w którym zajścia ostatniej nocy w ogóle się nie wydarzyły. Nakłamał jej, że miał wczoraj naradę, a tak naprawdę spotkał się z przestępcą, zabił człowieka i pogrzebał jego zwłoki. Nieszkodliwe kłamstwo z konieczności nabrało nagle niespodziewanego ciężaru. Jak miał teraz spojrzeć Charly w oczy?

– Ty przy mnie? – zaśmiała się. – To nie jest teraz najlepszy moment. Stoję w budce telefonicznej. Byłoby nam trochę ciasno. I zaraz musiałabym wracać do Zamku. Ale może Böhm wypuści nas dziś na tyle wcześnie, że będziemy mogli się jeszcze zobaczyć, zanim zabierzecie się za swoją akcję. Kiedy zaczynacie?

– Dziś po południu. Musimy jeszcze przygotować kilka rzeczy.

– Wydaje mi się, że wyjdę około drugiej. Może wypijemy kawę w Letzte Instanz?

Właściwie nie był to taki zły pomysł. Kawiarnia Letzte Instanz – czyli „ostatnia instancja” – przy Klosterstrasse znajdowała się w po-

blizu prezydium, lecz pomimo sugestywnej nazwy policjanci rzadko do niej zaglądali. Rath jednak postanowił zbyć Charly. Miał tylko nadzieję, że nie zabrzmiał tak nieprzyjemnie, jak się właśnie czuł.

– Obawiam się, że nie dam rady – powiedział. – Mam jeszcze mnóstwo rzeczy do załatwienia. – Musiał na przykład zatrzeć ślady, spalić rzeczy ubrudzone betonem i krwią, a potem kupić nowy garnitur i najlepiej jeszcze parę butów. – Poza tym potrzebuję jeszcze trochę snu.

– Snu? Odeśpisz na koniec miesiąca!

Zaśmiał się sztucznie. Przejrzała go.

– Co się z Tobą dzieje? Coś jest nie tak?

– A co ma się dziać?

– Czuję się jak idiotka. Może w ogóle nie powinnam była dzwonić?

– Ależ skąd! – Wiedział, że nie zabrzmiało to tak, jak powinno. – Jestem po prostu trochę zmęczony, to wszystko.

– No cóż, w najbliższych dniach będziesz miał wystarczająco dużo okazji, żeby się wyspać. Ja na pewno nie będę Ci przeszkadzać, jeśli tego nie chcesz. Masz mój numer. Ten służbowy i ten prywatny.

Prawa ręka, w której trzymał słuchawkę, opadła jak worek z piaskiem służący do wypróbowania szubienicy przed egzekucją. Trzymając w dłoni słuchawkę, z której dobiegały krótkie, przerywane dźwięki, błędził gdzieś myślami. Za oknem świeciło słońce i przepędzało resztki nocnej ulewy. Czuł się podle. Zabolał go dźwięk słuchawki telefonu ciężko opadającej na widełki, a jednocześnie poczuł ulgę. Nie zniósłby ani jednej sekundy rozmowy dłużej.

W jego głowie plątało się zdecydowanie za wiele myśli. Musiał zaprowadzić porządek w tym chaosie, uświadomić sobie, co się wydarzyło, co zrobił i co jeszcze pozostało do zrobienia.

Nikt go nie widział, kiedy w środku nocy w nawałnicy wracał rowerem z powrotem do Charlottenburga. Rower wrzucił do kanału Landwehr przy Lützowufer i resztę drogi pokonał pieszo. Gdy stanął wreszcie przed drzwiami domu przy Nürnberger Strasse, ptaki zaczynały już świergotać. Wciąż zachowywał się tak, jakby ktoś go nakreślił, mechanicznie, nie zastanawiał się za bardzo, co robi. A to dlatego, że wiedział, co należy zrobić. Najpierw musiał jak najszybciej zdjąć ubrania. Płaszcz i garnitur były zniszczone, plamy betonu, brudu i krwi – zdradzieckie. W błocie na placu budowy pozostawił też pewnie dziesiątki śladów swoich brązowych butów z cielecej skóry. Szkoda było mu pięknych pantofli, ale ich też musiał się pozbyć. Wszystko musiało zniknąć. Postanowił zająć się tym jutro. Zanim zapadł w krótki sen, zapakował wszystko do mniejszej z dwóch walizek, z którymi dwa miesiące wcześniej przyjechał do Berlina. Wsunął ją z powrotem pod łóżko.

Wstał i przyjrzał się swojemu odbiciu w niewielkim lustrze na toalecie. Wyglądał całkiem znośnie, jeśli pominąć jednodniowy zarost i cienie pod oczami. Kąpiel dobrze by mu zrobiła. Narzucił na siebie szlafrok i poszedł do jadalni. Stół uprzątnięto, jedynie na jego miejscu nadal stało osamotnione nakrycie. Kawa w dzbanku była już zimna. Nalał napoju do filiżanki i wypił duszkiem. Nie musiała mu smakować, tylko zadziałać. Nie czuł głodu, nawet nie tknął koszyka z pieczywem. Zapukał do drzwi prowadzących do pokoi gospodyni. Nikt się nie odezwał. Wyszła z domu czy tylko się obraziła?

– Elisabeth, idę wziąć kąpiel – na wszelki wypadek zawołał przez drzwi. Wolał, żeby Behnke nie wpadła teraz na pomysł posprzątania łazienki lokatorów.

Nie podejrzewał, że mogłoby jej przyjść do głowy coś głupiego, niemniej jednak, gdy już zaszył się w łazience z ręcznikiem i czysty-

mi ubraniami, zamknął drzwi na klucz. Otworzył drzwiczki łazienkowego piecyka, zapalił kawałek gazety i dołożył brykietu. Rozbierał się, podczas gdy piecyk powoli się nagrzewał. Potem rozwinął ręcznik, a jego brudne rzeczy spadły na kafelki. Wyciągnął nożyczki kosmetyczne i pociął w paski wilgotny materiał przesiąknięty zapachem deszczu. Najpierw płaszcz, potem garnitur. Kolejne strzępki wędrowały do pieca, po czym znikwały w płomieniach.

Niedługo później siedział już w wannie pełnej ciepłej wody i pograżał się w myślach. Nie do końca jeszcze wiedział, jak pozbędzie się butów, ale pewnie najlepiej będzie, jeśli wrzuci je do kanału, podobnie jak rower. Oczywiście w innym miejscu, kilka kilometrów dalej. I tak musiał dziś jechać na Kreuzberg, a dom przy Luisenufer znajdował się tuż przy Urbanufer. Chciał obejrzeć mieszkanie hrabiny Swietłany Sorokinowej, zanim Inspekcja A znów zaprzęgnie go do pracy.

Musiał rozwikłać tę przekłętą sprawę. Teraz to już na pewno! Najwyraźniej nadepnął komuś na odcisk tym swoim węszeniem. To, że nasłali na niego oprycha, tylko potwierdziło, że był na dobrym tropie. Marlow maczał palce w tej sprawie, pewnie kazał też go śledzić temu facetowi, który teraz leżał teraz w betonie. Doktor M. musiał mieć jakiś związek ze śmiercią Borysa – i Gereon Rath dowie się wszystkiego. Z całą pewnością Marlow wiedział o złocie Sorokinów: Aleksiej Kardakow pracował dla niego i przyjaźnił się z hrabiną Sorokinową. Do tego ta parka zniknęła, a trzeci Rosjanin był martwy.

Gdy wyszedł ze stygnącej kąpieli, czuł się już lepiej. Powoli wracał mu zapał do pracy. Zanim opuścił łazienkę, zajrzał jeszcze do piecyka. Nie widział w nim resztek materiału, wszystko zmieniło się w popiół. Nie miał już swojego ulubionego garnituru. Teraz musiał

się jeszcze pozbyć butów i żywić nadzieję, że pracownicy budowy w Stralauer Viertel robią szybkie postępy.

Będzie pan teraz przychodził co sobotę? Bo wie pan, że mojego Hermanna nie ma wtedy w domu, czy jak?

Od razu go rozpoznała. Na klatce schodowej pachniało środkami czystości, tak jak przed tygodniem. Znow przeszkodził jej w porządkach. Na schodach stało jeszcze wiadro.

– Muszę zadać pani jeszcze parę pytań, pani Schöffner. – Tym razem Rath zrezygnował z pokazywania legitymacji służbowej. Wpuściła go i tak. Nie usiadł w fotelu, jak poprzednio, wolał stać. Demonstracyjnie machała ścierką do kurzu po półkach regału.

– Tym razem szukam kobiety...

– Ja jestem już zajęta!

– ...samotnej kobiety, która mieszka w tym domu. – Rath nie dał się zbić z tropu jej uszczypliwym żartom. – Kobiety, która jakiś czas temu wyjechała.

– Dlaczego nie powiedział mi pan tego w zeszłym tygodniu? Zamiast tego zamecza mnie pan pytaniami o jakiegoś Rosjanina! Pewnie ma pan na myśli Steinrück. Ma się za taką wytworną damę, a stać ją tylko na małą izbę na poddaszu. Ale Rosjanką to ona nie jest, wiedziałabym to.

Rath postanowił, że nie będzie zdawał się na to, co żona stróża wie o mieszkańcach. Nawet jej jeszcze nie powiedział, że szuka Rosjanki, nie powinno jej to nawet interesować. Poprosił, żeby kobieta otworzyła mu tamto mieszkanie. Pani Schöffner wyciągnęła klucz z komórki stojącej na podwórzu i, teatralnie sapiąc, wdrapała się po schodach na górę. Ingeborg Steinrück mieszkała na samej górze

w pierwszej oficynie. Ciekawska żona stróża stała za Rathem, gdy ten włączał światło w ślepy korytarzu.

– Przepraszam, że przeszkodziłem w sprzątanii – powiedział i odwrócił się do tęgiej kobiety. – Ale może już pani wracać do swoich porządków.

Spojrzała na niego tępo.

– Jak skończę, to odniosę pani klucz – dodał Rath. – Czy mam go po prostu powiesić w komórce?

W jej oczach przez chwilę zabłysła nieufność, Rathowi wydawało się, że widzi też zawiedzioną ciekawość. Po chwili jednak odwróciła się bez słowa i zeszła schodami na dół. Pęk kluczy zostawiła w zamku. Miała przynajmniej na tyle dużo szacunku do władzy, że nie prosiła o nakaz rewizji. Rath wszedł do środka.

W mieszkaniu panował większy porządek, niż się tego spodziewał. Pewnie to zasługa Ilji Treczkowa. Nawet kwiaty stojące pod niewielkimi oknami dachowymi – wyłącznym źródłem naturalnego światła – wyglądały na podlane. Mieszkanie składało się z jednego pokoju, w którym stały łóżko, szafa i stolik z krzesłem, małej kuchni i jeszcze mniejszej łazienki. Nie wyglądało jak rezydencja hrabiny, której rodzina posiadała niesamowicie duży majątek. Odrobinę luksusu stanowiła jedynie elektryczna suszarka do włosów, leżąca pod lustrem w łazience wysprzątanej na błysk.

Wzrok Ratha wędrował po pokoju. Szukał jakiegoś punktu zaczepienia, czegoś, co zasugerowałoby mu, w jakim kierunku ma poprowadzić śledztwo. Na ścianie nad łóżkiem wisiała półka z książkami. Wszystkie po niemiecku. Nie było wśród nich ani jednego rosyjskiego tytułu czy choćby powieści jakiegoś rosyjskiego autora. Rath kartkował książki. Nie znalazł niczego szczególnego, żadnych karteczek, nic. Ta kobieta musiała się naprawdę natrudzić, żeby ukryć

swoje rosyjskie i arystokratyczne korzenie. Kosz stojący pod stołem był pusty. Jeśli rzeczywiście uciekła, to z pewnością uważała, by nie pozostawić za sobą żadnych śladów. A jeśli coś pominęła, to Treczkow z pewnością dawno już to znalazł. Mieszkanie wyglądało tak, jakby ktoś je nawet pozamiatał.

Rath nie znalazł choćby jednego zdjęcia ani na ścianach, ani na stoliku nocnym, ani w szufladach. Żadnych plakatów albo czegoś, co wskazywałoby na jej zawód piosenkarki. Wyciągnął z kieszeni repertuar Delphi Palast i spojrzął na jej twarz. Piękna z niej kobieta. Dlaczego zniknęła?

Istniały trzy możliwości. Albo uciekała na złamanie karku, albo została porwana, albo ktoś ją zamordował. Czy uciekli razem z Kardakowem? Ludzie Stalina wywieźli ją do Moskwy? A może Kardakow miał na sumieniu zarówno ją, jak i Borysa, ponieważ chciał przywłaszczyć sobie złoto, a oni – posłaniec i właścicielka – stali mu na drodze? Rath za mało wiedział o poprzednim lokatorze Behnke, żeby móc ocenić, czy byłby on zdolny do czegoś takiego. Praca w policji nauczyła go, że ludzie są w stanie zrobić więcej okropnych rzeczy, niż można by się po nich spodziewać.

W szafie wisiało mnóstwo ubrań. Prosta, ale gustowna garderoba. Rath zdjął z wieszaka sukienkę w jesiennych kolorach i się jej przyjrzał. Hrabina musiała być drobną osobką. Przegrzebał całą szafę. Wisiał w niej jeszcze zimowy płaszcz – czyżby ulotniła się dopiero po fali upałów? A może była zmuszona go zostawić? Palto musiało być starsze, niż wyglądało, na podszewce znajdowało się rozdarcie. Nie, to nie rozdarcie, lecz staranne rozprucie. Rath dokładniej przyjrzał się temu miejscu. Wyglądało tak, jakby ktoś chciał wyciągnąć coś spod podszewki. I najwyraźniej to się temu komuś udało. Rath przeszukał cały płaszcz i niczego nie znalazł. Potem wziął pod lupę



pokój. Nic, nieskazitelnie czysto. Wiedział już, że musi złożyć kolejną wizytę Treczkowowi.

Chwilę później znów stanął naprzeciwko pani Schäffner. Kobieta zdążyła się już wdrapać z wiadrem na górę i umyć schody oficyny. Spojrzała na niego, twarz miała czerwoną i zlaną potem.

– Pani już tutaj? – zdziwił się Rath. – Czy wcześniej nie sprzątała pani schodów we frontowej części budynku?

Wymownie łąpała powietrze. Jej tęgie ramiona podrygiwały, gdy głośno wyzymała ścierkę.

– Myśli pan, że na frontowym budynku moja praca się kończy? Ma pan tupet!

Udał, że nie usłyszał w jej głosie wyrzutu sugerującego, że cały świat był winien tego, że Margarete Schäffner musiała sprzątać schody – a zwłaszcza berlińska policja z komisarzem kryminalnym Gereonem Rathem na czele.

– Tupet to warunek konieczny przy ubieganiu się o pracę w pruskiej policji – odparł i zabrzączał pękiem kluczy.

– Gdzie mam je teraz niby schować?

– Niech sobie pani zrobi przerwę i zanieś je z powrotem. Chciałbym zadać pani jeszcze parę pytań.

– Kolejne pytania? – Wrzuciła szmatę z powrotem do wiadra i wytarła ręce o fartuch. – Niech pan powie, nie chciałby pan wykupić u mnie jakiegoś abonamentu? Może wyszłoby to pana taniej?

Głupia, ale trafna uwaga. Zignorował jej ton. W końcu kobieta wstała i zeszła z nim na dół.

– Czy wie pani, kiedy pani Steinrück wyjechała? – zapytał, gdy schodzili.

– A bo ja wiem! Może dwa tygodnie temu? Może i wcześniej. Ona wciąż wyjeżdżała.

– Czy ktoś w tym domu zna ją lepiej?

– Steinrück? Żarty pan sobie robi! Ona to przecież uważa się za kogoś lepszego, nie zadaje się z takimi jak my. Rzadko się ją widywało, zawsze długo spała i wychodziła z domu dopiero wieczorem.

– Jak ten mężczyzna?

– Kto?

Rath wskazał na drzwi mieszkania, obok którego właśnie przechodzili.

– Pan Müller – powiedział – on przecież też pracuje w nocy.

Przytrzymał jej drzwi, a ona precyzyjnie przycisnęła swoje ciało przez framugę.

– Pan Müller ma przynajmniej powód. Chodzi do pracy.

– Pani Steinrück nie? Jest przecież piosenkarką, zgadza się?

– Tak mówiła, ale rzadko kiedy było słyhać, jak śpiewa. Jeśli chce pan wiedzieć, to kobieta ma też inne możliwości, żeby nocami zarabiać pieniądze.

– Ktoś ją czasami odwiedzał?

– Czasami? Nieustannie! I to wyłącznie mężczyźni!

– A ten Rosjanin, którego zdjęcie pokazałem pani w zeszłym tygodniu, czy on też tu bywał?

– A skąd mam to wiedzieć? Było już ciemno, kiedy przychodzili Ci faceci.

Przeszli do frontowego budynku. Kobieta otworzyła mieszkanie, weszła do środka i zdziwiła się, że Rath został na zewnątrz.

– Co jest?

– A co ma być?

– Nie wchodzi pan do środka?

– Dziękuję za zaproszenie, ale zadałem już wszystkie pytania. Do zobaczenia. – Po tych słowach uchylił kapelusza, odwrócił się i wy-

szedł na zewnątrz. Choć jej nie widział, to był sobie w stanie wyobrazić wyraz jej twarzy. Nie minęła sekunda, a kobieta odzyskała mowę.

– I po to ganiam tak po całym podwórzu? Przecież mógł mnie pan o to zapytać na klatce schodowej! To chyba...

Nie usłyszał, co jeszcze powiedziała po tym, jak zatrzęsnęły się za nim ciężkie drzwi wejściowe. Rath nawet nie próbował powstrzymać szerokiego uśmiechu, gdy w drodze na dworzec przechodził obok wielkich witryn zakładu mleczarskiego.

Gdy dotarł do Zamku, było parę minut po czwartej. Miał nadzieję, że nie natknie się na Charly. Powinna już wyjść z prezydium już jakiś czas temu. Mógł w zasadzie odpuścić sobie wizytę u Ilji Treczkowa: i tak nie zastał trębacza w domu i wrócił z Schöneberga, nic nie załatwiwszy. Przynajmniej udało mu się nabyć nowy garnitur w Tietz przy Alexanderplatz – brązowy zestaw z szewiotu za sześćdziesiąt osiem marek. Typowy garnitur dla policjanta, nie za drogi, nie byłoby go szkoda, gdyby ubrudził się w czasie służby. Albo w czasie wolnym, przy zagrzebywaniu zwłok. Z kolei za nową parę butów zapłacił prawie dwadzieścia marek. Wczorajsza wycieczka drogo go kosztowała, a musiał sobie jeszcze sprawić nowy płaszcz. W swoim starym prochowcu wyglądał jak tajniak z policji politycznej.

Rath położył papierowe torby z zakupami na biurku. Brunona i nowicjusza jeszcze nie było, więc postanowił od razu ubrać się w nowe rzeczy. Wpuszczał właśnie koszulę w nowe spodnie, kiedy zadzwonił telefon stojący na jego biurku.

– Rath, policja kryminalna.

– Z tej strony również policja kryminalna.

W ten sposób witała się tylko jedna osoba. Nadinspektor policji kryminalnej Engelbert Rath. Wspaniale! Ostatnią rzeczą, której teraz potrzebował, były życzliwe rady ojca.

– Ojej, co za niespodzianka – Gereon wyburczał do telefonu. – Skąd wiedziałeś, że jestem jeszcze w biurze? – przycisnął słuchawkę telefonu ramieniem i ubierał się dalej, słuchając ojca.

– Jestem funkcjonariuszem kryminalnym, mój chłopcze – powiedział Engelbert Rath i wydał z siebie krótkie głośne parsknięcie. Nawet przez telefon jego ojciec brzmiał jak ktoś, kto podczas rozmowy kładzie człowiekowi rękę na ramieniu i bierze do ust cygaro. – Żarty na bok! Twoja gospodyni powiedziała mi, że pracujesz dziś po południu. I dobrze! Zawsze należy okazywać zaangażowanie!

Elisabeth Behnke odebrała jego telefon! Czego szukała w jego pokoju? Co za ciekawska krowa! Dobrze, że dziś rano zabrał mniejszą walizkę i pozbył się jej zawartości.

– A Ty? Jesteś jeszcze przy Krebsgasse, zgadza się?

– Dobrze kombinujesz, mój chłopcze!

– Możesz to nazwać instynktem kryminalistycznym – powiedział, zapinając pasek. – Powinieneś wcześniej puszczać do domu swoją sekretarkę. W domu nie słychać stukania maszyn do pisania, dobiegającego z sąsiedniego pomieszczenia. Co tam u mamy?

– To co zwykle, uskarża się na ból kolan. Ale poza tym wszystko u niej w porządku. Prosiła, żeby Cię pozdrowić. – Engelbert Rath przybrał życzliwy ojcowski ton głosu. – Zadzwoń do niej kiedyś – dodał. – Jest bardzo ciekawa, jak Ci się powodzi w Berlinie.

– Czy jest też ciekawa, jak powodzi się jej synowi w Nowym Jorku?

– Co ma znaczyć ta uwaga?

– Skoro chce wiedzieć, co u mnie, to powinna zadzwonić i zapytać.

– Wiesz przecież, jaka jest. Nie chce się narzucać. Ale bardzo się ucieszy, jeśli Ty zadzwonisz.

– Wyjechałem dopiero dwa miesiące temu.

– Chłopcze, to tylko prośba.

– Już dobrze. Zadzwonię do niej na dniach.

– No, widzisz! A co nowego u ciebie?

Pogrzebałem wczoraj człowieka, pomyślał Gereon, ale poza tym wszystko po staremu.

– Miałem dużo spraw na głowie. Dziś w nocy przeprowadzamy dużą akcję...

– Obława? Karl mi o niej opowiadał.

A więc staruszek znów rozmawiał z Napohyblem przez telefon! Tyle dobrego, że szefostwo dostrzegało pracę Inspekcji A.

– Dobrze sobie radzisz, mój chłopcze – ciągnął ojciec. – Prezydent policji Cię ceni.

– Mam nadzieję, że nie tylko z powodu mojego nazwiska.

– Nie bądź taki drażliwy!

– To trochę osobliwe, że mój ojciec jest na Ty z moim przełożonym.

– To dla Ciebie nic nowego.

Owszem. Gereon znał to aż za dobrze. W prezydium policji w Kolonii Engelbert Rath był nie tylko wysoko postawionym funkcjonariuszem policji, lecz także żywą legendą. Kimś, z kim w zasadzie wszyscy ważni policjanci pracujący przy Krebsgasse są na Ty, i jest do dla nich powód do dumy. Gereon postrzegał przeniesienie do Berlina jako szansę, nareszcie nie musiał pracować w cieniu ojca. Ale ten cień sięgał naprawdę daleko.

- A co takiego mówił stary Napohybel?
- Daj spokój, wiesz przecież, że nie lubię tego przezwiska! Oczywiście, że wiedział. Właśnie dlatego go użył.
- Już dobrze, tylko mi się wymyśliło.
- Słyszałem, że zdążyłeś się zadomowić w policji obyczajowej.
- Kwestia perspektywy. To nadal nie jest mój ulubiony wydział, nawet jeśli dziś wieczorem dla odmiany będzie się dużo działo.
- Dzięki Twojej pracy, mój chłopcze! Wierz mi, na górze też wiedzą, że to Ty dokonałeś decydującego przełomu! Może niebawem znów będziesz mógł pracować w ciekawym referacie. Karl mówił, że niedługo przydzielą Cię do wydziału zabójstw.
- To tutaj normalne. Nic szczególnego, na każdego przychodzi kolej, żeby tam pomóc. A po czterech tygodniach każą wracać do szeregu.
- Być może. Ale Karl poznał Cię jeszcze w Kolonii, wie, że obyczajówka to nie miejsce dla Ciebie. W Inspekcji A zwolni się niebawem jedno stanowisko. Chcą, żeby zajął je ktoś ze stopniem komisarza.
- Aha. – Przeczynał, co zaraz nastąpi.
- Karl z chęcią zatrudniłby na to stanowisko Ciebie. W rozmowie z Gennatem oczywiście nie użyje tego argumentu i nie będzie mówił o Twoich referencjach z Kolonii, żeby dawne historie znów nie wyszły na wierzch. Ale chce dać Ci szansę, żebyś pokazał swój talent.
- Co to ma znaczyć? – Słyszał, jak ton jego głosu staje się agresywniejszy. Czy ojciec nie może się po prostu nie wtrącać się do jego życia?
- Nie złość się tylko. Wiesz, że prezydent policji przywiązuje ogromną wagę do tego, by każdego pracownika przydzielano według jego szczególnych kompetencji. Karl już rozmawiał z kierownikiem wydziału zabójstw o tym, żeby w miarę możliwości powierzo-

no Ci tam odpowiedzialne zadanie w którejś z komisji. A jeśli spro-  
stasz zadaniu – co do tego nikt nie ma przecież wątpliwości – to bę-  
dziesz miał ogromne szanse na wolną posadę. Czy to nie jest dobra  
wiadomość?

Jak w transie wpatrywał się w plan miasta wiszący na jednej ze  
ścian. Kolorowymi chorągiewkami zaznaczono na nim najbardziej  
grzeszne miejsca w Berlinie. Staruszek świetnie to zaaranżował. Oto  
ona, wielka szansa komisarza Gereona Ratha! Zörgiebel chciał go  
wciągnąć do Inspekcji A! Wystarczyła drobna zachęta Engelberta  
Ratha.

– Do tej pory nikt mi nie powiedział, że w ogóle będę w wydziale  
zabójstw – odparł. – Nie mówiąc już o tych świetnych wynikach,  
które mam tam mieć. – Lichy był ten jego protest. Złościł się sam na  
siebie, nie tylko za tę odpowiedź. Zawsze kiedy rozmawiał z ojcem,  
czuł się jak mały chłopiec.

Co takiego udało mu się osiągnąć w ciągu tygodnia? Przestraszyć  
króla świata przestępczego, ściągnąć na siebie złość rosyjskiej kolo-  
nii w Berlinie i pewnej nocy po kryjomu pozbyć się zwłok. Gratula-  
cje! Świetny bilans! Gdyby ojciec zadzwonił dzień wcześniej, to żad-  
na z tych rzeczy by się nie wydarzyła. Nie byłoby strzału ani mar-  
twego człowieka. Nadal pełniłby służbę w Inspekcji E i ze spokojem  
oczekiwał na przeniesienie do Inspekcji A. Gdyby babcia miała wą-  
sy...

Z zamyślenia wyrwał go zniecierpliwiony głos ojca.

– Nie mam racji? – raz jeszcze zachrobotąło ze słuchawki. Nie  
miał pojęcia, do czego odnosiły się te słowa.

– Słucham?

– Czy Ty w ogóle mnie słuchasz?

– Coś przerwało na linii.

– Powiedziałem, że nie masz jeszcze żadnych oficjalnych informacji na ten temat. Ale sądzę, że lepiej, żebyś wiedział, nie mam racji? Znasz przecież moją dewizę: Wiedza to...

– ...to potęga.

Stare hasło wyborcze. Rathowi zawsze wydawało się, że jego ojcu lepiej byłoby w policji politycznej.



Choć słońce zniknęło za domami już wiele godzin temu, nad ulicami nadal unosiło się przyjemne, letnie ciepło. Z kinoteatru przy Nollendorfplatz wylewała się właśnie widowia ostatniego seansu, gdy dwa samochody ciężarowe skręciły za rogiem i popędziły w Motzstrasse. Widzowie spoglądali za autami, które z piskiem opon zatrzymały się parę metrów za kościołem amerykańskim. Klapy ładunkowe otworzyły się niemal jednocześnie. Policjanci ubrani w niebieskie mundury zaczęli wyskakiwać na ulicę jeden za drugim. Coś się tu będzie działo! Najwyraźniej kilkoro widzów spodziewało się kontynuacji filmu w rzeczywistym życiu i z zaciekawieniem zmierzało w stronę policji. Inni niepostrzeżenie obrali przeciwny kierunek. Niektórzy mieli powody, żeby nie szukać kontaktu z policją, nawet jako gapie.

Rath stał przy Wolterze obok zielonego opla po drugiej stronie ulicy i przyglądał się całemu przedstawieniu. Na tylnym siedzeniu auta siedział Jänicke, a obok niego – blady mężczyzna, którego ręce przymocowano kajdankami do uchwytu pod dachem. Parę minut wcześniej obezwładnili ochroniarza, który dyskretnie krążył przed Pille. Wujek nie miał najmniejszych trudności, żeby podczas krótkiego *tête-à-tête* w aucie nakłonić go do zdradzenia tajnego sygnału, dzięki któremu stalowe drzwi piwnicznego lokalu otwierają się dla wtajemniczonych. Następnie wysiadł i przekazał tę informację funkcjonariuszom w cywilu stojącym na Nollendorfplatz. Nie minęły dwie minuty i przyjechały obie ciężarówki.

Rath i Wolter przeszli na drugą stronę ulicy, a szupo – zwarci i gotowi do działania – spoglądali na nich wyczekująco. Wolter dał znak ręką, na co policjanci podążyli za obydwooma funkcjonariuszami i weszli z nimi na podwórze. Wujek zszedł po schodach i zapukał do niepozornych drzwi w suterenie. Trzy razy energicznie, dwa razy powoli – tyle wystarczyło, by otworzyło się okienko w stalowych drzwiach. Dobięły zza nich przytłumione dźwięki muzyki.

– Późno się zjawiasz, kochanieńki – powiedział zaskakująco wysoki głos. Z okienka wyjrzała para oczu, których źrenice nerwowo przesuwały się od prawej do lewej strony. Widocznie ich właściciel szukał wzrokiem wartownika, który przeważnie przyprowadzał gości na dół i pukał do drzwi. – Gdzie się podziewa Johnny? – Z głosu zniknął nagle zapraszający ton, zamiast niego pojawiła się nieufność.

– Poszedł się wysikać – powiedział Wolter i w tej samej chwili wetknął do okienka lufę pistoletu P08. – Ale ja i moi przyjaciele wejdziemy przecież i bez niego, prawda?

Drzwi się otworzyły, a ich oczom ukazał się szczupły transwestyta w zielonej aksamitnej sukience. Uniósł w górę swoje nieco za muskularne ręce.

– Przysyła Cię Czerwony Hugo? Chyba Ci życie niemiłe, jeśli szukasz tu problemów! Nie ujdzie Wam to płazem!

– Życie nam miłe, nam *wszystkim*. – Energicznym ruchem głowy Wolter wskazał w górę schodów. – A poza tym mamy na sobie mundury, skarbie. Szykuj się na to, że dzisiejszą noc spędzisz na Alexanderplatz.

Złapał za ramiona mężczyznę w damskim odzieniu i przekazał go dwóm szupo stojącym z tyłu. Ci założyli mu kajdanki. Jeden oddział funkcjonariuszy, razem z Wolterem i Rathem, wszedł do środka,

drugi został na zewnątrz, żeby zająć się klientami i spisać numery rejestracyjne aut zaparkowanych przed bramą.

Mężczyźni ubrani w granatowe mundury zeszli w dół schodów, a potem długim ciemnym korytarzem podążyli do pomieszczeń, w których oddawano się uciechom. Panowała nerwowa bieganina. Pałętało się tam z pół tuzina mężczyzn i niektórzy dopiero teraz zdawali się rozumieć, co się dzieje. Wolter odsłonił odznakę przyczepioną do kamizelki i wolnym krokiem szedł wzdłuż piwnicznego sklepienia z wyciągniętą bronią. Rath też wyjął swojego mauzera i podążył za kolegą. Dopiero teraz zauważył, że od wczorajszego wypadku nie naładował go ponownie. Modlił się, żeby podczas tej akcji nie musiał oddać żadnego strzału. W przeciwnym razie wyjdzie na jaw, że w magazynku brakuje jednego naboju. Za nimi przesuwali się do przodu szupo, oni również mieli w rękach broń.

Prowadzili przed sobą grupę mężczyzn. Niektórzy godzili się ze swoim losem, jednak większość z nich próbowała uciekać. Cała sytuacja przypominała polowanie. Lisy uciekały do innego wyjścia, nie przeczuwając, że tam również czeka sfora psów. Groźnych psów. Jedną z ciężarówek ustawili przy Kleiststrasse, na podwórzu, na które można było dostać się przez tylne wyjście Pille. Cekał tam oddział bezwzględnych mundurowych, gotowych na wszystko, gdyż tamtędy uciekali przede wszystkim Ci, którzy doskonale orientowali się w tym piwnicznym labiryncie. Słowem: twarde sztuki.

Muzyka stawała się coraz głośniejsza i nagle znaleźli się pod wysokim sklepieniem piwnicy. Z paru lamp padało słabe światło. Najjaśniej było na scenie zanurzonej w jaskrawym blasku reflektora. Na niej dwie kobiety obejmowały się i wykonywały coś jakby taniec, jednak ich ruchy nie zawsze harmonizowały z dźwiękami granymi przez kapelę. Gdy zauważyły rząd mężczyzn w niebieskich mun-

durach stojący przy wejściu, objęły się mocno, jakby nagle bardzo zmarzły. A może poczuły się zawstydzone, chociaż nie były całkiem nagie. W opinii Ratha ten lokal wyglądał stosunkowo niewinnie. W Venuskeller dochodziło do gorszych ekscesów.

Obydwaj komisarze spokojnie stanęli przed rzędem szupok i rozejrzeli się po pomieszczeniu. Nie musieli się śpieszyć i gonić uciekających mężczyzn, wiedzieli, że nikt im nie umknie. Znajdujące się z tyłu drzwi prowadziły do kolejnego pomieszczenia, które – z tego, co wiedzieli – było równie duże jak to, w którym się właśnie znajdowali, jednak zostało podzielone na prywatne pokoje. Ten, kto chciał się tam udać, musiał bardziej sypnąć groszem niż tu, gdzie najwyraźniej oferowano jedynie dość niewinny striptiz.

Wolter schował broń, wetknął kciuki za pasek i próbował skupić na sobie uwagę, lecz jego głos wciąż zagłuszała muzyka. Trochę trwało, nim kapela zorientowała się w sytuacji. Ostatni ucichł klarnet. Chwilę później ogólne szemranie ustało i rozległ się głos Woltera:

– ...proszę o zachowanie spokoju. To akcja policyjna. Zabierzemy państwa do prezydium, tam ustalimy personalia i spisujemy krótkie zeznania. Wtedy będą państwo wolni. Ta akcja wymierzona jest w osoby prowadzące ten nielegalny lokal, nie w jego klientów.

Większość gości dała się wyprowadzić potulnie jak baranki. Również muzycy nie próbowali uciec, personel za ladą także zachowywał się spokojnie. Tylko parę osób pobiegło do korytarza znajdującego się na tyłach, którym wcześniej uciekło już paru mężczyzn. Zazwyczaj stał tam dobrze zbudowany ochroniarz, pilnujący, by nikt, kto nie zapłacił, nie zabłądził do drugiej sali. Jednak teraz przepuszczano każdego. Z tylnego pomieszczenia dochodziły krzyki. Jakaś półnaga kobieta wybiegła przez drzwi, zobaczyła mundurowych i od razu zawróciła.

Rozgardiasz który powstał za sprawą ludzi biegnących w tę i z powrotem, powoli się uspokajał, a pomieszczenie stopniowo pustoszało. Rath dał Wolterowi znak, że idzie do tylnego pomieszczenia, i gestem przywołał do siebie czterech szupo. Nie poświęcali uwagi prywatnym pokojom, w których na łóżkach wciąż siedzieli mężczyźni i w pośpiechu się ubierali. Kobiety zniknęły, zostało po nich jedynie kilka porzrzuconych części garderoby. Za kolejnymi drzwiami ciągnął się długi, mroczny korytarz, pod sufitem biegły rury kanalizacyjne. Rath włączył latarkę, którą zabrał specjalnie na tę akcję. Po prawej stronie droga prowadziła przez kręte przejścia na dziedziniec przy Kleiststrasse. Komisarz wysłał policjantów w przeciwnym kierunku. Na końcu korytarza znajdowały się stalowe drzwi, zza których dobiegała muzyka organowa. Zaraz miało się okazać, czy Krajewskiemu można zaufać.

Rath wyłączył latarkę. Nie wiadomo, czy to pomieszczenie było strzeżone, a jeśli tak, to latarka uczyniłaby je zbyt łatwym celem. Drzwi były zamknięte. Zaserwował im porządnego kopniaka dokładnie na wysokości zamka. Otworzyły się z impetem, a za nimi ukazała się ciemna sala.

Ciemność rozświetlał wyłącznie jeden snop światła, przebijający się przez dym papierosowy, unoszący się w powietrzu. Organy wygrywały patetyczną muzykę, przedziwne połączenie „Marsylianki” i pieśni „Chwała Ci, w wieńcu zwycięzcy”. Nikt nie zauważył ich wejścia: organy zagłuszały ogół innych dźwięków, a akcja rozgrywająca się na ekranie przykuwała najwyraźniej uwagę wszystkich widzów. Przyciągnęła także wzrok szupo, którzy wbiegli do pomieszczenia za Rathem.

Ekran był zdecydowanie mniejszy niż ten w Gloria Palast, ale film – jeśli wolno by go było wyświetlać legalnie – pewnie przyciągnąłby

tylu ludzi, że wypełniliby największe sale kinowe w mieście. Jeszcze dość zwawo cesarz Wilhelm I zabawiał się z kobietą przypominającą francuską cesarzową Eugenię, podczas gdy Napoleon III siedział obok na krześle i przyglądał się im z wściekłością i zafascynowaniem. Miłym dodatkiem był portret Bismarcka stojący na stoliku nocnym. Film niewątpliwie wyszedł spod ręki Johanna Königa, tylko tym razem obrazy były ruchome. Rath podszedł do organistki, całkowicie skoncentrowanej na filmie, i delikatnie dotknął jej ramienia. Przestraszyła się, ale przestała grać dopiero wtedy, gdy przyłożył palec wskazujący do ust.

Organy zamilkły i przez moment dało się słyszeć jeszcze pojedyncze stęknięcia i szum projektora. Po chwili ucichły także one, a błysk latarki Ratha wywołał chwilowe zamieszanie. Kobiety, które siedziały głęboko zatopione w kinowych fotelach, poderwały się z miejsc i zaczęły doprowadzać do ładu swoje ubrania. Wyglądały na mniej przerażone niż mężczyźni przebywający w sali. Padająca z latarki wiązka światła tworzyła z ich twarzy osobliwy widok. Korpulentny starszy pan z widoczną erekcją wywołaną filmem i usługami świadczonymi przez młodą kobietę pośpiesznie podciągał spodnie. Pozostali mężczyźni na sali – a było ich około dwóch tuzinów – byli zajęci podobnymi czynnościami, czy to w towarzystwie pań, czy w pojedynkę.

– To jest akcja policyjna, moi panowie – powiedział Rath. – Proszę, by stosowali się panowie do poleceń sił porządkowych.

– Co za bezczelność! – wyburczał tęgi mężczyzna, który wciągnął właśnie spodnie do końca, chowając wzwód. – Nie puszczę Wam tego płazem, młody człowieku! Ze mną się tak nie postępuje!

– Ja mogę – odparł Rath i odwrócił się do szupo. – Tego napalonego grubasa od razu zamknijcie w celi!

Opasły mężczyzna chciał zaprotestować, ale dwóch funkcjonariuszy złapało go pod ramię i wyprowadziło na zewnątrz.

– Pożałuje pan tego, obiecuję to panu! – wściekał się grubas. – Jestem znajomym ministra spraw wewnętrznych! To jest skandal!

– I kto to mówi?! – zawołał za nim Rath.

Nie był to pierwszy mężczyzna rzekomo posiadający wpływowych przyjaciół, który wpadł w ich ręce tego wieczora. Tego, kto naprawdę miał znajomości w kręgach władzy czy też innych wpływowych środowiskach, dowiedzą się najpóźniej w przyszłym tygodniu, gdy stosowne zażalenia wpłyną do prezydenta policji. Jednak większość złapanych, nawet jeśli posiadała jakieś koneksje, raczej poprzestanie na jednej nocy w areszcie policyjnym na Alexanderplatz i nikomu o niej nie wspomni – ani też się nie przyzna, że włóczyła się po nielegalnych, szemranych nocnych klubach.

Nie minęło pół godziny, a wszyscy byli gotowi do wysyłki na Alexanderplatz: zarówno goście, jak i pracownicy. Rath odprowadził wzrokiem obie ciężarówki, które toczyły się z Motzstrasse z powrotem do prezydium. Zielony opel nadal stał na poboczu. Zza tylnego bocznego okna wciąż wyglądał wykidajło Johnny – tak przynajmniej nazwał go ten transwestyta. Zgodnie z informacjami w dowodzie go ryl nosił pocziwe nazwisko Wilfried Johnen. Rath odnosił wrażenie, że w ciągu ostatniej pół godziny mężczyzna zrobił się jeszcze bledszy. Nic dziwnego, Johnny w każdej chwili musiał liczyć się z tym, że wśród kolorowego towarzystwa, które zapakowywano na ciężarówki, znajdą się też grube ryby. Marny jego los, jeśli zobaczyliby go siedzącego w policyjnym aucie. Johnny miał jednak szczęście, większość gości z nielegalnego lokalu czekała na podróż na Alexanderplatz przy Kleiststrasse.

Stephan Jänicke siedział na tylnym siedzeniu z tak oziębłym wyrazem twarzy, jaki potrafią przybrać chyba wyłącznie ludzie z Prus Wschodnich. Rath wiedział, że w ciągu ostatniej pół godziny nowicjusz nie zamienił z wykidajką ani jednego słowa. Takemu zadaniu nie podołaliby nawet ludzie z Westfalli Wschodniej, z którymi Rath pracował w Kolonii. Jänicke był właściwym człowiekiem do tej pracy, nic bardziej nie wprawiało w zaniepokojenie bandyty niż policjant, który nie odzywał się ani słowem. Wilfried „Johnny” Johnen złamie się, zanim jeszcze w ogóle trafi do prezydium.

Wolter wskazał na swój zegarek na nadgarstku i uniósł pięć palców, Jänicke przytaknął. Rath zszedł za Wujkiem do podziemi w Pille, przed którymi na warcie stał osamotniony szupo. Opuścili piwnicę z drugiej strony, z uniesionymi legitymacjami służbowymi, ale na podwórzu nie było nikogo. Silnik ciężarówki stojącej przy Kleiststrasse był włączony, choć nie zamknięto jeszcze klapy ładunkowej – majstrowało przy niej dwóch szupo. Funkcjonariusze kryminalni przywitali się i podeszli bliżej. Rath obrzucił skrzynię ładunkową przelotnym spojrzeniem, ale nie dostrzegł za wiele.

– Ale z Ciebie uroczy facet – powiedział kobiecy głos. – Może wyrwiemy się jeszcze dziś we dwoje?

Kilku kobietom wydało się to śmieszne, ale chichot przerwało męskie rozwścieczone „morda w kubeł!” Trudno stwierdzić, czy te słowa padły z ust któregoś z policjantów znajdujących się w środku pojazdu, czy jednego z sutenerów. Podczas gdy Wolter zamieniał parę słów z szupo, Rath odszedł nieco na bok i zapalił papierosa. To była ich ostatnia obława tego dnia. Łącznie zlikwidowali dziewięć nielegalnych lokali. W większości akcji uczestniczyli osobiście, gnali od jednej operacji do kolejnej, realizując plan rozpisany co do minuty.



Mieli to już za sobą. Rath głęboko wciągał dym papierosa, jakby łąpał tlen.

Bruno stał obok szupo, który zamknął klapę ostatniej ciężarówki i miał jeszcze zostać na straży. Wóz ruszył z warkotem, Wujek jeszcze powiedział coś do policjanta i podszedł do Ratha. Wyciągnął z marynarki paczkę papierosów.

– Zasłużyliśmy na nie, nie sądzisz? – powiedział, zapalając.

– Jedenaste przykazanie: „Nie będziesz sprzeciwiał się swojemu szefowi”.

– Cieszysz się, że już po wszystkim?

Rath przytaknął.

– Wyglądasz na zmęczonego. – Wolter spojrzał na niego. – Mało spałeś zeszłej nocy?

Cienie pod oczami mówiły wszystko. Nie dało się tego ukryć. Rath wzruszył ramionami.

– Takiej akcji nie przeprowadza się codziennie.

– Owszem. Wszystko mogło też całkowicie wziąć w łeb. Ale teraz możesz już odetchnąć. Nie ma lokalu, w którym zgodnie z prawem nie zrobilibyśmy nalotu. Nikt nie wiedział, co się święci. I nie przyłapaliśmy na figlach starego Lankego. Lepiej pójść nie mogło.

Rath nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy wyobraził sobie szefa Inspekcji E baraszkującego z prostytutką. Jednak Bruno miał rację. Nie przydarzyła się im prawie żadna wpadka. Uciekła im może garstka hulaków, za to w każdym lokalu w ich sieci wpadło parę grubych ryb. Udało im się też zebrać pokaźną ilość materiałów dowodowych, właściciele niektórych knajp prowadzili nawet staranną księgowość. Rath nadal nie rozumiał jednak sensu przeprowadzania tego typu akcji. Likwidowanie przestępczych spelun, narkotykowych

melin czy magazynów z bronią – wszystko to miało sens. Ale lokale nocne? Skoro ludzie chcą się zabawić, to niech się bawią!

Wolter poklepał go po ramieniu.

– Nie popadaj w taką zadumę, mój chłopcze! Przecież nie urwałbym Ci głowy, nawet jeśli któryś z adresów okazałby się pudłem. Wspólnie planowaliśmy tę akcję i jeśli coś poszłoby nie tak, to nadstawiłbym mojego grubego karku. A ponieważ wytrzyma co nieco, to Lanke mógłby długo się z nim mocować.

– Wszystko poszło gładko.

– Zgadza się. I jeśli te trzy tuziny najbliższych przyjaciół ministra, kanclerza Rzeszy i cesarza Chin, które wysłaliśmy dziś na Alexanderplatz, nie złożą skargi, to chyba nie będziemy mieli kłopotów. – Wolter spojrzał na zegarek. – Powinniśmy się uwinąć w dwie godziny. Ustoisz tyle na nogach?

– Dzbanek mocnej kawy, kilka papierosów i w ciągu dwóch dni przemagluję najbardziej zatwardziały delikwentów!

– Nie popadajmy w przesadę. Skończymy najpóźniej o trzeciej. Jeśli chcesz, zawiozę Cię potem do domu. Zrobimy jeszcze dziś trochę porządków, ale faktyczna praca czeka nas i tak dopiero jutro. Powinieneś się wyspać do tego czasu. Zapowiada się długi dzień.

– Stephan nie będzie zadowolony.

– Dlaczego?

– Pokrzyżuje to jego niedzielne plany piłkarskie. Czy Hertha nie gra jutro meczu?

– À propos, powinniśmy sprawdzić, co u niego. Nie chcemy, żeby się zamartwiał.

Rzucili niedopałki na chodnik. Minęli wartownika, po czym zeszli z powrotem do piwnicy.

– A tak w ogóle to Lanke ostatnio o Ciebie wypytywał – powiedział Wolter mimochodem. Latarka Ratha oświetlała im drogę powrotną przez labirynt.

– Czyżby?

– Zadzwoił nawet do mnie do domu. Po raz pierwszy dostąpiłem tego zaszczytu. Chciał wiedzieć, jak się spisujesz. Miał niemal ojcowski ton, można było się nieźle przestraszyć.

Wyglądało na to, że prezydent policji chciał zasięgnąć informacji o synu swego przyjaciela u szefa Inspekcji E. Sam Lanke nigdy nie wpadłby na ten pomysł. Rath zauważył, że Bruno też był ciekawy, co się za tym kryło. Czyżby coś podejrzewał?

– I co? – zapytał Rath.

– A jak myślisz? Powiedziałem mu, że jesteś najbardziej upartym gliną z prowincji, którego musiałem przyuczać.

– Miałem na myśli to, co dokładnie chciał wiedzieć Lanke?

– W jego przypadku trudno powiedzieć. To dziwne, ale nie brzmiał tak, jakby szukał jakichś uchybień, za które mógłby Cię obztorcować. Wprost przeciwnie. Brzmiał na zadowolonego, kiedy powiedziałem mu, czyją zasługą jest nasz ostatni sukces w śledztwie.

Oczywiście, pomyślał Rath, Lanke znów zwietrzył w tym swój interes. Jeśli Zörgiebel dał mu do zrozumienia, że rozważa zabranie jednego człowieka z Inspekcji E i przeniesienie go do A, to Lanke wyrazi zgodę tylko, jeśli dostanie za niego zastępstwo. Zastępstwo z Urzędu Kryminalnego Köpenick. Czy właśnie tego obawiał się Bruno? Że jednak dokooptują mu jeszcze Lankego juniora? Błądząc myślami, Rath szedł dalej i oświetlał im drogę.

W końcu Bruno przerwał ciszę:

– Złożyłeś już aplikację do Inspekcji A? – zapytał bez ogródek.

– Słucham? – Czyżby on potrafił czytać w myślach?

– Mówi się, że niebawem zwolni się wakat po tym, jak kolega Roeder uznał, że woli pisać książki o swoich bohaterskich czynach niż dalej odwalać brudną robotę dla Gennata.

– Roeder chce odejść? – zapytał Rath z autentycznym zaskoczeniem.

W całym Zamku Erwin Roeder miał opinię zarozumialca. O swych bohaterskich operacjach w wydziale kryminalnym napisał już kilka książek, które w kręgach kolegów wywoływały jednak raczej pełen politowania uśmiech niż podziw. Na dodatek kolega Roeder dał się sfotografować w idiotycznych przebraniach przywodzących na myśl nieudolną kopię Sherlocka Holmesa. A teraz odczuwał negatywne skutki swojej działalności pisarskiej, nie do końca dobrze postrzeganej przez jego przełożonych. Być może Zörgiebel i Weiß postawili go przed wyborem. Choć prezydent policji i jego zastępca cenili sobie współpracę z prasą, to nic nie denerwowało ich bardziej, niż komisarz, który zyskiwał większą popularność opinii publicznej aniżeli oni sami. Poza tym mówiło się, że Roeder wykazuje pewne antysemitystyczne inklinacje, a od czasu niekończących się ataków na „Izydora” w gazecie „Angriff”<sup>6</sup> prezydent policji reagował na takowe alergicznie.

Bruno nie odpuszczał.

– A więc się ubiegałeś? – dopytywał.

– Nie – Rath mógł odpowiedzieć z czystym sumieniem.

– Nie pracujesz na boku dla Inspekcji A?

– Co to ma być? Jakieś przesłuchanie? – Rath zatrzymał się i skierował światło latarki na twarz Woltera. Gorączkowo się zastanawiał. Co Bruno mógł wiedzieć? Może jednak coś zobaczył, kiedy odwiedził go przy Nürnberger Strasse? Czy Elisabeth Behnke opowiadała mu coś o dobytku Kardakowa? A może to Böhm wypuścił w świat

adekwatną plotkę? Z drugiej strony – były to już zamierzchłe czasy. Nie potrzebował już sprawy „Wodnika”, piątkowy koszmar stanowił koniec wszystkich śledztw, które prowadził na własną rękę, a które od początku były skazane na porażkę. Postanowił już: żadnych sekretów i ciągłych obaw, że zostanie przyłapany na łamaniu regulaminu służbowego oraz przekraczaniu kompetencji. Koniec z tym. Nawet jeśli bolało go, że musi odpuścić sprawę, i to właśnie teraz, gdy zrobił ogromny krok do przodu.

– Gdyby to było przesłuchanie, to musielibyśmy skierować to światło na Ciebie, a nie na mnie – oświadczył Wolter, mrużąc oczy. Wydawał się patrzeć Rathowi prosto w twarz, choć mimo najszczerzych chęci nie miał szansy dostrzec nic w ciemności, na dodatek jeszcze oślepiiony światłem latarki.

– Zastanawiam się tylko, skąd przyszło Ci do głowy, że prowadzę śledztwo dla Inspekcji A? Przed mniej więcej dwoma tygodniami dostałem zdjęcie, tak jak każdy funkcjonariusz wydziału kryminalnego w Zamku. I to tyle. Jeśli nazywasz to zajęciem na boku, to się do tego przyznaję. Ale wydawało mi się, że ten temat już mamy przegadany!

– Masz rację – powiedział Bruno. – Już raz wywołało to zbędną kłótnię, nie musimy tego powtarzać.

– Owszem, nie musimy. – Rath skierował światło lampy z powrotem na podłogę i poszli dalej. – Wiesz, że chciałbym pracować w wydziale zabójstw. Prędzej czy później wykorzystam moją szansę. Gram w otwarte karty.

Doszli do podwórza przy Motzstrasse i pożegnali się z policjantem stojącym przy głównym wejściu do Pille. Zanim wyszli na ulicę, Wolter zatrzymał się w ciemnej bramie, wygiętej w łuk. Położył rękę na ramieniu Ratha.

– Nie oszukujmy się – zaczął. – Wygląda na to, że operacja „Nocny jastrząb” była naszą ostatnią wspólną akcją dla obyczajówki. Jeśli dobrze zrozumiałem Lankego, to w przyszłym tygodniu będziesz dawał występy gościnne w wydziale zabójstw.

Rath spojrział na niego, ale nie mógł dostrzec jego oczu.

– Gdyby tak było, to już dawno bym coś o tym wiedział – uspokoił kolegę. – Nikt mnie jeszcze o niczym nie informował.

– Informował? Nie ma takiej potrzeby. – Wolter się zaśmiał, imitując terkoczący koszarowy ton. – Masz robić to, co każą Ci przełożeni, rozumiano?

– Mam zmieniać wydział w samym środku naszego śledztwa? Co za nonsens.

– Nonsens? – Wujek wzruszył ramionami. – Może i masz rację. Ale wierz mi, nikomu w Zamku jeszcze to nie przeszkadzało. Jeśli Gennat potrzebuje ludzi, to ich dostaje.

Zegarek w dużej sali konferencyjnej prezydium policji wskazywał wpół do pierwszej. W pomieszczeniu panował zgiełk, zupełnie jak w poczekalni dworca Anhalter Bahnhof. Płatanina niezliczonych głosów jeszcze bardziej pogłębiała to skojarzenie. Paliły się wszystkie lampy, pomieszczenie tonęło w jasnym świetle, które sprawiało, że ciemna noc za oknami szła w zapomnienie. Wszystkie meble przesunięto pod ściany, jedynie na środku w równym rzędzie ustawiono osiem stołów. Przy każdym z nich siedziało po dwóch funkcjonariuszy wydziału kryminalnego – jeden z Inspekcji I, czyli służby śledczej, zwanej przeważnie dochodzeniówką, a drugi z Inspekcji E, pod której kierownictwem przeprowadzono akcję. Przy każdym stoliku stały długie kolejki oczekujących, pilnowane przez kilku szupo. Byli to hulacy ze wszystkich nielegalnych piwnicznych lokali, które

w minionych godzinach odwiedziła policja. Wśród nich znajdowali się mężczyźni w kelnerskich fartuchach obok bawidamków w eleganckich garniturach, szemranych typów w podejrzenie drogich strojach, a także poważnych panów, którzy, sądząc po wyglądzie, musieli być tajnymi radcami albo dyrektorami generalnymi. Jeszcze ciekawiej wyglądały kolejki czekające do stolików, przy których siedziały funkcjonariuszki Inspekcji G, żeńskiej policji kryminalnej. Stały tam kobiety stare i młode, białe i czarne. Niektóre z dziewcząt wyglądały tak młodo, jakby nie osiągnęły jeszcze pełnoletności, a w jednym rzędzie z nimi stały znudzone panie, które nie miały na sobie niczego poza kurtkami pruskich mundurów z ostatnich dwustu lat. To najpewniej stadko z Pegasus. Wiele kobiet było skąpo odzianych, czasem w popłochu udało im się narzucić na siebie jedynie męski płaszcz, nie zawsze za zgodą właściciela. Gdy któryś z okradzionych mężczyzn zauważył swoją własność na ciele jednej z kobiet, z którymi jeszcze parę godzin wcześniej spędzał miło czas, głośno protestował.

Rath przyglądał się krzątaniu. Dopiero co dotarli do Zamku. Bruno i nowicjusz nadal siedzieli w pokoju przesłuchań z Johnnym, strapionym wykidają z Pille. Chcieli się zabrać za niego jeszcze dziś, bo widać było, że był już gotowy zeznawać. Rath wiedział, że mężczyzna wszystko wyśpiewa. Zwłaszcza gdy się dowie, że w przeciwnym razie nie będzie mu dane siedzieć w jednej celi ze swoimi kumplami. A jeśli się tam nie zjawi, to ściągnie na siebie więcej podejrzeń.

Cele powoli się zapełniały, większość złowionych nadal znajdowała się w sali konferencyjnej. W tym, co wydawało się chaosem, była metoda. Gdy ktoś docierał na sam początek kolejki, uruchamiano tę samą procedurę: dokumenty tożsamości, rewizja osobista, kil-

ka pytań. Ten, kto mógł się pochwalić nieposzlakowaną opinią, nie był notowany w aktach służby dochodzeniowej i nie miał przy sobie środków odurzających, zdjęć pornograficznych ani broni, mógł zabrać dokumenty i wrócić do domu, o ile nie ściągnął na siebie podejrzeń z jakiegokolwiek innego powodu. Delikwenta, którego zatrzymywano, przekazywano funkcjonariuszom stojącym na korytarzu. Najpierw wędrował w ręce fotografa z dochodzeniówki, a następnie trafiał do policyjnego aresztu mieszczącego się w budynku Zamku.

Aparat policyjny działał bez zarzutu. Tu, w sali konferencyjnej, nie mieli już właściwie za dużo do roboty oprócz zaznaczenia swojej obecności, była to bowiem sprawa honoru. To oni odpowiadali za akcję „Nocny jastrząb”, której funkcjonariusze policji porządkowej zebrani w sali zawdzięczali nocną zmianę, i to w dzień wolny od pracy.

Rath snuł się bez celu pomiędzy rzędami. Nie zaszkodzi mieć oczu szeroko otwartych, poobserwować i rozważyć, od czego rozpocząć jutrzejsze przesłuchania. Zgarnęli tego dnia ponad pięćset osób, z czego w przybliżeniu jedna szóstka po spisaniu personaliów spędzi resztę nocy w policyjnym areszcie. Daje to od osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu osób, i wszystkie trzeba przesłuchać.

– Pan tutaj, młody przyjacielu? Co za niespodzianka. Tak się dzieje, gdy się traci czujność! Mówię panu, już nigdy nie pójde do Pegasus!

Rath się odwrócił. Promiennym wzrokiem spoglądał na niego Oppenberg, filmowiec poznany w Venuskeller. Że też akurat on, ten, który zafundował mu kokainę! Obława najwyraźniej nie popsowała mu humoru. Może już się przyzwyczaił do takich sytuacji.

Oppenberg przybrał przyjacielski ton.



– Niech się pan nie martwi – wyszeptał. – Gliny nas wypuszczą. Grunt, że ma pan przy sobie papiery i nie trzyma śniegu po kieszeniach.

Rath nawet nie zdążył odpowiedzieć. Facet był równie gadatliwy jak podczas ich pierwszego spotkania.

– Gdzie pana dopadli? Znow poszedł pan do Venuskeller? Ostatnio zniknął pan tak szybko. Vivian za panem tęskniła. Mniejsza o to! I tak się dobrze bawiliśmy!

Szturchnął Ratha w bok, rozglądając się wokół. Pewnie szukał skarbenki, jednak po Vivian nie było śladu. Może udało jej się uciec szupo. Ratha w ogóle by to nie zdziwiło.

Jeden z policjantów zauważył całą scenę i przecisnął się do przodu.

– Spokój, koleżko – powiedział i z lekceważeniem trącił ramię Oppenberga gumową pałką. – Proszę zostawić pana komisarza w spokoju!

Producent filmowy obrzucił zaskoczonym spojrzeniem najpierw szupo, a następnie komisarza kryminalnego. Ich oczy przez chwilę się spotkały, a potem Rath skierował wzrok na mężczyznę w mundurze.

– Już dobrze, panie posterunkowy – powiedział Rath do policjanta. – Ten pan tylko podzielił się ze mną ważną informacją.

Zanim Rath zdążył poczuć się jeszcze bardziej nieswojo, uwagę wszystkich przykuł głośny krzyk. Wszystkie głowy odwróciły się w tym samym kierunku. Na końcu sali musiało interweniować kilku strażników, gdyż zaatakowało się dwóch mężczyzn, którzy widocznie się rozpoznali, oczekując w kolejce. Trudno było zrozumieć, jakie mieli wobec siebie zarzuty, ale obaj byli czerwoni na twarzach. Sutener, pomyślał Rath i wykorzystał rozgardiasz, żeby oddalić się

od Oppenberga. Policjanci rozdzielili awanturników i wyprowadzili ich na zewnątrz. Kto zachowywał się w ten sposób, uczciwie zasłużył sobie na noc spędzoną w celi, dalsze analizy były zbędne.

Spotkanie z filmowcem znów przypomniało Rathowi o poprzedniej nocy, którą najchętniej wymazałby nie tylko z pamięci, lecz także z życia.

– Sporo się tu dzieje, prawda?

Obok niego, jakby znikąd, pojawił się Bruno.

Rath przytaknął.

– Przynajmniej nie jest tak nudno jak na zebraniach u Zörgiebela.

– Tak, w końcu toczy się tu jakieś życie.

– I co? – zapytał Rath. – Nasz człowiek coś wyśpiewał?

– Jest bardziej uparty, niż mi się wydawało. I to pomimo że uświadomiłem mu, co go może spotkać. Jest z nim teraz blondas. Zobaczymy, kto potrafi dłużej milczeć.

Kolejną znajomą twarz Rath zdążył zauważyć w porę. Właściwie to były nawet dwie – gęby obu umięśnionych Rosjan z baru Kakadu. Tych dwóch, którzy nieświadomie naprowadzili go na Café Berlin i tym samym na trop Kardakowa. Nawet w oczekiwaniu na kontrolę przez służby śledcze mężczyzna z blizną oraz jego krępy przyjaciel wydawali się nierozłączni. Rath raczej podejrzewał, że natknie się na tych dwóch podczas kolejnej wizyty w Kakadu niż w Zamku. Do policyjnego stolika podszedł mężczyzna z blizną i położył na nim żółty dokument. To przypomniało Rathowi o papierach, które zabrał handlarzowi kokainy w Café Berlin. Najwyższy czas oddać je do biura rzeczy znalezionych.

Czuł, jak wraz ze wspomnieniem ostatniego wieczoru ponownie budzi się w nim ciekawość. Tych dwóch Rosjan otwarcie mu wtedy groziło. Czyżby byli dwoma psami obronnymi strzegącymi pobra-

tymca przed niemiecką policją? W każdym razie byli bliżej Kardakowa niż ktokolwiek inny, z kim do tej pory miał do czynienia, czuł to wyraźnie. Może wszyscy należeli do tej podejrzanej tajnej organizacji politycznej? Gdy szedł z Brunonem do jednej z żeńskich kolejek, pilnował się, by w miarę możliwości nie spoglądać Rosjanom prosto w twarz. Nie chciał, by rozpoznali go przy wszystkich. Wciąż zerkał kątem oka, podczas gdy Wolter rozmawiał z panią komisarz Inspekcji G. Dość szybko zorientował się jednak, że nie musi się zbytnio wysilać. Rosjanie też odwracali wzrok, i to w zbyt nienaturalny sposób, żeby uznać, że go nie zauważyli. Tym lepiej, że tych dwóch też nie paliło się, by wdawać się w utarczki, pomyślał Rath. Funkcjonariusz służby śledczej dokładnie sprawdził dokumenty mężczyzny z blizną, wpisał na listę jego personalia i zaczął przeglądać kartotekę przestępców, podczas gdy kolega z obyczajówki przystąpił do przeszukania zatrzymanego: zaglądał do wszystkich kieszeni i sprawdzał go od stóp do głów. Gdy skończył, pokręcił głową. Wynik negatywny. Wydawało się jednak, że pracownik służby śledczej znalazł coś w aktach, gdyż sporządzał dłuższą notatkę. W każdym razie Rosjaninowi nie pozwolono wrócić do domu, odprowadzono go do aresztu. Jego przyjaciela spotkało to samo. Obaj przyjęli swój los ze stoickim spokojem. Jedna noc za kratkami nie wydawała się dla nich czymś przerażającym.

Gdy Rath i Wolter doszli do stolika, Rosjanie byli już w drodze do cel. Wujek zwrócił się po imieniu do policjanta z obyczajówki, Rath znał go jedynie przelotnie. Kiedy Wolter rozmawiał z kolegą, Rath dyskretnie spoglądał mężczyźnie przez ramię. Co za bazgroły! Ledwie dało się odczytać nazwiska znajdujące się na liście. Nikita I. Fallin – brzmiało jedno z nazwisk. To pewnie mężczyzna z blizną, pomyślał Rath. Pod spodem znajdowało się nazwisko Witalij P. Se-

lenski albo Gelenski. Obu schwytano w Bar Noir, niewielkim lokalu w pobliżu Winterfeldplatz. Obławę przeprowadzano tam równocześnie z tą w Pille. Rath nie potrafił odczytać zapisków w kolumnie „Uwagi”, adresów – też nie. Nic to, pomyślał i podniósł wzrok znad listy. Bruno zerkał już w jego stronę i zdawał się zdziwiony ciekawością kolegi.

Rath ponownie objął spojrzeniem zamęt panujący w sali konferencyjnej. Teraz brakowało jeszcze tylko Kardakowa stojącego w którejś z kolejek. Już wszystko wydawało mu się możliwe, los miał czasami przedziwne poczucie humoru. Jednak zamiast zaginionego Rosjanina wypatrzył dobrego znajomego. Mężczyzna z rękami splecionymi na plecach przechadzał się pomiędzy rzędami ludzi. Ubrany w elegancki garnitur, prawie nie wyróżniał się pośród jeszcze lepiej ubranych birbantów. Uwagę Ratha zwróciły jego spoglądająca z uwagą lisia twarz i delikatnie pochylona sylwetka. Sylwetka, której mężczyzna zawdzięczał przezwisko „Krzywy Lanke”. Nie było wątpliwości, radca kryminalny Werner Lanke, szef Inspekcji E, osobiście chciał nadzorować przesłuchania i najwidoczniej z ich powodu przerwał nawet swoje prywatne zajęcia.

Rath szturchnął Woltera i ukradkiem pokazał na szefa.

– Teraz się nie dziwię, że nie złapaliśmy Lankego w jednej z tych spelunek – wyszeptał. – Wiedział, co się święci.

– Cóż, musiałem się wygadać. Takie rzeczy się zdarzają, gdy szef dzwoni do kogoś do domu.

Gdy Lanke ich dostrzegł, na jego twarzy pojawił się uśmiech. Przerwał swój spacer i obrał kurs na policjantów obyczajówki. Rath czuł się nieswojo. Dziwne uczucie widzieć go uśmiechniętego. Niemal jeszcze dziwniejsze niż wysłuchiwanie jego reprimendy.

Werner Lanke był w wyśmienitym nastroju.

– Panowie! – przywitał ich krótko, pruskim zwyczajem. – Idzie wspaniale! Jak za dawnych czasów!

– Owszem, panie radco kryminalny. – Wolter wiedział, co powinien zrobić, i złożył meldunek: – Akcja „Nocny jastrząb” zakończyła się sukcesem.

– Ściągnęli tu panowie mnóstwo hołoty. Jest wśród niej nawet parę grubych ryb, jak powiedział mi przed chwilą Kronberg ze służby śledczej. Lokale, które panowie zlikwidowali, wydają się najprawdziwszymi gniazdami przestępców.

– Kwestia perspektywy, panie radco kryminalny. Są wśród nich obywatele o nieposzlakowanej opinii. Przede wszystkim mamy nadzieję, że tą akcją nieco powstrzymaliśmy niemoralność szerzącą się w nielegalnych lokalach. Po dzisiejszym wieczorze niektórzy Ci panowie będą musieli pogodzić się z bolesnymi stratami finansowymi.

– I tak powinno być! Trzeba występki zduszać w zarodku!

Rath, który jako najniższy rangą do tej pory jedynie skromnie milczał, niemal się wzdrygnął, gdy radca kryminalny odwrócił się do niego i na domiar wszystkiego zaczął jeszcze szeptać.

– No i co, młody przyjacielu? Już się pan u nas zadomowił, czy mam rację? – *Młody przyjacielu?* Lanke jeszcze nigdy tak do niego nie powiedział. Pewnie jeszcze nigdy nie powiedział tak do nikogo. Rath skinął energicznie głową, nerwowo się uśmiechając, gdy szef inspekcji położył mu rękę na ramieniu i wziął na stronę. – Niech pan mi wierzy, pański wkład w tę sprawę nie pozostanie niezauważony!

Stali teraz przy jednym z okien wychodzących na Alexanderstrasse, z dala od rozgardiaszu panującego w sali. Życzliwość szefa, do której Rath nie był przyzwyczajony, sprawiła, że przeszły go dreszcze.

– Dostrzeżono pana tam na górze – powiedział Lanke. Mówiąc to, uniósł wzrok, i można by sądzić, że dla Wenera Lankego „na górze” mógł być już tylko sam Bóg. – Wiem, że jest pan u nas krótko – ciągnął – ale co pan na to, jeśli w innej inspekcji powierzono by panu jeszcze bardziej odpowiedzialne zadanie?

– Nie do końca rozumiem, panie radco kryminalny...

– W przyszłym tygodniu będzie pan pracował w wydziale zabójstw – oznajmił Lanke. – Jak pan być może wie, również Inspekcja E co jakiś czas udostępnia funkcjonariuszy do dyspozycji śledczych wydziału zabójstw. W cyklu czterotygodniowym. – Palcem wskazującym nakreślił okrąg. – Rotacja. Rozumie pan?

Rath energicznie przytaknął.

– Tym razem będzie trochę inaczej niż zwykle. – Lanke brzmiał jak ojciec chrzestny, który zaraz wyciągnie z kieszeni prezent. – Prezydent zapytał, czy mógłbym mu polecić któregoś z funkcjonariuszy, który byłby w stanie przejąć odpowiedzialność, gdy zajdzie taka potrzeba. W Inspekcji A mają aktualnie spory deficyt pracowników. Potrzebny im ktoś z doświadczeniem, być może na stałe.

Rath przeczuwał, co teraz nastąpi. Zgadza się, Krzywy Lanke sprzedawał mu pomysł, na który już dużo wcześniej wpadł Engelbert Rath, jako swój.

– I wtedy oczywiście od razu pomyślałem o panu – kontynuował Lanke. – Z pańskimi umiejętnościami... Musi pan wiedzieć, że Bruno Wolter bardzo pana ceni. Jednak już mu powiedziałem, że trudno zatrzymać takich ludzi jak komisarz Rath, oni potrzebni są w innych wydziałach.

– Naprawdę mógłby pan pomóc mi w znalezieniu pracy w wydziale zabójstw?

Lanke przytaknął.

– Moje słowa coś znaczą w Zamku – odparł. – Mam nadzieję, że wie pan, jak wielkim zaszczytem jest praca w Inspekcji A. Kolega Gennat bierze wyłącznie najlepszych!

– Ale ja dopiero co wdrożyłem się do pracy w pańskiej inspekcji, panie radco kryminalny. Nie mogę przecież tak od razu zostawić na lodzie pana i nadkomisarza Woltera. – Rath z wdzięcznością wykorzystał szansę pogrania Krzywemu Lankemu na nerwach. – Wie pan, mamy przed sobą jeszcze tyle pracy. Akcja „Nocny jastrząb” przecież dopiero co się zaczęła, czekają nas przesłuchania, trzeba to wszystko przeanalizować i przekazać prokuraturze.

– Do tego mamy w Inspekcji E wystarczająco dużo ludzi. A o Woltera proszę się nie martwić. On to zrozumie.

Rath nadal udawał sceptycznego.

– Może powinienem się z tym jeszcze przespać. Kiedy akcja „Nocny jastrząb” się zakończy, będziemy mogli wrócić do tej roz...

– Obawiam się, że nie do końca mnie pan zrozumiał. – Lanke błyskawicznie przybrał znów ten ton, do którego przywykł Rath. – Jestem pańskim przełożonym, drogi panie komisarzu, i jeśli mówię, że jest pan najlepszym człowiekiem, którego mogę posłać do Inspekcji A, to nim pan jest. Niech się pan zgłosi do radcy kryminalnego Gennata w poniedziałek rano o punkt ósmej, zrozumiał pan?

– Tak jest, panie radco kryminalny. – Rath z trudem stłumił uśmiech i jego twarz przybrała typowo pruski wyraz: rozczarowanie skryte pod absolutnym posłuszeństwem.

Lankemu zdawało się to podobać. Uśmiechnął się.

– No, widzi pan – skwitował i poklepał Ratha po ramieniu. – A więc się rozumiemy. Poza tym... – Szef obyczajówki pochylił się do Ratha ostatni raz i znów zaczął szeptać. – Nie oczekuję wdzięczności. Proszę się cieszyć po cichu. Jutro jest pański ostatni dzień

pracy w moim departamencie. Nie chcę już pana więcej widzieć w Inspekcji E, mój przyjacielu.

Gdy wrócił do stolika, inni policjanci spoglądali na niego wyczekująco. Ledwo Lanke oddalił się wystarczająco daleko, Bruno przestał utrzymywać swoją ciekawość w ryzach.

– I co? – zapytał, wykonując gest głową w kierunku Lankego, który z pochyloną sylwetką sunął już w kierunku wyjścia. – Kiedy ten wielki dzień?

– Słucham? – Rath spojrział na niego pytającym spojrzeniem. Co to ma znaczyć?

– No, kiedy się pobieracie? – zapytał Wujek ze śmiertelnie poważną miną. Potem parsknął śmiechem. Dwóch pozostałych policjantów również się zaśmiało.



Kolejna krótka noc. Poszedł do łóżka około wpół do czwartej, o wpół do ósmej obudził go potężny łoskot dobiegający gdzieś z mieszkania. Elisabeth Behnke mówiła podniesionym głosem. Czyżby Weinert zapomniał na czas wyprowadzić swoje kobiety z domu? Pewnie nie trzeba było aż tak wiele, żeby doprowadzić Behnke do szału. W minionych dniach humor gospodyni stopniowo się pogarszał. Traciła panowanie nad sobą, nawet gdy szło o drobiazgi.

W Zamku musiał pojawić się dopiero o dziesiątej, więc próbował znów zasnąć, choćby na pół godzinki. Bezskutecznie. Ledwie zasypiał, znów rozlegał się krzyk. Dał za wygraną i wstał. Jedno spojrzenie w lustro wystarczyło, by wiedział, że wyglądał równie kiepsko co poprzedniego dnia. Cienie pod oczami pozostawały na swoim miejscu. Przynajmniej samopoczucie miał lepsze. Zjawy, które nękały go jeszcze wczoraj, zniknęły. Im dokładniej przywoływał w pamięci poprzedni dzień, tym lepszy stawał się jego humor. „W poniedziałek rano niech się pan zgłosi do radcy kryminalnego Gennata!” – to pierwszy rozkaz Lankego, który z chęcią wypełni.

Oczywiście rozmawiali o tym, gdy Bruno odwoził go do domu. Wujek jedynie kiwnął głową, kiedy usłyszał o dyspozycji Lankego. „Przecież Ci mówiłem” – skwitował. Rath siedział na swoim miejscu jeszcze przez chwilę, po tym jak czarny ford zatrzymał się przy Nürnberger Strasse. Pożegnanie w aucie wydało mu się pożegnaniem z Inspekcją E. Jak pożegnanie z kolegą, jakiego w nowym zespole już raczej mieć nie będzie.

– Jeśli te dziady w A będą Ci za bardzo działać na nerwy, to po prostu do mnie wpadnij – zawołał za nim Bruno. Następnie ford ruszył w dół Nürnberger Strasse.

Niebo jaśniało niesamowitym błękitem. Rath nie miał ochoty, żeby Elisabeth Behnke zepsuła mu ten poranek swoim złym humorem. Pogoda była w sam raz na śniadanie w Josty przy Potsdamer Platz, każdego ranka słońce padające na Lepziger Strasse świeciło tam bezpośrednio na taras kawiarni.

Nie powiodła mu się próba zejścia z drogi Elisabeth Behnke. Czego gospodyni mogła wczesnym rankiem szukać w łazience swoich lokatorów?

Kobieta spojrzała na niego gniewnie: siedziała w kucki przy otwartych drzwiczkach piecyka i pogrzebaczem wyciągała popiół.

– Dobrze się spało, panie komisarzu? – fuknęła.

Mężczyzna zignorował ton jej głosu.

– O, tak, bardzo dobrze, dziękuję – odparł, pewien że przesadną uprzejmością sprowokuje ją bardziej nim czymkolwiek innym. – Tylko jakieś hałasy mnie obudziły...

Cisnęła pogrzebaczem w popiół, aż ten wzbił się do góry, i wstała.

– Czy pan też chce wziąć kąpiel i poskarżyć się, że piec nie jest wyczyszczony?

Oto przyczyna tej porannej awantury. Rathowi trudno było uwierzyć w to, że Weinert szukał powodu do zwady.

– Ależ Elisabeth... – zaczął Rath.

– Nie mów do mnie Elisabeth! – Była naprawdę rozgniewana. – Możesz mi powiedzieć, co ma znaczyć ten bałagan?

Nadal nie rozumiał, co miała na myśli. Znów kucnęła przy piecu, wściekle grzebiąc prętem, i w końcu wyciągnęła długi, do połowy

spalony kawałek materiału. Ratha zdjęło przerażenie. To resztką jego garnituru!

– Zdradzisz mi, dlaczego wsadzasz ścierki do piecyka? I nie mów tylko, że to nie Ty! Weinertowi nie udało się dziś rano włączyć pieca przez to cholerstwo, więc pojechał do redakcji rozwścieczony i niewykąpany. Ale przecież Tobie to wszystko jedno! Nic Was nie obchodzi, bo przecież durna Behnke zawsze zajmuje się brudną robotą!

– Przepraszam. – Było mu naprawdę przykro. Dlaczego wczoraj nie zajrzał dokładniej do piecyka? – Zostaw, ja to posprzątam.

Wyciągnął rękę po resztkę materiału. Nagle kobieta zaczęła szlochać i skryła twarz w dłoniach czarnych od sadzy. Strzępki materiału upadły na podłogę. Behnke wydawała się zażenowana, że rozpłakała się w jego obecności. Najchętniej objąłby ją i uspokoił, ale byłaby to zarazem najgorsza rzecz, jaką mógł zrobić w tej sytuacji. Stał więc obok, bezradnie.

– Elisabeth, wszystko już przecież w porządku. Nie pomyślałem, chciałem wyrzucić tę starą ścierkę i...

Kobieta wstała i spojrzała na niego zapłakanymi oczami, czarnymi od rozmazanego tuszu.

– Dlaczego nie możesz zachowywać się po prostu jak dupek? – zapytała i zniknęła w drzwiach.

Spojrzał na panujący w łazience bałagan i westchnął. Potem zabrał się za porządki.

Dotarł do Zamku wcześniej niż zwykle, w biurze jeszcze nikogo nie było. Wykorzystał ten czas, żeby w spokoju przejrzeć listy zatrzymanych. W ich szpony wpadło też kilka z tych kobiet, których rozmowności zawdzięczali to, że akcja „Nocny jastrząb” w ogóle się

odbyła. Skrzeczącą Sylvię schwytali w Bar Noir, Czerwoną Sophie – w Blauer Holunder. Po tym, jak przed tygodniem zwolniono je z policyjnego aresztu, panie widocznie czuły się na tyle pewnie, że na powrót podjęły się wykonywania swojego zawodu. Rath mógł iść o zakład, że wróciły też do pozowania do zdjęć pornograficznych – czy to na stojąco, czy na leżąco. Tyle że nie w atelier Johanna Köni- ga, ponieważ ten nadal siedział w areszcie śledczym w Moabicie.

Gdy Skrzecząca Sylvia rozpoznała Ratha, splunęła na niego. Na początek zabrał się za grupę z Bar Noir, nie dlatego, że cieszył się na ponowne spotkanie z Sylvią Walkowski. Na liście znajdowały się dwa inne nazwiska, które po raz pierwszy zobaczył poprzedniego wieczora i które od razu wzbudziły jego ciekawość.

Nikita Iwanowicz Fallin oraz Witalij Piotrowicz Selenski – tak brzmiały pełne nazwiska obu mężczyzn. Ciekawsze okazały się no- tatki, które służba śledcza umieściła obok ich personaliów. Fallin, pierwszy na liście, czyli mężczyzna z blizną, został aresztowany w lutym 1926 roku za ciężkie pobicie. W następnej kolumnie, przy nazwisku Selenskiego, funkcjonariusz dopisał jedynie „jw”. A więc już wtedy ta dwójka była nierozłączna. I najwidoczniej bez wahania robiła użytek ze swoich mięśni.

Rath załatwił sobie pokój przesłuchań oraz stenotypistkę i polecił przyprowadzać do siebie delikwentów zgodnie z kolejnością na li- ście. Nie chciał się przed nikim obnosić ze szczególnym zainte- resowaniem, którym darzył Rosjan. Nim dotarł do dwójki mężczyzn, musiał przemaglować cały korowód mniej lub bardziej przemądrza- łych rzezimieszków, mniej lub bardziej niewinne głowy rodzin oraz jeszcze dać się opluć Skrzeczącej Sylvii.

Wreszcie.

Zadzwoił do policjanta z aresztu, żeby przyprowadził do pokoju przesłuchań pierwszego Rosjanina, i osłupiał. Początkowo wydawało mu się, że się przesłyszał.

– Co ma znaczyć, że już go nie ma?

Niemal wrzeszczał do słuchawki, co jednak nie wyprowadziło strażnika więziennego z równowagi. Rath słyszał szelest papieru, gdy jego rozmówca przeglądał dokumenty.

– Nikita Iwanowicz Fallin został dziś zwolniony – oznajmił strażnik. – Razem z innym Rosjaninem... – Znow rozległ się szelest. – ... Witalijem Piotrowiczem Selenskim.

– On też? – Teraz Rath wrzasnął naprawdę. – Kto, do diabła, na to pozwolił?

– Prezydent policji.

– Chyba nie chce pan powiedzieć, że Napo... że pan Zörgiebel osobiście się do pana pofatygował i wypuścił na wolność aresztantów.

– Oczywiście, że nie. Żeby to się stało, wystarczyły jego podpis i pieczętka.

– Kto panu przyniósł te zwolnienia?

– Leżały dziś rano w skrzynce. Tak jak przeważnie się dzieje w takich przypadkach.

– To znaczy?

– W przypadku trybu specjalnego. Krótco pan u nas pracuje, mam rację?

– Wiem tylko, że zniknęło dwóch ważnych świadków! – Rath znow podniósł głos. Ignorancka pruska hałastrą, pomyślał.

– Proszę się tak nie denerwować. Przecież ma pan adres. Może pan odwiedzić świadków w domu. Tak przeważnie robią pańscy koledzy.

Rath z hukiem rzucił słuchawkę na widełki, by nie zdążyć zasłużyć na zarzut znieważenia policjanta.

Sarkając ze złości, wyskoczył z pokoju przesłuchań. Wujek rozmawiał właśnie z jakimś mężczyzną, którego frak i cylinder wyglądały na mocno sfatygowane po nocy spędzonej w policyjnym areszcie. Obaj spojrzeli z zaskoczeniem, gdy Rath z impetem wpadł przez drzwi i zatrzymał się dopiero przy biurku Woltera.

– Możesz na chwilę przerwać? – zapytał Rath.

Wolter polecił mundurowemu stojącemu na korytarzu, żeby rzucił okiem na mężczyznę we fraku, i wyszedł z Rathem na zewnątrz. Zaciągnął go do wnęki prowadzącej na atrium.

– Co Ci odbiło? – syknął, gdy nikogo nie było w pobliżu. – Nie możesz ot tak sobie wpadać do mojego biura i przerywać przesłuchań.

– To nadal jest nasze biuro.

– Opuść sobie tę drobiazgowość! Mam nadzieję, że przychodzisz z jakąś ważną wiadomością.

– Przepraszam. Po prostu trudno mi uwierzyć w to, co dzieje się w tym miejscu!

– Najpierw się uspokój.

Rath opowiedział, co się wydarzyło.

– Tryb specjalny, powiadasz? – Wolter się zaśmiał. – A więc miałeś pecha!

Rath nie do końca zrozumiał.

– Ktoś wypuścił swoich kapusiów. Ci dwaj byli najwyraźniej wtykami któregoś z policjantów. To tutaj normalne, nie chcemy przecież, żeby nasi informatorzy siedzieli w pudle, nic nam wtedy po nich. Więc widocznie zadbano o to, żeby wyszli.

– Ale kto?

Wolter wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Policja polityczna, kryminalna... Mógł to zrobić każdy.

– Ale pewnie da się to jakoś prześledzić? Jak dorwę tego ignoranta, który wypuszcza na wolność facetów, których ja zamykam, to mnie popamięta.

Wolter pokręcił głową.

– Prześledzić? To jak walenie głową w mur. Gdy idzie o informatorów, to policjanci niechętnie odkrywają karty. Przeważnie wystarczy poufne pismo do prezydenta, on wystawia zwolnienie i gotowe.

– Przecież Zörgiebela w ogóle nie ma dziś na służbie.

– Prezydent policji jest zawsze na służbie, zapamiętaj to sobie. W każdą sobotę i niedzielę rano do jego mieszkania służbowego dostarczane są najpilniejsze dokumenty, które podpisuje przy śniadaniu.

– Prezydent policji przy śniadaniu zwalnia z aresztu ludzi, których my w nocy w pocie czoła wyłapaliśmy?

– No, nie przesadzaj. Nie wypuszczono żadnych przestępców. Zatrzymaliśmy na jedną noc ludzi, którzy znaleźli się w niewłaściwym lokalu. Bez nakazu aresztowania i tak nie mogliśmy ich przymknąć na dłużej.

– Siedzieli w areszcie niecałe dziesięć godzin. Nie bez powodu nie wypuściliśmy ich do domu wczoraj wieczorem. Byli już wcześniej karani! Obydwaj!

– Skoro wydaje Ci się, że jesteś na tropie jakiejś większej sprawy, to możesz przecież odwiedzić ich w domu.

– To samo powiedzieli mi w areszcie.

– No, widzisz.

– Nadal tego nie rozumiem. Dlaczego ten policjant najzwyczajniej nie ostrzegł swoich informatorów przed obławą? Dałoby się wtedy uniknąć tego przekrętu. – Rath przypomniał sobie, jak parę dni wcześniej w Haus Vaterland radził Krajewskiemu, by ten nie ruszał się z domu w sobotni wieczór.

– Ostrzec? Jak Ty to sobie wyobrażasz? Z zasady nie wolno ufać szpiclowi. To, że dla Ciebie pracuje, jest wystarczającym dowodem na jego brak charakteru. I komuś takiemu chcesz przekazywać poufne informacje? To już lepszy jest przekręt, jak sam to określiłeś.

To trafiło do przekonania Ratha. Postanowił, że lepiej nie będzie opowiadał Brunonowi o spotkaniu w Haus Vaterland ani o tym, że ostrzegł Krajewskiego.

– Wierz mi, nic w tym nieroztropnego, jeśli co jakiś czas zgarniemy takich typów. Pamiętasz jeszcze przeszukanie w domu cesarza Wilhelma? Takie sytuacje budują szacunek. Co jakiś czas trzeba naszym kapusiom przypomnieć, że stąpają po cienkim lodzie, w przeciwnym razie robią się zbyt niesforni. Poza tym sami zyskują na wiarygodności wśród swoich ziomków, jeśli od czasu do czasu mają na pieńku z glinami.

– Ale nie w przypadku, gdy są zwalniani wcześniej niż powinni.

– Nikt się o tym nie dowie. Dla ich kumpli z celi wygląda to tak, jakby szli na przesłuchanie, a potem byli przez nas maglowani. A po nieoczekiwanym zwolnieniu są swojemu przyjacielowi i protektorowi winni kilka przysług. Tak to działa. Musisz trzymać swoich informatorów krótko. Taki delikwent może się szybko zbiesić. Wtedy musisz mu pokazać, kto tu ustala zasady i decyduje o tym, czy ma kłopoty.

Niedługo później Rath znów siedział w pokoju przesłuchań i kontynuował sprawdzanie listy. Nazwisko po nazwisku. Żadna z pozo-



stałych osób schwytyanych w „Bar Noir” nie została zwolniona przedterminowo, więc polecił przyprowadzać do siebie jedną po drugiej. Przesłuchania nie przyniosły szczególnych rezultatów, ale bądź co bądź udało mu się przekazać paru delikwentów innym jednostkom. Same płotki. W tej kolorowej czeredzie nie znalazł się nikt, kto pociągał za sznurki przestępczości zorganizowanej. Ostatni dzień Ratha w Inspekcji E był jednym z najnudniejszych. Coraz trudniej przychodziło mu skoncentrowanie uwagi. Czuł, jak mentalnie powoli żegnał się z obyczajówką.

Jego myśli krążyły już wokół Inspekcji A. Znaczyło to tyle, że myślami był właściwie przy wyjątkowo pięknej kobiecie pracującej w Inspekcji A.

Musiał poczekać. Nie dość, że jego cierpliwość została wystawiona na poważną próbę, to po jakimś czasie ludzie zaczęli mu się nieco dziwnie przyglądać, gdy stał tak przy ogrodzeniu otaczającym budowę i co chwilę spoglądał na czerwony budynek prezydium. Przyjął to jako sprawiedliwą karę za swoje wczorajsze idiotyczne zachowanie. Jednak po jakimś czasie jego opanowanie zostało nagrodzone. Energicznym krokiem ruszył w stronę luki pomiędzy płotami, które bezpiecznie prowadziły pieszych przez gąszcz budów i kierowały ich na dworzec Alexanderplatz. Rath skrył się w rogu u zbiegu dwóch ogrodzeń i czekał, aż ona będzie przechodzić obok. Nie zauważyła go. Trudno było dotrzymać jej kroku. Ofuknęło go kilkoro przechodniów, na których wpadł. W końcu ją jednak dogonił i gdy się już z nią zrównał, wręczył jej bukiet róż, który niecałą godzinę wcześniej kupił na dworcu.

Gdy zobaczył, jak na twarzy Charly w szybkim tempie zmieniały się emocje, z miejsca chciał ją wziąć w ramiona. Najpierw dało się

zauważyć zaskoczenie, potem, gdy już go rozpoznała, coś na kształt oburzenia, po którym na jej twarzy zawitał uśmiech i toczył pojedynek z rozzłoszczoną miną. Charly na chwilę się wprawdzie zatrzymała, ale potem popędziła dalej. Rath ruszył za nią, wymachując różami i przywołując swój najbardziej czarujący uśmiech, mówiący „przecież wszyscy mężczyźni są jak mali chłopcy”. To przyczyniło się do definitywnego zwycięstwa radości na jej twarzy. Gdy zobaczył jej dołeczki w policzkach, wiedział już, że wygrał. Mógłby krzyknąć głośne „hura!”, ale się powstrzymał. Zatrzymała się.

– A już myślałem, że czeka mnie maraton – powiedział i wręczył jej kwiaty.

– Wyspany? – zapytała z uśmiechem, a jego dusza skakała z radości.

– Po co? Wyśpię się na koniec miesiąca.

W końcu wzięła od niego kwiaty i je powąchała.

– Są piękne. Sam je zrywałeś?

– Świeżo zabrane z magazynu dowodów rzeczowych.

– I co mam z nimi teraz zrobić? Nigdzie nie widzę wazonu.

– Nie mieli już żadnego na stanie.

Zaśmiała się.

I wtedy wreszcie wziął ją w ramiona.

Chwilę później stali już na Dirckenstrasse przy aucie Weinerta. Dziennikarz wyświadczył mu tę uprzejmość po tym, jak podczas rozmowy telefonicznej Rath obiecał, że przekaże mu poufne informacje o wczorajszej obławie. Pismaki jeszcze w ogóle nie wiedziały o akcji policyjnej. Weinert nie zwlekał długo i przyniósł mu kluczyki do samochodu. Oczywiście nie przyniósł ich do Zamku, spotkali się na piwo w Letzte Instanz. Potem obaj wrócili do swojej pracy – Weinert

do redakcji przy Kochstrasse, a Rath, z kluczykiem w kieszeni, do prezydium. Pozostałe nazwiska z listy odhaczył w okamgnieniu.

A teraz stał przy buicku, brzęczał pękiem kluczy i cieszył się widokiem wielkich oczu Charly.

– To Twój? – zapytała.

– Za każdym razem, kiedy chcę zaimponować jakiejś kobiecie, ułatwiam sobie auto.

Niczym wytrawny szofer otworzył drzwi od strony pasażera i zaprosił ją do środka.

– Dziękuję, Janie. – Wysunęła podbródek, a jej głos zabrzmiał dziwnie nosowo. – Może pan wcześniej skończyć dziś pracę. Gdy umyje pan auto, proszę przyjść do mojej sypialni.

– Oczywiście, łaskawa pani!

– Jestem panną!

– Panną? No, cóż, skąd miałbym...

– Niech pan nie będzie arogancki! – Pokręciła z oburzeniem głową. – Pff! Ach, Ci dzisiejsi służący! Taka bezczelność byłaby nie do pomyślenia za czasów cesarza!

Co prawda, to prawda. Szofer ośmielił się i ucałował łaskawą panią w usta, włączył silnik i ruszył. Najpierw pojechali na Moabit, przecież trzeba było wstawić róże do wody. Nie przyznawał się, że jest też ciekawy, jak mieszka. Wybrał trasę turystyczną, przejechał obok pałacu, a potem przez Unter den Linden, pod Bramą Brandenburską, minął Reichstag i kolumnę Zwycięstwa, a następnie przedostał się na drugą stronę Sprewy. Jechali z otwartym dachem. Gdy widział ją, jak siedzi obok niego, głośno się śmieje, a jej czarne włosy fruwały wokół jej twarzy, to myślał sobie, że z radości mógłby zacząć latać.

Niestety, podróż na Spenerstrasse zajęła niecały kwadrans. I na dodatek musiał zaczekać w aucie.

– Tak będzie lepiej – powiedziała. – Greta jeszcze o Tobie nie wie. Wolałabym, żeby nie padła na zawał. Nie ma ostatnio najlepszego zdania o mężczyznach.

Po niedługim czasie wróciła. Nie był do końca pewien, ale mógłby pójść o zakład, że poprawiła makijaż. Poza tym miała na sobie inny płaszcz.

– To gdzie teraz? – zapytała.

Spojrzał na zegarek.

– Dochodzi ósma. Wydaje mi się, że nadszedł czas na kolację. A skoro mamy już auto, to możemy wybrać się za miasto. W końcu jest niedziela.

Restauracja Bellevue znajdowała się tuż nad jeziorem Tegel. Siedzieli na tarasie i przyglądali się zachodzącemu słońcu.

– Ładny ten Twój nowy garnitur – powiedziała.

Rath wzruszył ramionami.

– Tak sądzisz? Potrzebowałem czegoś nowego do pracy. A to dlatego, że jutro jest mój pierwszy dzień w nowej inspekcji.

Jej mina była bezcenna.

– Nie! – rzuciła.

– Owszem! – Ucieszył się, widząc jej zaskoczenie. – Punkt ósma mam się zgłosić do Gennata. To rozkaz wydany osobiście przez Lankego.

– Będzie ciężko. Przecież będziemy wciąż na siebie wpadać.

– Bywają gorsze rzeczy.

– Wiesz, o czym mówię – westchnęła. – Nikt nie może nas zobaczyć razem. Oficjalnie w ogóle się nie znamy. Będę musiała zwracać

się do Ciebie per pan.

– To powinniśmy jak najszybciej wypić bruderszaft! Mam oczywiście na myśli bruderszaft wypity w obecności wszystkich naszych kolegów.

– Gereonie, na Boga! Zupełnie nie wiem, czy dam radę. – Wyglądała na poważnie strapioną.

– Przecież jutro nie pracujesz.

– Na szczęście! Mam przynajmniej jeszcze parę dni, żeby psychicznie przygotować się do nowej sytuacji.

– To tylko przejściowe. Nie mam pojęcia, jak długo trwają takie występy gościnne. – Nie chciał mówić jej wszystkiego, przede wszystkim tego, jaką rolę w tej całej sprawie odegrał jego ojciec.

– Jak się przyzwyczaję do tego, że jesteś z nami, to masz już zostać. – Wzięła łyk rieslinga. – Nasza inspekcja tylko na tym skorzysta. Jest tylu idiotów w A, nawet sobie nie wyobrażasz.

– Chyba jestem w stanie. W Inspekcji E też jest ich wielu. – Pomyślał o Lankem. – Pewnie w całym Zamku ich nie brakuje.

– No, cóż, przynajmniej jeden odejdzie. Ten padalec zarozumiały do granic możliwości.

– Erwin Roeder.

Przytaknęła z uznaniem.

– Jesteś dobrze poinformowany! Czyżbyś teraz częściej jadał w kantynie?

– Historia Roedera znana jest też w Aschingerze.

– Czy wiedzą tam też, że nie tylko opuszcza A, ale również odchodzi z policji?

– Zastanawiałem się, czy nie powinienem złożyć aplikacji na jego miejsce.

– Byłoby świetnie, gdyby się udało, ale to na nic. Z tego, co sły-  
szałam, Napohybel już kogoś znalazł na to stanowisko. Pewnie kolej-  
ny wazeliniarz albo ktoś ze znajomościami. W każdym razie Gennat  
jest ponoć umiarkowanie zadowolony.

Dla Ratha sprawa była teraz jasna – na pewno złoży aplikację. Nie  
chciał, żeby Charly miała go za wazeliniarza albo kogoś, kto ma zna-  
jomości.

– Wydawało mi się, że Gennat bierze wyłącznie najlepszych.

– Owszem, ale może wybierać tylko spośród tych kandydatów,  
których podsunie mu prezydent policji. A że Roeder już poszedł na  
urlop, to potrzebujemy ludzi natychmiast.

– Czasami odnoszę wrażenie, że Inspekcja A pożera funkcyjna-  
riuszy jak Kronos swoje dzieci.

Uniosła brwi z uznaniem.

– Fiu, fiu! Widzę, że ktoś tu ma wykształcenie humanistyczne.

– Mieszkańcy Kolonii znają się na antycznych bogach. Bądź co  
bądź jesteśmy potomkami starożytnych Rzymian.

– Na razie faktycznie wyciskamy siódme poty z mnóstwa funkcyjna-  
riuszy. Pamiętasz akcję „Wodnik”, o której Ci ostatnio opowiada-  
łam? W międzyczasie udało się szczegółowo ustalić, jak samochód  
z ciałem trafił do kanału. Znamy przyczynę śmierci oraz miejsca na  
ciele, w które wstrzyknięto narkotyki...

– Wkłuć było więcej?

– Tak, widocznie faszcerowali go nim powoli. Potrafimy niemal  
w całości zrekonstruować ostatnie godziny życia tego nieboraka.  
Udało nam się to dzięki niesamowitemu zaangażowaniu w pracę.  
Nadal jednak nie wiemy, jak się ten nieszczęsny facet nazywał. Ani  
dlaczego musiał zginąć.

– I Zörgiebel wciąż nie daje Wam spokoju?

– Dzwoni, ale rzadziej niż przed tygodniem. Gdy prasa zapomina o jakiejś sprawie, to dla prezydenta też z czasem staje się mniej istotna.

– To odłóżcie ją do akt.

– To samo Böhm zaproponował staruszkowi. Powiedział, że są ważniejsze niewyjaśnione przypadki śmiertelne, którymi mógłby się zająć wydział zabójstw. Ale Zörgiebel nawet nie chciał słuchać, więc Böhm musi dalej badać sprawę i gromadzić informacje, które nie przybliżają nas do rozwiązania ani o krok.

– Pewnie udało Wam się już zebrać pokaźną górę akt.

– Tak. Powoli robi się bałagan. Moim zdaniem większość z tych dokumentów jest całkowicie niepotrzebna. Nawet nie wiesz, ile osób z okolic Tempelhofer Ufer przesłuchaliśmy. Zebraliśmy niezliczone zeznania, ale wśród nich brak takich, które mogą pomóc w znalezieniu potencjalnego sprawcy.

Mówiąc to, wpadała w autentyczną furję. Gdy patrzył tak na nią, poruszoną, a jednocześnie w swoim żywiole, to chciał od razu się na nią rzucić. Jednak zamiast tego sączył kawę i dalej się jej przysłuchiwał.

– Bądź co bądź mamy już dwoje świadków, którzy niezależnie od siebie zaobserwowali tę samą sytuację: dwóch mężczyzn, którzy pomagają trzeciemu wejść do kremowego auta zaparkowanego przy Möckernstrasse nieopodal mostu.

Rath wyostrzył słuch.

– Dwóch *mężczyzn*? – upewnił się niemal odruchowo. W sprawie Kardakowa jego ciekawość jeszcze się nie wyczerpała. W głowie zobaczył scenę, w której Aleksiej Kardakow wraz z Swietłaną Sorokinową zabierają Borysowi złoto, a następnie pozbywają się jego ciała.

– Dwóch mężczyzn, tak właśnie zeznано. Dlaczego pytasz?

– Bo z jakiegoś dziwnego powodu zawsze wychodzi się z założenia, że przestępcami są mężczyźni. Zbyt szybko wyklucza się możliwość, że czynu dopuścić się mogła kobieta.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Coś w tym jest – przyznała. – Kobiety są nieustannie dyskryminowane. I to we wszystkich obszarach zawodowych, nawet wśród kryminalistów.

Gdy Rath dotarł do domu, budynek przy Nürnberger Strasse był już spowity ciemnością. Musiał odwieźć Charly na Spenerstrasse, bo na to nalegała. Noc spędzą oddzielnie. Jednak długo siedzieli w aucie przed domem i się całowali. Rath dałby głowę, że Greta – jeśli choć raz przypadkiem wyjrzała z okna – widziała więcej, niż gdyby poszedł z Charly do mieszkania. Ale skoro Charlotte miała swoje zasady, to on chciał je uszanować.

Wyciągnął kluczyk ze stacyjki po tym, jak zaparkował buicka tuż przed wejściem do domu i podniósł dach. W ciągu ostatnich nocy często zdarzały się burze, więc trzeba było uważać. Teraz również w powietrzu unosiła się nieprzyjemna duchota.

W domu panował całkowity spokój. Zapukał cicho do drzwi Weinerta. Żadnej reakcji. Czyżby nadal siedział w redakcji? Zastukał ponownie, ale także bez odpowiedzi. Rath otworzył drzwi do pokoju kolegi. Na jego miejscu Weinert zrobiłby to samo. Strumień światła z korytarza padł na puste łóżko. Dziennikarz rzeczywiście nie wrócił jeszcze do domu. A może to on miał przyjaciółkę, u której mógł spędzić noc? Rath westchnął na myśl o Charly, która leżała teraz sama w łóżku.



Dłonią po omacku poszukał włącznika światła na ścianie przy drzwiach. Skoro w domu i tak nie było nikogo, to po co miał tłuc się po ciemku i nie daj Boże walnąć piszczelem o krzesło, które może stoi gdzieś na środku pokoju. Zapalił światło i zobaczył, że wszystko jest na swoim miejscu. Pokój Weinerta wyglądał tak jak zwykle. Z boku stało puste łóżko, pod oknem – biurko z krzesłem. Szafa Weinerta wyglądała równie monstrualnie jak ta, którą miał w swoim pokoju. Najbardziej rzucającą się w oczy różnicą w wyposażeniu były biurko i wielki regał na książki.

Gdzie położyć kluczyki? Nieład na biurku wydawał się za duży, by odkładać tam coś jeszcze. Nagle jego uwagę zwróciła maszyna do pisania. Może położyć klucz na klawisze? Ktoś, kto pracuje jako dziennikarz, na pewno tego nie przeoczy. Na wałku maszyny nadal znajdował się arkusz papieru. Rath podszedł bliżej i zobaczył, że kartka jest całkowicie zapisana, zupełnie jakby Weinert zapomniał o niej po kłótni z Behnke. Może siedział w redakcji i pluł sobie w brodę, że jej nie wziął?

Rath chciał się już odwrócić, żeby znaleźć sensowny schowek na kluczyk do samochodu, gdy nagle w oczy rzuciły mu się słowa w nagłówku artykułu: „Czerwona Twierdza”.

Po chwili sobie przypomniał, gdzie spotkał się z tą nazwą. Oczywiście, to stowarzyszenie, o którym mówił mu dyrektor generalny Seegers. Czerwona Twierdza, tajna organizacja komunistyczna, do której należał Kardakow.

„Czego chce Czerwona Twierdza?” – tak brzmiał cały nagłówek artykułu.

Rath był zdziwiony. Skąd Weinertowi przyszło do głowy, żeby zajmować się tą samą komunistyczną sektą, którą on napotkał w trakcie śledztwa w sprawie Kardakowa? Dziwny zbieg okoliczno-

ści. Po chwili zaświtało mu w głowie. Wyjaśnienie było tak oczywiste, że najwyraźniej ktoś musiał podetknąć je mu pod nos.

Berthold Weinert znał przecież Aleksieja Kardakowa.

Dziennikarz mieszkał przy Nürnberger Strasse od ponad roku. Przez rok był też sąsiadem zaginionego Rosjanina! Rath mógłby iść o zakład, że Berthold Weinert wiedział o swoim sąsiedzie więcej, niż Elisabeth Behnke wiedziała o swoim lokatorze. W końcu pracował jako dziennikarz.

A więc siedział twarzą w twarz z legendą – bo kimś takim był radca kryminalny Ernst Gennat. Szefa wydziału zabójstw nazywano Buddą, po części z uwagi na jego stoicki spokój, ale bardziej przez wzgląd na tuszę, która sprawiła, że co zuchwalsze osoby z jego otoczenia nadały mu przydomek „Pełny Ernst”. Jego słabość do ciasta znana była w całym mieście. Dawniej często dochodziło do sytuacji, że furgonetkę jadącą na akcję kazał zatrzymywać przed cukiernią i dopiero ze sporym zapasem ciasta w bagażniku ruszano na miejsce przestępstwa. Od tamtych czasów minęło już kilka lat, teraz Gennat bardzo rzadko wyjeżdżał na akcje. Nie było takiej potrzeby, ponieważ w wydziale zabójstw, który stworzył na Alexanderplatz, pracowali wyłącznie najlepsi funkcjonariusze, więc mógł się pochwalić najwyższym wskaźnikiem wykrywalności w całym Zamku. Gennat najczęściej przesiadywał w swoim biurze, które wystrojem przypominało salon, jadł ciasto i pociągał za wszystkie sznurki. Znał wszystkie śledztwa i nadal sam przeprowadzał wyjątkowo skomplikowane przesłuchania. Jego psychologiczna wnikliwość była sławetna. Potrafił nakłonić do mówienia nawet najzuchwalszych zbirów.

Rath nie miał żadnych wątpliwości co do talentu Buddy, zwłaszcza teraz, gdy siedział naprzeciwko niego – policjanta, którego prześcigała jego własna reputacja. Gennat sprawiał wrażenie spokojnego i prawie sennego, nosił podwójny podbródek ze swoistą dumą. Jednak Rath nie dał się zmylić, z łagodnej twarzy spoglądało dwoje

czujnych oczu, które z zaciekawieniem przyglądały się nowemu komisarzowi.

Nie skierowali się do biurka, lecz usiedli przy stole, przy którym stały dwa zielone fotele i zielona wysiedziana sofa. Drzwi do sekretariatu otworzyły się i do gabinetu weszła Gertrud Steinert, długoletnia sekretarka Gennata. Kobieta szła w kierunku stołu, balansując tacą, na której znajdowały się herbata i wybór najrozmaitszych ciast. Gdy nalewała im herbatę, Gennat osobiście wziął się za nałożenie słodkości. Rath poprosił o tylko o orzechowe, więcej nie dałby rady przełknąć o tej porze. Z kolei Gennat nałożył na swój talerz ogromny kawałek tortu agrestowego.

– Dziękuję, Gertrud. – Gennat zatopił się w zielone obicie fotela. – Smacznego, panie Rath – powiedział i wziął łyk herbaty. – Jest pan w Berlinie od niedawna?

– Niecałe dwa miesiące.

– W której inspekcji pan pracuje?

– E.

– A wcześniej mieszkał pan w Kolonii?

– Tak.

– Prowadził pan już śledztwo w sprawie morderstwa?

– Wielokrotnie. W Kolonii nie mamy stałych pracowników wydziału zabójstw jak tutaj, ale mamy specjalistów. W przypadku zabójstw brano przeważnie mnie. – Sprzedaj się najlepiej, jak to możliwe, pomyślał.

Gennat sprawiał wrażenie niewzruszonego.

– Bardzo polecano mi pańską kandydaturę. Prezydent policji znał pana już wcześniej?

– Owszem. Pan Zörgiebel był moim przełożonym w Kolonii. To on powierzał mi wówczas prowadzenie śledztw.

Gennat przytaknął i napoczął widelczykiem ciasto. Rath wykorzystał przerwę i wziął gryz orzechowca. Pokiwał głową z aprobatą. Najlepszy, jaki dotąd jadł w Berlinie. Gennat wiedział, gdzie się zaopatrywać.

– A więc dobrze, panie Rath, na początek dołączy pan do grupy, która jest już wdrożona. W śledztwie „Möckernbrücke” przydadzą nam się każde ręce do pracy.

Śledztwo „Möckernbrücke” było oficjalną nazwą sprawy „Wodnik”. Odpowiedzialne zadania? Dobrze sobie! Zresztą, ta obietnica była zbyt piękna, by okazała się prawdą. A więc chodziło o wykonywanie brudnej roboty. Rath próbował jakoś przełknąć rozczarowanie i sięgnął po filiżankę herbaty.

– Ta sprawa nastrecza nam obecnie mnóstwo problemów – ciągnął Gennat. – Niezidentyfikowane ciało. Pewnie pan o tym słyszał, w zeszłym tygodniu poinformowaliśmy o tym pozostałe inspekcje. Wszystkie gazety pisały o tej sprawie...

Rath przeczuwał, co zaraz nastąpi. I miał rację.

– ...niestety również to nie pomogło koledze Böhmowi w zebraniu przydatnych wskazówek. Jednak Böhm ma ogromne doświadczenie. Będzie mógł pan się od niego wiele nauczyć.

A więc poczciwy Zörgiebel wywiódł w pole swojego dobrego znajomego Engelberta Ratha. Próba dla nowego komisarza? Nic podobnego! Prezydentowi chodziło o to, żeby włączyć możliwie najwięcej osób do pracy przy śledztwie, w które się sam zaangażował.

– Niech pan mi wierzy, panie radco kryminalny, to dla mnie wielki zaszczyt móc pracować w wydziale zabójstw.

– Niech pan nie uderza w takie wysokie tony, drogi panie Rath! To żaden zaszczyt, to cholerna orka, powinien pan to wiedzieć. Już teraz może się pan pożegnać z normowanym czasem pracy...

Drzwi gwałtownie się otworzyły i do pomieszczenia wpadła Gertrud Steiner. Bez imbryka. Gennat podniósł zirytowane spojrzenie.

– Co się stało, Gertrudko? Prosiłem przecież, żeby mi nie przeszkadzać.

– Panie radco kryminalny, dlatego właśnie przychodzę! Bo *muszę* panu przeszkodzić! Dzwoni telefon. Powinien pan go odebrać!

– Proszę mnie zatem połączyć. – Gennat wstał, a sekretarka poszła z powrotem do siebie. Ledwie zamknęła drzwi, na biurku Gennata zadzwonił telefon. Budda podniósł słuchawkę.

– Tak?

Jego wzrok, który jeszcze chwilę wcześniej tęsknie spoglądał na ciasto pozostawione na talerzyku, nagle stał się poważny.

– Gdzie? – zapytał i chwycił ołówek. – ...Kiedy? – Ołówek drapał po papierze. – ...Nie. Nie będziemy tym niepokoić Böhma. Ma już wystarczająco dużo spraw na głowie. Zörgiebel i tak co dzień ciosa mu kołki na głowie.

Gennat nadal pisał ołówkiem i milczał. Trudno stwierdzić, czy się przysłuchiwał, czy zastanawiał.

– Niech pan ściągnie Henninga i Czerwinskiego z obserwacji. To i tak bezcelowe. I niech da pan znać dochodzeniówce, resztą zajmę się ja.

Odłożył słuchawkę. Nieśpiesznym krokiem wrócił do stołu i usiadł przy swoim nakryciu. W milczeniu wsunął do ust kawałek tortu agrestowego i przeżuwał powoli. Chyba nadal się nad czymś zastanawiał. Potem odłożył widelczyk na talerz.

– Drogi panie Rath, proszę zapomnieć większość tego, co panu wcześniej powiedziałem. – Gennat spojrzał Rathowi prosto w oczy. – Czy jest pan gotów pokierować śledztwem w sprawie zabójstwa?

Furgonetka wydziału zabójstw czekała już z włączonym silnikiem, gdy Rath i Jänicke wypadli na atrium. Wyprosił u Gennata, by towarzyszył mu nowicjusz, a Lanke wyraził na to zgodę. Rath potrzebował przynajmniej jednej znajomej twarzy w swoim nowym wydziale i nie miał się co łudzić, że będzie mu towarzyszyć Bruno. Jeden asystent kryminalny ze starej ekipy to już zawsze jakiś początek. Już gdy wsiedli, Rath wyczuł atmosferę nieufności bijącą z wnętrza czarnego samochodu. Nic dziwnego. Dla prawie wszystkich mężczyzn siedzących w aucie był obcy. Kierowca i dwaj funkcjonariusze kryminalni patrzyli na niego wyzywająco. Nawet Jänicke nie spoglądał na niego przyjaźnie, uśmiechała się do niego jedynie stenotypistka. Na szczęście była to Christel Temme, a nie Charlotte Ritter.

– Dzień dobry pani, dzień dobry panom – przywitał się Rath, gdy opadł na tylne siedzenie. – No to zaczynamy.

Nie zdążył jeszcze zamknąć drzwi, a kierowca wcisnął gaz i wystrzelili przez bramę prowadzącą na Alexanderstrasse.

Rath siedział pomiędzy Jänickem a mężczyzną, który przedstawił się jako sekretarz kryminalny Paul Czerwinski. Był to niewysoki, otyły mężczyzna z zaczątkami łysiny, mniej więcej w wieku Ratha, ale z powodu przerzedzających się włosów wyglądał na nieco starszego. Był również dwa stopnie niższy rangą. Z przodu na miejscu pasażera siedział asystent kryminalny Alfons Henning. Jänicke przywitał się z nim, zwracając się do niego po imieniu. Był dryblasowatym mężczyzną, za jego okularami tańczyły bystre oczy. Obydwaj asystenci kryminalni znali się widocznie ze szkoły policyjnej. Promyczek nadziei. Może z czasem nastroje w zespole się poprawią.

Podróż nie trwała długo. Początkowo adres nic Rathowi nie mówił, ale furgonetka powoli zbliżała się do Schlesischer Bahnhof i okolica wydała mu się bardziej znajoma. Wóz wziął parę zakrętów,

dotarł do Koppenstrasse i zatrzymał się przed szeroką luką pomiędzy szeregiem domów. Duża tablica informowała, że spółdzielnia mieszkaniowa „Nova” wznosi w tym miejscu zespół widnych i nowoczesnych domków czynszowych. Płot zbity z desek zasłaniał widok na budowę.

Na poboczu stał wóz służby śledczej. Poza tym tylko dwóch szupo rozmawiających przy wjeździe na budowę wskazywało na to, że coś musiało się tu stać. Nie przystawał tam żaden pieszy. Nic dziwnego. Standardowa formułka, którą recytował każdy policjant pilnujący miejsca przestępstwa przed ciekawskimi, brzmiała następująco: „Proszę iść dalej! Nie ma tu czego oglądać!”. W tym przypadku odpowiadała rzeczywistości. Poza ogrodzeniem i dwoma policjantami faktycznie nie było na co patrzeć.

Mundurowi zaszalutowali, gdy z samochodu wysiedli funkcjonariusze wydziału zabójstw. Jeden z szupo został na miejscu, drugi zaprowadził śledczych na budowę. Panował tam marazm. Po lewej stronie stała koparka bez operatora w środku. Paru robotników siedziało na zalanej słońcem stercie desek, kilku stało na placu, ręce trzymali w kieszeniach. Jednak większość z nich zebrała się po drugiej stronie wykopu, przy nasypie z piasku, i spoglądała w głąb dziury. Na dole przy fundamencie również ustawiono się paru szupo, ale widocznie oprócz policjantów znajdowały się tam ciekawsze rzeczy do oglądania. Tuż przy wykopie policjanci ze służby śledczej rozpoczęli już pracę. W niewielkiej wannie rozrabiali gips, żeby zalać nim ślady butów.

Od grupy budowlańców odłączył się przysadzisty mężczyzna i podszedł do nich.

– To brygadzysta – powiedział szupo. – On wszystko państwu pokaże.



Robotnik przywitał się skinieniem głowy. Nosił na sobie białe robocze ogrodniczki i niebieski wełniany sweter, do którego przyczepiły się kawałki zastygniętego gipsu i betonu. Włosy miał siwe. Mrużył oczy od słońca, gdy spoglądał najpierw na Czerwinskiego, a potem na Ratha.

– No to chodźcie ze mną, panowie – powiedział i ruszył z miejsca.

Wprawdzie słońce świeciło, ale grunt nadal był śliski od deszczu, który padał przez parę ostatnich nocy. Mężczyźni przeklinali, gdy brygadzysta prowadził ich przez sam środek placu budowy. Wszędzie muł, breja i kałuże. W samochodzie mieli wszystkie możliwe sprzęty, nawet podręczne laboratorium chemiczne, ale o kaloszach nikt nie pomyślał.

Złe przeczucie, które towarzyszyło Rathowi już od początku, nasiłiło się, gdy zbliżali się do drugiej strony wykopu. Południowa strona placu budowy była odgrodzona płotem z desek. Za nim pięł się w górę ceglany mur jakiegoś smutnego podwórza.

– Gdzie go pan znalazł? – zapytał brygadzystę, który szedł tuż przed nim.

– Co znaczy „znalazł”? Zobaczyłem tylko, że chłopcy spaprali fundament, cała wylewka przypominała krajobraz górski. Powiedziałem im, żeby to zerwali, trzeba wszystko wylać porządnie! I wtedy zauważyliśmy nogę wystającą z betonu. Natychmiast pana wezwaliśmy, panie radco kryminalny.

– Komisarzu.

– Jak tam pan woli.

Ujrzeni to dopiero, gdy okrążyli wykop i stanęli na nasypie. Parę metrów za szupo sterczało z betonu coś czarnego: pomięty materiał, cały upaprany cementem. Niewątpliwie była to nogawka.

– Początkowo nam się wydawało, że ktoś stroi sobie żarty i wrzucił stare spodnie. Ale w nich jest ciało.

Rath przytaknął i zszedł do wykopu. Nie zwracał już uwagi na to, gdzie stawia kroki. Jego buty i tak były już do wyrzucenia. Druga para w ciągu kilku dni.

Szupo zasalutowali.

– Starszy wachmistrz Stürickow z komisariatu 87 – powiedział najwyższy rangą. – Panie komisarzu, posłusznie melduję, że w betonie znajdują się najprawdopodobniej męskie zwłoki.

– Jeszcze nie zostały wydobyte?

– Jeszcze nie, panie komisarzu. Czekałem na pojawienie się policji kryminalnej.

Rath przytaknął. Wzorowe postępowanie. Powoli nawet do zwykłych posterunkowych docierało, że zabezpieczenie śladów jest istotną częścią policyjnego śledztwa. Że też akurat tutaj trafił na kogoś, kto to rozumiał.

Czuł, jak ogarniała go nerwowość, powoli, ale niepowstrzymanie. Niemal dostał drgawek. Wokół niego stali policjanci, którzy spoglądali na niego jak zakłęci i czekali na jego polecenia. Komisarz kryminalny Gereon Rath przyjechał w to miejsce, aby wydawać rozkazy. Niech tak będzie, nie chciał ich przecież rozczarować. Nie da im ani chwili wytchnienia, żeby nie mieli za dużo czasu na rozmyślanie!

– Henning, niech mi pan tu poda aparat – zawołał z dołu. – Zanim zaczniemy to wszystko odsłaniać, potrzebujemy fotografii ze *status quo*.

Asystent kryminalny zarzucił aparat na ramię i zlął w dół po nasybie. Omal nie poślizgnął się przy tym na wilgotnej ziemi.

Rath zwrócił się do brygadzysty.

– Czy jest tu jakieś miejsce, w którym możemy w spokoju porozmawiać?

Niedługo później stanęli na sąsiednim podwórzu przy barakowozie zamkniętym na kłódkę. Obok dwójka dzieci grała w klasy.

– Musieliśmy go tu postawić – wyjaśnił brygadzysta. – Na budowie nie było już miejsca. No i co się stało? Oczywiście ktoś się włamał! – Nieporadnie kręcił kluczem w zamku. – Nie zdziwiłbym się, gdyby była to jakaś hołota mieszkająca w tym budynku. Sam element!

Wskazał ruchem głowy na dwójkę dzieci, zde gustowany. Rath nie musiał zadawać kolejnych pytań, żeby zachęcić mężczyznę do mówienia.

– Ukradli rower, a z naszej kasetki zniknęło jakieś dziesięć marek. Pańscy koledzy byli tu już w sobotę, ale niczego nie znaleźli.

Rath czuł się nieswojo, siedząc przy chybotliwym stoliku. Brygadzysta umieścił się naprzeciw niego, pomiędzy nimi znalazła się stenotypistka. Christel Temme miała już pod pięćdziesiątkę i daleko jej było do Charly, jednak brała na poważnie swój zawód, który polegał na stenografowaniu każdego wypowiedzianego słowa. Zadania, które wykraczały poza to, zostawiała tym cięższym głowom, w tym przypadku funkcjonariuszom wydziału kryminalnego.

Na początek Rath zebrał personalia mężczyzny: Edgar Lauffer, lat 57, zamieszkały przy Danziger Strasse. Potem rozpoczęło się właściwe przesłuchanie.

– No dobrze – powiedział komisarz. – A więc niech mi pan opowie wszystko od początku. Kiedy i w jaki sposób odkrył pan, że na budowie coś jest nie tak?

Brygadzysta podrapał się po głowie.

– Dzisiaj rano. Mam nadzieję, że nie oczekuje pan dokładnej godziny, co?

– Jeśli to możliwe, to owszem.

– Zaczynamy o szóstej. Najpierw obgaduję z załogą, co jest do zrobienia na dany dzień, i rozdzielam ludzi. Żeby każdy wiedział, co ma robić, a nie stał beczynnym w kącie, co nie?

Rath bawił się długopisem i przewracał oczami, stenotypistka nieustrudzenie sporządzała zapiski. Każdą sylabę.

– Mam mówić dalej? – Lauffer wydawał się nieco poirytowany.

– Niech pan mówi. – Rath zabrzmiał chyba równie litościwie co wielki inkwizytor. Lauffer zaczął się jękać.

– A więc... Mniej więcej za kwadrans siódma poszedłem do wykopu i zobaczyłem cały ten bajzel.

– Co pan zobaczył?

– Beton był cały... jak to opisać... wyglądał jak Alpy, a nie jak fundament.

– Kiedy wylewał pan fundamenty?

– W piątek. Pamiętam dokładnie. To było po wolnym dniu.

– A czy w sobotę beton był jeszcze w porządku?

Lauffer miętosił w rękach swoją czapkę. Z jego twarzy emanowały wyrzuty sumienia, nie tylko dlatego, że wykorzystał włamanie, żeby zagarnąć zawartość kasetki. Rath przypuszczał, że robotnicy spędzili większość soboty na picciu piwa i grze w skata, a prace na budowie nie posunęły się zbytnio do przodu. Inaczej nie mógł wyjaśnić zakłopotania brygadzysty.

– A więc? – dopytywał Rath. – Czy w sobotę beton był w porządku?

– Nie wiem.

– Ale przecież pan tu pracował.

- Tak, ale było to włamanie i cały ten zamęt...
- Nawet nie rzucił pan okiem na fundamenty?
- Zrobiłem to, spojrzałem, czy beton związał i w ogóle. W nocy przecież padało.
- Ale tego bajzlu, jak pan to nazwał, pan nie zauważył?
- Nie, właściwie nie, ale...
- A więc ciało mogło zostać umieszczone w betonie w sobotę albo niedzielę?

Lauffer wzruszył ramionami.

– Nie wiem. No, chyba że ktoś zerwał kawałek betonu, wrzucił ciało do środka i zalał na nowo, co nie? W sobotę zaczynał już wiązać.

– Ale byłoby to możliwe. I w sobotę też nic nie rzuciło się panu w oczy?

– Nie, to się zgadza. Zobaczyłem go dopiero dziś, cały ten bajzel.

– Po Laufferze widać było ulgę. – A więc to nie moi chłopcy narobili tego bałaganu, to jakiś morderca zniszczył naszą pracę. Oni przed niczym się już nie cofną, Ci przestępcy!

Gdy Rath opuścił barakowóz, żeby przyjrzeć się postępom akcji wydobywczej, był z siebie bardzo zadowolony. Rozmowa z brygadzystą nie mogła przebiec lepiej. W wykopie nadal próbowano wygrzebać ciało z betonowego grobu. Rath powierzył to zadanie Jänickemu, a sam z kolei dyrygował szupo. Zdążyli już ubabrać sobie mundury. Musieli uważać, żeby nie uszkodzić ciała, więc ostrożnie obchodzili się z młotkiem i dłutem. Od czasu do czasu dało się słyszeć jakieś stłumione przekleństwo. Zastygnięty, ale nadal wilgotny beton zostawiał na niebieskich mundurach nieładne plamy. Robotnicy rzucaли ukradkowe spojrzenia i podśmiewali się z policjantów. Wydoby-

to już korpus ofiary, teraz nadeszła kolej na głowę. Kawałek po kawałku odłupywali fragmenty betonu.

Rath podszedł do nich i po raz kolejny miał niepokojące uczucie, że wszystkie oczy skierowane są na niego. To zupełnie normalne, mówił do siebie, w końcu to Ty prowadzisz to śledztwo. Po chwili spojrzenia zwróciły się w inną stronę. Jakiś mężczyzna w szarym płaszczu – w prawej ręce trzymający skórzaną torbę, a w lewej kapełusz – szedł przez plac budowy, stąpając przez błoto niczym bocian. Rath już z daleka rozpoznał doktora Schwartza. Lekarz sądowy też nie pomyślał o kaloszach.

– Dzień dobry doktorze – przywitał lekarza, który rozglądał się dookoła, pewnie w poszukiwaniu jakiejś znajomej twarzy z wydziału zabójstw. Rath wyciągnął rękę i wyszedł mu naprzeciw. – Komisarz kryminalny Gereon Rath. Prowadzę to śledztwo.

Schwartz zmierzył go badawczym spojrzeniem.

– My się chyba znamy.

– Przelotnie. Z Hannoversche Strasse. Jakiś czas temu przywiozłem panu dwie ofiary majowych zamieszek.

Schwartz po chwili skojarzył.

– Ach, tak – powiedział, choć nie dał po sobie poznać, jakie uczucia wywołuje w nim to wspomnienie. – Obcowanie ze zwłokami tak się panu spodobało, że wciąż nie ma pan dość?

– To chyba dobrze, jeśli praca jest dla kogoś przyjemnością.

– Ma pan rację, mój przyjacielu, ma pan rację.

Gwiżdżąc marsz pogrzebowy, Schwartz zszedł do wykopu. Dziwak, pomyślał Rath i poszedł za nim.

Twarz nieboszczyka, mimo resztek cementu, wyłaniała się już dość wyraźnie. Niestety, beton mocno sponiewierał jego fizjonomię,

a brakująca gałka oczna sprawiała, że jeszcze bardziej przypominał karykaturę człowieka.

Tyle że jednemu z szupo, którzy wydobywali zwłoki, mimo wszystkich zniekształceń najwyraźniej udało się rozpoznać ofiarę. Stürickow, starszy wachmistrz z komisariatu 87, stanął jak wryty.

– O rety, nie wierzę własnym oczom! – wykrzyknął i cofnął się o krok. – To przecież Święty Józef! Nie ma się co dziwić, z nim to się musiało marnie skończyć! – Pokręcił głową ze zdumieniem. Gdy dostrzegł pytające spojrzenia osób stojących wokół, wzruszył ramionami i dodał: – Poznaliśmy się jeszcze w szkole powszechnej.

Święty Józef. Tak nazywano Josefa Wilczka, ponieważ znany był nie tylko jako wszechstronnie uzdolniony oszust, lecz także pobożny katolik. Nie miał żadnej rodziny, ale jego najemczyni, którą polecono ściągnąć do kostnicy, i starszy wachmistrz Stürickow od razu go zidentyfikowali. Gdy Jänicke zadzwonił z Hannoversche Strasse i przekazał mu tę wiadomość, Rath już zdążył zaopatrzyć się w akta z kartoteki przestępców i rozłożyć je na opustoszałym biurku Erwina Roedera. Jak na ironię był to dokładnie ten sam pokój, do którego Charly zaciągnęła go parę dni wcześniej. Nie był szczególnie duży, ale posiadał jedną decydującą korzyść względem jego wcześniejszego biura w Inspekcji E: Rath miał go wyłącznie dla siebie. Nawet sekretariat opustoszał, dawna sekretarka Roedera też wzięła wolne. Pewnie przepisywała na maszynie manuskrypt nowej książki byłego policjanta.

W przeszłości dochodzeniówka obfotografowała Wilczka z każdej strony. Niegdyś ten wątpliwy święty nosił jeszcze wąsy. Fotograf chyba zapomniał powiedzieć „Uśmiech, proszę!”, ponieważ Wilczek

spoglądał w obiektyw, jakby zaraz po sesji fotograficznej miał zamiar pożerać małe dzieci.

Komisarz gapił się w akta, jakby trafiły na jego biurko z jakiegoś złego snu. Przeczuwał to, odkąd weszli rano na teren zbrodni, a już pierwsze spojrzenie w dół do wykopu rozwiało ostatnie wątpliwości – to ten sam plac budowy. Tyle że tamtej feralnej nocy wszedł na podwórze od innej strony, południowej, od strony dziedzińca, na którym stał barakowóz.

Świadomość trafiła go jak cios pięścią prosto w twarz. Miał nadzieję, że nikt nie zauważył jego zdenerwowania albo przynajmniej złożył je na karb tego, że komisarz kryminalny Gereon Rath został rzucony na głęboką wodę, gdy Budda zlecił mu kierowanie śledztwem. Rath nadal nie mógł do końca uwierzyć w to, co się stało. Czyżby słyszał cichy chichot losu dobiegający zza najbliższych drzwi? To jego pierwszy oficjalny przypadek morderstwa w tym mieście, sprawa, na którą czekał. I ciało, które zakopał on sam, Gereon Rath we własnej osobie! Serdeczne gratulacje!

Również teraz w pustym, malutkim biurze Roedera bezustannie dręczyła go myśl, że to wszystko może być pułapką. Dlaczego Gennat wysłał do tego nieboszczyka właśnie jego? Czy jedynie z powodu braku pracowników w Inspekcji A? A może wszyscy już od dawna wiedzieli, co się stało, byli wtajemniczeni i tylko czekali, żeby popełnił jakiś błąd? Gdy się jednak nad tym dokładniej zastanawiał, za każdym razem dochodził do tego samego wniosku: nikt nie mógł niczego wiedzieć, a on musi się po prostu uspokoić i opanować swoje ataki paranoi.

Dzwonek telefonu wyrwał go z zamyślenia. Albo dzwonił Gennat, albo jeden z jego współpracowników zgłaszał się z terenu. Poza nimi



nikt jeszcze nie miał jego numeru. Sięgnął po słuchawkę, przygnębiony.

– Tak?

– Dzień dobry panie komisarzu! Pan Heinrich był tak miły i dał mi pański numer. Z tej strony Michael Lingen z „Tageblatt”. Jeśli nie ma pan nic przeciwko, to miałbym parę pytań...

A teraz ma jeszcze prasę na głowie! Co za idiota dał temu dziennikarzynie jego numer?

Nie widział powodu, by zachować się uprzejmie.

– A jeśli mam? – naskoczył na mężczyznę po drugiej stronie słuchawki. – Przypadkiem się składa, że mam dużo pracy.

– Przepraszam, jeśli przeszkadzam, panie komisarzu. Oczywiście, jest pan zajęty. Ostatnie dni w prezydium. Ale pomyślałem... w końcu jest to w pańskim interesie.

Ostatnie dni w prezydium? Co to ma w ogóle znaczyć? Czyżby ten facet chciał go zaszantażować?

– Co ma pan na myśli? – Rath w myślach zaciskał już pięści do walki.

– Mam na myśli to, co powiedziałem. – Dziennikarz nie brzmiał tak, jakby chciał go nabrać, raczej wydawał się trochę urażony. – W końcu wyniki sprzedaży pańskiej książki mogą być lepsze, gdy napiszemy o niej pochlebnie w „Tageblatt”, panie Roeder.

Rathowi wystarczyła chwila zastanowienia i miał już gotową właściwą odpowiedź.

– Czy wydaje się panu, że pruskiego funkcjonariusza można przekupić? – uniósł się. Udawane wzburzenie wyszło mu dość dobrze. – Sądzi pan, że z takiego powodu zamieniłbym z Wami, pismakami, choćby jedno słowo?

Rath trzasnął słuchawką o widełki. Nowe dzieło ekskolegi Roedera chyba nie wypadnie w opinii „Tageblatt” najlepiej.

Zdjęcie leżące na biurku przywołało go z powrotem do rzeczywistości. Josef Wilczek spoglądał na niego z taką zajadłością, jakby zarzucał mu winę za swoją gwałtowną śmierć. Twarz na fotografii wydawała mu się znajoma. Łatwiej było mu ją rozpoznać niż tę przynależącą do oszpeconego ciała czy tę, która tamtej nocy wyłaniała się z cienia ronda kapelusza.

Może tylko wąsy stanowiły różnicę. W każdym razie Rath miał nieodparte wrażenie, że już kiedyś spotkał mężczyznę ze zdjęcia. I to przed tym śmiertelnym wypadkiem. Nie miało jednak znaczenia, od której strony studiował twarz Wilczka, *en face* czy z profilu, mimo najszerszych chęci nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy i gdzie się na niego napatoczył. W rewirze Marlowa? A może już wcześniej? Rath odrzucił na bok tę myśl. W niczym mu ona teraz nie pomoże. Pewnie za często śnił mu się ten zmarły mężczyzna.

Inne rzeczy były teraz ważniejsze. Rath wiedział, że tak czy inaczej musi piekielnie uważać. Nie może pozwolić sobie na pomyłkę. A w tym przypadku paradoksalnie oznaczało to popełnianie możliwie jak największej liczby błędów. Błędów, które uniemożliwiłyby rozwiązanie sprawy, ale jednocześnie nie stawiałyby w gorszym świetle osoby kierującej śledztwem. Jeśli Rath miał nie rozwikłać tej sprawy, to musiał zrobić to w inteligentny i przekonujący sposób, a więc tak, by nikt nie miał go za partacza albo, co gorsza, nie nabrał podejrzeń i nie doszedł do prawdy. Zwłaszcza nie przełożony albo któryś z jego kolegów.

Rath się wzdrygnął. Po raz kolejny zadzwonił telefon.

– Policja kryminalna, komisarz Rath – zakomunikował, żeby tym razem unikać nieporozumień.

– Wydawnictwo „Nibelungen” – usłyszał kobiecy głos, który brzmiał, jakby jego właścicielka nie znosiła sprzeciwu. – Sekretariat doktora Hildebrandta, łączę...

Rath został przełączony, zanim zdołał coś odpowiedzieć. Jeszcze nigdy nie słyszał tego męskiego głosu, który odezwał się po drugiej stronie słuchawki.

– Co tam, mój drogi! Pilnie pracuje pan w ostatnie dni? Siedzę właśnie nad końcową korektą. Ten fragment, w którym pisze pan o judaizacji Aparatu policyjnego...

Rath mu przerwał.

– Pan doktor Hildebrandt, jak mniemam?

Po drugiej stronie zapadło milczenie. Wydawca potrzebował chwili, zanim zorientował się w sytuacji.

– Z kim rozmawiam? – zapytał, odchrząknąwszy.

– Z berlińską policją kryminalną. Jeśli chce pan zgłosić przestępstwo, to dobrze pan trafił. W przeciwnym razie polecam wybrać inny numer...

Doktor Hildebrandt się rozłączył.

Rath odłożył słuchawkę. Ze zdjęcia leżącego na biurku poprzednika spoglądała na niego twarz, zupełnie jakby chciała powiedzieć mu: „No, już! Zapomnij o Roederze! Zajmij się mną! Tu masz moje akta!”.

Święty Józef.

Że też musiał pogrzebać akurat świętego!

Berliński półświatek zwykł tytułować swoich członków imionami dopasowanymi do ich dominujących cech, więc zdecydowanie częściej można było napotkać Willisa Kasiarza albo Edesa Brzytwę niż właśnie świętego. Jednak znalezienie adekwatnego pseudonimu dla Wilczka nastroczyłoby trudności każdemu indiańskiemu plemieniu,

a to dlatego, że robił wszystko, ale niczego nie wykonywał porządnie. W aktach nie znajdowała się żadna jednoznaczna informacja, w czym się specjalizował. Najwyraźniej w ciągu tych wszystkich lat po wojnie obskoczył wszystkie fuchy, oczywiście wyłącznie te nielegalne. Za każdym razem go jednak przyłapywano. Słowo „miszmasz” zdawało się jakby idealnie stworzone na potrzeby rejestru kar Wilczka. Lista zaczynała się od zwykłych kradzieży, obejmowała też włamania, krzywoprzysięstwo oraz fałszowanie dokumentów, a kończyła się na ciężkich uszkodzeniach ciała. Łącznie uzbierały mu się dwa lata więzienia i pięć lat ciężkich robót, co bez wątpienia stanowiło dla niego świetną rekomendację do Beroliny.

To właśnie była najciekawsza informacja, którą Rath wyczytał z akt: Josef Wilczek należał do ringvereinu kierowanego przez Czerwonego Hugona, który to z kolei podlegał doktorowi M. Kolejna poszlaka świadcząca o tym, że to Johann Marlow nasłał na niego tego człowieka.

Oficjalne wnioski wyciągnięte przez Ratha z lektury akt Wilczka były jednak inne. Morderców powinno się szukać w kręgach przestępców. Na początek należało wybadać Berolinę. Zadanie w sam raz dla nowicjusza. Rath natychmiast wysłał Jänickego do dzielnicy Scheunenviertel, do Mulackritze, speluny, do której ściągali przestępcy, a która uchodziła za ulubione miejsce Czerwonego Hugona. Johann Marlow – Rath był tego niemal pewien – nigdy nie pojawiłby się w takim lokalu. Posłałby do środka co najwyżej swojego strażnika, żeby ten przyprowadził do auta szefa Beroliny. Niebezpieczeństwo, że nowicjusz wejdzie w paradę doktorowi M., było zatem niewielkie.

Fałszywy trop, który wyglądał obiecująco. Czego więcej mógł chcieć? Oczywiście również tego, by Czerwinski i Henning jak naj-

mniej wyciągnęli z ludzi mieszkających w czynszówkach mieszczących się pomiędzy Koppestrasse, Münchebergstrasse i Schlesischer Bahnhof. Tego jednak można było się tak czy owak spodziewać. Mieszkańcy dzielnicy nie należeli do szczególnie rozmownych, a już na pewno nie wtedy, gdy stawali przed policją. Miał nadzieję, że odhaczanie bloków okaże się dla obu ekspertów z wydziału zabójstw równie czasochłonnym, jak daremnym zajęciem. I że nie przyjdą im do głów głupie pomysły, żeby snuć własne rozważania i wyciągać jakiegokolwiek wnioski.

Rath zlecił Christel Temme przepisanie na czysto zgromadzonych zeznań budowlańców. Z jej strony nie groziło na razie żadne niebezpieczeństwo. Przesłuchanie brygadzysty nie mogło przebiec lepiej. Zeznanie Lauffera prawie w ogóle nie pozwoliło na określenie dokładnego czasu umieszczenia ciała w betonie. Robotnicy podawali jeszcze mniej precyzyjne informacje niż ich szef. Wnioskując z ich zeznań, zbrodnię popełniono raczej w sobotę albo niedzielę niż w piątek. A w oba te wieczory – jeśli sprawy miałyby zajść tak daleko – komisarz Rath dysponował niezbitym alibi, które potwierdzić mogli funkcjonariusze policji i jedna stenotypistka. Liczył, że nie będzie musiał robić z tego użytku, ale jeszcze nie zlikwidował wszystkich śladów, które prowadziły do jego osoby.

Telefon na biurku Roedera zadzwonił kolejny raz.

– Ringverein „Alexandria”. Usługi wszelkiego rodzaju. Kogo mogę dla Państwa zabić?

– Może pan zacząć od własnych żartów, panie Rath! Są tak stare, że powinno się im pozwolić umrzeć śmiercią naturalną.

Tym razem to chyba nie był żaden dziennikarz ani wydawca. Głos brzmiał znajomo.

– Z kim rozmawiam?

– Z tej strony Schwartz. Może pan wygospodarować trochę czasu i przyjechać na Hannoversche Strasse? Czy woli się pan nadal stroić sobie żarty przez telefon?

Lekarz sądowy. Rath odetchnął. Przynajmniej nikt z szefostwa.

– Szybko poszło! Udało się panu zakończyć obdukcję?

– Nie, ale pomyślałem, że może chce pan być obecny przy otwarciu zwłok. Miałyby pan pierwsze wyniki już dziś wieczór.

To pewnie jakaś próba odwagi. Medyk chce przetestować nowego i sprawdzić, czy okaże się mięczakiem, czy też sprosta wyzwaniu.

Rath postanowił, że podejmie rękawicę.

– Będę u pana za godzinę, doktorze. W porządku?

Nie upłynęły dwa tygodnie, odkąd przechodził przez te drzwi ostatni raz. Rath ponownie głęboko odetchnął, zanim wszedł do żółtego budynku przy Hannoversche Strasse. Tu wszystko się zaczęło. Mocnym pchnięciem otworzył drzwi prowadzące z holu do kostnicy. W drodze do sal obdukcyjnych musiał minąć szklaną ścianę, za którą wystawiono niezidentyfikowane zwłoki znalezione w Berlinie, niczym w jakimś makabrycznym gabinecie figur woskowych. Przez trzy dni prezentowano tu również Borysa, ale nie znalazł się nikt, kto by go znał. A raczej: nikt, kto chciałby go znać. Tymczasem Rath nabrał pewności, że w mieście jest parę osób, które znały imię i nazwisko zmarłego Rosjanina, ale widocznie miały ważne powody, żeby mimo to nie zgłosić się na policję. Choćby Aleksiej Kardakow albo Swietłana Sorokinowa. I pewnie Johann Marlow również.

Sala obdukcyjna była jeszcze zamknięta, Rath czekał pod drzwiami. Co czeka go tam w środku? Czy Schwartz chciał go tylko zszokować? A może znalazł coś, z czym chciał skonfrontować niczego niepodejrzewającego komisarza? Rath próbował przewyciężyć ponow-

ny atak paranoi. Ciemność, deszcz. Przecież nikt nie byłby w stanie rozpoznać mężczyzn stojących na podwórzu.

Nagle oprzytomniał, gdy drzwi wahadłowe się przesunęły i na korytarz energicznym krokiem wszedł doktor Schwartz z kitlem powiewającym za nim.

– Dzień dobry panie komisarzu – powiedział lekarz i podał mu rękę. – No to zaczynajmy.

Pęk kluczy zadźwięczał głośno, gdy doktor otwierał drzwi. Rath wszedł za nim do pomieszczenia, w którym na marmurowym stole leżało ciało przykryte prześcieradłem. Przyglądał się Schwartzowi, jak podchodzi do umywalki i starannie myje ręce. Na jego kitlu widać było tylko parę plamek krwi. Elegancka powierzchowność nie pasowała do zawodu ani do okrutnego poczucia humoru.

– To moje pierwsze zlecenie jako betoniarz – zakomunikował Schwartz, podszedłszy do stołu sekcyjnego.

– Wierzę panu. Zwłoki w betonie należą raczej do rzadkości, prawda? – Rath liczył, że Schwartz nie zauważy zdenerwowania, z którym przestąpił próg sali.

– Nie byłbym taki pewien, mój przyjacielu – odparł Schwartz. – W Berlinie dużo się buduje. A niektórych nie stać na porządny grób. – Puścił oko do Ratha. – Wolę nie wiedzieć, ile budowli w tym mieście wzniesiono na kościach. Ale temu niech dziwią się za tysiąc lat archeolodzy.

Lekarz odsłonił biały materiał. Wilczek wyglądał zdecydowanie czystiej niż wtedy, gdy leżał w wykopie.

– Pozwoliłem sobie nieco się przygotować – powiedział Schwartz. – Po to, żeby nie musiał pan marnować za dużo swego czasu.

Głowa Wilczka przypominała kufel piwa z otwartym dekle. Żeby dostać się do mózgu, Schwartz wyciął równiutki otwór w sklepie-

niu czaszki. Nie wyglądało to najgorzej, przynajmniej medyk oszczędził Rathowi dźwięku piłki do kości, a tego komisarz nie mógł ścierpieć. Zdecydowanie bardziej mu to przeszkadzało niż widok krwi czy oskórowanej twarzy, z której tępo spoglądały gałki oczne przypominające szklane kulki.

– Większość betonu znajdowała się na szczęście na ubraniu, dlatego też zanieczyszczenia na ciele są raczej umiarkowane – zakomunikował Schwartz. – Jeden kawałek znalazłem w ustach, ale trafił on tam już po zgonie. W ten sam sposób beton przedostał się do czaszki, przez tę dziurę. – Wskazał na pusty oczodół, który nadał twarzy Wilczka jeszcze straszliwszy wyraz.

Rath odetchnął. Doktor Schwartz nie tylko się przygotował, lecz także najwyraźniej dokładnie zbadał ciało. Lekarz chciał widocznie napędzić nowemu z Inspekcji A jedynie trochę strachu.

– Może pan powiedzieć coś więcej o przyczynie śmierci? – zapytał Rath. By przysłonić zdenerwowanie, odbębniał rutynowe pytania, które śledczy wydziału zabójstw na ogół zadaje lekarzowi medycyny sądowej.

– Na pewno nie było to zatrucie betonem, nawet jeśli tak to wygląda – powiedział Schwartz. Otworzył blaszaną puszkę i pokazał Rathowi pocisk umazany krwią. – Dostał tym w oko i nie wyszło mu to na dobre.

Rath przytaknął, błędząc gdzieś myślami i czując, jak robi mu się gorąco. Przeklęta kula! Mógł to przewidzieć. Oczywiście, że nabój utkwiał w głowie mężczyzny. A teraz doktor ją znalazł.

– Jest nieco zdeformowana, mogła trafić rykoszetem. A więc prawdopodobnie był to raczej wypadek niż celowy strzał – powiedział Schwartz i wrzucił pocisk z powrotem do puszki. Brzęknięcie



wytlumiła maź z krwi i mózgu. – To zadanie dla pańskich kolegów z balistyki – dodał lekarz, zamknął puszkę i podał ją komisarzowi.

– Ma pan stuprocentową pewność co do przyczyny śmierci? – zapytał Rath i wziął do ręki niepozornie wyglądający pojemniczek.

Schwartz wzruszył ramionami.

– Nie widziałem jeszcze nikogo, kto przeżyłby z takim kawałkiem metalu w mózgu. Nie widzę też żadnej innej przyczyny śmierci. Nasz nieszczęśnik trafił do betonu już po fakcie. Był już martwy, gdy go pochowano. Nic nie wskazuje na uduszenie, nie znalazłem też żadnych innych obrażeń, które mogłyby skutkować śmiercią. Jedyne krzywo zrosnięty nos. Na to się jednak nie umiera, a poza tym od złamania minęło już dobrych parę lat.

– Może pan zatem wykluczyć wszystkie pozostałe przyczyny śmierci? Na przykład zatrucie?

– Młody przyjacielu, jeśli bardzo pan nalega, mogę otworzyć żołądek. Ale niech mi pan wierzy, to nie będą perfumy.

– Wiem – przyznał Rath. – Ale to chyba nieodzowne.

Schwartz się zaśmiał.

– Podoba mi się pan! Pan się naprawdę niczego nie boi. Cóż, mogę pana uspokoić, panie komisarzu. To też już sprawdziłem. – Medyk zsunął prześcieradło za pępek. Ukazały się świeże nacięcia na klatce piersiowej i brzuchu nieboszczyka, zszyte prowizorycznie. – Zbadałem stan organów niezbędnych do życia, również zawartość żołądka. Nie znalazłem niczego nadzwyczajnego – resztki smażonej kiełbasy i piwo. – Z powrotem naciągnął prześcieradło. – Jest jednak coś, co może pana zainteresować! – Schwartz podniósł prawy nadgarstek Wilczka i trochę go przekręcił. – Przed swoją nagłą śmiercią nasz przyjaciel prawdopodobnie sam też strzelał. Pozostałości pro-

chu, więc mogą wskazywać na strzelaninę. Niech się pan nazbyt do tej wersji nie przywiązuje, to tylko jedna z możliwości.

– A kiedy zmarł ten nasz delikwent? – zapytał Rath. Monotonnie klepał rutynowe pytania jak kolejne zdrowaśki w kościele, automatycznie, nie słuchając własnych słów. A już na pewno nie słów doktora Schwartza. Jego myśli krążyły wokół innych kwestii.

Kula.

Ten kawałek metalu w puszcze, którą trzymał w ręce, to jak dotąd najgorętszy trop w tej sprawie. Nawet jeśli nie będzie się za bardzo przykładął do roboty, to pozostawało jedynie kwestią czasu, aż na jaw wyjdzie, że kula, którą doktor Schwartz wyciągnął z mózgu Wilczka, pochodziła z broni służbowej Gereona Ratha.

– Mam nadzieję, że to wystarczy, panie komisarzu.

– Słucham?

Słowa lekarza sprawiły, że nagle oprzytomniał. Schwartz spojrzął na Ratha znad oprawek okularów.

– Oczywiście otrzyma pan pisemny wynik oględzin, drogi panie, ale oczekuję, że będzie pan słuchał, co mówię! W końcu rozmawiam z komisarzem kryminalnym, a nie studentem medycyny. A może jestem w błędzie?

– Przepraszam, doktorze. – Rath odchrząknął. – Coś mnie rozkojczyło. Czy mogę prosić, żeby powtórzył pan swój wywód?

– Dla studenta bym tego nie zrobił. Mam nadzieję, że jest pan w stanie to docenić. – Schwartz poprawił okulary, a jego głos niespodziewanie nabrał urzędowego tonu. – Jak już mówiłem, z powodu silnego zanieczyszczenia otwartej rany nie mogę dokładnie oszacować momentu, w którym nastąpiła śmierć. Precyzyjne orzeczenie dodatkowo utrudnia fakt, że ciało znajdowało się w betonie, co też mogło opóźnić jego rozkład.

Rath przytaknął. Przynajmniej ten jego obłąkany pomysł z betonem na cokolwiek się zdał.

– Pewne jest jedno – ciągnął doktor Schwartz. – Ciało nie leżało długo na powietrzu. Niedługo po zgonie biedaka zabetonowano. Jednak momentu, kiedy dokładnie tam trafił, nie da się ustalić na podstawie ekspertyzy sądowo-lekarskiej. To mogło się stać parę dni temu, ale równie dobrze przed tygodniem.

– Dziękuję bardzo, doktorze.

– Pisemny wynik oględzin otrzyma pan jutro – powiedział Schwartz i zakrył porozcinanego Wilczka. – Znajdzie w nim pan również szczegóły dotyczące poszczególnych organów, o zawartości żołądka i tego typu apetycznych rzeczach...

Kula cicho postukiwała w puszcze, gdy Rath przechodził przez pomieszczenie ze szklaną witryną z powrotem do holu. Każde stuknięcie przypominało mu o bombie zegarowej, którą miał przy sobie.

„Mogła trafić rykoszetem”.

Zabłąkane pociski zdawały się go w tym mieście prześladować. Najpierw Krajewski na rusztowaniu, potem te dwie kobiety w Neukölln, za sprawą których w ogóle znalazł się w kostnicy, a teraz Wilczek. Ostatnia kula mogła okazać się gwoździem do jego trumny. Zgubnym środkiem dowodowym.

Rath przystanął w holu, kilka metrów od drzwi wejściowych. Jakaś myśl pędziła po jego głowie i musiał się zatrzymać, żeby ją uchwycić. Było to bardziej olśnienie aniżeli myśl. W każdym razie pojawiło się nagle, jak grom z jasnego nieba. Portier siedzący w swojej kanciapie z zaskoczeniem spoglądał na Ratha, gdy ten wyciągnął z płaszcza portfel, zajrzał do środka, po czym schował go z powrotem i podszedł do portierni.

– Gdzie jest toaleta? – zapytał.

– W tę stronę – odpowiedział portier i pokazał na wahadłowe drzwi prowadzące do pomieszczenia z witryną wystawową.

Niewielkie tabliczki wstydliwie wskazywały drogę. Gdy Rath otworzył drzwi, w wyłożonym kafelkami pomieszczeniu panowała cisza. Zdawało się, że nikogo tu nie było. Niemniej jednak dla całkowitej pewności zamknął się w kabinie i podniósł klapę muszli sedesowej. Znow wyciągnął portfel z płaszcza. Szybko wyjął z niego kulę wystrzeloną z pistoletu lignose i przez chwilę się jej przyglądał. Pocisk już dawno stał się dla niego czymś w rodzaju symbolu przyjaźni z Brunonem. W końcu ten uratował mu życie, gdy stali na wysokim budynku wznoszącym się ponad Hermannplatz. Teraz znalazło się lepsze zastosowanie dla naboju.

Rath otworzył puszkę i wrzucił kulę z mauzera do toalety. Rozległ się niewinny plusk, a potem ciche uderzenie, gdy metal opadł na ceramiczne dno. W wodzie pojawiły się czerwone smugi, powoli przybierając kształt bladoczerwonych obłoczków. Palcami wskazującym i środkowym Rath dotknął wnętrza pojemniczka i ubrudził jej zawartością opuszki, a następnie zaczął obracać w nich kulę. Gdy wyglądała już na wystarczająco wysmarowaną krwią, wrzucił ją do puszek. Balistycy i tak umyją ją przed badaniem, ale przynajmniej na pierwszy rzut oka będzie wyglądać tak, jakby dopiero co wyciągnięto ją z czyjegoś mózgu. Zakręcił puszkę i ją schował. Naciśnął spłuczkę i odczekał jeszcze chwilę, aż wir w toalecie nieco się uspokoi. Po pocisku nie zostało ani śladu, zniknął w berlińskiej kanalizacji. Może jakiś szczur przez przypadek go połknie, może wyląduje w oczyszczalni ścieków, a może po prostu na zawsze utknie na dnie kanału pod Hannoversche Strasse. W każdym razie nigdy nie trafi pod lupę balistyków służby śledczej.

Z kolei dla pocisku, który cicho obijał się o ścianki puzderka, nigdy nie znajdzie się żadna próbka. Broń, z której wystrzelono ten nabój, Bruno już na zawsze wycofał z użytkowania – stanowiła bowiem element umowy o pracę ze szpiclem Krajewskim. Badanie balistyczne w sprawie Wilczka zakończy się zatem fiaskiem.

Ta myśl niesłychanie uspokoiła Ratha, a jego nastrój poprawił się w mgnieniu oka. Najchętniej zagwizdałby radośnie pod nosem, gdy wychodził z kabiny, ale się opanował. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi. Wprawdzie z pozostałych kabin nie dochodziły żadne odgłosy i nie było też nikogo widać, ale kto wie. Zmył z palców krew, która zaczęła się już kleić, i wyszedł z toalety. Na korytarzu świeciło pustkami. Rath poszedł z powrotem do holu, pożegnał się, mijając portiernię, i wyszedł na zewnątrz. Zapadał już zmierzch.

Podzielił swoich ludzi na grupy. Czerwinski i Henning nadal działali w dzielnicy Stralauer Viertel i odhaczali wszystkie kamienice czynszowe w pobliżu placu budowy. Flip i Flap – tak w Zamku nazywano tę dwójkę. Gruby i chudy wydawali się nierozłączni, dlatego też najlepiej przydzielić ich było do jednego zespołu. Z kolei Jänicke próbował szczęścia wśród poważanych członków stowarzyszenia Berolina. Rath przypuszczał, że Marlow może wpaść w złość, gdy się dowiedzie, że gliny wzięły na spytki jego ulubiony ringverein. Może nowicjusz ujawni przy okazji jakąś awanturę pomiędzy bandziorami, całkiem dobrze nadającą się na motyw przestępstwa. Oczywiście ten ślad też donikąd by nie doprowadził. Jednak lepiej jest mieć trop, który okazuje się ślepym zaułkiem, niż nie mieć zupełnie niczego. Skoro musiał zaczynać pracę w Inspekcji A od niewyjaśnionej sprawy, to przynajmniej nie chciał sterczeć z założonymi rękoma.

Siedział przy biurku i rozmyślał. Samotność w biurze wywoływała w nim skłonność do większej zadumy, niż by tego chciał w tym momencie. Najwyższy czas, żeby pojawiła się tu jakaś sekretarka.

Zadzwoił telefon. To pewnie kolejny redaktor z wydawnictwa albo dziennikarz do szanownego pana Roedera! Spławi tę bandę raz na zawsze!

– Więzienie Plötzensee. Jednostka dla skazanych pisarzy i funkcjonariuszy wydziału kryminalnego – zakomunikował do słuchawki.

– Tu Kling z sekretariatu pana Zörgiebela. – Damski głos po drugiej stronie nie wydawał się rozbawiony żartem. Dagmar Kling, zwa-

na też Gilotyną, pilnowała sekretariatu Zörgiebela jak Cerber. – Komisarzu Rath, czy to pan?

– Przy telefonie.

– Pan prezydent chciałby się z panem zobaczyć za pół godziny.

Punktualnie o dziewiątej Rath zapukał do drzwi Dagmar Kling, ale musiał poczekać. Gilotyna poprosiła, by usiadł na ławce w sekretariacie. Tapicerowane drzwi do biura Zörgiebela były zamknięte. Prezydent jeszcze prowadził jakąś rozmowę. Kling nie musiała mu nawet tego mówić, ponieważ mimo obicia zza masywnych drzwi docierały głosy. Sekretarka tymczasem ze spokojem uderzała palcami w klawiaturę, jakby nic jej to nie obchodziło. W gabinecie szefa natomiast rozmawiano, albo raczej – wrzeszczano, tak głośno, że dało się usłyszeć prawie każde słowo. Rath udawał, że nie słucha. Bawił się kapeluszem i przyglądał wiszącym na ścianach miedziorytom ze starymi berlińskimi motywami. Nawet gdyby chciał zachować dyskrecję, to głosów dobiegających z gabinetu nie dało się nie usłyszeć.

– ...ale przecież robimy wszystko, co w ludzkiej mocy, panie prezydencie!

Nie ulegało wątpliwości, że był to głos Wilhelma Böhma. Najwyraźniej znajdował się pod ogromną presją, w jego ujadaniu po-brzmiewała niemal rozpacz.

– Zatem ludzka moc widocznie nie wystarcza! – odparł Zörgiebel monotonnym, wysokim głosem. Rath znał to brzmienie jeszcze z Kolonii. Im bardziej prezydent policji robił się wściekły, tym wyższą barwę miał jego głos. Teraz mówił jeszcze tenorem, ale biada, jeśli jego głos przeszedłby w alt albo co gorsza w sopran! – Prasa chce wreszcie zobaczyć efekty! Przecież nie musi pan od razu rozwikłać całej sprawy! Ale na Boga, coś nowego pan przecież wynajdzie!

– Na pewno nic, co powinno obchodzić prasę, panie prezydencie. Mamy mnóstwo szczegółów, może ważnych, a może nic nieznaczących. Jeszcze nie jestem tego w stanie rozstrzygnąć. Tym bardziej nie chcę pozostawić tego do decyzji prasy.

– Pracuje pan tu po to, żeby o takich rzeczach rozstrzygać, panie nadkomisarzu! Na miły Bóg, powinien pan już przynajmniej wskazać jakiś gorący trop! Nie może mi pan przecież w kółko powtarzać, że podąża pan za wszystkimi wskazówkami. W jakim kierunku obecnie toczy się śledztwo? To przecież wystarczy, więcej nie musimy im przecież mówić. Ostatnia konferencja prasowa odbyła się przeszło tydzień temu. To zrozumiałe, że dziennikarze zaczynają się powoli niecierpliwić. A jeśli my niczego im nie podsunie, to spekulacje zaczną się mnożyć jak chwasty. Zawsze tak jest.

– No to niech się plenią. Za pozwoleniem, panie prezydencie, ja wykonuję moją pracę, nie jestem kukiełką do zabawiania pismaków!

– A więc niech wykonuje pan swoją pracę tak, żeby przynosiła jakieś efekty, zrozumieliśmy się?

– Panie prezydencie, mnie nadal obowiązuje lojalność wobec prawa, a nie jakichś dziennikarzy! Niech sobie piszą, co chcą! Do zobaczenia!

Drzwi gwałtownie się otworzyły, a z gabinetu szefa wystrzelił czerwony jak burak Wilhelm Böhm. Minął Ratha i Dagmar Kling, nadal ze spokojem uderzającą w klawisze maszyny do pisania. Cóż za pożegnanie! Najprawdopodobniej nie stworzy wielkich szans na rozwój kariery.

Gilotyna przerwała pracę.

– Panie komisarzu – powiedziała i wskazała na drzwi, które nadal były otwarte – proszę wejść do środka. Pan prezydent może już pana przyjąć.



Zörgiebel już opanował emocje. Siedział za biurkiem i udawał, że zaprowadza porządek w papierach. Gdy Rath wszedł do środka, prezydent wstał i rozłożył ramiona szeroko niczym śpiewak operowy.

– Młody komisarz Rath! – Zörgiebel wyciągnął do niego swoje mięsiste łapsko. – Czy już się pan zaaklimatyzował, mój przyjacielu?

Rath poczuł się nieco osaczony. Wolałby, żeby grubas nie wstawał zza biurka, a tylko poprosił gościa o zajęcie miejsca na jednym z niewygodnych krzeseł stojących przed nim. A już na pewno nie chciał się zaprzyjaźniać z prezydentem.

– Och, dziękuję – odparł. – Berlin to nie Kolonia, ale...

– Komu pan to mówi! No, komu! – Zörgibelowi widocznie spodobało się to oczywiste stwierdzenie, ale nie interesowało go dalsze wyjaśnienie.

Zadzwoił telefon. Prezydent podniósł słuchawkę, zdenerwowany.

– Prosiłem, żeby mi nie przeszkadzano, panno Kling – powiedział. – Co? – Przez chwilę tylko słuchał. – Przecież już udzieliłem odpowiedzi Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Berlińska policja potraktuje tę sprawę jak każdą inną. To najzwyklejsze zaginięcie. Większość osób odnajduje się po paru dniach, jakby gdyby nigdy nic. A teraz proszę mi już nie przeszkadzać.

Rozłączył się.

– Sowiecka ambasada szuka swojego pracownika – wyjaśnił Rathowi. – A komuniści od razu robią z tego sprawę wagi państwowej. Idę o zakład, że ten facet spędza kilka przyjemnych dni i nocy w naszym mieście, a za parę dni pojawi się w ambasadzie nieco skacowany. Nie byłby pierwszym, który uległby pokusom kapitalizmu.

Zörgiebel zaprowadził Ratha od biurka do stojących nieopodal foteli i kanapy. Komplet wypoczynkowy wyglądał na dość nowy, nie tak wysiedziany jak te zielone monstra w biurze Gennata.

– Proszę się rozsiąść wygodnie.

Wygodnie? Rath zajął miejsce w jednym z beżowych foteli, ale wcale nie czuł się komfortowo. Przynajmniej nie wmuszano mu ciasta.

– Dziękuję, panie prezydencie.

Zörgiebel zaproponował mu cygaro, lecz Rath odmówił. Prezydent wyciągnął jedno z pudełka, a potem odstawił je na stół.

– I? – zapytał, zapalając cygaro. – Czy śledztwie o zabójstwo posuwa się do przodu?

Dobre pytanie, pomyślał Rath. Chciał odpowiedzieć: Wiem, kto to był, ale nie powiem!

– Ślady wskazują na porachunki kręgów przestępczych – powiedział najbardziej biurokratycznym tonem, jakiego można się spodziewać po pruskim funkcjonariuszu.

– To już coś! – Zörgiebel promieniał. Być może liczył na prędkie rozwikłanie przynajmniej tej sprawy.

– Ofiara to bandyta, członek ringvereinu Berolina – Rath kontynuował swój raport. – Prawdopodobnie kula trafiła w niego rykoszetem. A więc albo był to wypadek, albo nasz delikwent wdał się w strzelaninę. Na jego prawej ręce znajdowały się ślady prochu. – Rath urwał i wzruszył ramionami. – Więcej nie wiemy.

– Więcej pan nie wie? To przecież całe mnóstwo informacji! I to w tak krótkim czasie! Proszę mi wierzyć, są śledczy, którzy błądzą w gęstszej mgle. I to po śledztwach trwających tygodniami!

Prezydent chyba miał na myśli Böhma. A jednak czasami dostaje się po uszach tym właściwym, pomyślał Rath.

– Żadne śledztwo w sprawie morderstwa nie jest łatwe, panie prezydencie. – Stopniowo się rozluźniał. Powoli szykował grunt. Jeszcze nadejdzie dzień, w którym także komisarz Rath będzie musiał

rozczarować prezydenta. I nastąpi to prędko. Ciekawe, czy przyjaciel ojca wtedy też podejmie go tak serdecznie?

– A co jest proste? – Zörgiebel machnął ręką. – Tu, na górze, trzeba się mierzyć z polityką. Niech mi pan wierzy, czasami zazdroszczę policjantom ich ciężkiej, ale uczciwej służby.

Rath wolał tego nie komentować. Wątpił, żeby prezydent miał choćby mgliste pojęcie, jak obecnie wyglądała służba na ulicy. Wzruszył ramionami.

– W każdym razie ja jestem zadowolony, że znów mogę prowadzić śledztwo w sprawie morderstwa.

– Cieszy mnie to, drogi panie! Cieszy mnie to! – Zörgiebel wyglądał na rozbawionego. – Pomyślałem, że moglibyśmy zwołać na jutro rano konferencję prasową. Co pan sądzi?

Ratha zdjęło przerażenie, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Konferencja prasowa? – Wyciągnął papierosa z paczki i zapalił go. – Myśli pan, że to konieczne, panie prezydencie? Przecież nie musimy trąbić dookoła o tej sprawie! Ten mężczyzna to najpewniej tylko ofiara strzelaniny między jakimiś oprychami.

– Niech pan nie będzie taki skromy! – Zörgiebel pociągnął cygaro. – Czyżbym słyszał w pańskim głosie strach przed wystąpieniami publicznymi? Bez obaw, mój drogi, pamiętam przecież, jakie świństwo prasa zrobiła panu w Kolonii. Ale ta sprawa stanowi świetny początek, żeby dać się poznać dziennikarzom z Berlina. Powinien pan to wykorzystać, takie rzeczy są ważne. Pomogę panu. W końcu... – Zamilkł, robiąc taktyczną przerwę, i raz jeszcze pociągnął cygaro. – W końcu tym razem to nie pan ulokował kulę w zwłokach tego mężczyzny, prawda? – Zörgiebel się zaśmiał.

Rathowi nie udzielił się dobry nastrój komendanta. Wysilił się na uśmiech.

– No to ustalone – ciągnął Zörgiebel. – Punkt jedenasta w małej sali konferencyjnej. Niech pan do tego czasu spisze swoje wszystkie dotychczasowe sukcesy w śledztwie. Kopię proszę przesłać do mnie na pół godziny przed rozpoczęciem konferencji. I może przyjdzie panu do głowy jeszcze jakiś pomysł, jak możemy poprosić społeczeństwo o pomoc. No, wie pan, na przykład poszukiwanie świadków, to zawsze robi dobre wrażenie. Jeśli uda się panu zaangażować do tego tych pismaków, to będzie miał ich pan po swojej stronie.

– Czy naprawdę jest sens, żebym to ja prowadził tę konferencję? – Rath zaciągnął się dymem cygara. – Moją jednostką jest Inspekcja E, panie prezydencie. Nad sprawą morderstwa pracuję jedynie tymczasowo.

– Drogi panie Rath, jesteśmy chyba zgodni co do tego, że obyczajówka to nie miejsce dla pana. W Inspekcji A potrzebuję najlepszych ludzi. Niech pan dobrze wykona swoje zadanie, a ja zobaczę, co mogę dla pana zrobić.

Rath zmarszczył czoło i udawał zaskoczonego. Przecież komendant nie musiał wiedzieć, że plotki krążyły już od dawna. Zgasił papierosa dopalonego do połowy i wyciągnął z kieszeni pismo, które sporządził poprzedniego wieczora.

– Czy mogę to panu osobiście wręczyć, panie prezydencie? Właściwie chciałem to przekazać pocztą wewnętrzną, ale skoro i tak już mnie pan przyjął...

Zörgiebel spojrział na białą kopertę, skonsternowany.

– Co to jest?

– Aplikacja, panie prezydencie.

– Aha. – Grubas skinął głową i wziął do ręki list. Po chwili zdawał się rozumieć, a przez jego twarz szybko przemknął uśmiech. Spojrzał Rathowi głęboko w oczy.

– Wie pan co, młody przyjacielu? Pan naprawdę jest synem swego ojca!

Czy postąpił słusznie, ubiegając się o stanowisko Roedera akurat teraz? W momencie, gdy pracował nad sprawą, o której z góry było wiadomo, że trzeba będzie ją zakwalifikować do „mokrych ryb”? Rath potępił samego siebie, gdy niespiesznym krokiem wracał długimi korytarzami Zamku do małego biura Roedera. Nie był to idealny moment, należało to przyznać, ale czy kiedykolwiek nastąpi lepszy? Zwolniło się stanowisko w Inspekcji A, prezydent policji był mu przychylny. Teraz musiał jedynie pokazać, na co go stać.

I właśnie w tym tkwił problem.

Nie mógł tego pokazać.

Akurat przy okazji tej przekłetej sprawy Wilczka musiał jeszcze wystąpić przed dziennikarzami! Prezydent potrzebował dobrej prasy, jak morfinista potrzebuje kolejnej porcji narkotyku. Oby tym razem znów nie dał się nakłonić do złożenia nieprzemyślanych obietnic.

Rath dotarł na koniec korytarza, swoistego wyrostka robaczkowego Inspekcji A. Pustka panująca w biurze Roedera powitała go niczym starego przyjaciela. Maszyna do pisania znajdowała się jedynie w sekretariacie. Rath usiadł zatem przy opustoszałym biurku sekretarki, wsunął papier na wałek maszyny i zaczął się zastanawiać.

Na szczęście udało mu się załatwić najważniejsze rzeczy w sprawie Wilczka. Pozbył się przede wszystkim swojego głównego zmartwienia – naboju. Wyniki badania balistycznego, które powinien otrzymać lada dzień, jedynie potwierdzą jego hipotezę o sprzeczce złoczyńców oraz jej tragicznym finale. Zamierzał zaprezentować swoją teorię podczas konferencji. Teraz musiał jednak posklejać do-

tychczasowe wyniki śledztwa w ładną opowieść, wpleść w nią obecne działania nowicjusza oraz obu kolegów Inspekcji A, i prasa będzie miała swoją pożywkę. „Strzelanina w przestępczym światku”. Takie rzeczy należały przecież we wschodnim Berlinie do codzienności. A czytelnicy mieszkający w bezpiecznych zachodnich dzielnicach uwielbiali historie, które – czytane w zaciszu salonów – wywoływały na ich plecach gęsią skórę i utwierdzały ich w przekonaniu, że Berlin może się pod każdym względem mierzyć z Chicago.

Sfora wyczuła krew. Rath nie chciałby się teraz zamienić z prezydentem policji. Zörgiebel uniósł ręce, aby uspokoić nastroje, lecz jego próba obrony przed szturmem przypominała raczej gest bezradności.

– Ależ, panowie!

Zarzucono go tyloma pytaniami, że jego słowa ledwie dało się usłyszeć. Wataha wygłodzonych dziennikarskich wilków otoczyła prezydenta, który dopiero co zszedł z podium niewielkiej sali konferencyjnej. Ten raz jeszcze uniósł ręce i przez chwilę wydawało się, że wrzawa wywołana przekrzykującymi się głosami faktycznie nieco przycichła.

– Ależ, panowie, przecież odpowiedziałem na panów pytania! – zakomunikował Zörgiebel. – Nie mam nic więcej do dodania. A teraz niech panowie dadzą mi iść, mam ważne spotkanie.

Próbował zrobić kilka kroków do wyjścia, ale nie zaszedł daleko, bo zgraja pognała do przodu i zarzuciła go kolejnym gradem pytań.

– Czy w Berlinie znów robi się niebezpiecznie, panie prezydencie?

– Jak do tego doszło, że po tylu tygodniach morderca nadal chodzi wolno?

– Przestępstw jest coraz więcej. Czy policja jeszcze panuje nad sytuacją?

– Czy przeprowadzone zostanie jakieś wewnętrzne dochodzenie dotyczące krwawych zamieszek majowych?

Sfora nie odpuszczała. Prezydent przypominał byka, który wpadł w sam środek stada wilków. Był duży i silny, ale bez szans. Rozbłysła lampa błyskowa, Zörgiebel zasłonił dłonią bladą twarz. Rath nie mógł się temu już dłużej przyglądać. Postanowił zapunktować u swojego szefa. Wskoczył na podest, z którego dopiero co zszedł prezydent, i podniósł ręce. Jego gest nie wyglądał na obronny, przeciwnie niż ten, który wykonał Zörgiebel. Wydawało się, że naprawdę ma coś do powiedzenia.

– Panowie, proszę o spokój! – Pomogło. Paru reporterów odwróciło się w jego stronę. – Proszę przepuścić pana prezydenta! Jeśli mają panowie pytania, to proszę zwrócić się z nimi do mnie!

Rathowi udało się zwrócić uwagę sfory na tyle, że zostawiła Zörgiebela w spokoju. Prezydent wykorzystał odzyskaną wolność i utrowił sobie drogę do wyjścia. Czekali tam szupo, których zadaniem było bezpieczne wyprowadzenie szefa policji z sali. Rath spoglądał za nim, dopóki ten nie wyszedł z małego pomieszczenia.

Niestety Zörgiebel się przeliczył – konferencja okazała się katastrofą. A tak niewinnie się zaczęło. Prezydent opowiedział o zwłokach w betonie, a potem przekazał głos komisarzowi prowadzącemu śledztwo. Rath przedstawił zdarzenie trzeźwo i rzeczowo, sam nie wyciągnął żadnych wniosków, ale przedstawił efekty śledztwa w taki sposób, że gryziopiórkom musiała nasunąć się historia o strzelaninie z udziałem przestępców. Sfora wszystko przyjęła bez zająknięcia. Tak jak wykoncypował to sobie Zörgiebel: pożywka dla wygłodzonych pismaków. Wszystko szło, jak powinno, do czasu, gdy

Rath poprosił o pytania. I zadano je. Tyle że żadne nie było skierowane do komisarza prowadzącego śledztwo, lecz do prezydenta policji. Żadne też nie dotyczyło sprawy Wilczka, niemal wszystkie dotyczyły sprawy „Wodnik”, a część – dodatkowo majowych zamieszek. W ciągu paru sekund cała konferencja przerodziła się w klęskę. Zörgiebela skonfrontowano akurat z tymi tematami, od których chciał odwrócić uwagę opinii publicznej. Jego wymijające odpowiedzi nie uspokoiły reporterów, tylko jeszcze bardziej ich rozdrażniły. W końcu, długo się nie namyślając, ogłosił zakończenie konferencji.

Wtedy już definitywnie się na niego rzucili.

Dziennikarze nadal nie opuścili sali. Spoglądali za to na Ratha pełnym wyczekiwania spojrzeniem. Poza pojedynczymi pomrukami w sali panowała cisza. Jakoś udało mu się znów poskromić sforę.

– Panowie, proszę o pytania – powiedział Rath.

Jeden z reporterów nawet uniósł rękę, jednak jego gorzej wychowany kolega go uprzedził.

– Panie komisarzu, ponad tydzień temu pokazano nam tu zdjęcia okaleczonych zwłok mężczyzny, którego policja wyciągnęła z kanału Landwehr. Posłusznie opublikowaliśmy zdjęcia, więc mamy teraz prawo do informacji o dalszym przebiegu śledztwa.

– Otóż to, przecież na pewno są jakieś postępy!

– Właśnie! Przecież nie mogą państwo nas tak po prostu...

Znów zapanowała wrzawa. Rath uniósł rękę w pokojowym geście.

– Moi panowie – powiedział, gdy na nastroje na sali znów się nieco uspokoiły. – Muszę panów rozczarować, nie mam wiedzy na temat tego morderstwa. Za to w miarę możliwości z chęcią odpowiem na wszystkie pytania dotyczące sprawy Wilczka.

Natężenie hałasu znów się wzmogło, ale tylko na chwilę. Rath uśmiechnął się do dziennikarzy przyjaźnie, ale stanowczo. Jeśli



chciał, potrafił być śliski jak węgorz, a ta banda zdziczałych bajkopisarzy nie zasługiwała na nic innego, jak tylko na komisarza śliskiego jak węgorz.

– Nie może nas pan przecież tak po prostu zbyć!

– Przykro mi, drogi panie, ale mogę odpowiedzieć jedynie na pytania dotyczące sprawy, którą się zajmuję. Proszę o wyrozumiałość. Nie bądźmy niepoważni!

Usłyszał jeszcze parę pojedynczych protestów, które za każdym razem łączyły się w jeden zbiorowy pomruk. Dziennikarze udawali się już w kierunku drzwi. Sala pustoszała coraz szybciej, jakby była wanną, z której wyjęto korek.

W pomieszczeniu zapanowała niespodziewana, złowroga cisza. Komisarz zszedł z podium. Przy drzwiach nadal stał jeden z mężczyzn. Rath rozpoznał Bertholda Weinerta. Dziennikarz uśmiechnął się szeroko, gdy sąsiad go powitał.

– Gratuluje, Gereonie – powiedział. – Już od dawna nikt nie spławił mnie w tak wyrafinowany sposób. Najpierw wyprowadzasz z sali prezydenta, a potem zgrywasz głupka.

Rath nie skomentował.

– Czy Ty nie jesteś dziennikarzem politycznym? Od kiedy zajmujesz się sprawami kryminalnymi?

– Przestępstwo czy polityka, jaka to różnica? No, dobrze, żarty na bok. Obecnie piszę też o polityce. W moim zawodzie trzeba być elastycznym.

– Zdziwiłem się, że przyszło Was tu aż tylu.

– Zgadza się, poinformowano nas niespełna dwie godziny temu. To bezczelne z Waszej strony, przecież cały wczorajszy dzień pracowaliście nad tą sprawą. A że uniemożliwiano wszelkie próby zdobycia informacji o nieboszczyku z kanału Landwehr, to wielu moich

kolegów po fachu chciało widocznie skorzystać z okazji i przyjść tu, żeby zapolować na Zörgiebela.

– Udało im się to.

Weinert wzruszył ramionami.

– Kwestia perspektywy. Ostatecznie wszyscy odeszli z kwitkiem.

– Przecież mają bardzo ładną historię ze światka przestępczego.

Wydawało mi się, że uwielbiacie takie rzeczy.

– Nie zjednałeś sobie sympatii moich kolegów tą swoją akcją – oznajmił Weinert.

– Co z tego! Mam już jednego dziennikarza za przyjaciela. Nie mam racji?

Podał dłoń Weinertowi.

– Wolałbym określenie: „wspólnik w interesach” – odparł, zanim podał Rathowi rękę.

Pozegnali się przed salą konferencyjną. Rath odrzucił zaproszenie Weinerta na obiad. Nie chciał, by znów wiercono mu dziurę w brzuchu. Nie teraz. Wrócił do swego małego biura. Musiał się trochę uspokoić, przemyśleć sytuację.

Szef berlińskiej policji miał problem i ten właśnie problem mógł się stać trampoliną do kariery młodego, obiecującego komisarza kryminalnego Gereona Ratha. Po fatalnej konferencji Rath wiedział, że musi nadal zajmować się tą sprawą, nawet jeśli nie należał do grupy Böhma. Bądź co bądź pracował teraz dla wydziału zabójstw. Cieszył się, że miał spokój w gabinecie Roedera. Cieszył się też z tego, że Wilczek miał kontakty z Beroliną. Dzięki temu Rathowi może uda się jakoś połączyć obie te sprawy, co w jakimś stopniu wyjaśni to, że zebrał aż tyle informacji o sprawie „Wodnik”. W ramach swojego śledztwa dotyczącego Wilczka komisarz Gereon Rath natknie się na tajemniczy skarb i pewnego zbiegłego Rosjanina o nazwisku Aleksiej

Kardakow, i dzięki temu będzie mógł podsunąć kluczową wskazówkę w sprawie „Möckernbrücke”, na której to sprawie nadkomisarz Wilhelm Böhm połamał sobie zęby.

Zadzwoił telefon, ale Rath nie odebrał. To pewnie znów jakiś wydawca albo prezydent. Później będzie mógł podziękować. Docho-  
dziła dwunasta, czas na przerwę obiadową. Tym razem nie spędzi jej w kantine ani w Aschingerze. Spojrzał na zegarek. Jeśli pojedzie pociągiem, to droga do Schöneberga zajmie mu niespełna pół godziny. Czy muzycy nie mają w nawyku jadać śniadania w okolicach południa? Może i on wypiłby filiżankę kawy?

Panie komisarzu! Co za niespodzianka!

Ilja Treczkow sprawiał wrażenie mocno niewyspanego, gdy otwierał drzwi. Mimo to muzyk od razu go rozpoznał. Włosy trębacza sterczały w bezładzie, na sobie miał szlafrok, którego haftów nie powstydziliby się nawet cesarz Bizancjum. Mężczyzna ziewał, ale jego oczy rozglądały się czujnie.

– Mogę wejść? – zapytał Rath.

– Ależ oczywiście.

W mieszkaniu panował większy porządek, niż Rath się spodziewał. Było też większe, niż myślał. Treczkow zdawał się mieć więcej pieniędzy niż była piosenkarka z jego zespołu. Zaprowadził Ratha do niewielkiego salonu, do którego przez jasne firanki wpadały łagodne promienie słońca. Na stoliku leżało parę kartek z nutami oraz ołówki. Treczkow uprzątnął je z blatu.

– Właśnie wziąłem się do pracy – usprawiedliwił się i wyniósł papiery z pokoju. – Napije się pan czegoś? – zapytał, stojąc w drzwiach.

– Skoro już nastawił pan wodę na kawę...

– Na herbatę.

No tak, przecież pochodził z Rosji.

– Też dobrze – odparł Rath. Gdy został sam, rozejrzał się dookoła. Ładny pokój, wszystko stało na swoim miejscu, Treczkow wydawał się zdyscyplinowanym mężczyzną, a nie żadnym tam członkiem bohemy, nawet jeśli sypiał do późna. Na regale Rath zauważył popiersie Czajkowskiego. Na grzbietach książek widział głównie słowa zapisane cyrylicą, ale znalazło się też parę niemieckich nazwisk. Nie wypatrzył wśród nich żadnych politycznych dzieł, na ile mógł to ocenić w tak krótkim czasie. Nigdzie nie dostrzegł też słów „Krasnaja Krepost”, ani zapisanych w cyrylicy, ani w alfabecie łacińskim. W drzwiach zabrzęczały naczynia. Treczkow wrócił z niedużą tacą, na której stały dwie filizanki z parującą herbatą.

– Już gotowe? – zdziwił się Rath.

– Samowar bardzo przyspiesza parzenie – odparł Treczkow. – Każdy z nas próbuje mieć tu choć kawałek ojczyzny. Większość Rosjan nie mieszka w Berlinie z własnej woli.

Muzyk postawił filizanki na stole i obaj usiedli.

– Proszę wybaczyć to, jak wyglądam – powiedział Treczkow – ale nie spodziewałem się odwiedzin. Moi przyjaciele wiedzą, że późno wstaję. Kiedy zespół dostaje angaż, to przeważnie wracam do domu około czwartej.

Rath wziął łyk. Herbata była bardzo mocna.

– Co mogę dla pana zrobić, panie komisarzu? – Muzyk zrobił na nim takie samo wrażenie jak w Café Europa – przyjaznego i kooperatywnego. Mimo to Rath nie mógł oprzeć się wrażeniu, że mężczyzna wiedział więcej, niż chciał powiedzieć.

– Hrabina Sorokinowa, pamięta pan?

Treczkow przytaknął.

– Oczywiście.

– Czy pojawiła się od tamtego czasu? Albo ma pan może od niej jakieś informacje?

– Przykro mi, ale nie.

– Opiekował się pan jej mieszkaniem?

– Nadal się nim opiekuję. Mam klucze. Nie mówiłem panu?

– Chyba tak. – Rath zamilkł na chwilę. Co ukrywał ten mężczyzna? I dlaczego? – Podlał pan kwiaty, prawda?

Treczkow przytaknął.

– Czy zabierał pan coś z pokoju?

– Wypraszam sobie! Nie jestem złodziejem!

Rath postanowił zmienić taktykę. Przecież może spokojnie trochę pomagłować muzyka. Inaczej niż podczas ich pierwszego spotkania, teraz był już oficjalnym pracownikiem wydziału zabójstw, więc mógł pozwolić sobie na więcej.

– Panie Treczkow – zaczął – po raz drugi rozmawiam z panem o pani Sorokinowej, ale jeszcze ani razu nie zapytał mnie pan, dlaczego jej szukam.

– Cóż, zakładam, że ktoś zgłosił jej zaginięcie.

Rath pokręcił głową.

– Zdaje się, że nikt poza panem nie odczuł jej zniknięcia. A zdaje się, że *pan* nie był na policji. Nie ma zatem zgłoszenia o zaginięciu Sorokinowej.

– Aha. A więc dlaczego jej pan szuka? – Spokojne usposobienie Treczkowa nie zmyliło Ratha. W mężczyźnie wzbierało coraz większe napięcie. Zdradzały to jego oczy. Rath dobrze zrobił, przechodząc do ofensywy. Pośle mu jedno słowo. Małą, zatrutą strzałę, która miała wyłącznie jeden cel: sprowokować reakcję, przy odrobinie szczęścia nierozważną.

– Złoto – powiedział. Treczkow wyprostował się, jego oczy zatańczyły charlestona. Rath z zadowoleniem to zarejestrował i wystrzelił kolejną strzałę. – Wie pan, o czym mówię – ciągnął. – Z powodu tego złota życie stracił jeden człowiek, a kolejny zaginął. A wraz z nim hrabina.

Treczkow wciąż najspokojniej na świecie siedział na swoim miejscu, ale sprawiał wrażenie raczej zeszywniałego. Jedyne jego oczy nadal się poruszały.

– Nie wiem, o czym pan mówi – zakomunikował.

Zastraszyć czy zgrywać wyrozumiałego glinę? Nie, musiał kontynuować, zaraz będzie miał go w garści. Rath postanowił, że straci cierpliwość. Nagle się podniósł, z impetem opadł dłońmi na stół i pochylił się do przodu.

– Niech mnie pan posłucha, mistrzu! – Rath przyoblekł swój głos w agresję, która sugerowała, że z trudem trzymał nerwy na wodzy. Słowa brzmiały cicho, ale efektownie. Treczkow instynktownie odrobinę się cofnął. – Nie zauważył pan jeszcze, że najwyższy czas skończyć tę grę w chowanego? Jest pan na najlepszej drodze, żeby mocno uwikłać się w sprawę, która może okazać się dla pana bardzo nieprzyjemna!

Muzyk siedział jak osłupiały.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– No, przecież to proste. Ma pan coś, co może pomóc policji w rozwiązaniu sprawy morderstwa, a jednak woli pan milczeć. Nie wiem, czego się pan spodziewa. Jeśli się panu wydaje, że hrabinie grozi niebezpieczeństwo, to powinien pan z nami współpracować. Moglibyśmy pomóc i ją ochronić. – Rath pozwolił swoim słowom wybrzmieć i nieufnie przyjrzał się Treczkowowi. – Jeśli okaże się, że

kryje pan morderczynię... Czy jest pan w ogóle świadomy konsekwencji?

– Swietłana miałyby być morderczynią? – To pytanie dosłownie wyrwało się Treczkowowi. Trębacz również wstał z miejsca. – Co za absurd!

– Skoro jest pan tego taki pewien, to nie rozumiem pańskiego zachowania.

– Może powinien pan przemyśleć *własne* zachowanie, panie komisarzu! – Muzyk wpadł w szal. Wreszcie rozwiązał mu się język! – Policja utknęła w miejscu podczas śledztwa w sprawie morderstwa i bez namysłu zwała winę na cudzoziemkę? Cudzoziemkę, która nie bez powodu przebywa w pańskim kraju *incognito*. Czy naprawdę pan sądzi, że mógłbym panu zaufać? Przecież pan już skazał Swietłanę!

– Nikogo nie skazuję, tym zajmuje się sędzia. Ale ktoś torturował i zabił jednego z pańskich rodaków. Chciałbym się dowiedzieć, kto to był! A pan może mi w tym pomóc.

– Rodaka? – Zdziwienie Treczkowa zdawało się prawdziwe. – Co ma pan na myśli?

Rath pokazał mu zdjęcie martwego Borysa wyciągniętego z wody.  
– Zna pan tego mężczyznę?

Treczkow energicznie pokręcił głową.

– Tego? Czy nie wyciągnięto go z kanału tydzień albo dwa tygodnie temu? Był Rosjaninem?

– Znajomym Aleksieja Kardakowa.

– A więc Kardakow! – Mężczyzna bezwładnie opadł z powrotem na fotel. – Mogłem się tego domyślić!

– Czego domyślić?

– Że ten mężczyzna sprowadzi na Swietłanę nieszczęście.

– Oni są parą, zgadza się?

Treczkow przytaknął.

– Poznała go około pół roku temu, po tym jak zaczęła pracować u mnie. A potem od razu stała się inną osobą.

Bo nie chciała już sypiać z liderem zespołu, jak przypuszczał Rath.

– Co ma pan na myśli? – zapytał.

– Nagle stała się taka poważna. Gdy ją poznałem, to śmiała się zdecydowanie częściej. Obawiam się, że zaraził ją swoimi chorymi ideami politycznymi.

– O których nie ma pan najlepszego zdania...

– Niech pan skończy z tym mędrkowaniem. Proszę spojrzeć, do czego to doprowadziło w Rosji!

– Kardakow był komunistą?

– Nie mam pojęcia, jak on to nazywał. W każdym razie nie mógł ścierpieć bolszewików, co do tego nasza trójka była wyjątkowo zgodna. Ale ja nie rozmawiałem z nim często o polityce, stawał się wtedy nieznośny. W ogóle z nim za wiele nie rozmawiałem.

– Czy widział go pan jeszcze po zniknięciu hrabiny?

– Nie.

– Czy jej zaginięcie było dla pana zaskoczeniem?

– Co ma pan na myśli?

– To, co powiedziałem: czy zaskoczyło pana, że nagle nie ma pan piosenkarki, czy liczył się pan z tym?

Rath czuł, że znów uderzył w czuły punkt. Treczkow w końcu odpowiedział wymijająco:

– Zaanonsowała to.

– I poprosiła pana, żeby przyniósł jej pan coś z mieszkania...

Muzyk spojrział na niego wielkimi oczami.

– Skąd pan o tym wie?



– Przejrzałem szafę. Rozpruł pan podszewkę płaszcza i coś z niej wyciągnął.

– Tak, poprosiła mnie o to. To było jakieś cztery tygodnie temu. Spóźniła się na próbę. Chciałem już ją zbesztać, ale wtedy zobaczyłem jej oczy. Był w nich tak ogromny strach...

– Czego się obawiała?

– Tego mi nie powiedziała. Dała mi tylko klucz do swojego mieszkania i poprosiła, żebym rozpruł podszewkę jej zimowego płaszcza. To, co tam znajdę, miałem wziąć ze sobą i dobrze ukryć.

– I to właśnie pan zrobił...

Treczkow przytaknął.

– Jak tylko dała mi klucz, to sobie poszła. Nie powiedziała, dokąd, tylko się pożegnała i dodała, żebym lepiej poszukał innej piosenkarzki. Powiedziałem jej, że to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Że na nią poczekamy! Przez jakiś czas mogliśmy występować bez wokalistki. – Mężczyzna zamilkł, wspomnienie wydawało się stanowić ogromny ciężar. – Wszystko było takie... takie dziwne. Brzmiała tak osobliwie. Jakby zegnała się na zawsze. Patrzenie, jak odchodzi, niemal rozdarło mi to serce.

– Ale zajął się pan jej mieszkaniem.

– Poprosiła mnie o to. Miałem wszystkiego doglądać, podlewać kwiaty. Po prostu udawać, że wyjechała tylko na trochę.

– Ale pan w to nie wierzy.

– Szczerze mówiąc, to nie wiem, w co mam wierzyć.

– Sądzi pan, że jeszcze kiedyś zobaczy hrabinę?

Treczkow wzruszył ramionami. Zapadł się w siebie, teraz wyglądał jak siedem nieszczęść.

– Mam taką nadzieję – odparł w końcu. – Ale obawiam się, że tak się nie stanie.

– Czy w ciągu ostatnich czterech tygodni ktoś poza panem wchodził do jej mieszkania?

– Kto miałby to być?

– A bo ja wiem? Hrabina, Kardakow, szpieczy Stalina? Powiedział mi pan przecież, że się bała. I że ściga ją Stalin.

– Ale to przecież tylko przypuszczenie...

Rath czuł, że traci cierpliwość, ale wziął się w garść.

– Czy coś zwróciło pańską uwagę? – zapytał spokojnie. – Czy podczas którejś z pańskich wizyt pokój wyglądał inaczej niż poprzednim razem? Ktoś szperał w rzeczach?

– A skąd wie pan również to? Przecież posprzątałem ten bałagan. Praktycznie nic nie leżało na swoim miejscu!

– Kiedy to było?

– Nie mam pojęcia. Może tydzień po jej zniknięciu.

Rath pokiwał głową i sporządził notatkę.

– Powiedział pan wcześniej, że podejrzewanie hrabiny o morderstwo to absurd. A jak pan to widzi w przypadku Kardakowa?

– W jego przypadku? – W głosie Treczkowa pobrzmiwała pogarda. – On zrobiłby wszystko dla tych swoich pokrętnych idei. Zabiłby każdego, kto przeszkodziłby mu w realizacji jego jakże słusznej sprawy. Nawet siebie samego!

– Wydaje się panu, że mógłby mieć hrabinę na sumieniu?

– Sądzi pan...

– Ja niczego nie sądzę. Ale Kardakow zniknął. Czy taki scenariusz wydaje się panu prawdopodobny?

Treczkow nic już nie powiedział, ale w jego twarzy Rath zobaczył, że wypowiedział na głos najgorsze obawy muzyka. Wstał z miejsca. Najwyższy czas wracać do Zamku.

– No, dobrze, panie Treczkow, nie chcę się panu dłużej naprzykrzać. Ale musi pan jeszcze odpowiedzieć na jedno pytanie. Co znalazł pan wtedy w podszewce płaszcza?

Muzyk wstał i podszedł do regału, którego strzegł Czajkowski. Wrócił z zeszytem do nut i położył go na stole. Nie wyglądało to na jazz. Mężczyzna zniknął w drzwiach pokoju i po chwili wszedł z nożem w ręce.

– Gram też muzykę klasyczną – powiedział, gdy zobaczył Ratha studiującego nuty. Brzmiał prawie tak, jakby się usprawiedliwiał. – Ale w tym mieście więcej da się zarobić na graniu muzyki do tańca. – Wziął nóż i rozciął grubą tekturową oprawę. Ze środka wypadła nieduża biała koperta i wylądowała obok filiżanki Treczkowa.

Muzyk podał ją komisarzowi.

– Nie otwierałem jej jeszcze – powiedział tylko. – Nie miałem odwagi.

Bülowlplatz wciąż był jednym z najobskurniejszych zakątków miasta. Jedyne, co miał do zaoferowania w nadmiarze, to przestrzeń. Po wielkim, opustoszałym terenie hulał złośliwy wiatr, któremu nieznaczny opór stawiał jedynie teatr Volksbühne. Skromna budowla stojąca w samym środku nieużytku przypominała statek parowy osiadły na pustyni. Już dwadzieścia lat temu wszystko tu zrównano z ziemią i zniszczono wąskie, stare uliczki należące do Scheunenviertel, jednak nowe budynki wciąż kazały na siebie czekać. Trójkąt okalający teatr Volksbühne wypełniały głównie ogrodzenia wokół budowy oraz baraki – drewniane budki, w których sprzedawano papierosy, piwo i lemoniadę, lub nawet takie, w których fryzjer oferował paniom i panom modne paryskie fryzury po okazyjnych cenach. Pustynia stanowiła świadectwo ambitnych planów równie ambitnych urbanistów. Niezrealizowanych planów. Bądź co bądź plac jednak stworzono, wytyczono też szeroki dukt w pełnej zakamarów, ciasnej dzielnicy Scheunenviertel.

Wiatr targał starą gazetą w tę i z powrotem, gdy nadkomisarz wszedł na plac. Nadal była to uboga okolica. Nic dziwnego, że komuniści właśnie tu mieli swoją centralę, pomyślał Wilhelm Böhm, zbliżając się do budynku. Fasada Karl-Liebkecht-Haus była tak gęsto oklejona hasłami, że budynek przypominał polityczny słup ogłoszeniowy. Ciągi sloganów przerywano jedynie ogromnymi portretami Lenina, Luksemburg i Liebkechta.

Przed gmachem widać było jeszcze pozostałości manifestacji: opustoszałą mównicę, którą właśnie demontowano, porozrzucone opakowania po kanapkach, puste butelki po piwie. Komuniści nie należeli do najschludniejszych.

Dwaj szupo pełnili wartę przed budą zbitą z desek. „Papierosy w oryginalnych cenach” – informował wyblakły szyld znajdujący się ponad ich głowami, czerwona farba zaczęła już nieco odchodzić. Dwie zardzewiałe emaliowane tabliczki reklamowały „Piwa Engelhardta” oraz „Specjalne Jasne Engelhardta”. Trzymający straż przed ciemnym wejściem czuli się wyraźnie niekomfortowo, nie była to najlepsza okolica dla mężczyzn w niebieskich mundurach.

Gdy Böhm dotarł do baraków, rozejrzał się dookoła. Furgonetka wydziału zabójstw jeszcze nie dojechała. Wiedział, że pieszo szybciej dotrze na miejsce, powinien był założyć się z Gräfem. Place budowy na Alexanderplatz stanowiły obecnie najgorsze przeszkody w ruchu drogowym, również dla wozu policyjnego.

– Dzień dobry – warknął Böhm do szupo i pokazał odznakę. – Mam nadzieję, że nikt niczego nie dotykał.

– Nie, panie nadkomisarzu. Wszystko jest tak, jak zastaliśmy.

– Kto odnalazł mężczyznę?

Starszy szupo wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Dostaliśmy anonimowe zgłoszenie przez telefon. Podejrzewam, że to jakiś bezdomny, który się zdziwił, że jakieś ciało leży w jego łóżku. Albo w jego ubikacji.

– Bezdomny, który dzwoni po gliniarzy? Tak sobie zadzwonił, bo telefon na numer alarmowy nic nie kosztuje? Cóż, może ma pan rację. I od razu panowie tu przyszli?

– Co znaczy od razu? Mieliśmy jeszcze inne rzeczy do zrobienia.

– Odczekali panowie do końca manifestacji, zgadza się?

Böhm wiedział, że od czasu majowych zamieszek policja porządkowa w miarę możliwości schodziła komunistom z drogi. Szupo zrobił się opryskliwy.

– Chce pan narobić nam kłopotów czy wyjaśnić sprawę morderstwa?

Wewnątrz budy panowała ciemność, w powietrzu unosił się ostry zapach uryny. Do środka wpadały jedynie wąskie smugi światła. Böhm włączył latarkę. Ciało leżało oparte o ścianę, z głową opadniętą do przodu. Człowiek był dość wysoki, szczupły i miał blond włosy. Böhm przykucnął, żeby przyjrzeć się jego twarzy. Trudna sprawa, ledwie dało się cokolwiek rozpoznać. Tam, gdzie powinien znajdować się nos, zionęła krwawiąca rana. Krew spływała za kołnierz i zabarwiała koszulę na czerwono.

Usłyszał podjeżdżający samochód, a chwilę później dobiegł go głos szupo:

– Pan komisarz jest już na miejscu zbrodni.

W drzwiach pojawił się Gräf, przez ramię przewieszony miał aparat fotograficzny.

– Miejmy nadzieję, że miał przy sobie papiery, zgadza się, panie nadkomisarzu?

– Niech pan sobie nie stroi żartów, niech pan lepiej robi zdjęcia. Potem będziemy mogli sprawdzić, co ma w płaszczu.

Niedługo później lampa błyskowa na ułamek sekundy rozświetliła ciemność.

– Wszystko mam już na taśmie – powiedział Gräf, gdy skończył. – Ale do listu gończego to nie wystarczy.

Nie było też takiej potrzeby. Martwy mężczyzna miał w kieszeni dowód. Böhm uświadomił sobie, że ta sprawa należeć będzie do tych naprawdę wyjątkowych. Że będzie mógł teraz odłożyć akta

„Möckernbrücke” do „mokrych ryb”. Nadkomisarz spojrział na zdjęcie, z którego spoglądała na niego poważna, młoda twarz, i westchnął ciężko.

W dłoniach trzymał legitymację służbową funkcjonariusza policji.

List, który dał mu Treczkow, przyniósł rozczarowanie. Rath dowiedział się tylko jednego: że to nie był żaden list. W kopercie znajdowała się zaledwie jedna cienka kartka, na niej bezład liter, nad którym ślęczał cały wieczór, ale bez najmniejszego efektu. Przynajmniej nie była zapisana cyrylicą, jednak nie czyniło to liter ani odrobinę zrozumialszymi. Wszystko wskazywało na to, że miał do czynienia z zaszyfrowaną wiadomością, ale nie udało mu się choćby w niewielkim stopniu dojść, za pomocą jakiego klucza rozgryźć ten tekst. Nie miał ani jednego punktu zaczepienia, niczego, co miałoby sens, jedynie różnej wielkości litery, namalowane raz z większym, raz z mniejszym odstępem, jedne obok siebie, inne jedna pod drugą. Tak, zdawało się, że litery są raczej namalowane niż zapisane.

Zasnął nad kartką i obudził się dopiero w środku nocy, mrużąc oczy od światła, które nadal oświetlało pokój. Prawa strona jego głowy bolała od twardego blatu. Pobieżnie obmył twarz i zawlókł się do łóżka. Chwilę przed zaśnięciem przypomniał sobie jeszcze, że znów nie odezwał się do Charly.

To była też pierwsza rzecz, o której pomyślał po przebudzeniu.

Rankiem, po tym jak jego ludzie wyszli w teren i znów został sam, parę razy próbował się dodzwonić z biura, ale oczywiście nikt nie odbierał telefonu. Pewnie Greta poszła do pracy, a Charly siedziała w sali wykładowej i wkuwała paragrafy. Nie miało to znaczenia. Nazajutrz znów przyjdzie do Zamku.

A on przywita ją, zwracając się do niej per pani.

Rozległ się dźwięk telefonu. Rath był zaskoczony, gdy usłyszał, kto tym razem dzwoni. Ze słuchawki zachrobotał bowiem głos Wilhelma Böhma.

– Niech pan przyjedzie na Bülowplatz – oznajmił Böhm. – Jestem tu z jednym z pańskich współpracowników, asystentem kryminalnym Stephanem Jänickem.

– Co to ma znaczyć? Dlaczego Jänicke sam ze mną nie porozmawia?

– Zrobiliby to, gdyby tylko mógł. – Tym razem Böhm w ogóle nie brzmiał jak buldog. Rath niemal odniósł wrażenie, że grubas westchnął. – Panie komisarzu, wezwano mnie tu, bo znaleziono zwłoki. Stephan Jänicke nie żyje.

Gdy niecałe dziesięć minut później Rath przechodził przez Bülowplatz, nadkomisarz już na niego czekał. Duża grupa mężczyzn w mundurach pilnowała miejsca, w którym znaleziono ciało Jänickego – nędznej budy zbitej z desek. Wszędzie wokół widział poważne twarze. Nie pozwalano sobie na cięte odzywki, którymi na miejscu przestępstwa zwykle maskowano przerażenie. Dla policji żarty się kończyły, gdy dochodziło do morderstwa jednego z nich. To jednak nie był jedyny powód, dla którego teren został ogrodzony przez oddział stu ludzi. Na Bülowplatz zbierała się coraz większa grupa skandująca hasła. Widocznie komuniści odebrali pojawienie się policji na ich terytorium jako prowokację.

– Za-bój-cy-ro-bo-tni-ków! – Rozlegało się w rytmiczne wołanie. – Pa-ro-bki-Zör-gie-be-la!

Böhm powitał Ratha uściskiem dłoni. Jeszcze nigdy nie widział nadkomisarza tak spokojnego.



– Zapraszam, panie kolego – powiedział Böhm. – Schwartz zajmuje się Jänickem. Wie pan, dlaczego ktoś mógł chcieć śmierci tego nieszczęśnika? Czy to może mieć coś wspólnego z pańską aktualną sprawą?

Rath wzruszył ramionami. Właśnie tego się obawiał. Ta myśl nie wychodziła mu z głowy, odkąd wyruszył z Alexanderplatz. Czy to on posłał nowicjusza na śmierć, kierując go do Mulackritze? Knajpa znajdowała się niedaleko. Może Jänicke narobił tam więcej zamieszania, niż życzył sobie tego Czerwony Hugo? W tym światku nie trzeba było wiele robić, by wsadzić kij w mrowisko, nawet będąc niczego nieświadomym. Czasem nawet łatwiej, gdy się jest niczego nieświadomym.

Rath zachował swoje przemyślenia dla siebie i wszedł za Böhmem do drewnianej szopy. Reflektor rozświetlał wnętrze nędznej budki, w której wisiały od dawna już nieaktualne afisze reklamowe. Na tylnej ścianie błyszczała plama jeszcze wilgotnej krwi. Obok przykucnął mężczyzna w lekkim, jasnym palcie i nachylał się nad czymś, co leżało przy ścianie. Gdy dwaj funkcjonariusze wydziału zabójstw weszli do środka, odwrócił się ku nim. Doktor Schwartz sprawiał wrażenie poważniejszego niż zwykle. Swoje sławne poczucie humoru zostawił dziś w domu.

– To pański współpracownik? – zapytał Schwartz i wstał. Rath przytaknął. Nie spojrzał nawet na lekarza, wzrok skierował na tobół leżący na podłodze. Jasne blond włosy umazane krwią, twarz również, po nosie niewiele co pozostało. Gdyby nie wiedział, kto tam leży, to nie rozpoznałby Jänickego. Co za podła śmierć go spotkała, w norze śmierdzącej szczynami! Zwłoki Jänickego przypomniały mu o tym, jak gówniany zawód tak właściwie wykonują.

– Do morderstwa doszło trzy, cztery godziny temu – powiedział Schwartz i wytarł ręce w białą chustkę. – Strzał z bliskiej odległości. Widocznie ktoś, kto nie umiał dobrze strzelać. Dosłownie wetknął mu lufę do nosa.

– Został zastrzelony tutaj, zgadza się? – zapytał Rath i wskazał na plamę krwi na ścianie.

– Wszystko na to wskazuje. Oczywiście musimy jeszcze zbadać, czy to na pewno jego krew – dodał Schwartz.

Rath pokręcił głową.

– Odstrzelić nos – powiedział – komu przychodzą do głowy takie pomysły?

– Szczurze ringvereiny robią tak ze zdrajcami – powiedział Böhm. – Rozwalają nos. Ale przeważnie nie robią przy okazji brei z mózgu.

– Czarna Reichswehra<sup>7</sup> też miała to swego czasu w repertuarze – poinformował doktor Schwartz. – Podobnie jak Czerwony Związek Bojowników Frontowych. Za dzikich czasów.

Może jeszcze powrócą te dzikie czasy, pomyślał Rath.

– Czy są w ogóle jacyś świadkowie? – zapytał Böhma.

Nadkomisarz wzruszył masywnymi ramionami.

– Nie mam pojęcia. Jeszcze żadnego nie znaleźliśmy. Mężczyzna, który go znalazł, wolał zachować anonimowość, ale założę się, że Ci awanturnicy stojący na zewnątrz wiedzą więcej. Dziś rano thälmanowcy urządzili manifestację przed Karl-Liebknecht-Haus. Może któryś z nich coś słyszał.

– Albo strzelał.

– Albo strzelał. Wygląda jednak na to, że nasz młody kolega znał swojego mordercę. Bardzo blisko go do siebie dopuścił. A z tego, co mi wiadomo, Jänicke nie należał do czerwonych.

Rath przytaknął.

– Może dwóch go przytrzymało, a trzeci strzelał.

– Darujmy sobie spekulacje. Zbierzmy poszlaki. – W głos Böhma znów pobrzmiwał opryskliwy ton, do którego Rath się przyzwyczaił. – Niech pan mi lepiej powie, jakie śledztwo powierzył pan asystentowi kryminalnemu. Dlaczego w ogóle znalazł się na Bülowplatz?

Rath zaczął więc opowiadać: o Świętym Józefie, Czerwonym Hugonie i o tym, że polecił Jänickemu przyjrzeć się Berolinie, żeby zbadać możliwy trop. Cała ta farsa śledztwa, którą zainscenizował jedynie po to, żeby odwrócić uwagę od własnej winy. Farsa, która niespodziewanie nabrała śmiertelnej powagi. Nadkomisarz przysłuchiwał się mu w milczeniu.

– Dobrze, panie komisarzu – odparł wreszcie. – Sądzę, że powinienem przyjrzeć się aktom sprawy Wilczka. Może mógłby mi pan od razu przygotować w szczególności protokoły rozmów, które przeprowadził kolega Jänicke.

Rath przytaknął. Nie podobało mu się, że ktoś będzie grzebał w aktach sprawy, którą niejako traktował jako swoją prywatną, ale co innego mu pozostało?

– I jeśli faktycznie istnieć będzie między nimi jakiś związek – ciągnął Böhm – to powinniśmy połączyć nasze zespoły dochodzeniowe. Oczywiście pod moim dowództwem...

– Panowie wybaczą... – Doktor Schwartz uniósł kapelusz. – Zrobiłem tu już, co do mnie należało. Reszty dowiedzą się panowie na Hannoversche Strasse. Później do pana zadzwonię, panie Böhm.

W wąskich drzwiach baraku lekarz omal nie wpadł na potężnie zbudowaną postać, z którą w przelocie się przywitał. Do środka wszedł Bruno Wolter. Wujek był blady i zadyszany, jakby biegiem pokonał całą drogę od Zamku aż tu na miejsce. A więc Böhm za-

dzwonił również do Inspekcji E. Właściwie wydawało się to logiczne – gdy policjant zostaje zamordowany, od razu się nasuwa myśl, że to może mieć coś wspólnego z jego pracą. Ale żeby właśnie sprawa Königa?

– Mój Boże – jęknął Bruno, gdy zobaczył ciało. Jego wzrok powędrował od Böhma do Ratha, potem przykucnął przy martwym Jänickem. Rath jeszcze nigdy nie widział Wujka tak wzburzonego. Zawsze uważał go za zimnego starego ramola. Wielu policjantów tak miało. Często wydawali się niewzruszeni wyłącznie dlatego, że nie dopuszczali do siebie żadnych emocji. Jednak niektóre sytuacje same wymuszały to na nich, czy tego chcieli, czy nie. Rath położył rękę na ramieniu kolegi.

Milczeli. Na zewnątrz komuniści dalej wykrzykiwali swoje hasła.

– Jeśli te czerwone dupki nie zamkną swoich mord, to nie ręczę za siebie – wycodził Bruno przez zaciśnięte zęby.

Wiadomość o śmierci Stephana Jänickego rozeszła się po Zamku niczym fala uderzeniowa po zrzuconiu bomby – miała ogromną prędkość i niszczycielskie skutki. Kwestia winy dla większości była już jasna. Gdy funkcjonariusz policji ginął od kuli przy Bülowplatz, to po prostu musieli to być komuniści. Po niepewności sprzed dwóch tygodni nie został nawet ślad, jej miejsce zajęła żądza zemsty. Wcześniej wielu kolegów bało się ewentualnego komunistycznego powstania, ale teraz pragnienie odwetu spychało na bok każdą rozsądną myśl.

Ledwie Zörgiebel wysłuchał raportu Böhma, zwołał wszystkich wyższych rangą funkcjonariuszy wydziału kryminalnego. Tym razem zjawili się bez szemrania. Wiedzieli, o co chodzi, jeszcze zanim Zörgiebel wszedł na salę. Sprawie Jänickego nadano najwyższy prio-

rytet. Dwa tygodnie po komunistycznych zamieszkach policja nie powinna była dopuścić, by podstępnie zamordowano jednego z nich. Zörgiebel nie robił tajemnicy z tego, gdzie jego zdaniem należy szukać winnych: wśród członków Czerwonego Związku Bojowników Frontowych, którego działalności w międzyczasie zakazano. Tymi słowami precyzyjnie utrafił w nastroje w sali.

Rath miał wątpliwości, czy aby dolewanie oliwy do ognia to dobre rozwiązanie. Prezydent policji jednak po chwili zmienił ton i zaapelował o najwyższą dokładność i powściągliwość.

– Nie możemy dać dziennikarzynom powodu do kolejnego ataku na pruską policję, która jedynie wypełnia swoje obowiązki. A więc niech panowie postępują z najwyższą ostrożnością i skrupulatnością! Wszystkie osoby mają być przesłuchiwane wyłącznie w obecności drugiego funkcjonariusza, który ma też kontrasygnować protokół! Tak, żeby żaden komunista nie mógł nas pomówić o przeprowadzanie przesłuchań trzeciego stopnia!

„Przesłuchania trzeciego stopnia” – tak w Zamku nazywano przesłuchanie, w trakcie którego w celu ustalenia prawdy w ruch szły pięści.

Zgodnie z oczekiwaniami śledztwem pokierować miał Böhm. Na razie zawieszono wszystkie inne postępowania w sprawie morderstw, moce prerobowe policji kryminalnej całkowicie skoncentrowano na rozwiązaniu zagadki zabójstwa Jänickego. Na mównicę wszedł Böhm, zwrócił uwagę na parę rzeczy i rozdał kartki z poleceniami, jak nauczyciel w szkole przydzielający zadania domowe. Poza policją kryminalną w sprawę zaangażować się miała również Inspekcja IA. Rathowi trudno było uwierzyć w to, że to Böhm był pomysłodawcą. Najwyraźniej prezydent naprawdę wierzył w morder-

stwo z pobudek politycznych i chciał zaprząć do pracy aparat szpiegowski policji politycznej.

Zörgiebel i Böhm zostali na sali konferencyjnej, podczas gdy reszta funkcjonariuszy wzięła się do pracy. Na zewnątrz czekali już dziennikarze, na których prezydent jeszcze niedawno tak wyklinał. Tym razem nie będą go zamećzać pytaniami o stare historie, co do tego miał pewność. Policjant zastrzelony na Bülowplatz i komuniści oplakujący jeszcze ofiary majowych zamieszek – nawet dla stołecznej prasy taka sytuacja nie należała do codzienności. Rath zarejestrował tylko kilka wrogich spojrzeń i nie były one skierowane na prezydenta, lecz na niego. Weinert miał rację, niektórzy mieli mu za złe jego wczorajsze wystąpienie.

– Krwiożercza banda – powiedział pod nosem Bruno. Szybko przecisnęli się pomiędzy dziennikarzami. Na korytarzu koledzy otoczyli Ratha i Woltera. Ponieważ Jänicke był ich partnerem, to z każdej strony płynęły słowa otuchy, niektórzy składali nawet kondolencje, jakby zginął ich bliski krewny. Jednak większość zapewniała, że dopadnie tę świnię, która to zrobiła, albo zrobi porządek z tą bolszewicką hołotą. Mówiąc krótko: poprzysięgli krwawą zemstę. Rath miał nadzieję, że niebawem wszyscy znów powrócą do codziennej pracy.

Poszedł z Wolterem do ich starego biura. Obaj partnerzy zmarłego policjanta mieli wspólnie przeszukać biurku Jänickego.

– Kto by pomyślał, że tak szybko znów będziemy razem pracować? – zapytał Bruno.

Rath uśmiechnął się chłodno.

– Potrafiłbym wyobrazić sobie przyjemniejsze okoliczności.

Nie sądził, że znajdą coś nowego. Znał protokoły Jänickego, wszystkie wpięte były do akt Wilczka. Jednak uznał, że nigdy nic

nie wiadomo. Asystent kryminalny sporządzał wszystkie raporty w ich starym biurze, skoro w Inspekcji A, u Ratha, brakowało miejsca. Dawny gabinet Roedera nadawał się tylko dla samotnego wojownika, a ostatnio, podczas porannych narad z Henningiem i Czerwinkim, jeden z nich zawsze musiał siedzieć na krawędzi biurka, i to pomimo że przynieśli mu krzesło z opustoszałego sekretariatu.

W szufladach nowicjusza faktycznie za wiele nie znaleźli: skoroszyt z wpiętym regulaminem pruskiej policji, plan akcji „Nocny jastrząb”, dodatek sportowy z „Vossische Zeitung”, parę kartek z odręcznymi notatkami w sprawie Königa, parę zdjęć pornograficznych z twarzami obrysowanymi flamastrem – fotografie, które zrobili, żeby zidentyfikować aktorów.

– Niezbyt owocne poszukiwania – stwierdził Bruno, gdy rozłożył na blacie zawartość wszystkich szuflad.

Rath przytaknął. Nie mógł przestać myśleć o tym, że Jänicke był w Zamku równie nowy, jak on. Czegoś jednak brakowało. Czegoś, co jeszcze tego ranka widział w rękach kolegi.

– Czy Stephan nie miał czarnego notatnika? – zapytał Brunona. – Może zapisywał w nim jakieś ciekawe rzeczy.

– Zgadza się, ale zawsze miał go przy sobie. Ten notatnik był dla niego największą świętością, nigdy nie zostawiał go na wierzchu. Może Böhm go zabrał?

– Powinniśmy mu o tym powiedzieć.

Bruno pokiwał głową, zamyślony.

– W takim razie spakujmy te manatki do pudełka i wyślijmy Böhmowi – powiedział. – Dołożymy jeszcze krótki raport, żeby komisja do spraw zabójstw wiedziała, dlaczego młody miał w szufladzie robione zdjęcia. W przeciwnym razie mogą im przyjść do głowy głupie rzeczy.

– Możesz go sporządzić? – zapytał Rath. – Ja muszę dostarczyć Böhmowi najnowsze akta w sprawie Wilczka.

– Wydaje Ci się, że jego śmierć ma z tym coś wspólnego?

Rath wzruszył ramionami.

– Jeśli tak, to mam go na sumieniu. To ja wysłałem go do Scheu-nenviertel.

Bruno położył mu rękę na ramieniu.

– Daj spokój, nie rób sobie wyrzutów. Po prostu nasz zawód jest niebezpieczny. Kto powiedział, że to jednak nie byli komuniści?

– Naprawdę w to wierzysz?

– W każdym razie sądzę, że byliby do tego zdolni. Zakazano działalności Związku Bojowników, ale to nie znaczy, że już go nie ma. Zakaz jedynie zapędził ich w róg, jak dzikie zwierzę. A gdy zapędza się zwierzę w róg, to ono prędzej czy później ugryzie.

– Chciałbym, żebyś miał rację.

– Głowa do góry, mój chłopcze! Wystarczy, że straciłeś kolegę. Nie musisz się jeszcze zadręczać wyrzutami!

Już wieczorem gazety zdawały obszerne relacje o zabójstwie policjanta. Na dworcu Alexanderplatz Rath kupił sobie wieczorne wydanie „Tagesblatt” i przeczytał je w pociągu. Zörgiebel bez ogródek wykorzystał śmierć Jänickego do swoich celów. Zmyślnie unikał wyrażania jakichkolwiek podejrzeń, gdyż według oficjalnych informacji śledztwo prowadzono wielotorowo, jednak już sam sposób, w jaki opisał miejsce zbrodni i okoliczności zajścia, podsuwał tylko jeden wniosek: policjant został ofiarą ataku komunistów.

Wystawiona na stojaku prasa brukowa zamieściła na stronach tytułowych adekwatne nagłówki, sformułowane w formie pytań, ale to nie powinno mieć wpływu na ich odbiór. „Tageblatt” poprzestał



wprawdzie na zwykłym „Zamordowano policjanta”, ale pod suchym nagłówkiem znajdowały się wszystkie szczegóły, o których Zörgiebel wspominał podczas konferencji prasowej: to, że tamtego ranka w pobliżu miejsca zbrodni komuniści urządzili przed Karl-Liebknecht-Haus nielegalne polityczne zgromadzenie, a pruska policja na miejscu zbrodni musiała do południa wysłuchiwać oszczerstw takich jak „zabójcy robotników”.

Bruno miał rację. Zadręczanie się wyrzutami nic tu nie pomoże. Odpowiedzialność za śmierć Jänickego ponosił jedynie ten, kto przytknął mu pistolet do twarzy i pociągnął za spust.

Gdy Rath przyniósł Böhmowi akta Wilczka, ten mimowolnie przypomniał mu, jak dobrze komisarz miał ze swoim byłym szefem w Inspekcji E. Rath dodał do dokumentów jedną kartkę z paroma komentarzami. Ot, kilka informacji, dlaczego polecił Jänickemu prowadzenie śledztwa w świątku Beroliny. Gdy spisywał to wszystko, czuł, jakby poniekąd usprawiedliwiał się przed sobą samym.

– Co to jest? – zapytał Böhm i spojrzął na kartkę, jakby Rath wcisnął mu do ręki kawałek zużytego papieru toaletowego.

– Parę uwag dotyczących przebiegu śledztwa... – Rath zaczął mówić, ale Böhm mu przerwał.

– Młody przyjacielu, nie wiem, czy to jest dla pana wystarczająco jasne – zaczął ochrzaniać go Böhm – ale to *ja* prowadzę to śledztwo. I nie potrzebuję nikogo, kto daje mi uwagi!

Rath z impetem rzucił skoroszyt na stół i odszedł bez pożegnania.

Co za dupek! Rath długo nie mógł się uspokoić. Czy naprawdę musiał pozwalać, by go tak traktowano?

Niech Böhm innych traktuje jak popychadła, skoro sprawia mu to przyjemność, ale Gereon Rath nie pozwoli sobie na takie gierki. Gdy myślał o despotycznym śledczym, to coraz bardziej cieszył się na

dzień, w którym będzie mógł go skompromitować w sprawie „Wodnik”, nawet jeśli to śledztwo było teraz zawieszona, podobnie jak to dotyczące Wilczka. Tymczasowa „mokra ryba”. Zörgiebel nie mógł przeciągać tej sytuacji w nieskończoność. Rath nie podejrzewał, że radca kryminalny Gennat zgodził się na to, by skoncentrować wszystkie siły jego inspekcji na wyłącznie jednej sprawie. Cóż, dochodzenie w sprawie morderstwa było też walką z czasem. Doświadczenie mówiło mu, że pierwszy dzień czy dwa były najważniejsze. Jeśli w tym czasie nie udało się dokonać żadnego przełomu, to przeważnie oznaczało to, że sprawa może się ciągnąć jeszcze tygodniami i stać mozolną dłubaniną.

Wieczór minął inaczej, niż Rath sobie to wyobrażał.

Gdy wchodził po schodach budynku przy Nürnberger Strasse, zobaczył walizkę stojącą przed drzwiami mieszkania. Jego walizkę. Obok znajdował się duży karton przewiązany sznurkiem. Rath otworzył drzwi i podniósł walizkę. Z zaskoczeniem stwierdził, że była ciężka

Elisabeth Behnke musiała go usłyszeć. Czekala już w korytarzu i przyglądała mu się, jakby miała dyżur w przyklaszkowej szkole, a on właśnie oddał mocz na szkolnym dziedzińcu.

– Czego pan tu jeszcze szuka? – zapytała. – Niech pan zabiera swoje rzeczy i się stąd wynosi!

Znów zwracała się do niego per pan. Sprawa wydawała się poważna. Ale on nie potrafił wziąć tej sytuacji na poważnie.

– Walizka może wyglądać myląco, ale nie wybieram się w żadną podróż – zakomunikował. – Tak się składa, że tu mieszkam.

– Nie wydaje mi się, panie Rath.

– Co to za dziecinada?

– To żadna dziecinada, jeśli lokator narusza regulamin domu!  
– Co to ma znaczyć? – Rath nie poczuwał się do żadnej winy.  
– Powinien pan dokładniej przeczytać umowę najmu! Odwiedziny kobiet są absolutnie zabronione i mogą prowadzić do bezzwłocznego wypowiedzenia umowy.

A więc to o to chodzi. Ale dlaczego dopiero teraz? Skoro widziała Charly, to dlaczego nie urządziła tej sceny w zeszłym tygodniu?

– Nie wiem, o czym ty... o czym mowa.

– Niech pan mi tu nie udaje, panie komisarzy! – Zaśmiała się agresywnie i histerycznie. Śmiech brzmiał jak rzenie. – A może to *pan* nosi takie rzeczy? – Uniosła damską pończochę ze sztucznego jedwabiu. Rath od razu ją rozpoznał. Charly miała ją na sobie w zeszły czwartek. Gdzież ją ta Behnke znalazła?

– Jak pani może węszyć w moich osobistych rzeczach?!

– Węszyć? Powlekałam świeżą pościel! Jak co środe! I znalazłam to w pańskim łóżku. Może mi pan powiedzieć, jak to tam trafiło?

– Nie wydaje mi się, żeby to była pani sprawa, droga pani Behnke!

Ta kłótnia wisiała w powietrzu już od dawna. Jak burza, która w końcu się rozpętuje i przepędza nieznosną duchotę.

– Owszem, to jest moja sprawa, jeśli zaprasza pan do swojego pokoju kobiety. I to pomimo surowego zakazu!

– Nie wiedziałem, że to klasztor!

– To nie jest klasztor, panie Rath, ale *moje* mieszkanie! I jeśli nie przestrzega pan *moich* zasad, to musi pan po prostu ponieść tego konsekwencje!

Rath musiał zmierzyć się nie tylko z konsekwencjami, ale również ze swoją walizką. Odstawił ciężki bagaż.

– A więc to wypowiedzenie?

– Tak. – Wyszperała z portmonetki kilka banknotów i podała mu je. – Proszę.

– Co to jest?

– Czynsz, który się panu należy. Już pan zapłacił za ten tydzień.

– Niech pani zatrzyma te pieniądze. – Próbował przejść obok niej, ale stanęła mu na drodze

– Gdzie się pan wybiera?

– Do mojego pokoju.

– To już nie jest pański pokój.

– A co z moimi rzeczami?

– Już je spakowałam.

– To niech mi pani przynajmniej pozwoli pożegnać się z panem Weinertem.

– Nie ma go w domu. Proszę już sobie iść!

– Co za szopka! – Kłótnia z rozhisteryzowaną Behnke nie miała najmniejszego sensu. Pokręcił głową, podniósł walizkę i podszedł do drzwi.

Gdy wywlókł ciężką walizkę i nieporęczny karton na Nürnberger Strasse, usłyszał, jak na górze otwiera się okno. *Jego* okno. Wyglądała przez nie Elisabeth Behnke. Banknoty pofrunęły na chodnik, za nimi poszybowała pończocha. Bez słowa zamknęła okno.

Widocznie nie chciała być mu nic winna.

Pozbierał pieniądze, wetknął pończochę do kieszeni płaszcza i stanął ze swoim dobytkiem na poboczu.

Wielkie nieba, co za parszywy dzień!

Gestem ręki przywołał taksówkę.

Bruno nie mógł się nadziwić, kiedy zobaczył Ratha obładowanego niczym juczny osioł, stojącego przed drzwiami jego domu we Frie-

denau.

– Zawsze masz ze sobą taki bagaż, gdy przychodzisz do kogoś w odwiedziny?

– Dasz mi najpierw wejść do środka? – Niedługo później siedzieli w salonie, a Rath wyjaśniał mu sprawę. Przerwał na chwilę, gdy do środka weszła Emmi Wolter i postawiła na stole coś do picia. Kiedy skończył opowieść, Bruno pokręcił głową.

– Mam zamienić słówko z Elisabeth? – zapytał. – Może da się sprawę jeszcze wyprostować.

Rath odmówił.

– Nie, daj spokój – odparł – tak pewnie będzie lepiej.

Był co do tego przekonany. Wyprowadzka w końcu położyła kres zenującej komedii, która rozgrywała się w ostatnich tygodniach.

– Pójdę do hotelu, dopóki nie znajdę czegoś nowego – powiedział.  
– Czy mogę skorzystać z Twojego telefonu?

– Chyba żartujesz, hotel w ogóle nie wchodzi w grę! – Bruno przekręcił głowę i zawołał: – Emmi!

Nie minęły nawet trzy sekundy, a Emmi Wolter wetknęła przez drzwi swoją blond fryzurę.

– Emmi, mogłabyś przygotować pokój gościnny? Gereon zostanie u nas przez parę dni.

– Z przyjemnością. – Oddana małżonka zniknęła ponownie.

Rath zaprotestował.

– Nie, daj spokój, nie chcę robić kłopotu.

– Kłopot? Ależ skąd! W tym mieszkaniu jest wystarczająco dużo miejsca, a i spiżarnię mamy pełną. No już, nie urządź scen. Zostaniesz u nas do niedzieli. Jeśli do przyszłego tygodnia nie znajdziesz nic nowego, to zawsze mogę zacząć pobierać czynsz.

Bruno uniósł szklanę z koniakiem.

– No dobrze, a teraz wypijmy za Stephana Jänickego oraz za to, żeby schwytano jego mordercę.

Wznieśli toast. Przez chwilę nikt nic nie mówił.

Obaj siedzieli zamyśleni.

– Ty i Jänicke mogliście stworzyć niezły zespół – przerwał milczenie Wolter. – Co ja gadam! – poprawił się. – Wy już *tworzyliście* niezły zespół.

– Lubilem młodego, nawet jeśli słabo go znałem – powiedział Rath.

– Stephan był w porządku.

– Raz nawet chciał mnie zabrać na mecz piłki nożnej. Ale mu odmówiłem.

– Myślisz, że czuł się samotny? – zapytał Wolter.

– W każdym razie zostawił rodzinę i przyjaciół w Prusach Wschodnich. A czy tu miał jakichś znajomych...

– Ale przecież Berlin przyjmuje wszystkich nowych obywateli z otwartymi ramionami!

– Tak, i z dłońmi zaciśniętymi w pięści. – Rath przypomniał sobie własny przyjazd do tego zimnego, obcego miasta.

Wolter uśmiechnął się szeroko.

– Wtedy trzeba po prostu oddać – powiedział i wziął łyk. – To dziwne – dodał nagle. – Nie znam ani rodziców Stephana, ani jakichkolwiek jego przyjaciół. Poznamy ich wszystkich dopiero teraz, po jego śmierci.

– Podczas pogrzebu?

Wolter przytaknął.

– Masz wystarczająco wielu ludzi? – zapytał Rath.

– Brenner pracuje teraz z nami... ze *mną* w biurze. Cóż, we wtorek przychodzi też Gregor Lanke.

– Wyrazy współczucia!

Bruno uśmiechnął się niemrawo.

– Dziękuję – odparł. – Ale lepiej oszczędź sobie tych wyrazów współczucia do przyszłego tygodnia. Pogrzeb ze sztandarami, mundurami i salutowaniem. Zörgiebel ma osobiście wygłosić mowę pogrzebową.

– Nie chcę nawet o tym myśleć – skwitował Rath. – Jak mam się pokazać na oczy rodzicom Stephana? Gdybym go od Ciebie nie wyciągnął do mojej skromnej komisji, to może jeszcze by żył.

– Proszę, skończ już z tym! Nie wiesz tego! – Bruno wydawał się rozeźlony. – Może po prostu znalazł się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. A jeśli na Bülowplatz gromadzą się komuchy, to *jest* to nieodpowiednie miejsce dla policjanta. Nie ma wtedy znaczenia, czy pracujesz w obyczajówce, czy w komisji do spraw morderstw!

Wujek wstał i podszedł do ciemnej szafki, za której szklanymi drzwiczkami znajdował się barek. Wrócił z butelką koniaku.

– Lepiej, żeby stała na stole – oznajmił.

– To, co tu robimy, to pijaństwo z premedytacją.

Bruno wzruszył ramionami i rozlał alkohol do szklanek.

– Jeśli nie powinno się uskuteczniać pijaństwa z premedytacją w taki dzień, to kiedy?

Znów miał cholerną rację.

Następnego ranka Rath się obudził i początkowo nie wiedział, gdzie się znajduje. Huczało mu pod czaszką, gdy podniósł się na łóżku. Powoli powracały wspomnienia, kawałek po kawałku. Nocował u Brunona. Dużo wypili, utopili w koniaku smutek z powodu śmierci Jänickego. Tak mu się przynajmniej wydawało. Potem stwierdził, że to, co czuł, to właściwie nie był smutek, ale wściekłość połączona ze strachem. Wściekłość, która nie wiedziała, w co jest wymierzona; strach, który nie wiedział, czego się bał.

Miał nadzieję, że nie naopowiadał Brunonowi za wiele. Nie pamiętał już dokładnie.

W kącie pokoju, tuż przy krześle, na które rzucił swoje rzeczy, stały walizka i duży karton. Przypomniały mu o tym, że Behnke wyrzuciła go poprzedniego dnia. Nie miał domu. Nie chciał za długo być dla Wolterów ciężarem, więc postanowił poszukać mieszkania jeszcze dziś.

Ktoś zapukał do drzwi pokoju. Rozbrzmiał głos Emmi Wolter.

– Panie Rath? Obudził się pan? Śniadanie gotowe.

Gdy Rath wszedł do jadalni, Bruno już siedział przy stole, wykąpany, ale nadal skacowany. W powietrzu unosił się zapach świeżo zaparzonej kawy. Bruno wyszczerzył się w uśmiechu, gdy go zobaczył. Kac czy inne skutki wczorajszego wieczora wydawały się nie stanowić dla niego problemu wartego wspomnienia.

– Dobrze spałeś? – zapytał.



– Spało mi się dobrze. Jedyne pobudka sprawiła mi trochę problemów.

– Chodź, usiądź, napij się kawy i coś zjedz. Poczujesz się lepiej.

Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Śniadanie dobrze mu zrobiło. Emmi Wolter parzyła jeszcze lepszą kawę niż Elisabeth Behnke.

Pojechali do Zamku fordem, a Rath czuł się prawie jak za dawnych czasów. Nie rozmawiali dużo podczas jazdy, ale obecność Brunona dawała mu poczucie, że nie jest w tym mieście sam. Bruno zaparkował auto w atrium i razem poszli do małej sali konferencyjnej, gdzie na ósmą Böhm wyznaczył naradę w sprawie Jänickego. Jako jedni z pierwszych weszli do pomieszczenia, które zappełniało się powoli. Punkt ósma przyszedł Böhm. Przypominał nauczyciela z huikiem wpadającego do klasy, ze skoroszytem wciśniętym pod pachę. Potem wszedł jego zespół. Serce Ratha niemal się zatrzymało, gdy próg pomieszczenia jako ostatnia przekroczyła Charly i zamknęła za sobą drzwi. Usiadła z przodu podium, przy stoliku, gdzie przygotowała kartki i długopis. Rath spostrzegł, że nie był jedynym mężczyzną na sali, który zerkał na jej nogi. Poczul w klatce piersiowej delikatne ukłucie zazdrości.

Czy świadomie go ignorowała? Miał nadzieję, że uchwyci choć krótkie spojrzenie, ale na próżno. Niemal nieustannie spoglądała w swój notes, a gdy jej ciemne oczy podnosiły się znad notatnika, to zdawały się nie widzieć nic konkretnego.

Böhm zaczął podsumowywać dotychczasowe wyniki śledztwa, ale Rath prawie w ogóle nie słuchał. W jego głowie miał tylko Charly, Charly, Charly. Przez cały czas niepostrzeżenie przyglądał jej się kątem oka. Już całkiem zapomniał, jak dobrze wyglądała. Wnet o czymś sobie przypomniał i zaczął przeszukiwać kieszenie płaszcza,

dopóki jej nie znalazł. Pończocha Charly dalej była tam, gdzie ją wczoraj włożył. Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Nagle poruszenie na sali wyrwało go z zamyślenia. Böhm zakończył przemowę, wśród słuchaczy zapanowała nerwowość. Rozsunęto krzesła, policjanci zaczęli ze sobą rozmawiać, a z przodu sali rozpoczęto rozdawanie list. A robiła to Charly. Każdy, kto wychodził, otrzymywał swój egzemplarz. Czuł bicie swego serca aż w gardle, gdy przechodził obok niej, a ich dłonie na chwilę się dotknęły. Jej spojrzenie pozostawało jednak tak nieprzystępne, że prawie go to zabolalo, choć wiedział, że i tak nie rzuciliby się tu sobie na szyję.

– Dziękuję, panno Ritter – powiedział i wyszedł.

Prawie zapomniał pożegnać się z Brunonem. Kolega szeroko się do niego uśmiechnął, kiedy on sam wyruszał w drogę do Inspekcji E. Miał nadzieję, że wczoraj po pijaku niczego mu nie naopowiadał.

Dopiero kiedy usiadł już w swoim małym biurze, dokładniej przyjrzał się kartce. Wydrukowano na niej kilka nazwisk, nie miał pojęcia, co miał z nią zrobić. Powinien był bardziej uważać. Nawet teraz Charly nie wychodziła mu z głowy. Próbował rozgryźć listę z nazwiskami, którą dała mu do ręki. Spisano ją w porządku alfabetycznym, wszystkie na tę samą literę – „I”.

Nagle ktoś zapukał do drzwi. Wyprostował się.

– Proszę.

– Nadkomisarz Böhm chce panu oddać te dokumenty.

W drzwiach stała Charly, uśmiechała się i trzymała w ręce akta sprawy Wilczka.

– Och, proszę wejść do środka. I niech pani zamknie drzwi. – Posłuchała go. – Mojej sekretarki dziś nie ma, dlatego jestem tu całkiem sam i...

Jednak gdy to mówił, ona stała już przy nim i całowała go w usta. Akta Wilczka z łoskotem uderzyły o kant biurka i spadły na podłogę.

Po długim pocałunku przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu i trzymali się za ręce. Tonął w jej oczach.

– Przykro mi z powodu Twojego kolegi – rzuciła nagle.

Wzruszył ramionami.

– Wykonujemy po prostu gówniany zawód. Z gównianym ryzykiem.

– Byłeś z nim blisko zaprzyjaźniony?

– Prawie go nie znałem. Był z niego małomówny typ. Pochodził z Prus Wschodnich.

– Był młodszy ode mnie, zgadza się?

– Miał dwadzieścia dwa lata.

– Zbyt wielu osobom w tym kraju wydaje się, że swoje sprawy najlepiej załatwić jest bronią.

Przytaknął.

– A naszym zadaniem jest nauczenie ich, że to żadne rozwiązanie. I że za jego sprawą trafią do więzienia.

Rozejrzała się dookoła.

– Ładnie się tu urządziłeś. Jeszcze kilka kwiatków i można by nazwać to miejsce przytulnym.

Przyciągnął ją do siebie i wziął w ramiona.

– Musimy się częściej widywać – wyszeptał jej do ucha. – Tęskniłem za Tobą.

– Jeśli tęsknisz, to mam telefon.

A więc jednak. Miała do niego żal.

– Winny stawianych mu zarzutów – powiedział. – Ale za każdym razem, gdy próbowałem do Ciebie zadzwonić, to nikt nie odbierał. Może powinienem pisać do Ciebie listy.

– Prawdziwe listy miłosne! – Westchnęła teatralnie i wywróciła oczy do sufitu. – Tak, poproszę! Odłączę telefon!

– Obawiam się jedynie, że nie jestem najlepszy w takich rzeczach. Protokoły z przesłuchań i sprawozdania to jedyne, co zwykle piszę.

– „Konieczność dokonywania na pani osobie przeróżnych form czułości należy odtąd określać jako nieuchronną”. To żaden problem, jeśli napisałbyś coś takiego. Słyszę takie rzeczy codziennie.

– Lubię, jak zachowujesz się niepoważnie – powiedział.

– Niepoważnie? Właściwie to nie jestem niepoważna, co najwyżej zuchwała.

Coś sobie przypomniał. Podeszedł do wieszaka i wyciągnął z płaszcza pończochę.

– A propos zuchwałości – powiedział i pomachał kawałkiem sztucznego jedwabiu. – Temu *corpus delicti* zawdzięczam chwilową bezdomność.

Spojrzała na niego jak na auto. Naprawdę rzadki model.

– Moja gospodyni znalazła to przy zmianie pościeli i natychmiast wypowiedziała mi mieszkanie.

Jej oczy zrobiły się jeszcze większe.

– Nie mówisz na poważnie!?

– Owszem!

Przyglądała mu się z takim zaskoczeniem, że nie mógł powstrzymać uśmiechu. Kąciki jej ust też się uniosły i nagle oboje parsknęli śmiechem.

Gdy już się uspokoili, jej palce zaczęły bawić się jego krawatem.

– Gereonie – Charly zawahała się, czy mówić dalej – muszę Ci coś powiedzieć.

– Co takiego?

– Ja... Nie odzywałeś się. I wczoraj raz spróbowałam z Tobą porozmawiać. Mam na myśli przez telefon. I... No nie odbierałeś, więc ja też nie odkładałam słuchawki i wtedy... wreszcie ktoś odebrał. Jakaś kobieta.

Westchnął.

– Niejaka pani Behnke...

– Tak, Behnke. Zapytałam o Ciebie, a ona powiedziała, że u niej nie mieszkas. Więc ją zapytałam, czy to nie Nürnberger Strasse 28, a ona wtedy niespodziewanie podniosła głos i zaczęła wrzeszczeć jak w furii, żebym nigdy nie ważyła się przestąpić progu jej mieszkania, bo to porządny dom, a ja jestem latawicą.

Rath mógł sobie wyobrazić tę scenę jakby był przy tym. Elisabeth Behnke ścieląca łóżko w jego pokoju. Najpierw znajduje damską pończochę, a potem jeszcze dzwoni właścicielka tejże.

– I co się stało potem? – zapytał.

Charly obojętnie wzruszyła ramionami.

– Tak się przestraszyłam, jak na mnie nakrzyczała, że nie przyszła mi do głowy żadna odpowiedź. Po prostu się rozłączyłam. Nazwała mnie latawicą, a ja tylko chciałam powiedzieć Ci dzień dobry!

– Grrr, powinienem Cię za to ugryźć! Przez Ciebie trafiłem na bruk!

– A gdzie teraz śpisz?

– Najlepiej poszukaj mnie pod Victoria Brücke. Ale nie wiem jeszcze, czy tam zostanę. W Berlinie jest tyle pięknych mostów, ciężko się zdecydować.

– A tak na poważnie?

– Na poważnie to zlitował się nade mną kolega. Na razie mieszkam u Brunona Woltera we Friedenau. Jednak tam również nie wolno mi przyjmować odwiedzin kobiet. Widzisz, co narobiłaś?

– Miałabym chęć złożyć Ci odwiedziny – powiedziała i zaczęła głaskać go po piersi.

– Muszę sprawdzić, gdzie przecież musi znajdować się klucz do tych drzwi – wymamrotał i zaczął przeszukiwać szuflady.

Nagle zadzwonił telefon, a oboje się wzdrygnęli. Czułości poszły do diabła. Jego erekcja również.

– To pewnie Böhm – powiedziała i zaczęła mówić szczekającym tonem, udając swojego szefa: – Niech pan zabierze swoje brudne łapska od mojej stenotypistki i weźmie się do roboty!

Dała mu buziaka i wyszła. Stojąc w drzwiach, posłała mu jeszcze jednego całusa.

Nie odebrał telefonu, dopóki nie wyszła. Wziął głęboki wdech i podniósł słuchawkę. W duchu zaciskał już pięści w gotowości, żeby w razie konieczności móc odeprzeć ujadanie Böhma.

– Rath, wydział zabójstw.

– Weinert, „Abendblatt”. Witaj, sąsiedzie. – Dziennikarz wydawał się zaskoczony. – Czy ja dobrze słyszałem? Wyprowadziłeś się? Na łeb, na szyję?

– Wyprowadzka to nie jest właściwe słowo. Behnke mnie wyrzuciła.

– A to dlaczego? Przecież nie dałeś się na niczym przyłapać?

– Zdradziła mnie pończocha. Damska pończocha leżąca w moim łóżku.

Weinert się zaśmiał.

– Przepraszam, ale chyba nie mówisz poważnie? To jej wystarczyło, żeby wyrzucić kogoś za drzwi?

– Na Twoim miejscu bym uważał. Powiedz swoim przyjaciółkom, żeby nakładały męskie skarpety, jeśli idą do Ciebie w odwiedziny.

– Dziękuję za radę.

– Do usług.

– Szczerze mówiąc, to z chęcią umówiłbym się z Tobą na krótką wymianę poglądów. Właściwie to chciałem to zrobić już wczoraj wieczorem, ale nie wróciłeś do domu. Tak mi się przynajmniej wydawało, do czasu aż się zorientowałem, że to sprawka Behnke.

Całkiem mu to odpowiadało. I tak musiał porozmawiać z dziennikarzem.

– Gdzie i kiedy?

– Powiedzmy, o trzeciej w Moka Efti? To niedaleko stacji metra Friedrichstadt. Wystraczająco daleko od Alexa, żebyś nie natknął się na żadnego gliniarza, i wystarczająco blisko Kochstrasse.

– Moka Efti? Ten nowy lokal? Nie jest trochę za drogi?

– Nie przejmuj się, redakcja Cię zaprasza. Wszystko opłacę z diety.

Gdy Rath wszedł do Moka Efti, Weinert czekał już przy stoliku. Ruchome schody prowadziły na pierwsze piętro, bezpośrednio do lokalu. Popołudniami odbywały się tu imprezy taneczne trwające do późnej nocy. To one sprawiły, że w błyskawicznym tempie Moka Efti stała się jednym ze najbardziej znanych i popularnych punktów nocnego życia w Berlinie. Jednak teraz, o poranku, przesiadywali tam przeważnie zakupowicze z Leipziger Strasse, którzy po wizycie w domach towarowych Wertheim czy Tietz chcieli sobie zrobić krótką przerwę, do tego jeszcze paru dziennikarzy, jak Weinert pracujących przy znajdującej się nieopodal Kochstrasse, i po prostu próżniacy, którzy chcieli połączyć lekturę gazety z porządną filiżanką kawy.

A kawę podawano tu naprawdę wyśmienitą. Już sam zapach stawił człowieka na nogi. Do popicia zamówili dużą butelkę wody Sel-

ters. Rath zapalił papierosa i słuchał, co dziennikarz miał do powiedzenia.

– Chodzi o tego martwego policjanta.

– Nie przyszedłeś na konferencję prasową.

– Żeby Zörgiebel znów wciskał mi jakieś bzdury o krwiożerczych komunistach? Nie, dziękuję!

– A więc Wasza gazeta nie opublikowała żadnych informacji?

– Oczywiście, że to zrobiła! Jeden z moich kolegów tam był. Napisał te same brednie, co pozostali. Tylko komunistyczne gazety widzą sprawę inaczej. Dla nich to było morderstwo z pobudek politycznych dokonane przez nazistów albo nawet przez Czarną Reichswehrę. Ale motywy polityczne wydają mi się bardziej niż wątpliwe. Ten zmarły mężczyzna nie był przecież z policji politycznej.

– Nie, zmarły był moim kolegą. Zarówno w obyczajówce, jak i w dziale zabójstw.

– Wyrazy współczucia.

– Przestań już, przecież nie był moim bratem. – Rath zaciągnął się papierosem. – No, dobrze, co chcesz wiedzieć?

– W jakim kierunku tak naprawdę prowadzicie śledztwo? Kogo na sumieniu ma ten mężczyzna?

– Byłoby wspaniale, gdybym sam to wiedział. Wtedy rozwiązałbym tę sprawę i dostałbym pochwałę od prezydenta policji.

– Tylko jeśli podsunąłbyś mu komunistę. Zörgiebel wziął sobie za cel thälmanowców.

– Zobaczę, co będę mógł dla Ciebie zrobić. Dopiero rozpoczęliśmy śledztwo. Mogę powiedzieć Ci jedynie to, że prowadzimy je wielotorowo. Komunistyczny trop jest jednym z wielu.

– Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz wiedział więcej.



– Jeśli nie będziesz mnie w to mieszał. I jeśli wyświadcysz mi przysługę.

– Buick nadal stoi przy Kochstrasse.

– Nie chodzi o samochód. Chciałem Ci zaproponować pewien interes. Może przy jego okazji uzyskałbyś jakieś poufne informacje. Mógłbyś opowiedzieć mi coś o pewnym mężczyźnie, który też wyprowadził się z Nürnberger Strasse?

– Aleksiej Kardakow?

Rath przytaknął.

– I wszystko, co wiesz o organizacji „Krasnaja Krepost”.

Zanim Weinert zaczął mówić, przez chwilę patrzył w kierunku sufitu.

– Czerwona Twierdza? Dlaczego Cię to interesuje? – zapytał.

– Może okazać się kluczem do rozwiązania spektakularnej sprawy. Jeśli mi pomożesz, to dostaniesz poufne informacje.

– Nie mów łamigłówkami. Co to za spektakularna sprawa?

– Ta, która doprowadza Zörgiebela do szału, bo Twoi koledzy po fachu zadręczają go pytaniami, a on nie ma żadnych odpowiedzi. Martwy mężczyzna z kanału Landwehr.

– Spektakularna sprawa? Zainteresowanie nią już minęło, co najmniej od wczoraj. Mamy teraz martwego policjanta. To dopiero spektakularne!

– Przed paroma dniami próbowaliście wycisnąć prezydenta jak cytrynę, bo nie chciał przekazać Wam żadnych nowych informacji dotyczących ciała wyłowionego z kanału Landwehr.

Weinert się zaśmiał.

– Drogi Gereonie, tak już jest. Dziennikarstwo to bieżąca praca. Rzeczy szybko odchodzą w zapomnienie.

– A zatem musisz zadbać o to, żeby je wydobyć z tego zapomnienia! Wolna prasa nadal sama decyduje o tym, czy dana sprawa trafi na stronę tytułową z wyłuszczoneymi nagłówkami, czy też sprawicie się z nią w dziesięciu wersach na piętnastej stronie.

– Jak Ty to sobie wyobrażasz? Wbrew temu, co robi cała stołeczna prasa, mam trąbić o sprawie, którą nikt się już nie interesuje?

– Czy właśnie nie to jest skandalem? To, że prezydent zawiesza wszystkie toczące się śledztwa i wszystkich funkcjonariuszy policji kryminalnej angażuje w wyjaśnienie morderstwa Jänickego? Z kanału wyciągnięto ciało niezidentyfikowanego mężczyzny – nic się nie dzieje. Zastrzelony zostaje jeden policjant – i Zörgiebel od razu przyjmuje zupełnie inne standardy. Najwyższy czas, żeby ktoś krytycznie się temu przyjrzał.

Weinert gwizdnął przez zęby.

– Powinieneś zostać dziennikarzem. Albo politykiem.

Rath wiedział, że Weinert połknie haczyk. Wiedział to już w momencie, gdy zobaczył reakcję dziennikarza na hasło „Krasnaja Krepost”. Zamówili jeszcze po jednej kawie.

– A więc Aleksiej Kardakow – zaczął Weinert. – Kiedy mniej więcej półtora roku temu wprowadziłem się na Nürnberger Strasse, to on już tam mieszkał. Jednak widywało się go jeszcze rzadziej niż Ciebie. Zawsze odnosiłem wrażenie, że świadomie schodzi z drogi nam, Niemcom. On właściwie nadal żył w Rosji. Niemal co wieczór gościł u siebie małą rosyjską kolonię. Robiło się tam wtedy głośno.

– Zgadza się, to samo mówiła El... pani Behnke.

Weinert przerwał tylko na moment, a potem mówił dalej.

– Gdyby wiedziała, że pod jej dachem spotyka się szefostwo Czerwonej Twierdzy, to pewnie wezwałaby policję.

– Kardakow należy do szefostwa Czerwonej Twierdzy?

– Też bym się po tym facecie tego nie spodziewał. Zawsze miałem go za pisarza: pracowitego, ale nieodnoszącego sukcesów. Maszyna do pisania stukąła przez cały dzień. Dopiero dwa miesiące temu się dowiedziałem, że on zajmuje się również polityką.

– Na krótko przed jego wyprowadzką?

Weinert przytaknął.

– Dobrze się już wtedy znaliśmy, chociaż dopiero po mniej więcej pół roku udało mi się przeprowadzić z nim pierwszą dłuższą rozmowę. Skończył mu się papier i zapukał do mnie, żeby pożyczyć parę kartek. Trochę wtedy pogadaliśmy, właściwie tylko o pisaniu. Tak w ogóle, to on świetnie mówił po niemiecku, ale wszystkie teksty pisał po rosyjsku. – Weinert zamilkł na chwilę i wziął łyk wody. – Cóż, no i wtedy coś usłyszałem. To musiało być jakoś w marcu, w każdym razie panował potworny ziąb. Pierwszy raz, odkąd wprowadziłem się na Nürnberger Strasse, w sąsiednim pokoju mówiono po niemiecku. Muszę przyznać, że mnie to zaciekało.

– Podśluchiwałaś tę rozmowę?

– A co miałem zrobić? Ciekawość to moja choroba zawodowa. Poza tym rozmawiano o interesujących rzeczach. Na tyle, na ile udało mi się zrozumieć, chodziło o pieniądze i politykę. Co jakiś czas przechodzili na rosyjski, ale przeważnie mówili po niemiecku, choć niektórym z grupy ten język nastęczał trudności. Wydaje mi się, że Rosjanie mieli jednego lub paru niemieckich gości i starali się mówić w ich języku. Jedynymi rosyjskimi słowami, które padały często, były „Krasnaja Krepost”.

– Czerwona Twierdza. I wtedy się zorientowałeś, że to komuniści?

– Nie miałem bladego pojęcia. Dopiero później się tego wszystkiego dowiedziałem. Nie przywiązywałem do tego wielkiej wagi. Po-

za tym wyglądało na to, że nie było to pierwsze spotkanie Rosjan i Niemców.

– Co to byli za Niemcy? Politycy?

– Też się nad tym zastanawiałem. Przypuszczam, że przedsiębiorcy. W każdym razie Rosjanie rozmawiali z nimi o procentach, Niemcy chcieli dostać pięćdziesiąt, a Rosjanie dać tylko dziesięć. W końcu stanęło na czterdziestu.

– Marni przedsiębiorcy z tych Rosjan...

– Gdy wychodzili, wyjrzałem przez dziurkę od klucza. Nie udało mi się jednak za dużo zobaczyć. Jeden z mężczyzn był raczej niski i krępy, miał na sobie drogie futro. Raczej nie wyglądał jak polityk, a już na pewno nie jak komunista. Bardziej przypominał dyrektora generalnego. I, co dziwne, był tam też jakiś Chińczyk. Wieczór w międzynarodowym gronie.

Marlow, pomyślał nagle Rath. Ten mężczyzna w futrze to mógł być tylko Marlow! Marlow i jego chiński cień byli na Nürnberger Strasse! Tylko dlaczego szef podziemia odwiedzał nic nieznaczącego sprzedawcę kokainy, trybik w jego organizacji? On przychodzi wyłącznie wtedy, gdy może z tego wyniknąć dla niego jakiś lukratywny interes. Czterdzieści procent mogło się okazać takowym interesem. Czterdzieści procent z osiemdziesięciu milionów marek!

– No cóż – ciągnął Weinert – jak wspomniałem, ciekawość to moja choroba zawodowa. Chciałem wiedzieć o co chodzi z tą Czerwoną Twierdzą.

– I to opowiedział Ci Kardakow?

– Oczywiście, że nie. W ogóle go o to nie pytałem. Naraziłbym się na za duże ryzyko, gdyby dowiedział się, że podsłuchiwałem rozmowę! Czerwona Twierdza prowadzi tajną działalność! Grzecznie trzy-

małem język za zębami i poszukałem w różnych miejscach. Są też inne źródła. Udało mi się ustalić kilka interesujących rzeczy.

– Czerwona Twierdza chce obalić niemiecki rząd?

– Nie, raczej sowiecki.

– Żarty sobie robisz!

– To, że nie mają najlepszego zdania o Stalinie, wiedziałem już od owego marcowego wieczora. Tak wtedy złorzeczyli na rząd w Moskwie, że nie pomyślałbym, iż komuniści mogą mówić takie rzeczy. A przecież są komunistami, i to jakimi. Właściwie to już sama nazwa wszystko zdradza. Czerwona Twierdza uważa się za stróża prawdziwej komunistycznej nauki od czasu śmierci Lenina.

– Stalin i Thälmann też tak myślą o sobie.

– Każdy czerwony tak robi. W tym tkwi właśnie problem lewicy: sama zwalcza się skuteczniej niż wspólnego wroga politycznego. „Trockista” to dla thälmanowców gorsza obelga niż „nazista”.

– Czyżby Trocki też należał do Czerwonej Twierdzy?

– Trudno powiedzieć. Chodzą takie plotki, ale on sam nigdy nie uderzał w te tony. Może tylko czeka, aż Czerwona Twierdza odniesie sukces i wtedy się ujawni?

– A czego chce Czerwona Twierdza? – Dopiero gdy Rath wypowiedział pytanie na głos, zorientował się, że zacytował nagłówek artykułu Weinerta.

– Ich najważniejszym celem jest oczywiście światowa rewolucja. Ale najpierw chcą z powrotem sprowadzić socjalizm w Związku Radzieckim na właściwe tory. A żeby to zrobić, muszą oczywiście obalić Stalina.

– Oczywiście. Mylę się, czy są megalomanami?

– Postawili przed sobą ambitne cele. Widocznie realistycznie widzą to, że do przeprowadzenia zamachu stanu potrzeba nie tylko

idealizmu, lecz także mnóstwa pieniędzy. Zastanawia mnie tylko, skąd chcą wziąć fundusze. Jaki przedsiębiorca wspiera komunistów? I to nawet jeśli chcą oni uderzyć w innych komunistów?

– Wydaje mi się, że mogę udzielić Ci odpowiedzi na to pytanie – powiedział Rath.

Weinert podzielił się z nim całym mnóstwem informacji, a więc i on – na tyle, na ile mógł – grał w otwarte karty. Rath opowiedział mu wszystko o swoich dotychczasowych ustaleniach w sprawie „Wodnik”, o powiązaniach Kardakowa z hrabiną Sorokinową, jej rodzinnym skarbie, który podobno przemycono ze Związku Radzieckiego do Berlina, o Marlowie i ringvereinie Czerwonego Hugona, którzy odgrywali niejasną rolę w całej tej sprawie. W każdym razie po wyjaśnieniach Weinerta Rath już wyraźniej widział, jaka mogła być to rola. Kardakow wraz ze swoją przyjaciółką chcieli przemyścić złoto Sorokinów do Niemiec i wykorzystać na potrzeby swoich ambitnych politycznych celów. Z kolei Marlow na zlecenie Czerwonej Twierdzy miał zamienić rzucające się w oczy złoto, którego na dodatek poszukiwali ludzie Stalina, na niepozorne banknoty i wyciągi bankowe. Kardakow zaangażował swojego szefa jako pasera. Za czterdzieści procent.

– A to ciekawe – odparł Weinert. – A dlaczego nie ogłosiliście tego podczas konferencji prasowej?

– Bo mogłoby to zagrozić toczącemu się śledztwu – skłamał Rath, nie wdając się w szczegóły. Stanowiło to żelazny argument, który gasił każdego dziennikarza.

– To dlaczego mówisz to mnie?

– Bo dzięki Twojej pomocy zrobiłem ogromny krok do przodu, i dlatego, że jest to prywatna rozmowa. Nie wolno Ci upubliczniać tych informacji! Ale obiecuję Ci, że dostaniesz tę historię jako pierw-

szy. Gdy reszta będzie nadal siedziała na konferencji prasowej, Wy będziecie nadawać jej ostatnie szlify w redakcji. Za dzień, dwa mogę dać Ci zielone światło.

– Zielone światło?

– Tak jak w aucie na Potsdamer Platz: będziesz czekał w gotowości, i kiedy światło zmieni się na zielone, wciśniesz gaz!

Poranek chylił się ku końcowi, gdy Rath znów usiadł za swoim biurkiem w Zamku. Właściwie nadchodziła już pora na przerwę obiadową, ale postanowił z niej tego dnia zrezygnować. Miał jeszcze tyle spraw do załatwienia. Nie zaczął się też jeszcze rozglądać za nowym pokojem.

Jednak przede wszystkim musiał teraz uaktualnić swoją wiedzę w sprawie „Wodnik”. Wreszcie mógł jako tako wyrobić sobie ogłęd sytuacji. Nadal nie dysponował wprawdzie dowodami, które można wykorzystać w sądzie, ale ich zgromadzenie należało do zadań Böhma, nie jego.

W każdym razie był już w stanie zaprezentować spójną teorię, pewien kierunek, w którym można poprowadzić dalsze śledztwo. Od Böhma Zörgiebel nie oczekiwał więcej, ale on nie miał nawet tego. Co innego Rath. Mógł przynajmniej zaserwować podejrzanego o morderstwo, może nawet dwoje. Wprawdzie nie na srebrnej tacy, gdyż Kardakow i hrabina Sorokinowa zniknęli, ale przynajmniej miał jakieś nazwiska ludzi, za którymi można wydać listy gończe. W sprawie „Wodnik” coś drgnęło. Po raz pierwszy od czasu zabezpieczenia śladów, pomyślał Rath. A to dlatego, że wszystko, co nawyczyniał później Böhm, było niczym innym, jak działaniem na ślepo.

Zadzwoił telefon, Rath podniósł słuchawkę i się przedstawił.

– Zakończył pan pracę nad listą? – bez przywitania szczerknął głos ze słuchawki. O wilku mowa! W zasadzie nie musiał nic mówić, wystarczyło o nim tylko pomyśleć.

Lista Böhma! Nawet się jej dobrze nie przyjrzał, nie wspominając już nawet o tym, że nie wiedział, co w ogóle z nią począć.

– Listę, panie nadkomisarzu? No, cóż, sądzę, że jutro...

– Jutro? Ile czasu pan potrzebuje, żeby sprawdzić parę alibi? Chce pan pozwolić Związkowi Bojowników, aby zniknął w podziemiu? Chcę jeszcze dziś mieć na biurku pański raport, zrozumieliśmy się?

– Tak jest, panie nadkomisarzu!

Rath z hukiem odłożył słuchawkę. Co za dupek...

Teraz przynajmniej wiedział, za co się zabrać. Widocznie Böhm skombinował z Inspekcji IA listę członków Czerwonego Związku Bojowników Frontowych i obdzielił nią policjantów.

Rath przyglądał się kartce. Sześć nazwisk, każde zaczynało się na literę „I”. Adresów brak – zatem konieczna będzie wizyta w biurze paszportowym. Pewnie żadna z tych osób nie posiadała numeru telefonu, a więc będzie musiał pojechać do Wedding i innych nieprzyjemnych dzielnic. Inaczej wyobrażał sobie czwartkowe popołudnie. Podczas podróży będzie miał przynajmniej czas do namysłu. Zadzwoił do jednostki udostępniającej auta służbowe i zarezerwował opła.

Niedługo później był już w biurze paszportowym.

– Późno się pan zjawia. Wszyscy pańscy koledzy byli tu już dzisiaj rano – oznajmił ten sam siwy pracownika biura, który już raz zszargał mu nerwy. Pocięcha taka, że staruszek chyba go nie poznał.

– A ja przyszedłem *teraz*! Niech pan ruszy swoje utrudzone nogi. To przecież tylko sześć adresów.



– Młody panie, niech mi pan nie mówi, jak mam wykonywać moją pracę. W obecnych czasach młodym ludziom na pewno nie zaszkodziłoby nieco więcej staranności.

Starszy mężczyzna nałożył okulary i z listą Ratha w ręce skierował się do żaluzjowych szafek na akta. Z dziesięć razy porównywał nazwiska z listy z tymi na aktach, które wyciągnął z szuflady, aż zaczął wyglądać na przekonanego, że znalazł właściwe adresy. Wrócił do Ratha, który stał przy drewnianej barierce.

– Proszę bardzo. – Urzędnik położył akta na stole. Rath włożył je do kieszeni marynarki i chciał już odejść.

– Stać! Gdzie się pan wybiera?

– Do mojego biura, jeśli to dla pana żaden problem!

– Nie może pan zabrać akt ze sobą.

– Tylko na parę godzin.

– Przykro mi. Przepisy zabraniają. Wolno panu do nich zajrzeć jedynie tu. Niech pan sobie zrobi notatki.

Rath wyciągnął ołówek oraz notatnik i zaczął spisywać adresy. Kiedy skończył, doliczył się jedynie pięciu. Staranność, dobre sobie!

– Hej tam!

Starszy mężczyzna był urażony.

– Nie jestem kelnerem, panie komisarzu – zaprotestował. – Niech pan to sobie zapamięta!

Rath udał, że nie słyszy.

– Dał mi pan tylko pięć adresów – zauważył.

– Oczywiście.

– Na mojej liście znajduje się przecież sześć nazwisk.

– Ale tylko pięcioro Niemców, ten tu... – mężczyzna pokazał na nazwisko czwarte z kolei – ...jego tu nie mamy. Pewnie jest obco-krajowcem.

- Obcokrajowiec w Czerwonym Związku?
- A dlaczego nie? Iwanow. Brzmi rosyjsko, nie uważa pan? Czerwonych Rosjan jest przecież pod dostatkiem.
- A więc muszę iść do biura paszportowego dla obcokrajowców?
- Biuro paszportowe urzędu do spraw cudzoziemców. Musi pan pójść...
- ...do końca korytarza i w lewo, pokój 152 – dokończył Rath.

Mężczyzna spojrzał na niego wielkimi oczami, okulary wciąż miał na nosie. Gdy Rath już sobie poszedł, na twarzy staruszka pojawił się wyraz uznania.

Urzędnik w pokoju 152 wydawał się mniej problemowy i nie dbał tak bardzo o przestrzeganie wszystkich przepisów. Jednak nie był w lepszym nastroju niż jego poprzednik. Raczej w gorszym.

Gdy Rath wyłuszczył mu sprawę, z którą przyszedł, warknął, że ma dużo pracy.

– Niech pan sam sobie sprawdzi. Potrafi pan przecież otworzyć szafę, prawda?

Tym sposobem Rath stanął przed tą samą wielką żaluzjową szafą, w której dwa tygodnie wcześniej staruszek znalazł kartotekę Kardakowa. Nie mógł oprzeć się pokusie. Zanim przeszedł do litery „I”, przyjrzał się rejestrowi na literę „K”. Może w międzyczasie Rosjanin wymienił swój dowód osobisty... Znalazł dokumenty. Wszystkie informacje pokrywały się z tym, co przeczytał mu wtedy starszy urzędnik. Ostatni adres, jaki podano, to Nürnberger Strasse 28. Oznaczało to też, że Kardakow nie posiadał już ważnych dokumentów. Może już ich nie potrzebował, ponieważ od dłuższego czasu żył z nową tożsamością i ze sfałszowanymi papierami? Rath przypomniał sobie jeszcze dwa nazwiska. Rosjanie, z którymi miał do wyrównania rachunki – ta dwójka musiała mieć coś wspólnego z Kar-

dakowem, dlatego znaleźli się w pakiecie, który Rath chciał przekazać Zörgiebelowi. Fallin mieszkał przy Yorckstrasse, drugi adres też mieścił się na Kreuzbergu. Wpis musiał zostać zmieniony dopiero niedawno. Kiedy Rath sobie uświadomił, co czyta, długopis o mały nie wypadł mu z ręki.

Witalij Piotrowicz Selenski mieszka przy Luisenufer!

Pewnie wynajął mieszkanie w oficynie, a na na tabliczce na drzwiach umieścił piękne niemieckie nazwisko Müller. Teraz Rath zyskał całkowitą pewność, że umięśnieni Rosjanie mieli jakieś powiązania z Kardakowem i Czerwoną Twierdzą. Pewnie byli jego strażą przyboczną. Jednego z nich oddelegowano, żeby chronił przyjaciółkę szefa, i zakwaterowano w czynszówce pod najpospolitszym nazwiskiem Müller. Nie za bardzo oryginalne, ale skuteczne. Przynajmniej do tej pory.

Zanotował adresy. Dwa kolejne kamyki do układanki, do której ukończenia było jeszcze wprawdzie daleko, ale ona sama przybierała coraz wyraźniejsze kształty. Najwyższy czas podzielić się swoją wiedzą z innymi. Uśmiechnął się, zadowolony.

Omiał nie zapomnieć poszukać adresu, po który tak właściwie tu przyszedł.

„Drogi panie Zörgiebel, czy berlińska policja nie zaniedbuje swoich obowiązków?

Kilka incydentów, do których ostatnimi czasy doszło, skłania nas do tego, żeby zadać panu to pytanie. Obowiązkiem policji jest dbanie o przestrzeganie prawa i porządku oraz wyjaśnianie przestępstw, a wszystko to przyporządkowane sprawiedliwości. Czy berlińska policja jest jeszcze w stanie sprostać temu zadaniu?

Niech pan sobie wyobrazi, drogi panie Zörgiebel, że siedzi pan w sali koncertowej. Nagle do środka wpada policja i strzela karabinami maszynowymi w parkiet, ponieważ w pomieszczeniu siedzieć miało dwóch kieszonkowców. Krzyknie pan: użycie nieadekwatnych środków! I właśnie to stało się w pańskim mieście. Nie na sali koncertowej, ale na ulicach, w Wedding, Neukölln, w samym centrum Berlina.

Pańska policja, której zadaniem jest przestrzeganie prawa i dbanie o porządek, złamała prawo i zakłóciła porządek. Nie chroniła mieszkańców przed przemocą, ale sama tę przemoc wobec nich zastosowała.

Dał nam pan nową nadzieję, gdy z kanału Landwehr wyciągnięto ofiarę brutalnego przestępstwa. Solennie obiecywał nam pan, że uczyni wszystko, żeby schwycić mordercę i sprawić, by mieszkańcy znów mogli czuć się bezpiecznie.

Skoro nam pan to obiecał, panie Zörgiebel, to dlaczego odsuwa pan wszystkich od tego śledztwa?

Powiem panu dlaczego. Ponieważ zastrzelony został funkcjonariusz i berlińska policja skupiła wszystkie swoje siły na tej sprawie. Na pańskie polecenie, panie prezydencie!

Martwy policjant to wydarzenie godne ubolewania, z całą pewnością! Ale czy daje to panu prawo do tego, żeby stosować podwójne standardy? Czy cywilna ofiara morderstwa ma mniejsze znaczenie niż ta ubrana w mundur? Czy wszyscy ludzie, którzy dla pana nie pracują, są ludźmi drugiej kategorii, panie Zörgiebel? Czy policja może zaniedbywać swoje obowiązki i po prostu porzucać nierozwiązane sprawy, gdy ofiarą przestępstwa staje się jeden z was?”.

Weinertowi udało się umieścić swój artykuł w wieczornym wydaniu. Rath odłożył na bok gazetę, zadowolony. Dziennikarz należycie wykonał swoje zadanie. Zörgiebel został przygotowany na to, by złożyć mu wizytę. Komisarz kryminalny Gereon Rath zjawi się u niego w chwili potrzeby, by podzielić się dobrą wiadomością.

Rath wziął z holu egzemplarz wieczornego wydania „Abendblatt” i poszedł do pokoju. Ze swojego okna miał widok na Askanischer Platz oraz Anhalter Bahnhof, rozświetlony pośród nocy. W hotelu Excelsior spędził pierwsze noce po przyjeździe z Kolonii, zanim jeszcze przeprowadził się do Elisabeth Behnke. Anhalter Bahnhof chował się wówczas pod pancierzem ze śniegu i lodu.

Spojrzał na zegarek. Była już dziewiąta. Powinna zjawić się lada chwila.

Poszedł do łazienki i obmył twarz zimną wodą. Mężczyzna w lustrze wyglądał na nieco zmachanego, ale zadowolonego.

Nic dziwnego, że był zmęczony. Po wizycie w biurze paszportowym popołudnie ciągnęło się w nieskończoność. Trochę to trwało, nim Rath odhaczył wszystkie sześć nazwisk ze swojej listy. Pod czte-

ry adresy musiał się udać kilkakrotnie, zanim udało mu się kogoś zastać. Dobrze, że załatwił sobie samochód. Trzy osoby mieszkały w Wedding, dwie we Friedrichshain i jedna w Prenzlauer Berg. Nikt niestety nie miał mieszkania na Kreuzbergu, w którym Rath z chęcią złożyłby wizytę jeszcze dwóm mężczyznom. Ale na to nie miał już czasu.

Cała szóstka mężczyzn z listy miała alibi na środowy poranek. Brali udział w zgromadzeniu przed Karl-Liebknecht-Haus i każdy z nich był w stanie wymienić przynajmniej tuzin świadków, którzy również uczestniczyli w demonstracji. Niekoniecznie godnych zaufania. Rath nie wykluczał, że podobne odczucia mieli jego koledzy, którzy również odpytywali byłych bojowników frontowych na okoliczność alibi. Na co miała zdać się ta niekończąca się lista nazwisk z alibi wątpliwej autentyczności? Niewiele pomoże to w wyjaśnieniu morderstwa, a jeśli Rath czegoś nienawidził, to były to właśnie zmudne prace, w których nie umiał dopatrzeć się żadnego sensu.

Czy Böhm liczył, że prawdziwy sprawca zachowa się nierozważnie, jeśli nagle zjawi się u niego policja i zacznie wypytywać o alibi? W komisarzy kiełkowało zupełnie inne podejrzenie. Kontrola członków związku odbywała się na polecenie Zörgiebela, a Böhm prowadził śledztwo w zupełnie innym kierunku! Ludzie tacy jak Gereon Rath odgrywali głupców przed prezydentem policji, a Wilhelm Böhm rozkoszował się sukcesem swojego śledztwa

Rath sporządził krótki i niedbały raport. Najczęściej padającymi w nim słowami było: „jak wyżej”. Nic zresztą dziwnego przy sześciu niemal identycznych zeznaniach. Kiedy nie widział sensu w jakiejś pracy, to wykonywał ją z adekwatnie niewielkim zaangażowaniem.

Rath nadal siedział przy maszynie w sekretariacie Roedera, gdy do środka weszła Charly, żeby odebrać sprawozdanie. Fakt, że pełni-

ła rolę posłańca, sprawił, iż jego nastrój znów poszybował w górę. Przyczyniła się do tego też rychła perspektywa wspólnego wolnego wieczoru. Hotel Excelsior był przeogromny, porządny i nie za drogi, a więc w sam raz. Początkowo Charly nieszczerze przypadło do gustu, że telefonicznie zarezerwował tam pokój, ale że za nic w świecie nie chciała go zaprosić do siebie, to nie miała innego wyboru.

– Gereonie, wkrótce musimy jakoś bardziej oficjalnie zakomunikować o naszym związku – oznajmiła. – Tak dłużej być nie może. Mamy się bawić w chowanego po hotelach?

– Ciekawe, czy Zörgiebel pozwoli nam wtedy pracować w jednym zespole?

– Wtedy przejdę do Inspekcji G. Tak czy siak tam wyląduję, jeśli chcę zostać policjantką – odparła i zniknęła z jego raportem.

Następnie Rath zadzwonił do Brunona, by go poinformować, że nie wróci z nim dziś do Friedenau. Nie powiedział mu, że będzie nocował w hotelu. A tym bardziej – z kim.

Dochodziła ósma, gdy w końcu opuścił Zamek i pojechał metrem na Potsdamer Platz. Z podziemi wyszedł bezpośrednio na Haus Vaterland. Nocny Berlin przywitał go rozbawionymi przechodniami i mieniącymi się reklamami świetlnymi. Chodnik ciągnący się wzdłuż Königgrätzer Strasse prowadził obok Europahaus. Rath na chwilę zatrzymał się przed kinem, do którego tłumnie ściągali widzowie najbliższego seansu. Dokładnie przed tygodniem stał w tym miejscu i czekał na Charly. A w Café Europa po raz pierwszy ją pocałował. Kinomani przepychali się obok niego i sarkali. Rath ruszył przed siebie. Na szczęście Excelsior znajdował się jedynie parę kroków dalej.

Rozległo się pukanie do drzwi. To na pewno ona. Spojrzał na gazetę, która wciąż leżała rozłożona na stole. Złożył ją i schował pod łóżkiem. Charly nie musiała jej widzieć. W pewnym sensie miał wobec niej wyrzuty sumienia, których sam do końca nie rozumiał.

– Otwórz, proszę – zawołała przez drzwi – mam zajęte ręce!

Gdy otworzył, uśmiechnęła się do niego promiennie. W prawej ręce trzymała niedużą walizkę, w lewej – kilka papierowych toreb z nadrukowanymi nazwami domów towarowych. Dała mu buziaka w policzek.

– Tym razem się przygotowałam – oznajmiła. – Nie chcę kolejny raz iść do pracy w sukience z poprzedniego dnia. A ty... – Rzuciła na łóżko torbę z zakupami z domu handlowego Tietz” – ...dla Ciebie mam świeżą bieliznę i skarpety. – Na łóżko poleciała kolejna torba. – Nie wiem, czy koszula pasuje, musiałam zgadywać, jaki masz rozmiar kołnierzyka. Za to w krawacie powinno Ci być do twarzy, w każdym razie pasuje do garnituru.

Wziął torby z łóżka i zdumiał się.

– Całkiem niezłe! Mam od razu przymierzyć?

Powiesiła na klamce wywieszkę z napisem „Nie przeszkadzać” i zamknęła drzwi.

– Przymierzyć? Pomyłka, panie komisarzu. To nie czas, żeby cokolwiek na siebie nakładać. To czas, żeby coś zdjąć!

Wykazał się posłuszeństwem, ale najpierw zatroszczył się o nią. Każdy kawałek jej ciała, który odsłaniał, obdarowywał pocałunkami: ręce, ramiona, smukłą szyję. Cicho jęknęła, gdy ugryzł ją w kark. Chciała się do niego odwrócić, pocałować go, objąć, ale dał jej do zrozumienia, żeby stała spokojnie. Zdjął jej buty i powoli zsunął pończochy z nóg, najpierw prawą, potem lewą. Ledwie wytrzymał z podniecenia, kiedy z jej ramion zsuwała się sukienka, ale za-



chował nieśpieszne tempo. Delikatnie drżała, kiedy jego dłonie chwyciły jej piersi, a usta znów dotknęły karku. Dopiero wtedy powoli się do niego odwróciła. Przez chwilę spoglądali sobie w oczy, oddychając głęboko.

Po chwili rzucili się na siebie jak wygłodniali.

Później długo leżeli obok siebie w milczeniu, mokrzy od potu, ona w jego objęciach. Rath patrzył w sufit, zamyślony. Minęły wieki, odkąd ostatni raz czuł się tak szczęśliwy.

Zakochałeś się, mój drogi, mówił do siebie.

Za rzadko widywali się w ciągu ostatniego tygodnia. Charly miała rację, tak dłużej być nie może. Niebawem sprawy będą wyglądały inaczej, on będzie miał stałą posadę w wydziale zabójstw, skończy z tajemnicami, wreszcie otworzą się przed nim nowe perspektywy zawodowe. Oraz prywatne. Najchętniej od razu by z nią zamieszkał, w końcu i tak szukał mieszkania. No ale cóż, nie chciał jej osaczać. Spodziewał się jednak, że z taką kobietą jak Charly u boku, poczuje się dobrze nawet w Berlinie.

– Czy Ty właściwie wiesz, kim jesteś? – zapytała niespodziewanie i pogłaskała go po piersi. – Jesteś wstrzymywaczem pożądania.

Zaśmiał się.

– Zabrzmiało tak, jakby nosiło to znamiona przestępstwa. Takich rzeczy uczą na wydziale prawa?

– To nie żaden czyn karalny, to coś podniecającego – powiedziała.

– Chcesz mi dać tym do zrozumienia, że zawsze powinniśmy robić sobie tygodniową przerwę?

– Nie, oczywiście, że nie!

Tym razem natychmiast przeszli do rzeczy.

Następnego ranka przebudził się jako pierwszy. Wspaniale było obudzić się obok niej! Przyglądał się jej jakiś czas, leżała taka spokojna. Pogładził ją po twarzy, delikatnie, żeby jej nie obudzić, potem wstał i podszedł do okna. Deszcz dudnił o potężny dach Anhalter Bahnhof, ale mimo to na Askanischer Platz panowało ożywienie, zaczęła się bieganina przed Zielonymi Świątkami. Parasole tłumnie napływały do budynku dworca.

Po lewej stronie Möckernstrasse wpadała w Königgrätzer Strasse, a paręset metrów dalej przebiegała nad kanałem Landwehr. Tam znaleziono ciało Borysa.

Dziś zakończy tę historię. Wszystkie informacje, które dotąd zgromadził, sprzeda prezydentowi policji tak dobrze, jak tylko potrafi. Wtedy Zörgiebel będzie musiał oddać mu biurko Roedera. Wreszcie skończy się czas tajemnic.

Delikatne ramiona oplotły jego klatkę piersiową. W ogóle jej nie usłyszał. Jej ciepłe ciało przylgnęło do niego.

– Beznadziejna pogoda, prawda? – wymamrotała zaspana.

– A my nawet nie mamy parasola.

– Pogoda w sam raz, żeby cały dzień spędzić w łóżku.

– Obawiam się tylko, że drogi Wilhelm Böhm do tego nie dopuści.

Ma teraz mnóstwo pracy, którą musi poprzydzielać.

– Wróćmy jeszcze do łóżka – kaprysiła.

– Co tak właściwie Böhm zrobił z Waszą poprzednią sprawą? Jest zamknięta?

– Akta odłożono do „mokrych ryb”. No, chodź już. – Zaciągnęła go z powrotem do łóżka.

– Hej! – zaprotestował. – Co to ma znaczyć? Więcej niż szybki numer nie wchodzi w rachubę!

– Proszę, proszę! Co za słownictwo! Jedno muszę przyznać: wi-  
dać, że policjant z obyczajówki zna się tych sprawach...

Nie zdołała skończyć, gdyż rzucił poduszką w sam środek jej twa-  
rzy.

Choć zrezygnowali ze śniadania, to i tak spóźnili się do Zamku. Czu-  
li się, jakby mieli do nadrobienia zaległości z całego tygodnia. Roz-  
dzielili się dopiero na dworcu Alexanderplatz. Podczas gdy ona  
wbiegała już po schodach prezydium, on przeglądał gazety w kio-  
sku. Przez noc kilka gazet zareagowało i poszło w ślady Weinerta.  
Zbyt wielu dziennikarzy wściekło się na Zörgiebela, by teraz odpu-  
ścić okazję na to, by dać mu popalić. Rath nie podejrzewał, żeby  
choć jeden z nich sprawdził informację o tym, że Zörgiebel zawiesił  
wszystkie śledztwa na rzecz sprawy Jänickego. Zgapili to po prostu  
od Weinerta.

Wszedł do biura Roedera jedynie po to, żeby powiesić płaszcz.  
Następnie udał się w dalszą drogę.

Szafa z „mokrymi rybami” znajdowała się w Głównej Kartotece  
Zabójstw, którą założył Gennat i o którą dbał jak o własne dziecko:  
dlatego też umieścił ją w pokoju tuż obok swojego biura. Było to  
wielkie prostokątne pomieszczenie, którego dłuższe ściany były cał-  
kowicie zastawione szafami na akta, na jego środku znajdował się  
stół i osiem krzeseł, które wykorzystywano podczas mniej licznych  
narad. Pod oknami stała szafka z kartotekami, a na niej królował  
okazały fikus. Pewnie zajmowała się nim Gertrud Steiner.

Zbiory posegregowano według przyczyny zgonu, a na niewyja-  
śnione sprawy przewidziano tylko niewielką szafkę – stanowiła sym-  
bol niezłomnej pewności siebie Inspekcji A w kwestii wysokiego  
wskaźnika wykrywalności. Ciekawe, jak czuł się Böhm, gdy depono-

wał w niej akta sprawy „Möckernbrücke”. Żaden śledczy wydziału zabójstw nie wkładał chętnie niczego do tej szafy. W przypadku akt sprawy Wilczka byłoby inaczej: Rath z radością by je tu zostawił.

W ciągu dwóch tygodni Böhm zapełnił informacjami nie tylko jeden skoroszyt, ale aż cztery.

Zaskakująca dysproporcja nakładu pracy względem efektu. Rath wcisnął pod ramię wszystkie cztery pliki. Musiał je szybko przejrzeć, chciał przekopać się przez akta sprawy „Möckernbrücke” do późnego popołudnia. Potem nadejdzie czas, żeby poinformować Zörgiebela, dokładnie wtedy, gdy w redakcji „Abendblatt” zacznie się już krzątanie.

Oby Böhm zostawił go dziś w spokoju.

Ta nadzieja się nie spełniła. Gdy wrócił ze skoroszytami do gabinetu Roedera, na biurku leżał kolejny papier. Pewnie Charly go przyniosła. Cholera, a jego znów nie było w biurze!

Kolejnych sześć nazwisk. Tym razem na literę „P”. A zatem niebawem skończy się im alfabet! Rath postanowił zignorować listę. Zaplanował na ten dzień, że tak czy owak wypowie Böhmowi wojnę. Zatem lista nie będzie miała żadnego znaczenia. Otworzył pierwszy skoroszyt i wziął się do pracy. W środku znajdowało się całe mnóstwo przesłuchań świadków. Tyle dobrego, że ktoś – pewnie Böhm we własnej osobie – obrysował kółkiem interesujące fragmenty.

O dziesiątej zadzwonił do Weinerta. Potem zabrał się do dalszej pracy i ślęczał nad papierami nawet podczas przerwy obiadowej. Charly się nie pokazała. Próbował nie myśleć o niej za często, co wcale nie było takie proste. Niektóre z protokołów, które czytał, napisane zostały przez nią. O wpół do piątej zadzwonił do sekretariatu Zörgiebela i poprosił o rozmowę z prezydentem. Dagmar Kling chciała mu zaproponować termin po Zielonych Świątkach.

– Przykro mi, ale to pilna sprawa! Muszę porozmawiać z prezydentem jeszcze dziś.

Gilotyna okazała się łaskawa.

– Zobaczę, co się da zrobić.

– To naprawdę ważne.

Niecałe pięć minut później oddzwoniła.

– Prezydent może pana przyjąć za dwadzieścia minut. Mam nadzieję, że ma pan mu do opowiedzenia coś naprawdę ciekawego. Nie jest dziś w najlepszym nastroju.

– Rozweselę go, proszę mi zaufać.

Tym razem nie musiał czekać. Gilotyna od razu kiwnięciem ręki poleciła mu wejść do gabinetu.

Zörgiebel sprawiał wrażenie podłamanego. Dzisiejsze gazety z pewnością nie przypadły mu do gustu.

– Dzień dobry panie prezydencie.

– Dzień dobry panie Rath, proszę wejść. Co mogę dla pana zrobić?

– Mam nadzieję, że to ja mogę zrobić coś dla pana, panie prezydencie. Pamięta pan jeszcze tego martwego mężczyznę, którego dwa tygodnie temu znaleziono w kanale Landwehr?

– Jak mógłbym zapomnieć, nawet gdybym chciał? Wszyscy nieustannie mi o nim przypominają!

– Wydaje mi się, że znalazłem hipotezę, która pomoże rozwiązać tę sprawę.

Zörgiebel wyostrzył słuch, jego brwi podskoczyły do góry.

– Dlaczego przychodzi pan z tym do mnie, komisarzu Rath? – zapytał. – To śledztwo prowadził nadkomisarz Böhm.

– Otóż to, prowadził, panie prezydencie. Ale potem powierzono mu przecież sprawę Jänickego. A że nadano jej najwyższy priorytet,

najsensowniejsze wydawało mi się, żeby zwrócić się z tym osobiście do pana prezydenta. Może pan wtedy zadecydować, co dalej z tym zrobić. Sprawa została już właściwie odłożona do „mokrych ryb”.

Zörgiebel przytaknął.

– Może to nie najgorszy pomysł, że przyszedł pan do mnie. Co takiego pan ustalił? I jak się to panu w ogóle udało?

– To skomplikowana i długa historia...

– Niech się pan streszcza, mój przyjacielu. Szczegóły może pan zawrzeć w raporcie. Dalej, niech pan mówi!

– Mężczyzna, którego znaleziono w kanale, to Rosjanin. Ma na imię Borys, nazwiska nie znam. W każdym razie należał do komunistycznej frakcji, która nazywa się Czerwona Twierdza, albo przynajmniej z nią współpracował. Na jej polecenie przemycił ze Związku Radzieckiego ogromną ilość złota. Złota należącego do arystokratycznego rodu Sorokinów.

Rath obserwował Zörgiebela. Hasło „Sorokin” nie wywołało w prezydencie absolutnie żadnej reakcji. A więc sprawa z wwiezionym do Berlina złotem nie była aż tak dobrze znana, jak przekonywał go major Seegers.

– Głową Czerwonej Twierdzy jest Aleksiej Kardakow, którego właśnie podejrzewam o zabójstwo Borysa – ciągnął. – To, że Rosjanin wynajmował pokój, w którym później zamieszkiwał Rath, nie powinno nic Zörgiebela nie obchodzić.

– Kardakow zniknął, jego współpracniczka hrabina Swietłana Sorokinowa, której rodzina ukryła złoto przed bolszewikami, też.

– Chwila, chwila! – przerwał mu Zörgiebel. – Nie do końca rozumiem. Dlaczego mieliby zabijać mężczyznę, który miał im dostarczyć złoto?

– Bo chciał je zabrać i dać drapaką. Zgodnie z informacjami, które dotąd zgromadziłem, złoto miało posłużyć podziemnej działalności Czerwonej Twierdzy, która dzięki niemu chciała sfinansować swoją wojnę.

– A więc broń?

– Na pewno mieli zamiar zrobić z pieniędzy większy użytek, niż tylko sfinansować wydruk ulotek. Podobno to złoto ma wartość pięćdziesięciu milionów marek.

– Trudno znaleźć kogoś, kto dałby im za nie tyle pieniędzy.

– Dlatego Kardakow już wcześniej nawiązał kontakt z ringvereinem. Dzięki temu tak w ogóle trafiłem na ten trop. Była to Berolina, ringverein, do którego należał Wilczek. Na twarzy Zörgiebela rysowała się wątpliwość.

– Wilczek, ten nieboszczyk znaleziony w betonie – ciągnął Rath. – Jego ringverein miał spieniężyć złoto na zlecenie Czerwonej Twierdzy. Jednak widocznie nigdy ono nie trafiło ani do Twierdzy, ani do Beroliny.

– A ten przemytnik Borys przywłaszczył sobie pieniądze?

Rath przytaknął.

– I jak *on* je spieniężył?

– Podejrzewam, że z pomocą innego ringverein. Może działa też w zмовie z ludźmi Stalina i zainkasował od nich nagrodę. Możliwości jest wiele.

– Jakim cudem niepostrzeżenie przewieziono przez granicę taką ogromną ilość złota?

– Na to pytanie też nie mam jeszcze odpowiedzi, panie prezydencie.

– Pewnie nie ma pan też przekonujących dowodów na tę pogmatwaną historię, prawda?

– W tym problem, panie prezydencie. Dowody są dość skąpe. Ale przynajmniej nadkomisarz Böhm dowiedziałby się, w jakim kierunku winien prowadzić dalsze śledztwo. A kiedy już Kardakow zostanie odnaleziony, to będzie miał pewnie dużo do powiedzenia.

Zörgiebel spojrzął na zegarek.

– To irytujące, panie Rath, naprawdę irytujące.

– Co ma pan na myśli, panie prezydencie?

– Bardzo niekorzystny moment, żeby poinformować prasę. Nie uda nam się trafić do wieczornego wydania.

No i dobrze, pomyślał Rath, dałem Weinertowi słowo.

Zörgiebel wyglądał na zamyślonego.

– Najpierw powinniśmy rozpocząć poszukiwania tego... Jak on się nazywa?

– Kardakow.

– Zgadza się. Ma pan dowody, które uzasadniają podejrzenie morderstwa?

– W każdym razie jest niezwykle cenny dla dalszego śledztwa. Jeśli nie jako podejrzany, to jako świadek. Hrabina również.

– No dobrze, odczekajmy zatem parę dni. Możemy poinformować prasę również po Zielonych Świątkach.

Rath przełknął ślinę. Potem odchrząknął.

– Obawiam się, że to niemożliwe, panie prezydencie.

– Słucham?

– Powinniśmy niezwłocznie poinformować prasę. W przeciwnym razie berlińska policja źle wypadnie w tej sprawie.

– Nie do końca pana rozumiem.

– Wygląda to tak... Kluczowe informacje dotyczące naszej sprawy otrzymałem dopiero dziś od pewnego dziennikarza, który osobiście



znał Kardakowa i zbierał materiały o organizacji „Krasnaja Krepost”...

– O kim?

– ...o Czerwonej Twierdzy. Niektóre informacje, które panu właśnie przekazałem, przede wszystkim te dotyczące Czerwonej Twierdzy i złota Sorokinów, znajdą się jeszcze dziś w „Abendblatt”.

– W tym szmatławcu?

– Dlatego uznałem za mój obowiązek, żeby niezwłocznie poinformować pana prezydenta.

– Tak, ma pan rację, ma pan rację. – Zörgiebel gniewnie machał w powietrzu swoimi grubymi rękami. – I nie mógł pan powstrzymać tego pismaka...

– Niestety nie, panie prezydencie. Powołał się na wolność prasy i wyraził przekonanie, że informując mnie – funkcjonariusza policji – spełnił swoją powinność. – Rath sięgnął do marynarki. – Bądź co bądź, udostępnił mi te fotografie. Te przedstawiają Kardakowa, a to zdjęcie hrabiny. Pracowała jako śpiewaczka, pod fałszywym nazwiskiem.

Zörgiebel przyjrzał się zdjęciom i rozmyślał, masywny podbródek wsparłszy o dłoń.

– Jeśli my jako berlińska policja pójdziemy dziś z tą historią do prasy, to musimy postępować ostrożnie. Mam nadzieję, że to dla pana jasne. Za dużo tu spekulacji.

– Oczywiście, panie prezydencie. Jednak przynajmniej możemy ogłosić przełom w śledztwie.

– Dobrze, omówię jeszcze tę sprawę z Gennatem oraz Böhmem i podejmę wszelkie konieczne działania. Powinien pan uczestniczyć w tej rozmowie, panie komisarzu. – Sięgnął po słuchawkę telefonu. – Dagmar? Proszę mi tu wezwać Gennata i Böhma. Powiedzmy za

dziesięć minut. I proszę zawiadomić dziennikarzy. Za godzinę zwołuję konferencję prasową.

Odłożył słuchawkę i wyciągnął cygaro z pudełka leżącego na biurku, zaoferował też jedno Rathowi. Odmówił. Wystarczy, że niebawem będzie siedział *vis-à-vis* Böhma. Z cygarem w kąciku ust czułby się niesłychanie głupio. Wyciągnął czerwoną paczkę overstoltzów.

– Jeśli pan prezydent pozwoli, to wolałbym zapalić papierosa.

Zörgiebel pochylił się do przodu i podał mu ogień.

– Drogi panie Rath, to nie tak, że nie jestem zadowolony z wyników pańskiej pracy. Ale tak właściwie to powinien pan z tym pójść do Böhma! Kiedy dowiedział się pan, że ten ringverein macza palce w tak wielkiej sprawie?

– Tak naprawdę to dopiero dziś zrozumiałem te powiązania, panie prezydencie, po rozmowie ze wspomnianym dziennikarzem. Potem niezwłocznie poprosiłem o to spotkanie.

– Co to za dziennikarz?

– Musiałem mu zagwarantować całkowitą poufność. Artykuł ukaże się pod pseudonimem. Zdradzanie takich tajemnic jest obarczone ryzykiem.

– Czy będzie do dyspozycji w charakterze świadka?

Rath wzruszył ramionami. Wygrzebał kartkę z kieszeni i położył ją na stole.

– A tu mam adresy dwóch Rosjan, najprawdopodobniej współpracowników Kardakowa, mogliby pomóc naprowadzić nas na jego trop.

Zörgiebel wziął kartkę do ręki i chrząknął. Widać było po nim, że miał za sobą ciężki dzień.

– Jestem panu ogromnie wdzięczny, panie Rath – powiedział. – Przełom w tym śledztwie powinien być nastąpić już dawno temu.

– Czynię tylko moją powinność, panie prezydencie. – Skromność to cnota, pomyślał Rath, ale Zörgiebel chyba nie po raz pierwszy słyszał to zdanie i wiedział, co się z nim wiąże.

– Wie pan, że nie mogę pana awansować, panie Rath? – odparł. – Nawet jeśli udałoby się panu osobiście posłać za kratki Stalina. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zarządziło wstrzymanie jakichkolwiek awansów.

– Wiem, panie prezydencie.

– A więc czego pan oczekuje?

– Własnego biura z tabliczką z moim nazwiskiem na drzwiach. I sekretarki.

Zörgiebel się uśmiechnął.

– Dobrze, panie komisarzu! Wydaje mi się, że da się to załatwić.

– Dziękuję, panie prezydencie.

– Jeśli mogę udzielić panu dobrej rady, to niech pan sobie odpocznie podczas Zielonych Świątek. Uzbierał pan mnóstwo nadgodzin.

– A śledztwo? Böhmowi przydadzą się każde ręce do pracy!

– Na pańskim miejscu cieszyłbym się, że póki co mogę zejść nadkomisarzowi z oczu. Spotkanie, które zaraz odbędziemy, będzie wystarczająco nieprzyjemne. Nie mogę też panu zagwarantować, że moja obecność w tym pomieszczeniu sprawi, że Böhm będzie w stanie się opanować. Jakby na to nie patrzeć, prowadził pan za jego plecami potajemne dochodzenie. Jeśli się panu poszczęści, to do wtorku sytuacja może jako tako się uspokoić. – Zörgiebel pokręcił głową. – Drogi panie Rath, powinien pan sobie zapamiętać jedną rzecz. Jeśli chce pan zrobić karierę czyimś kosztem, to przysporzy pan sobie wrogów. Stara mądrość mówi, że ludzie spotykają się

w życiu dwukrotnie. A mogę panu obiecać, że będzie pan wpadał na nadkomisarza Böhma wielokrotnie. Częściej niż dwa razy.

Konferencja prasowa wypadła znakomicie. Zörgiebel przedstawił Ratha jako tego, któremu udało się dokonać kluczowego przełomu w pracach komisji „Möckernbrücke”. Przemilczał jednak fakt, że Rath w ogóle nie należał do tej komisji i że doszło już nawet do jej rozwiązania. Miało to wyglądać tak, jakby prasa całkowicie niesłusznie podejrzewała Zörgiebela oraz berlińską policję o to, że rzucili wszystko, żeby przyspieszyć wyjaśnienie sprawy morderstwa policjanta. Prezydent niestrudzenie dawał wyraz swojemu oburzeniu z powodu tych insynuacji.

– Drodzy panowie – dodał. – Mają teraz panowie okazję, żeby naprawić swój błąd.

Początkowo Rath w ogóle nie widział Charly, ale pewnie już od dłuższego czasu stała przy drzwiach ze skrzyżowanymi rękami. Sceptycznym wzrokiem przyglądała się temu całemu przedstawieniu. Czyżby Böhm ją tu przysłał? Nadkomisarz nie pojawił się na konferencji, chociaż Zörgiebel chciał go zaprosić nawet na podium, lecz w trakcie ich krótkiej narady w biurze prezydenta śledczy z furją wybiegł na zewnątrz, trzaskając za sobą drzwiami. Najwyraźniej takie pożegnania nie należały u niego do rzadkości. Gennat również nie zjawił się na konferencji prasowej. Uważał, że informacje są zbyt skąpe, żeby iść z nimi do prasy, i bez ogródek powiedział to Zörgiebelowi.

Dlatego też prezydent policji poprowadził to spotkanie tylko z Ratham, zawczasu ustalwszy, jakie informacje w ogóle podać do wiadomości. Pismakom to chyba wystarczyło. Reporterzy pilnie sporządzali notatki.

Kiedy konferencja się już skończyła, Charly wciąż stała przy drzwiach. Reporterzy przepychali się obok niej do wyjścia. Pośpiech wydawał się zbyt szybki, wieczorne wydania wszystkich gazet były już w sprzedaży, a dodatkowa wkładka też nie pomieści całej historii. Charly nie ruszała się z miejsca, aż cała sfora się obok niej przetoczyła, a Rath i Zörgiebel jako ostatni opuścili salę. Przywitała się uprzejmie z Zörgiebelem, z kolei na komisarza tylko spojrzała wrogo. Rath zrzucił to na karb ich umowy, żeby nie zachowywać się w Zamku jak para i w miarę możliwości się ignorować.

To, że go nie ignorowała, spostrzegł dopiero wtedy, kiedy się do niego odezwała.

– Ależ z pana dupek, panie Rath – syknęła tak głośno, że prezydent też mógł to usłyszeć, i odeszła od niego, zostawiając go jak przygłupiego uczniaka.

A zatem wesołych Zielonych Świątek!

Charly nie odbierała telefonu. Próbował dodzwonić się do niej przez cały piątkowy wieczór. Raz odebrała jej przyjaciółka. Greta w zwięzłych słowach powiedziała mu, że Charly wyjechała na święta, i odłożyła słuchawkę.

Wyjechała! Nie mógł w to uwierzyć. Charly miała wolne dopiero od niedzieli i chcieli wtedy razem wybrać się za miasto. Poczuł ukłucie już na samo wspomnienie tego, jak w hotelu Excelsior snuli wspólne plany na wolne dni. W końcu odpuścił ciągle wybieranie jej numeru. Było już późno, gdy wyszedł z Zamku i ruszył do Friedenau. Gdy dotarł na miejsce, Bruno wybierał się już wprawdzie spać, ale przysiadł się do niego jeszcze na chwilę. Napili się. Powoli wchodziło im to w nawyk. Jednak nawet alkohol nie był w stanie przepędzić myśli o Charly.

Choć w sobotę miał wolne, to i tak wybrał się do Zamku. Nigdzie nie mógł jej wypatrzeć. W Inspekcji A spotkał jedynie Wilhelma Böhma w nader złym humorze. Nie powiedział do Ratha ani słowa i patrzył na niego jak na jakiegoś wstrętnego robala. Choć trudno w to uwierzyć, to wydało się Rathowi jeszcze gorsze niż ciągi, które od niego zbierał wcześniej.

Zörgiebel miał rację, gdy go ostrzegał. W całej Inspekcji A panowała lodowata atmosfera. Rath miał pewność, że jakoś to zniesie. Bolała go jednak cała ta historia z Charly. I to bardziej, niż chciał się do tego przyznać. Chyba naprawdę czuła do niego pogardę za te

wszystkie tajemnice i za upokorzenie, które Böhm musiał przez niego znosić, ale najbardziej chyba za to, że przekazała mu poufne informacje dotyczące komisji „Möckernbrücke”, nie wiedząc, że może je wykorzystać. On z kolei nic nie powiedział jej ani o *własnych* planach, ani o własnych ustaleniach. Wykorzystał ją, wycisnął jak cytrynę.

Ale co innego mu pozostawało? Gdy poznał Charly, to już siedział po uszy w tym całym bagnie. Może powinien był po prostu z tym skończyć?

Może.

Ale *potrzebował* tego sukcesu. On, Gereon Rath, potrzebował osobistego sukcesu, którego nie chciał i nie mógł dzielić z zadufanym przełożonym, takim jak Böhm.

Jego rodzice zadzwonili w piątek wieczór i mu pogratulowali. Pewnie Zörgiebel poinformował o wszystkim swego starego przyjaciela, również o tym, że Rath miał parę dni wolnego. Engelbert Rath zapytał bowiem syna, czy ten nie chciałby przyjechać na święta do Kolonii:

– Twoja matka tak by się ucieszyła.

Gereon nie miał pod ręką sensownej wymówki. Odparł, że jest umówiony z przyjaciółmi, a poza tym musi poszukać mieszkania. Liche wymówki, i ojciec oczywiście wysnuł podejrzenie, że stoi za tym jakaś nowa dziewczyna, więc zaczął dogryzać synowi. Niech starszek myśli sobie, co chce, dopóki to akceptuje. Gereon nie byłby w stanie zdzierżyć teraz nikogo z nich, może z wyjątkiem Ursuli, swojej młodszej siostry. Czasami za nią tęsknił, ale z resztą rodziny nie chciał mieć nic wspólnego, za sprawą milczenia o Severinie. I jeszcze przez te peany na cześć Anno, wygłaszane przez ojca w tak

przemyślany sposób, że Gereon czuł się jak nieudacznik. I tak nigdy nie dorówna świętemu Anno.

Jedyną osobą, która mogła go teraz pocieszyć, był Bruno. Rath początkowo uznał, że musi wyjechać na Zielone Świątki, żeby nie siedzieć Wolterom na głowie.

Bruno jednak spojrział na niego srogim wzrokiem i powiedział:

– Nie jesteś dla nas ciężarem! Wspaniale jest mieć Cię w naszym domu, Gereonie, wiesz? Dla Emmi i mnie jesteś jak syn, którego nigdy nie mieliśmy. – Rathowi zajęło chwilę, nim się zorientował, że Bruno się z niego podśmiewa. Wujek był raptem dwanaście lat starszy od niego, Emmi Wolter – góra siedem lub osiem. Rath musiał zrobić nietęgą minę, gdyż Bruno wybuchł gromkim śmiechem.

Wolterowie zaprosili na Zielone Świątki gości: zaprzyjaźnione małżeństwo – Rudiego i Erikę Scheerów, oraz przyjaciółkę Emmi, Agnes Sahler, której mąż zmarł dwa lata wcześniej. Choć zaproszenia wystosowano, na długo zanim Rath trafił na bruk, i naprawdę trudno było posądzić kogokolwiek o zamiar zeswatań go, to między dwójką samotnych osób wytworzyła się jakaś dziwna atmosfera. Oboje nie potrafili – albo raczej nie chcieli – nawiązać ze sobą kontaktu i woleli spędzać czas w towarzystwie obu par. Rath kilka razy wymknął się ukradkiem i próbował zadzwonić do Charly. Oczywiście nikt nie odbierał.

Był niedzielny wieczór w święto Zesłania Ducha Świętego. Trzej mężczyźni siedzieli w ogrodzie i pili, podczas gdy kobiety już od dawna leżały w łózkach. Rudi Scheer, sympatyczny, spokojny mężczyzna około pięćdziesiątki, opowiadał o dawnych czasach na strzelnicy i o tym, jak Bruno uczył strzelania policyjny narybek. Rath po raz pierwszy usłyszał historię z czasów, w których Bruno zyskał przydomek Parabellum. Scheer do dziś pracował w zbrojowni na



Alexanderplatz, z kolei Bruno w ogóle już nie miał styczności z bronią. Rath zapytał go, jak to się stało, że trafił do obyczajówki.

– Ach, to przez ten wypadek – rzucił Scheer, ale zamilkł, gdy Bruno obrzucił go złowrogim spojrzeniem. – Są rzeczy, o których powinno się lepiej milczeć – dodał jedynie.

Potem zmienił temat na sprawę Kardakowa. Rath opowiedział o dalszym ciągu śledztwa, od którego Böhm go jednak prawie całkiem odsunął. Zörgiebel znów przekazał sprawę nadkomisarzowi, który oficjalnie nigdy jej na nikogo nie scedował. W każdym razie Rath wiedział, że nadal jeszcze nie odnaleziono Kardakowa, po hrabinie też nie było żadnego śladu. Zaaresztowano jedynie dwóch osiłkowatych Rosjan i w piątek wieczorem zabrano ich na Alexanderplatz, jednak już w sobotę trzeba było ich zwolnić. Bruno nie powiedział, czy byli to Ci sami Rosjanie, których Rath chciał przesłuchać po policyjnej obławie sprzed tygodnia. Rath miał tylko nadzieję, że nie zwolniono ich z tej samej przyczyny, co wcześniej. Tryb specjalny! Gdy tylko o tym pomyślał, znów zalewała go krew! Powinien był wówczas przycisnąć tych dwóch. Może wtedy złapałiby Kardakowa już dawno temu.

Gdy we wtorek rano Rath usiadł przy swoim biurku w Zamku i czytał protokoły z przesłuchań, wreszcie poznał powód, dla którego tych dwóch Rosjan zostało zwolnionych z aresztu. Fallin i Selenski przekonująco zapewniali, że nie mają z komunistami absolutnie nic wspólnego, a już na pewno nie utrzymują kontaktów z zrzeszeniem o nazwie Czerwona Twierdza. Ponoć nigdy też nie słyszeli nic o jakimś Aleksieju Kardakowie. Przekonujący byli przede wszystkim z uwagi na posiadane dokumenty poświadczające, że przed ucieczką z ogarniętej rewolucją Rosji byli oficerami Ochrony, tajnej

policji cara. A więc byli w zasadzie kolegami po fachu. Czy również dlatego wyszli z policyjnego aresztu?

Rath ze złością spoglądał na protokoły przesłuchań. Z chęcią sam przemaglowałby tych Rosjan, z pewnością przyniosłoby to lepszy efekt. Zörgiebel jednak do tego nie dopuścił, sprawa wróciła do Böhma i kropka!

Morderstwem Jänickego zajmował się teraz Gennat we własnej osobie. Komisja do sprawy o kryptonimie „Bülowplatz” została wyraźnie uszczuplona, jeśli chodzi o liczebność zespołu. Być może „uszczuplenie” nie było najtrafniejszym określeniem, skoro śledztwo prowadził Budda. Gennat ważył bowiem co najmniej sto pięćdziesiąt kilogramów.

Gdy po trzydniowej przymusowej przerwie Rath znów usiadł przy biurku, zupełnie nie wiedział, czym ma się zająć. Piątkowe wydarzenia wprowadziły nieco zamętu w Inspekcji A. Czy pracował jeszcze nad sprawą Jänickego? A może powinien pochylić się nad aktami Wilczka, które najchętniej z miejsca by zamknął i odłożył do „mokrych ryb”? Jediną rzeczą, którą Zörgiebel dał mu wyraźnie do zrozumienia, było to, że nie wolno mu już na własną rękę poczynić żadnych kroków w sprawie Kardakowa. Miał wykonywać jedynie to, czego wymagać będzie od niego Böhm. Tyle że nadkomisarz niczego nie wymagał, nawet z nim nie rozmawiał; ani o pogodzie, ani tym bardziej o aktualnie toczącym się śledztwie.

Niemniej Rath postanowił, że rzuci się w wir pracy. Wczorajszy dzień, najbardziej posępny świąteczny poniedziałek w całym swoim życiu, spędził w całości pogrążony w chmurnych myślach. Nawet wieczorne alkoholowe wybryki z Brunonem nie zdołały go rozweselić. Po takim dniu wiedział, że musi zagrzebać się w pracy, aby w ogóle nie myśleć o prywatnych sprawach. Nie myśleć o Charly.

A na pewno stałoby się tak, gdyby ją spotkał. Nie należał do mężczyzn, którzy z powodu kobiety wstępują do klasztoru.

Postanowił, że zadzwoni do Gennata. Nadal był on szefem Inspekcji A. Może zaangażuje Ratha w komisji „Bülowplatz”? Nadal wydawało mu się to najsensowniejszym zajęciem, które Inspekcja A miała obecnie do przydzielenia. Morderca Jänickego nie może uniknąć kary. Poza tym z pewnością można bardzo wiele nauczyć się od starego lisa Gennata.

Rath wziął słuchawkę do ręki, ale nie zdążył wybrać numeru.

Ktoś zapukał do drzwi.

Do pokoju zajrzał mężczyzna w białych spodniach roboczych. W jednej ręce trzymał drewnianą skrzynkę, w drugiej – kartkę.

– Słucham pana?

– Komisarz kryminalny Gero Rath?

– Gereon!

– Malarze szyldów, panie komisarzu.

„Malarze szyldów”? Mimo największego wysiłku Rath mógł dostrzec wyłącznie jednego.

– Świetnie. Proszę więc zaczynać – powiedział. – Ale proszę pamiętać, że moje imię brzmi *Gereon*.

– Tak jest też tutaj napisane. – Malarz pomachał kartką.

Nieporadnie wypakował farby, pędzle oraz szablony i stanął w otwartych drzwiach.

– Czy mógłby pan zamknąć drzwi?

– Nie bardzo, tu w środku jest lepsze światło. To potrwa tylko kilka minut.

Mężczyzna nieśpiesznie pociągał pędzlem. Czasami Rath zazdrościł spokoju takim ludziom, ale zazwyczaj go denerwowali.

Mało brakowało, a malarz musiałby zaczynać pracę od początku, bo jakiś mężczyzna pośpiesznie wszedł przez drzwi, o włos go nie potracając. Był to Kronberg z dochodzeniówki, trzymał brązową kopertę. Przeszedł przez sekretariat i wszedł do środka.

– Już od progu się tu pracuje – powiedział do Ratha i pokazał na malarza. – Czy to będzie teraz pańskie biuro?

– Na to wygląda. Ciasne, ale własne. Brakuje jeszcze tylko sekretarki. Co mogę dla pana zrobić?

– Chyba ja dla pana – odparł Kronberg i pomachał kopertą opatrzoną pieczęcią berlińskiej policji. – Cuda się zdarzają!

– Co ma pan na myśli? Hertha zdobędzie mistrzostwo Niemiec?

– Nie. – Kronberg spoglądał, nic nie rozumiejąc. Nie grzeszył poczuciem humoru. – Przed tygodniem zlecił pan badanie balistyczne! Już pan zapomniał? – ciągnął dalej. – Mam tu wynik. Zdziwi się pan. To może się okazać ważnym tropem, i to nie tylko w pańskiej sprawie!

Teraz to Rath spoglądał na niego, niczego nie rozumiejąc. Ekspertyza balistyczna w sprawie Wilczka? Rath wiedział, z jakiej broni pochodził nabój. I właśnie dlatego nie oczekiwał z balistyki żadnego ciekawego tropu, lecz kolejnego ślepego zaułka, w który trafi śledztwo. Jak to się mogło stać? Dochodzeniówka zbadała przecież jedynie nabój z broni Krajewskiego. Czyżby porno-cesarz już wcześniej przy niej majstrował?

– Dokładnie przyjrzeliliśmy się pociskowi i znaleźliśmy wzór porównawczy, który dostarczono nam również w zeszłym tygodniu. Z prawdopodobieństwem, które określiłbym jako grubo ponaddziesięćprocentowe, oba pociski wystrzelono z tej samej broni – pistoletu lignose einhand. Popularnego wśród komunistów i drobnych opryszków.

Owszem, to lignose, przecież wiem, omal nie odparł Rath.

– O jakim wzorze porównawczym pan mówi? – zapytał zamiast tego.

– Sprawa „Bülowplatz”. Już w zeszłym tygodniu badaliśmy tę kulę, miała priorytet, wie pan zresztą. Polecenie prezydenta policji.

– Tak, tak! – Czy ten facet nie mógł wreszcie powiedzieć, co miał do powiedzenia? – No, już, niech pan to z siebie wyrzuci!

– A więc kula, która zabiła asystenta Stephana Jänickego, pochodzi z tej samej broni, co ta, którą znaleźliśmy w ciele Josefa Wilczka.

Rath nic nie odpowiedział. Z tylko sobie znanego powodu Kronberg spoglądał na niego z takim tryumfem, jakby był rzymskim dowódcą na paradzie zwycięstwa.

– Zdumiało to pana, prawda?

Rath w istocie był zdziwiony. Wynik badania był dla niego wręcz szokujący.

Cieszył się, że Kronberg w końcu wyszedł z biura. Jego umysł pracował gorączkowo.

– Już skończyłem – usłyszał nagle głos, który wytrącił go z zamyślenia.

– Słucham?

– Skończyłem. – Malarz stał w drzwiach i wskazywał na nazwisko, które namalował na szklanej tabliczce. – Jeszcze nie wyschło. Proszę uważać.

– Dziękuję. Może pan zamknąć drzwi?

Malarz przytaknął i zamknął drzwi tak ostrożnie, jakby całe były ze szkła.

Rath siedział przy biurku i gapił się na drzwi, na których błyszczało teraz jego nazwisko. Jednak to nie one zaprzątały jego myśli,

lecz brązowa koperta, która przed nim leżała. Czy to naprawdę możliwe? Otworzył ją. Musiał to mieć czarno na białym, to przecież nie mogła być prawda!

Jednak jakiś cichy głos gdzieś głęboko w jego wnętrzu powiedział mu, że to prawda. Że właśnie to jest prawda.

I choć jego myśli krążyły jak szalone, to po prostu nie znajdował innego wyjaśnienia.

Bruno Wolter zastrzelił Stephana Jänickego!

## Cała prawda. 21 maja – 21 czerwca 1929

### 26

Trzy razy zadzwonił dzwonkiem, ale nikt mu nie otworzył. Gdy przekręcił klucz w zamku, w mieszkaniu nadal panowała cisza. Wszedł do środka i ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Zegar na końcu korytarza wskazywał wpół do czwartej. Dziwne to uczucie być w tym mieszkaniu samemu w środku dnia, i to w tajemnicy. Co jeśli Emmi Wolter nagle stanie w drzwiach, ponieważ nie zdążyła podejść do drzwi, gdy dzwonił? Mógłby jej wtedy powiedzieć, że czegoś zapomniał, może nawet by w to uwierzyła. Ale co będzie, kiedy już zacznie szperać w ich rzeczach? Jak miałby jej to wyjaśnić? Może to faktycznie szalony pomysł, żeby się zakradać do środka? Jednak Rath nie mógł postąpić inaczej, potrzebował pewności.

Gennat zagarnął ekspertyzę, od razu przejął też akta w sprawie Wilczka. Dla kierownika inspekcji jasne stało się teraz, że morderca Wilczka ma na sumieniu także Jänickego. Jedną z teorii mogłaby brzmieć tak, że asystent kryminalny przejrzał mordercę Wilczka, gdy prowadził śledztwo w środowisku ringvereinów.

W normalnych okolicznościach Rath by się cieszył ze swojej sytuacji: z własnego biurka w Inspekcji A, z tego, że należy do drużyny legendarnego Buddy, i oczywiście również z tego, że teraz to właśnie Gennat jest tym, który prędzej czy później będzie musiał odłożyć sprawę Wilczka do „mokrych ryb”.

W normalnych okolicznościach by się cieszył, ale nic już nie wydawało się normalne.

Udawał, że wykonuje swoją pracę, choć jego myśli krążyły wokół zupełnie innych rzeczy. Spostrzegł, że wręcz doszukuje się wyjaśnień, które mogłyby oczyścić Brunona. Może Wujek oddał Krajewskiemu pistolet albo komuś ją opchnął? Tylko dlaczego miałyby to zrobić?

I dlaczego miałyby zastrzelić Jänickego?

Wszystko krążyło wokół tego jednego pytania: dlaczego?

Natłok myśli nie dawał Rathowi spokoju, wypożyczył więc samochód i pojechał do Friedenau.

A teraz stał w mieszkaniu Woltera jak jakiś włamywacz i nie wiedział nawet, gdzie w ogóle zacząć poszukiwania. Jeśli Bruno miał jeszcze ten pistolet, to pewnie przechowywał go w jakiejś kryjówce. Rath nie podejrzewał, że jego kolega dzielił się ze swoją Emmi wszystkimi tajemnicami, a już na pewno nie takimi.

Zatem szukanie na dole nie miało za bardzo sensu. Mieściła się tu kuchnia, jadalnia i duży salon Wolterów. Rath poszedł na górę, gdzie znajdował się pokój gościnny, w którym teraz pomieszkiwał. Tam nie musiał szukać, tak samo jak w sypialni Wolterów, choć stała w niej ogromna szafa, która na pewno pomieściłaby mnóstwo rzeczy. Zatem gdzie? Rath próbował wyobrazić sobie, że jest mężem Emmi Wolter i chce coś przed nią ukryć.

Bruno miał swój gabinet. Było to jego królestwo, jego żona nie przekraczała progu tego pomieszczenia. Nawet gdy chciała tam posprzątać, najpierw pytała o pozwolenie. Rath był w tym pokoju tylko raz, i to na chwilę. Było to kilka dni temu, gdy szukał Brunona. Zdołał obrzucić pomieszczenie jedynie przelotnym spojrzeniem, a gospodarz domu natychmiast wstał od biurka, uprzejmie, ale stanowczo go wyprosił i zaprowadził do salonu. Tam rozsiedli się wygodnie przy piwku, tak jak to często robili w ostatnich dniach.



Dziś nikt go stąd nie wyrzuci.

Na pierwszy rzut oka pomieszczenie przypominało całkiem zwyczajny gabinet. Biurko, kilka żaluzjowych szafek, na ścianach zdjęcia w ramach. Żadnego sejfu na broń. Rath przyglądał się fotografiom. Prawie wszystkie przedstawiały mundurowych: wojskowych i policjantów. Wydawało mu się, że na jednym ze zdjęć dostrzegł majora generalnego Seegersa ubranego w pruski mundur kapitana, ściskającego dłoń wówczas jeszcze dość szczupłego gefrajtera Brunona Woltera. Kolejna fotografia przedstawiała Woltera już z nazwyką podoficera, z dumą spoglądającego w obiektyw, obok niego stał inny podoficer, którego Rath nie rozpoznał. Obstawiał Helmuta Behnkego. Następne było zdjęcie trójki gefrajtrów w okopie, umorusanych i naznaczonych trudami walki, ale uśmiechniętych. Musiało powstać na samym początku wojny. Woltera i mężczyznę z kolejnej fotografii Rath rozpoznał od razu, trzecim był Rudi Scheer za swych młodych lat, ten, który gościł u Wolterów w Zielone Świątki. Tuż obok musiało jeszcze do niedawna wisieć jakieś inne zdjęcie, co na co wskazywał poślizgnięty, czworoboczny ślad na tapecie.

Oderwał spojrzenie od zdjęć i przyjrzał się szafkom. Były to zwykłe szafki żaluzjowe, podobne stały też w Zamku. Może właśnie stamtąd Bruno je zgarnął? Rath wsunął na ręce rękawiczki i zabrał się za pierwszą z nich. Zamknięta. Podobnie zresztą jak pozostałe. Przetrzęsął szuflady biurka w poszukiwaniu klucza. Panował w nich spory nieład. W najwyższej płytkiej szufladzie leżało kilka monet, dosłownie parę marek, gumka do ścierania, parę ołówków, rozcinacz do listów. I całe mnóstwo spinaczy, które niczym kleszcze czepiły się wszystkich przedmiotów znajdujących się w szufladzie. W kolejnej przegródce znalazł bezład najróżniejszych papierów: rachunków, podatków, listów, widokówek, gazet. Wśród tych ostat-

nich „Die Standarte” i „Der Stahlhelm”<sup>8</sup>. W dolnej szufladzie panował jeszcze większy chaos. W drewnianej skrzynce znajdowały się najróżniejsze szpargały. Rath ją wyciągnął i wysypał zawartość. Opakowania z amunicją wypadły na parkiet i wyturlały się z nich naboje różnego kalibru, niewielkie przypinki w kształcie hełmu, obcegi, nieduży młotek i całe mnóstwo innych rupieci. Amunicja rozbudziła jego nadzieję, ale nie odnalazł żadnego pistoletu.

Zresztą, jak miałyby go znaleźć? Skoro Wolter naprawdę zamordował Jänickego, to najpewniej już dawno pozbył się broni. Może po prostu zwrócił ją niczego niepodejrzewającemu szpiclowi Krajewskiemu? Tak mogłoby się wydarzyć, składałoby się to w całkiem prawdopodobną historię: asystent kryminalny Jänicke wytropił Franza Krajewskiego, ostatniego brakującego członka (cóż za trafne określenie, pomyślał Rath) porno-bandy Königa. I przestępca sprzątnął młodego z obawy przed tym, że zostanie nakryty. Wolterowi pozostało więc jedynie rozpowszechnić anonimową informację i wraz z grupą mundurowych złożyć porno-cesarzowi niezapowiedzianą wizytę, żeby odnaleźć u niego narzędzie zbrodni. Ciężar dowodu przeciwko nieszczęsnemu Krajewskiemu byłby przytłaczający. Każdy prokurator kupiłby taką historię.

Nie udało mu się znaleźć klucza pod tą stertą rupieci i powoli zaczął chować wszystkie rzeczy z powrotem do środka. O mało nie włożył tam również niewielkiego czarnego brulionu, ale naraz uzmysłowił sobie, co trzyma w ręce.

Czarny notatnik!

Nie musiało to niczego oznaczać, wiele jest podobnych zeszytów. Gdy go jednak otworzył i przeczytał nazwisko na pierwszej stronie, to zyskał pewność.

Odnalazł notatnik zmarłego asystenta kryminalnego Stephana Jänickego!

Zaginiony notatnik, którego szukał Gennat.

Pistolet stał się Rathowi nagle obojętny, kajecik dawał tę samą odpowiedź.

Bruno Wolter był mordercą!

To jednak nadal nie odpowiadało na kluczowe pytanie: dlaczego go zamordował? Dlaczego zabił kolegę, który nikomu nie wyrządziłby krzywdy, niegroźnego chłopaka, który dopiero co skończył szkołę policyjną?

Rath gorączkowo kartkował cienkie strony. Na końcu nie znalazł żadnych zapisków, parę stron wydarto, pewnie Jänicke potrzebował kilku luźnych kartek i wyrwał je z notatnika. Na początku znajdowały się notatki w sprawie Wilczka. Nie wносиły nic nowego, wszystkie informacje Jänicke zawarł w swoich sprawozdaniach. Kajecik służył Jänickemu jako coś więcej niż tylko notatnik: używał go też jako kalendarza, choć w zapiskach trudno było się połapać. Godziny i daty dało się rozszyfrować, ale poza nimi Jänicke zapisywał jedynie skróty. Skróty, które dopuszczały wiele interpretacji.

Na przykład: 1505'900'I do B.

Dzień jego śmierci. Co miały oznaczać te litery? Czy Jänicke chciał o dziewiątej przekazać informacje niejakiemu B? Brunonowi? I jakie informacje? A może chodziło o zupełnie coś innego?

Nie pozostało mu więcej czasu, żeby dłużej analizować swoje domysły. Usłyszał jakiś hałas. Na dole ktoś przekręcił klucz w zamku, potem rozległ się dźwięk otwieranej zasuw. Następnie masywne drzwi do domu Wolterów się zatrzasnęły.

Cholera!

Włożył szpargały z powrotem do pudełka, kajecik odruchowo zgarnął ze sobą. W nogi!

Zakradł się do schodów i spojrział w dół. Na wieszaku wisiał czerwony damski kapelusz, Rath rozpoznał blond czuprynę Emmi Wolter. Cofnął głowę, gdy kobieta się odwróciła. Zdawało się, że go nie zauważyła. Słyszał, jak znika gdzieś na dole w mieszkaniu.

Rath czekał. Miał nadzieję, że Emmi zaszyje się w kuchni, żeby przygotować kolację – lecz jego nadzieje były płonne. Schodził już po schodach, gdy drzwi do salonu gwałtownie się otworzyły, a pani domu znów wyszła na korytarz, z torbą z zakupami w ręce i melodią jakiegoś przeboju na ustach. Rath szybko zniknął w pokoju gościnnym na górze. Jeśli ma go nakryć, to przynajmniej niech to będzie tam!

Cicho zamknął za sobą drzwi i zaczął nasłuchiwać. Weszła na górę po schodach i poszła do łazienki. Może to właśnie jego szansa. Jego doświadczenie pokazywało, że kobiety zwykły spędzać w toalecie sporo czasu. Szybko, ale bezszelestnie otworzył drzwi, wyślizgnął się na korytarz i zamknął je za sobą. Z łazienki dobiegała go mieszanka śpiewu i pogwizdywania.

Dotarł już do schodów, kiedy nagle drzwi do łazienki otworzyły się pchnięciem łokcia. Emmi Wolter wypadła na korytarz, podśpiewując, w jednej ręce trzymała do połowy pełny kubek do płukania zębów, w drugiej butelkę wódki. Jej twarz zastygła, gdy stanęła na środku korytarza. Wbiła w niego wzrok.

– Ojej! – wymsknęło się jej.

Rath milczał. Zastanawiał się, co ma jej powiedzieć, a tymczasem ukrył ręce za plecami i dyskretnie zsunął z rąk rękawiczki.

– Co za niespodzianka, panie Rath – oznajmiła. Jej głos lekko drżał. – Wcześniej pan skończył!

Dopiero teraz zauważył, że to ona czuła się przyłapaną.

Emmi Wolter popijała w tajemnicy, a on ją nakrył!

– Dzień dobry pani Wolter – odparł. – Kto nie ma w głowie... – Poklepał się po górnej kieszeni marynarki. – Ważne notatki.

– Ach, tak. – Nadal stała jak słup soli. Jej oczy przypominały oczy królika, który nagle stanął twarzą w twarz przed lisem.

– Strzela sobie pani jednego? – zapytał Rath i wskazał na butelkę.

– Wielkie nieba, panie Rath... – wyjąkała. – To przecież tylko... Niech pan... Musi pan... – Przełknęła ślinę. – Bruno nie może się o tym dowiedzieć!

Obrzucił ją surowym spojrzeniem i przez chwilę udawał, że musiał uzgodnić ze swoim sumieniem, czy może zataić przed przyjacielem informację o wielkim, tajemnym zamiłowaniu jego żony.

– Cóż – odparł – każdy ma swoje tajemnice, nieprawda?

Rzucił jej porozumiewawcze spojrzenie

– Proszę więc też nie mówić Brunonowi, że jestem zapominalski. W prezydium nie muszą wiedzieć, że byłem tu w środku dnia.

Przyłożył palec wskazujący do ust, a kobieta pośpiesznie pokiwała głową. Zostawił ją tak jak stała i zszedł na dół po schodach.

– A więc... Do zobaczenia wieczorem, panie Rath – zawołała za nim drżącym z niepewności głosem.

Niedługo później wrócił do Zamku. Na myśl o wieczorze przechodziły go ciarki. W prezydium uda mu się chyba uniknąć wchodzenia Brunonowi w drogę, niemniej i tak nieuchronnie czekało go spotkanie z Wolterem. Pierwsze, odkąd wykiełkowało w nim podejrzenie, które teraz urosło do pewności. Spotkają się najpóźniej jeszcze tego wieczora w przytulnym domu Woltera.

Rath trzymał się z dala również od Gennata i pozostałych kolegów. Odkąd zdał auto do taboru samochodowego, zaszył się w swoim pustelniczym biurze i postanowił, że będzie kontynuował śledztwo w sprawie Wilczka i Jänickego.

Co też w pewnym sensie uczynił. Próbował zrozumieć coś z zapisków w notatniku Jänickego. Większość ze skrótowych wpisów w kalendarzu tyczyła się złowieszczo brzmiącego W, z którym Jänicke widocznie umówił się łącznie pięć razy, po raz pierwszy w połowie kwietnia, na długo zanim rozpoczęło się śledztwo dotyczące Wilczka. Pod pierwszym wpisem znajdowała się adnotacja „ST!”, pogrubiona i podkreślona.

Kim był W? To raczej nie Wilczek. Czyżby Wolter? W każdym razie 15 maja nie zapisał spotkania z W, nie było żadnej innej notatki poza tą, którą Rath już znał: 1505'900'I do B. Cokolwiek to znaczyło. Czy B to skrót od Bülowplatz?

Szóste spotkanie z W miało się najwyraźniej dopiero odbyć: 2405'830'W w P: spotkanie 24 maja o 8.30, a więc za trzy dni. W P, gdziekolwiek miało to być. Może Poczdam? Jänicke uczęszczał tam do szkoły policyjnej. Czy W wiedział o śmierci Jänickego? Pewnie tak, biorąc pod uwagę, że prasa drukowała na ten temat obszerne artykuły.

Resztę popołudnia Rath głowił się nad notatkami, pozostając w ciągłej gotowości, żeby schować czarny kajecik do górnej szuflady biurka w razie nieproszonych odwiedzin choćby jednego z ludzi Gennata. Lub też Brunona Woltera. Przezornie zamknął oboje drzwi: te do sekretariatu i te na korytarz.

Przeglądał cały kajecik w poszukiwaniu notatek dotyczących W, zapisków z rozmów albo czegoś podobnego. Jänicke tak często spotykał się z tą osobą, że przecież musiał zapisywać coś poza termina-

mi spotkań. A może i nie? Co, jeśli W była kobietą? Trop okazałby się całkowicie mylny, gdyby tajemnicza osoba z inicjałem „W” okazała się jedynie Wilhelminą albo Waltraud, którą nieśmiały chłopak adorował!

Rath przerzucał kolejne strony notesu. W pierwszej części kajetu Stephan Jänicke zapisywał numery telefonów. Rath znalazł numery służbowe Inspekcji E, tuż pod nimi numer domowy Brunona, a jeszcze trochę niżej zanotowany był również prywatny numer do Gereona Ratha na Nürnberger Strasse. Albo raczej: jego nieaktualny numer. Słuchawkę tego telefonu podnieść mogła już tylko Elisabeth Behnke. Musi pamiętać, by wyłączyć telefon, żeby na koniec nie okazało się, że Behnke wykonuje rozmowy przez jego łącze telefoniczne!

Numery nie były pozapisywane w żadnym porządku: ani alfabetycznym, ani według jakiegokolwiek innego rozpoznawalnego klucza. Nagle Rath zauważył pewien numer, który wzbudził jego podejrzenia, a to dlatego, że nie znajdowało się przy nim żadne nazwisko. Tylko sam numer telefonu, jeden z wielu, nierzucający się w oczy pośród mnogości cyfr i liter: Westend 2531.

Może to jakiś trop. Sięgnął po słuchawkę.

– Halo? Proszę mnie połączyć z dzielnicą Westend. Numer dwa pięć trzy jeden. Dziękuję, czekam.

Chwilę to trwało, nim po drugiej stronie ktoś podniósł słuchawkę. Odezwał się kobiecy głos.

– Wündisch – przedstawiła się kobieta.

Rath był tak zdenerwowany, że zapomniał się rozłączyć.

– Halo? – odezwała się ponownie kobieta – Kto tam?

– Böhm – rzucił do słuchawki szczekliwym tonem. – Chciałbym rozmawiać z pani małżonkiem!

– Z mężem? Przykro mi, nie ma go w domu. Ale powinno panu udać się złapać go jeszcze w prezydium.

Rath wymamrotał coś niezrozumiałego i się rozłączył.

A więc to tak! W notatniku Jänickego znajdował się prywatny numer do dyrektora generalnego Wündischa! Wielkiego naczelnika Inspekcji IA, szefa policji politycznej.

Otaczał się on aurą tajemnicy do takiego stopnia, że jego numeru nie znali nawet wszyscy szefowie inspekcji z Zamku. A zwykły asystent kryminalny, który ledwie od paru tygodni miał w kieszeni świadectwo ukończenia szkoły policyjnej, miał ten numer w swoim notatniku, jakby było to najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

Rath wiedział już, kto krył się za literą „W”. Wiedział też, co oznaczało „ST”. Ściśle tajne.

Polityczni zrekrutowali nowicjusza do swoich tajemnych celów, osobiście zwerbował go Wündisch, najpewniej jeszcze w szkole policyjnej w poczdamskim Eiche. Rath kartkował notatnik Jänickego i znalazł potwierdzenie swoich podejrzeń. Pierwsze spotkanie z W musiało odbyć się jeszcze w lutym: 1102'1700'W w P.

Policja polityczna zrekrutowała Stephana Jänickego, zanim w ogóle został zatrudniony w Inspekcji E. Mogło to oznaczać tylko jedno: znaleźli ambitnego i zdolnego ucznia szkoły policyjnej i świadomie przemycili go do policji obyczajowej.

Oczywiste było, kogo miał tam szpiegować: własnego szefa i późniejszego mordercę. Rath przypomniał sobie tę niedzielę, gdy nieoczekiwanie zastał Jänickego w ich biurze. Nieświadomie przyłapał wówczas nowicjusza na myszkowaniu w biurku Woltera.

Nadal pozostawało jeszcze jedno niewyjaśnione pytanie: co u diabła przeszkrobał Bruno Wolter, że wzbudziło to zainteresowanie Inspekcji IA?



Z tego, co Rathowi było wiadomo, Wujek nie miał jakichś szczególnych sympatii politycznych, a przynajmniej nie były one na tyle skrajne, że mogłyby go uczynić obiektem zainteresowania IA. Bynajmniej nie on jedyny w korpusie policji posiadał tę nieco nostalgiczną słabość do dawnych znajomości z czasów wojny. A może w ogóle nie chodziło o politykę, lecz o korupcję? Prezydent policji chętnie angażował szpicli z IA również do najróżniejszych śledztw wewnętrznych. Tylko dlaczego Wündisch miałby się osobiście zabiegać o współpracę z Jänickem, skoro chodziłoby jedynie o przekupnego glinę z obyczajówki?

Nie, musiało się za tym kryć coś więcej i Rath chciał wiedzieć co. Chciał zrozumieć, dlaczego Stephan Jänicke musiał umrzeć i co sprawiło, że Bruno Wolter stał się mordercą.

Zanim opuścił prezydium, zastanowił się, co począć z czarnym kajecikiem. Początkowo nosił się z myślą skopiowania najważniejszych zapisków i odłożenia go ukradkiem z powrotem do biurka Brunona. Odrzucił jednak ten pomysł, nie mógł ryzykować.

Jeśli notes Jänickego wylądował w prywatnym biurku Woltera jedynie przypadkiem – w co Rath nie wierzył – to Wujek tak czy owak nie odczuje straty, bo nic nie wiedział o jego istnieniu. A jeśli Bruno Wolter miał coś wspólnego ze śmiercią Jänickego, to teraz, gdy o wyniku ekspertyzy balistycznej już dawno zrobiło się głośno w całym Zamku, pewnie wyciągnął już własne wnioski. Nie, Rath musiał zatrzymać kajeta jako zastaw. Gdyby mógł, to już dawno oddałby go Gennatowi, ale sam tkwił po uszy w tej sprawie. Podmieniając naboje, zniszczył dowody!

Kiedy Rath opuszczał Zamek, już nie przeszedł obok Inspekcji E. Nie mógł wprawdzie całkowicie uniknąć spotkania z Wolterem, ale chciał je odwlekać w czasie jak najdłużej. Na Fregestrasse, do domu

Woltera, można też dostać się środkami transportu publicznego. Zanim wsiadł do kolejki, zdeponował notatnik w skrytce na Potsdamer Platz. Klucz włożył do koperty opatrzonej emblematem pruskiej policji, starannie ją zakleił i ostemplował. Następnie, pośród wieczornego dworcowego zgiełku, rozpoczął poszukiwania skrzynki pocztowej. Tuż przy wejściu znalazł jedną z nich i wsunął list do środka. Gdy kwadrans później wyszedł na peron we Friedenau, jeszcze raz głęboko zaczerpnął powietrza, jakby zaraz musiał przepłynąć przez długą podwodną jaskinię. Tak też się czuł. Zamknij oczy i naprzód marsz! Nie, lepiej: *Otwórz* oczy i naprzód marsz!

Bruno pojawił się przy stole dziwnie rozdrażniony i rozkojarzony. Emmi Wolter zdawała się wyraźnie zdenerwowana ich wspólną tajemnicą. Rath wprawdzie nie miał apetytu, ale starał się nie dać tego po sobie poznać. Z trudem przetykał pieczone ziemniaki i jaja sadzone, mimo że smakowały całkiem nieźle.

Jego wypowiedzi ograniczały się do pojedynczych pochlebnych komentarzy dotyczących jedzenia, choć stało to w całkowitej sprzeczności z tym, że bez apetytu grzebał widelcem w talerzu. W pewnym momencie poprosił Emmi o sól, a ona podała mu cukiernicę.

Była zrozpaczona swoim błędem.

– Nie przejmuj się tym, Emmi – pocieszał ją Bruno – zdarza się. Nawet komisarzowi policji zdarza się coś pozamieniać, czyż nie, Ge-reonie?

Pozamieniać? Rath nadstawił uszu.

Czyżby Wolter wyciągnął słuszne wnioski? W takim razie stan ich wiedzy był podobny. Każdy z nich nabrał pewności, że ten drugi miał swoje za uszami, jednak żaden nie znał szczegółów. Wujek po-

dejrzał, że sprawa śmierci Josefa Wilczka zawierała pewnie nieścisłości, w które uwikłany musiał być komisarz Rath.

A może Rath tylko coś sobie ubzdurał i ta uwaga nie miała żadnego podtekstu? Zdecydował się ją zignorować.

– Dziękuję – powiedział i wziął solniczkę, którą podała mu Emmi.

– Jak tam Twoje śledztwa? – ciągnął Wolter, gdy przełknął kęs jedzenia. – Masz już jakiś pomysł, kto mógł zabić Jänickego? Albo tego oprycha... Jak on się nazywał?

– Wilczek.

– Otóż to. Mówi się, że zabiła ich ta sama osoba.

– Na to wygląda. W każdym razie kule pochodziły z tej samej broni.

Wolter przytaknął.

– Jeśli znaleźlibyśmy przy kimś broń, to dopadlibyśmy też mordercę – powiedział Rath na próbę, aby zbadać grunt.

Nadkomisarz był jednak zbyt opanowany, żeby pozwolić komuś przejrzeć swoje zamiary.

– To nie takie proste znaleźć broń w milionowym mieście – odparł jedynie.

– Gdyby odnalazł się notatnik Jänickego, to byłibyśmy o krok do przodu – oznajmił Rath. – Pewnie zabrał mu go morderca. W środku mógł znajdować się motyw.

Wiedział, że Bruno jeszcze nie zaglądał do swojego gabinetu i nie wiedział o zniknięciu brulionu. No, chyba że Emmi Wolter wypaplała mu przez telefon o popołudniowej wizycie Ratha i Bruno polecił jej przejrzeć zawartość biurka. Nic jednak na to nie wskazywało. Czy Emmi Wolter w ogóle wiedziała, o czym rozmawiają? Rath miał pewne wątpliwości.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to pewnie zrobił to jeden z tych cholernych komunistów. – Słowa Woltera brzmiały stanowczo. – Wilczka przecież też zastrzelono w komunistycznej dzielnicy.

– Gdyby to było takie proste. Czasami okazuje się, że zabójstwa dokonał ktoś, kogo się w ogóle nie brało się pod uwagę.

– Niektóre morderstwa po prostu nigdy nie doczekują się wyjaśnienia i są odkładane *ad acta*.

– Nie u Gennata.

– On również skapitulował w starciu z tą czy inną sprawą.

– Ale ciekawość wciąż pcha człowieka do przodu, znasz to uczucie – powiedział Rath. – Pytanie o to, dlaczego ten ktoś musiał umrzeć, nie daje Ci spokoju.

– Czasami lepiej po prostu zostawić zmarłego w spokoju. Ten, kto wyjaśni sprawę morderstwa, nie zawsze zyskuje własne biuro. Czasami tylko pakuje się w kłopoty.

– Jänicke znał swojego mordercę. – Mówiąc to, Rath przyglądał się twarzy Woltera. Nie dostrzegł choćby drgnięcia. – Trzeba nie mieć za grosz litości, żeby zastrzelić przyjaciela ze swojego najbliższego otoczenia, nie sądzisz?

Wolter wzruszył ramionami.

– Życie nie zawsze jest tak proste, jak się wydaje. I co właściwie znaczy przyjaźń? Nie każdy znajomy od razu jest przyjacielem. Przyjacielem jest ten, kto nigdy nie zostawia na lodzie tej drugiej osoby. Ktoś, kto trzyma czyjąś stronę również w trudnych czasach.

Teraz to Rath wzruszył ramionami.

– Tak w ogóle to znalazłem nowy pokój – powiedział po dłuższej chwili. – Od jutra nie będę już dla Was ciężarem.

– Ojej! – Bruno zdawał się zaskoczony. – Skąd ten pośpiech? Nie możesz się już doczekać, żeby się od nas wynieść? Już prawie się do

Ciebie przyzwyczailiśmy, prawda, Emmi?

– Oczywiście, skarbie. – Emmi Wolter nie za bardzo się im przyśluchiwała. Rozmowa mężczyzn wyraźnie ją zdezorientowała. Poza tym chyba wciąż dręczyły ją wyrzuty sumienia.

– Nie, naprawdę nie mogę już dłużej nadużywać Waszej gościnności. I tak pomieszkiwałem tu za długo.

Rath odłożył serwetkę na stół i wstał.

– Ależ, panie Rath, chyba nas pan jeszcze odwiedzi – powiedziała Emmi Wolter. Chyba nie umknęło jej, że między mężczyznami wytworzyło się jakieś dziwne napięcie.

Rath jedynie życzył im dobrej nocy, poszedł na górę i spakował swoje rzeczy.

Kolejnego ranka chwilę po siódmej stał już w wielkim foyer hotelu Excelsior wśród bujnej roślinności, bardzo przywodzącej na myśl palmiarnię w berlińskim Dahlem. Dzień wcześniej jeszcze z Alexanderplatz zadzwonił do hotelu i zarezerwował pokój, niedługo zanim wybrał się do Friedenau. Wolał wydać pięć marek na jedną noc niż zostać na Fregestrasse choćby dzień dłużej. Recepcjonista przywitał go uprzejmie, jednak gdy spojrział na listę rezerwacji, na jego twarzy pojawił się wyraz ubolewania.

– Panie Rath, muszę przyznać, że nie spodziewaliśmy się pana jeszcze. Zaszczycił nas pan o bardzo wczesnej godzinie. Pokój, który dla pana zarezerwowaliśmy, jest jeszcze zajęty.

– Może ktoś przynajmniej zaopiekuje się moim bagażem?

– Ależ oczywiście. – Portier z dezaprobatą rzucił okiem na kartonowe pudło Ratha i ruchem ręki przywołał boyka.

– Dziękuję – rzucił Rath, kiedy chłopak położył na wózek ciężką walizkę oraz pudło, i ponownie zwrócił się do recepcjonisty: – Pójdę na śniadanie. Proszę sprawdzić, czy przez ten czas mógłby pan coś dla mnie zrobić.

– Naturalnie – odparł mężczyzna z kwaśnym uśmiechem.

Niedługo później Rath siedział już w jadalni Excelsiora. Czuł się w tym hotelu trochę jak w domu. Kawa dobrze mu zrobiła.

Zeszłej nocy prawie nie zmrużył oka. To nawet nie świadomość, że spędza noc pod jednym dachem z mordercą, sprawiła, że wpatrywał się w ciemność. Działo się tak z powodu bezustannie krążących

myśli, które nie dawały mu spokoju i wciąż kazały mu zadawać jedno pytanie, na jakie nie umiał znaleźć odpowiedzi: „dlaczego?”.

Powinien był odejść jeszcze wieczorem, od razu po kolacji wstać i się pożegnać. Z jakichś niewyjaśnionych przyczyn chciał zachować pozory i nie dopuścić do otwartego konfliktu. Może chciał jeszcze pozostawić w sobie cień nadziei, jakby za jakiś czas to wszystko miało się okazać jednym wielkim nieporozumieniem?

Wymknął się z domu wczesnym rankiem. Na stole w jadalni zostawił wiadomość, chłodną, ale uprzejmą, w której raz jeszcze podziękował Wolterom i wytłumaczył swoje wczesne zniknięcie tym, że chciał wprowadzić się do swojego nowego pokoju. Nie zdradził, że chodziło o pokój hotelowy. Na kartce położył banknot dwudziestomarkowy, pieniądze, których w innym przypadku nigdy Bruno by nie przyjął, a co dopiero Emmi. Nie chciał mieć u Wolterów żadnych długów, nawet za wykonane połączenie telefoniczne, żeby zamówić taksówkę.

Opuścił ten dom tak, jak wszedł do niego tydzień wcześniej: obładowany walizką i kartonem. Po tym, jak wsiadł do taksówki, ani razu nawet się nie odwrócił.

Nie śpieszył się podczas śniadania w Excelsiorze. Wrócił do foyer po godzinie. Recepcjonista rozpoznał go od razu.

– Ach, pan Rath – powiedział. – Mam dobrą wiadomość! Klucz do pańskiego pokoju... – Sięgnął ręką za siebie i zdjął go z haczyka. – ...gość już wyjechał. Od razu poleciłem, żeby przygotowano panu pokój, aby mógł pan się do niego niebawem wprowadzić.

– Serdecznie dziękuję. – Widocznie recepcjonista oczekiwał napiwku za swój nadzwyczajny trud, ale Rath postanowił to zignorować.

– Pozostały jeszcze formalności... – Mężczyzna przesunął po ladzie formularz meldunkowy.

– Przykro mi, ale mam dużo spraw na głowie. Gdybyśmy mogli załatwić to dziś po południu... – Położył klucz na formularzu i przesunął go z powrotem do recepcjonisty.

– Mamy wprowadzić inny zwyczaj, ale w przypadku stałych gości możemy oczywiście zrobić wyjątek.

Dotarł do Zamku z potężnym opóźnieniem, ale przynajmniej udało mu się zjawić przed dziewięcią. Prawie się przeraził, gdy otworzył drzwi do swojego biura i zobaczył siedzącą przy biurku w sekretariacie młodą kobietę, która znudzona bawiła się ołówkiem. Na jej czoło opadały blond kosmyki, nad trochę za wąskimi ustami sterczał nieco za duży nos.

Poderwała się z miejsca, kiedy wszedł do środka.

– Erika Voss, panie komisarzu – powiedziała usłużnie i wyciągnęła rękę. – Jestem pańską nową sekretarką!

Rath odwiesił płaszcz na wieszak.

– Pracowała pani dla pana Roedera?

Pokręciła przecząco głową.

– Jestem tu nowa, panie komisarzu.

Kogoż Zörgiebel mu tu przysłał? Rath dawał jej góra dwadzieścia lat. Otaczał ją obłok zapachu wody kolońskiej. Charly pachniała ładnie.

– Ach, tak. Nic nie szkodzi. Ktoś już dzwonił?

– Nie, panie komisarzu. Mogę coś dla pana zrobić, panie komisarzu?

– Potrafi pani parzyć kawę?



Potrafiła. Niedługo później na jego biurku stała filiżanka parującego napoju. Zamknął drzwi do sekretariatu, chciał mieć spokój. Chciał też pomyśleć. Powinien dołączyć się na powrót do jakiegokolwiek bieżącego śledztwa, nawet najbardziej bezsensownego. Erika Voss potrzebowała zajęcia, a Gennat nie może się zorientować, że Rath ściga ducha: że nie istnieje *jeden* morderca, który ma na sumieniu Jänickego oraz Wilczka.

Spokój nie potrwał długo. Usłyszał rozgardiasz w sekretariacie i jakiś hałaśliwy głos wykrzykujący:

– Ja *muszę* porozmawiać z panem komisarzem!

Widocznie panna Voss próbowała go chronić. I dobrze.

Rozległo się pukanie i sekretarka wetknęła swoje blond kosmyki przez drzwi.

– Panie komisarzu, na zewnątrz stoi niejaki pan Roeder. Mówi, że to jego biuro...

Roeder? Czego on tu jeszcze chce?

– Niech go pani tu do mnie wpuści.

Erika Voss skinęła głową i gestem ręki poleciła Erwinowi Roederowi wejść do środka. Jego poprzednik był niższy, niż się Rathowi się wydawało. Trzymał w ręku kapelusz i rozglądał się dookoła.

– Wszystko wygląda tu jak kiedyś – oznajmił i dopiero wtedy podał mu rękę. – Roeder – przedstawił się – Erwin Roeder. To ja tu wcześniej pracowałem.

– Wiem. Rath, Gereon Rath. Co mogę dla pana zrobić, panie Roeder?

– No, cóż, moje pożegnanie z policyjną służbą wypadło dość niespodziewanie, a w ostatnich tygodniach miałem dużo pracy. Wie pan, twórczość literacka pochłania mnóstwo czasu, a...

– Proszę przejść do rzeczy, panie kolego.

– Cóż, nie wiem, od jak dawna pan tu pracuje, choć pańskie nazwisko znajduje się na już tabliczce na drzwiach. Ale skoro już pan włożył swoje rzeczy do mojego biurka, to pewnie już je pan znalazł.

– Co takiego, panie Roeder? – Facet powoli zaczynał działać mu na nerwy.

– Zdjęcia, panie Rath. W biurku zostawiłem kilka fotografii, które chciałbym odebrać. Ważnych fotografii.

Rath nie potrafił sobie przypomnieć żadnych zdjęć. Choć z drugiej strony aż tak gruntownie jeszcze nie przeszukiwał szuflad.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Czy mogę... – Roeder zrobił krok do przodu i już zaczął otwierać jedną z szuflad.

– Co pan wyprawia! – Rath podniósł głos bardziej, niż chciał. Roeder się wzdrygnął i spojrzał na Ratha z oburzeniem.

– To jest teraz *moje* biuro. I *moje* biurko – ciągnął Rath, ciszej, ale nadal stanowczo. – Z chęcią sprawdzę, czy coś pan tu zostawił. Jeśli sobie pan tego życzy.

– Poproszę – powiedział Roeder i spojrzał w bok niczym urażona primabalerina. – Powinny się znajdować w czarnym pudełku.

Rath pośpiesznie przegrzebał zawartość biurka. Na górze znalazł jedynie własne szpargały, jakieś notatki dotyczące sprawy Wilczka, ołówki i papier, ale niespodzianka czekała w dolnej dużej szufladzie. Wielkie, ciężkie kartonowe pudełko, tak jak mówił Roeder. A za nim schowany pistolet. Nie zauważyłby go, gdyby nie chciał wyjąć pudełka z szuflady.

Lignose!

Od razu zrozumiał, co to był za pistolet, i w ciągu sekundy wykoncypował, że Bruno chce go zrobić! Pewnie zauważył zniknięcie

notatnika i wyciągnął wnioski. Skoro Rath miał już kajet, to wystarczyło, że Wujek podrzuci mu jeszcze pistolet i będzie mógł zaprezentować Gennatowi idealnego podejrzanego o morderstwo. „Jeśli znaleźlibyśmy broń, to złapalibyśmy też pewnie mordercę” – tak Rath powiedział mu wczoraj i Wolter ochoczo podchwycił tę sugestię.

Musiał się jak najszybciej pozbyć tego pistoletu!

Rath długo się nie zastanawiał, nie miał na to czasu. Uniósł przykrywkę pudełka, ostrożnie wziął pistolet, posługując się aktami, które znalazł w szufladzie, i wsunął go pod wielki stos zdjęć. Nie były to prywatne zdjęcia, lecz kadry wykonane przez fotografa. Rath zauważył to, kiedy pośpiesznie zakrywał pistolet paroma fotografiami. W innych okolicznościach widok odbitki, która znajdowała się na samej górze, pewnie wywołałaby u niego uśmiech. Przedstawiała gniewnie spoglądającego Roedera jako rabusia: w kaszkiecie, ze sztuczną brodą i z palnikiem gazowym. Jednak teraz Rath jedynie zamknął przykrywkę, zanim Roeder zdołał coś zauważyć, i wyciągnął ciężkie pudło z szuflady.

– To jest to, czego pan szuka?

Roeder energicznie przytaknął i wziął pudełko z jego rąk. Rath na próżno liczył, że nie zajrzy do środka.

– Pozwoli pan? – Roeder uchylił pokrywę i przejrzał kilka zdjęć znajdujących się na samej górze. Sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Wspaniale – skwitował. – Bardzo dziękuję. – Z powrotem nałożył kapelusz. – Muszę już iść. Pilne spotkania. Niech pan zadba o to, żeby wskaźnik wykrywalności w Inspekcji A znów się polepszył, młody przyjacielu. Mówi się, że obecny pozostawia wiele do życzenia.

– Do zobaczenia, panie Roeder. – Rath nie mógł już dłużej zdzierżyć swojego gościa. Ominął Erikę Voss i uprzejmie, ale stanowczo odprowadził go do drzwi.

Tam pisarz o włos nie zderzyłby się z Gennatem. Zaskoczony Buddha spojrział na swojego niegdysiejszego współpracownika.

– No, proszę, pan Roeder! Co pan tu jeszcze robi? Chyba nie zaaresztowano pana za morderstwo?

– Bez obaw, panie radco kryminalny! Nie dojdzie do tego. Widzi mnie pan dziś w tych murach po raz ostatni! Chciałem jedynie poznać mojego następcę! Adieu!

Roeder wetknął pudełko pod pachę i ruszył w stronę schodów. Rath zwrócił się do swojego szefa:

– Dzień dobry, panie radco kryminalny – powiedział. – Niech pan wejdzie.

– Dzień dobry, panie Rath! Och, widzę, że ma pan już swoją sekretarkę. – Buddha stuknął palcami o wyimaginowane rondo kapelusza. – Dzień dobry, panno Voss. – Szef wziął Ratha na stronę. – Muszę z panem pomówić w cztery oczy, panie komisarzu.

Weszli do biura Ratha.

Gennat jeszcze raz obrócił się w drzwiach.

– Panno Voss, niech pani pójdzie do mojego biura i poprosi pannę Steiner o akta w sprawie Jänickego – zaordynował. – Byłaby pani taka miła?

Sekretarka zniknęła, a Gennat zamknął drzwi.

– Zwykły środek ostrożności – powiedział do Ratha. – Erika Voss jest u nas dopiero od trzech tygodni i pewnie dlatego jest taka ciekawska. Gertrud znajdzie jej zajęcie przez jakąś chwilę, a my będziemy mogli w spokoju porozmawiać.

– A więc chodzi o coś poufnego, panie radco kryminalny?

– Można tak powiedzieć, panie komisarzu, można tak powiedzieć. Chodzi o coś ściśle poufnego. – Gennat zamilkł w zamyśleniu, nim mówił dalej. – Nie chcę owijać w bawełnę! Przed chwilą otrzymałem anonimową informację w sprawie morderstwa Jänickego. Ktoś zadzwonił i sformułował potężny zarzut.

– Anonimowa informacja? Od kiedy bierzemy takie rzeczy na poważnie?

– Zawsze jest to kwestia do rozważenia, panie komisarzu. W tym przypadku osoba telefonująca zdawała się nadzwyczaj dobrze poinformowana w szczegółach sprawy morderstwa Jänickego, więc obawiam się, że musimy wziąć na poważnie tę rozmowę telefoniczną. Ten człowiek wiedział na przykład, że szukamy czarnego notatnika należącego do Jänickego. Oraz że asystenta kryminalnego zabito strzałem z lignose.

– A o jakim zarzucie pan mówi?

– To potężny zarzut, któremu nie daję wiary, ale który niemniej jednak muszę sprawdzić. Dlatego też przyszedłem do pana osobiście, żeby zagwarantować możliwie największą dyskrecję. – Gennat znów zamilkł na chwilę. – Panie Rath, rozmówca powiedział, że pistolet, z którego zastrzelono Stephana Jänickego, należy do pana.

– To przecież niedorzeczne!

Rath spodziewał się tego. Już w momencie, w którym znalazł broń w swojej szufladzie, przeczuwał, że Bruno przeszedł do ataku.

– Skoro ten mężczyzna tak dobrze orientował się w tej sprawie, to może był to sam morderca, który wodzi policję za nos – powiedział najspokojniej, jak potrafił.

– Tak też przypuszczam, panie Rath. Ale muszę mieć pewność. – Gennat chrząknął. – Panie komisarzu, zgadza się pan na przeszukanie pańskiego biura?

– Jeśli pan nalega, panie radco kryminalny, oczywiście tak.

Rath poczuł gulę w gardle, ale przełknął ślinę dopiero wtedy, gdy Gennat podszedł do telefonu i wezwał swoich ludzi.

Niespełna minutę później w drzwiach pojawili się sekretarz kryminalny Paul Czerwinski oraz asystent kryminalny Alfons Henning: Flip i Flap, byli współpracownicy Ratha przy sprawie Wilczka, którzy teraz pracowali dla Buddy. Że też akurat oni! Podczas gdy dwaj mężczyźni przeszukiwali biuro, Gennat nie spuszczał Ratha z oczu. Z kolei komisarz stał przy oknie, palił papierosa i wyglądał za okno. Próbował sprawiać wrażenie nieco urażonego i zdawało mu się, że całkiem nieźle mu to wychodzi. Na zewnątrz przejeżdżał tramwaj, który właśnie opuścił Anhalter Bahnhof i powoli nabierał rozpędu. Za kilka chwil dotrze pod okna Inspekcji E. Czy Bruno też mu się przyglądał? Ciekawe jakie myśli chodzą teraz po *jego* głowie.

Przeszukanie zajęło Flipowi i Flapowi niecałych dziesięć minut. Przeczesał też opustoszały sekretariat Eriki Voss.

– Nic, panie radco kryminalny. Budda zdawał się ucieszony, że nie musi zaaresztować Ratha za morderstwo. Nic dziwnego. Jeszcze gorszy niż zamordowany glina był glina morderca. A może to po prostu sympatia do nowego współpracownika? Rath jednak wiedział, że żadne uczucie nie powstrzyma Gennata od tego, by swych klientów – jak ich pieszczotliwie nazywał – przekazać w ręce swego ojca, szefa zakładu karnego Plötzensee.

– Dobrze – powtórzył Budda. – Zatem przeszukamy jeszcze pańskie mieszkanie i na tym zakończymy.

Rath przełknął ślinę. Jeszcze to!

– Właśnie wypowiedziano mi mieszkanie – zakomunikował. – Mieszkam w hotelu.

– Tam też zachowamy dyskrecję.

Niedługo później czterech funkcjonariuszy wydziału kryminalnego stało we foyer hotelu Excelsior. Recepcjonista wykazał się niezwykłą uprzejmością.

– Panie komisarzu! Czy znalazłby pan teraz czas na formalności?

– Później. Poproszę o klucz. Muszę odbyć w moim pokoju krótką naradę.

– Jak sobie pan życzy, panie komisarzu. – Recepcjonista przesunął klucz po ladzie. – Pokój 412. Polecić, żeby przyniesiono panom napoje?

– To nie będzie konieczne. Czy mój bagaż jest już na górze?

– Oczywiście. Życzę miłego pobytu.

Po niedługim czasie współpracownicy Gennata skończyli również przeszukiwanie pokoju hotelowego. Choć Rath uprzedził, że nie wchodził jeszcze do pokoju, to przetrząsnęli nie tylko jego bagaż, lecz także wszystkie szafy, które znaleźli w niewielkim, acz zmyślnie urządzonej pomieszczeniu. Rath znów stanął przy oknie. Tym razem widok nie rozciągał się na Anhalter Bahnhof, ale na dziedziniec, na którym nie rośło ani jedno drzewo.

– Proszę wybaczyć te okoliczności, panie komisarzu – powiedział Gennat, po tym jak Flip i Flap po raz kolejny zakończyli poszukiwania zdaniem: „Nic, panie radco kryminalny!”.

– Nic nie szkodzi – Rath uspokoił Buddę, który sprawiał wrażenie szczerze skruszzonego. – Na pańskim miejscu postąpiłbym tak samo.

– Ma pan rację. Trzeba zbadać każdy trop, który wydaje się choć trochę wiarygodny. Nawet jeśli na pierwszy rzut oka zdaje się tak absurdalny. Nie sądzę, żeby to pana pocieszało, panie Rath, ale to nie byłby pierwszy raz, gdy policjant morduje kolegę po fachu.

Rath przytaknął. Gdyby tylko Budda wiedział, jak bardzo otarł się tym stwierdzeniem o prawdę!

Po bezowocnej rewizji znów byli tymi, kogo udawali przed recepcjonistą: czwórką kolegów, którzy wspólnie omawiali jakąś sprawę.

Na obiad było jeszcze za wcześnie, więc Gennat zaprosił ich na kawę i ciasto do Café Josty, znajdującej się przy pobliskim Potsdamer Platz. Wszyscy czuli się jeszcze nieco zażenowani sytuacją, w której dopiero co uczestniczyli. Budda próbował więc poprawić nieco atmosferę wśród pracowników. Na stół wjechała ogromna ilość ciasta. Już po pierwszym kęsie Rath czuł, że będzie musiał tego dnia zrezygnować z obiadu. Czerwinski i Henning zdawali się mieć podobne odczucia. Wszyscy odmówili kolejnych kawałków, które Gennat chciał im włożyć na talerze. Budda wzruszył obojętnie ramionami i sam się obsłużył, nakładając sobie porcję tortu szwarwaldzkiego.

– Cóż, drodzy panowie – powiedział w końcu kierownik inspekcji, kiedy spałaszował czwarty kawałek ciasta – zasłużyliśmy na to! Znów mieliśmy dużo pracy, a wszystko z powodu jakiegoś dowcipnisa! – Słowa mężczyzny zabrzmiały tak, jakby Rath również brał udział w akcji, a nie stał się tym funkcjonariuszem, którego poddano kontroli.

– Nie sądzę, żeby był to dowcipniś. Sądzę, że to morderca – oznajmił Rath.

Gennat przytaknął.

– Coś w tym jest, ma pan rację. Ale przynajmniej nie może teraz naigrywać się z durnych glin. Zachowaliśmy tak ogromną dyskrecję, że nikt niczego nie zauważył.

Pewnie Budda uzgodnił z Henningiem i Czerwinkim, że zachowają absolutne milczenie. Żaden z nich nie odważyłby się zdradzić czegokolwiek prasie, skoro krąg wtajemniczonych był tak niewielki.

Kiedy dotarli do Zamku, dochodziła już dwunasta.



– No, dobrze, moi panowie, wracajmy do pracy – powiedział Gennat, żegnając się z trójką funkcjonariuszy przed drzwiami do swojego biura. – Widzimy się zatem jutro na pogrzebie.

Rath prawie o tym zapomniał. Jutro o jedenastej w południe na cmentarzu Georgen przy Greifswalder Strasse zostanie pochowany Stephan Jänicke.

Przez resztę dnia mógł robić, co dusza zapragnie. Gennat nie odważył się już wcisnąć mu jakiegoś nowego zadania, Rath miał więc znów czas, żeby porozmyślać. Dlaczego Wündisch śledził Woltera? Co takiego ustalił Jänicke?

Przez chwilę zastanawiał się, czy po prostu nie zadzwonić do szefa policji politycznej i go o to nie zapytać. Wiedział jednak, że to nie najlepszy pomysł. Aura tajemnicy w Inspekcji IA była wręcz legendarna, a jeśli podczas tajnej akcji ginął jeszcze jakiś człowiek, to nie należało oczekiwać, że policja polityczna udzieli jakichkolwiek informacji. Wszystko trzymać będą w tajemnicy. I może Wolter właśnie na to liczył.

Nie liczył się jednak z tym, że Rath teraz już na pewno nie odpuszczi – właśnie dlatego, że Bruno chciał z niego zrobić kozła ofiarnego!

To, czego teraz potrzebował, to kolejne informacje o działalności Jänickego dla Inspekcji IA, a te miał nadzieję znaleźć w notatniku. Może znajdują się tam wskazówki, które przeoczył, musiał go raz jeszcze dokładnie przestudiować. Co za pech, że nie miał teraz do niego dostępu. Zmarnowany czas.

Z drugiej strony dobrze, że Flip i Flap nie znaleźli go przy nim. Musiał się po prostu uzbroić w cierpliwość.

Parę minut po trzeciej zadzwonił Roeder. Rath spodziewał się telefonu od niego.

– W pudełku ze zdjęciami, mówi pan? A ja go cały czas szukam. Musiał wpaść do niego przez przypadek.

– Panie komisarzu, niech pan nie myśli, że *przyniosę* panu pański pistolet! Musi się pan po niego sam pofatygować. Poprzysiągłem sobie, że już moja noga już nigdy nie postanie w prezydium!

– Ależ oczywiście, panie Roeder. Cieszę się, że w ogóle się znalazł. Odbiorę go od pana od razu, jeśli to nie problem.

– Nic z tego, jestem zaganiany. Ale mam dla pana propozycję. Niech pan przyjdzie o piątej do Café Imperator, mam tam spotkanie z wydawcą.

– Przy Friedrichstrasse?

– Właśnie tam. Nie będzie się pan musiał fatygować do mnie. I jeśli mogę dać panu wskazówkę, młody kolego...

– Tak?

– Proszę bardziej dbać o porządek w pańskim biurze! Porządek jest w naszym zawodzie podstawą! Powinien pan ostrożnie obchodzić się przede wszystkim z bronią palną! A teraz przepraszam, ale mam coś do załatwienia!

Gdy krótko po piątej Rath wszedł do Imperatora, Roeder siedział już przy stoliku w towarzyskie grubego okularnika, pewnie doktora Hildebrandta. Ekspolicjant zawinął lignose w gazetę, tak, aby przekazanie broni w samym środku kawiarni nie zwróciło niczyjej uwagi. Pewnie jedyne odciski palców, które dochodzeniówka znalazłaby teraz na pistolecie, należałyby do Roedera, pomyślał Rath. Grzecznie podziękował i wetknął pakunek pod połę płaszcz. Z Friedrichstrasse pojechał bezpośrednio do Excelsiora. Recepcjonista zdawał się czekać na niego z utęsknieniem.

– Ach, pan komisarz! – Przesunął po ladzie formularz meldunkowy i odetchnął z ulgą, gdy Rath wreszcie go wypełnił.

– Jest coś jeszcze... – Recepcjonista machnął kopertą. – Przyszła do pana poczta.

Rath wziął list i poszedł do windy. Dopiero gdy zamknął za sobą drzwi do pokoju numer 412, otworzył kopertę i wysunął z niej srebrny kluczyk.

Zanim poszedł do łóżka, wybrał się jeszcze na krótki spacer do Potsdamer Bahnhof i zajrzał do swojej skrytki. Włożył do niej pistolet i wyciągnął czarną książeczkę. Notatnik Jänickego był obecnie najciekawszą lekturą do poduszki, jaką mógł sobie wyobrazić. Nawet jeśli nie rozumiał z niej ani słowa.

Wnętrze kościoła ledwo pomieściło cały ten tłum ludzi. Na pogrzebie Stephana Jänickego pojawiła się ogromna grupa policjantów, do tego w tylnych rzędach przepychali się cywile. Nagła śmierć młodego funkcjonariusza najwyraźniej wstrząsnęła wieloma berlińczykami. Niemal wszystkie gazety przysłały swoich reporterów. Dyskretnie zajęli oni miejsca w tylnej części kościoła.

Rath rozejrzał się dookoła. Niektóre z kościelnych ław pełne były policjantów ubranych w niebieskie mundury. Funkcjonariusze w cywilu mieli na sobie nie mniej eleganckie odzienia, wszyscy ubrani na czarno, w dłoniach trzymali cylindry. Rath miał na sobie ten sam czarny garnitur, który miał na sobie podczas pogrzebu Alexandra LeClerka juniora. Czuł, jak powracają do niego nieprzyjemne wspomnienia.

Przed ołtarzem już czekała trumna przykryta prostą czarno-białą flagą Prus, po obu jej stronach stało dwóch szupo w mundurach gallowych z błyszczącymi guzikami i wyglansowanych kozakach. W pierwszym rzędzie tuż obok Zörgiebela zobaczył mężczyznę i kobietę, oboje z siwymi włosami, choć żadne z nich nie miało pewnie więcej niż pięćdziesiąt lat. Rodzice Stephana Jänickego przyjechali z Olsztyna. Z tego, co Rath wiedział, pierwszy raz przekroczyli terytorium korytarza polskiego<sup>9</sup>, pierwszy raz w ogóle opuścili swoją ojczyznę – Prusy Wschodnie.

Jak zareagowaliby, gdyby wiedzieli, że kilka ławek za nimi stoi morderca ich syna? Kiedy Bruno Wolter wchodził do kościoła, przy-

brał poważną minę, która na pewno miała wyrażać żałobę. Teraz Rath już nie mógł dostrzec twarzy Woltera, gdyż znalazł sobie miejsce gdzieś z tyłu. Na ile to możliwe, chciał zejść Wujkowi z drogi, już sam jego widok był dla niego nie do wytrzymania. Czy morderca będzie mógł spojrzeć państwu Jänicke w oczy, gdy Ci staną nad grobem syna? Poda im rękę i złoży kondolencje?

Notatnik zmarłego nadal nie przyniósł żadnej odpowiedzi. Jeszcze tego samego ranka Rath zastanawiał się, czy po prostu nie wrzucić go wraz z pistoletem do kanału, zamiast umieszczać go z powrotem w skrytce. Jednak nie chciał tak szybko porzucać nadziei. Skoro znał motyw, to mógł się postarać o konieczne dowody. Wtedy ta niefortunna ekspertyza balistyczna wykazałaby jedynie tyle, że Bruno Wolter zastrzelił też najwyraźniej niejakiego Josefa Wilczka. Rath nie wniósłby sprzeciwu. Nie, nie miałby absolutnie żadnych skrupułów po tym, jak Wolter próbował podrzucić mu narzędzie zbrodni i ściągnąć na niego podejrzenie o morderstwo.

Nabożeństwo przebiegało skromnie, bez jakiegokolwiek przepychu. Dla Ratha była to pierwsza wizyta w kościele ewangelickim – i on sam czuł się niemal rozczarowany. Kiedy żałobnicy ruszyli z Greifswalder Strasse, on nadal trzymał się z dala od Woltera. Nie było to trudne, ponieważ najwyraźniej nadkomisarz też nie pałał chęcią spotkania i wycofał się na sam koniec konduktu żałobnego. Rath oraz śledczy wydziału zabójstw szli na początku, wraz z nimi Gennat i Böhm.

Już w kościele nigdzie nie mógł wypatrzeć Charly. Pewnie musiała zostać w Zamku na dyżurze. Nawet lepiej, że tak się stało. Pogrzeb Jänickego nie był najlepszym miejscem na spotkanie jej po raz pierwszy od jego pamiętnego występu na konferencji prasowej. „Ależ z pana dupek, panie Rath!”. Nawet teraz raniło go każde słowo.

wo. Gdy wracał myślami do tamtej chwili, widział ją, jak stała przed nim, jak patrzyła mu prosto w oczy, a z jej spojrzenia znikła cała miłość, widać w nim było jedynie rozczarowanie i pogardę.

Sześciu młodych mężczyzn, dawnych kolegów Jänickego ze szkoły policyjnej w poczdamskim Eiche, wyciągnęło trumnę z karawanu i oparło ją na ramionach. Przekroczyli bramę cmentarza, podążając za pastorem. Za nimi szedł kondukt żałobny. Panowała cisza, jedynie ponad grobami rozbrzmiewał świergot czyżyka. Mężczyźni szli obok siebie w milczeniu. Choć padała delikatna mżawka, to dzień wydawał się ciepły. Było duszno, wręcz parno. Rath zaczął się pocić, zresztą nie on jedyny. Zörgiebel przetarł czoło białą chustką. Odprawianie rodziców policjanta do grobu ich syna poległego podczas służby było dla niego trudną drogą.

Prezydent policji szedł razem z małżeństwem Jänicke oraz pastorem na początku konduktu, tuż za trumną. Mężczyźni niosący trumnę przeszli spory kawałek główną aleją, po czym skręcili w prawo, w inną szeroką drogę. Po jakimś czasie dotarli do muru z palonej cegły. Kilka metrów za nim widać było fasady domów czynszowych, obok nich wznosił się ceglany budynek, najpewniej jakaś szkoła. Tuż pod murem Rath dostrzegł świeżo wykopany grób.

Pastor dotarł do miejsca pochówku i się zatrzymał, tragarze niosący trumnę przeszli jeszcze kilka kroków, nim stanęli po obu stronach wykopanej dziury. Chcieli już ostrożnie położyć ciężką skrzynię na drewniane belki poukładane w poprzek grobu, gdy nagle ciszę rozdarł ostry krzyk.

Wrzask zaskoczenia czy przerażenia? Rath nie potrafił tego jednoznacznie określić. Krzyknął jeden z niosących trumnę, a pozostali zastygli w miejscu. Trumna niebezpiecznie się przechyliła, gdyż nie wszyscy w tym samym czasie zorientowali się, że coś jest nie w po-

rządku. Przec chwilę twarze szóstki mężczyzn wykrzywiły się w grymasie szoku, jednak szybko odzyskali panowanie nad sobą i, podobnie jak wcześniej, spoglądali z powagą oraz spokojem. Praca w policji nauczyła ich, jak nad sobą zapanować, lecz Rath wiedział, że musieli zobaczyć coś strasznego.

I nagle nic już nie przypominało normalnego pochówku.

Trumna nadal wisiała pomiędzy niebem i ziemią, tragarze najwyraźniej nie mogli się zdecydować, gdzie ją odstawić. Młodzi funkcjonariusze rzucali sobie niepewne spojrzenia. Po chwili zawahania dźwignęli trumnę do góry, oparli ją na ramionach i powoli wynieśli z powrotem na cmentarną alejkę. Pastor, który nadal stał na żwirze, żeby tam wygłosić swoje słowa, na ich widok odskoczył na bok, zirytowany. Zörgiebel zareagował natychmiast. Zostawił małżeństwo Jänicke, szybkim, ale dostojnym krokiem podbiegł do wykopanego grobu i spojrzał w dół. Zaskoczenie przez ułamek sekundy wyraziły tylko jego szeroko otwarte oczy. Następnie zdjął cylinder i otarł zlane potem czoło. Mocno chwyciwszy za ramiona państwa Jänicke i odciągnąwszy ich od grobu, ukradkiem dał znak Gennatowi, stojącemu parę metrów przed Rathem. Mimo swej tuszy szef Inspekcji A poruszał się zaskakująco zwinnie. Po wyrazie jego twarzy nie sposób było rozpoznać, co takiego dojrzał w grobie. Gestem ręki przywołał do siebie Böhma i paru innych policjantów. Rath nie wiedział, czy wezwanie skierowane było też do niego, ale również ruszył z miejsca. Co tam się działo?

Wśród żałobników panował coraz większy niepokój. Kilka ciekawskich osób podeszło do przodu, aby zobaczyć, co wywołało tak osobliwe reakcje. Dało się słyszeć szepty, które powoli narastały, zmieniały się w gwar. Pogrzeb Stephana Jänickego stracił nagle cały swój podniosły nastrój.

Rath przecisnął się obok mężczyzn niosących ciężką, dębową trumnę, którzy nadal dźwigali ją na ramionach. Z wilgotnej ziemi wydobywał się nieznośny odór.

I wtedy to dostrzegł.

W wykopanym grobie już leżało jakieś ciało. Grudki ziemi oblepiały poplamiony, butwiejący szary garnitur. Dłonie i stopy przypominały miazgę pokrytą zaschniętą krwią, rozkład ciała postępował w najlepsze.

Lampa błyskowa rozbłysła i na chwilę zatopiła zwłoki w upiornie jaskrawym świetle.

Kilku dziennikarzy wyciągnęło aparaty i odruchowo zaczęło robić zdjęcia. Gennat wywrzeszczał parę rozkazów, a szupo odepchnęli reporterów na bok. Łańcuch mężczyzn w niebieskich mundurach szybko otoczył grób, co uniemożliwiło kolejnym gapiom spoglądanie w dół wykopu.

Rath stał wśród funkcjonariuszy, patrzył na ciało i ledwie mógł to wszystko pojąć. Rozkład pozostawił swój ślad również na twarzy nieboszczyka, lecz jego rysy dało się rozpoznać na tyle dobrze, że nie można było mieć żadnych wątpliwości co do podobieństwa denata i pewnego poszukiwanego mężczyzny ze zdjęć.

Rath nie musiał nawet czekać na wyniki identyfikacji, żeby wiedzieć, że te zwłoki przysporzą mu kłopotów.

W grobie, który wykopano dla Stephana Jänickego, leżały szczątki Aleksieja Iwanowicza Kardakowa.

Słowo „szczątki” było w tym przypadku nad wyraz trafnym określeniem, pomyślał Rath, gdy niecałe pół godziny później przyglądał się dwóm mężczyznom z dochodzeniówki, którzy, siedząc w wykopie tuż przy cuchnącym zawiniątku, które pozostało z Kardakowa, robili gipsowe odlewy pozostawionych obok śladów butów. Trzeci



za pomocą pęsety i patyka ostrożnie sprawdzał kieszenie gnijącego garnituru. Usta i nosy trójki mężczyzn przewiązane były chustkami, ale na głowach nadal mieli cylindry.

Tymczasem mżawka ustała już całkiem. Duchota stawała się coraz bardziej nieznośna, ziemia parowała. W ciepłym i wilgotnym powietrzu ponad grobami unosił się zapach zgnilizny. Już tu na górze potwornie śmierdziało, pomyślał Rath, a tam na dole fetor musiał być nie do zniesienia.

Konieczne prace policyjne można było od razu rozpocząć – Gennat miał wszystkich specjalistów na miejscu. Większość z nich była wprawdzie nieadekwatnie ubrana, ale funkcjonariusze bez szemrania zabrali się do roboty. Gennat musiał ściągnąć na miejsce jedynie doktora Schwartza oraz polecić przywieźć z Zamku urządzenie do zabezpieczania śladów. Sprawiono się szybko, na Alexanderplatz było niedaleko.

Trumnę ze zwłokami Stephana Jänickego odstawiono do cmentarnej kaplicy. Nie można było pochować mężczyzny, dopóki technicy kryminalistyki nie skończą prac przy grobie. Rath z chęcią by się dowiedział, jak Zörgiebel wyjaśni to rodzicom zmarłego.

Cokolwiek na celu miał ten, kto złożył te zwłoki w grobie, to jedno na pewno udało mu się osiągnąć. Nie tylko zakłócił uroczysty pogrzeb policjanta, którego zamordowano na służbie, lecz także całkowicie go uniemożliwił.

Żałobnicy szybko się rozeszli, zadbali już o to szupo. Wyprosili uczestników pogrzebu z cmentarza najdelikatniej, jak to było możliwe w tej sytuacji. Później pomiędzy nagrobkami uwijali się jedynie funkcjonariusze Inspekcji A, wydziału zabójstw i służby śledczej, w swoich czarnych cylindrach przypominający zdezorientowanych żałobników. Przy wejściu od strony Greifswalder Strasse policja po-

rządkowa pilnowała, by na razie żaden przechodzień nie wszedł na cmentarz. Niewielką bramę od Heinrich Roller Strasse również zamknięto.

Policjanci z dochodzeniówki szukali przede wszystkim śladów butów w wilgotnej ziemi, i mieli przy tym mnóstwo pracy. Miejsca, którymi żałobnicy podążali za trumną, zostały rozdeptane przez setki butów. To na nic, nie było sensu w ogóle brać się tam do roboty. Na pierwszy rzut oka bezpośrednio przy grobie nie wyglądało to ani trochę lepiej. Odciski butów pozostawili tam przecież nie tylko mężczyźni niosący trumnę, lecz także pastor, Zörgiebel, funkcjonariusze Gennata oraz Szupo, którzy blokowali dostęp do wykopu, nie wspominając już o gapiach i fotoreporterach. Jednak Gennat wnet polecił spisać personalia wszystkich tych osób, co sprawi, że późniejsze porównanie śladów będzie wprawdzie żmudne, ale jak najbardziej możliwe. Zatem sprawa poszukiwania tego jednego odcisku, do którego nie będą posiadali materiałów porównawczych, takich jak choćby ślady butów ogrodnika pracującego na cmentarzu, nie przedstawiała się beznadziejnie.

Dziennikarze początkowo wzbraniali się przed podawaniem swoich nazwisk, gdyż obawiali się represji. Szupo jednak nie zabezpieczyli ani jednego aparatu. Chodziło o to, by nie wywoływać żadnego skandalu! W końcu to sam Zörgiebel zaprosił prasę na pogrzeb Jänickego. Podobnie jak Gennat, Rath nie bardzo wierzył w to, że gazety opublikują zdjęcie rozkładającego się ciała. Fotografie, które już wywołano i które może leżą gdzieś w redakcjach, znikną w szafkach zamkniętych na cztery spusty. Zdziałają na pewno jedno: berlińska policja już się nie wykręci. Zdjęcia stanowiły smakowity kąsek dla każdego dziennikarza zajmującego się sprawami kryminalnymi: w świeżo wykopanym grobie zamordowanego funk-

cjonariusza wydziału kryminalnego Stephana Jänickego leżały tego ranka zwłoki innego mężczyzny – Aleksieja Kardakowa, od dawna poszukiwanego w związku z domniemaniem morderstwa. Jakiś zmyślny dziennikarz mógłby zapełnić samymi tymi informacjami, plus paroma odgrzewanymi kawałkami z poprzedniego tygodnia, całą stroną tytułową, i nie potrzebował do tego ani konferencji prasowej, ani poufnych informacji od niedyskretnego policjanta. Tak czy siak, nie było sensu trzymać w tajemnicy wydarzenia, które miało tytuł naocznych świadków, Zörgiebel też musiał zdawać sobie z tego sprawę.

Tymczasem technicy kryminalistyki wygramolili się już z grobu. Następnie asystent kryminalny Reinhold Gräf zniósł na dół aparat fotograficzny i wykonał kilka fotografii. Gräf również miał twarz przewiazaną chustką, dodatkowo przysłonił nos kołnierzem płaszcza. Rath wątpił, że na coś to się zda, asystent kryminalny był prawie tak samo blady jak zwłoki.

Jeden z funkcjonariuszy służby śledczej pokazał Gennatowi, co znalazł w marynarce Kardakowa: paczuszkę z kokainą w zaskakująco dobrym stanie, znaczek członka ringvereinu Berolina oraz żółty dowód osobisty ważny do 16 maja 1929 roku.

Gennat przekartkował dokument. Posłużył się chusteczką, żeby nie zostawić odcisków palców.

– No to chyba znaleźliśmy pańskiego mordercę, panie Rath – powiedział. – Niestety, mężczyzna wygląda na dosyć martwego. Nie będziemy mogli go już przesłuchać.

Rath przytaknął, milczący i upokorzony. Gennat ujął całą sprawę stosunkowo łagodnie. Wcześniejsze spojrzenia kolegów były bardziej bezlitosne. Ciało Kardakowa doszczętnie skompromitowało nowego śledczego wydziału kryminalnego Gereona Ratha przed zgromadzo-

na miejscu berlińską policją. Mężczyzna, którego Rath uważał za mordercę i którego poszukiwania wszczął, najwyraźniej sam padł ofiarą zbrodni.

– Może pan przypomnieć, kiedy ten mężczyzna miał dokonać morderstwa? – zapytał Gennat.

– Jakieś trzy tygodnie temu.

– Obstawiam, że nasz delikwent wyglądał wtedy podobnie jak dziś – odparł Gennat.

Dokładnie ta sama myśl chodziła Rathowi po głowie. Kardakow nie był mordercą, był ofiarą, i to tego samego zbrodniarza, który miał na sumieniu Borysa. Stało się to dla niego jasne w momencie, w którym rozpoznał ciało i zobaczył obrażenia dłoni i stóp.

– Obawiam się, że nieco pochopnie wszczęliśmy poszukiwania, panie radco kryminalny – oznajmił.

Gennat przytaknął.

– A jeszcze bardziej pochopne było podejrzewanie tego mężczyzny o morderstwo i to bez jakichkolwiek dowodów. Odnalezienie tego ciała powinno pana ucieszyć! Niech pan sobie wyobrazi, że ten nieszczęśnik jeszcze żyje i jedynie wyjechał na parę tygodni nad Bałtyk, a gdy wrócił, policja Aresztowała go na Stettiner Bahnhof, a jego zdjęcie znalazło się we wszystkich gazetach. Coś takiego graniczy z pomówieniem! I pan ponosiłby za to odpowiedzialność, panie komisarzu!

Nie tylko ja, prezydent również, pomyślał Rath. Zörgiebel zignorował protesty Gennata, wszczął poszukiwania Kardakowa i przekazał teorię Ratha opinii publicznej. Prezydent policji też się skompromitował. Rath doskonale wiedział, że Zörgiebel mu tego nie wybaczy.

Narobił sobie w Zamku mnóstwo wrogów. Za dużo. Böhm stał z Kronbergiem i kilkoma policjantami z dochodzeniówki nieco na uboczu, przy murze cmentarza. Zapewne nie po to, żeby uniknąć zapachu gnijących zwłok, raczej chciał się trzymać z dala od Ratha. Dla niego też jestem rozkładającym się ciałem, pomyślał komisarz. W zasadzie nie miał w Zamku już ani jednego przyjaciela. Ostatnim, którego jeszcze do niedawna za takowego uważał, był najgorszy ze wszystkich. Wujek. Bruno Wolter.

Rozmyta plamka czerwieni, którą zauważył kątem oka, sprawiła, że podniósł wzrok.

W rzeczy samej, to ona! Charly!

Szła przez cmentarz w swojej czerwonej sukience, mijała mężczyzn ubranych na czarno, w jednej ręce trzymała złożony parasol, a w drugiej – notatnik. Rath poczuł ukłucie, kiedy zauważył, że przez chwilę mierzy go wzrokiem, przechodzi obok i podchodzi do Gennata, nie spoglądając już na niego ani razu, a tym bardziej się z nim nie wita. Serdeczniej przywitała się za to z radcą kryminalnym.

– Ach, panna Ritter – powiedział Budda i brzmiał niemal na ucieszonego, na tyle, na ile w ogóle możliwe to było w tych okolicznościach. – Dobrze, że pani przyszła! – Od razu wysłał ją do Kronberga, który stał z tyłu pod ogrodzeniem i debatował z Böhmem. – Niech pani najpierw spisz opinię jednostki zabezpieczającej ślady. Kiedy doktor Schwartz skończy pracę, zajmiemy się naszym przyjacielem.

Charly poszła dalej, a Rath spoglądał za nią.

Czy Gennat wyczuł napięcie między nimi? Budda nie dał po sobie niczego poznać i przyglądał się ciału, zamyślony.

– Moim zdaniem ten mężczyzna jest martwy od co najmniej czterech tygodni.

Doktor Schwartz, który zjawiał się niewiele później, potwierdził szacunki Gennata. Podczas oględzin ciała Kardakowa lekarz wciąż potrząsał głową. Schwartzowi jako jedynemu fetor zgnilizny zdawał się nie przeszkadzać, nawet wtedy, gdy wykonywał swoją pracę w grobie, tuż przy ciele.

– Wygląda na to, że był już raz zakopany i z powrotem wydobyty – powiedział, kiedy wyszedł na powierzchnię i stanął obok funkcjonariuszy kryminalnych – ale technicy prawdopodobnie udzielą panom dokładniejszych informacji.

– Przyczyna zgonu? – zapytał Gennat.

– Nie potrafię tego jeszcze powiedzieć. – Schwartz wzruszył ramionami. – Wręcz nasuwają mi się pewne analogie do innego ciała, które badałem. Ale zdaje się, że jest też kilka uderzających różnic.

Gennat skinął głową.

– Ma pan na myśli sprawę, którą zajmował się kolega Böhm, czyż nie? – Budda głośno zagwizdał na palcach i gestem ręki przywołał do siebie nadkomisarza. Böhm nadal stał z Kronbergiem i Charly przy cmentarnym murze. Teraz nie mógł już uniknąć towarzystwa Ratha, skoro szef wzywał. Böhm podszedł do Gennata, ale nawet nie raczył spojrzeć na Ratha. Chyba mieli z Charly jakąś umowę w tej sprawie.

– Tak, panie radco kryminalny? – szczechnął Böhm.

– Powinien pan posłuchać, co ma do powiedzenia doktor Schwartz – oznajmił Gennat – chodzi w końcu o pańską sprawę.

– Nie przypominam sobie, żeby moim pomysłem było poszukiwanie mężczyzny, który gnije w tym grobie!

– Wie pan, że bardzo cenię współzawodnictwo w mojej inspekcji, drogi panie Böhm, ale ono nie powinno zatruwać atmosfery w zespole. Będziemy posuwać się do przodu tylko wtedy, jeśli będziemy współpracować.

Wypowiadając ostatnie zdanie, Gennat spoglądał nie na Böhma, lecz na Ratha.

– Uważam za wskazane, żeby podali sobie panowie ręce – ciągnął Budda. – Nie powiedzieli sobie panowie jeszcze dziś dzień dobry.

– Ach, doprawdy? – Böhm wyciągnął swoje łapsko, Rath je chwycił, skoro tak musi być. Wolałyby pojednać się z Charly. Spojrzał w jej stronę, podczas gdy doktor Schwartz kontynuował swoje wyjaśnienia.

Pół godziny później Rath zaprzepścił swoją pierwszą szansę, żeby pogodzić się z Charly, i to od razu na wstępie. Gennat nie tylko przymusił ich do uściśnięcia sobie dłoni, lecz nawet wysłał ich razem w teren. Kierownik inspekcji oddelegował blisko dwudziestu funkcjonariuszy, aby przesłuchali ludzi mieszkających przy Heinrich Roller Strasse, przy której znajdował się cmentarz, a do budynku pod numerem 17 przydzielił akurat Gereona Ratha oraz Charlotte Ritter. Jednak jeśli to miało być działanie na rzecz budowania pokoju, to całkowicie się nie powiodło.

Na początku serce Ratha aż zrobiło fikołka, gdy Gennat wyznaczył mu Charly. Nie wiedział dokładnie, czy z radości, czy tylko ze zdenerwowania. Już sama jej bliskość wywoływała w nim euforię, a co dopiero – jej dotyk.

Jej zachowanie go jednak otrzeźwiło. Było zimne i bezosobowe. Szła obok niego niczym obca kobieta. Nie odezwała się niemal ani słowem, a jeśli już to robiła, to konsekwentnie zwracała się do niego

per pan. I to nie tylko dlatego, żeby zachować pozory, zdradzały mu to jej oczy. Ależ surowe mogło być jej spojrzenie! Nie, jeszcze mu nie wybaczyła.

– Co pan proponuje, panie komisarzu? – zapytała, kiedy stanęli przed pięciopiętrową kamienicą czynszową po drugiej stronie muru cmentarza. Inni policjanci już dawno zniknęli w sąsiednich budynkach.

– Możemy mówić sobie po imieniu, nikt nas nie słyszy – powiedział. Warto spróbować, pomyślał.

– Nie zamierzam przysparzać sobie kłopotów w pracy przez to, że za bardzo spoufalam się z jednym z komisarzy. I to na dodatek z takim, który na to nie zasłużył.

Była studentką prawa. I to najwyraźniej nie najgorszą.

– Właśnie o tym chciałbym z Tobą porozmawiać. Czy nie chciałabyś mnie przynajmniej...

Przerwała mu.

– Nie przypominam sobie, żeby radca kryminalny polecił panu omawianie ze mną czegokolwiek.

Rath zarzucił podejmowanie kolejnych prób. Jeśli ona tego właśnie chce, to on też potrafi zachowywać się obojętnie.

– No, dobrze. Aby uniknąć ryzyka, że za bardzo się ze sobą spoufalimy, proponuję, żebyśmy na czas przesłuchiwania świadków się rozdzielili. Pani zajmie się jedną połową lokatorów, a ja drugą.

Rzeczywiście zwrócił się do niej per pani! Nie odniósł wrażenia, że ją to dotknęło. Ta forma najwyraźniej bardziej dręczyła jego niż ją.

– Jak pan uważa, panie komisarzu.

– Niech pani obejdzie dwa górne piętra, ja zajmę się trzema dolnymi.



Nic już nie odpowiedziała. Jej szczupłe nogi powędrowały w górę schodów.

Rath spojrzął za nią, wzruszył ramionami i wziął się do pracy.

Uwiniął się szybko. Z mieszkań na parterze nie dało się nawet zajrzeć za mur cmentarza. Poza tym nikomu nie rzuciło się w oczy nic nietypowego: ani dozorca, ani nauczycielowi mieszkającemu naprzeciwko niego. Z kolei w mieszkaniach na wyższych kondygnacjach nie zastał nikogo poza Elfriede Gaede, przygłuchą starszą panią, która mieszkała na pierwszym piętrze. Pani Gaede miała wprawdzie balkon z widokiem na cmentarz, ale jej uwagi skupiała się wyłącznie na gromadzie kotów, które pałętały się po każdym pomieszczeniu. Trochę potrwało, nim Rath pojął, że pani Gaede jest nie tylko przygłucha, lecz także niemal całkiem ślepa. Cieszył się, gdy w końcu opuścił mieszkanie śmierdzące kocimi szczynami. Akcja zakończona sukcesem!

Zszedł po schodach, wyszedł na ulicę i rozejrzał się dookoła. Nigdzie nie było Charly. Po lewej stronie czynszówki, na rogu czerwonego budynku z cegły, stali Flip i Flap, każdy z papierosem w dłoni. Rath dołączył do nich i zapalił overstolza. Przynajmniej Ci dwaj nie uciekają na jego widok.

– Też już skończyliście? – zapytał, gdy już schował paczkę papierosów.

– To szkoła – odparł Czerwinski – i w całym tym wielkim budynku mieszkają tylko dozorca i jego żona. – Zaciągnął się głęboko. – I żadne z nich niczego nie widziało.

– Moim zdaniem to niedorzeczny pomysł – oznajmił Henning. – Co ludzie mieszkający przy tej ulicy mieliby zauważyć? Ktokolwiek wrzucił nieboszczyka do grobu, musiał wejść przez bramę cmentarza. Zwróciłby czyjąś uwagę, jeśli wspinałby się tu po murze. I to

jeszcze z ciałem. Poza tym musiał to być ktoś, kto znał pracowników cmentarza. Ktoś, kto wiedział, że dziś w tym miejscu zostanie pochowany policjant.

– Całe miasto o tym wiedziało, pisali o tym w każdej gazecie – odparł Rath. – Dzisiejszego ranka nie było na cmentarzu aż tylu świeżo wykopanych grobów.

– Dziwna sprawa – ciągnął Henning. – Dlaczego ktoś wrzuca stare zwłoki do grobu dopiero co wykopanego dla policjanta?

– To osobliwe, zgadza się – przyznał Rath.

Morderca nie bez powodu wydobyl ciało Kardakowa, co do tego nie było wątpliwości. Może żeby dać nauczkę prezydentowi policji? Albo Rathowi? Czy zrobił to morderca, czy może ktoś inny ulokował zwłoki w grobie Jänickego? Wyglądało na to, że zawartość kieszeni nieboszczyka została starannie dobrana: kokaina w marynarce, dowód osobisty, i jeszcze znaczek Beroliny. Może jednak Marlow maczał w tym palce? Może ktoś chciał w ten sposób przekazać im, że obu Rosjan zabił doktor M. albo Czerwony Hugo? Może to jakiś wrogo nastawiony ringverein, który chciał wpędzić w kłopoty Berolinę i przy okazji wykorzystał sposobność do tego, żeby nieco ośmieszyć policję? „Nordpiraten” nie pozostawali obecnie w najlepszych stosunkach z Beroliną. Może warto by się temu bliżej przyjrzeć.

Mężczyźni wypalili papierosy do końca. Rath postanowił pójść z Henningiem i Czerwinkim z powrotem na cmentarz. Nie będzie czekał na Charly i pozwalał się traktować jak śmieć – nie musiał tego znosić. Sytuacja nie należała może do najprzyjemniejszych, ale nie miało to teraz dla niego znaczenia.

Mimo przerwy na papierosa trzech funkcjonariusze zgłosili się do Gennata jako pierwsi. Wciąż nie udało się jeszcze za wiele ustalić. Co prawda pewien lokator spod dziewiętnastki zauważył w ponie-

działek rano dwóch mężczyzn, którzy ciągnęli jakiś wózek główną aleją cmentarza, ale nie potrafił sobie jednak przypomnieć dokładnej godziny. Pomału schodziło się coraz więcej policjantów, również tych, którzy przesłuchiwali pracowników nekropolii. Budda cierpliwie wysłuchiwał każdego sprawozdania. Nie sporządzał prawie żadnych notatek. Słyszał ze swojej niebywalej pamięci.

Powoli rysował się im wyraźny obraz tego, co najpewniej się wydarzyło. Pracownik cmentarza wykopał poprzedniego dnia tylko jeden grób – dla Jänickego. Grabarz zapewniał, że dziś tuż przed dziesiątą nie leżało tam jeszcze żadne ciało, ponieważ wtedy raz jeszcze sprawdzał belki, na których miała spocząć trumna. A więc tajemniczy mężczyźni – zakładając, że byli to Ci dwaj, których widział świadek – musieli w tym czasie uwinąć się ze swoją pracą. Zawsze to już jakiś punkt zaczepienia.

Charly dotarła dopiero z ostatnim funkcjonariuszem, który wracał z obchodu po Heinrich Roller Strasse. Szła obok Reinholda Gräfa i się uśmiechała. Ucinali sobie wesołą pogawędkę.

Znienacka Ratha ogarnęła zazdrość. Poczuli, jak bardzo bolesny cios zadała mu Charly.

Cholera, pomyślał. Masz już wystarczająco dużo problemów na głowie, niepotrzebne są Ci kolejne, spowodowane przez tę kobietę! Zapomnij o Charly, wybij ją sobie z głowy! Nie możesz się dać traktować w taki sposób!

Policjanci na razie zrobili wszystko, co do nich należało. Pierwsi funkcjonariusze kryminalni byli już w drodze do Zamku, żeby napisać sprawozdania. Dwóch grabarzy wyciągnęło ciało Kardakowa z mogiły i ostrożnie włożyło je do ocynkowanej trumny, a następnie wyruszyło w drogę. Przy Greifswalder Strasse czekał na nich karawan.

Niewłaściwa kolejność, pomyślał Rath, przyglądając się mężczyznom: z grobu do wozu pogrzebowego. Przeważnie zmarli pokonywali drogę w odwrotnym kierunku.

Rath przeczuwał nadejście burzy.

Gdy wrócił do Zamku, Erika Voss czekała już z wiadomością.

– Prezydent chce z panem mówić, panie komisarzy.

Rath wiedział, że nie będzie to zwykła narada, i się nie pomylił. Jeszcze nigdy nie widział grubasa tak wściekłego. Zörgiebel wstał od biurka i chodził po pokoju w tę i z powrotem. Jego głos był teraz niezmiernie wysoki.

Drzwi do sekretariatu były wprawdzie zamknięte, ale Rath miał pewność, że Dagmar Kling słyszy każde słowo, jeśli tylko mówi się wystarczająco głośno. A Zörgiebel mówił bardzo głośno.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, w jakiej sytuacji mnie pan postawił?

Instykt Ratha podpowiedział mu, że lepiej będzie, jeśli się teraz nie odezwie. Posłuchał go.

– Ośmieszył pan zarówno mnie, jak i całą berlińską policję! Ośmieszył pan w oczach wszystkich!

Rath nadal nic nie mówił. Niech Napohybel się wyszaleje. Przy najmniej nikt teraz nie będzie mógł powiedzieć, że Zörgiebel jest jego najlepszym przyjacielem.

– Wystawiamy nakaz zatrzymania mężczyzny, podajemy go jako głównego podejrzanego w sprawie morderstwa, a okazuje się, że zginął on wcześniej niż jego rzekoma ofiara! Jak to w ogóle wygląda?

– Proszę wybaczyć, panie prezydencie, ale to nie ja zdeponowałem to ciało w grobie!

– To by dopiero było! Ale pan, drogi panie Rath, naprowadził cały aparat policyjny na mylny trop! Włożyliśmy mnóstwo wysiłku w poszukiwanie człowieka, który od tygodni jest martwy! Wszystkie gazety opublikowały jego zdjęcie, a teraz będą publikować tę parszywą historię. Jaką kolejną niespodziankę nam pan szykuje? Czyje ciało zostanie odnalezione jako następne? Ciało hrabiny?

Rath wzruszył ramionami.

– Mam nadzieję, że nie, panie prezydencie.

– Powinien pan mieć cholerną nadzieję! Drogi komisarzu, nie wiem, czy jest pan tego świadomy, ale gdyby nie był pan synem Engelberta Ratha, to mógłby pan już teraz pakować walizki przed wyjazdem do urzędu kryminalnego Köpenick! Zwolniło się tam właśnie jedno stanowisko. Zająłby się tam pan odławianiem kotów – uciekierów i dziękował Bogu za to, że nie odkomenderowałem pana do wycierania kurzu w magazynie dowodowym aż po kres pańskich dni!

A więc tak szybko można było popaść w niełaskę Zörgiebela!

Jeszcze wczoraj Gereon Rath był oklaskiwanym bohaterem, tym, w którego blasku mógł się ogrzać prezydent policji. Dziś stał się kozłem ofiarnym, który jako jedyny ponosi odpowiedzialność za to, że Zörgiebel źle wypadł w oczach prasy.

– Z chęcią bym to wszystko naprawił, panie prezydencie.

– Naprawił? W jaki sposób chce pan naprawić taki uszczerbek? To doprawdy niepoważne!

Rath przeczuwał, skąd wzięło się wzburzenie Zörgiebela. Socjaldemokratyczna Partia Niemiec zapowiedziała na przyszły tydzień zjazd partyjny w Magdeburgu. Prezydent berlińskiej policji będzie musiał wytłumaczyć się swoim przyjaciołom socjaldemokratom z krwawych burd majowych oraz odpowiedzieć na pytania dotyczą-

ce bezpieczeństwa i porządku w stolicy Rzeszy. Pierwsze strony gazet, na które ostatnio trafił Zörgiebel, nie zrobią najlepszego wrażenia na jego partyjnych kolegach. A teraz jeszcze to zajście na cmentarzu! Blamaż jakich mało, upadek autorytetu. Zörgiebel najzwyczajniej się bał, że socjaliści się na niego rzucą.

– Panie prezydencie, chciałem przez to tylko powiedzieć, że jeśli mogę jakoś panu pomóc, to to zrobię. Proszę mi przynajmniej dać szansę.

– Dam panu jeszcze tylko jedną jedyną szansę, drogi panie Rath, i radzę, żeby pan ją wykorzystał. Niech pan mi w końcu przyprowadzi winowajcę, który ponosi odpowiedzialność za te wszystkie makabryczne przestępstwa i tak bezczelnie wodzi policję za nos. Tak, byśmy mogli zrobić porządek z tym zwyrodnialcem. Najpóźniej za pięć dni chcę zobaczyć rezultaty!

– To mało czasu, panie prezy...

– Jeśli chce pan zatrzymać swoje biurko w Inspekcji A, to powinien pan ten czas wykorzystać!

– Właściwie to nadkomisarz Böhm prowadził tę sprawę, a radca kryminalny Gennat...

– Nie dbam o to, w jaki sposób się pan z tym upora! Jeśli Böhm pana nie chce, to niech pan pracuje w pojedynkę. Przecież świetnie to pan potrafi! – Zörgiebel wrócił za biurko i wskazał na drzwi. – A teraz proszę już sobie iść! Niech się pan weźmie do pracy! Gdy kolejny raz wejdzie pan tymi drzwiami, to ma pan coś dla mnie mieć. Mordercę. I tym razem łącznie z mocnymi dowodami, z których będzie można zrobić użytek w sądzie. Zrozumieliśmy się?

Rath przytaknął i otworzył drzwi. Tak, zrozumiał. Był pewien, że Dagmar Kling też zrozumiała każde słowo.

Doktor Schwartz uwinął się z pracą tak sprawnie jak nigdy. Nawet raport z autopsji w sprawie Jänickego nie trafił na biurko tak szybko jak ten dotyczący Kardakowa.

Rath z trudem otwierał klejące się powieki i przedzierał się przez zawilóści języka medycznego. Zrobiło się już późno. Zapalił papierosa, żeby nie zasnąć. Popielniczka leżąca przed nim na stoliku w biurze Gennata była już pełna. On i Budda jako jedyni siedzieli jeszcze w biurze Inspekcji A.

Jako ostatnia wyszła Gertrud Steiner. Zanim się pożegnała, przyniosła im jeszcze wieczorne wydania gazet. Niemal wszystkie szeroko opisywały zajście na cmentarzu ewangelickim, ale żadna nie wydrukowała zdjęcia zwłok. Większość dzienników raz jeszcze wygrzebała stary portret Kardakowa i umieściła obok aktualnego zdjęcia z pogrzebu Jänickego. W niektórych gazetach roiło się od przypuszczeń. Rath się tego spodziewał, Budda – najwyraźniej też, bo relacje zdawały się nie wytrącać go z równowagi. Radca kryminalny siedział przy swoim biurku i zamyślony kopcił cygaro.

– Nie chce się pan powoli zbierać do domu, panie komisarzu?

Gennat wyglądał na szczerze zatroskanego.

– Nie, panie radco. Narobiłem bałaganu i muszę to wyprostować. Jeśli to konieczne, będę pracował całą noc.

– Ja nie muszę iść do domu, mam tu łóżko do dyspozycji – oznajmił Gennat – ale *nie* będę go z panem dzielił!

Rath się zaśmiał.

– Nie ma też takiej potrzeby, panie radco. Jeśli chce pan iść spać, to proszę dać znać. Wezmę taksówkę i pojedę do hotelu.

– Nadal mieszka pan w Excelsiorze?

– Jeszcze nie miałem czasu, żeby zabrać się za szukanie jakiegoś przyjemnego umeblowanego pokoju.

– Niech mi pan jutro o tym przypomni. Może będę mógł coś dla pana zrobić!

Choć wiele innych osób w Zamku – z Böhmem i Charly na czele – było do niego teraz wrogo nastawionych, to Gennat traktował go dobrze. Jasno zaznaczył, że chce mieć przy sobie Ratha i wykorzystać jego wiedzę dotyczącą Kardakowa, choć już raz sprowadziła ona policję na fałszywy trop. Budda wierzył, że Rath może okazać się cenną pomocą w sprawie Kardakowa, nawet jeśli Böhmowi to nie odpowiadało.

Rath ponownie zagłębił się w protokół sekcji zwłok. Był to dziwny protokół. Właściwie oczekiwał podobnego orzeczenia, co w sprawie „Möckernbrücke”, i owszem, znalazł wiele analogii, ale kilka rzeczy zaskakująco się różniło.

Tak jak Borys, Kardakow zginął w wyniku obrażeń po maltretowaniu. W przypadku obu Rosjan dzieła dokonywali najpewniej Ci sami eksperci od tortur, profesjonaliści, którzy wiedzieli, jak sprawić ból, nie zadając śmiertelnych obrażeń, i wiedzieli też, jak umiejętnie stosować narkotyki. Stosowali na przemian tortury i podawanie substancji odurzających. Prawidłowe odpowiedzi dawały obietnicę zbażennego zastrzyku uśmierzającego ból, i dopiero to skłaniało ofiarę do udzielania odpowiedzi, a nie wyłącznie ból. Również w ciele Kardakowa doktor Schwartz stwierdził obecność heroiny, poza tym – podobnie jak u Borysa – znalazł miejsca po nakłuciach. Jednak w przypadku Kardakowa to *nie* narkotyk doprowadził do zgonu.

Mężczyzna zmarł najwyraźniej w wyniku zatrucia cyjankiem potasu. W jego ustach doktor Schwartz znalazł resztki trucizny, a poza nimi odłamki cienkiego szkła, które wskazywały na to, że Kardakow sam rozgryzł ampułkę. Czyżby zatem samobójstwo? A może jego oprawcy siłą wsunęli mu ją do ust? Czy to samo chcieli zrobić z Bo-



rysem? Czy może śmierć w wyniku zażycia heroiny była wypadkiem i omyłkowo podano za dużą dawkę?

Dwa niemal identyczne przypadki śmiertelne. Różniło je tylko to, że jedna ofiara zmarła w wyniku przedawkowania heroiny, a druga po rozgryzieniu ampułki z cyjankiem. Sprawa wydawała się bardziej zagadkowa niż do tej pory.

Gennat odłożył gazety na bok i kolejny raz przestudiował raport służby śledczej.

– Jak pan sądzi, gdzie zakopano naszego przyjaciela, zanim postanowiono go wygrzebać? – zapytał, żując końcówkę cygara.

Rath już wcześniej przeczytał ten raport. W grudkach ziemi na ubraniu nieboszczyka ludzie Kronberga znaleźli igły świerku. Na cmentarzu ewangelickim nie rosły żadne świerki.

– Wszystko wskazuje na grunt leśny, nie sądzi pan?

– O tym samym pomyślałem. Powinniśmy zlecić sporządzenie listy wszystkich lasów świerkowych w pobliżu Berlina. Może uda nam się znaleźć jego poprzedni grób.

Miasto właśnie budziło się ze snu, gdy Rath z powrotem siedział już w Zamku, zaszyty w swoim niewielkim biurze, niczym eremita. Genrat rzeczywiście spędził noc w prezydium, Rath przeszkodził mu podczas golenia, kiedy chciał wziąć z biura Buddy protokoły przesłuchań. Poza nimi dwoma w Inspekcji A nie było żywej duszy. Rath prawie nie zmrużył oka w nocy. Wziął groźbę Zörgiebela na poważnie, a czas był teraz cenny.

Raz jeszcze przekopał się przez protokoły wczorajszych przesłuchań, strona po stronie. Nie znalazł w nich prawie żadnych użytecznych spostrzeżeń. Zeznanie mężczyzny mieszkającego przy Heinrich Roller Strasse 19, wózek, który dwóch mężczyzn ciągnęło cmentarną alejką. Świadek powiedział, że pojazd wyglądał jak zwykły wózek do przewożenia zwłok. Potrafił to ocenić, w końcu często widział takowy ze swojego okna. Niestety, koledzy nie zapytali, co znajdowało się na wózku. Wiadomo jedynie, że żaden z tych mężczyzn nie był pracownikiem cmentarza. Ogrodnik powiedział, że po tym, jak zakończono przygotowania do pogrzebu Jänickego, wszyscy pracownicy udali się na ceremonię pogrzebową. Niecodziennie mieli okazję uczestniczyć w uroczystym pochówku policjanta. Właśnie wtedy tych dwóch nieznajomych musiało wdrzeć się do cmentarnej kaplicy, w której przeważnie stał wózek. Kaplica była jednak zamknięta, a technicy nie znaleźli śladów włamania.

Jeden ze świadków z Greifswalder Strasse twierdził, że widział dwóch mężczyzn, którzy taszczyli przez ulicę dywan. Jeden wózek

i jeden dywan – może ciało przeładowano, a w tym celu wybrano po jednym środku transportu, który w danej okolicy nie rzucał się w oczy? Obaj świadkowie nie nabrali żadnych podejrzeń do momentu, gdy parę godzin później usłyszeli pytania policjantów. Żaden z nich nie potrafił też opisać tych tajemniczych mężczyzn, twierdzili, że dzieliła ich za duża odległość. Dwóch mężczyzn w szarych płaszczach i kapeluszach – co do tego ich opisy się zgadzały. Dalejszych szczegółów nie podano: ani rysów twarzy, ani znaków szczególnych. Świadkowie nie mieli nawet pewności co do koloru włosów.

Ze szczególną uwagą Rath przestudiował protokoły z przesłuchań spisane przez Charlotte Ritter. Były sporządzone staranniej niż jego własne, ale najwyraźniej nie udało jej się ustalić wiele więcej. W domu przy Heinrich Roller Strasse 17 nie było żadnych świadków zdarzenia. A przynajmniej ich nie zastała.

Chwilę po ósmej przysłała Erika Voss, zaskoczona, że widzi go w biurze.

– Nigdy nie przychodzi pan tak wcześnie, panie komisarzu!

– Mam nadzieję, że pani owszem, panno Voss.

Zaparzyła mu kawę, o którą nawet nie musiał ją prosić. Jak dotąd, żeby się rozbudzić, jedynie palił papierosy, więc ucieszył się, gdy miał przed sobą filiżankę z parującym napojem. Próbował uporządkować myśli, ale mu się nie udawało. Z jednej strony dlatego, że mieli jeszcze za mało informacji, żeby poskładać je w sensowną całość. Z drugiej strony, w jego głowie nieustannie zamęt wprowadzała pewna kobieta. Kobieta, o której teoretycznie nie powinien w ogóle myśleć. Smukła, ładna twarz, wargi zaciśnięte w stanowczym grymasie, ciemne oczy, w których można było się utopić. I dołeczek na lewym policzku, gdy się uśmiechała. *Jeśli* się uśmiechała.

Musiał się stąd ruszyć. Gdy zanosił protokoły do biura Gennata, panowała już tam większa krzątanina. Gertrud Steiner siedziała oczywiście na swoim miejscu, Henning i Czerwinski stali razem z radcą kryminalnym przy jego biurku. Przed nimi leżały mapy miasta z zaznaczonymi obszarami leśnymi. Gennat wydał kilka krótkich poleceń, z których Rath wywnioskował, że jeszcze tego samego dnia rozpocznie się przeczesywanie lasów świerkowych na obrzeżach miasta.

Niemniej jednak Gennat zgodził się z propozycją, którą podsunął mu Rath. W spojrzeniu radcy dostrzegł coś na kształt uznania, na pewno aprobatę. Tak czy inaczej Budda zdawał się go lubić, a w Inspekcji A było to zdecydowanie rzeczą kluczową. Jakiś tam Böhm nie stanie mu na przeszkodzie.

Jednak i jemu Gennat nie oszczędził porannej narady. I znów to ukłucie, kiedy pojawiła się Charly. Tym razem przynajmniej się z nim przywitała.

– Dzień dobry panie komisarzu – powiedziała.

Spotkanie nie trwało długo, nie mieli też za wiele do omówienia. W gruncie rzeczy chodziło o podsumowanie dotychczasowych ustaleń oraz o szeroko zakrojoną akcję w lasach świerkowych, w której udział miało wziąć paruset funkcjonariuszy policji porządkowej. Poza Henningiem i Czerwinkim Budda przydzielił też innym funkcjonariuszom kryminalnym obszary leśne, których przeczesanie mieli nadzorować. Przeważnie mieli pracować parami. Przez chwilę Rath miał obawę – a może też nadzieję, trudno było mu to stwierdzić – że Gennat znów oddeleguje go razem z Charly, lecz Budda polecił pracować mu w pojedynkę, i wcale nie wysłał go do prac w lesie.

O dziewiątej Rath był już w terenie. Jeszcze raz pojechał na cmentarz, żeby zweryfikować dotychczasowe zeznania, może zna-

leżć też kilku dodatkowych świadków. Przede wszystkim chciał się jednak rozejrzeć po szkole. Dotąd udało im się zdobyć niezbyt pomocne zeznania dozorca i jego żony, a dziś rano miało być inaczej. Żaden inny budynek przy Heinrich Roller Strasse nie dysponował tyloma potencjalnymi świadkami, ilu mieściła ta szkoła.

Gdy krótko po dziewiątej Rath zjawił się u dyrektora placówki i uprzejmie się z nim przywitał, w szkolnych ławkach Męskiej Szkoły Powszechnej nr 58 siedziało około trzystu chłopców. Okazało się jednak, że mógł sobie darować tę wizytę. Gdy Rath wyraził chęć odwiedzenia wszystkich klas, których okna wychodzą na cmentarz, dyrektor szkoły Edelhard Funke porządnie go zbeształ. Stwierdził, że to zbyteczne, i dodał też, że oczywiste jest, że nikt nie mógł niczego zaobserwować.

– Nasi uczniowie uważają na lekcjach, nie wyglądają na ulicę – tak brzmiała lapidarna odpowiedź dyrektora.

Kiedy Rath chciał zaprotestować, facet śliski jak węgorz przerwał mu pytaniem:

– Może pan powtórzyć, kiedy doszło do tego zdarzenia?

– Pomiędzy dziesiątą a jedenastą, ale prawdopodobnie pomiędzy wpół do jedenastej a jedenastą.

– No, widzi pan! – Dyrektor Funke zatryumfował, jakby udało mu się właśnie wyprowadzić wzór Pitagorasa. Pewnie był nauczycielem matematyki. – Wtedy mamy drugą długą przerwę, wszyscy uczniowie przebywają na dziedzińcu, a ten mieści się z tyłu. Nikt nie mógł niczego widzieć!

W ten sposób Rath został wyproszony na zewnątrz. Kwadrans przed dziesiątą znów stał na ulicy. Wizyta w szkole trwała niespełna pół godziny, a większość tego czasu poświęcił na czekanie, aż zostanie wpuszczony do dyrektora.

Nieźle zaczynał się ten dzień!

Postanowił raz jeszcze przesłuchać Augusta Glasera, świadka spod numeru 19. Może mężczyzna będzie miał do powiedzenia coś więcej niż to, co znajdowało się w protokole? Druga wizyta dawała czasem nieoczekiwane rezultaty, Rath miał okazję często tego doświadczać. Ale tym razem niczego nie udało mu się zdziałać. Glasera nie było w domu.

Rath wiedział, że praca policjanta w dziewięćdziesięciu procentach składa się z nadaremneho trudu, ale dziś brakowało mu niezbędnej cierpliwości. Czas gonił, musiał posuwać się do przodu. Z kolei deficyt snu miał nie do końca pozytywne przełożenie na jego opanowanie.

No, dobrze, kolejny raz postanowił udać się pod numer 17, tym razem już bez Charly. Poszukać ludzi, których wczoraj nie zastali w domach. Charly również pukała do niektórych drzwi na darmo, przynajmniej tak napisała w protokole. Rath zanotował sobie te nazwiska.

Inge Schenk nadal miała na sobie szlafrok, mimo to od razu zaprosiła go do środka. Zaopiekowała się nim troskliwie.

– Kawkę? Kieliszeczek likieru? – zaproponowała.

Rath poprosił o kawę. Zaprowadziła go do salonu, poprosiła, żeby usiadł, i niedługo później wróciła z tacą. On dostał swoją kawę, a ona postawiła przed sobą kieliszek z likierem.

Napełniła jego filiżankę niespełna do połowy. Rath ledwo zdążył zadać pierwsze pytanie, a filiżanka już była pusta.

Kobieta nie odpowiedziała.

– Jeszcze jedną? – zapytała.

Przytaknął, a ona sięgnęła po dzbanek. Gdy dolewała mu kawy, pochyliła się tak bardzo, że ze szlafroka omal nie wypłynęły jej obfi-

te piersi. Powtórzyła to tak często, że Rath zorientował się, że kryje się za tym jakiś zamiar. Z każdą dolewką przybliżała się do niego coraz bardziej, umożliwiając mu coraz głębszy wgląd w swój dekolt. Gdy dolewała mu napoju po raz kolejny, na jego krocze spadły dwie, może trzy krople kawy i kobieta zaczęła wycierać spodnie serwetką. Teraz miał już dość. W popłochu opuścił te nazbyt gościnne progi i zbiegł po schodach.

Na pierwszym piętrze stała starsza pani, właścicielka zgrai kotów, które miał okazję podziwiać poprzedniego dnia, Elfriede Gaede. Spoglądała na niego, emanując radością.

– Panie komisarzu! Jak dobrze, że pan przyszedł!

Gestem ręki zaprosiła go do środka.

– Przykro mi, ale nie mam czasu – powiedział i chciał przejść obok niej. Kobieta chyba go jednak w ogóle nie usłyszała. Jej szczupłe palce chwyciły go za ramię i wciągnęły do mieszkania. Nie pozostało mu nic innego jak pójść za nią. Elfriede Gaede wcale nie była taka słaba, na jaką wyglądała. Poza tym Rath nie był w nastroju na toczenie bojów ze staruszką.

– Co takiego się stało? – zapytał, tym razem już głośniej.

Spojrzała na niego. Wreszcie, przynajmniej teraz wydawało się, że go usłyszała.

– Nie – odparła i energicznie pokręciła głową – na gzymsie!

Rath przypomniał sobie ich wczorajszą rozmowę, która miała podobnie absurdalny przebieg, i przewrócił oczami.

W mieszkaniu nadal cuchnęło jak w wielkiej kuwecie. Staruszka zaprowadziła go do otwartego okna.

– O, tam – powiedziała i wskazała na zewnątrz. – Po prostu wyszedł i nie może wrócić! Biedny Napoleon!

Rath wychylił się zza okna. Po prawej stronie, pięć, może sześć metrów dalej, na występie fasady siedział gruby czarny kocur i prychnął na niego.

Ratowanie kotów. Czy nie taką przyszłość Zörgiebel wróżył mu w Köpenick?

– Czy nie ma tu w okolicy żadnego rewierowego, który mógłby pani pomóc? – zapytał.

– Naturalnie! Ledwie dziś rano! A co pan myślał?

Wyglądała na szczerze oburzoną. Rath nie wiedział wprawdzie dlaczego, ale uświadomił sobie, że nie wyjdzie stąd, zanim gruby kocur o imieniu Napoleon znów nie będzie ocierał się o nogi starszej pani.

Odłożył kapelusz oraz marynarkę na bok i wspiął się na okno. Gzyms nie był zbyt szeroki. Rath przykleił się do ściany niczym gekon i, przesuając po niej rękami, zmierzał w stronę kocura. Zwierzę nie okazało entuzjazmu: Napoleon wygiął grzbiet i powoli się odsunął.

Przeklęte zwierzę! Stój! pomyślał Rath.

Nie odważył się wypowiedzieć tego na głos. Bynajmniej nie z powodu pani Gaede, ona i tak by go nie usłyszała. Ale Napoleon mógł cofnąć się jeszcze dalej lub nawet przestraszyć się i spaść na ulicę.

Powoli robił postępy. Dystans między nim a kocurem się zmniejszał. Prawie już doszedł do kota, gdy rozległo się zachrypte metaliczne brzęczenie szkolnego dzwonka. W szkole zaczęła się długa przerwa.

Napoleon przestraszył się jeszcze bardziej niż jego przyszły wybawca. Opasy kocur zrobił susa do przodu, omijając jakimś sposobem nogi Ratha i zniknął w oknie tak szybko, że Rath nawet tego nie zauważył.



Droga powrotna zajęła komisarzowi dłużej. Gdy chciał wycofać się z powrotem do mieszkania, zauważył pięciu chłopców przebiegających przez ulicę. Mieli jedenaście, góra dwanaście lat. Wspinali się na cmentarny mur z palonej cegły.

Z góry miał świetny widok na to, co działo się tam na dole. Zniknęli pod krzakiem tuż przy ogrodzonym grobie Jänickego. Wyglądało to tak, jakby jeden z nich wygrzebał coś z ziemi i podzielił się z pozostałymi. Chwilę później spomiędzy gałęzi krzaków uniosły się białe smugi dymu. Chłopcy z zapalem kopcili papierosy. Chyba był to ich stały rytuał. Ciekawa forma spędzenia przerw przez jedenastolatków!

Rath zignorował podziękowania Elfriede Gaede, trzymającej w ramionach i głaszczącej swojego opasłego Napoleona, chwycił kapelusz oraz marynarkę i wyszedł na ulicę.

Czas potrzebny na wypalenie jednego papierosa można najlepiej oszacować wtedy, gdy samemu się pali. Rath stanął pod murem okalającym cmentarz i wyciągnął papierosa z paczki.

Właśnie dogasił niedopałek i wcisnął go w chodnik, gdy przez mur przełaził pierwszy z chłopców. Miał jasne blond włosy i zuchwałą, piegową buzię. Na jego widok otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

Chłopiec próbował zwać, ale Rath chwycił go za kołnierz.

– Lepiej nie próbujcie uciekać – powiedział. – Chcę z Wami tylko porozmawiać. Jeśli odpowiecie mi na kilka pytań, to wszystko będzie dobrze. Jeśli będziecie sprawiali kłopoty, to będę musiał powiedzieć Waszemu dyrektorowi, co dzieje się na cmentarzu podczas długiej przerwy. – Rath wyciągnął odznakę. – Jestem policjantem. Ale takim, z którym można pogadać.

Zza muru wychynęła zdumiona twarz.

– To samo tyczy się Twoich przyjaciół – dodał Rath. – Powiedz im, że mają zejść tu na dół, to nic im się nie stanie. Słowo honoru!

Chłopiec stał jak osłupiały. Drugi, siedzący na murze, najwyraźniej też jeszcze nie wiedział, czy pokierować się instynktem i wziąć nogi za pas, czy ustąpić pierwszeństwa rozsądkowi.

– No, decydujcie! Wasza przerwa zaraz się skończy – poganiał Rath.

Wreszcie w chłopca wróciło życie.

– Kalle, no, chodź tu! – ofuknął niezdecydowanego chłopaka siedzącego na murze. – Hanke, Zerlett, Froese, Wy też! Albo będziemy mieli kłopoty!

Chwilę później dookoła Ratha stała piątka chłopców z zakłopotanymi minami.

Komisarz powiedział im, co się wydarzyło poprzedniego dnia.

– Przecież wiemy! Nie jesteśmy głupkami!

– Pisali w gazecie! – dodał Kalle. – A poza tym sami...

Uciszył go kuksaniec w bok. Piegus zdawał się przewodzić grupie.

– Chłopcy, posłuchajcie. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa! To, że palicie po kryjomu, interesuje mnie wyłącznie dlatego, że mam nadzieję, iż byliście tu także wczoraj podczas długiej przerwy.

– I? – zapytał piegus.

– I w takim razie być może jesteście dla mnie ważnymi świadkami.

– Widzisz, Hotte! Od razu mówiłem, że powinniśmy byli pójść na policję! – powiedział Kalle do piegusa. – No i mamy przegwizdane!

– Zamknij się wreszcie! – fuknął Hotte.

– Jeśli macie coś do powiedzenia policji, to dzisiaj macie jeszcze do tego okazję – zakomunikował Rath.

Czwórka chłopców spojrzała na Hottego. Widocznie chcieli scedować podjęcie decyzji na niego. Jeszcze przez chwilę się wahał, po czym w końcu się przemógł.

– Niech będzie – powiedział. – Byliśmy na cmentarzu, panie komisarzu! Wczoraj też.

– I coś widzieliście...

Hotte przytaknął.

– Dwóch takich szło z jakimś wózkiem prosto w kierunku naszego krzaka. Zagrzebaliśmy niedopałki w ziemi i chcieliśmy już sobie iść, ale oczywiście zostaliśmy w kryjówce.

– Dwóch mężczyzn z wózkiem?

– Właśnie tak, to był wózek z cmentarza, znamy go. Ale mężczyźni nie byli z cmentarza.

– Skąd Twoja pewność?

– Ci z cmentarza mają na sobie fraki i cylindry albo chodzą w roboczych ubraniach. A Ci mieli najzwyklejsze szare kapelusze, garnitury i płaszcze.

– Mogliście się im przyjrzeć?

– Nie, nie bardzo. W pewnym momencie skręcili i odeszli. Poza tym padało. W każdym razie to byli dość krzepko zbudowani faceci.

– Na wózku leżał dywan?

– Nie, skąd. Mieli na nim najzwyklejszą trumnę.

– Aha. – Rath skinął głową. – A więc wyglądało to tak jak zwykle.

– No właśnie nie – powiedział Hotte. – Trumna nie była zbita gwoździami. A kiedy podeszli do świeżo wykopanego grobu, to związali sobie chustki wokoło twarzy, zdjęli pokrywę, odsunęli belki i wrzucili do niego zawartość skrzyni.

– Wrzucili?

– Tak, do dziury. Szybko się sprawili. Nie wiedzieliśmy, że to było ciało, dowiedzieliśmy się o tym dopiero z gazet. W przeciwnym razie natychmiast pobieglibyśmy na posterunek. Słowo honoru!

– A potem?

– Potem położyli belki z powrotem na grób, przykryli trumnę pokrywą i zniknęli.

– A wy?

– My też! Zrobiło się już późno. Musieliśmy wracać do szkoły!

– Nie zagłądaliście do grobu?

– Nie! Słowo honoru. Nie mieliśmy już czasu!

Rath nie wiedział, czy powinien wierzyć, że nie spojrzeli do środka, ale to nie było teraz takie ważne.

– Dziękuję Wam za pomoc, chłopcy!

– W dechę, panie komisarzu! Jest pan w porządku. Na początku myślałem, że ten staruch Funke nasłał na nas policję.

Rath zastanowił się przez moment, czy zdradzić im jeszcze, ile frajdy można mieć, dysponując mokrą gąbką, krzesłem i niczego nieświadomym dyrektorem szkoły, ale się powstrzymał. Dyrektor Funke i tak od czasu do czasu dostanie cięgi. Byli to bystrzy chłopcy.

– A więc żaden z Was nie rozpoznał ich twarzy? Gdyby tak było, to moglibyście pójść na Alexanderplatz i opisać je naszemu rysownikowi.

Pokręcili głowami.

– Jeden z Was musi jeszcze złożyć zeznanie. Obiecuję, nie dowiedzą się o tym ani dyrektor, ani wasi rodzice.

– Pewnie, ja mogę – zaoferował się odważnie Hotte.

– Dobrze, zabiorę Cię zatem od razu po szkole. Powiedz rodzicom, że musiałeś jeszcze załatwić coś ważnego. Długo to nie potrwa. Poza

tym będzie ciasto. – Rath wiedział, że w tej kwestii mógł polegać na Gennacie.

– Gdyby wczoraj nas pan zagadnął, to też byśmy to wszystko panu powiedzieli, panie komisarzu. Słowo honoru.

– Mogliście to powiedzieć moim kolegom, którzy byli tu wczoraj. Nikt Was nie przesłuchiwał?

Wszyscy znów pokręcili głowami.

– Nie mieszkanie przy tej ulicy?

– Przy Heinrich Roller Strasse? Nie! – Zabrzmiało to prawie tak, jakby Hotte ledwie powstrzymał się przed wypowiedzeniem na głos jakiegoś strasznego przekleństwa. – Wszyscy mieszkamy przy Winsstrasse.

– Aha. – Rath skinął głową ze zrozumieniem. Wpadł mu do głowy jeszcze jeden pomysł. Wyciągnął z kieszeni policyjne zdjęcia z zeszłego tygodnia. – Widzieliście tu tego mężczyznę? – zapytał. Musiał przewertować wszystkie fotografie, zanim znalazł zdjęcie Kardakowa. – To musiało być pewnie jakieś parę tygodni temu.

Chłopcy po kolei oglądali zdjęcie i kręcili przecząco głowami. Rath schował je z powrotem. Mogło być też tak, że Kardakow ukrywał się w tej okolicy, zanim dopadli go oprawcy.

Po drugiej stronie ulicy rozległ się przeraźliwy dźwięk dzwonka. Chłopcy ruszyli się z miejsca. Zatrzymali się nagle w szkolnej bramie i przez chwilę debatowali. Jeden z nich się wrócił. Był to Kalle.

– Panie komisarzu! – krzyknął. – Panie komisarzu! Może mi pan jeszcze raz pokazać tego człowieka?

Rath znów wygrzebał z kieszeni zdjęcie Kardakowa.

– Nie tego, tego drugiego.

Początkowo Rath nie wiedział, kogo chłopiec miał na myśli. Potem pokazał mu stare zdjęcia policyjne obu Rosjan.

Chłopiec zawiesił spojrzenie na portrecie Selenskiego wykonanym przez dochodzeniówkę.

– Ten tu – powiedział Kalle po krótkim namyśle – to on ciągnął wczoraj ten wózek. Na bank!

Niedługo później Rath siedział w zielonym opłu w drodze na Kreuzberg. Zanim odbierze ze szkoły Horsta Jezorka, zwanego Hotte, oraz Karla Heinza Urbana, zwanego Kalle, i zawiezie ich do prezydium, musi jeszcze złożyć wizytę jednemu ze swych starych znajomych.

Selenskiemu!

Elementy układanki w jego głowie po raz kolejny przybierały inny porządek, jak to już często bywało w tej sprawie. A więc Selenski, którego już raz musieli puścić wolno, miał jednak coś wspólnego z Kardakowem! Nie był jego strażą przyboczną, tylko tym, który włożył ciało Kardakowa do grobu Jänickego. Nie wiadomo tylko czemu. Może miał Kardakowa na sumieniu?

W każdym razie to nie przypadek, że mieszkał w tym samym domu, co zaginiona hrabina.

Czyżby Rosjanin pracował dla Marlowa? Rath był co do tego niemal pewny, ponieważ już raz widział przy Luisenufer jednego z ludzi Marlowa – Josefa Wilczka.

Święty Józef nosił wówczas wąsy, Rath wziął go za lokatora i niczego nieświadomy dopytywał go o Kardakowa. Wilczek naopowiadał mu wtedy jakichś bzdur.

Josef Wilczek trafił na Luisenufer, ponieważ odwiedzał Witalija Selenskiego. Rosjanin najpewniej należał do ludzi Marlowa, podobnie jak jego kumpel z blizną na twarzy. Rath mógłby iść o zakład, że

Fallin był tym drugim z cmentarza, nawet jeśli żaden z chłopców go nie rozpoznał.

Jeśli to naprawdę sprawka ludzi Marlowa, to nasuwało się pytanie, dlaczego doktor M. polecił wykopać ciało i podetknąć je pod nos policji?

A może Ci Rosjanie należeli do Nordpiraten, ringvereinu, który miał na pieńku z Beroliną?

W żaden z tych scenariuszy nijak nie wpasowywało się natomiast to, że obaj mężczyźni byli policyjnymi wtykami. Donosiciele oczywiście nigdy nie byli kolegami policjantów, ale dlaczego mieliby zakłócić pogrzeb jednego z nich i skompromitować całą berlińską policję?

I na czyje zlecenie pracowali? Policji politycznej? W rzeczy samej, najbardziej prawdopodobne wydawało się to, że mieli coś wspólnego z tajemnicami Wündischa.

Sygnalizator przy Moritzplatz pokazywał czerwone światło. Rath sprawdził swojego mauzera. Broń mu się przyda, jeśli facet zrobi się nieprzyjemny, a tego mógł się po Rosjaninie spodziewać, bez dwóch zdań. Rath nie sądził, by dawna tajna policja w carskiej Rosji jakoś szczególnie się cackała, gdy wykonywała swoje zadania.

Przy Reichenberger Strasse zobaczył jadący z naprzeciwka karawan. Kolejny nieboszczyk. Co dzień umiera stu dwudziestu czterech berlińczyków, pięciu z nich nagłą śmiercią, przeważnie na skutek wypadku. Tyle mówiły statystyki, które Rath studiował jeszcze w Kolonii, żeby przygotować się do swojej nowej posady. A co cztery dni policja musiała zajmować się kolejną sprawą morderstwa albo umyślnego zabójstwa. Bezczynność w Inspekcji A na pewno mu nie groziła.

Na to, że w domu przy ulicy Lusienufer coś było nie tak, zwrócił uwagę, jeszcze zanim wszedł do budynku. O ogrodzenie z kutego że-

laza, które okalało nędzny ogród przed domem, opierały się trzy policyjne rowery. Przed drzwiami do oficyny stał funkcjonariusz policji porządkowej z komisariatu 106. Rath pokazał mu odznakę służbową.

– Wydział zabójstw? Ale dlaczego, panie komisarzu? To był przecież tylko wypadek – powiedział szupo.

– Rutynowe działanie – wymamrotał Rath i prześlizgnął się przez futrynę. Drzwi do mieszkania pana Müllera były otwarte. Rath wszedł do środka i wdepnął w wielką kałużę. Cały korytarz zalany był wodą. Margarete Schäffner siedziała w kucki na podłodze i wyżywała ścierkę. Woda wpadała do wiadra z głośnym pluskiem. Czekają ją jeszcze dużo pracy.

Mieszkanie było niezwykle jasne i przyjazne jak na oficynę. Miało skromne umeblowanie, więc woda nie spowodowała dużych szkód, choć dotarła do każdego zakamarka. Rath poszedł w kierunku źródła wycieku i trafił do łazienki. Obok wanny stało trzech jegomości, dwóch szupo i mężczyzna w szarym kitlu. Wszyscy spoglądali na niego ze zdziwieniem. Rath nie musiał pytać, żeby wiedzieć, że człowiek w szarym kitlu to Hermann Schäffner, tym razem jednak nie w towarzystwie SA.

Pokazał mężczyznom swoją odznakę.

– To tylko wypadek, panie komisarzu – pośpieszył z wyjaśnieniem Schäffner. – Ubolewania godny wypadek.

– A co się w ogóle stało? – zapytał opryskliwie Rath. – Niech pan zacznie od początku!

Schäffner stanął na baczność. To właśnie było wspaniałe w tych żołnierzach hobbystach. Pruski funkcjonariusz nadal budził w nich respekt.



– A zatem, panie komisarzu – zaczął Hermann Schöffner – jak wywaliło korki, to nie wzbudziło to moich podejrzeń. – Przełknął ślinę zanim mówił dalej. – Wymieniłem bezpiecznik i zdziwiłem się, że ten nowy od razu się spalił. Poszedłem wtedy sprawdzić, czy w reszcie budynku wszystko jest w porządku z elektryką. Tak było, przynajmniej we frontowej części. A kiedy wróciłem do oficyny, to woda spływała już po stopniach. Wtedy pomyślałem, że coś jest nie tak, i wszedłem do środka.

– Ma pan klucz?

– Naturalnie! Wszyscy wieszają swoje klucze w moim warsztaciku na podwórzu, więc szybko go przyniosłem.

– I co pan zobaczył?

– Chciałem właśnie powiedzieć. No więc wszędzie stała woda, jeszcze więcej niż teraz, Margarete już większość starła. Usłyszałem wodę kapiącą z kranu i poszedłem do łazienki. No i on leżał już tak w tej wannie. Martwy na amen.

– Kto?

– No ten Müller, co tu mieszka... – Poprawił się. – ...mieszkał...

– A gdzie on teraz jest?

– Zabrał go przedsiębiorca pogrzebowy – odezwał się jeden z szupo. – Nie wiedzieliśmy, że pojawi się jeszcze wydział zabójstw. Od zdarzenia minęło już wiele godzin. – Chrząknął, jakby wstydził się swojego usprawiedliwienia. – Zgodnie z przepisami poleciliśmy lekarzowi zbadać ciało, panie komisarzu. Gdy potwierdził zgon w wyniku porażenia prądem, to nie widzieliśmy powodu...

– Porażenie prądem?

Szupo wskazał palcem na suszarkę elektryczną leżącą na drewnianym taborecie.

– To było w wannie...

– Wyciągnąłem wtyczkę – wyjaśnił Schöffner, zauważywszy pytające spojrzenie Ratha – jak tylko zobaczyłem, co się tu nawyrabiało. Od razu zakręciłem też wodę, z wanny już się przelewało.

Wanna była już pusta, jedynie obwódka brudu wskazywała na to, że pan Müller vel Selenski od czasu do czasu z niej korzystał.

– Można więc umrzeć od tego, że człowiekowi wpadnie do wanny takie urządzenie? – zapytał Rath.

– Nowoczesne czasy, nowoczesne wypadki – odparł obojętnie drugi szupo.

– A ja zadałem mu chyba jeszcze kolejny cios, kiedy wymieniałem bezpiecznik – lamentował Schöffner. – Ale nie mogłem tego przecież wiedzieć!

– Niech pan sobie nie robi wyrzutów, dobry człowieku! Przecież już o tym rozmawialiśmy – pocieszał go szupo. – Ten nieszczęśnik nie przeżył nawet pierwszego porażenia prądem.

– Czy to nie jest nieco nietypowe? – zapytał Rath.

– Co takiego? – dopytał szupo. Wszyscy trzej spojrzeli na Ratha pytającym spojrzeniem. Odniósł dziwne wrażenie, że Schöffner oraz dwaj szupo to starzy znajomi. Nie byłoby w tym nic dziwnego, komisariat nr 106 też mieścił się przy Luisenufer, kilka domów dalej.

– To, że mężczyzna używa elektrycznej suszarki do włosów – odpowiedział Rath. – Czy to nie jest raczej coś dla kobiet?

– Znałem pana Müllera dość dobrze – pośpiesznie odparł Schöffner – od zawsze tego używał. Odkąd można to było dostać. Ale niech pan nie myśli, że on ma jakieś odmienne ciągoty. Lubił imponować kobietom, niektórzy tego potrzebują. On zawsze chciał elegancko wyglądać.

Elegancko? Rath inaczej zapamiętał Selenskiego. O czym innym świadczyła też obwódka brudu w wannie.

– A zatem znał go pan dość dobrze? – zapytał. – W takim razie wiedział pan też, że pan Müller nie nosił nazwiska Müller, lecz Selenski? I że był Rosjaninem?

Schäffner wlepił w niego wielkie oczy.

– Co? Co mają znaczyć te brednie?

– Był tu nawet zameldowany pod nazwiskiem Selenski, jako dozorca powinien pan to przecież wiedzieć!

Schäffner niepewnie spojrzał na Szupo.

– Czego chce ode mnie Wasz kolega? – zapytał. – To chyba nie jest zabronione, żeby znać swoich lokatorów, prawda?

– Chciałbym z panem pomówić w cztery oczy, panie Schäffner – zakomunikował Rath. – Może pójdziemy do pańskiego mieszkania? Czy może woli pan iść do prezydium?

Herman Schäffner wolał jednak zostać w swoim mieszkaniu.

Mężczyzna nie zaprowadził Ratha do salonu, w którym stały monstrualne żółte fotele. Usiedli w kuchni, na twardych stołkach. Ze swojego miejsca Rath mógł wyjrzeć na podwórze. Szupo zostali na zewnątrz, Margarete Schäffner również. Rath wezwał kilkoro techników i zakazał żonie dozorca dalszego zbierania do wiadra wody, która wylała się z wanny. Przez kuchenne okno widział ją, jak stała w towarzystwie trzech policjantów, których Rath wysłał na podwórze w oczekiwaniu na dochodzeniówkę. Kobieta rozmawiała z nimi, żywo gestykulując. Pewnie nie zostawiła suchej nitki na tym aroganckim gnojku, komisarzu kryminalnym, który całkowicie zakłócił spokój i porządek w jej domu.

Hermann Schäffner huśtał się na stołku, raczej nie czuł się najlepiej w swojej skórze. Rath na początku się nie odzywał, jedynie palił papierosa.

– A więc znał pan Selenskiego już od dłuższego czasu? – zapytał niespodziewanie.

Schäffner wahał się, co powiedzieć. Nie wiedział, co zrobić z rękami.

– Panie Schäffner, skoro nie ma pan nic do ukrycia, to niech pan lepiej zacznie mówić. W przeciwnym razie ściąga pan na siebie podejrzenie morderstwa!

– Morderstwa?

– Pan Selenski alias Müller został zamordowany.

– O czym pan mówi?

To, że nie mógł to być wypadek, Rath uświadomił sobie, gdy tylko zobaczył suszarkę. Model „Protos”, ten sam, który dobry tydzień temu widział parę pięter wyżej, w należącym do hrabiny mieszkaniu na poddaszu.

– Suszarka, która wpadła do wanny, nie należała do pana Selenskiego i pan to wie.

– To nie znaczy, że jestem mordercą, prawda? Sam mu załatwiłem to mieszkanie! Dlaczego miałbym go wobec tego zabijać?

– A bo ja wiem? Nie byłby pan pierwszym dozorcą, który miałby zatarg z jednym z lokatorów.

Schäffner miał możliwość zdobycia urządzenia, posiadał przecież klucze do wszystkich mieszkań. Jednak to, w którym mieszkała hrabina, zapieczętowano przed tygodniem, a policyjna pieczęć była w nienaruszonym stanie. Rath sprawdził to, zanim poszli do mieszkania Schäffnera. Niemniej jednak było to morderstwo, a sprawca chciał, by wyglądało jak wypadek. Z jakiegoś też powodu Schäffnerowi oraz jego przyjaciółom z policji porządkowej zdawało się zależeć na tym, by nie podawano tego w wątpliwość. Może po prostu nie chcieli mieć kłopotów w okolicy, takie rzeczy też się zdarzały.

W każdym razie oskarżenie Ratha odniosło skutek. Zgodnie z planem Schäffner się zdenerwował.

– Co za brednie! – zaklął dozorca. – Jeśli chciałbym kogoś wyrzucić, to wyleciałby na ulicę, tak jak Brückner, ta czerwona świnia. Przecież nie będę nikogo zabijał!

– A więc to pan załatwił Selenskiemu mieszkanie?

– Przecież powiedziałem.

– Zna więc go pan od dawna.

– Zgadza się, to ja go tu sprowadziłem. Ale nie znałem go.

– Aha, a to dlaczego?

– Co ma pan znowu na myśli?

– Dlaczego załatwił mu pan mieszkanie, skoro w ogóle go pan nie znał?

Schäffner się zdumiał. Rozmowa poszła w kierunku, który mu nie odpowiadał. I za późno się o tym zorientował.

– No, niech pan mówi! Mogę pana też zabrać do prezydium!

– A co mam mówić? Ja po prostu lubię ludzi.

– Niech mi pan nie opowiada takich bzdur! Dlaczego?

– No, dobrze, jeśli chce pan wiedzieć, to zrobiłem to, bo poprosił mnie o to przyjaciel.

– Przyjaciel? Z dochodzeniówki?

Schäffner przytaknął.

– Kto?

– Nie zna pan.

– Kto?

– Sturmhauptführer Röllecke.

Nazwisko faktycznie nic Rathowi nie mówiło. Stopień również. Sturmhauptführer? Takich stopni służbowych nie było ani w policji, ani armii niemieckiej, jedynie w SA, prywatnej armii NSDAP.

Brzmiał jednak jak jakaś gruba ryba. Schäffner twierdził, że nie zna adresu Rölleckiego. No cóż, trzeba będzie go zdobyć.

– A dlaczego? – dopytywał Rath, zanotowawszy nazwisko.

– Co znowu?

– Dlaczego Selenski miał się tu wprowadzić? Czy Röllecke zdradził panu powód?

– Nie, nie zrobił tego. Ale koledze pomocy nie odmawiam! Pewnie chciał wyświadczyć przysługę swojemu przyjacielowi.

Rath skinął głową. Przypomniała mu się wczorajsza obietnica Gennata, gdy radca kryminalny chciał mu pomóc szukać mieszkania. Może już nie będzie musiał.

Jakieś auto wtoczyło się przez bramę na podwórze i zaparkowało przed oficyną. Wsiadło z niego dwóch techników, jeden z szupo wskazał palcem na kuchenne okno.

– No, dobrze, panie Schäffner. Na razie to wszystko. Bardzo dziękuję. Chciałbym prosić pana o to, żeby pozostał pan do dyspozycji policji.

– Naturalnie, panie komisarzu!

Rath przekazał policjantowi dochodzeniówki jedynie parę zwiezłych informacji, po czym wsiadł do opla.

Udało mu się dotrzeć na Heinrich Roller Strasse punktualnie na koniec lekcji. Szkolny dzwonek zabręczał, kiedy Rath parkował opla przy cmentarnym murze, dokładnie naprzeciw bramy. Stanął przy samochodzie, zapalił papierosa i czekał na uczniów. Minęło parę sekund i wrzeszcząca zgraja wylała się na chodnik. Pięciu palaczy pojawiło się prawie na samym końcu. Horst Jezorek szedł nieśpiesznym i nonszalanckim krokiem w kierunku czarnego wozu. Za nim podążała czwórka jego kolegów.

– No to jestem, panie komisarzu!

– Świetnie. – Rath otworzył drzwi samochodu. – Kalle, byłoby dobrze, gdybyś też pojechał z nami. Powinieneś obejrzeć sobie album ze zdjęciami przestępców.

– Serio? – zapytał rozpromieniony Kalle.

Pozostali uczniowie patrzyli z zazdrością, kiedy dwójka chłopców wsiadała do auta.

– Hej, Froese! – zawołał Hotte do kolegi. – Powiedz naszym starszym, że poszliśmy za sprawunkami dla Kosłowskiego, zarobić parę fenigów!

Już sama przejazdówka autem sprawiła chłopcom frajdę. Rath pojechał nieco okrężną drogą, żeby była warta zachodu. W ten sposób mógł też uniknąć wzmożonego ruchu na Alexanderplatz. Przeciął Frankfurter Allee i jadąc Kaiserstrasse, zbliżał się do Zamku.

Niedługo później zaparkowali na prezydialnym atrium. Ogromny szklany dach wprowadził Hottego w zdziwienie. Oczy Kallego śledziły jednostkę dyżurną policji, która w zawrotnym tempie wybiegła przez środkowy portal na Alexanderstrasse. Buzie chłopców się nie zamykały.

– To miejsce przypomina dworzec! – wykrzyknął Hotte.

– A więc tak wygląda Czerwony Zamek od wewnątrz! – powiedział z uznaniem Kalle. – Rany, a ja jestem w samym środku!

Rath obiecał chłopcom ciasto, więc zostawił ich pod opieką Gennata.

– Panie radco kryminalny, mam tu dla pana dwóch ważnych świadków – oznajmił. – Ale proszę potraktować tę sprawę z najwyższą dyskrecją. – Rath puścił oko do Gennata, który zdawał się rozumieć wszystko.

– Z najwyższą dyskrecją? Ależ oczywiście – odpowiedział. – Siedajcie, chłopcy. Chcecie po kawałku ciasta?

Gdyby ktoś podsłuchiwał pod drzwiami, to te słowa nie wywołałyby jego zdziwienia. Budda rozmawiał w ten sposób nawet z zatrzymanymi, i właśnie dzięki temu osiągał zaskakujące sukcesy podczas przesłuchań.

Podczas gdy Gertrud Steiner serwowała ciasto, Gennat wziął komisarza na stronę.

– Wpadł pan na jakiś trop w szkole?

– Raczej obok niej. Tych dwóch po kryjomu paliło papierosy na cmentarzu. Nie mogą się o tym dowiedzieć ani rodzice, ani nauczyciele. Obiecałem im to.

Gennat przytaknął.

– Niech pan zostawi ich pod moją opieką, panie komisarzu. Dla pana mam inne zadanie. Zna pan teatr Delphi, zgadza się?

– Hrabina Sorokinowa tam śpiewała. Jako Lana Nikoros.

– Owszem. W związku z przebudową lokal nadal jest nieczynny. Przed mniej więcej dwiema godzinami otrzymaliśmy anonimowy telefon, że hrabina Sorokinowa rzekomo się tam ukrywa. Może to głupi żart. Niech pan tam jednak pojedzie, zgarnie paru ludzi z komisarjatu 122 i to sprawdzi.

Rath skinął głową.

– Dobrze, panie radco kryminalny. – Zawahał się przez chwilę.

– Coś jeszcze? – zapytał Gennat. – Nie chcę zostawiać moich młodych gości tak długo samych.

– Dziś rano znaleziono jeszcze jedne zwłoki, panie radco. Witalij Selenski, Rosjanin, którego przesłuchiwaliśmy w sprawie Kardakowa i którego wypuściliśmy na wolność. Chciałem go odnaleźć, ponieważ jeden z chłopców, których panu przyprowadziłem, twierdził, że wi-



dział go na cmentarzu. Rosjanin był jednak już w karawanie. Poraził go prąd, kiedy leżał w wannie. Suszarka do włosów.

– Dziwna sprawa.

– Też tak uważam. Kiedy dotarłem na miejsce, policja z miejscowego komisariatu była już na miejscu, jednak funkcjonariusze najwyraźniej nie uznali za konieczne, żeby poinformować policję kryminalną. Niemniej jednak, nie sądzę, że był to wypadek, i przezornie wysłałem na miejsce techników.

– To, do cholery, przecież obowiązek tych przeklętych rewirowych! Każdą nienaturalną śmierć powinno się bez dwóch zdań poddać analizie kryminalnej. Wypadek również! Dochodzenie kilku partaczy w mundurach przecież nie wystarczy!

Opinia Gennata o policji porządkowej zaiste nie należała do pochlebnych.

Rath jeszcze krótko opowiedział, czego dowiedział się od Schäffnera, jednak o tym, że rozpoznał w mieszkaniu Selenskiego elektryczną suszarkę należącą do hrabiny, już Buddzie nie wspominał. Sam nie wiedział dlaczego, ale miał jakieś złe przeczucie. Prowadząc śledztwo w tej sprawie, nazbyt często podejrzewał, że ktoś chce naprowadzić policję na fałszywy trop.

Gdy Rath zajrzał na chwilę do swojego biura, Erika Voss zdawała się go już niecierpliwie go wyczekiwać.

– W końcu pan jest, panie komisarzu! Radca kryminalny Gennat dzwonił już chyba ze sto razy i...

– Sprawa załatwiona.

– ...administracja chce z panem rozmawiać – ciągnęła. – Niejaki pan Rossberg z działu finansów. Jego też już miałam na linii przynajmniej dwadzieścia razy. Zanotowałam jego numer.

Rath się zdziwił. Co to miało znaczyć? Czyżby miał odpowiadać za nadmierne wydatki poniesione w związku z poszukiwaniami Kar-dakowa? Ci gamonie z finansów powinni lepiej zwrócić się z tym do prezydenta policji. W końcu poszukiwania były pomysłem wyłącznie Zörgiebela.

– Dobrze, panno Voss. Niech mnie pani zatem połączy.

Po drugiej stronie zgłosił się jakiś mężczyzna, który natychmiast i niedwuznacznie dał do zrozumienia, że trudno będzie dojść z nim do porozumienia.

– Dzień dobry, panie komisarzu! Czy może mi pan wyjaśnić, dla-czego pański rachunek za telefon opiewa na tak astronomiczną kwo-tę?

Rath nie wiedział. Czyżby Erika Voss korzystała z jego ciągłej nie-obecności, żeby prowadzić prywatne rozmowy wszelkiej maści? A nawet jeśli, to nic tym gamoniom od finansów to tego!

– Mój rachunek za telefon? Przepraszam bardzo! Jeśli w moim biurze wykonuje się telefony, to chyba nie muszę się z nich tłumaczyć...

– Nie mówię o pańskim służbowym numerze, lecz o prywatnym. Na wypadek, gdyby pan zapomniał, to również te koszty pokrywa pruska policja!

– Zupełnie nie wiem, o co panu chodzi! Od przeszło tygodnia nie mam prywatnego telefonu!

– Nie wpłynęła do mnie żadna rezygnacja, do poczty najwyraźniej również.

– Wyprowadziłem się. Obecnie mieszkam w hotelu i zapomniałem o rezygnacji. Ale to chyba nieważne, skoro nikt już z telefonu nie korzysta.

– Nie korzysta? Jak więc pan wyjaśni te wszystkie rozmowy? Tyl-ko w zeszłym tygodniu kwota na pańskim rachunku wzrosła trzy-

krotnie. Poczta była tak miła i zwróciła nam uwagę na ten fakt. Pruska policja musi oszczędzać, panie Rath, tak być nie może! Wystawimy panu rachunek na część kosztów za telefon, które przekraczają normalne użycie. I potrącimy to z pańskiej pensji!

W drodze do zachodniej części miasta Rath pojechał okreśną drogą przez Yorckstrasse. Niepotrzebnie. Nikity Fallina nie było w domu.

Nad akcją w Delphi też zbierały się czarne chmury. Szupo z Kantstrasse nie rwali się ochoczo do pomocy glinom z Alexanderplatz. Zanim ruszyli w drogę, Rath próbował poinformować o sytuacji jeszcze gospodarza budynku teatru, ale udało mu się dodzwonić jedynie do jego asystenta Feltena. Rath przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie. Oślizgły typ.

– W naszym budynku? Kryminalistka? Skąd panu to przyszło do głowy?

– Nie powiedziałem, że to kryminalistka – poprawił go Rath. – Ta kobieta to ważny świadek.

– Rozumiem. Dlatego chce pan działać potajemnie.

– Niech pan mnie zostawi to, jak będę prowadził moje działania. Pomoże nam pan i udostępni klucze, czy mamy wyważyć drzwi?

– Oczywiście, że wesprę policję, panie komisarzu.

Gdy policjanci przyjechali, mężczyzna czekał już przy Fasanenstrasse. Rath ustawił po jednym funkcjonariuszu przy każdym z wyjść z budynku, następnie wszedł do środka wraz z Feltenem i dwójką szupo. Asystent poprowadził ich do żelaznych schodów.

– Prowadzą na dół – wyszeptał.

– Jest pan pewien, że kobieta ukrywa się na dole?

– Żadne inne miejsce nie przychodzi mi do głowy. W piwnicy stoją jedynie rekwizyty i rupiecie, od tygodni nikt nie schodził na dół. A tu na górze trwają prace. Właśnie przebudowujemy budynek.

Faktycznie znaleźli jedynie rekwizyty i rupiecie, ale jak okiem sięgnąć żadnej hrabiny. Nic też nie wskazywało na to, że ktoś może się tu ukrywać. Cała piwnica wyglądała jak jedno wielkie gruzowisko. Obok najróżniejszych staroci z pomalowanego gipsu, drewna i kartonu – niemal wszystkich porozbijanych – stały pozostałości kanapy, z której obicia wystawały sprężyny, przy niej znajdowała się powyginana rama łóżka i rozdarty materac.

Felten wybałuszył oczy.

– Ale jak... jak to wszystko wygląda?

– W każdym razie nie jak kryjówka.

– Ktoś musiał tu być – powiedział Falten. – Przecież wszystko jest zniszczone. Wszystkie te rzeczy były całe, gdy je tu wstawialiśmy. – Rozejrzał się dookoła, nadal nie mógł wyjść ze zdumienia. – Wydaje mi się, że powinien pan tu zostawić jednego z funkcjonariuszy – proponował. – Na wypadek, gdyby wróciła.

– A *mnie* się wydaje, że zamiast policji powinien był pan wezwać śmieciarzy i polecić uprzątnąć te rupiecie. Tu nie przebywała żadna hrabina, co najwyżej wandale. Jeśli to miała być próba osiągnięcia tego, by lokal trafił na pierwsze strony gazet, to może pan ją uznać za nieudaną.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– To *pan* do nas zadzwonił, drogi panie Felten – ofukał go Rath. – To pewne jak amen w pacierzu! I może pan być wdzięczny Bogu, że nie mogę tego panu udowodnić! Pruska policja nie zna się na żartach, kiedy wodzi się ją za nos.

Gdy niedługo później dotarł na Nürnberger Strasse i wysiadał z wozu, nadal był w złym nastroju.

Drzwi otworzył mu Weinert.

– Co za niespodzianka! – powiedział dziennikarz i uśmiechnął się szeroko. – Mężczyzna, który wcisnął mi nieboszczyka, twierdząc, że to morderca.

– Daruj sobie już, przecież Tobie również moja teoria wydała się przekonująca!

– Nawet bardzo. Jednak okazała się błędna.

– Teraz już to wiemy. Czy mimo to mogę wejść do środka?

– Ależ oczywiście. – Weinert odsunął się na bok. Wszystko wyglądało tak jak zwykle. Usiedli w jadalni przy pustym stole. – Jeszcze za wcześnie na kolację. Napij się herbaty?

– Wolałbym kawę.

Weinert podszedł do aneksu kuchennego, wstawił wodę i zaczął krzątać się przy młynku do kawy.

– Co Cię do mnie sprowadza? – zapytał. – Kolejne rewelacje, które chcesz mi przekazać na wyłączność? Jeśli tak, to mam nadzieję, że tym razem są prawdziwe.

– Weźże przestań! Wcale nie wyszedłeś źle na tej całej historii. Opublikowały ją wszystkie gazety, a „Abendblatt” zrobił to dzień wcześniej.

– Masz rację. Kaczka dziennikarska, która pojawia się w każdej gazecie, przestaje nią być.

Rath rozejrzał się dookoła. Nigdzie nie widział Behnke.

– Czy mój stary pokój ma jakiegoś nowego najemcę? – zapytał.

– Nie. Jest zamknięty na cztery spusty niczym Reichsbank. Można by pomyśleć, że Behnke przechowuje w nim angielskie klejnoty koronne.

Czajnik zaczął gwizdać. Rath przyglądał się Weinertowi, kiedy ten ostrożnie wlewał wrzącą wodę do filtra.

– A gdzie nasza droga gospodyni?

– Ona? Powinna niebawem wrócić. Poszła załatwić parę sprawunków. Może zjecie razem kolację – o ile Ci wybaczyła, Ty kochasiu! Ot tak zapraszasz do siebie kobiety! Phi!

– Założę się, że u Ciebie nadal co wieczór dużo się dzieje.

– No, cóż. Człowiek się starzeje. Ale nie pozwolę, żeby jakaś gospodyni psuła mi zabawę, to na pewno.

– Tylko nie daj się przyłapać! Skutki mogą być potworne!

– Czasami wydaje mi się, że ona już dawno nabrała podejrzeń, tylko nie ma odwagi mnie wyrzucić. Może boi się, że wyląduje w „Abendblatt” jako bohaterka jakiegoś skandalu.

– W takim razie nie bała się, że zaaresztuje ją policja kryminalna.

Obaj się roześmiali. Weinert nalał kawy. Rath czuł, jak gorący napój przepływa przez jego ciało i przepędza nękające go zmęczenie.

– Czego od niej chcesz?

– Prywatna sprawa. To znaczy służbowa, ale nie taka, która powinna coś obchodzić wolną prasę.

– Wolna prasa nadal jeszcze sama o tym decyduje. – Weinert opróżnił swoją filiżankę. – Ale masz szczęście. Śpieszy mi się. Nikt nie będzie Was podsłuchiwał.

Wstał i podał mu rękę.

– Miło było znów Cię zobaczyć. Daj znać, jeśli będziesz miał ciekawe informacje.

– Jak to, chcesz mnie tu zostawić samego? Przecież ja już tu nie mieszkam!

– Ale jesteś policjantem... – Weinert się zawahał. – Owszem, zgadza się, to nieodpowiedzialne. Zamknę mój pokój na klucz.

– Obiecuję, że grzecznie poczekam tu na Behnke. A jeśli będzie kazała za długo na siebie czekać, to napiszę jej wiadomość.

Weinert wyszedł. Rath usłyszał jeszcze, jak dziennikarz zatrzaskuje drzwi do swojego pokoju, pewnie zabierał z niego kapelusz i płaszcz. Potem zamknęły się za nim ciężkie drzwi wejściowe.

Rath dolał sobie jeszcze trochę kawy i wlepił wzrok w filiżankę. Zegar na ścianie tykał głośno. Komisarz niecierpliwie bujał się na krześle. Miał ważniejsze rzeczy na głowie niż czekanie tu na swoją byłą gospodynię. Właściwie wystarczyłoby zabrać ze sobą telefon i mógłby od razu sobie pójść.

Poszedł do swojego starego pokoju i szarpnął za klamkę. Weinert miał rację. Drzwi były zamknięte.

Gdzie Behnke przechowywała klucze? Pewnie w swoich prywatnych pokojach. Wrócił do kuchni. Drzwi prowadzące do jej części mieszkania były uchylone, spostrzegł to już wcześniej.

W jej mieszkaniu czuł się jeszcze bardziej nieswojo niż w kuchni. Najpierw wylądował w sypialni, ale później znalazł właściwe pomieszczenie. Gdyby go teraz tu przyłapała, to musiałby się naprawdę gęsto tłumaczyć. Przeszukując salon, uważnie nasłuchiwał każdego szmeru, przede wszystkim przekręcania klucza w masywnych drzwiach wejściowych.

Jak dotąd Rath był tylko jeden raz w jej pokojach, około sześciu tygodni temu, gdy podpisywał umowę wynajmu. Wówczas zaprowadziła go bezpośrednio do tego przedziwnego salonu. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak całkiem normalny mieszczański pokój dzienny, taki, jaki zwykło się urządzać za czasów cesarza, ale z jednej strony znajdowało się coś na kształt straszliwej nastawy ołtarzowej, która dominowała całą ścianę. Pośrodku wisiał ogromny obraz olejny przedstawiający Helmuta Behnkego w mundurze pruskiego pod-

oficera, pod nim znajdowała się szabla z czarno-białymi chwostami, którą oddano wdowie. Wszędzie dookoła wisiały też wojenne zdjęcia Helmuta. Przy tej ścianie pamięci stał sekretarzyk, z którego wówczas wyjęła klucz do pokoju.

Rath zastygł przed tą makabryczną wystawą pamiątek. Zamiast poszukać w szufladach pęku kluczy należącego do Elisabeth Behnke, oglądał zdjęcia. Zawiesił wzrok na jednej z fotografii, która wydała mu się znajoma. Już kiedyś ją widział, w pewnym gabinecie we Friedenau. Przedstawiała świeżo upieczonych podoficerów Helmuta Behnkego oraz Brunona Woltera. Bruno Wolter, stary kamrat Behnkego, szczupły mężczyzna, z dumnym spojrzeniem spoglądający w aparat. Zdjęcie musiało wisieć w tym pokoju już podczas pierwszej wizyty Ratha, tyle że wówczas nie rzuciło mu się w oczy. Wtedy umyślnie zignorował ten ołtarz ku czci poległego żołnierza. Nie chciał pokazywać gospodyni, jak bardzo drażniła go ta makabryczna ekspozycja, więc nawet na nią nie spojrział, choć bezustannie przyciągała jego wzrok.

Wolter był też na innych fotografiach, zawsze zgodnie obok Helmuta Behnkego. Tych dwóch wydawało się naprawdę nierozłącznych, do czasu, gdy podczas ostrzału artyleryjskiego w pobliżu Soissons francuski granat oderwał młodemu podoficerowi Behnkemu obie nogi i kilka dni później mężczyzna zmarł wskutek ciężkich obrażeń. W jednym z filmów wojennych tę bitwę określili się później jako „rzeź pod Aisne”.

Rath chciał się oderwać od tych zdjęć, ale one wciągały go w przeszłość i przypominały mu wojnę. Jakże inaczej mogłoby potoczyć się jego życie, gdyby urodził się choćby kilka lat wcześniej. Jak Anno...



Wtem zobaczył twarz, której nie spodziewał się zobaczyć w tej galerii portretów. Ten widok sprawił, że wnet oprzytomniał całkowicie.

Czy to mogła być prawda?

Pięciu mężczyzn przy dziale artyleryjskim sprawiało wrażenie zmęczonych, ale spojrzenia mieli dumne i pełne wiary. Jeden kapitan i czterech gefrajtrów, zdjęcie, jakich powstawały wówczas tysiące.

Z przodu na dyszlu siedział kapitan, władczo wspierając lewą dłoń na wyciorze. Alfred Seegers. Po lewej stronie o działo opierał się gefrajter Rudolf Scheer, tuż za kapitanem widoczni byli Behnke i Wolter.

Z kolei po prawej stronie obok Woltera stał żołnierz, którego zarost przypominał Rathowi jedno z policyjnych zdjęć. Mężczyzna z fotografii był parę lat młodszy, a jego wąsisko starannie podkreślone na końcach do góry na wilhelmińską modłę, ale to był on, bez żadnych wątpliwości. To Josef Wilczek!

Święty Józef!

Oprych z Beroliny należał do dawnych towarzyszy Brunona Woltera!

Był piątek wieczór, a mimo to w Venuskeller udało się dostać wolny stolik, i to bez konieczności przekupywania kelnera. Nic w tym dziwnego, dochodziła dopiero dziesiąta, hulacy zjawiali się tu później. Zespół muzyczny już teraz dawał z siebie wszystko, a pierwsi goście próbowali dostosować swoje rozmowy do głośności muzyki. Tym razem, zamiast pokazu z udziałem Indian, Rath mógł podziwiać przedstawienie, w którym brały udział kobiety z haremu: dwie nieco zbyt pulchne panie w pastelowych, półprzezroczystych chustach, które rozbierały się nawzajem. Niezbyt to erotyczne, ale ostrzejsze występy odkładano pewnie na późniejsze godziny.

Rath nie przypuszczał, że z własnej woli pojawi się w tym miejscu raz jeszcze. A jednak siedział tu i walczył ze zmęczeniem. Hałas rozmywał się w jego uszach i stawał się ciągnącym, usypiającym szumem. Kiedy kelner podszedł do jego stolika, komisarz nie zamówił niczego.

– Muszę się zobaczyć z doktorem M.

– Przykro mi, nie wiem, o jakim doktorze pan mówi. Czy przynieść panu coś do picia?

Chwycił go za kołnierz. Paru gości rozejrzało się wokoło.

– Posłuchaj, mój przyjacielu, jeśli trzęsiesz portkami, bo ktoś zapytał Cię o wielkiego doktora, to sprowadź mi tu Sebalda, żeby mógł podjąć tę decyzję za Ciebie. Tylko zrób coś. Wierz mi, doktor M. chce się ze mną zobaczyć! I bynajmniej *nie* ma ochoty, żebym się tu czegoś napił.

– Oczywiście, proszę pana. – Kelner, niemal niewzruszony, zniknął z tacą w ręku. Rath spojrzął za nim i zapalił papierosa. Mężczyzna nie podszedł do baru, lecz otworzył niepozorne drzwi znajdujące się tuż przy parkiecie, na którym podrygiwało kilka par. No, proszę!

Jak to się działo, że z każdą nową informacją w tej sprawie miał wrażenie, że rozumie jeszcze mniej niż wcześniej? Po każdej wiadomości przychodziło otrzeźwienie. Jak na przykład to, że Josef Wilczek był w zмовie z Brunonem Wolterem – ta wiadomość przyniosła więcej nowych pytań niż odpowiedzi.

Odkrycie, którego dokonał przy Nürbnerger Strasse, sprawiało, że jego ciało wciąż pompowało do krwioobiegu kolejne rzuty adrenalin. Czuł się jak chemik, który odkrył nowy pierwiastek, ale nie potrafił go jeszcze sensownie umiejscowić w układzie okresowym.

Stał przed fotografią jak w transie. Wzrok miał nieruchomy, choć myśli w jego głowie pędziły.

Na ulicy zatrąbiło jakieś auto, niemal pod samym oknem, i dopiero ten dźwięk sprowadził go na powrót do terażniejszości i przypominał mu, dlaczego w ogóle tam poszedł. Otworzył szufladę i wyciągnął pęk kluczy. Kolejno wypróbował każdy z nich, aż w końcu otworzył drzwi do swojego starego pokoju. Pomieszczenie wyglądało tak jak zwykle, tyle że łóżko nie było pościelone. Jednym ruchem wyrwał kabel telefoniczny ze ściany.

Odłożył klucze i po prostu zdjął fotografię ze ściany.

Zanim odstawił opła do Zamku, wybrał się jeszcze na Potsdamer Bahnhof. Nie przyszło mu do głowy nic lepszego niż od razu dołożyć zdjęcie i telefon do pistoletu i notatnika leżących w skrytce. Jej zawartość coraz bardziej przypominała gabinet osobliwości.

Czy którakolwiek z tych rzeczy kiedykolwiek nada się jako dowód w sądzie?

Odprowadził wóz, lecz z daleka omijał biuro Gennata. Eriki Voss nie było już w pracy, kiedy Rath po raz kolejny rozkładał w swoim gabinecie akta Wilczka. Przeszło mu przez myśl, że wygląda to tak, jakby unikał swojej sekretarki. Może tak właśnie było. Przeglądał teczkę z materiałami, które sam zgromadził. Interesowały go przede wszystkim starsze sprawy, które przepisano z kartoteki przestępców, poprzednie kary Wilczka. Rath zanotował daty i wyciągnął akta starych postępowań. Czyżby Bruno Wolter miał kiedyś służbowo do czynienia ze Świętym Józefem? Niestety, cały trud na marne. Nie znalazł niczego, żadnego zatrzymania, zupełnie nic, choćby wcześniejszego zwolnienia z aresztu policyjnego czy specjalnego trybu, jak w przypadku Selenskiego czy Fallina. I chociaż Rath miał pewność, że Wilczek pracował jako wtyka dla swojego starego towarzysza broni Woltera, to takich rzeczy oczywiście nigdy w dokumentach nie umieszczano.

Mieszkanie Fallina przy Yorckstrasse mieściło się nieopodal Excelsiora, więc zanim Rath wrócił do pokoju odświeżyć się przed wieczornym wyjściem, wybrał się jeszcze na krótki spacer. Kiedy nikt nie zareagował na dzwonek do drzwi, wyłamał zamek i wszedł do środka. Nie miał za wiele czasu, żeby przyjrzeć się mieszkaniu, ale przynajmniej ten Rosjanin nie leżał martwy w swojej wannie. Rath opuścił więc mieszkanie, nim zaistniało ryzyko, że zostanie przyłapany. Nie ma sensu podejrzewać najgorszego. Może Fallin tylko się ukrywał, ponieważ dowiedział się o śmierci swego towarzysza.

– Dowiedziałem się już od Benno, że nie ma pan przy sobie broni, panie komisarzu. Mam nadzieję, że tym razem nie zażywał pan kokainy!

Głos sprawił, że Rath znów powrócił do Venuskeller. Łysina Sebalda błyszczała nad lśniącym blatem stołu niczym księżyc nad jeziorem Wannsee.

– Niech mnie pan zaprowadzi do szefa, potem będzie pan mógł znów zabawiać się z tancerkami – oznajmił Rath. – I może powinien też się pan zastanowić nad repertuarem scenicznym. Te orientalne tańce byłyby zniewagą nawet dla lokalu działającego legalnie.

– Z panem Marlowem niech pan lepiej rozmawia innym tonem – odrzekł Sebald.

Nie musieli nawet przechodzić przez ulicę. Marlow rozgościł się w sali na tyłach Venuskeller. Siedział przy biurku Sebalda, a w ciemnych zakątkach pomieszczenia kręciło się kilka postaci, wszystkie w wieczorowych strojach. Za fotelem Marlowa stał Liang.

– Dobry wieczór, panie komisarzu – powitał go król przestępców, równie uprzejmie jak na początku ich pierwszego spotkania. – Proszę wybaczyć, że kazałem panu czekać. Proszę nie myśleć sobie, że pańska obecność nam umknęła. Jednak najpierw chciałem sprawdzić, czy trzyma się pan naszej umowy...

– Jakiej umowy?

– Żeby nie odwiedzał pan Venuskeller dla własnej przyjemności. – Marlow zaciągnął się cygarem. – Niech mi pan wierzy, wiem, jakie to trudne. A po drugie...

Jak na zawołanie otworzyły się boczne drzwi. Do środka weszła naga dziewczyna, zapaliła papierosa zapalniczką leżącą na biurku Sebalda i zniknęła bez słowa, tak samo, jak się pojawiła. Rath rozpoznał dobrze zbudowaną aktorkę z występu o Indianach. Znajdujący się w pomieszczeniu mężczyźni spoglądali za nią lubieżnie. Wszyscy poza Marlowem i Chińczykiem.

– ...po drugie miałem dużo pracy – dokończył Marlow. Teraz i on się uśmiechnął, lecz jego uśmiech zdawał się niemal uprzejmy.

– Cierpliwość jest jedną z moich największych cnót – powiedział Rath. – Jest potrzebna w moim zawodzie. Tak samo jak wytrzymałość.

– Oby zatem i tę cechę pan posiadał.

– W przeciwnym razie nie siedziałbym tu teraz i nie zawracał panu głowy.

– A nie zawraca jej pan?

– Mam taką nadzieję.

– A *ja* mam nadzieję, że tym razem ma mi pan więcej do zaoferowania niż podczas naszego poprzedniego spotkania.

– Może się pan przekonać. Ale będę z panem rozmawiał tylko w cztery oczy.

Marlow się zaśmiał.

– Nie sądzę, żeby to było miejsce, w którym to *pan* stawia warunki. Poza tym można ze mną porozmawiać tylko w sześcioro oczu, w zasadzie powinien pan to już wiedzieć. – Jego lewa ręka ospale uniosła się w powietrzu, jakby przepędzała muchę. – Sebald, niech pan i pańscy ludzie wybiorą się na krótki spacer, towarzystwo Lianga mi wystarczy, żeby adekwatnie podjąć naszego przyjaciela.

Wypowiedział te słowa bardzo uprzejmie, ale zabrzmiały jak groźba. Sebald wraz z czterema mężczyznami opuścił pomieszczenie. Zostało tylko ich trzech.

Marlow bez ogródek przeszedł do rzeczy.

– Ostatnio można co nieco poczytać o panu w gazetach, panie komisarzu – powiedział. – Prowadzi pan dochodzenia w sprawie morderstw? Mylę się, czy jak dotąd bez szczególnych efektów?

– Powiedziałem panu już przecież, że jestem cierpliwy. Na sukcesy też trzeba umieć poczekać. Na przykład na moment, w którym pod eskortą dwóch szupo będzie pan wsiadał do policyjnego wozu.

Głos Marlowa nagle się zmienił, a atmosfera zrobiła się lodowata.

– Jest pan dość odważny, drogi panie komisarzu. Radzę panu, by dobrze się pan zastanowił nad tym, na ile odwagi może sobie pan pozwolić w tym pomieszczeniu.

– Czy to ma być groźba? Nie odważyłby się pan zabić także mnie!

– *Także?* Co to ma w ogóle znaczyć? – Marlow uniósł brwi. – Nie wiem, jakie ma pan wyobrażenie o mojej działalności, panie komisarzu, ale nikogo nie zabiłem.

– W takim razie zlecił pan zabójstwo. Niech pan nie owija w bawełnę. Jaką rolę odgrywa *pan* w tej grze? Ile ludzi ma pan na *swoim* koncie?

Marlow strząsnął popiół z cygara.

– Niech się pan nie zagalopuje, drogi panie Rath. Jeśli mamy mówić prosto z mostu, to powinniśmy zacząć od *pana*. Jak dotąd zawsze otwarcie i szczerze z panem rozmawiałem, z kolei *pan* chciał mi wmówić, że stara się znaleźć złoto Sorokinów. To było wierutne kłamstwo. A więc w jaką grę gra *pan*?

– Szukam mordercy.

– To powinien pan, do cholery, poszukać gdzie indziej, panie komisarzu!

Marlow tak gwałtownie uderzył pięścią w stół, że Rath się wzdrygnął.

– Po tym, gdy poprzednim razem pojawił się pan w Venuskeller, miałem nadzieję, że doszedł pan do przekonania, że nasza współpraca jest też w pańskim interesie. A teraz znów zgrywa pan twardzieła!

– Zawsze pan podkreśla, jak pan lubi współpracę ze mną. I ja miałbym w to uwierzyć? Po naszej ostatniej rozmowie chciał mnie pan sprzątnąć!

– Skąd to panu przyszedł do głowy tak absurdalny pomysł? Niech mi pan wierzy, komisarzy, gdybym naprawdę tego chciał, tobyśmy tu teraz nie siedzieli!

Marlow sprawiał wrażenie szczerze oburzonego.

– A co miałyby mi przynieść współpraca z panem? – zapytał Rath po krótkim zastanowieniu.

– W końcu mówi pan rozsądnie! – Głos Marlowa znów brzmiał ciepło i uprzejmie, tak jak na początku ich rozmowy. – Oferuję panu całkiem prosty układ. Ja pomagam panu zaarrestować morderców, a pan pomaga mi zdobyć złoto.

– To zadziała jedynie wtedy, jeśli i pan powie mi wszystko, co wie. Niech mi pan wreszcie zdradzi, jaką rolę odgrywa pan w tej sprawie!

Marlow uśmiechnął się w taki sposób, który bardziej wzbudził strach niż zaufanie.

– Oczywiście – odparł. – Ale wcześniej jeszcze dwie rzeczy. Po pierwsze, jeśli złoto zostanie odnalezione, to powierzy pan je firmie Marlow Importe, a policja nie będzie robić żadnych problemów.

– O ile zagwarantuje mi pan pełną swobodę w ściganiu morderców. Nawet jeśli jednym z nich miałby okazać się ktoś z Beroliny.

– Jeśli pan chce, może pan nawet otrzymać wsparcie.

– Lepiej, żeby sprawy nie posunęły się aż tak daleko – uznał Rath.  
– A drugi punkt?

– Musi pan zdawać sobie sprawę z tego, że nie może pan wykorzystać przed sądem ani jednego zdania z tego, co panu już powiedziałem i powiem teraz.



Rath przez chwilę się zastanowił.

– Dobrze – zakomunikował. – A więc kto zaczyna?

– Ja już tyle panu powiedziałem, panie komisarzu. Teraz pańska kolej.

Zanim Rath zaczął, wyciągnął papierosa z paczki i go zapalił.

– Wie pan, że jeden z pańskich ludzi pracuje dla policji? – zapytał i ruchem ręki zgasił zapałkę. – A raczej: pracował?

Marlow uniósł brwi, zaskoczony

– Mam nadzieję, że poda mi pan nazwisko.

– Josef Wilczek.

– Święty Józef! – Nad stołem uniosła się chmura dymu, którą wydmuchnął Marlow. – Że też właśnie on! Beze mnie ten szcur już dziesięć lat temu zdechłby żalosną śmiercią.

– Uratował mu pan życie?

– Wyciągnąłem kulę z jego pieprzonego brzuszyska. Był jednym z tych, którzy w 1919 nie potrafili darować sobie zabawy w wojnę.

– A więc pan naprawdę jest doktorem?

– Ujmijmy to lepiej w ten sposób: posiadam pewne medyczne umiejętności.

– Wilczek był wówczas we freikorpsie?

– W czymś na kształt. W każdym razie była to uzbrojona grupa, nosiła szarozielone stroje i karabiny.

– Dawny żołnierz frontowy, który nie potrafił odpuścić. To by się zgadzało z moimi dotychczasowymi ustaleniami. Wilczek wspierał też jednego ze swoich dawnych towarzyszy broni w prezydium policji. Brunona Woltera, nadkomisarza w obyczajówce.

– No, proszę! Pański poprzedni szef?

Rath się zdumiał.

– Jest pan dobrze poinformowany.

– Przeważnie to w policji pracuje dla mnie parę osób, a nie na odwrót. Po tym, jak dwa tygodnie temu zwałił mi się pan na głowę, oczywiście wybadałem nieco sprawę. – Marlow dał znak Chińczykowi, a Liang rozlał whisky do dwóch szklanek. Rath powąchał zawartość swojej i pokiwał głową z uznaniem.

– Ze Szkocji – powiedział Marlow. – Lepsza niż siwucha, którą serwuje Sebald. – Ruchem głowy wskazał na drzwi, które prowadziły do Venuskeller. W pomieszczeniu nie było słyhać prawie żadnych odgłosów z knajpy. – No, dobrze – powiedział i uniósł szklankę – wznieśmy toast.

Napili się.

– Podejrzewałem, że policja jest w to wplątana – przyznał wreszcie Marlow. – Zacząłem to podejrzewać po osobliwej śmierci Wilczka. Przeczynałem, że sprawa jest podejrzana, że jakiś glina ma go na sumieniu. A im nie przychodzi do głowy nic lepszego niż denerwować Berolinę.

– Ja nadal wychodzę z założenia, że padł ofiarą strzelaniny podczas porachunków przestępczych.

– Brednia. Świętego Józefa wyeliminowano. Pewnie zrobił to jego zleceniodawca, Wolter!

Rath nic nie odpowiedział. Niech doktor M. w to wierzy.

– Jednak dziwi mnie, że to właśnie policjant z obyczajówki – ciągnął Marlow. – Co on chce zrobić ze złotem? Otworzyć burdel wielki jak Reichstag? – Zgasił cygaro. – Tu chodzi przecież o politykę i o handel bronią. W jaki sposób funkcjonariusz obyczajówki miałby wejść w posiadanie broni?

Z pomocą towarzysza broni z czasów wojny, Rudiego Scheera, pomyślał Rath. Scheer kierował zbrojownią berlińskiej policji, to dało mu wystarczająco dużo możliwości zakupu większej ilości

sztuk broni, niż potrzeba, i upłynnienia jej podejrzanymi kanałami. A może nawet przywłaszczenia tego czy innego karabinu z policyjnych zasobów. Czy właśnie dlatego IA nasłuchiwała Jänickego na Woltera? W takim razie Rudi Scheer też znajdował się pod obserwacją. Jänicke jednak wpadł, a Wolter z pewnością już dawno temu ostrzegł swego starego kompana Rudiego. Tych dwóch nie będzie chciało już prowokować IA. Pozostawał jeszcze związek z armią i major generalny Seegers, który tyle wiedział o złocie Sorokinów. Bruno Wolter miał cholernie dobre warunki, żeby handlować bronią, nawet jako policjant obyczajówki.

Jednak to wszystko nie było sprawą Marlowa. Rath postanowił, że zastosuje zasłonę dymną.

– Może w ogóle nie chodzi o broń – powiedział.

– Chodzi o broń, może być pan tego pewny! Za to złoto Kardakow chciał kupić broń i ktoś mu w tym przeszkodził. Ale to była tylko pierwsza część zadania. Druga to: wejść w posiadanie złota i wyposażać w nie własne oddziały. Dotyczy to zarówno ludzi Stalina, jak i tych z czarnej sotni. Zastanawiam się tylko, co wspólnego ma z tym funkcjonariusz obyczajówki.

– Ludzi Stalina?

– Pamięta pan tę historię zaginionego pracownika sowieckiej ambasady? W zeszłym tygodniu obiegnęła wszystkie gazety.

Rath pamiętał. Sowiecka ambasada mieszcząca się przy Unter den Linden wysłała notę protestacyjną do prezydenta Rzeszy, w której zawarła podejrzenie, że występku dopuściły się siły kontrrewolucyjne. Typowe dla Sowietów: przy każdej okazji zarzucali względy ideologiczne. Zörgiebel wzbraniał się przed nadaniem sprawie wyższego priorytetu niż sprawom pozostałych zaginionych.

– Ten mężczyzna był czekistą, tajnym agentem sowieckiego wywiadu – kontynuował Marlow. – Chciał odzyskać te pieniądze i sprawić, by wróciły do ojczyzny robotników. Niezbyt mu się ten plan powiódł.

– *Nie powiódł się?*

– Obawiam się, że już nie ujrzy matuli Rosji.

– Czy pan...? To znaczy, pańscy ludzie...?

– Nie. Obstawiam, że konkurencja się o to zatroszczyła. Wiem tylko, że wypadł z gry, jego pomocnicy z lokalnego Związku Bojowników również. Ludzie Thälmana tak lubią wchodzić w tyłek Stalinowi, no to mają za swoje. Dobrze, że nam się już nie wchrzaniają.

– A Czerwona Twierdza? – zapytał Rath.

– Słucham?

– Nadal pracuje pan dla stowarzyszenia Kardakowa czy on też się panu wchrzania?

– Dla nikogo nie pracuję. Miałem biznesową umowę z Aleksiejem Kardakowem, ale on już nie żyje. – Marlow wziął łyk whisky. – Ale uważam, że już dość panu opowiedziałem. Teraz pańska kolej.

– Mogę podać panu dwa kolejne nazwiska. – Rath się nie śpieszył, powoli gasił papierosa, żeby jeszcze trochę potrzymać Marlowa w niepewności. – Witalij Selenski i Nikita Fallin.

– Jeszcze więcej Rosjan? Co z nimi?

– To dwóch wysoko postawionych dupków, którzy uprzednio pracowali w tajnej policji cara. To oni zainscenizowali wczoraj to przedstawienie z ciałem Kardakowa. A skoro wrzucili go do grobu, to najprawdopodobniej go też zabili i...

– Czarnoseciniec! – wymsknęło się Marlowowi.

– Słucham? – Rath jeszcze nigdy nie słyszał tego określenia.

– Nie zna pan? Nic dziwnego. – Marlow się zaśmiał. – Też zetknąłem się z nim dopiero wtedy, kiedy Aleksiej Kardakow udzielił mi korepetycji z zagadnień politycznych. Trzeba przecież wiedzieć, na kogo można się natknąć podczas takiej akcji. A czasomistrzy Kardakow bał się bardziej niż czekistów Stalina.

– Może słusznie, jeśli wziąć pod uwagę jego aktualną sytuację. Co to za ugrupowanie?

– Carscy terroryści, jeśli pan woli. Parszywe dranie. Powiedzmy, że są czymś takim jak SA, tyle że w Rosji. Jednak w porównaniu z nimi SA sprawia wrażenie gromadki pocziwych harcerzy. Kardakow wiedział, że oni też mieli chrapkę na to złoto.

– Wydawało mi się, że tych dwóch Rosjan pracuje raczej dla „Nordpiraten”.

– Niech pan już skończy z tym klubem sutenerów. Ci kretyni nie wiedzą o złocie absolutnie nic.

– Ale oni toczą wojnę z Beroliną, a przy ciele Kardakowa znajdował się nie tylko komplet dokumentów. Miał też przypinkę Beroliny. Wyglądało to tak, jakby ktoś chciał narobić Berolinie kłopotów.

– Chyba mu się udało. Pańscy ludzie znów naprzykrzają się Czerwonemu Hugonowi. Biedaczysko. Ma teraz pewnie zszargane nerwy.

– Marlow dał Chińczykowi znak i ten znów dołał whisky. – Niech pan mi wierzy, panie komisarzu, jeśli Fallin i Selenski mają coś wspólnego ze śmiercią Kardakowa, to należą do czarnej sotni. Sposób, w jaki Kardakow i ten drugi nieborak...

– Borys.

– ...to, jakim torturom ich poddano, brutalnym i zarazem perfidnym, to całkowicie jak wizytówka czarnej sotni.

Rath zaciągnął się papierosem i zastanowił się przez chwilę. To, co przed chwilą powiedział Marlow, mogło mieć sens. Byli funkcjo-

nariusze tajnej policji, którzy nie potrafili przepuścić żadnej okazji i ciągle posiadali wiedzę, jak skutecznie zadać ból drugiemu człowiekowi.

– No a dalej? – Marlow zaczynał się niecierpliwić. – Co jeszcze pan wie?

– Niewiele – odparł Rath. – Selenski nie żyje.

– Został zamordowany?

– Prawdopodobnie.

– Przez kogo?

– Dobre pytanie. Możliwości jest kilka. Może zginął z rąk jakiegoś konkurenta w kwestii złota Sorokinów, może zabił go wspólnik, bo wpadł w tarapaty i stanowił zagrożenie dla bezpieczeństwa, a może był to też najzwyklejszy akt zemsty.

– To przekłete złoto pozbawiło życia tylu ludzi, a nikogo jeszcze nie uczyniło bogatym – powiedział Marlow.

Rath przytaknął. Najwyraźniej o złocie wiedziało całe mnóstwo osób. Marlow i jego ludzie, towarzysze broni Woltera i ich wtyka Wilczek, komuniści, czarnosecińcy, hrabina Sorokinowa i pozbawiona przywódcy Czerwona Twierdza. Nic dziwnego, że wszyscy wchodzili sobie w paradę.

– A co z Fallinem? – zapytał Marlow.

Rath wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. W każdym razie jego ciało się jeszcze nie odnalazło.

– Miejmy zatem nadzieję, że jeszcze żyje. Jeśli faktycznie przycisnął Kardakowa, to powinien przecież wiedzieć najlepiej, gdzie ukryto złoto.

– W takim razie dlaczego już dawno go nie zagrabił?

– Bo jest pilnie strzeżone.

- Przez kogo?
- Przez moich ludzi.
- Co to ma znaczyć? Mówi mi pan, że nie wie, gdzie jest złoto, a jednocześnie każe go pilnować? Musi mi pan to chyba wyjaśnić!
- Najlepiej będzie, jeśli pójdzie pan ze mną! Pokażę panu.

Parę minut później trzech mężczyzn pośród ciemności przedostało się przez torowiska. Przeszli przez biuro Marlowa mieszczące się przy Rüdersdorfer Strasse – przebudowaną halę nieczynnego dworca Ostbahnhof – i wylądowali na dworcu towarowym Pruskiej Kolei Wschodniej. W przeciwieństwie do dworca osobowego ten nadal działał.

Zatrzymali się przy jednej z hal. W słabym świetle lamp elektrycznych dało się dostrzec na ścianie napis *Marlow Importe GmbH*. Gdy weszli na rampę załadunkową, z mroku hali wyłonił się cień. Mężczyzna ewidentnie miał pod płaszczem pistolet maszynowy.

– Wszystko w porządku, to my, Fred – zawołał Marlow i uniósł rękę.

– Dobry wieczór, szefie. Nic się nie dzieje – odpowiedział Fred.

Z hali wyszedł jeszcze jeden mężczyzna, a dwóch kolejnych zeskończyło z wagonów stojących na torach przy rampie. Wszyscy trzej mieli przy sobie broń.

– W porządku – uspokoił ich Fred – wracajcie na swoje stanowiska.

Mężczyźni znów zniknęli pośród ciemności. Rath śledził ich wzrokiem.

Na torze postojowym stały cztery cysterny. Wieloletnia sadza za-barwiła na szaro biały lakier pękających zbiorników, a z kolei logo *Ve-*

*reinigte Ölmühlen Insterburg* – „Zrzeszenie Przedsiębiorstw Olejarskich Insterburg” – na brudny czerwony.

– Olej rzepakowy? – zapytał Rath. – Posiada pan również fabrykę margaryny?

Marlow uśmiechnął się szeroko.

– Margaryna z tego ładunku byłaby ciężkostrawna. W trzech zbiornikach znajduje się kwas solny, w jednym kwas azotowy, każdy wagon ma sto pięćdziesiąt hektolitrów.

– A gdzie jest złoto?

– Oto jest pytanie – powiedział Marlow. – Te wagony stanowiły część pociągu towarowego, który cztery tygodnie temu obrał kurs na Berlin. Właśnie tym pociągiem Kardakow chciał wywieźć złoto ze Związku Radzieckiego.

– Ale przecież te wagony są z Prus Wschodnich.

– Wagony owszem, ale nie ładunek. Rosyjskie wagony towarowe są przeładowywane na granicy. Rosyjska kolej ma inny rozstaw szyn, blisko dziesięć centymetrów szerszy niż my.

– Dlaczego Kardakow wybrał do przemytu właśnie pociąg? Nie będzie pan mógł przecież podmienić wagonów. W jaki sposób chciał przewieźć przez granicę tyle złota?

– Właśnie to samo pytanie zadajemy sobie od czterech tygodni. Owego wieczora Kardakow i hrabina wbrew ustaleniom nie pojawili się na dworcu, gdy przyjechał pociąg.

– Zamiast nich przyszedł Borys.

– Zgadza się. Był konduktorem, a także łącznikiem Kardakowa.

– Pewnie coś panu powiedział.

– Dobrze by było. Nie potrafił powiedzieć ani słowa po niemiecku. Poza tym nabrał podejrzeń, gdy nie zastał tu żadnego krajana, a jedynie moich ludzi. Próbowaliśmy go uspokoić, ale dostał nagłego



ataku paniki i rzucił się do ucieczki przez tory. Kolejny raz zobaczyłem go na zdjęciu w „Abendblatt”.

Rath zastanowił się przez chwilę.

– Może Kardakow po prostu wywiódł pana w pole – zakomunikował. – Podstawił panu pociąg z chemikaliami, a sam chciał zwać ze złotem.

– Nie wydaje mi się. Beze mnie za wiele nie zdziałałby z tym złotem.

Marlow odpalił cygaro i dał Fredowi znak, żeby ten wrócił na swoje stanowisko.

– A tak w ogóle – kontynuował, zaciągając się dymem – wie pan, co można wyprodukować przez zmieszanie kwasu solnego i kwasu azotowego w stosunku trzy do jednego?

– Nie jestem chemikiem.

– Aqua regis.

– Pierwsze słyszę. Co to takiego?

– Woda królewska. Silnie żrący roztwór, w którym rozpuszcza się nawet złoto.

– Co to oznacza? Czy złoto jest zatem w tym kwasie?

– No właśnie nie. Mamy tu w wagonach tylko kwas solny i azotowy. Żaden z tych kwasów sam nie rozpuści złota, dopiero ich roztwór jest w stanie to zrobić. Złoto musi być gdzieś indziej.

– Nie ma go w wagonach?

– Nie, sprawdziliśmy każdy milimetr, który wchodziłby w grę jako potencjalna kryjówka. Choć w zasadzie jasne było, że niczego nie znajdziemy.

– Jak to?

– W jaki sposób złoto miałoby niepostrzeżenie zmienić kryjówkę podczas przeładunku w Prusach Wschodnich? To w zasadzie niewy-

konalne. No, chyba że przekupi pan wszystkich funkcjonariuszy służby granicznej oraz pracowników dworca i podmieni nie tylko rosyjskie, ale również niemieckie cysterny. Niech pan nie zapomina, że mówimy tu o potężnej ilości, paru *tonach* złota.

– Może dostarczą je dopiero w kolejnej dostawie? Będzie ukryte w jakimś niepozornym ładunku, pośród złomu. I dzięki wodzie królewskiej będzie mógł je pan wyekstrahować.

– Sam też wysnułem takie przypuszczenie. Tyle że nigdy nie było mowy o żadnej drugiej dostawie. Rozmawiałem z Kardakowem wyłącznie o tym transporcie. On przygotował wszystkie papiery, ja je podpisałem. Potrzebował kogoś niebudzącego podejrzeń, kto złoży zamówienie na dostawę w kombinacie chemicznym w Leningradzie.

A więc Marlow zgrywał poważnego przedsiębiorcę, żeby czerwoni nie nabrali podejrzeń.

– I udało się?

– Miałem tu gościa z sowieckiej ambasady, tego Troszyna, którego teraz szukają. I tyle. Od tamtej pory wiem, że Czeka została zaalarmowana. Pokazałem mu dostawę i zaprezentowałem, co można wytrawić za pomocą kwasu solnego oraz azotowego. A ten się ulotnił.

– Pewnie się ucieszył, że pańscy ludzie *jemu* niczego nie wytrawili.

– Być może.

– Jednej rzeczy nie wiem, panie Marlow – powiedział Rath, zamyślony. – Jeśli dobrze rozumiem, to miał pan na zlecenie Kardakowa zamienić złoto na gotówkę. Dlaczego zatem błądzi pan po omacku, jak wszyscy pozostali?

– Nikt nie został wtajemniczony w tę sprawę całkowicie. Tylko Kardakow i hrabina wiedzieli, w jaki sposób odbyć się ma cały ten przemyt.

– Skoro poddawano go torturom, to na pewno zdradził tajemnicę.  
– Nie zrobił tego, ponieważ i on znał jedynie jej połowę. Tylko hrabina wiedziała, jak przebiegać ma przemyt, co do najdrobniejszego szczegółu. Znała również środki ostrożności. To wszystko działało tylko dzięki ich współpracy.

– Ładna mi współpraca! Kardakow nie żyje, a jeśli hrabina skończyła podobnie, to zabrała swoją tajemnicę do grobu.

– Nie, jeśli papiery się odnajdą.

Papiery! Rath przypomniał sobie wizytę u Treczkowa. Znał jeden z tych dokumentów i wiedział też, gdzie się teraz znajdował. Ale nie zdradził się z tym.

– Jakie papiery? – zapytał ostrożnie.

– Coś w rodzaju planu. Kardakow i jego hrabina schowali gdzieś plany, które kryją tajemnicę. Są to dwa cienkie dokumenty, które składają się w logiczną całość, kiedy położy się jeden na drugim i przytrzyma pod światło.

Rath zagwizdał cicho.

– Jeśli to naprawdę ludzie z czarnej sotni torturowali Kardakowa, to mogli też przechwycić te dokumenty.

– A więc zrobił to Fallin!

Rath wzruszył ramionami.

– Być może. Albo morderca Selenskiego.

– Podejrzewam, że to jedna i ta sama osoba.

Północ dawno już minęła, kiedy Rath spojrział w lustro wiszące w pokoju hotelowym i ledwie rozpoznał mężczyznę, którego w nim zobaczył. Obmył twarz zimną wodą.

W pewnym momencie, gdy znajdowali się już na Ostbahnhof, ogarnęło go zmęczenie. Kiedy opuścili chłodne tereny kolejowe i po-

szli do biura Marlowa, gdzie nadal wisiał zaduch, Rath usiadł w wygodnym fotelu, który znał już ze swojej pierwszej wizyty, a oczy same mu się zamykały.

Marlow to spostrzegł. Sięgnął do biurka i pomachał papierową torebką.

– Panie komisarzu, podczas naszego ostatniego spotkania sprawiał pan wrażenie pobudzonego. Czy to było przyczyną?

Rath początkowo się zirytował, ale następnie Marlow rzucił mu torebkę, a on włożył ją do kieszeni. Niczego nie brał, przynajmniej tyle dobrego. Pomyślał sobie jednak, że w ciągu najbliższych dni przydałby mu się jakiś mały pobudzacz. Miał jeszcze tyle spraw do załatwienia, a na sen nie pozostawało dużo czasu.

Choć nie spędził u Marlowa dużo czasu, to zrobiło się późno. Przynajmniej tym razem udało mu się złapać taksówkę przy Küstner Platz. Kierowca spojrzął na niego, jakby zobaczył zjawę. Światła w „Plazie” już wygaszono, taksówkarz się spóźnił i nie zdołał pozbierać ostatnich widzów varieté. Kiedy Rath mu przeszkodził, kierowca właśnie jadł kanapkę.

Nic dziwnego, że wziął Cię za ducha, pomyślał Rath, gdy wreszcie spojrzął w lustro i zobaczył zimną wodę skapującą z twarzy. Wytarł ją ręcznikiem do sucha i położył się do łóżka. Myśli pędziły po jego głowie w dzikim chaosie, bez ładu i składu.

Bruno Wolter i Josef Wilczek – piekielne przymierze. Handlarze bronią – Rathowi nietrudno było sobie to wyobrazić, z uwagi na rozliczne kontakty Brunona z kolegami z dawnych czasów. Czyżby i oni poszukiwali złota? Jeśli tak, to policjant z obyczajówki i drobny złodziejasek od początku nie mieli żadnych szans. Nawet gdyby Wilczek nie zginął, to Wolter nigdy nie pokonałby konkurencji, na którą składały się tajne służby, masa zawodowych przestępców i tajne sto-

warzyszenia polityczne. No, chyba że miał jeszcze innych sojuszników, kolejne czarne owce w policji i armii. Jednak w biegu po złoto to inni mieli teraz przewagę. Nie była to jednak właścicielka hrabina Sorokinowa, zastraszone Czerwone Twierdza czy Marlow, który posiadał jedynie kilka wagonów pełnych kwasu i nie wiedział, co z nimi począć. Dwóch mężczyzn było bliżej przechwycenia złota niż wszyscy pozostali. Jednym z nich był Rosjanin z blizną na twarzy, Nikita Fallin, a drugim – pruski funkcjonariusz policji kryminalnej Gereon Rath. Hrabina straciła swój dokument i nawet gdyby wpadła w ręce Fallina, to mężczyźnie z blizną na nic by się to nie zdało. Rath to wiedział, jednak nie uwolnił Marlowa od jego największego zmartwienia – tego, że czarnosecińcy mogą zdobyć również dokument hrabiny i odnaleźć kryjówkę ze złotem.

Wiedza to potęga.

Wlepił wzrok w sufit, jakby właśnie gdzieś na nim znajdowało się rozwiązanie zagadki. Z ulicy dochodziły go pierwsze dźwięki budzącego się miasta, a on nadal leżał i nie mógł zasnąć, choć nawet nie tknął torebki z kokainą. Leżała na nocnym stoliku, schowana pomiędzy stronami Biblii. Tak na wszelki wypadek.

Powinienem być raczej poprosić Marlowa o środek nasenny, pomyślał Rath.

I wtedy w końcu jego powieki się zamknęły.

Kiedy obudził go dzwonek telefonu, nie czuł się wyspany.

Usłyszał uprzejmy głos recepcjonisty.

– Dzień dobry, panie Rath. Pobudka. Jest dokładnie szósta trzydzieści.

Ołowiane zmęczenie zniknęło od razu, gdy tylko wrócił myślami do poprzedniego dnia. Adrenalina wystrzeliła do krwi. Nie potrzebo-

wał do tego kokainy, nie potrzebował nawet zimnego prysznica.

Jeszcze nie było siódmej, kiedy schodził już w dół Möckernstrasse. Powyginane ogrodzenie przy brzegu kanału Landwehr wymieniono już na nowe. Świeżo polakierowany metal nieskazitelnie błyszczał w porannym słońcu. O wypadku przypominał jedynie pień drzewa odrapany z kory. Rath poszedł dalej, zamyślony.

Przy Yorckstrasse już z daleka rzucił mu się w oczy zielony opel. Najwyraźniej Gennat zasięgnął informacji o Selenskim i polecił obserwować mieszkanie Fallina. Czy na liście podejrzanych o morderstwo Budda umieścił również najbliższego przyjaciela zmarłego?

Nie ulegało wątpliwości, że w wozie siedzieli Flip i Flap, Rath wiedział to, mimo że nie widział ich twarzy. Sekretarz kryminalny uciął sobie drzemkę, jego głowa wisiała nad kierownicą. Rath nie do końca widział, co robił asystent kryminalny Henning. Trzymał się martwego pola, nim nie dotarł do samochodu.

– Dzień dobry, panowie – przywitał ich Rath i stuknął dłonią w zielony blaszany dach. Henning szybko się odwrócił i spojrzał na niego wielkimi oczami. Czerwinski przestraszył się i uderzył w łokieć, jego kapelusz spadł na kolana Henninga.

– Na Boga, Rath, co to ma być? – Czerwinski był poważnie oburzony. – Obserwujemy podejrzanego! Chcesz, żeby nas rozpoznali?

– Nie obserwujecie podejrzanego, tylko jego mieszkanie – poprawił Rath. – Gdyby mężczyzna był w domu, to pewnie już dawno temu zaciągnęlibyście go do Gennata. Zgadza się?

– W każdym razie mamy nie zwracać niczyjej uwagi – sarknął Czerwinski. – Byłoby świetnie, gdybyś stąd zniknął.

– W takim razie powinieneś też przestać chrapać – odparł Rath i pożegnał się kolejnym stuknięciem w dach samochodu.

Na Möckernbrücke wsiadł do kolejki i pojechał na Luisenufer.

– Czego pan jeszcze chce, komisarzu? – zapytał Hermann Schäffner, gdy otworzył drzwi. Wokół szyi przewiązaną miał jeszcze serwetkę ze śniadania. – Nie dość mnie pan już wziął na spytki, pan i pańscy koledzy?

– Jeszcze tylko jedno pytanie – uprzedził Rath. – Od kiedy wynająć można to mieszkanie w oficynie?

Schäffner spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Jeśli pańscy koledzy się sprężą, to miejmy nadzieję, że od poniedziałku.

– Zakładam, że nie ma pan jeszcze nowego najemcy?

– Dlaczego? – Schäffner nadal zdawał się nie rozumieć.

– Ile pan Müller, tudzież pan Selenski, płacił za wynajem?

– Niedużo. Piętnaście marek tygodniowo. Czy to ważne?

– Jest umeblowane?

– Jasna sprawa.

– Dobrze. Biorę to mieszkanie. – Rath wyciągnął rękę do Hermana Schäffnera, a ten podał mu swoją, osłupiały.

– Nie chcę pana zatem dłużej zatrzymywać, na pewno jest pan bardzo zajęty. Do zobaczenia w poniedziałek.

Rath stuknął palcem w kapelusz. Wprawdzie już się odwrócił, ale nagle się zatrzymał.

– Byłbym zapomniał – rzucił i obrócił się jeszcze do Schäffnera. Dozorca gapił się przez szparę w drzwiach jak królik przez drucianą siatkę. – Jeszcze jedno pytanie. Czy w międzyczasie przypomniał sobie pan, gdzie może mieszkać Sturmhauptführer Röllecke?

Oczywiście, że Schäffner sobie nie przypomniał, lecz po krótkim zastanowieniu powiedział przynajmniej, że Röllecke mieszka chyba w dzielnicy Steglitz, ale dokładnie nie wiedział.

Bądź co bądź jest to jakiś punkt zaczepienia, pomyślał Rath, kiedy niedługo później szukał adresu w biurze paszportowym w Zamku. Tym razem nie trafił na starego marudę, lecz na młodą, pomocną kobietę, która z uśmiechem na ustach przyniosła mu wszystkie kartoteki, których potrzebował. W Steglitz wcale nie było zameldowanych aż tylu mężczyzn o nazwisku Röllecke. Nazwisko jednego zapisywano z samym „k”, a dwóch nie miało nawet trzydziestu lat – tych więc Rath na razie odłożył na bok. Ostał się niejaki Heinrich Röllecke, zamieszkały przy Ahornstrasse, lat czterdzieści jeden, a więc najpewniej uczestnik wojny. Tak właśnie Rath wyobrażał sobie Sturmhauptführera SA – jako kogoś, kto nie może zapomnieć walki i nadal bawi się w żołnierza. Zanotował adres i udał się do registratury.

Tam próbował znaleźć stare akta w sprawie Selenskiego i Fallina, które Böhm już przestudiował przed tygodniem, gdy tych dwóch Rosjan siedziało w pokoju przesłuchań. Wcześniejsze zatargi z prawem najwidoczniej nie wystarczyły Buldogowi, żeby zatrzymać mężczyzn na dłużej.

Teraz Selenski już nie żył, a Fallin zaginął.

– Przykro mi, panie komisarzu! – Powiedziała pracownica registratury. Nie była tak młoda, jak ta z biura paszportowego, ale równie serdeczna. – Dokumentów nie ma na ich miejscu.

– Czyżby nadal miał je Böhm?

Kobieta spojrzała do teczki, którą trzymała w ręce.

– Nie, zamówiono je po raz kolejny wczoraj wieczorem, więc mój kolega je wydał.

Akta leżały u Gennata.

A więc będzie musiał pomówić z Buddą, chociaż miał raczej ochotę zaszyć się w swoim biurze i przeglądać akta. Z drugiej strony, nie



zaszkodziłoby poudawać, że wykazuje choć nieco zainteresowania pracą innych. Przynajmniej nie sprawiałby wtedy wrażenia samotnego wojownika.

– Dzień dobry, panie komisarzu – przywitał go Budda. – Był pan już dziś przy Yorckstrasse?

A więc Flip i Flap naskarżyli.

Rath przytaknął.

– Chciałem sprawdzić Fallina, ale mieszkanie znajduje się już pod obserwacją.

– Powinien był mnie pan już wczoraj poinformować o tym, że w sprawie Kardakowa przesłuchiwałeś też przyjaciela Selenskiego – upomniał go Gennat. – A tak dowiedziałem się o tym z opóźnieniem dopiero od nadkomisarza Böhma.

– Przykro mi, panie radco, ja też nie skojarzyłem tego od razu – skłamał Rath. – To nadkomisarz Böhm przesłuchiwał wtedy ich obu, nie ja.

– Niech pan już daruje sobie te przytyki w kierunku Böhma. On wykonuje swoje obowiązki przynajmniej z taką samą skrupulatnością, jak pan! Przez pańskie niedopatrzenie straciliśmy cenny czas, poszukując Fallina!

– Tak jest, panie radco kryminalny.

– No dobrze, mam nadzieję, że weźmie pan to sobie do serca. A teraz niech pan wraca do pracy. Za godzinę narada w moim gabinecie.

Rath chrząknął.

– Co tym razem?

– Czy mógłbym prosić pana radcę o akta Selenskiego i Fallina?

„12 lutego 1926”.

Rath czytał dokumenty w swoim biurze, w którym tego dnia nie przeszkadzała mu nawet Erika Voss. Owego dnia tych dwóch Rosjan wdało się w bójkę z komunistami i nieco się zagalopowało. Przez nich jeden z czerwonych wylądował na wózku inwalidzkim, a innemu musiano amputować rękę. Selenski i Fallin przyznali, że brali udział w bijatyce, ale zaprzeczyli, że ponoszą winę za ciężkie obrażenia, i dlatego skończyło się na łagodnym wyroku. Nic dziwnego, że Böhm przełożył akta. Byłych funkcjonariuszy tajnej policji cara spuszczać łomot czerwonym raczej nie podejrzewa się o przynależność do jakiejś komunistycznej frakcji.

Jednak z całą pewnością podejrzewa się ich o uprowadzanie, torturowanie i zabijanie ludzi w imieniu czarnej sotni.

Rath przejrzał wszystkie raporty policyjnych przesłuchań przeprowadzonych w tej sprawie, które wpięto do akt. Każde zdawało się potwierdzać wyrok sędziego.

Jego podejrzenia wzbudził dopiero podpis widniejący pod protokołami.

A to dlatego, że go znał.

Niedługo później Rath był już na naradzie. Siedział jak na rozżarzonych węglach. Zgodnie z oczekiwaniami nie wynikły z niej żadne nowe ustalenia. Wprawdzie zeznania ucznia sprawiły, że na Selenkim ciążyły poważne podejrzenia, ale mężczyzna niestety już nie żył. Poszukiwania Fallina nie przyniosły jak dotąd żadnych efektów, podobnie zresztą jak przeczesanie lasów świerkowych, które trwało nadal i wiązało się z dużym nakładem czasu i pracy. Nie warto też było wspominać o dochodzeniu w Berolinie. Ludzie Czerwonego Hugona – zazwyczaj chętnie służący radą – nie pisnęli ani słowa, nawet mimo gróźb, że policja dobierze się im do skóry. Rath z trudem

przysłuchiwał się naradzie i niełatwo przyszło mu odczytanie sprawozdania z bezowocnego przeszukania Delphi. Jednak Gennat go pochwalił, ponieważ dzień wcześniej zdobył kluczowych świadków. Wszystko to było teraz jednak Rathowi obojętne, nawet obecność Charly pozostawiała go tego dnia niewzruszonym. Najchętniej wpadłby do biura Brunona Woltera, chwycił go za gardło i potrząsał nim dopóty, dopóki ten gnojek nie powie prawdy.

Zamiast tego od razu po naradzie zagadnął Gennata.

– Jeśli chce pan ponarzekać na zadanie, które dziś panu powierzyłem, to niech pan zapomni – powiedział Budda. – Kara musi być.

– Nie, panie radco. Chodzi o coś innego. Nadkomisarz Wolter. Czy on kiedyś pracował w Inspekcji A?

– Ależ wczytał się pan w akta. – Gennat pokiwał głową i wyglądał, jakby się zamyślił. – To musiała być jedna z jego ostatnich akcji u nas. Przed wypadkiem.

Wypadek! Rath wyostrzył słuch. Scheer też mówił coś o wypadku.

– Jakim wypadkiem?

– Przecież byli panowie kolegami. Nic panu nie wspominał? Właściwie mnie to nie dziwi. To paskudna historia. – Gennat wziął go na stronę. – Bruno Wolter jest jednym z najlepszych strzelców w berlińskiej policji. Wcześniej pracował jako instruktor na strzelnicy.

– Wiem. I mimo to pracował też dla Inspekcji A?

– Oczywiście. Od zawsze był funkcjonariuszem kryminalnym, tylko miał też dodatkowe umiejętności. Kiedy gdzieś sytuacja stawała się niebezpieczna, kiedy potrzebowano kogoś, kto potrafił strzelać, to wzywano Woltera. Podczas wojny był strzelcem wyborowym, do końca walk należał do jednej z jednostek specjalnych.

– Czy funkcjonariusz policji nie powinien w miarę możliwości unikać używania broni? Reguluje to przecież adekwatna instrukcja służbowa, nie mylę się?

– Nie potrzebna mi żadna instrukcja, drogi panie Rath. Niczego nie znoszę bardziej niż niepotrzebnych strzelanin. Właśnie dlatego tak ważne jest, by mieć kogoś, kto wie, co robi.

– I Bruno Wolter jest takim człowiekiem?

– Tak. Zawsze był spokojny, nieważne jak wielki chaos panował wokół niego. Czasami wystarczał jeden strzał i sprawa była załatwiona.

– A przestępca martwy...

– Podczas służby w policji Wolter nie zabił ani jednego człowieka. Unieszkodliwiał drani, którzy koniecznie chcieli pomachać sobie bronią, i robił to bardzo precyzyjnie. Bardziej przypominało to zabieg chirurgiczny niż zwykły strzał. Z przedziurawioną na wylot dłonią nie jest pan w stanie strzelać, to proste. A gdy było po wszystkim, moi ludzie zgarniali tych kwilących bohaterów.

– A co to za wypadek?

– Tragiczna sprawa, i nie wydarzyła się nawet w trakcie żadnej akcji. Każdy by zrozumiał, gdyby wtedy coś poszło nie tak. Nie, to stało się na strzelnicy. Trafiony został uczeń szkoły policyjnej. Jeśli dobrze pamiętam, chłopak miał na nazwisko Thies. Najlepszy strzelec w roczniku, już wtedy wiadomo było, że powinien pracować na strzelnicy razem z Wolterem.

– Co się dokładnie wydarzyło?

– Nigdy do końca nie wyjaśniono okoliczności tego zajścia. Pewnie Thies sam był sobie winien, w końcu już wcześniej pomagał na strzelnicy i przeprowadzał drobne prace konserwacyjne. Pewnego

dnia grupa młodych szupo ćwiczyła z karabinami. I nagle za tarczą strzelniczą w kałuży krwi znalazło się ciało wstrząsane drgawkami.

– Thies.

– Zgadza się. Jakimś sposobem musiał stanąć na linii ognia. Kiedy na miejsce dotarł lekarz, chłopak już nie żył. Zastrzeliło go trzech jego własnych kolegów. Z ciała chłopaka wyciągnięto pięć kul. – Gennat zamilkł, jakby wspomnienie wstrząsało nim do dziś. – Jak powiedziałem, pewnie sam był temu winny. Jednak Wolter wziął odpowiedzialność na siebie i sam wnioskował o przeniesienie do policji obyczajowej. Tam strzela się najrzadziej. Od tamtej pory nie widziano go już na strzelnicy.

Wypadek, dobre sobie, zakpił w duchu Rath. Pomyślał o śmierci Jänickego. Ciekawe, czy IA chciała już kiedyś wziąć Woltera pod lupę? Analogie same się nasuwają. Młody mężczyzna ginie nagłą śmiercią, dopiero co skończył szkołę policyjną i ma zacząć pracować z Wolterem.

– Nigdy mi o tym nie opowiadał.

– Nikt w Zamku o tym chętnie nie rozmawia. Tragiczne zdarzenie. Poza tym policja straciła swojego najlepszego snajpera.

– W każdym razie nie był wówczas najlepszym funkcjonariuszem kryminalnym.

– Ma pan na myśli protokoły z przesłuchań? – zapytał Gennat. – Czyli panu też rzuciło się w oczy, jak niedbale Wolter przeprowadzał przesłuchania? Ale to nie powód, by go teraz pogrążyć.

Rath przytaknął, błędząc myślami. Pomyślał o własnym śledztwie w sprawie Wilczka. W pozornej niechlujności Woltera zdawała się tkwić jakaś metoda. Zupełnie jakby umyślnie pozwolił tym dwóm Rosjanom się ulotnić.

Burza, która przeszła poprzedniego wieczora, nie przegoniła duchoty. Wilgotne, ciepłe powietrze sprawiało, że zmęczenie stawało się jeszcze bardziej nieznośne. Rath się pocił, i to pomimo opuszczonej szyby w aucie. Gennat wysłał go na obserwację przy Yorckstrasse. Akurat teraz! Flip i Flap uśmiechnęli się szyderczo, kiedy zobaczyli, kto ich zmieniał. Obok Ratha zasiadł Reinhold Gräf, jeden z ludzi Böhma.

– Co takiego pan przeskrobał, że musi teraz tu siedzieć? – zapytał Rath swojego towarzysza. – Buchnął pan Gennatowi kawałek ciasta?

– Jestem asystentem kryminalnym, więc taka czarna robota należy do codzienności – oznajmił Gräf. – A od kiedy komisarze biorą udział w obserwacjach?

– Robią to jedynie Ci niesubordynowani – odparł Rath i zapalił papierosa. Ostatniego. – Z chęcią zaproponowałbym panu jednego, ale... – pokazał Gräfowi pustą paczkę.

– Nie szkodzi. Palę tylko wtedy, kiedy piję.

– Ciężko będzie mi wyczarować jeszcze piersiówkę.

Gräf się zaśmiał.

– A więc był pan niesubordynowany?

– Niech pan zapyta Gennata.

– Dziwi mnie to. Böhm ma pana raczej za kogoś, kto – za przeproszeniem – włązi szefom w tyłek.

Rath się zdumiał. No, proszę! Całkiem odważny z niego typek, że w ten sposób rozmawia z kimś w randze komisarza.

– Najwyraźniej Böhm staje na głowie, żeby nieustannie puszczać tę plotkę w obieg i wciąż ją podsycać.

– W każdym razie nie ma o panu najlepszego zdania.

– Mówi pan dość otwarcie o tych rzeczach. Nie boi się pan, że zagraża swojej karierze?

– Do tej pory zawsze byłem otwarty i szczery w stosunku do kolegów z pracy, nieważne, czy to radca kryminalny, czy stenotypistka.

– To się panu chwali. – Rath strząsnął nieco popiołu z papierosa. – Kto jeszcze bierze mnie na języki? Pewnie panna Ritter, prawda?

– Charly? Dlaczego miałyby to robić? – Gräf wyglądał na mocno zaskoczonego. – Przecież ona w ogóle pana nie zna.

Przez dłuższą chwilę siedzieli obok siebie w milczeniu. Wreszcie Rath pstryknięciem wyrzucił niedopałek papierosa przez otwarte okno na jezdnię. Otworzył drzwi.

– Rozprostuję nogi i kupię papierosy. Niech pan zostanie na posterunku.

– Jasne, panie komisarzu. – Gräf stuknął palcem w kapelusz. – Niech pan idzie. W końcu po to wysłano nas we dwóch.

Rath przeszedł kawałek w dół ulicy. Ruch bardziej pomagał na zmęczenie niż te wszystkie papierosy, które wypalił. Spojrzał na zegarek. Jedenasta jednaście. Imieniny godziny! Spędził w aucie dopiero sześćdziesiąt minut, a czuł, jakby minęła cała wieczność. Miał zdecydowanie lepsze rzeczy do roboty niż siedzieć na tyłku w służbowym samochodzie pruskiej policji. Na przykład wreszcie wziąć w obroty Brunona Woltera. Zastąpią ich dopiero o osiemnastej. Zapowiadał się długi dzień.

Na kolejnym skrzyżowaniu skręcił w prawo w Grossbeerenstrasse. Zielony opel zniknął z pola widzenia. Rath od razu poczuł się swobodniej. Miał dziwne wrażenie, że Gennat wysłał z nim Gräfa, by ten go pilnował.

Tuż za rogiem znalazł to, czego szukał – filię „Loeser und Wolff”, jakież to pomysłowe, że mieściła się tuż obok apteki. Sklep z tytoniem powitał go mrocznym, acz gustownym wnętrzem. Czekał na

swoją kolej, oglądał ciekawe egzemplarze zapalniczek stołowych. Jego ojciec miał niebawem urodziny, nie zaszkodzi się zastanowić, co kupić mu na prezent. Sprzedawca sprawiał wrażenie niemal rozczarowanego, kiedy Rath w końcu zdecydował się jedynie na papierosy. Wziął za to dużo paczek overstolców i do tego pudełko zapalek, dzień może okazać się długi.

Odbierał właśnie resztę, gdy nagle wydało mu się, że na zewnątrz, za witryną, pośród masy przechodniów przetaczającej się po chodniku dostrzegł znajomą twarz.

Krótkie blond włosy zbiły go z tropu. Inaczej miał w pamięci tę twarz wyłaniającą się spod granatowego kapelusza i otoczoną czarnymi lokami. Twarz Lany Nikoros. Twarz hrabiny Swietłany Sorokinowej.

Wetknął monety do kieszeni i pędem wybiegł na zewnątrz, nie dbając o zaskoczonego sprzedawcę. Kobieta szła w kierunku Victoria Park. Na końcu ulicy wznosił się zielony Kreuzberg, na jego tle głowy przechodniów kołysały się niczym falujące morze. Próbował wypatrzeć pośród tłumu jej granatowy kapelusz, jednak na ulicy poruszało się całe mrowie kapeluszy. Choć stracił z oczu granatowe nakrycie głowy, to maszerował w kierunku, w którym poszła kobieta. Na Kreuzbergstrasse dostrzegł jakiś niebieski kapelusz, który zniknął w parku. Droga zakreślała pod górę i biegła przy wodospadzie. W pewnym momencie zobaczył ją siedzącą na ławce. Była zwrócona do niego plecami. Po cichu podszedł bliżej.

– Hrabina Sorokinowa, jak mniemam?

Odwróciła się. Spojrzała na niego równie szczupła, brzydka kobieta z blond włosami. Kobieta, której nigdy wcześniej nie widział.

Spojrzała na niego, jakby był niespełna rozumu.

– A pan to niby kto? – zapytała. – Pan Bufon czy cesarz Chin?



Rath wymamrotał przeprosiny, pośpiesznie stuknął dłonią o kapelusz i wrócił tą samą drogą.

Czyżby ścigał ducha? Może zmęczenie płałało mu figle i powodowało omamy?

Musiał wrócić do samochodu, zdecydowanie za długo zostawił Gräfa samego. Oby tylko asystent kryminalny nie miał słabego pęcherza.

Reinhold Gräf opuścił szybę również od strony pasażera, żeby wpuścić świeże powietrze do auta. Postanowił, że kiedy komisarz wróci, to poprosi go, żeby palił mniej. Wolałby odsiedzieć tę zmianę z Charly, a nie z tym nowym, nawet jeśli nie był wcale taki zły, jak wciąż powtarzał Böhm. Niełatwo go rozgryźć, to się zgadzało, ale poza tym wydawał się całkiem w porządku. Sprawiał jedynie wrażenie nieco przepracowanego. I dość dużo palił.

Gräf cieszył się świeżym powietrzem i wystawił głowę za okno. I tak nikt nie zwracał na niego uwagi, pomimo że na ulicy panowało spore ożywienie. W twarzach pędzących obok niego przechodniów nie widać było zbliżającej się wolnej soboty i niedzieli, jedynie powszedni pośpiech. Kierowcy trąbili nerwowo, kiedy ruch według nich nie posuwał się do przodu wystarczająco szybko. Właściwie nie był to dzień, który chciałoby się spędzić w aucie, obserwując jakiś budynek. Jednak taka była właśnie codzienność w policji – w dużej mierze nudna. Z Charly łatwiej udałoby się znieść tę beczynność.

Nagle przed budynkiem coś się zadziało. Tuż przed wejściem zatrzymała się taksówka. Wsiadł z niej krzepki mężczyzna, niósł w jednej ręce walizkę. Gdy podawał taksówkarzowi pieniądze przez okno, Gräfowi ukazała się blizna przebiegająca przez cały policzek.

Nuda zniknęła bez śladu. Gräf wyszperał zdjęcie z kieszeni, zderwowany. Ta sama blizna, ten sam człowiek, bez dwóch zdań!

Nikita Fallin wrócił do domu!

Co teraz? Iść za nim? Lepiej będzie, jak poczeka, zachowa spokój, komisarz powinien niebawem wrócić. Chciał przecież tylko kupić papierosy.

Spojrzał na zegarek. Piętnaście po jedenastej. Po jakimś czasie, trwającym w jego odczuciu jakieś pół godziny, spojrzał na zegarek raz jeszcze. Szesnaście po jedenastej.

Nie, nie mógł już dłużej czekać! Jeśli Rosjanin zwieje mu tylko dlatego, że czekał na komisarza, to nigdy sobie tego nie wybaczy!

Gräf sprawdził pistolet i schował kajdanki do kieszeni. Następnie wysiadł i poszedł w kierunku domu. Będzie musiał zatem sam aresztować tego faceta. Komisarz Rath się zdziwi, kiedy wróci! Komisarz kupuje sobie papierosy, a w tym czasie asystent kryminalny zatrzymuje podejrzanego o morderstwo!

Wyciągnął pistolet z kabury dopiero wtedy, gdy wszedł do domu. Na wielkiej, ciemnej klatce schodowej usłyszał skrzypienie kroków parę kondygnacji wyżej. Czy to nadal Fallin? Mieszkał na czwartym piętrze. Dlaczego trwało to tak długo? Może zaglądał jeszcze do skrzynki na listy? Przeglądał pocztę? Na wszelki wypadek Gräf odbezpieczył broń i pokonywał kolejne stopnie tak cicho, jak tylko potrafił. Przez parę chwil nie słyszał niczego poza własnym oddechem i cichym skrzypieniem schodów. Powolnym krokiem dostał się na drugie piętro.

Nagle gdzieś na górze zabrzączał pęk kluczy, a zaraz potem na klatce rozbrzmiał kobiecy głos.

– Nikita?

Głos dochodził z góry. Gräf zastanowił się jeszcze, czy wychylić się przez poręcz i sprawdzić, czyj głos dobiegał z wyższego piętra i kto czekał na Rosjanina. Wtem rozległ się trzask i huk przypominający łamanie drewna, chwilę później krótki, przeraźliwy krzyk i tępy łomot. Po chwili załomotało raz jeszcze, a krzyk ucichł jak ucięty nożem. Następnie jeszcze kolejny huk, gdy ciężkie ciało mocno uderzyło o poręcz tuż przed Gräfem, a palce kurczowo zacisnęły się na kawałku wyrwanej poręczy, jakby mogły jeszcze znaleźć w niej ratunek. Gräf usłyszał nieprzyjemny dźwięk łamanych kości, a potem ciało się odbiło i dalej poszybowało w głąb klatki. Ręce i nogi łopotały, powykręcane nienaturalnie. Potem dało się słyszeć jeszcze jeden tępy łoskot i zapadła cisza.

Asystent kryminalny stał w miejscu, niczym rażony piorunem, nadal trzymał pistolet gotowy do strzału. Wsparł się o balustradę i spojrzał w dół. Na jasnej kamiennej podłodze leżał krzepki mężczyzna w ciemnym garniturze, ręce i nogi miał dziwnie wykoślawione. Przypominały kształtem swastykę. Spod ciała leżącego w mroku sączyła się wąska strużka błyszczącej, czerwonej krwi: szybko się rozrastała i stawała coraz szersza.

Asystent kryminalny schował pistolet i zszedł po schodach, potykając się o stopnie.

Mężczyzna leżał na brzuchu w ciągle rosnącej kałuży krwi, obok niego widać było wyłamany kawałek balustrady. Gräf pochylił się nad nim i przekręcił mu głowę na bok. Przez lewy policzek ciągnęła się blizna. Nie było najmniejszych wątpliwości, że to Fallin.

Gräf usłyszał skrzypienie schodów i podniósł wzrok. Drobna kobieta spoglądała na martwego mężczyznę. Oczy miała szeroko otwarte, była blada jak ściana.

– Czy on nie żyje?

Opuszki palców na próżno próbowały wyczuć puls w tętnicy szyjnej. Gräf przytaknął.

– Mój Boże! – Kobieta stała już w drzwiach wejściowych. – Niech pan tu zostanie! Wezwę policję!

– Niech pani poczeka! Stać! – zawołał za nią Gräf. – *Ja* jestem z policji. – Jednak ona już wybiegła na ulicę.

Cóż, nie zaszkodzi, jeśli wróci tu z paroma szupo. On przez ten czas zostanie przy ciebie.

Wsluchiwał się w ciszę. Panował całkowity spokój. Czyżby nikt w budynku niczego nie słyszał? Nikt poza tą młodą kobietą?

W mroku klatki schodowej nie był w stanie dokładnie przyjrzeć się jej twarzy, ale powierzchownością i zachowaniem trochę przypominała mu Charly, tyle że ta kobieta miała blond włosy. Poza tym Charly nigdy nie nałożyłaby niebieskiego kapelusza.

Koniec końców Ratha nie było blisko pół godziny. Gdy wrócił na Yorckstrasse, zielony opel nadal stał zaparkowany na poboczu w cieniu drzewa. Dokładnie taki, jakim go pozostawił. Poza jednym szczegółem.

Auto było puste.

Początkowo Rath podejrzewał, że Gräf się schylił, bo upadł mu notatnik albo coś innego, ale gdy podszedł bliżej, to znalazł potwierdzenie swojego pierwszego przypuszczenia.

Gräfa nie było w samochodzie!

Gdzie, u licha, się szwendał? Może naprawdę poczuł parcie na pęcherz i nie mógł już dłużej wytrzymać? Czyżby siedział właśnie w ubikacji najbliższej knajpy, a na jego twarzy rysowało się poczucie ulgi?

Nawet nie zamknął opla. Rath pokręcił głową i usiadł na miejscu kierowcy. Na próżno szukał jakiejś kartki z wiadomością. Otworzył paczkę overstolców i zapalił papierosa. Cóż, pewnie chłopak niebawem zjawi się z powrotem. Oby miał dobrą wymówkę. I oby Fallin im nie zwiął.

Fallin! No przecież! Pozostawała jeszcze jedna możliwość. Nikita Fallin wrócił!

Oby młodemu nic się nie stało. Po tym nieokrzesanym Rosjaninie Rath spodziewał się wszystkiego. Zwłaszcza teraz, gdy lepiej znał przeszłość Fallina i jego wyjątkowe umiejętności.

Sprawdził swojego mauzera, nasunął kapelusz nieco głębiej na czoło i wysiadł z wozu. Powoli szedł w kierunku domu, palił papierosa, głowę miał opuszczoną w dół. W razie gdyby Fallin wyglądał z okna, lepiej by było, żeby nie rozpoznał znajomej twarzy, którą pamiętał ze spotkania w Kakadu.

Zanim Rath wszedł do środka, zgasił papierosa.

Spodziewał się przeróżnych rzeczy, ale nie tego.

Obok podestu schodów siedział w kucki asystent kryminalny Reinhold Gräf pochylony nad ciałem mężczyzny, którego blizna jednoznacznie wskazywała na to, że to Nikita Fallin.

Minęła czwarta, gdy odstawił Gräfa pod prezydium. Przynajmniej obserwacja skończyła się wcześniej, bo początkowo Gennat polecił, by zmienić ich dopiero o osiemnastej. Z pierwszego lepszego aparatu telefonicznego Rath zaalarmował Zamek, a dopiero później – komisariat nr 103 przy Möckernstrasse. Nie chciał, by znów zarzuciono mu, że przekazał kierownikowi inspekcji za mało informacji. Jeśli Budda chce się przekonać o wszystkim na własne oczy, to niech ruszy się tu tą swoją czarną furgonetką!

I przyjechał. Gennat już od dawna nigdzie nie wyjeżdżał. Wszyscy funkcjonariusze na miejscu zbrodni doskonale wiedzieli, że musi to być coś poważnego, jeśli Budda wypuszczał się gdzieś furgonetką wydziału zabójstw.

Tym razem całkowicie pewne było, że chodzi o morderstwo. Gräf opowiedział, jak wyglądał upadek oraz że na fragmencie poręczy, który znajdował się przy ciele ofiary, stwierdził wyraźne ślady piły. Podejrzenie, że ktoś zamienił balustradę w śmiertelną pułapkę, potwierdziło się, gdy technicy wzięli pod lupę czwarte piętro budynku. Naprzeciwko drzwi do mieszkania Fallina, przed którymi jeszcze stała jego walizka, stwierdzono ubytek sporego fragmentu poręczy. Starannie nadpiłowanego. Najpewniej – jak relacjonował Gräf, a Rath przytakiwał – nawoływanie kobiety sprawiło, że w ogóle podszedł do balustrady. Wychylił się przez nią, żeby zobaczyć, kto stoi tam na dole i go woła. I wtedy runął w dół.

Na początku jedynie podejrzewali, kim była ta kobieta, i zakładali, że nie zrobiła tego przypadkiem, lecz z premedytacją zwabiła mężczyznę z blizną w zasadzkę. Podejrzenie się potwierdziło, gdy okazało się, że kobieta, którą widział Gräf, wbrew obietnicy nie wezwała policji. Wprost przeciwnie – ona przed nią uciekła.

Gräf, podłamany swoim *faux pas*, oświadczył, że nie był w stanie przyjrzeć się dokładnie jej twarzy na ciemnej klatce schodowej. Zwrócił uwagę jedynie na jej niebieski kapelusz. Rath domyślał się, na kogo natknął się asystent kryminalny, ale zachował to dla siebie. Nie tylko dlatego, że nie miał pewności, czy osoba, którą sam widział wcześniej na Grossbeerenstrasse, to hrabina. Drugim powodem jego milczenia było przekonanie, że taki sukinsyn jak Nikita Fallin zasłużył na śmierć, która go spotkała.

Podobnie zresztą jak Witalij Selenski. Dwóch czarnosecińców, co od przeszło trzech lat jedzą z ręki pozbawionym skrupułów członkom Stahlhelmu. Tak bestialsko torturowali Kardakowa i nieszczęsnego Borysa. Sadystyczni pomocnicy Brunona Woltera.

Teraz obaj byli martwi, a sama myśl, że hrabina Sorokinowa – anioł zemsty – mogłaby podjąć trop Wujka, w głębi duszy wypełniała Ratha zadowoleniem.

Bardziej prawdopodobne było jednak to, że w ogóle nie wiedziała, iż tych dwóch czarnosecińców spiskowało z pruskim policjantem. Tylko on to wiedział, tylko Gereon Rath.

Po tym jak Rath wysadził Gräfa przy Alexanderplatz, pojechał na Potsdamer Bahnhof. Postanowił nieco później odstawić służbowy samochód, miał jeszcze do załatwienia parę spraw. Funkcjonariusze w Zamku będą musieli poradzić sobie dziś bez niego.

Najpierw poszedł na dworzec i otworzył swoją skrytkę. Uskładał sobie tu już niezłą zbieraninę! Kajecik, pistolet, zdjęcia starych to-

warzyszy broni, telefon wyrwany ze ściany i torebeczka z kokainą. W tej skrytce znajdowały się jego brudne tajemnice.

Wyjął kokainę i schował do kieszeni. Potrzebny mu był jakiś środek pobudzający. Bezsensowność minionych dni coraz bezlitośniej dawała się we znaki. Czasami nie wiedział już, czy jest na jawie czy śni. Czy tam z tyłu faktycznie stoi człowiek? A może to tylko cień? Musiał się pilnować, by nie dopatrywać się zjaw tam, gdzie ich nie było.

Zanim wrócił do auta, zamknął się w kabinie dworcowej toalety. Nie miał za dużej wprawy w zażywaniu kokainy. Próbował sobie przypomnieć noc spędzoną w Venuskeller i szczodrego Oppenberga oraz nimfomańską Vivian. Rath wiedział, że potrzebne mu są względnie gładka powierzchnia oraz rurka. Wyciągnął zatem swoją legitymację służbową i banknot dwudziestomarkowy. Werner von Siemens na banknocie spojrzał na niego surowo, niemal z wyrzutem, zanim Rath zwinął go w rulonik. Biały proszek w torebce był bardziej skawalony niż ten, który podawano w Venuskeller. Rozdrabniał go z pomocą mauzera dopóty, dopóki nie uznał, że jest wystarczająco miałki dla jego nosa, po czym usypał z niego cienką linię. Nie chciał wziąć za dużo, nie wiedział, jak Marlow porcjował narkotyk. Następnie wetknął papierową rurkę do nosa i wciągał biały proszek jak odkurzaczem.

Znów poczuł otumanienie, a potem to wyczekane uczucie. Jeszcze przed chwilą był wrakiem człowieka cierpiącym z powodu skrajnego niedostatku snu, a teraz doświadczył niespożytej energii pędzącej przez żyły. Pośpiesznie schował przybory, obmył twarz zimną wodą i przeszedłszy przez halę dworcową, wrócił do auta. Mógłby góry przenosić, ale w tej chwili wolał raczej wyprawić Woltera na tamten świat.



Jednak teraz miał do załatwienia coś innego. Wszystko w swoim czasie. Najpierw wybrał się do Steglitz.

Ahornstrasse była przyjemną, mieszczańską dzielnicą mieszkaniową. Rath zaparkował opla i zadzwonił do drzwi. Nie czekał długo na ich otwarcie.

Nie musiał dopytywać, czy trafił pod dobry adres. Mężczyzna, który przed nim stał, miał na sobie brązowy mundur, czarny pas i przepaskę na ramieniu, jedną z tych, które widywało się w Berlinie coraz częściej. Była krwistoczerwonego koloru, znajdowała się na niej czarna swastyka w białym okręgu. Pomimo swego stroju mężczyzna nie wyglądał zbyt surowo. Był raczej niewysokiej i wątlej postury i przypominał księgowego. Właśnie zawiązywał sobie krawat.

– Słucham pana? – zapytał.

– Heinrich Röllecke?

– Tak jest. Co mogę dla pana zrobić?

W tym momencie Rath poczuł przyływ natchnienia.

– Jestem kolegą Brunona Woltera – odparł.

– Brunona? Dlaczego sam nie przyszedł?

– Ma teraz dużo pracy. Poza tym musi uważać. Wciąż znajduje się pod obserwacją.

– Policja polityczna powinna się raczej zająć Czerwonym Związkiem Bojowników Frontowych, zamiast nastroczać kłopotów własnym ludziom... Cholera! – Wyklinając, Röllecke rozwiązywał nieudany węzeł. – Niech pan przejdzie do rzeczy, muszę wkrótce wyjść! Mam zebranie. Będzie przemawiał gauleiter, a doktor Goebbels nie przebiera w słowach, więc SA musi stawić się na sali punktualnie, zanim czerwoni choćby wpadną na pomysł, żeby wszczynać awanturę. Rozumie pan... Gdyby nie to, z chęcią zaprosiłbym pana do środka.

– Oczywiście – powiedział Rath. – Sądzę, że nie zajmie nam to długo. Chodzi o to, co dalej ma dziać się przy Luisenufer.

– To doprawdy nieprzyjemna sprawa! Od razu mówiłem, że powinniśmy wziąć do tego jakiegoś Niemca. Ale Bruno koniecznie uparł się na tego Rosjanina, no i tyle z tego wyszło. Teraz mężczyzna nie żyje.

– Przynajmniej to Rosjanin zginął, a nie Niemiec!

Röllecke zaśmiał się.

– Znów ma pan rację! Podoba mi się pan, młody przyjacielu! Nasz kraj potrzebuje takich ludzi!

– Śmierć Selenskiego badana jest teraz pod kątem morderstwa.

– No tak, chyba nie dało się tego uniknąć. Niefortunny wypadek. Teraz policja zaczęła trochę węszyć. Ale sytuacja się uspokoi. Musimy tylko uzbroić się w cierpliwość.

– Nie uważa pan, że Hermann Schäffner może stanowić problem...

– Scharführer Schäffner to godny zaufania człowiek. To przecież nie w wyniku jego błędu policja wywraca teraz mieszkanie Selenskiego do góry nogami. Ale niczego nie znajdzie, już o to zadbał.

– Skoro tak pan mówi.

– Na SA można polegać, mój przyjacielu! Jesteśmy równie skuteczni jak Ci stahlhelmowcy. Nie słowa się liczą, ale czyny! Najwyższy czas, żeby Stahlhelm wbił to sobie do głowy! Bruno od tygodni mówi o nowej dostawie, a nic się nie dzieje! Moi ludzie się niecierpliwią. Na razie dałem im kilka zardzewiałych karabinów, które zwędziliśmy Czerwonemu Związkowi Bojowników Frontowych, ale to najzwyklejszy złom. W końcu będziemy potrzebowali sensownej broni.

– Naturalnie.

– Dobrze, że pan też tak to widzi. Niech pan przekaże Wolterowi, że jeśli nie chce wystawiać lojalności narodowych bojowników na trudną próbę, to za jego słowami powinny niebawem pójść czyny!

– Tak zrobię, Herr Sturmhauptführer.

– Dobrze. A teraz proszę wybaczyć. Muszę się przyszykować. Mój kierowca zaraz tu będzie.

Rath nie zdołał się pożegnać. Röllecke zatrzasnął już drzwi.

Co za nadęty, wyniosły bufon! Trząśł się, kiedy siedział już w samochodzie. Röllecke bez wahania łyknął całą historię.

Było dokładnie tak, jak Rath przypuszczał. Bruno Wolter i jego przyjaciele z SA załatwili Selenskiemu mieszkanie przy Luisenufer, by obserwować mieszkanie hrabiny. Nadkomisarz o łagodnym wyrazie twarzy był handlarzem bronią. I to takim, który do celu szedł po trupach.

Musiał z nim szczerze porozmawiać. Chciał to usłyszeć od niego. Prawdę albo kłamstwo. Bruno będzie musiał mu wtedy spojrzeć prosto w oczy.

Nie potrafił stwierdzić, co chciał tym osiągnąć, wiedział jedynie tyle, że nie może postąpić inaczej. Musiał pokazać Wolterowi, że jest ktoś, kto całkowicie przejrzał jego samego i jego szemrane interesy.

Rath czuł, jak jego serce zaczynało mocniej bić, kiedy przyjechał do Friedenau i skręcił z Rheinsrasse. Jeszcze dwa skrzyżowania.

Wujek był już w domu. Inspekcja E kończyła pracę punktualnie.

Rath zatrzymał się przed domem i zaparkował tuż za czarnym fordem. Zadzwoił do drzwi, ale nikt mu nie otworzył. Spróbował raz jeszcze. Podczas gdy stał pod drzwiami i wsłuchiwał się w wybrzmiewający dzwonek, usłyszał brzęczenie w oddali. Wychylił się za róg domu i spojrzał do ogrodu, w którym siedzieli w Zielone

Świątki. Również tego dnia meble ogrodowe stały na zewnątrz. Ukazał mu się Wujek stawiający ciężkie kroki w trawie. Miał na sobie obszerne robocze spodnie, podkoszulek bez rękawów, stary kapelusz z szerokim rondem i pchał przed sobą kosiarkę. Popracowe zajęcie niegroźnego obywatela. Aż trudno uwierzyć, że ten mężczyzna był bezwzględnym mordercą. Rath poszedł za dom.

Bruno zobaczył go dopiero wtedy, kiedy Rath doszedł do skraju trawnika. Odstawił kosiarkę i podszedł kilka kroków w jego stronę. Mokra od potu dłoń wytarł o podkoszulek.

– Co za niespodzianka – powiedział. – Już skończyłeś pracę? Chodzą słuchy, że Inspekcja A ma w ostatnim czasie dużo pracy.

– Można tak powiedzieć. Dopiero co musieliśmy zeszkrobywać jakiegoś mężczyznę z kamiennej podłogi. Chciał polatać po klatce schodowej, ale nie wyszło mu na zdrowie. Wczoraj jeden martwy Rosjanin, dziś kolejny. Ci ludzie żyją na krawędzi! Może zadarli z niewłaściwymi typami.

– A może są po prostu za głupi. Przynajmniej taka jest moja teoria.

– Wydawało mi się, że masz o nich dobre zdanie, a w każdym razie o Selenskim. Tak powiedział Heinrich Röllecke.

Zaskoczenie na krótko pojawiło się na twarzy Brunona, po chwili znów nad sobą zapanował.

– A więc byłeś u Rölleckiego?

– Owszem. Był całkiem rozmowny!

– To do niego niepodobne.

– Wspomniał, że spóźniasz się z dostawą. Bardzo mu się to nie podoba.

Bruno dalej trzymał się w ryzach, ale Rath spostrzegł, że jego drobne przytyki i prowokacje trafiły w czuły punkt.

– Nie wyglądasz najlepiej, Gereonie. Możesz mi powiedzieć, dlaczego tak mrugasz powiekami? Musisz uważać, żebyś nie zszedł na psy w Inspekcji A. Służba tam nie wydaje się wychodzić Ci na zdrowie.

– Po prostu mamy teraz dużo pracy.

– To zrób sobie parę dni wolnego.

– Nie, dopóki jeszcze taki jeden sukinsyn chodzi wolno.

– Daj spokój, w końcu udało Wam się rozwikłać tę sprawę. Patriotycznie usposobieni Rosjanie sprzątnęli paru czerwonych rodaków. Mordercy nie żyją, wszystko jest w porządku. Możecie zatem odsapnąć i spocząć na laurach.

– Rozwikłać? Nic podobnego. Jest jeszcze wiele niewyjaśnionych kwestii. Za wiele.

– A kogo to interesuje?

– Choćby mnie. Tylko że mordercy nie mogą już niestety pomóc w ich rozstrzygnięciu.

– Zatem będziesz musiał sam je sobie wyjaśnić.

– Mam więcej odpowiedzi, niż Ci się wydaje. Nie rozumiem tylko jednego. Dlaczego Fallin i Selenski najpierw torturowali swoją ofiarę, a potem wsadzili ją do skradzionego wozu i wpakowali do kanału?

– Może po prostu coś spaprali? Takie rzeczy się zdarzają. Może facet wyciągnął kopyta, zanim zdążyli z niego coś sensownego wyciągnąć, a potem chcieli to wszystko zatuszować i rozpoczęli kampanię dezinformacyjną? Taką, która niestety skończyła się niepowodzeniem.

– Miało to wyglądać tak, jakby Borys zagarnął złoto Czerwonej Twierdzy?

– Skoro tak uważasz – rzucił Wolter, wzruszając ramionami. – Brzmi dość przekonująco.

– Nie wydaje mi się. Dość to niewiarygodne, jeśli ktoś ze zmiażdżonymi dłońmi i stopami zostaje odnaleziony w aucie, które rzekomo sam prowadził. Nie uważasz?

– Nie, jeśli samochód ląduje na drzewie, a z kierowcy i tak niewiele już zostaje. Może taki był pierwotny plan, ale potem wóz wjechał na krawężnik, kierownica nagle się przekręciła i wszystko poszło nie tak. Ale mleko i tak się już rozlało. I to prosto do kanału.

Rath zastanawiał się, w jaki sposób samochód utracił kawałek kory z drzewa.

– A dlaczego ponownie wykopali ciało Kardakowa? – zapytał. – Czyżby to była kolejna nieudana kampania dezinformacyjna?

– Dlaczego nieudana? Dzięki niej udało się im przecież porządnie ośmieszyć policję. Przede wszystkim nowego bohatera Inspekcji A. Zrobili z niego pośmiewisko.

– Być może. Zastanawiam się tylko, jak na tym skorzystali, gdyż Inspekcja A w ogóle nie umieściła Rosjan na swojej liście. Wprost przeciwnie, przed tygodniem zostali wypuszczeni na wolność. Dlaczego w takim razie mieliby interes w tym, żeby ośmieszyć policję?

– A bo ja wiem? Pracuję w obyczajówce, nie zajmuję się sprawami morderstw.

– Wiesz to doskonale. To ich zleceniodawca wpadł w tarapaty. Policjant, który zamordował swojego kolegę i zorientował się, że jeden z jego dawnych przyjaciół dobiera mu się do skóry. Poza tym życie uprzykrzał mu też jeden z ringvereinów. I dlatego ów policjant chciał nie tylko zająć ten ringverein czymś innym i wpędzić go w kłopoty, lecz także zaszkodzić policji. A przede wszystkim nowemu bohaterowi Inspekcji A, jak go nazwałeś.

– Nazywajmy go lepiej błaznem, to określenie bardziej mi się podoba...

– Szkoda tylko, że ten błazen nie odpuszcza, co? Koniecznie chce udowodnić zabójstwo kolegi pewnemu funkcjonariuszowi kryminalnemu.

– Każdy kompromituje się tak, jak potrafi. Jak już powiedziałem, zalecałbym Ci wziąć krótki urlop. Powinieneś zadowolić się tym, co masz. Właśnie Ci przecież podsunąłem parę ciekawostek, które możesz poopowiadać prezydentowi.

– Zeznałbyś to przed sądem?

– A dlaczego miałbym to zrobić? To wszystko jedynie przypuszczenia. Doświadczony funkcjonariusz kryminalny podsuwa wskazówkę młodej kadrze. Dowody musisz już sam sobie zdobyć. Ty jesteś śledczym wydziału zabójstw, ja pracuję w Inspekcji E.

– Mógłbym wykorzystać te zeznania przeciwko Tobie. Jako dowód na to, że spiskowałeś z Rosjanami oraz Josefem Wilczkiem. Na to, że masz chrapkę na złoto Sorokinów, że chcesz za nie kupić broń dla Stahlhelmu, że wraz z Rudim Scheerem już od lat wyprowadzasz broń z zasobów policji i wyposażasz nią Waszą amatorską armię, SA i Bóg wie kogo jeszcze.

– I jeszcze Czerwony Związek Bojowników Frontowych, prawda?

– Wolter głośno się zaśmiał. Zdjął kapelusz i otarł chustką czoło mokre od potu. – Jak na gliniarza uzależnionego od koksu za dużo sobie pozwalasz.

– Chcę Ci jedynie uświadomić, że jesteś skończony – odparł Rath.

– Załatwiłeś Jänickego na darmo. To, że z Thiesem się udało, nie znaczy, że uda się po raz kolejny.

– Ja skończony? – Bruno uśmiechnął się szeroko, ale wyglądał tak, jakby najchętniej dał mu w zęby. – Patrzyłeś dziś w lustro, Ge-

reonie? Wydaje Ci się, że sąd uwierzy gliniarzowi wciągającemu kokainę, który zastrzelił człowieka i próbuje to po partacku zatuszować?

– Nikogo nie zastrzeliłem.

– Zastrzeliłeś człowieka w Kolonii, już zapomniałeś? I zabiłeś Josefa Wilczka. W przeciwnym razie po co miałbyś zanosić do balistyki niewłaściwą kulę? Tylko Ty mogłeś to zrobić.

– To, co mi właśnie powiedziałeś, było przyznaniem się do winy. Przyznaniem się, że zastrzeliłeś Jänickego!

– Ach, skończcie wreszcie z tymi bredniami!

– Wiesz, że Jänicke został zamordowany strzałem z lignose. A to dlatego, że sam naciskałeś spust!

– W każdym razie pistolet nie znajduje się w moim posiadaniu, panie komisarzu! Powinien pan uważać, żeby nie wplątał pan się w coś, z czego już się nie wyplącze.

– Czy Ty w ogóle wiesz, dlaczego zostałeś policjantem?

– Z tego samego powodu, z którego nadal nim jestem. Żeby dbać o bezpieczeństwo i porządek oraz walczyć z tymi, którzy chcą je zniszczyć. A Ty? Dlaczego zostałeś policjantem? Bo tata Ci kazał?

Rath zignorował ten przytyk.

– Mam bardzo prosty powód – powiedział. – Zostałem policjantem, żeby występki nie uchodziły płazem takim świniom jak Ty.

– Wszyscy zasłużyliśmy na karę. Jesteś przecież katolikiem, więc powinieneś o tym wiedzieć.

– Mogę się wypowiedzieć.

– A więc tak zrób. – Wolter zaśmiał się szyderczo. – Nie udawaj, że masz do wyznania mniej grzechów niż ja!

– Daruj sobie te przechwałki. Jeśli zechcę, mogę Cię zniszczyć.



– Doprawdy? Jeśli powiesz prawdę o sobie i Josefie Wilczku, to może będziesz miał na mnie jakiegoś haka. Może. Ponieważ pozwoliłoby to założyć, że jesteś wiarygodnym świadkiem. Ja jednak mam co do tego pewne wątpliwości. Ale jeśli chcesz, możesz zaryzykować. Opowiedz im, co zrobiłeś z Wilczkiem! Opowiedz im, dlaczego komisarz Gereon Rath nie zrobił żadnych postępów w śledztwie w sprawie Wilczka! Zobaczmy, co się stanie. Mogę obiecać Ci tylko tyle, że ja tego nie zrobię, nie pogrążę Cię. Nie pytaj, dlaczego. Może przez wzgląd na starą przyjaźń.

– Ależ z Ciebie cyniczny dupek.

– Jestem policjantem. Oraz realistą. Jeśli się chwilę zastanowisz, to też dojdiesz do wniosku, że mam Cię w garści bardziej niż Ty mnie. Ale nie o to mi chodzi. Chcę pokoju. Najlepiej będzie, jeśli zapomnimy o całej tej sprawie i udamy, że nic się nie stało. Może zaszerwuj Zörgiebelowi obu Rosjan jako morderców, a on będzie zadowolony. Dlaczego i po co – te pytania już nikogo nie obchodzą. Przecież chcesz zrobić karierę w policji kryminalnej, czyż nie? W takim razie powinienesz potrafić po prostu zapominać o rzeczach, jeśli to wskazane, i nie zadawać więcej pytań, niż to konieczne.

– Nie będziesz mi mówił, co jest wskazane!

Wolter zmierzył go spod przymrużonych oczu.

– Przepraszę Cię. Emmi zaraz powinna wrócić, chciałem do tej pory skończyć koszenie trawy. – Z powrotem nałożył kapelusz, odwrócił się i poczłapał z powrotem do kosiarki.

Z bezsilną wściekłością Rath spojrzał na szerokie plecy, mokre od potu. Gdy znów już siedział w aucie, otwartą dłońią uderzył w kierownicę. Tak mocno, że aż go zabolalo.

Najgorsze było to, że Wolter miał rację. Rath nie może zrobić niczego, absolutnie niczego. Nie potrafił nawet dać upustu swojej

wściekłości.

Właśnie poprawiała brwi kredką, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. To nie mógł być on. A może jednak? Jeśli jest jednym z tych przesadnie punktualnych, to wieczór byłby skończony, zanim w ogóle by się zaczął.

– Greta, zobaczysz, kto to? – zawołała z łazienki. – To na pewno do ciebie!

Spodziewała się go dopiero za niecałą godzinę. Dziesiąta, tak się umówili. O ósmej wróciła z prezydium. Potrzebowała jeszcze trochę czasu, żeby złapać oddech po tak fatalnym dniu.

Gereon Rath znów zaraportował o jakichś zwłokach. Co dzień kolejne. Podejrzani o morderstwo padają mu jak muchy, tyle że Ci martwi Rosjanie faktycznie wchodzili w rachubę jako mordercy. W przeciwieństwie do Kardakowa, który miał mu posłużyć do skompromitowania Böhma. A na koniec i tak okazało się, że to Rath jest tym wystrychniętym na dudka. Prawie współczuła mu tego, że cały Zamek się z niego naśmiewał, ponieważ wcisnął Zörgiebelowi nieboszczyka jako mordercę. Odrzuciła jednak współczucie, tysiąc razy bardziej zasłużył sobie na złość. Za to, w jaki sposób potraktował Böhma. I to, w jaki sposób potraktował ją. A jej się wydawało, że wreszcie znalazła mężczyznę, z którym mogłaby być dłużej niż tydzień. Dużo dłużej. Może całe życie. Tak, zakochała się w nim. Niewybaczalna głupota. Sprawę pogarszała jeszcze krzywda, którą jej wyrządził. Co za drań!

Ostatecznie pan Rath złapał tych swoich morderców. Bez wątpienia to Rosjanie znęcali się nad dwoma krajanami, najpewniej też oni ich zabili. Na nazwisko Nikity Fallina wynajmowano halę magazynową na terenie dworca towarowego Anhalter Bahnhof. Była to upiwniczona hala, w której na betonowej podłodze służba śledcza znalazła ślady krwi, poza tym przeróżne narzędzia oraz wielki młot dwuręczny, również pokryty krwią. Spore ilości heroiny do tego ukryte były w kole zapasowym. Na górze magazynu stały auta, wszystkie kradzione, niektóre na nowo polakierowane. Uskuteczniany przez Rosjan handel samochodami zdawał się kwitnąć. Mieli tak ogromne zyski, że jeden z wozów po prostu oddali, żeby wraz z nim zatopić w kanale jedną ze swoich ofiar.

Zagadką pozostawało, dlaczego to zrobili. Niestety nie można było o to zapytać Fallina ani Selenskiego. Dla Zörgiebela nie miałyby to znaczenia. Komu potrzebny był motyw? Grunt, że wyjaśniono morderstwa!

W każdym razie wyglądało na to, że ktoś dzielnie pomagał przy obu wypadkach. Elektryczna suszarka do włosów nie spadła ot tak sobie do wanny. Poręcz przy Yorckstrasse też specjalnie przygotowano.

Reinhold obwiniął samego siebie, gdyż pozwolił uciec kobiecie, która prawdopodobnie zwabiła Rosjanina w śmiertelną pułapkę. Nie potrafił jej nawet dokładnie opisać, ponieważ widział ją na mrocznej klatce schodowej jedynie przez chwilę, a większość tego czasu – pod światło. Żeby naprawić swój błąd, został w Zamku tak długo, aż Gennat chciał go już niemal z niego wyrzucić siłą. Wręcz odwrotnie sprawa miała się z Gereonem Rathem, o którym nikt nie wiedział, gdzie znów się podziewa. Wykorzystywał swoją swobodę tak bar-

dzo, że powoli nawet Budda miał tego po kokardę, choć chętnie dawał swoim ludziom dużo wolności.

Rath działał tak, że tu zgłosił znalezienie zwłok, tam poszwendał się trochę po miejscu zbrodni, a potem zlecał czarną robotę innym ludziom – to nie był do końca najlepszy sposób, by zaskarbić sobie sympatię Gennata albo sympatię Böhma, choć ten drugi i tak nie trawił Gereona Ratha.

Ktoś zapukał do drzwi łazienki. Greta wetknęła swoją rudą czuprynę przez szparę.

– Jak Ci idzie, Charly? Jesteś gotowa?

– Prawie. Dlaczego pytasz?

– Ktoś do Ciebie przyszedł.

– Kto taki?

– Ktoś z prezydium.

Przez chwilę oceniła swoje odbicie w lustrze. Dla kogoś z Zamku tyle wystarczy. Czyżby Reinhold chciał się wypłakać w jej rękaw? Asystent kryminalny bywał czasami nieco wrażliwy. Przede wszystkim wtedy, kiedy zdarzało mu się popełnić błąd.

Wyszła z łazienki i zobaczyła stojącego w korytarzu mężczyznę, którego najmniej by się spodziewała ujrzeć. Tego, który nie pojawił się dziś w prezydium.

Gereon Rath.

Wyglądał jak swój własny cień. Żałośnie. Głębokie cienie pod oczami, jakby nie spał całymi nocami, zapadnięte policzki, jakby nie jadł już od paru dni. Co się z nim dzieje? Przecież dziś odnalazł ostatniego mordercę, nawet jeśli było to tylko ciało przestępcy.

Kiedy ją ujrział, uśmiechnął się z zakłopotaniem, prawie ze skruką.

– Dobry wieczór, panie komisarzu – przywitała się chłodno, a uśmiech na jego twarzy zamarł.

– Zupełnie zapomniałem, że nie mówimy do siebie na Ty – powiedział. – Szczerze mówiąc, nie mam ochoty na te gierki.

– Kto powiedział, że to gierki?

Greta chrząknęła.

– Ekhem! Charlotto, jeśli potrzebujesz mojej pomocy, to jestem w moim pokoju.

Zostali sami.

Czego on chciał? Przynajmniej nie miał przy sobie kwiatów. Od razu przetrzepałaby mu nimi skórę.

– Może usiądziemy? Muszę z Tobą porozmawiać.

– Nie wiedziałam, że mamy coś do omówienia, panie komisarzu! Proszę, żeby opuścił pan moje mieszkanie.

– A jeśli nie chcę tego zrobić?

– To wtedy *ja* wyjdę. I wezwę policję. Termin „naruszenie miru domowego” powinien być panu znany.

Chwyciła z wieszaka pierwszy z brzegu płaszcz i mijając go, z impetem wypadła na zewnątrz. Co za durny uparciuch!

Była już przy drzwiach wejściowych do budynku, gdy usłyszała jego kroki na schodach. Chce się ścigać? Niech tak zatem będzie!

Wiedział, że nie będzie to łatwa przeprawa, ale nie przypuszczał, że faktycznie będzie przed nim uciekać. Przez chwilę myślał, że to jedynie głupi żart i Charly zaraz wróci. Albo naprawdę wróci trochę później, ale wtedy już w towarzystwie kilku szupo! Najbliższy komisarjat policji znajdował się tuż za rogiem przy Paulstrasse. Rath rzucał ciche przekleństwo, kiedy wypadł za nią z mieszkania. Wyszedł z budynku na ulicę i rozejrzył się wokoło. Na jednym końcu

Spenerstrasse wznosił się areszt śledczy Moabit, na drugim – łuki wiaduktu kolejki miejskiej. Po Charly nie było ani śladu.

Rath pobiegł do najbliższego zbiegu ulic. Melanchthonstrasse, droga, która wpadała w Paulstrasse, gdzie tuż za rogiem mieścił się komisariat nr 28. Jednak Charly nie pobiegła w tym kierunku. Odwrócił się i zdołał dojrzeć jeszcze jej czarny płaszcz znikający w Calvinstrasse. Biegła w kierunku Sprewy. Pędem pognął za nią. Teraz wiedział przynajmniej, gdzie była.

Dogonił ją tuż przed kładką, która prowadziła do dworca Bellevue.

Mocno ją chwycił, już mu się nie wymknie.

– Puść mnie! – syknęła. – To boli!

Przynajmniej zwracała się do niego na Ty. Omal się nie zaśmiał.

– Teraz Ty wysłuchasz, co mam Ci do powiedzenia! – sapnął, nie mogąc złapać tchu. Szarpała się niczym dziki koń. Parę osób im się przyglądało. – Nie możesz tak po prostu ode mnie uciekać.

– Przecież widzisz, że jednak mogę! Ty odrażający draniu!

– Jeśli chcesz w ten sposób subtelnie dać mi do zrozumienia, że to ja jestem tym, kto spieprzył to, co nas łączyło, to dziękuję, nie ma takiej potrzeby! Wiem to doskonale! I jeśli mógłbym cofnąć czas, to bym to zrobił. Moja tajemniczość była...

– Wziąłeś mnie na spytki! Wykorzystałeś mnie! Udawałeś, że darzysz mnie jakimiś uczuciami! I jeszcze dziwisz się, że nie chcę już na Ciebie patrzeć? Zejdź mi z oczu! Wystarczy, że muszę Cię znosić w prezydium!

– Posłuchaj mnie wreszcie! To wszystko, o co proszę. Nie miałem prawa tak Cię traktować, powinienem był otwarcie z Tobą porozmawiać. I właśnie to chcę teraz zrobić, chcę porozmawiać! Chcę Ci

wszystko powiedzieć! Wyznać Ci tyle tajemnic, że aż zakręci Ci się od nich w głowie.

– Jeśli to jakiś tani chwyt, którym chcesz mnie na powrót zdobyć, to zapomnij! – jej oczy spoglądały na niego gniewnie.

– Chcę tylko jednego: porozmawiać z Tobą. Nie chodzi o nas. Chodzi o mnie. Nie wiem, co dalej robić.

– Skąd przyszło Ci do głowy, że chcę Cię wysłuchać?

– Mogę Cię tylko o to prosić.

– Dlaczego akurat mnie?

– W tym mieście jesteś jedynym człowiekiem, któremu ufam. Tkwię w gównie tak głęboko, jak jeszcze nigdy. Ja...

– Nie bierz mi tego za złe, Gereonie, ale tak też właśnie wyglądasz. Parszywie.

Chyba spojrział na nią z dużym zdziwieniem. Jeszcze przez moment zachowała powagę. Potem, powoli, gdy uniosła kąciki ust, ukazały się jej dołeczki. Wtedy już wiedział, że go wysłucha.

Ileż on czekał na ten uśmiech!

Kiedy był jeszcze w hotelu, chodził po swoim pokoju nerwowo niczym tygrys w klatce. Gdy działanie kokainy powoli słabło, poczuł, jak znów ogarnia go zmęczenie. Mimo to nie zaznał odpoczynku. Czuł jeszcze w kościach spotkanie z Brunonem Wolterem, wściekłość na niego i własną bezsilność. Zupełnie nie wiedział, co począć. Co powinien zrobić? Bezczylnie przyglądać się, jak morderca co dzień przyjeżdża do prezydium i z uśmiechem na ustach wykonuje swoją pracę, jak gdyby nigdy nic? Jak nadal zgrywa policjanta o nieskazitelnej reputacji?

A może powinien przedstawić swoje oskarżenia? Prokurator zażądałby dowodów, których Rath nie posiadał. Do tego wtedy musiałby sam obciążyć się zarzutami. A na koniec Wolter tak wykręci kota



ogonem, że jeszcze oskarżą Gereona Ratha o morderstwo na Jänickem. O pasujący motyw nietrudno: asystent kryminalny odkrył, że komisarz zagrzebał ciało Świętego Józefa, i dlatego Rath go zamordował. Nie brzmiało to bardziej pokrętnie niż prawda. Może nawet bardziej przekonująco.

Rath był u kresu sił. Jego samotna wojna donikąd nie prowadziła. Potrzebował pomocy. Do głowy przyszła mu tylko jedna osoba, której mógł się zwierzyć. I dlatego też schował dumę do kieszeni i pojechał do Charly.

Zapadał już zmierzch, gdy spacerowali przez Schlosspark, leżący na drugim brzegu Sprewy. Można było znów wziąć ich za parę zakochanych.

Opowiedział jej wszystko.

To, jak na własną rękę prowadził śledztwo w sprawie Kardakowa, jak napadł go Wilczek i jak mężczyzna zginął, jak Rath zagrzebał jego ciało, a następnie sfałszował śledztwo. Oraz że w związku z tym był jedyną osobą, która wiedziała, że Bruno Wolter zastrzelił Stephana Jänickego.

Nie przemilczał nawet kokainy ani śmiertelnego strzału w Kolonii, choć nie miał on żadnego związku z obecnymi wydarzeniami. Pomiął tylko jedną rzecz – swoją przedziwną historię łóżkową z Elisabeth Behnke.

Charly słuchała w milczeniu. Z jej twarzy zniknął jakikolwiek ślad uśmiechu.

– Chyba najpierw potrzebna mi będzie kawa – powiedziała, gdy w końcu zamilkł. – Wyglądasz tak, że Tobie też dobrze by zrobiła jedna filiżanka. Jeśli nie trzy.

Rzeczywiście była zszokowana. Wydawało jej się, że odkąd pracuje w policji, nic nie może jej już zaskoczyć, jednak to, co chwilę wcześniej usłyszała od Gereona, sprawiło, że zaniemówiła.

W milczeniu wrócili na Spenerstrasse. Uliczne latarnie już świeciły.

– Niewiele brakowało, a zgłosiłabym Wasze zaginięcie – powiedziała Greta, gdy wrócili. Charlotte widziała, że przyjaciółkę zżera ciekawość. Kiedy Gereon odwrócił wzrok, dała jej ukradkowy znak i Greta zniknęła w swoim pokoju

– Zjesz coś? – zapytała, krzątając przy kuchni, żeby wstawić wodę. Widok jego, siedzącego przy kuchennym stole niczym utrudzony wojownik po przegranej bitwie, budził w niej instynkt macierzyński. Kawa naprawdę dobrze mu zrobi, wyglądał przecież tak, jakby miał zaraz spaść z krzesła.

– Dziękuję – powiedział. – Ale niczego teraz nie przełknę.

– Mam nadzieję, że to nie przytyk do moich zdolności kulinarnych.

– Przecież w ogóle nie miałem okazji ich poznać.

– Teraz mogłabym i tak zaproponować Ci jedynie kanapkę.

– Kawa wystarczy.

Woda już się gotowała, gdy ktoś zadzwonił do drzwi.

Spojrzała na zegarek wiszący nad stołem. Za trzy dziesiąta.

Jej randka!

W całym tym zamieszaniu zupełnie zapomniała o mężczyźnie, z którym się umówiła!

Georg Siegert. Kolega Grety. Przywlekła go ze sobą i powiedziała, że to mógłby być ktoś dla Charly. A ona dała się namówić.

Co miała teraz począć z tym mężczyzną? A poza tym nie miała już najmniejszej ochoty, żeby gdziekolwiek dziś jeszcze wychodzić.

Podbiegła do drzwi mieszkania, zanim Greta wpadła na pomysł, żeby je otworzyć.

Stał w nich pan Siegert, na twarzy miał uśmiech zwycięzcy, a w wyciągniętej przed siebie ręce – bukiet kwiatów.

– Piękne kwiaty dla jeszcze piękniejszej kobiety – powiedział.

Niewiarygodnie głupi frazes, ale pan Siegert tak czy owak stał już na przegranej pozycji.

Charly zignorowała bukiet, który trzymał w ręce. Orchidee! Nie nawidziła orchidei.

– Że też pan śmie! – powiedziała. – Co za bezczelność!

Georg Siegert najwidoczniej nie wiedział, co takiego ośmielił się zrobić. Spoglądał na nią, skonsternowany.

– Słucham? – zapytał.

– Niczego bardziej nie cierpię, panie Siegert, niż niepunktualności!

– Niepunktualność? – powtórzył mężczyzna i w końcu opuścił bukiet. – Ale my przecież byliśmy umówieni na dziesiątą, czyż nie?

– To niech pan spojrzy na swój zegarek! *Za dwie dziesiątą!* A do drzwi zadzwonił pan *jeszcze wcześniej!* Życzę panu udanego wieczoru!

Powiedziawszy to, zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Kiedy wróciła do kuchni, woda na kawę dalej stała na ogniu.

A Gereon Rath nadal siedział przy stole.

Powinna była się pośpieszyć z tą kawą. Broda Ratha opadła na klatkę piersiową. Zasnął.

Gdy się obudził, poczuł w nozdrzach jej zapach.

– Charly – wymamrotał i objął poduszkę. Jego dłonie szukały kobiety, ale jej nie znalazły. Otworzył oczy. Pościel miała jej zapach, lecz Charly nigdzie nie było.

Usiadł. Gdzie się znajduje? Przytulny, mały pokój. Pokój Charly! Rath przeciągnął się. Czuł się dobrze, tak jak nie czuł się już od wielu dni. Przede wszystkim się wyspał. I na dodatek w jej łóżku! Ona najwidoczniej w nim nie leżała. Za to towarzyszyła mu w snach. Ona i jej zapach. Wetknął nos w jej poduszkę i jeszcze raz głęboko zaczerpnął powietrza.

Powoli wracały wspomnienia minionego wieczoru. Wszystko jej opowiedział, tyle jeszcze pamiętał, to nie był sen. A ona nie posłała go do diabła. Chciała mu nawet zrobić kawę. Było to ostatnie wspomnienie, które mógł przywołać – to, gdy siedział w kuchni, a ona stała przy kuchence i parzyła kawę.

Wstał i podszedł do okna. Świeciło słońce. Jego rzeczy, starannie poskładane, były przewieszane na krześle. Rozebrała go do bielizny. Co za opiekuńczość.

Powoli otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz. W korytarzu nie było nikogo. Czy łazienka też była pusta? Drzwi były tylko uchylone.

Wymknął się z pokoju. Droga wolna!

Spojrzał w lustro. Golenie dobrze by mu zrobiło, ale nie znalazł w tej łazience żadnych przyborów nadających się do tego. Obficie spłukał twarz wodą i obmył tułów oraz ręce, następnie nałożył na palec wskazujący niewielką ilość pasty, prowizorycznie umył zęby i wypłukał usta płukanką Odol.

Jego odbicie nadal nie budziło szczególnego zaufania, ale przynajmniej czuł się teraz świeżo.

Wrócił do pokoju Charly i ubrał się. Grzebieniem, który wyjął z marynarki, zaczesał sobie do tyłu mokre jeszcze włosy.

Potem poszedł do kuchni. I tu pusto. Ale stół do śniadania stał nakryty. Zegarek wskazywał wpół do dziesiątej. Od wieków tyle nie spał.

Zastanawiał się, gdzie podziewają się Charly oraz Greta, jej przyjaciółka. Wtedy sobie przypomniał.

Oczywiście! W Zamku! Przecież Charly pracowała w zasadzie co niedzielę.

Wstawił wodę i wsypał ziarna kawy do młynka stojącego pod ścianą. Chciał jeszcze wypić kawę, a potem wrócić do hotelu i się odświeżyć. Opel powinien nadal stać jeszcze na dole przed drzwiami. Najwyższy czas odstawić go do prezydium. Musiał tylko jeszcze wymyślić jakąś historyjkę, dlaczego zatrzymał samochód na noc. Już coś mu przyjdzie do głowy. Jakieś obserwacje, śledzenie podejrzanego – służba w policji niosła ze sobą wiele nieprzewidzianych zdarzeń.

Usłyszał klucz przekręcający się w drzwiach mieszkania. Chwilę później Charly wetknęła głowę do środka.

– Wyspany? – zapytała i pomachała papierową torebką. – Kupiłam kilka bułek.

– Nie powinnaś być w pracy?

– Zapytałam Böhma, czy mogę wziąć wolne za nadgodziny. Zgodził się. – Usiadła przy stole i otworzyła torebkę z pieczywem. – Ale ty powinieneś się dziś pojawić w Zamku. Podobno Gennat o Ciebie pytał.

– Staruszek Böhm pewnie by się ucieszył, gdybym wpadł w tarapaty, prawda? – Rath wlał wrzątek do filtra.

– Wydaje mi się, że powinniście wyjaśnić sobie to i owo. Byłoby lepiej, gdybyście współpracowali, zamiast zastanawiać się, jak sobie nawzajem dopiec.

Postawił dzbanek z kawą na stole i dosiadł się do niej.

– Może powinienem mu zatem opowiedzieć to, co wczoraj powiedziałem Tobie. Skoro już zabrałem się wyjaśnianie spraw. – Jego

głos miał ewidentnie sarkastyczny ton.

– Dlaczego nie? – zapytała.

– Mówisz poważnie?

– Böhm może nie jest najwłaściwszym adresem, ale powinieneś opowiedzieć to komuś z prezydium. Może Gennatowi?

– Pełnemu Ernstowi?

Zignorowała także ten dowcip.

– W każdym razie komuś, komu możesz zaufać. Najlepiej, jeśli poszedłbyś bezpośrednio do Zörgiebela. Podobno jesteś z nim w dobrych stosunkach. Tak mówią.

– W kantynie.

– Mówię poważnie, Gereonie! Wyjaśnij tę sytuację. To Twoja jedyna szansa, jeśli chcesz znów patrzeć w lustro, nie czując strachu.

– Golenie powinno załatwić tę sprawę.

– Ja naprawdę mówię poważnie! Jeśli chcesz, żeby Bruno Wolter otrzymał zasłużoną karę, jeśli chcesz, żeby te brudne interesy się skończyły, jeśli chcesz sprawiedliwości, to musisz wyjawić całą prawdę. Inaczej się nie da. Czy może chcesz przez resztę życia wyrzucać sobie, że kryjesz mordercę?

– Nie mam prawie żadnych dowodów. A w ciągu ostatnich paru dni zgromadziłem tyle służbowych przewinień, ilu innym nie udaje się uzbierać aż do emerytury. Nie ma znaczenia, komu z prezydium opowiem tę historię, z mojej kariery w policji będą nici.

– Może się tak stać – powiedziała ze spokojem. – Pewnie Cię nawet wyrzucą. Musisz się z tym liczyć.

– Świetna rada, dziękuję! Ale tak się składa, że jestem gliną. Niczego innego nie potrafię.

– Zostań zatem prywatnym detektywem.

– Mam śledzić niewierne żony? Być ochroniarzem jakiegoś aktora? Chyba podziękuję!

– Czasami życie nie pozostawia człowiekowi innego wyboru.

– Na Boga, Charly! W jakie tarapaty ja się wpakowałem! Gdybym Ci wszystko od razu opowiedział te parę tygodni temu, to sprawy nie zaszłyby tak daleko.

– Nie lubię takiego gdybania. Jest, jak jest. Spójrz prawdzie w oczy. Co się stało, to się nie odstanie.

– Brzmi bezwzględnie.

– Życie jest bezwzględne, panie komisarzu.

– Wszystko widzisz w tak ciemnych barwach? To, co nas łączy, również? Czy również w naszym przypadku zastosowanie znajdują słowa: co się stało, to się nie odstanie?

Zanim odpowiedziała, zawahała się przez moment.

– Odkąd skończyłam siedemnaście lat, nie ryczałam z powodu mężczyzny – oznajmiła. – Wówczas przysięgam sobie, że nigdy więcej mnie to nie spotka. – Spojrzała na niego tym zimnym spojrzeniem, którego tak się bał. – Nie dotrzymałam przysięgi, Gereonie. Ryczałam przez Ciebie, Ty draniu! Wydaje Ci się, że chcę przez to przechodzić raz jeszcze?

Nie musiał tłumaczyć się Gennatowi, co takiego robił poprzedniego dnia. Budda miał ważniejsze rzeczy do roboty, w Zamku panowało ogromne poruszenie.

Odnaleziono grób.

Nie tylko ten, w którym przez kilka tygodni leżał Aleksiej Kardakow. Pośrodku lasu w Spandau trafili od razu na całe cmentarzyisko. Spod dywanu z pożółkłych świerkowych igieł szupo wykopali kolejnego zaginionego – pracownika sowieckiej ambasady, Wadima

Troszyna, oraz dwóch niemieckich członków Czerwonego Związku Bojowników Frontowych, co do których policja dotąd zakładała, że po delegalizacji zrzeszenia zniknęli w politycznym podziemiu.

Podziemie było poniekąd trafnym określeniem, dowcipkował Henning, który zajmował się sprawą obu mężczyzn. Po majowych rozruchach wylądowali jeszcze w policyjnym areszcie. Najwyraźniej po wyjściu na wolność zadali się z niewłaściwymi ludźmi.

Było niemalże pewne, że groby wykopali Selenski i Fallin. Ślady opon, które służba śledcza zabezpieczyła w lesie, pasowały do śladów pewnego skradzionego auta, które kilka dni wcześniej odnaleziono w magazynie Fallina. Ludzie Kronberga odnaleźli w bieżniach nawet pojedyncze igły świerku. Rath mógłby iść o zakład, że to samo auto trzy dni wcześniej stało przed cmentarzem przy Greifswalder Strasse.

Powoli obraz stawał się klarowniejszy. Zörgiebel się ucieszy: znaleźli morderców. A Gereon Rath miał w tym swój udział. Wyjaśnili większość pytań. Poza jednym: dlaczego tych dwóch zbirów umarło gwałtowną śmiercią?

Rath wziął protokoły techników i zaszył się w swoim biurze, żeby zbadać analogie obu przypadków: Fallina i Selenskiego. Przynajmniej tak powiedział Gennatowi.

Jednak tak naprawdę miał w głowie zbyt wielką płataninę myśli, żeby się nad tym poważnie zastanowić. Było mu też w tamtym momencie obojętne, kto miał na sumieniu obu tych mężczyzn. W każdym razie kara dosięgła właściwych ludzi. Nawet prezydentowi policji wystarczy na razie to, co mieli. Czytelnikom gazet również. „Dwóch brutalnych szubrawców otrzymało zasłużoną karę”.

Dlaczego więc nie zapomnieć o całej tej sprawie z Wolterem i po kiepskich początkach wreszcie wdrożyć się w codzienną pracę In-



spekcji A, wyczekiwać nadarzających się okazji i robić karierę? Dlaczego nie?

Ponieważ nie mógł tego zrobić.

Po głowie krążyły mu słowa Charly. „Jeśli chcesz znów spojrzeć w lustro...”.

Chciał, żeby tak było. Miała rację.

Rath chwycił za telefon.

Jednak nie udało mu się dodzwonić do prezydenta policji: ani na jego numer służbowy, ani na prywatny. Zörgiebel miał niezłą ochronę, poza tym pewnie pakował już walizki do Magdeburga. Jego rodzina posiadała przestronne mieszkanie służbowe na pierwszym piętrze Zamku, lecz prezydent wykorzystywał je do bardziej oficjalnych celów, choćby gdy podejmował prominentnego gościa. Zazwyczaj przebywał w swojej willi w Zehlendorfie. Rath postanowił, że sam się do niego wybierze. Opel nadal stał na dziedzińcu, w miejscu, gdzie go zaparkował.

Podróż zajęła mu niespełna pół godziny. Przed bramą z kutego żelaza wartę pełnił policjant w niebieskim mundurze. Zörgiebel był w domu, to dobry znak. Rath wysiadł z samochodu. Szupo spojrzął na niego nieufnie. Od czasu majowych zamieszek wartownicy prezydenta policji wykazywali pewną nerwowość. Komuniści podburzali ludzi przeciwko Zörgiebelowi. Rath wyciągnął legitymację służbową, żeby wyjaśnić, że nie jest jednym z czerwonych.

- Po co pan tu przyszedł, panie komisarzu?
- Mam ważną wiadomość dla pana prezydenta.
- Może pan przekazać ją mnie.
- Osobistą wiadomość.
- Pan prezydent już nikogo dziś nie przyjmuje.
- W moim przypadku zrobi wyjątek.

– Nie wydaje mi się. Mam kategoryczny zakaz wpuszczania kogośkolwiek.

– Niech pan mu powie, że komisarz Rath chciałby z nim porozmawiać.

– Ja...

Przerwał mu klakson samochodu. Szupo sprężystym krokiem pośpieszył do bramy i otworzył oba jej skrzydła. Żwir chrupotał, gdy ciężki maybach powoli wytaczał się z podwórza. Na tylnym siedzeniu Rath dojrzał Zörgiebela czytającego jakieś dokumenty. Pobiegł za jadącym jeszcze powoli autem i zapukał w szybę. Prezydent nie zareagował, ale szofer owszem. Dodał gazu.

Rath podbiegł jeszcze kawałek za wozem, który jechał coraz prędzej, aż w końcu zatrzymał go donośny okrzyk.

– Stać, nie ruszać się! Albo strzelam!

Odwrócił się. Ten cierpiący na paranoję szupo rzeczywiście celował do niego z pistoletu.

– Niech pan posłucha, to nieporozumienie! Muszę jedynie porozmawiać z prezydentem policji. Niech pan opuści broń!

– Niech pan lepiej podniesie ręce do góry, przyjacielu!

– Na Boga! Przecież nie jestem żadnym komunistą! Co pan sobie myśli? Że chcę gołymi rękami wywrócić samochód prezydenta?

Szupo nic nie odpowiedział, jedynie spoglądał Rathowi przez ramię, skonsternowany. Dźwięk silnika stawał się coraz głośniejszy. Maybach zahamował tuż przy komisarzu. Zörgiebel opuścił szybę.

– A więc jednak wzrok mnie nie myli! Drogi panie Rath, co pan tu robi?

– Dobry wieczór, panie prezydencie. Wydaje mi się, że mimowolnie wypróbuję szybkość reakcji pańskich wartowników.

– Niech pan opuści broń, wachmistrzu! Nie potrafi pan odróżnić komisarza od zamachowca?

Skruszony szupo schował pistolet. W końcu Rath odważył się odwrócić do Zörgiebela.

– Właściwie przyszedłem tu, ponieważ mam ważną wiadomość dla pana prezydenta...

– Ale Gennat już mi wszystko powiedział. Dobra robota, mój drogi, naprawdę dobra robota! Nie musiał się pan tu specjalnie fatygować! Widzę, że wziął sobie pan sobie do serca moje słowa z zeszłego tygodnia!

– Nie chodzi o sprawę Kardakowa, panie prezydencie. To znaczy, chodzi o nią. O sprawy, które się z nią wiążą.

– Czy to nie może poczekać do przyszłego tygodnia? Jadę do Magdeburga. Jutro zaczyna się zjazd partyjny, a dziś wieczorem mamy pierwsze spotkanie.

– To nie może czekać, panie prezydencie. To sprawa niecierpiąca zwłoki. Muszę też prosić pana o absolutną dyskrecję.

Zörgiebel zastanowił się przez chwilę.

– Ma pan wystarczająco dużo pieniędzy w kieszeni?

– Nie rozumiem, panie prezydencie.

– Czy ma pan przy sobie wystarczająco dużo pieniędzy, żeby kupić bilet z Magdeburga do Berlina?

– Wydaje mi się, że tak.

– No to na co pan czeka? Niech pan wsiada!

Chwilę później Rath siedział obok Zörgiebela na wygodnym tylnym siedzeniu maybacha. Mieli je wyłącznie dla siebie. Z przodu siedzieli szofer i podporucznik policji porządkowej – oddzieleni od nich grubą szybą, przez którą nie przedostawał się choćby najcichszy dźwięk. Kierowca prowadził auto szosą do Poczdamu.

– Tu nikt nam nie będzie przeszkadzał – powiedział Zörgiebel, który zakończył już lekturę akt, i zdawał się mieć świetny nastrój. – Mogę zaproponować panu coś do picia?

Rath siedział zdumiony. W służbowym aucie prezydenta policji znajdował się nawet barek.

– Właściwie, to nie piję na służbie – odparł. – Ale teraz nie odmówiłbym whisky.

– Nie jest pan już na służbie, drogi panie – skwitował Zörgiebel i nalał napoju do szklanki.

– Zależy jak na to spojrzeć. To służbowa rozmowa.

– Doprawdy? Znamy się na tyle dobrze, że mogłaby również uchodzić za prywatną. – Zörgiebel podał Rathowi szklankę z whisky i uniósł swoją własną. – Na zdrowie, panie komisarzu!

Napili się, po czym rezydent policji nalał sobie koniaku. Dobrze mu robi, pomyślał Rath. A gdy już skończy opowiadać swoją historię, to Zörgiebelowi przyda się kolejny.

Rath głęboko zaczerpnął powietrza i zaczął mówić.

Niecałe sto kilometrów później powiedział już wszystko. Maybach minął właśnie wyjazd z miejscowości Genthin i kierowca znów przyspieszył. Gdy wóz dalej mknął drogą krajową nr 1 w kierunku Magdeburga, Zörgiebel rzeczywiście nalał sobie kolejną szklankę koniaku i milczał. Najpewniej przetrwał to, co komisarz mu powiedział.

Rath wykorzystał ten czas i położył odznakę, legitymację oraz mauzera na czarnym skórzanym obiciu kanapy.

Zörgiebel spojrzał na niego zdumiony.

– Co pan wyprawia? Niech pan z powrotem schowa broń! Chce pan, żeby wystrzeliła?

– Chcę prosić pana prezydenta, żeby zwolnił mnie ze służby w policji.

– Nic z tego, tak łatwo panu to nie ujdzie! No już, niech pan zabierze swoje rzeczy z siedzenia!

Rath schował wszystkie przedmioty. Dopiero teraz zauważył ślady białego proszku na legitymacji. Starł je szybkim ruchem.

– Muszę przyznać, że z trudem przychodzi mi uwierzenie w tę historię – powiedział w końcu Zörgiebel. – Kliku członków Stahlhelmu, kwitujący handel bronią z policyjnych zasobów i wyposażenie w nią nazistów?

To, że jeden z jego funkcjonariuszy nie cofnął się przed zabójstwami ani zleceniami zabójstw ludzi, zdawało się już mieć dla prezydenta policji mniejsze znaczenie.

– Niech pan zadzwoni do Wündischa – zaproponował Rath.

– Tak zrobię, może być pan tego pewien, gdy tylko dotrę do Magdeburga. A więc IA znów uskutecznia samowolkę!

– I poświęciła do tego niedoświadczonego policjanta!

Zörgiebel pokręcił głową, jakby dalej nie mógł w to uwierzyć.

– Drogi panie Rath – zaczął. – Żadna ze spraw, o których mi pan właśnie opowiedział, absolutnie nie może wyciec do opinii publicznej, jest pan tego świadom? Ani pańskie przewinienia, ani przekręty z bronią w naszym organie, ani też polityczne uwikłania poszczególnych funkcjonariuszy.

– Przykro mi, panie prezydencie, ale nie widzę innej możliwości – oznajmił Rath. – Dopiero jeśli ujawnimy całą prawdę, to będziemy mogli rozprawić się z czarnymi owcami w pruskiej policji. Proponuję, żeby zwolnił mnie pan ze służby, abym mógł jako świadek zeznać w sądzie przeciwko nadkomisarzowi Wolterowi.

– Niech pan już skończy z tymi kretynizmami! Odejść ze służby! Niech pan nawet o tym nie myśli! Nie wyrażam na to zgody! – Zörgiebel rozgniewał się. – Jak pan myśli, co się stanie, jeśli ta historia

przedostanie się do opinii publicznej? Wystarczy już, że z powodu majowych zamieszek powołano komisję dochodzeniową. Przeciwno policji, nie przeciwko czerwonym! Jak pan sądzi, co się stanie, jeśli na jaw wyjdzie, że paru naszych ludzi sprzedaje policyjną broń nazistom?

– Czy naprawdę chce pan, żeby komuś takiemu jak Wolter wszystko uszło na sucho? I to tylko dlatego, że mogą wyniknąć jakieś polityczne kłopoty?

– Uszło na sucho? O tym w ogóle nie może być mowy! Chodzi tylko o to, że głową muru nie przebijemy, mój drogi! Nie możemy narazić reputacji naszego organu na jeszcze większy szwank.

– A więc co pan planuje?

– Właśnie się nad tym zastanawiam! I niech się panu nie wydaje, że *panu* wszystko ujdzie płazem, panie komisarzu!

Dobre pół godziny później służbowe auto prezydenta berlińskiej policji przejeżdżało przez kolejne mosty na Łabie w Magdeburgu. Za konturami miasta, nad którym górowały wieżyczki, zachodziło już słońce. Zörgiebel polecił kierowcy zatrzymać się przed dworcem głównym.

– A zatem, panie komisarzu, wie pan, co ma teraz robić?

Rath skinął głową.

– Sądzę, że nam się uda. A co zrobimy, jeśli wpadnie w pułapkę?

– Niech pan to zostawi mnie, drogi panie Rath. Niech pan mi tylko znajdzie niepodważalne dowody na związki Woltera z NSDAP, najlepiej z kilkoma zdjęciami niepozostawiającymi żadnych wątpliwości. Resztą zajmę się ja!

– Nie zawiodę pana, panie prezydencie – powiedział i otworzył drzwi samochodu.

– A zatem: powodzenia!

– Nawzajem, panie prezydencie.

– I niech mnie pan informuje na bieżąco.

Rath wysiadł z auta. Maybach ruszył z miejsca, zawrócił i zatrzymał się pod hotelem Continental po drugiej stronie ulicy. Boy otworzył drzwi samochodu, a Zörgiebel dźwignął swoje ciało na zewnątrz. Rath spoglądał za prezydentem policji do czasu, aż ten zniknął w hotelu. Potem przez wielkie środkowe wejście wszedł do budynku dworca i przestudiował rozkład jazdy. Do odjazdu najbliższego pociągu pośpiesznego do Berlina miał jeszcze trzy kwadranse.

Kupił więc sobie kawę i przeliczył drobne. Następnie znalazł aparat telefoniczny i zaczął wykręcać numer.

Ten okazał się poprawny. To pierwszy raz, kiedy na niego dzwonił, miał go dopiero od kilku dni.

– Tak, słucham? – odezwał się głos w słuchawce. Bez wątpliwości należał do Johanna Marlowa. A więc dotarcie do wielkiego doktora M. może być tak proste.

– Wydaje mi się, że znalazłem sposób, w jaki może pan wejść w posiadanie pieniędzy – powiedział Rath.

Tyle wystarczyło, żeby w Johannie Marlowie zyskać uważnego słuchacza.

Podróż koleją do Berlina zajęła jakieś dwie godziny. Pierwsze, co Rath zrobił, gdy dotarł na Potsdamer Platz, to wyciągnął pistolet ze skrytki i schował go do kieszeni. Pilnował, by nikt niczego nie zauważył. Na placu przed dworcem wsiadł do jednej z wielu stojących tam taksówek i wrócił do Zehlendorfu. W Berlinie musiało padać podczas jego nieobecności, ulice błyszczały od deszczu. Opel – w nienaruszonym stanie – stał przed bramą do strony ogrodu Zörgiebela. Wartownicy zeszli z posterunku. Rath uruchomił samochód. W Schönebergu wjechał w Hauptstrasse, a potem skręcił w Kolonnenstrasse. Nawet o tej porze przed lotniskiem Tempelhof ruch uliczny był dość gęsty. Rath przecisnął się przez to kotłowisko i pojechał dalej do Neukölln. Zaparkował auto przy Leykestrasse.

Krajewskiego nie było w domu. Tym lepiej, drobne przygotowania uczynią sprawę bardziej wiarygodną. Rathowi udało się szybko otworzyć drzwi. W półmroku przedostał się po omacku do kuchni. Cukiernica? Dlaczego by nie? Niewielki pistolet mieścił się w niej idealnie, choć w środku znajdowała się już torebeczka z kokainą.



Krajewski niczego się nie nauczył. Opuszczając mieszkanie, Rath nie zadał sobie za wiele trudu, żeby zatuszować ślady włamania. Nikt go nie zauważył, gdy wychodził na ulicę. Wszedł do auta i rozsiadł się wygodnie. Miał stąd wyśmienity widok na drzwi do domu Krajewskiego i wystarczająco dużo czasu na ponowne przemyślenie planu, który wykombinował w pociągu.

Była trzecia nad ranem, gdy Krajewski w końcu wrócił do domu. Rath cieszył się, że tak dobrze spał minionej nocy, w przeciwnym razie pewnie uciałby komara, i to mimo tych wszystkich papierosów, które wypalił. Kiedy mężczyzna zniknął w drzwiach budynku, Rath wysiadł z auta. Gdy już wspiał się na górę, zasypał lokatora gradem dzwonek. Fałszywy cesarz wlepił w komisarza zaskoczone spojrzenie, kiedy zobaczył go stojącego naprzeciw siebie.

– Teraz chodzi pan po domach także w środku nocy? Ja przecież też muszę spać!

– Ale nie teraz. Wpuść mnie do środka. Muszę z Tobą pomówić.

Krajewski otworzył drzwi bardziej ochoczo, niż pozwalałoby przypuszczać jego marudzenie.

– Co takiego się dzieje?

– Chcę Cię ostrzec. Jesteś w niebezpieczeństwie.

– A to coś nowego! Policjant kogoś ostrzega! W końcu mamy coś z tych naszych podatków!

– Ktoś się włamał do tego mieszkania.

– A niby co takiego można stąd wynieść?

– Ktoś Ci coś przyniósł.

– Miły włamywacz.

– Nie do końca. Chce Cię zrobić.

– Jak?

– Masz jakiś pistolet?

– Przecież sam pan wie najlepiej, gdzie on jest! Zabrał mi go pański nieskazitelny kolega!

– Lepiej sprawdź dokładnie. Jeśli naprawdę nie masz żadnego pistoletu, to mogę sobie iść, bo to najwyraźniej fałszywy alarm.

– Też mi się tak wydaje – odparł Krajewski, niemniej jednak otworzył parę szuflad, rzucając przy tym nieufnie spojrzenia w bok. Pewnie nie chciał, żeby Rath poznał kryjówki, w których trzyma kokainę.

Z kuchni wrócił z lignose w ręce.

– Nie do wiary! Mój mały ulubieniec wrócił! Za co spotyka mnie ten zaszczyt?

– Tak też przypuszczałem – oznajmił Rath. – To był mój kolega.

– Co to ma znaczyć? Chce mi dyskretnie oddać broń czy co?

– Wątpię. Nadkomisarz Wolter jest draniem. Zastrzelił tym pistoletem człowieka i chce teraz zwalić winę na Ciebie.

– Kogo zastrzelił?

– Policjanta.

– I ja mam w to panu uwierzyć?

– Prowadzę śledztwo w tej sprawie. Oczywiście bardzo dyskretnie. Trudno będzie udowodnić nadkomisarzowi morderstwo. Mieliśmy nadzieję, że to przy nim znajdziemy narzędzie zbrodni, jednak zjawiliśmy się za późno. Udało mu się ją schować. I nie wydaje mi się, żeby po nią wrócił. Bardziej prawdopodobne jest to, że naśle na Ciebie oddział policjantów. Na Twoim miejscu jak najszybciej pozbyłbym się z tego mieszkania rzeczy, które nie są do końca legalne. W pierwszej kolejności pistoletu.

– Jasna cholera. Przecież ja już dotknąłem tej spluwy!

– Odciski palców można zetrzeć. – Rath zaczął powątpiewać, czy Krajewski był aby właściwą osobą do pomocy w realizacji jego pla-

nów. Jednak tylko on wchodził w rachubę. Jedyny, który byłby wystarczająco wiarygodny. – Posłuchaj uważnie – powiedział. – Mam plan, jak możemy dopaść tę świnię. Ale musisz mi w tym pomóc.

– Wrobić glinę? – Krajewski wyszczerzył zęby. – Z wielką chęcią. Ale tego, że poprosi mnie o to akurat jakiś komisarz, nigdy bym nie podejrzewał!

Rath uśmiechnął się niemrawo.

– Nie ma za co.

– Co mam zrobić?

Rath wyciągnął z marynarki kartkę, którą zapisał w pociągu.

– Potrafisz czytać?

Krajewski przytaknął.

– Dobrze. Tu masz wszystko napisane. Zadzwoń pod ten numer i rób dokładnie to, co jest tu zanotowane. A potem najlepiej będzie, jak spalisz tę kartkę, czy to jasne?

Krajewski przytaknął raz jeszcze i wzrokiem przebiegł po zapiskach. Przerwał zaskoczony.

– Ale to przecież pański numer!

– Już nie. Pracuję teraz w wydziale zabójstw.

– I mimo to mam tam zadzwonić?

– Zgadza się. Jutro rano. Po prostu zrób to, co jest tu napisane.

Recepcjonista w Excelsiorze sprawiał wrażenie niemal smutnego, gdy następnego ranka Rath poprosił o zamówienie mu taksówki oraz rachunek.

– Liczę, że pan komisarz zaszczyca nas niebawem po raz kolejny – oświadczył.

– Mam nadzieję, że nieprędko.

Rath miał już po dziurki w nosie mieszkania w hotelu.

Schäffner już na niego czekał, kiedy komisarz – z walizką i kartonem – wysiadł z taksówki przy Luisenufer.

– Pan naprawdę chce się wprowadzić?

– Pruska policja kryminalna nie żartuje, niech pan to sobie zapamięta!

– Naturalnie, panie komisarzu!

– Mogę się wprowadzić do mieszkania?

– Oczywiście! Pańscy koledzy zwolnili je wprawdzie dopiero w sobotę, ale moja Greta jeszcze wczoraj szorowała bez opamiętania. Wszystko wyglansowane na błysk.

Rath pokiwał głową z zadowoleniem niczym pruski kapitan.

– To dobrze. Mam teraz dużo pracy.

– Z powodu tych wszystkich nieboszczyków?

– To też. W najbliższych dniach ma dojść do jakiejś wielkiej transakcji nielegalną bronią. Bardzo nam ta sytuacja daje w kość.

– No, no... – Schäffner z trudem ukrywał ciekawość. – Pewnie chce pan ich rozpracować, prawda?

– Chciałbym, żebyśmy mieli to już za sobą. Jak dotąd wiemy jedynie tyle, że w mieście spodziewana jest dostawa broni. Nie mamy bladego pojęcia kiedy i gdzie.

Schäffner uśmiechnął się szeroko.

– Może niech pan sprawdzi u czerwonych. Przecież oni nigdy nie mogą się nachapać.

Rath już nie zareagował. Jego wiadomość dotarła, to wystarczyło.

– No to chodźmy, szanowny panie – powiedział dozorca. – Śpieszy mi się!

Schäffner w pośpiechu wziął skromny bagaż Ratha i poszedł za nim. Dozorca nie kłamał. W mieszkaniu pachniało jak w fabryce mydła. Zniknęła nawet obwódka brudu z wanny.

Dopiero wpół do jedenastej! Czy to możliwe, że zegarki w prezydium chodzą wolniej niż gdziekolwiek indziej? Gregor Lanke szedł niemal o zakład, że tak było. Nudził się, i to już w poniedziałek rano. Nieźle się ten tydzień zaczynał! Gdyby nadkomisarz przynajmniej gdzieś wyszedł, to mógłby znów poprzeglądać zdjęcia. Jak dołąd to najlepsza rzecz w obyczajówce – oglądanie fotografii. Czasami udawało mu się wieczorem zabrać kilka z nich ze sobą do domu. W zasadzie było to surowo zakazane, w końcu to materiał dowodowy. Ale o takich materiałach dowodowych inne inspekcje tu, na Alexanderplatz, mogły tylko pomarzyć. A te z Köpenick pewnie nawet nie wiedziały, że coś takiego w ogóle istnieje.

Zadzwoił telefon na jego biurku. Nie zdarzało się to za często. Drgnął.

– Policja obyczajowa, Lanke przy aparacie – zgłosił się.

– Chciałbym porozmawiać z komisarzem Rathem.

– On już tu nie pracuje.

Po drugiej stronie zapadło krótkie milczenie.

– W takim razie z komisarzem Wolterem.

– Nadkomisarzem Wolterem – poprawił Lanke i zakrył mikrofon słuchawki telefonu. – Panie nadkomisarzu – zawołał do sąsiedniego biurka. – Jakiś dziwak chce z panem rozmawiać.

– Jak się nazywa?

– Nie podał nazwiska.

Wolter niechętnie wstał od biurka. Nie miał najlepszego nastroju w ostatnich dniach. Lanke cieszył się, że to wuj Werner był tu szefem, bo nadkomisarz musiał panować nad swoim złym humorem, a nie wyładowywać go na swoich współpracownikach. Przynajmniej nie na jednym z nich: nie na Gregorze Lankem.

– Niech pan mi go da – powiedział Bruno i wyrwał mu słuchawkę z dłoni. – Wolter – fuknął do mikrofonu.

Potem przez dłuższą chwilę nic nie mówił, następnie sięgnął po kartkę z biurka Lankego i zaczął robić notatki. Lanke próbował rozczytać, co takiego zapisuje jego szef, ale ten sprytnie zasłaniał kartkę swym masywnym ciałem.

– To nie sprawa na telefon – rzucił w końcu Wolter. – Powinniśmy się zobaczyć. Niech pan coś zaproponuje.

Dziesięć minut później nadkomisarz był już w drodze. Gregor Lanke się ucieszył. Mógł w końcu poprzeglądać zdjęcia.

Przez cały dzień Rath zajmował się błahostkami. Chodziło o to, by zyskać możliwie najpełniejszy obraz sytuacji w sprawie Kardakowa. Nie dla prokuratora, on nie miał tu już za wiele pracy. Jednak Genat miał nadzieję, że zdobędzie więcej informacji o tym, dlaczego tych dwóch Rosjan musiało umrzeć. Skoro wiadomo było, jak zamordowano oraz torturowano Fallina i Selenskiego, to może wiadomo też, kto skazał ich na śmierć. I dlaczego.

Większość osób z Inspekcji A sądziła, że zna adres mordercy: Unter den Linden 7. Mieściła się tam sowiecka ambasada, stamtąd swoje działania prowadzili czekiści, których Stalin przerzucał do kraju głównie jako jej pracowników. Tak jak Wadima Troszyna.

Rath powściągał się w wyrażaniu swoich opinii. Miał odmienne zdanie o tym, kim była osoba mająca na sumieniu tych dwóch Rosjan, ale wolał zachować je dla siebie. Kiedy już w ogóle brał udział w snuciu domysłów, to też obstawiał teorię o czekistach, choć wydawała mu się równie nieprawdopodobna jak istnienie Świętego Mikołaja. Przez większość czasu jednak trzymał się z boku, żeby nie brać udziału w tych idiotycznych dyskusjach. Zasył się w swoim biurze

i wykonał kilka telefonów. W Steglitz udało mu się porozmawiać jedynie z gosposią. Kobieta powiedziała, że łaskawy pan spodziewany jest na posiłek dopiero w godzinach południowych, ale można się z nim skontaktować, dzwoniąc do kancelarii. Rath kilka razy spróbował zatelefonować do Continetala w Magdeburgu. Na próżno. Uprzejmy recepcjonista zakomunikował mu, że prezydent policji opuścił hotel i jeszcze nie wrócił.

W przerwie na obiad Rath nie poszedł do kantyny ani Aschingera. Zamiast tego wziął wóz i pojechał do Steglitz.

Drzwi otworzyła gosposia.

– Łaskawy pan spożywa posiłek, przykro mi – powiedziała

– Niech pani powie Sturmhauptführerowi, że mam wiadomość od podporucznika Woltera. Pilną wiadomość. O szczegółach mogę powiedzieć mu jedynie osobiście.

Tego typu tajemnicze odwiedziny zdawały się nie być dla gosposi pierwszozną.

– Proszę poczekać w salonie.

Zaprowadziła go do niewielkiego pokoju. Na ścianie wisiała obramowana fotografia Hitlera, tego dziwnego typu z wąsem à la Charlie Chaplin. Spoglądał równie poważnie, jak Wilhelm II. Na stole leżały gazety „Angriff” oraz „Völkischer Beobachter”. Heinrich Röllecke nie robił tajemnicy ze swoich poglądów politycznych.

Po niedługim czasie zjawił się pan domu. Rath odłożył na bok „Angriff”, którą właśnie przeglądał.

– Ach, to pan! Znów robi pan za posłańca Brunona?

– Owszem. Porucznik ma dla pana ważną wiadomość, Herr Sturmhauptführer.

– Niech zgadnę. Zgodnie z obietnicą możecie dostarczyć broń SA?

– Skąd pan to wie? – Rath próbował brzmieć na zaskoczonego. A więc Scharrführer Schöffner złożył meldunek.

Röllecke uśmiechnął się arogancko.

– SA ma wszędzie swoje uszy. Czy dostawa już dotarła?

– Przekazanie może nastąpić o ósmej wieczorem, Herr Sturmhauptführer – zaraportował Rath wojskowym tonem. – Niech pan przyjdzie na Ostbahnhof, teren dworca towarowego, peron szósty. W mundurze. Do transportu będzie pan potrzebował paru ludzi i samochodu ciężarowego z zamykaną naczepą.

– Niech mi pan nie mówi, co mam robić! Wydaje się panu, że to mój pierwszy transport broni? Wiem przecież, że nie przewiozę sobie takiej ilości towaru w dziecięcym wózku. Marża taka jak zwykle, zgadza się?

– Oczywiście, Herr Sturmbahnführer. Pozostaje jeszcze jedna kwestia...

Röllecke spojrzał na niego zniecierpliwiony.

– Co takiego?

– Proszę wziąć ze sobą pieniądze.

Rath wrócił prosto do Zamku. Najpierw zabrał z biura Gennata najstarsze teczki z aktami Kardakowa i zaniósł je do swojego gabinetu. Trafiły do nich również materiały, które półtora tygodnia wcześniej naprowadziły komisarza Gereona Ratha na trop w śledztwie. Rath przypomniał sobie, jak przekazywał je Böhmowi. Nadkomisarz nie raczył wtedy nawet spojrzeć na niego ani na papiery i położył je na biurku, nawet ich nie tknąwszy. Niemniej jednak wylądowały w aktach śledztwa, tyle że niedbale wpięte, bez ładu i składu. Rath musiał poświęcić nieco więcej czasu na poszukiwania i zaczął się już obawiać, że Böhm po prostu usunął efekty jego pracy. W końcu je



znalazł. Wziął do ręki kartkę, którą swego czasu dał mu Treczkow, i schował ją do kieszeni. Nikt tak szybko nie zauważył jej zniknięcia. Inspekcja A miała na razie większe troski niż jakieś papiery, których i tak nikt nie potrafił rozczytać.

Resztę dnia Rath spędził na telefonowaniu i zastanawianiu się. Czy na pewno pomyślał o wszystkim? Plan był sklecony w pośpiechu. Wszystko zależało od tego, czy Bruno Wolter połknie haczyk. Potem też wiele rzeczy mogło jeszcze pójść nie tak. Jednak nadał już całej sprawie bieg, nie było już odwrotu.

Późnym popołudniem udało mu się w końcu dodzwonić do Zörgiebela. Widocznie socjaliści mieli przerwę w naradach. W każdym razie szef był w hotelu.

– Mam nadzieję, że zjazd partyjny przebiega po pana myśli, panie prezydencie.

– To zależy od tego, jak sprawy mają się u pana, panie komisarzu!

– Jutro wieczorem – powiedział Rath. – Jutro wieczorem wszystko się rozstrzygnie. Jeśli się zjawi, to pojutrze będzie mógł go pan wyrzucić na bruk, obiecuję to panu. Dalsze aresztowania też nie są wykluczone. Potrzebowałbym kilku ludzi.

– Dobrze. Rozmawiałem z Wündischem. Jest teraz taki malutki, że zmieściłby się pod dywanem nawet w kapeluszu głowie. Wydział IA da panu ludzi, których pan potrzebuje. W ten sposób zachowamy ścisłą poufność, która jest nieodzowna przy tej operacji.

– Przydałoby mi się też paru dobrze uzbrojonych szupo.

– Niech zajmie się tym Wündisch. On wie, na których jednostkach można polegać.

– Czy wie też, jak ryzykowna jest ta operacja?

– Wysłał funkcjonariusza kryminalnego na linię ognia i ten zginął. Musi liczyć się z tym, że jego ludzie też mogą znaleźć się w niebez-

piecznej sytuacji.

– Nie tylko dla jego ludzi, ale dla wszystkich uczestników.

– Wiem, że jest to niebezpieczne dla wszystkich, również dla pana, panie Rath! Mówiłem już panu, że i pan nie wyjdzie z tego bez szwanku. Proszę to potraktować jako zadośćuczynienie. Na pewno coś pójdzie nie tak.

Znów zrobiło się chłodniej. Nieprzyjemny wiatr hulał po torowiskach Ostbahnhof. Bruno Wolter znał te tereny i szedł przodem. Już kilka tygodni temu wraz z Fallinem i Selenskim szukał tu złota, ale na próżno. Natknęli się wtedy na cztery cysterny. Dostawa ze Związku Radzieckiego – tak opisał ją Wilczek, jednak zawartość zbiorników stanowiła tajemnicę nawet dla ludzi Marlowa. Wiadomo było jedynie to, że w środku nie znajdował się olej rzepakowy. Złoto najwyraźniej też nie, w przeciwnym razie Berolina już dawno temu by je wyniosła i wymieniła na gotówkę. A tego nie zrobiła. Wielki doktor M. sam zachodził w głowę, gdzie schowano złoto, ale i tak polecił pilnie strzec tych czterech wagonów.

Wolter zdziwił się, gdy dzień wcześniej zgłosił się do niego Franz Krajewski. Że też akurat ten typek! Już dawno by o nim zapomniał, gdyby jego pukawka nie zasłużyła na specjalne traktowanie. Nie spodziewał się po nim za wiele, może kilku wieści z pornobiznesu, ale na pewno niczego większego.

Na spotkanie udał się ze sceptycznym nastawieniem, całkowicie przekonany o tym, że mężczyzna chce się tylko powymądrzać, odzyskać spluwę albo wysepić pieniądze. Jednak Krajewski był zaskakująco dobrze poinformowany. Rzeczywiście miał kolegę w Berolinie! Kolegę, który odbił mu dziewczynę, i którego chciał teraz pogryźć. Proszę bardzo!

Po śmierci Wilczka Wolter nie otrzymał już żadnych informacji od organizacji Marlowa. W ostatnich tygodniach zdobywanie ich na-

stręczało mu coraz więcej trudności, lecz teraz znów był na bieżąco. Zgrywał nieświadomego, kiedy dzień wcześniej Krajewski powiedział mu, że tak naprawdę Johann Marlow nie jest zwykłym przedsiębiorcą, lecz głową Beroliny. Krajewski nie wiedział o złocie, wspomniał jedynie, że Marlow spodziewał się na Ostbahnhof dostawy wielu wagonów towarowych załadowanych bronią. Czyżby doktor M. faktycznie rozwikłał tajemnicę złota i wyposażył Czerwoną Twierdzę w broń? Tak wynikało z informacji.

Gdyby już opchnął to złoto, to przecież komuniści zabraliby mu już broń. Tak czy owak nie była własnością Marlowa ani czerwonych. Seegers już niecierpliwie czekał, większość miała w końcu trafić do jego ludzi! Część obiecali też Rölleckemu i jego SA. Sturmhauptführer płacił niemałe pieniądze, poza tym jego ekipa miała poglądy zbieżne z ich poglądami.

W każdym razie Krajewski mówił o ich broni, i mieli zamiar ją odzyskać! Musiały to być potężne ilości, cały pociąg towarowy.

Już poprzedniego dnia poinformował Rudiego Scheera i z pomocą Seegersa skrzyknął wystarczająco dużo godnych zaufania bojowników. Wszyscy byli dobrymi strzelcami. Z Brunonem Wolterem, nadkomisarzem w pruskiej policji, na czele mogli uchodzić za policjantów. Skoro prawdziwa policja nie potrafi wybadać Johanna Marlowa, to zrobi to fałszywa. Wolter wiedział, że ludzie Marlowa nie będą czuć zbyt dużego szacunku przed jego legitymacją służbową, ale przed grupą uzbrojonych ludzi – już owszem. Niektórzy z nich strzelali lepiej niż policjanci. Nic dziwnego, szkolił ich sam Wolter.

Do akcji na dworcu wybrał około tuzina mężczyzn. Tym razem nie mieli na sobie mundurów ani małych przypinek Stahlhelmu na klapach. Ciężarówki czekały przy Friedrichsfelder Strasse. Gdy nadejdzie czas, miały podjechać do rampy załadunkowej.

Dziarskim krokiem Wolter szedł wzdłuż torów kolejowych, za nim podążali jego ludzie. Obok nich powoli sunęła lokomotywa manewrowa z paroma pustymi wagonami. O tej porze na terenie dworca nie działo się za wiele. Rozładowywano jeszcze tylko jeden pociąg. Gdy mężczyźni się zbliżali, kilka wron wydziobujących z ziemi coś bliżej nieokreślonego wzbiło się w powietrze. Do magazynów Marlowa było już niedaleko. Widok na nie przysłaniał im wielki pociąg towarowy. Wolter się zatrzymał. Schylił się do samej ziemi i zajrzał pod wagony. Wyglądało na to, że cysterny nadal stały na torowisku Marlowa. Nadszedł ten moment. Rozdzielili się. Rudi objął dowodzenie większego oddziału, on sam – mniejszego. Wolter jeszcze dokładnie wyjaśnił tej drugiej grupie, jaką drogą mają pójść, i ruszyli.

Miało to wyglądać jak akcja policyjna. W kieszeni trzymał legitymację służbową, podobnie jak Rudi Scheer. Fakt, że pozostali mężczyźni mieli przy sobie jedynie broń, nie powinien zwrócić niczyjej uwagi.

Oto i oni! Dojrzał ich już z daleka. Johann Marlow wiedział, skąd będzie miał najlepszy widok. Stał na górze, tuż pod dachem. Przy wąskich świetlikach przeważnie ustawiał swoich wartowników. Miało się stąd cały teren w zasięgu wzroku, samemu pozostając niewidocznym.

Młody fotograf policyjny stojący obok niego zaczął robić zdjęcia, zanim jeszcze dało się rozpoznać twarze mężczyzn. Miał dziś najłatwiejsze zadanie do wykonania. Musiał jedynie wykonywać fotografie i nie dać się zauważyć.

Wszyscy pozostali podejmowali wielkie ryzyko. Johann Marlow również. Nikt nie potrafił przewidzieć, jak dokładnie potoczą się sprawy. Rath powiedział, że mężczyzna z drugim planem Sorokinów

na pewno się zjawi, sam miał o to zadbać, i dotrzymał słowa. To on, tam na dole. Komisarz jednak nie wspomniał, że mężczyzna przybędzie wraz z piątką towarzyszy. Marlow nadal nie miał pewności, czy może ufać glinie, choć ten przekazał mu już wcześniej pierwszy z planów. Bruno Wolter był kiedyś szefem Ratha, dlaczego komisarz miałby go teraz zdradzić? Żeby udowodnić winę czarnej owcy policji? Na Alexanderplatz było wiele czarnych owiec, Johann Marlow wiedział to najlepiej. Miał wrażenie, że policja się z tym pogodziła. Dlaczego zatem zadawano sobie tyle wysiłku w przypadku Brunona Woltera i podejmowano tak wielkie ryzyko? Czego tak naprawdę chciał Rath? Może próbował oszukać Johanna Marlowa?

Nie uda im się to. Komisarz brał narkotyki. Jeśli sprawy zajdą za daleko, to Marlow będzie miał go w garści.

Mężczyźni byli już na widoku. Znali swój cel. Powoli, ale konsekwentnie szli w kierunku toru szóstego, dłonie mieli schowane w kieszeniach płaszczy. Nawet z góry widać było, że mieli przy sobie broń. Co planował Wolter? Chciał wszystkich powystrzelać?

Kiedy grupa dotarła do rampy załadunkowej, na dole z cienia wyłonił się Fred.

– Dobry wieczór – powiedział. – To teren prywatny. Mogę wiedzieć, czego państwo tu szukają?

Dowódca wyciągnął legitymację.

– Policja kryminalna – odparł. – Chciałbym porozmawiać z panem Marlowem.

Ten mężczyzna to musiał być Bruno Wolter.

Fred zachowywał spokój.

– O co chodzi?

– Wolałbym o tym pomówić osobiście z panem Marlowem. Proszę mnie do niego zaprowadzić. Chcielibyśmy się trochę rozejrzeć po

tym miejscu.

– Przykro mi. Jeśli nie posiada pan nakazu przeszukania, to proszę, żeby opuścił pan ten teren.

W mgnieniu oka z cienia wyłoniło się trzech kolejnych strażników.

Wyglądało to prawie tak, jakby zrezygnowany glina odwracał się na pięcie, ale nagle błyskawicznie wyciągnął broń i przyłożył ją Fredowi do czoła.

– Jestem z policji, więc lepiej rób to, co mówię – syknął.

Marlow wiedział, że może polegać na swoich ludziach. Trzech jego pozostałych goryli też wyciągnęło broń i wymierzyło ją w Woltera i jego ludzi. Gdyby choć jeden spanikował, to mogło to zakończyć się krwawą strzelaniną.

Fred nadal zachowywał spokój.

– Wtargnął pan na teren prywatny, panie komisarzu – powiedział.

– Jeśli mnie pan zastrzeli, to moi ludzie będą zmuszeni zadziałać w obronie własnej.

– Jestem nadkomisarzem! A teraz mnie posłuchaj. Powiedz swoim chłopakom, żeby odłożyli broń na ziemię. A potem wyślij jednego z nich do Marlowa.

– Obawiam się, panie *nadkomisarzu*, że moim ludziom wszystko jedno, czy mnie pan zastrzeli. Jeśli tak się jednak stanie, to z miejsca zabiją pana i pańskich towarzyszy.

– Jeśli będą jeszcze w stanie! – powiedział przyjazny, spokojny głos.

Dochodził z drugiej strony rampy. Marlow obejrzał się, równie zaskoczony, co policyjny fotograf. Ustawiło się tam dziewięciu mężczyzn z wyciągniętymi pistoletami. Pośrodku stał człowiek, który odezwał się jako ostatni, i uśmiechał się uprzejmie.

– Niech pan robi to, co mówi nadkomisarz – ciągnął. – Tak będzie najlepiej, niech pan mi wierzy.

– To przecież ten facet ze zbrojowni! – wyszeptał policyjny fotograf stojący obok niego. – Teraz już niczego nie rozumiem.

Marlow zaczął się denerwować. Co oni tam wyprawiają?

Jego ludzie ostrożnie położyli swoją broń na betonowej nawierzchni rampy.

Marlow postanowił zakończyć to przedstawienie. Zszedł na dół. Pociąg powinien przyjechać dokładnie za dwadzieścia minut, na Kun-Yao można polegać. Do tego czasu należało uniknąć rzezi. Musiał wkroczyć. I zyskać na czasie.

Kiedy Marlow wszedł na rampę, wszystkie spojrzenia skierowały się na niego.

– Dobry wieczór – powiedział do Woltera. – Chciał pan ze mną porozmawiać?

– Johann Marlow? – zapytał Wolter.

Marlow przytaknął.

– Mogę zapytać, dlaczego pan wtargnął na mój teren i grozi moim ludziom?

– Doszły mnie słuchy, że spodziewa się pan dziś przyjazdu pociągu towarowego.

– Na to wygląda. Wydaje się panu, że dla przyjemności kręcę się wieczorem po magazynie? I moi ludzie również? Oni wykonują swoją pracę, a pan im w tym przeszkadza. Czy prezydent policji w ogóle wie, co pan tu wyprawia?

– Nie sądzę, że jest pan typem człowieka, który poskarży się prezydentowi policji.

– Przekona się pan.



- Najpierw przekonajmy się, czy przyjedzie pański pociąg! Chcemy przecież zobaczyć, co takiego otrzymuje pan w dostawach.
- A potem?
- Może będzie tam coś, co powinienem skonfiskować.
- Niech mi pan wierzy, sam pan tego nie udźwignie.
- Wiem. Mamy wystarczająco dużo ludzi. Więcej niż się panu wydaje.

Jego ludzie robili się nerwowi, widział to. Jego również to czekanie niepokoiło bardziej, niż chciał przyznać. Wolter lewą ręką bawił się legitymacją w kieszeni płaszcza, w prawej nadal trzymał pistolet. Zaczęło zmierzchać, a pociągu nadal nie było w zasięgu wzroku.

Tymczasem wszystkich ludzi Marlowa przeszukano i odebrano im broń. W przypadku Marlowa podjął się tego sam Rudi Scheer – i nie znalazł przy nim żadnej broni. Zaskoczyło to również Woltera. Doktor M. stanął wśród swych ludzi. Piątka mężczyzn nie sprawiała wrażenia skruszonych.

- Czy w magazynie są jeszcze jacyś ludzie? – zapytał Wolter.
- Gdyby tak było, tobym tu nie schodził – zaczął Marlow – tylko rozkazał im, żeby panów zastrzelili.
- Ma pan coś przeciwko temu, bym wysłał do środka paru moich ludzi?
- O ile niczego nie zniszczą. Odnoszę wrażenie, że niektórzy z nich są jeszcze nieco za mali, żeby posługiwać się tak wielkimi karabinami.

Wolter był wściekły. Przez cały czas Marlow rozmawiał z nim tak, jakby to jego ludzie mieli ich w garści, a nie na odwrót.

Chciał właśnie dać znak swojej brygadzie, ale coś odwróciło jego uwagę. Od strony Rüdersdorfer Strasse zbliżało się dwóch mężczyzn

w brunatnych koszulach. Co to miało znaczyć? Kto wezwał SA? I to jeszcze w pełnym umundurowaniu! Idioci!

Wolter rozpoznał Heinricha Rölleckiego, który maszerował dziarskim krokiem, a obok niego Hermanna Schöffnera, dozorcę z Luise-nufer. W ręce miał czarną aktówkę. Co za kretyn!

Wolter spoglądał ze zdumieniem na umundurowanych mężczyzn. Gdy doszli do rampy, Sturmhauptführer wyciągnął do niego rękę. Przynajmniej nie wznosił gestu „Heil Hitler”!

– Wszystko gotowe – powiedział Röllecke. – Zgodnie z umową.

Wolter już zupełnie niczego nie rozumiał.

– Co to ma w ogóle być? – zapytał. – Czyżby Seegers wezwał Was tu jako wsparcie? Nie ma takiej konieczności! Mam tu wystarczająco dużo ludzi!

– Jak to Seegers? Przecież sam przysłałeś do mnie Twojego człowieka. Chcieliśmy tylko odebrać naszą część. Ciężarówka czeka przy Rüdersdorfer Strasse.

– Jakiego człowieka? O czym Ty mówisz?

– W każdym razie mam przy sobie pieniądze. Mam nadzieję, że Ty masz broń.

– Powinna tu być lada chwila.

– Czy to czerwoni? – Röllecke pokazał na Marłowa i jego ludzi, którzy stali gdzieś w kącie.

– Są od Czerwonego Hugona, ale to jedyna rzecz łącząca ich z czerwonymi.

Wraz z upływem czasu zapadał coraz głębszy zmrok. W oddali z półmroku wyłoniły się trzy światła, które powoli stawały się większe. Wszyscy spoglądali na nie jak zakłęci. Lokomotywa manewrowa wciągnęła na tor dwa zamknięte wagony towarowe. Składy zbliżały się z piskiem i turkotem. Jechały coraz wolniej, aż zderzak pierwsze-

go z nich delikatnie trącił cysternę. Lokomotywa fuknęła i stanęła w miejscu, jak pociąg widmo. Podczas całego tego spektaklu żaden z mężczyzn stojących na rampie nie powiedział ani słowa.

Ciszę przerwał Wolter.

– Oto i dostawa – powiedział do Rölleckiego. – Gdzie są pieniądze?

– Będą dopiero wtedy, kiedy upewnię się co do jakości towaru.

– No to sprawdzaj! – Wolter zatrzymał się przy cysternie, żeby trzymać ludzi Marlowa w szachu. Miał złe przeczucia. Jeśli to była pułapka, to niech wpadnie w nią Röllecke.

Obaj mężczyźni z SA podeszli do pierwszego wagonu. Schäffner pośpiesznie odsunął rygiel i rozsunął ciężkie drzwi.

Potem spojrzął do wnętrza wagonu i cofnął się, jakby ujrzał zjawę.

Röllecke podszedł do niego, zniecierpliwiony.

– Co się dzieje? Niech pan odejdzie na bok.

Wtedy i on spojrzął do środka ze zdumieniem. Wściekły podszedł kilka kroków w stronę Woltera.

– Czy to ma być jakiś żart?

– Co takiego?

– Żeby wsadzać tego mężczyznę do wagonu. Gdzie jest broń?

– Kogo? – zapytał Wolter.

– No, tego posłańca, którego do mnie wczoraj przysłałeś.

Röllecke pokazał na wagon towarowy. Z ciemności wyszedł Gereon Rath. Z wyciągniętym pistoletem.

Wyglądał pewnie na tak samo zaskoczonego co Hermann Schäffner. Rath nie spodziewał się, że wagon otworzy akurat dozorca jego domu. Liczył, że zrobi to któryś z ludzi Marlowa albo Bruno Wolter.

Niezależnie od tego, był to udany występ. Rozejrzał się dookoła, wszystkie spojrzenia skierowane były na niego. Powoli robiło się ciemno. Oby Gräfowi udało się zrobić najważniejsze ujęcia.

– Na Waszym miejscu bym nie strzelał – ofuknął towarzyszy Woltera, którzy gwałtownie i nerwowo skierowali broń w jego stronę.

– No, proszę, pan komisarz mądrała – powiedział Wolter. – I dlaczego miałbym nie wydać moim ludziom rozkazu, żeby Cię zastrzelili? – zapytał z uśmiechem.

– Może dlatego, że na poddaszu magazynu stoi kilku strzelców wyborowych, którzy mają na muszce wszystkich Was, i których świeżbią palce trzymane na spuście. Poza tym, nie przyszedłem tu sam.

Rath uniósł lewą rękę. Mężczyźni w wagonie towarowym tylko czekali na ten znak. Wyskoczyli ze środka z wyciągniętą bronią. W okamgnieniu na rampie stały dwa tuziny uzbrojonych policjantów w cywilu. Za nimi z lokomotywy wygramolił się Liang.

– Prawdziwa mała armia – powiedział Wolter. – Można się przestraszyć! Oby nic nam się zrobili.

Kilku młodych członków Stahlhelmu skwitowało tę uwagę niemrawym uśmiechem. Dwóch mężczyzn z SA najwyraźniej aż tak nie bawił fakt, że ich transakcja nie dojdzie do skutku. Röllecke wyglądał tak, jakby zaraz miał zionąć ogniem.

– Ta mała armia składa się z godnych zaufania funkcjonariuszy policji i zaaresztuje pana i pańskich ludzi, nadkomisarzu Wolter.

– Dlaczego miałyby to zrobić? Czy stanie na dworcu jest zabronione?

– Ta gra aktorska jest zbyt dobra. Już dość się nasłuchaliśmy. I mamy dość materiałów.

– Obawiam się, że znów Cię nie rozumiem.

– To bardzo proste. Tam na górze obok strzelców stoi też ktoś, który potrafi robić świetne fotografie.

– I? Co to ma znaczyć? – Jeśli Wolter był zaskoczony, to nie dał tego po sobie poznać.

– To znaczy, że berlińska policja ma teraz wystarczająco dużo dowodów na to, że jeden z funkcjonariuszy, nadkomisarz kryminalny Bruno Wolter, spiskuje z SA i handluje nielegalną bronią.

Wolter roześmiał się głośno.

– Ja spiskuję z SA? Skąd Ci to przyszło do głowy?

Nie zdołał nawet dokończyć zdania, gdy padł strzał. Wolter naciśnął spust z uśmiechem na twarzy, zupełnie mimochodem, tak jak inni ludzie zapalają papierosa podczas rozmowy. Oddał tylko jeden strzał.

Heinrich Röllecke – bardziej zaskoczony niż przerażony – spoglądał na niewielką czerwoną plamę na swojej brunatnej koszuli. Ślad powoli stawał się coraz większy. Potem ugięły się pod nim kolana, obrócił się i runął na betonową nawierzchnię rampy.

Hermann Schäffner natychmiast podbiegł do niego, przykucnął i zbadał puls. Tyle tylko, że już go nie było. Schäffner wlepił przerażone spojrzenie w martwego szefa. Trochę to trwało, nim dotarło do niego, co się wydarzyło. Wtedy już jednak zaczął działać szybko.

– Ty świni! – wrzasnął. Nadal siedząc w kucki, wyciągnął ciężkiego browninga i jak oszalały zaczął strzelać na oślep w kierunku Woltera. Naciśnął spust pięć razy, zanim Wolter strzałem z lugera wytrącił mu broń z dłoni.

Bruno się zaśmiał, gdy dwóch funkcjonariuszy policji obezwładniało Schäffnera. Nie dosięgnął go ani jeden strzał.

Jednak parę kul przeleciało obok niego i trafiło w cysterne. Któraś z nich musiała trafić w zawór spustowy środkowej komory.

Niczym w zwolnionym tempie Rath zobaczył, jak za Wolterem na ziemię upada metalowy bolec. Gdy ciężki przedmiot uderzył o ziemię, rozległ się dźwięk przypominający uderzenie dzwonu. W tej samej chwili, w której Wolter się odwrócił, żeby odruchowo strzelić w potencjalnego napastnika, z uszkodzonego zaworu wystrzelił kwas solny.

Kwas wytrysnął ze zbiornika pod wysokim ciśnieniem i trafił prosto w twarz Woltera, który natychmiast skrzywił się w grymasie pełnym irytacji i bólu. Zanim spróbował ochronić oczy rękami, odruchowo oddał jeszcze jeden daremny strzał. Jego pistolet z brzękiem upadł na ziemię.

Wolter słaniał się, próbował się o coś oprzeć, ale sięgnął dłonią prosto w kwas, który w błyskawicznym tempie rozlewał się na betonie, tworząc coraz większą kałużę. Bruno wzdrygnął się z bólu i upadł na ziemię całym ciałem, ale szybko podźwignął się z powrotem na nogi. Poparzony, oślepiiony i zdezorientowany, pobiegł w niewłaściwym kierunku i uderzył głową w metalowy zbiornik. Nagle przestał krzyczeć i z powrotem upadł w parującą kałużę, którą nieustannie powiększała mżawka kwasu sącząca się z cysterny.

Schäffner, którego dwóch funkcjonariuszy wzięło pod ramiona, z przerażeniem przyglądał się, co narobił. Wszyscy stanęli jak wryci.

Pierwszy zareagował Marlow. Wydał swoim ludziom kilka krótkich rozkazów i zniknął w magazynie. Gdy chwilę później wrócił z wiadrem wody, ból znów przywrócił Wolterowi świadomość, ale wszystkie siły zdawały się go opuszczać. Z bezpiecznej odległości Marlow chlusnął wodą na wstrząsane drgawkami, wijące się ciało. Niemożliwością było odciągnięcie bezbronnego Woltera od wagonu, deszcz kwasu siąpił bez ustanku. Dwóch z ludzi Marlowa wspięło się po drugiej stronie uszkodzonej cysterny i żelaznym prętem spróbo-

wało zamknąć przedziurawiony zawór. Udało się im zmniejszyć strumień na tyle, że Liang, naciągnąwszy na dłonie mocne skórzane rękawice robocze, paroma zwinnymi ruchami zdołał zamknąć klapę i przymocował odstrzelony bolec z powrotem na miejsce.

Marlow ostrożnie złapał Woltera za stopy. Większa część ubrania się rozpuściła. Gdy przeciągał masywne ciało po betonie przesiąkniętym kwasem, na ziemi pozostały strzępki materiału i skóry. W końcu Wolter leżał już w bezpiecznej odległości od cysterny, znów całkowicie nieprzytomny. Nad jego całym ciałem unosiły się opary kwasu. Trochę potrwało, nim jeden z ludzi Marlowa zjawił się z kolejnym wiadrem wody. Rudi Scheer i stahlhelmowcy dalej z przerażeniem przyglądali się temu makabrycznemu widowisku. Hermann Schäffner wlepił oczy w parujące, przezarte kwasem masywne ciało policjanta i z tego wszystkiego zapomniał, że sam zranił się w rękę.

Po kilku spłukaniach opary kwasu wprawdzie nieco się zmniejszyły, lecz oczom wszystkich ukazał się tym straszliwszy widok udreżonego mężczyzny. Ciało Woltera oblepiały jedynie skrawki ubrania. Jego skóra była mocno zaczerwieniona, częściowo pokryta pęcherzami, w wielu miejscach oddzieliła się od mięśni i wyzierało spod niej surowe mięso. Twarz zastygła w dziwnym grymasie, gałki oczne rozpuściły się i wypłynęły z oczodołów: przypominały dwa jajka ugotowane na miękko. Nie dało się stwierdzić, czy jeszcze żył. Marlow również nałożył skórzane rękawiczki i pochylił się nad Wolterem, żeby przeszukać jego marynarkę. Podniósł mokry strzępek papieru i z wściekłością cisnął nim o ziemię. Rath przypuszczał, że to żalosne pozostałości drugiego planu Sorokinów. Teraz również dokument, który dał wcześniej doktorowi M., stracił jakąkolwiek wartość.

Z zaworu kapały już tylko pojedyncze krople. Śmierdziało potwornie. Gryzący zapach kwasu mieszał się ze swądem surowego mięsa i krwi. Odrażająca mieszanina.

Rath zasłonił nos chustką i poszedł do ludzi Wündischa.

– Natychmiast potrzebni są nam tu sanitariusze – powiedział, wskazując na leżące bez życia ciało Woltera. – O ile będą mogli w ogóle coś jeszcze wskórać.

Na ten sygnał jeden z funkcjonariuszy otworzył drugi wagon towarowy. Na rampę wyskoczył cały oddział mundurowych, jakichś pięćdziesięciu chłopów.

– Wszyscy ręce do góry! – krzyknął Rath do stahlhelmowców. – Ale najpierw odłóżcie broń.

Młodzi mężczyźni, ponaglani przez Rudiego Scheera, posłuchali od razu. Powoli słychać było dźwięki kolejnych zatraskujących się kajdanek. Hermanna Schäffnera też zatrzymano. Rath wydał oficerowi dowodzącemu parę krótkich poleceń. Trzeba było jeszcze aresztować mężczyzn, którzy czekali w ciężarówkach poza terenem dworca. Oszczędzono jedynie ludzi Marlowa. Nie było podstaw, żeby zabierać ich do prezydium, doktor M. już o to zadbał. Żaden z nich nie był wcześniej karany, mogli też okazać pozwolenia na posiadaną broń. A ich szef, właściciel firmy handlowej, nawet pomógł policji w przygotowaniu pułapki, gdyż udostępnił należący do niego teren na dworcu towarowym.

Marlow odłączył się od swoich ludzi i podszedł do Ratha.

– Niezłe gównie, prawda? Czy właśnie tak to sobie pan wyobrażał?

Rath w milczeniu pokręcił przecząco głową. Przypomniał sobie słowa Zörgiebela: „Na pewno coś pójdzie nie tak”.

Poszło nie tak. I to solidnie.



Jeszcze nie wiedział, jak miał to sprzedać prezydentowi policji. Chcieli ukarać Brunona Woltera i wycofać go z obiegu – przynajmniej ten cel udało im się osiągnąć. Nawet jeśli w inny sposób, niż planowali.

– I jak mamy kiedykolwiek zdobyć to złoto? – zapytał Marlow. Pytanie brzmiało niemal jak zarzut. – Wydaje się panu, że nadkomisarz sporządził kopię swojego planu?

Rath wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. I szczerze mówiąc, jest mi to całkowicie obojętne.

Zostawił Marlowa i skierował kroki do magazynu, z którego wychodził właśnie Reinhold Gräf. Mężczyzna szedł na chwiejnych nogach, aparat miał przewieszony przez ramię.

– Mam nadzieję, że nie sfotografował pan finału – powiedział do bladego mężczyzny.

– Nie, byłem zajęty wymiotowaniem – odparł Gräf. Rath zaproponował mu papierosa. Tym razem asystent kryminalny nie odmówił.

Palili w milczeniu i przyglądali się uszkodzonej cysternie. Liang – nadal uzbrojony w rękawice robocze – stał przy niej i z bliska przyglądał się miejscu wlotu pocisku Schöffnera. Nożem wyciągnął kulę ze ściany zbiornika. Jego twarz nie zdradzała, co myślał. W końcu jednak Chińczyk przerwał swoje zajęcie, przysunął się do Marlowa i wyszeptał mu coś do ucha. Twarz doktora M. znów się rozpogodziła. Podeszedł do Ratha i Gräfa.

– Panie komisarzu, zagwarantowałem mi pan, że ta operacja przebiegnie dyskretnie. Mam nadzieję, że dotrzyma pan obietnicy.

– Bez obaw. Nic z tego, co tu się wydarzyło, nie wycieknie do prasy.

– I nie pojawi się tu zaraz ten Wasz Budda i nie wywróci wszystkiego do góry nogami?

– Nie zostanie wszczęte żadne śledztwo kryminalne. Oficjalnie nic się tu nie wydarzyło.

– Było mnóstwo świadków.

– Na obecnych tu funkcjonariuszach policji można polegać.

– Na moich ludziach również. Mam tylko nadzieję, że może pan też zapanować nad członkami Stahlhelmu. Oni też co nieco widzieli.

– Nie pisną ani słowa. Niech pan mi zaufa.

– Dobrze. Powinniśmy tu zaprowadzić porządek. Najwyższy czas, żeby to miejsce zaczęło na powrót normalnie funkcjonować.

Rath przytaknął.

Marlow dał znak Chińczykowi. Liang szepił ze sobą cysterny i wspiął się do lokomotywy. Pociąg powoli ruszył. Odjechał tak, jak się pojawił – niczym pociąg widmo.

Nazwa „Nasses Dreieck”, czyli „mokry trójkąt”, nie była przypadkowa. Gospoda rzeczywiście miała kształt trójkąta, tak samo zresztą jak cały domek wciśnięty pomiędzy dwie czynszówki, i była tak mała, że dzięki krótkiej odległości od baru rzadko kiedy siedziało się tu o suchej gębie. Ta knajpa miała też inne zalety. Ceny były ludzkie, a ciasnawe wnętrze nie stwarzało sposobności do urządzania bijatyk. Poza tym, jeśli zaszłaby taka konieczność, Rath mógłby stąd wrócić do domu nawet na czworakach.

W wyszynku było miejsce tylko na cztery stoliki. Dla Ratha nie miało to znaczenia, i tak przeważnie siedział przy barze. Teraz również.

- Georg, jeszcze po szklance piwa i po kielichu dla nas obu!
- A więc dwa piwa i dwa kielichy!
- Tak jest.
- A dla mnie nic?
- To niech będą po trzy.

Od strzelaniny na Ostbahnhof minęły trzy, może cztery tygodnie. Był środek czerwca, lato już prawie całkiem zagościło w mieście. W Nasses Dreieck panował przyjemny chłód. Gospodarz postawił na ladzie dwa piwa i dwie żytniówki.

Rath uniósł kieliszek.

- Na zdrowie, panie sekretarzu kryminalny! Za Twój awans.
- Chrzanić mój awans – Reinhold Gräf machnął ręką. Widać było, że ten temat jest dla niego niekomfortowy. Plotkował o tym cały Za-

mek. Dwudziestotrzylatek i już został sekretarzem kryminalnym! I to teraz, kiedy zamrożono awansy! – Wypijmy za życie.

Duszkciem wypili mocną żytniówkę. Zajście na Ostbahnhof w dziwny sposób ich do siebie zbliżyło, choć nigdy o tym nie rozmawiali. Jednak coraz częściej się spotykali i pili. Przeważnie w Nasses Dreieck.

– Słyszałeś? Budda chce w końcu odłożyć akta w sprawie Selen-skiego i Fallina do „mokrych ryb” – powiedział Rath.

Gräf w milczeniu popijał piwo.

– Charly znów mnie dziś maglowała – powiedział po jakimś czasie.

– Nadal chce się dowiedzieć, dlaczego się ze mną spotykasz?

Gräf przytaknął.

– I co jej powiedziałaś?

Gräf uśmiechnął się szeroko.

– To, co zwykle. Że to z powodu Twojego urzekającego spojrzenia.

Rath się zaśmiał, choć wcale nie było mu do śmiechu. Nie kiedy myślał o Charly. Po nieudanej operacji na dworcu kolejowym ich stosunki znów znacząco się ochłodziły. Za wiele rzeczy budziło jej wątpliwości – nic dziwnego, w końcu znała całą prawdę. Musiała zwrócić uwagę na niespójności w opowieści, którą na temat operacji puścił w eter prezydent policji. A Gereon Rath milczał, podobnie jak sekretarz kryminalny Gräf.

Często rozmawiali o Charly. Doskonale jednak wiedzieli, że tak właściwie rozmawiali o zajściu na dworcu i o własnym milczeniu. Zörgiebel wiedział, jak kupić milczenie. Świeżo upieczony sekretarz kryminalny Gräf nie czuł się dobrze w swojej skórze. Rath zresztą podobnie. Przy czym on nie otrzymał nawet awansu.

Ale ilu jest policjantów, którzy dobrze czują się w swojej skórze?

Było już późno, gdy zamknięto Nasses Dreieck, lecz kamienie i asfalt wciąż parowały, oddając spiekotę dnia. Rath musiał jedynie przejść przez Wassertorplatz i był już prawie w domu. Nie czuł się nawet pijany, choć rachunek w knajpie po raz kolejny opiewał na niemałą sumkę. Gdy dotarł na Luisenufer i wszedł na dziedziniec, wszystkie światła w oknach były już wygaszone. Tu wcześniej chodziło się spać. W oknach mieszkania dozorczy nie wisały firanki. Schäffnerowie się wyprowadzili. Dozorcy Hermannowi Schäffnerowi, niezdolnemu do pracy z powodu obrażeń prawej ręki, Prusy przyznały hojną rentę inwalidzką. A Lennartz, jego następcą, jeszcze wciąż odnawiał mieszkanie.

Już dawno usunięto policyjną plombę z drzwi mieszkania na poddaszu oficyny. Lokal nadal stał pusty, pani Steinrück alias hrabina Sorokinowa opłacała je na pół roku z góry. Pewnego wieczoru Rath zobaczył Ilję Treczkowa, śpieszącego przez podwórze. Chciał dogonić Rosjanina i wypadł ze swojego mieszkania, lecz gdy znalazł się na ulicy, muzyk już gdzieś zniknął.

Od tamtej sytuacji minął już tydzień, może dwa. Rath przypominał sobie o tym, gdy chciał otworzyć drzwi mieszkania i usłyszał jakiś dźwięk dochodzący z góry. To na pewno nie Liebigowie, Ci komuniści chodzili wcześniej spać. Nie było sensu długo się zastanawiać: Rath po cichu wszedł po schodach.

Słuch go nie mylił. W mieszkaniu na poddaszu ktoś był.

Światło padało na klatkę schodową przez szparę w drzwiach. Usłyszał ciche kroki. Czyżby Treczkow znów przyszedł posprzątać? Było już po północy.

Rath po prostu zapukał.

Trochę to trwało, ale wreszcie drzwi nieco się uchyliły. Spojrzał w twarz pięknej kobiety.

Swietłana Sorokinowa. Znów miała czarne włosy.

– Dobry wieczór – powiedział Rath. – Zobaczyłem, że jeszcze pali się światło i ...

– I?

– Jeszcze nie mieliśmy okazji się spotkać. – Wetknął rękę przez szparę w drzwiach. – Lennartz, Peter Lennartz. Jestem nowym dozorcą.

– Ingeborg Steinrück.

– Chciałbym z panią chwilę porozmawiać, panno Steinrück.

– O tej porze?

– Pilnie potrzebuję kilku podpisów. Nigdy nie mogłem zastać pani w domu, kiedy...

– Byłam w podróży. Sprawiała wrażenie nieufnej, ale otworzyła drzwi. Rath wszedł do środka. Mieszkanie nie zmieniło się od jego ostatniej wizyty.

– A zatem, panie Lennartz, proszę mi pokazać te dokumenty, które muszę podpisać. Będziemy mieli to już z głowy. Jestem zmęczona.

W elektrycznym świetle Rath dostrzegł, jaka była piękna. Jej uroda omal ścięła go z nóg.

– Okłamałem panią – przyznał. – Nie mam na nazwisko Lennartz, tak samo jak pani nie ma na nazwisko Steinrück. Nazywam Gereon Rath i pracuję w policji kryminalnej, hrabino Sorokinowa.

– Znam pańskie nazwisko – jej głos brzmiał surowo. – Jest pan tym policjantem, który polecił mnie szukać! Czego pan chce? Zaareztować mnie?

– Chcę z panią porozmawiać. Ja...

Zająknął się. Nagle zobaczył wycelowaną w siebie lufę pistoletu.

– Niech się pani nie boi. Nie wydam pani – uspokoił kobietę. – Niech pani to schowa.

– Dlaczego miałabym panu wierzyć?

– Bo już kilka razy pani pomogłem.

– Nic mi o tym nie wiadomo. A teraz niech pan podniesie rękę i nie próbuje żadnych sztuczek. Jestem wprawna strzelczynią.

Rath posłuchał.

– Znalazłem pani kryjówkę w Delphi, ale milczałem. Wiem też, że to pani suszarka wylądowała w wannie Selenskiego. Oraz to, że była pani przy Yorckstrasse, gdy Nikita Fallin spadł z czwartego piętra. Nie wpisałem pani na listę podejrzanych o morderstwo.

– I mam być panu za to wdzięczna?

– Wystarczy, jeśli przestanie mi pani wymachiwać pistoletem przed nosem.

– Nie jestem zobowiązana do żadnej wdzięczności wobec pana – oznajmiła. – Nie zabiłam tych dwóch mężczyzn, nawet jeśli na to zasłużyli. Przyznaję, chciałam pozbawić ich życia, ale za sam zamiar chyba nie dostaje się kary.

– Nie – odparł Rath. Starął się nie okazać zaskoczenia. Czy mówiła prawdę? – Zatem dlaczego znalazła się pani przy Yorckstrasse, gdy Fallin zginął? Przecież zwabiła go pani w pułapkę.

– Czekałam na niego piętro wyżej, zgadza się. Chciałam go zastrzelić. Tak jak chciałam zastrzelić Selenskiego. Jednak gdy przyszłam pod dom, okazało się, że pod jego drzwiami stoi policja. Dopiero kolejnego dnia dowiedziałam się, że nie żyje.

– W jaki sposób pani suszarka znalazła się w jego wannie?

– Ja z pewnością jej tam nie wrzuciłam.

– I upadek Fallina również nie był pani sprawką?

– Gdy go zawołałam, to wychylił się przez poręcz. Chciałam naciśnąć spust. I wtedy on runął. A ja zbiegłam za nim. Przysięgam panu, że zastrzeliłabym go, gdyby jeszcze żył. Ale na dole siedział przy nim mężczyzna, który powiedział mi, że Fallin nie żyje.

– To był mój kolega z policji.

– W każdym razie musiałam się stamtąd wydostać. Miałam przecież pistolet w torebce.

Rath przez chwilę się zastanowił. Był jeszcze ktoś, kto skorzystał na śmierci obydwu Rosjan – Bruno Wolter. Obaj mężczyźni stanowili zagrożenie dla bezpieczeństwa, a więc się ich pozbył. A odpowiedzialność chciał zrzucić na hrabinę.

Rath przytaknął.

– Brzmi dość przekonująco – powiedział. – Tymczasem sprawa i tak już przycichła. Wydział zabójstw już od dawna zajmuje się kolejnymi zgłoszeniami.

– Dlaczego więc pan mnie odwiedza?

– Od dawna tu pani nie było. Jestem pani sąsiadem.

Ze zdziwieniem było jej do twarzy.

– Niech pani mi wierzy, nie chcę pani oszukać. Sprawa jest zamknięta. Nawet policja wie, że w przypadku Fallina i Selenskiego oberwało się właściwym osobom. Mogę opuścić ręce? Trochę mnie już bolą.

Kobieta przytaknęła. Jednak w jej oczach pozostała odrobina nieufności. Pistolet nadal trzymała w dłoni.

– Właśnie zaparzyłam herbatę – powiedziała. – Czy mogę zaproponować panu filiżankę?

– Tylko poproszę bez rumu.

Niedługo później siedzieli przy niewielkim kuchennym stoliku i pili herbatę. Drugie krzesło musiała przynieść z sypialni.



– Jest pani jedyną osobą, która wie, co stało się ze złotem – powiedział Rath. – Czy ono kiedykolwiek opuściło Związek Radziecki? A może Czerwona Twierdza jednak je otrzymała?

– Ciekawski z pana człowiek.

– To choroba zawodowa. Ale pytanie jest natury prywatnej.

– Czerwona Twierdza już nie istnieje – odparła, a jej głos znów stał się surowy. – Grupa ludzi, która jeszcze określa się tą nazwą, nie zasłużyła na nią.

– A złoto?

– Jest w odpowiednim miejscu.

– Marlow znalazł kryjówkę, prawda? Nawet bez planu. I mimo to oddał przysługującą pani cześć?

– Złoto dawno już sprzedano. Każdy dostał to, co mu się należało.

– Marlow najwięcej. – Rath pokiwał głową. – A więc interes poszedł gładko. Może mi pani zatem zdradzić również to, w jaki sposób pani je przeszmurowała?

– Dlaczego chce pan to wiedzieć?

– Ponieważ tego nie rozumiem. Podejrzewam, że złoto ukryto w cysternach.

– Owszem. Jedynie zewnętrzne ściany zbiorników wykonano ze stali. Wewnątrz były z grubej warstwy złota.

– A jak się tam znalazło? Wagony nie przyjechały z Rosji, tylko z Prus Wschodnich.

– Ale wyprodukowano je w Rosji.

– Jak to?

– Moja rodzina nie wyzyskiwała poddanych, ale rozwijała przemysł. Z niego wziął się majątek Sorokinów. Posiadaliśmy fabrykę wagonów w Sankt Petersburgu. Kiedy wybuchła wojna, mój ojciec ulokował ogromne aktywa w złocie. A gdy bolszewicy przeprowa-

dzili pucz, kazał to złoto przetopić. Wtedy zbudowano cały szereg cystern, których wartość znała tylko garstka wtajemniczonych.

– Ale nie z radzieckim rozstawem kół.

– Nie. Chodziło o to, by bolszewicy w ogóle nie wpadli na pomysł, by je skonfiskować i wykorzystać do własnych celów. Ojciec chciał wywieźć je z kraju, już dużo wcześniej zza granicy spłynęły zamówienia na wszystkie wagony. Od zaprzyjaźnionych rodzin.

– Jedna z nich pochodziła z Prus Wschodnich.

– Zgadza się.

– A więc złoto znajduje się w Niemczech już od wielu lat.

– Nie. Podczas wojny domowej normalny handel okazał się niemożliwy. Potem komuniści nastęrczali kłopotów. Trwało to niemal dziesięć lat, nim wagony w końcu mogły przekroczyć granicę. Bolszewicy też okazują słabość na widok dewiz.

– Kupującym było Zrzeszenie Przedsiębiorstw Olejarskich Insterburg?

– Należy do dobrego przyjaciela. Był jednym z wtajemniczonych.

– Dlaczego zatem po prostu nie wysłał tych wagonów do Berlina?

Do pani?

– Nie pozostałoby to niezauważone. Za wiele osób wiedziało o złocie. Niektórzy znają moją tożsamość i tylko czekali na to, by mnie przydybać.

– A reszta pani rodziny?

– Już nie żyje.

– A więc wszyscy krążyli nad panią jak sępy.

– Właśnie dlatego Aleksiej i ja odegraliśmy ten cały spektakl. Pomyśleliśmy, że jeśli wszyscy skupią się na ładunku, to nikt nie zwróci uwagi na same wagony.

– I dlatego Marlow musiał zamówić z Leningradu chemikalia, które zdecydowanie łatwiej zdobyłby nad Renem...

Kobieta się uśmiechnęła. Chyba nie robiła tego już od dawna.

– Kombinat chemiczny wcześniej też był jedną z fabryk Sorokinów – wyjaśniła. – Dość mocno rzucało się to w oczy, ale takie też miało być.

Niedługo później Rath schodził już po schodach do swojego mieszkania, równie cicho, jak wcześniej wchodził na górę. Tysiące myśli kłębiło się w jego głowie. Ale teraz już wiedział, co powinien zrobić. Wiedział dokładnie. Chciał znów dobrze czuć się w swojej skórze.

Wziął z szopy klucz do mieszkania dozorca. Lennartz zaczął już kłaść w mieszkaniu nową tapetę, ale pominął ponurą klitkę, w której zajmował się sprawami biurowymi. Tu wszystko jeszcze wyglądało jak wcześniej. Stara maszyna do pisania Schöffnera nadal stała na swoim miejscu, stanowiła element inwentarza. Rath usiadł i wyciągnął z szuflady kilka kartek papieru. Następnie spisał wszystko. Całą historię, z perspektywy Hermanna Schöffnera, zwykłego Scharführera SA. Z każdą literą, którą stawiał, czuł, jak jego serce staje się lżejsze.

W oddali, pośrodku morza domów na Kreuzbergu, widać było osiem kominów elektrowni Klingenberg i wielką halę Görlitzer Bahnhof. Rath rozkoszował się tym widokiem. Tym razem mógł to robić. To był ten sam widok, co wcześniej, tyle że tym razem niezmacony zawrotami głowy. Wystarczająco wysoka balustrada restauracji na dachu chroniła gości przed upadkiem na Hermannplatz.

Tego dnia otwarto nowy dom towarowy i w związku z tym panował tu nieprawdopodobny zgiełk. Rath poprosił Weinerta o spotkanie, a dziennikarz zaproponował właśnie restaurację na dachu.

Twierdził, że i tak miał tam coś do załatwienia. Budynek domu handlowego Karstadt zdawał się Rathowi adekwatnym miejscem spotkania. Może dlatego, że to w tym miejscu zaczęła się ta cała historia – kiedy dom handlowy był jeszcze placem budowy. Właśnie tym placem budowy, po którego rusztowaniu ścigał Franza Krajewskiego i na którym Bruno Wolter uratował mu życie. Nadkomisarz Bruno Wolter, którego parę dni wcześniej prezydent policji pośmiertnie odznaczył za odwagę.

Hermannplatz zmienił swoje oblicze. Kolos w piaskowym kolorze górował nad placem i wydawał się tu tak nie na miejscu, jak aztecka piramida. A nawet jak dwie azteckie piramidy. Dwuwieżowy egzemplarz współczesnej gigantomanii, akurat w Neukölln, gdzie zaledwie przed paroma tygodniami policjanci i komuniści staczali krwawe walki uliczne! Rath wątpił, że w tej robotniczej dzielnicy ogromny dom handlowy wprowadzi choć namiastkę Nowego Jorku. Jednak berlińczycy już od wielu tygodni gorączkowo wyczekiwali otwarcia i pokochali to miejsce od pierwszego dnia.

Zdawało się, że przede wszystkim pokochali restaurację mieszczącą się na dachu. W całym tym rwetesie Rath miał trudność, żeby w ogóle odnaleźć Weinerta. Dziennikarzowi jakoś udało się znaleźć miejsce siedzące, i to nawet z wyśmienitym widokiem. Czyżby zawdzięczał to swojej legitymacji dziennikarskiej? Może jeszcze przed chwilą pił kawę z samym panem Karstadtem?

Dziennikarz zajął mu krzesło stojące naprzeciw swoim płaszczem. Gdy Weinert wstał, żeby przywitać się z Rathem, jakiś nieco zbyt zuchwwały typ omal nie wyrwał spod niego jego własnego krzesła. Spłoszyło go jednak surowe spojrzenie. Usiedli obaj.

– Już zamówiłem dla Ciebie kawę – powiedział Weinert. – Czeka-  
nie na kelnera trwa tu wieki.

Rath przytaknął. W plątaniu głosów, która ich otaczała, z trudnością mogli się porozumieć. Trudno uwierzyć, że w tym chaosie ktokolwiek mógł się doczekać na obsługę. Jednak kelnerzy przeciśkali się z uniesionymi tacami niczym artyści cyrkowi.

– Przyjemne, spokojne miejsce – powiedział Rath.

Weinert się zaśmiał.

– Tu zwracamy na siebie mniejszą uwagę, niż gdybyśmy się spotkali na opustoszałej polanie w samym środku lasu.

– Być może. Każdy rozsądny człowiek unika dziś tego miejsca.

Jeden z kelnerów postawił na stole dwa dzbanki kawy, zainkasował należność i na powrót zniknął w tłumie.

– Chciałeś ze mną porozmawiać? – zapytał Weinert. – W końcu coś dla mnie masz?

Rath zapalił papierosa, zanim udzielił odpowiedzi.

– Mam coś.

Weinert spojrzał na niego z zaskoczeniem.

– Naprawdę?

– Nie to, o czym myślisz.

– Oczywiście. Kruk krukowi oka nie wykole.

– Jesteś w błędzie, pogódź się z tym. W policyjnej codzienności wciąż się z tym stykamy.

– Nie jestem policjantem, tylko dziennikarzem.

– Z nieco wybujałą fantazją.

– Przemyt broni to nie żadna fantazja. Karabiny i pistolety maszynowe opatrzone numerami inwentarzowymi policji i armii niemieckiej używane są podczas ćwiczeń obronnych w Stahlhelmie. Mój informator się nie myli.

– Już od tygodni działasz mi na nerwy tymi dyrdymałami.

– Owszem, ponieważ nagle wynosicie pod niebiosa funkcjonariusza, który ma niejedno za uszami!

– Nadkomisarz Wolter umarł w szpitalu wskutek ciężkich obrażeń, których doznał podczas wykonywania obowiązków służbowych.

– Brzmisz jak zacięta płyta, wiesz o tym? Wolter był zaciekłym stahlhelmowcem, nawet Zörgiebel nie zdementował tej wiadomości. Należał też do kliki dawnych towarzyszy broni. Dowiedziałem się tego od Behnke.

– Stahlhelm to związek weteranów. Wielu policjantów brało udział w wojnie.

– Ale nie wszyscy szkolili młodych ludzi z posługiwania się bronią na użytek działań w organizacjach paramilitarnych. Tak aby armia niemiecka – gdy znów będzie wielka i silna – miała do dyspozycji wystarczająco wielu dobrze przeszkolonych żołnierzy. Armia składa się już przecież prawie wyłącznie z oficerów. Szeregowych żołnierzy hoduje się w prawicowych organizacjach paramilitarnych. Stahlhelm, Scharnhortbund, Wiking, czy jak one się tam wszystkie nazywają... Wszystkich ich dokarmia przecież armia i jej sponsorzy z przemysłu zbrojeniowego. A teraz również NSDAP i to ich SA.

– To problem armii, a nie pruskiej policji.

– Istnieją też związki z policją, a przynajmniej takowe były, wiem na pewno. Tylko nie mam jak tego udowodnić. W każdym razie policja nie jest tak demokratyczna, jakby chcieli tego socjaliści.

– Policja nie jest polityczna, ma dbać o prawo i porządek.

Weinert pokręcił głową.

– Powiedz jeszcze, że sam w to wszystko wierzysz.

Rath wydmuchnął dym i zgasił papierosa. W ciągu minionych tygodni wciąż wmawiał sobie, że Brunona Woltera spotkała zasłużona

kara. Jednak tak naprawdę nigdy w to nie wierzył. Prezydent policji uczynił Woltera bohaterem, a prasa łyknęła tę historię. Historia ta trzymała w szachu także stahlhelmowców, którzy byli wówczas obecni na Ostbahnhof. Gdyby chcieli poddać w wątpliwość oficjalną wersję policji, to musieliby zrujnować opinię o własnym człowieku, bohaterze Brunonie Wolterze. O to, by tak się nie stało, zadbał już Rudi Scheer, który – przeniesiony do inspektoratu budowlanego w Charlottenburgu – nie miał już wprawdzie dostępu do broni, ale nadal miał coś do powiedzenia w Stahlhelmie. Rath wiedział już, że Woltera spotkałby podobny los, co Scheera: gdyby przeżył, zostałby unieszkodliwiony, ale nie ukarany. Prezydent policji nigdy nie miał wobec niego innych zamiarów. A major generalny Seegers uniknął nawet najmniejszej kary. Rathowi nie podobała się ta cała farsa, ale nie mógł o tym porozmawiać z Weinertem.

Pozostawały jeszcze inne możliwości.

Najpierw jednak oficjalna kwestia.

– Znasz kasę depozytową należącą do Deutsche Banku, tę przy Reichskanzlerplatz? – zapytał Rath.

Weinert przytaknął.

– Dość pretensjonalna, czyż nie?

– Dość bogata klientela. Wysokie depozyty gotówkowe. Nordpiraten chcą tam wykręcić numer. Duży. Jak ten przy Wittenbergplatz...

– Jak bracia Sass?

– Tylko nie z takim sukcesem. Koledzy z Inspekcji C przyłapią ich na gorącym uczynku. Jeśli dziś wieczór w porę ustawisz się tam z paroma fotografami, to będziesz miał ładne zdjęcia.

– Nie nazwałbym tego jakąś wielką rewelacją – Weinert sprawiał wrażenie umiarkowanie zachwyconego.

– Bądź co bądź rozprawią się z całym ringvereinem. Parę sensacyjnych ujęć na pewno się znajdzie. Wierz mi, sprawisz tym radość swojemu szefowi.

– *Twojemu* również. – Weinert w powietrzu kreślił palcem cudzy-słów. – „Berlińska policja w walce przeciw przestępczości zorganizowanej!” – Wstał i podał mu rękę. – Muszę już iść. Dzięki za wskazówkę, Gereonie.

– Stój!

Weinert się zatrzymał. Rath podał mu czarną teczkę zawierającą spowiedź zwykłego Scharführera SA.

– Co to jest?

– Nie mam pojęcia. Ktoś musiał to tu zostawić. Może w środku jest coś interesującego. Na przykład coś o przemyśle broni. Weinert w końcu zrozumiał. Jego twarz się rozpromieniła.

– Tak sądzisz?

– Na Twoim miejscu nie oddawałbym tej teczki do biura rzeczy znalezionych.

– O ile informacje są prawdziwe.

Rath wzruszył ramionami.

– Ty musisz o tym zdecydować. Ty jesteś dziennikarzem. Ja jestem funkcjonariuszem policji.

Weinert pomachał mu teczką.

– Daj znać, jeśli znów będę mógł coś dla Ciebie zrobić.

Rath nie musiał długo myśleć.

– Potrzebny Ci jutro samochód?

– Jeśli masz odwagę przyjsć na Nürnberger Strasse, to możesz go pożyczyć. – Weinert zaśmiał się i odwrócił na pięcie.

Rath spoglądał za dziennikarzem, dopóki ten nie zniknął pośród tłumu ludzi. Został przy stoliku i zapalił kolejnego papierosa. Cza-



mi trzeba skłamać, żeby pomóc prawdzie wyjść na jaw. Weinert ostrzył sobie zęby na tę historię. Opisz ją, to wiadomo było na pewno.

Wzrok Ratha wędrował ponad morzem dachów. Nadal nie wiedział, co ma myśleć o tym mieście, jednak latem Berlin bez wątpienia miał w sobie jakiś urok. Był zupełnie innym miastem niż w zimie. Może wcale nie jest tu tak źle.

Teraz pozostało mu tylko przekonać Charly, żeby pojechała z nim jutro na wycieczkę za miasto. To stanowiło największą trudność. Jednak i z tym sobie poradzi.

---

<sup>1</sup> Szupo – funkcjonariusz policji porządkowej (Schutzpolizei), której rolą jest przede wszystkim utrzymanie bezpieczeństwa publicznego i porządku, ściganie karne oraz kontrola ruchu drogowego. Umundurowanie szupo składa się z granatowego uniformu i czapki typu czako. Schutzpolizei to służba odmienna od policji kryminalnej (Kriminalpolizei), w której pracuje Gereon Rath. Zadania policji kryminalnej obejmują prewencję i ściganie przestępstw (zbrodni i wykroczeń).

<sup>2</sup> Freikorpsy – ochotnicze nacjonalistyczne formacje paramilitarne działające w Niemczech w latach 1918–1922, zakładane przez zdemobilizowanych żołnierzy.

<sup>3</sup> Ringverein – nazwa organizacji mafijnych, działających na terenie Niemiec od XIX w., szczególnie aktywnych w latach 20. XX w. Oficjalnie były to stowarzyszenia byłych więźniów, które miały ułatwić im powrót do społeczeństwa, jednak w praktyce prowadziły działalność nielegalną i przestępczą. Ich istnienie zostało zakazane po dojściu NSDAP do władzy w latach 30.

<sup>4</sup> Doktor Mabuse – bohater niemieckiego filmu niemego z 1922 roku w reżyserii Fritza Langa, hazardzista i hipnotyzer, a także przywódca potężnego gangu działającego w Republice Weimarskiej.

<sup>5</sup> W Niemczech Dzień Ojca obchodzi się w dniu Wniebowstąpienia Pańskiego.

<sup>6</sup> W wielu artykułach „Der Angriff” określał szefa berlińskiej policji, Bernharda Weissa, jako „Izydora Weissa”. Imię „Izydor” miało w Niemczech wyłącznie żydowskie konotacje.

<sup>7</sup> Czarna Reichswehra – istniejące w latach 1921–24 paramilitarne oddziały niemieckie; odegrały rolę armii rezerwowej do osłony granicy z Polską; inicjowały w Rzeszy mordy kapturowe; rozwiązane jako zagrożenie dla republiki.

<sup>8</sup> Stahlhelm: organizacja paramilitarna (nazwa oficjalna: Związek Żołnierzy Frontowych) powstała po I wojnie światowej w Niemczech, nacjonalistyczna i wrogo nastawiona do Republiki Weimarskiej. Początkowo skupiała weteranów I wojny światowej, następnie rozrosła się w bojówkę paramilitarną. Stahlhelm został zintegrowany z SA w latach 30.

<sup>9</sup> Korytarz polski: pojęcie stosowane przez niemiecką propagandę z okresu międzywojennego jako nazwa dla obszaru polskiego województwa pomorskiego,

służące wskazaniu, że ten teren oddziela Prusy Wschodnie od reszty Niemiec.